

Prolog

Zimno... Boże, jak zimno...

Bobbi zadrzała. Była półprzytomna, nie mogła się ruszać, kręciło jej się w głowie. Chciała zasnąć, zapomnieć o niezrozumiałym zdenerwowaniu, które czaiło się w zakamarkach umysłu. Miała ciężkie powieki, jakby wzięła za dużo tabletek nasennych. Poczwała drażniący zapach stęchlizny i skrzywiła się z niesmakiem. Uderzyły ją panujące w pokoju cisza i dziwny bezruch. Nie było słychać tykania zegara w przedpokoju ani szumu pieca centralnego ogrzewania... nic. Cisza dzwoniła w uszach.

Nie jestem w swoim pokoju.

Ta myśl ją przeraziła.

Nie leżę w swoim łóżku.

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Jestem... gdzie?

Odór był tak wstrętny, że aż się zakrztusiła. Powoli zaczęła zbierać myśli. Gdzie jestem, do jasnej cholery, i dlaczego nie mogę się ruszyć? Leżała w ciemności, z trudem łapiąc powietrze. Zorientowała się z przerażeniem, że leży na plecach, na czymś nierównym, i dotyka nosem jakiegoś śliskiego materiału.

Było ciemno. I duszno. Prawie nie mogła oddychać. I ten fetor... Omal nie zwymiotowała.

Działo się coś złego. Coś bardzo złego.

Spróbowała usiąść.

Bum!

Walnęła w coś głową. Nie mogła ruszyć rękami: ani w górę, ani na boki. Była zaklinowana w ciasnym pomieszczeniu, na niewygodnym łóżku... nie, to nie było łóżko, tylko coś miękkiego, gąbczastego, może galaretowatego, z jakimiś twardymi szpikulcami, uwierającymi ją w plecy. I ten okropny zapach zgnilizny... W jej otepiałym umyśle rozblęsnął nagle lodowaty strach. Zamknięto ją w ciasnej skrzyni.

Wtedy zrozumiała.

Ta myśl była paraliżująca.

Jestem w trumnie?

Boże, nie! To przecież niemożliwe! Nie mieści się w głowie! Jest po prostu oszołomiona, a uczucie klaustrofobii to niesamowity, makabryczny sen. Tak, sen. Na pewno. Ale serce gorączkowo trzepotało jej w piersi. Była przerażona.

Nie, nie... błagam, nie... to musi być sen. Obudź się, Bobbi, mówiła sobie w myślach. Na miłość boską, obudź się wreszcie!

Krzyknęła. Przeraziłwy drażniący uszy dźwięk odbił się od ścian ciasnego pomieszczenia.

Myśl logicznie. Bez paniki. O Boże, o Boże...

Zaczęła gorączkowo wierzczać, ale jej bosc stopy uderzały w coś twardego. Zahaczyła o coś paznokciem. Naderwał się i czuła, że trzyma się już tylko na kawałku skóry.

To nie może dziać się naprawdę, wmawiała sobie. To tylko zły sen. Na pewno. A jednak... Usiłowała wydostać się z tego straszliwego zamknięcia, pudła z atlasową wyściółką... Poczwała, że leży na czymś miękkim, a miejscami twardym, na... na...

To ciało! Leżę na ludzkich zwłokach!

- Nie! Błagam, wypuście mnie stąd! - Darła wyściółkę palcami, szarpała, waliła pięścią. Pod sobą czuła kości i rozkładające się ciało, a szczeciniaste włosy drażniły jej nagą skórę... Wielki Boże, jestem naga? Ktoś mnie wepchnął do tej trumny bez ubrania? Kto mi to zrobił? Dlaczego? - Pomocy! Proszę! Pomocy! - Krzyk dzwijał jej w uszach, wracając rykoszetem. - O Boże... proszę, niech mi ktoś pomoże. - Czy naprawdę leżę na trupie? Dostała gęśiej skórki na myśl o rozkładającym się pod nią ciele, o ustach bez warg, przyciśniętych do jej karku, o zębach, rękach i...

Może ten ktoś żyje, tylko śpi, tak jak ja jeszcze przed chwilą.

Ale dobrze wiedziała, że tak nie jest. Ten, kto pod nią leżał, kiedyś żył, ale teraz był lodowaty jak sama śmierć. Prawdopodobnie już zaczął się proces rozkładu i... Błagam, niech to będzie tylko straszliwy, koszmarny sen. Boże, pozwól mi się obudzić. Usłyszała szloch i uświadomiła sobie, że dźwięk wydobywa się z jej gardła. Bez paniki. Muszę pomyśleć, jak się stąd wydostać... dopóki mam powietrze. Oddycham, czyli chyba jestem tu krótko. To, że leżę w trumnie, nie musi koniecznie oznaczać, że pod ziemią... Ale czuła zapach wilgotnej ziemi i wiedziała, że trumna jest już w grobie. To tylko kwestia czasu, zanim...

Weź się w garść i pomyśl, jak się stąd wydostać! - nakazała sobie. Jesteś mądra, więc myśl! Myśl! Jeśli trumna nie jest jeszcze zakopana, to może masz czas... Ale dobrze wiedziała, że każda upływająca sekunda przybliża ją do makabrycznej, okrutnej śmierci. Błagam, Boże, nie pozwól mi umrzeć. Nie w ten sposób... nie tak.

- Ratunku! Pomocy! Pomocy! - krzyczała, rozpaczliwie drapiąc wieko trumny. Szarpała atlasową wyściółkę, łamiąc swoje długie, wypielęgnowane paznokcie, nie bacząc na ostry ból rozrywanej skóry. Smród był nie do zniesienia, a powietrze tak lodowate i ciężkie... To musi być sen. Musi. A jednak ból palców i krew płynąca spod paznokci przekonały ją, że to nie koszmar, lecz rzeczywistość gorsza niż najstraszliwsze potworności, jakie można

sobie wyobrazić.

Z przerażenia nie mogła złapać tchu. Bała się, że zemdleje. Krzycząc do utraty tchu, bez ustanku waliła w wieko trumny kolanami i stopami, starając się nie zwracać uwagi na skurcze mięśni i coraz to nowe, krwawiące rany. Z jej oczu płynęły łzy.

- Boże, nie pozwól mi umrzeć w taki sposób. Błagam... och, błagam, tylko nie to...

Ale wciąż otaczała ją ciemność. Galaretowate ciało pod nią leżało nieruchomo. Rozkładająca się tkanka dotykała jej pleców, a ostre żebra wbijały się w skórę. Zadrzała, z trudem powstrzymując torsje. Po chwili znów zaczęła krzyczeć.

Nagle gdzieś z góry dobiegły głuchoe odgłosy. Ziemia i kamienie spadały na wieko tej okropnej trumny.

- Nie! Nie!

Waliła pięściami, choć bolały i krwawiły, cały czas błagając i krzycząc:

- Wypuść mnie stąd! Proszę, proszę!

Kto mógł mi to zrobić?

Dlaczego... o Boże, dlaczego... Kogo tak bardzo skrzywdziłam? - zastanawiała się. Okłamała tak wielu ludzi. Ich twarze wirowały teraz w jej oszalałym umyśle. Ale kto mógłby jej nienawidzić aż tak bardzo, by posunąć się do tych tortur? Kto mógłby mieć powód? Kto byłby zdolny do takiego okrucieństwa?

Oddychała z coraz większym trudem. Powietrze już się kończyło. Czuła, że zaraz zemdleje. Myślała o mężczyznach w swoim życiu, a zwłaszcza o jednym, który prawdopodobnie nawet nie pamiętał jej imienia. Jego bardzo skrzywdziła.

Pierce Reed.

Detektyw z policji w Savannah.

Szanowany człowiek, który miał jednak własne, ponure tajemnice.

Nie... Reed by jej tego nie zrobił. Nie wiedział, jak bardzo sploty się ich losy. Nie zależało mu.

Uwięził ją ktoś inny. Jakiś potwór.

Drżała i płakała,

- Wypuść mnie! Wypuść! - wrzeszczała, szlochając. Gardło bolało ją od krzyku, skóra cierpła na myśl o rozkładającym się ludzkim ciele. - Proszę, błagam, uwolnij mnie... zrobię wszystko, co zechcesz... wszystko... błagam, nie zabijaj mnie... - Ale nawet nie wiedziała, kogo błaga, a na trumnę spadały kolejne grudy ziemi i kamyków.

Oddychała z coraz większym trudem, bo w trumnie prawie nie było powietrza. Płuca piekły ją od braku tlenu. Nagle poczuła się bardzo słaba.

Bezbronna.

Skazana na śmierć.

Zdołała się na ostatnią próbę wydostania się z tego więzienia. Nie udało się. Pogrążyła się w ciemności, traciła wolę walki i życia. Ręce opadły jej bezwładnie. To był jej grób. Na zawsze.

Wydało jej się, że gdzieś w przerażającej ciszy rozlega się śmiech. Choć rozbrzmiewał w oddali, wiedziała, że ktoś śmiał się z niej. Morderca chciał, żeby wiedziała. Żeby go usłyszała, zanim wyda ostatnie tchnienie.

Ktokolwiek jej to zrobił, upajał się tym.

Rozdział 1

Ten sukinsyn znowu ciągnie mnie do sądu! - Morrisette wpadła do gabinetu Reeda i trzasnęła jakimiś dokumentami o róg jego biurka. - Masz pojęcie? - wycedziła wściekle ze swoim zachodnioteksaskim akcentem. - Bart chce obniżyć alimenty o trzydzieści procent!

Bart Yelkis był czwartym i na razie ostatnim eksmężem Sylvie Morrisette oraz ojcem dwójki jej dzieci. Odkąd Reed pracował w Wydziale Policji w Savannah, Sylvie i Bart kłócili się o sposób wychowywania Priscilli i Toby'ego. Sylvie miała trudny charakter i rzadko trzymała na wodzy swój jadowny język. Palila, piła, jeździła samochodem jak na wyścigu Indy 500, klęła jak szewc i ubierała się, jakby miała dwadzieścia, a nie trzydzieści pięć lat, ale przede wszystkim była matką. Nic nie mogło szybciej wyprowadzić jej z równowagi niż krytyka pod adresem dzieci.

- Myślałem, że płaci tyle, ile trzeba, i w terminie.

- Płacił, ale prędko przestał. Mogłam się spodziewać. To by było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Psiakrew, dlaczego ten facet nie umie być ojcem? - Rzuciła na podłogę dużą torbę i łypnęła na Reeda.

Wyczytał z tego spojrzenia, że nagle uznała wszystkich mężczyzn w swoim życiu za kompletnych frajerów. Jego też. Morrisette miała reputację twardzielki. Rwała się do męskiej roboty. Była wściekłą policjantką o ostrym języku i niepopularnych poglądach. Nie miała cierpliwości do facetów i wyrażała się równie wulgarnie jak wszyscy detektywi w wydziale. Nosila buty z wężowej skóry, z pewnością niepolicyjne. Jej platynowoblond włosy zawsze były nastroszone, jakby cesał ją Billy Idol. Zachowywała się tak, że każdy młody łobuz porządnie by się zastanowił, zanim by ją zaczepił. Reed widział wymowne spojrzenia innych policjantów, którzy współczuli mu partnerki, ale wcale się tym nie przejmował. Przez krótki czas po powrocie do Savannah nauczył się szanować Sylvie Morrisette, choć zdarzało się, że musiał chodzić koło niej na palcach. Tego ranka jej twarz była karminowa

z wściekłości, a spojrzenie tak groźne, jakby zaraz miała pluć gwoździemi.

- Czy on może to zrobić? Obniżyć alimenty? - Reed otwierał listy, ale na chwilę odłożył nóż do papieru na zawalone dokumentami biurko.

- Jeśli jakiś sędzia frajer nabierze się na bajeczkę o tym, jaki to Bart jest biedny i nieszczęśliwy. Stracił pracę, i co z tego? Powinien się zakreścić i znaleźć sobie inną. Tak jak normalni ludzie. Ale on myśli, że może po prostu odciąć kasę mnie i dzieciom. - Przewróciła oczami i dumnie się wyprostowała. Jej zachodnioteksański akcent był silniejszy zawsze, gdy się złościła, a dziś była wyjątkowo wściekła. - Łajdak! Ni mniej, ni więcej. Podły, fałszywy, pieprzony łajdak! - Podeszła do okna i z gniewem spojrzała na szary, zimowy pejzaż. - I nie myśl, że płaci nam jakieś miliony. Poza tym to są jego dzieci. Jego dzieci! Zawsze narzeka, że za rzadko je widuje. - Tupnęła nogą w kowbojskim bucie i zaklęła pod nosem. - Muszę się napić.

- Jest dziewiąta rano.

- Kogo to obchodzi?

Reed zbyt nie przejął. Morrisette miała skłonność do przesadnego dramatyzmu, zwłaszcza gdy chodziło o dzieci lub któregoś z czterech byłych mężów. Kłopoty w życiu osobistym umacniały ją w przekonaniu, że już nigdy z nikim się nie zwiąże. Mężowie byli dla niej synonimem kłopotów, a policjant nie potrzebuje więcej kłopotów, niż już ma.

- Nie możesz z nim walczyć w sądzie? - Reed dopił letnią kawę, zgniótł papierowy kubek i wrzucił go do przepelnionego kosza na śmieci.

- Mogę, ale to kosztuje. Będzie mi potrzebny jakiś cholerny adwokat.

- W mieście nie ma ich zbyt wielu.

- W tym problem. Bart ma koleżankę prawniczkę, która jest mu winna przysługę. Poszedł do niej i napisała mu wniosek czy jak to się nazywa. Kobieta. Masz pojęcie? Gdzie się podziała babska solidarność? Bardzo ciekawa. Czy nie ma jakiegoś cichego porozumienia, które zabrania kobiecie pozbawiania innych kobiet środków do życia?

Reed wołał się nie wypowiadać. Z tego, co wiedział, Morrisette nie należała do żadnej organizacji kobiecej. Z równą zjadłością zwalczała przedstawicieli obu płci. Podniósł więc nóż do papieru i zaczął rozcinać białą kopertę z jego nazwiskiem i adresem wydziału policji w Savannah. Było na niej napisane czarnymi, drukowanymi literami: **DETEKTYW PIERCE REED**. Reedowi wydawało się, że zna adres zwrotny, ale nie kojarzył go z miejscem.

- Tak to jest - narzekała Morrisette. - Przyszłość moich dzieci legnie w gruzach, bo Bart kilka lat temu zbudował tej babie kojec dla psów. I bach! Odbierze mi moje nędzne alimenty. - Zmrużyła oczy. - Powinny to regulować jakieś przepisy, prawda? Czy ci ludzie, co wykonują zawody związane z prawem, nie mają czegoś ważniejszego do roboty niż wypisywanie głupich pozwów i odbieranie dzieciom należnych alimentów? - Przeczesała palcami potargane włosy, a potem podbiegła z powrotem do biurka i chwyciła dokumenty. Opadając na krzesło, dodała: - Przez to wszystko będę musiała wyrobić sporo nadgodzin.

- Dasz sobie radę.

- Pieprz się - warknęła. - Pocieszenie to ostatnia rzecz, jakiej od ciebie oczekuję, Reed. Zrozumiano? Wsadź je sobie.

Z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Jak sobie życzysz.

- Właśnie. - Trochę się uspokoiła.

- Może lepiej zażądaj od Barta wyższych alimentów? Atak jest najlepszą obroną.

- Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałam. Ale jest takie stare powiedzenie, że Salomon z próżnego nie należy.

Reed zerknął na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może i nic nie osiągniesz, ale fajnie będzie powalczyć.

- Nie mówmy o tym.

- Sama zaczęłaś - przypomniał jej, wyciągając białą kartkę z koperty.

- Nie przypominaj mi. Mam pecha do facetów. - Westchnęła. - Gdybym była mądra, zostałabym zakonnicą.

- Jasne, doskonale się nadajesz - zakpił Reed. Rozłożył kartkę. Było na niej tylko kilka linijek napisanych takimi samymi drukowanymi literami, jakimi zaadresowano kopertę:

RAZ, DWA, RAZ, DWA

ZACZĘŁA SIĘ GRA.

NIECH ICH SŁUCHAJĄ,

KIEDY UMIERAJĄ.

- Co to takiego, do cholery? - wymamrotał Reed.

Morrisette natychmiast poderwała się na nogi. Podeszła do biurka i wzięła kartkę.

- Głupi żart?

- Może - mruknął.

- Ostrzeżenie?

- Przed czym?

- Nie wiem. Jak myślisz, czy to nieszkodliwy świr, czy prawdziwy psychopata? - Zmarszczyła brwi. Natychmiast

przestała myśleć o alimentach. - Nie podoba mi się to „niech ich słuchają, kiedy umierają”. Na świecie nie brakuje wariatów. - Uważnie przyjrzała się literom, a potem wzięła kopertę. - Adresowana do ciebie. - Mrużąc oczy, spojrzała na stempel pocztowy. - Stąd, z Savannah. Adres zwrotny z Abercom... Jezu, to bardzo blisko.

- Cmentarz Kolonialny - uświadomił sobie Reed.

- Cmentarz. Kto wysłałby list z cmentarza?

- Jakiś świr. Ten list to bzdura. - Zmarszczył brwi. - Ktoś przeczytał o sprawie Montgomerych i chce mi dokuczyć.

Od ostatniego lata, gdy prowadził sprawę zabójcy, mszczącego się na rodzinie Montgomerych, Reed stał się bardzo popularny. Nawet za bardzo. Gdy rozwiązał tę sprawę, uznano go za bohatera i eksperta. Zgłaszali się do niego koledzy z innych wydziałów, reporterzy, którzy opisywali tę historię, a nawet prokurator generalny z Atlanty. Sława źle wpływała na jego życie osobiste. Od sześciu miesięcy, kiedy to schwycił Atropos, kobietę, która postanowiła zdziesiątkować jedną z największych i najbardziej osławionych rodzin z Savannah, cytowano go, fotografowano i proszono o wywiady tak często, że nigdy by się tego nie spodziewał. Bardzo go to drażniło. Nie lubił być na świeczniku. Był bardzo skryty. Miał kilka tajemnic, które wołał zachować dla siebie, ale kto ich nie ma? Chciałby spokojnie pracować, nie będąc narażony na stres związany z popularnością. Wściekał się zwłaszcza na reporterów. Chyba byli zafascynowani jego przeszłością i mieli zamiar dokopać się do wszystkich, ale to wszystkich szczegółów z jego życia, a potem poinformować rzeszę czytelników, jaki tak naprawdę jest detektyw Pierce Reed. Jakby mieli o tym pojęcie! Wziął przez chusteczkę list i kopertę, żeby ostrożnie włożyć je do plastikowej torebki, którą wyjął z szuflady biurka.

- Myślę, że nic to nie da, ale zachowajmy je na wszelki wypadek. Może będą dowodem.

- Dowodem czego? Że po świecie hasa świr?

- Po świecie hasa wielu świrów. Mimo to zatrzymam list i poszukam czegoś podobnego w lokalnym systemie oraz w Narodowym Centrum Informacji Kryminalistycznej. Może w jakimś innym wydziale też dostali takie listy.

- Odwrócił się do komputera i wszedł na stronę NCIK prowadzonego przez FBI. - Może nam się poszczęści - powiedział do Morrisette. - A tymczasem chyba przejdę się na cmentarz.

- Myślisz, że coś tam znajdziesz?

- Nie. Raczej nie. Ale nigdy nic nie wiadomo. - Włożył kurtkę. - Już mówiłem, to prawdopodobnie kolejny żartowniś. Ciesz się, że wysłał policji list z pogrózką.

- Nie policji. Ten wariat napisał do ciebie. - Sylvie poprawiła kaburę na ramieniu. - Idę z tobą.

Nie protestował. Nie miałyby to sensu. Sylvie zawsze kierowała się instynktem i naginała przepisy. Tej twardej kobiety nigdy nie można było nakłonić do zmiany decyzji. Wsunął plastikową torebkę do szuflady na akta.

Wyszli bocznymi drzwiami. Reed poczuł na twarzy powiew lodowatego wiatru. Choć zwykle w grudniu pogoda była łagodna, tego roku zimny front atmosferyczny przesunął się wzdłuż Wschodniego Wybrzeża i zagrażał plonom nawet na Florydzie. Morrisette, osłaniając się od wiatru, zdołała zapalić papierosa, gdy minęli Columbia Square. Cmentarz Kolonialny, najstarszy w Savannah, był miejscem wiecznego spoczynku ponad siedmiuset ofiar epidemii żółtej febrы, która szalała w XIX wieku. Przez stulecia pojedykowano się tu aż nazbyt często. Generał Sherman rozbił tu obozowisko podczas wojny secesyjnej czy, jak mówiło wielu miejscowych, agresji Północy. Drzewa o nagich gałęziach zdawały się drzeć na wietrze, który rozwiewał suche liście po ścieżkach wśród starych, historycznych nagrobków. Ludzie powiadali, że mieszkają tam demony.

Reed nie wierzył w duchy. Tego ranka to miejsce przypominało raczej miejski park niż cmentarz, mimo że ciemne, gęste chmury zasnuwały niebo.

Wśród nagrobków przechadzało się zaledwie kilka osób. Nikt nie wyglądał podejrzanie. Nie było w nich nic niezwykłego. Dwoje starsuszków, trzymając się za ręce, czytało napisy na nagrobkach, trzech nastolatków, którzy powinni być w szkole, rozmawiało, paląc papierosy, kobieta w średnim wieku, w narciarskiej czapce, kurtce i wełnianych rękawiczkach, szła z małym, brzydkim psem ubranym w kubraczek, szarpiąc smycz za każdym razem, gdy zwierzę próbowało obwąchać jakiś stary nagrobek. Nikt się tu nie czaił, nie obserwował z ukrycia, groby wydawały się nienaruszone, nie przejeżdżały też samochody o przyciemnianych szybach.

- Nie mamy nic lepszego do roboty? - zapytała Sylvie, mocno zaciągając się papierosem.

- No właśnie. - A jednak Reed omiółł wzrokiem suchą trawę i stare, kamienne groby. Pomyślał o sprawach, nad którymi pracował.

Jedna z nich była prosta, dotyczyła przemocy domowej. Żona po dwudziestu latach małżeństwa uznała wreszcie, że ma dość, i zanim mąż znów podbił jej oko i złamał kolejne żebro, zastrzeliła go, gdy spał. Adwokat utrzymywał, że była to samoobrona. Reed miał udowodnić, że nie. Wiedział, że robi to bez trudu, ale było mu przykro. Prowadził też sprawę samobójczej umowy dwóch kochanków, gejų. Jeden miał siedemnaście lat, drugi - prawie dwadzieścia. Chłopak, który strzelał, ten młodszy, walczył o życie w szpitalu. Gdyby przeżył, postawiono by mu zarzut morderstwa. Natomiast trzecia sprawa, sprawa zabójstwa, była bardzo niejasna. Przed dwoma dniami z rzeki wyłowiono szczątki kobiety. Nie udało się ustalić jej tożsamości. Kolejna NN. Nikt chyba jej nie szukał. Na policję nie zgłoszono zaginięcia Murzynki, która, zdaniem lekarzy sądowych, miała około trzydziestu lat, grupę krwi O Rh+, liczne plomby w zębach i urodziła co najmniej jedno dziecko.

Tak, Reed miał ważniejsze zajęcia. Ale błędząc wzrokiem po miejscu wiecznego spoczynku mieszkańców Savannah - którzy zmarli w ciągu ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat, gdzie podobno widywano duchy - odniósł niepokojące wrażenie, że dostanie jeszcze wiadomości od autora listu.

„Raz, dwa, zaczyna się gra. Niech ich słuchają, kiedy umierają”.

Co to może znaczyć, do cholery jasnej?

Był pewien, że wkrótce się dowie.

- Widziałem go! - wykrzykiwał podniecony Billy Dean Delacroix, energiczny piętnastolatek. Policzki zaróżowiły mu się od zimnego wiatru. - Ten stary jeleni wlaź na wzgórze. Ale daleko nie ucieknie. Widziałem go, mówię ci. Niedługo będzie zbiegał. Ma biały ogon. Szybko, Pres! - Puścił się pędem co sił w nogach przez las. Biegł lekko i zwinnie. Tuż przy nim pędził długouchy pies jego ojca.

Prescott Jones, kuzyn Billy'ego, starszy o pół roku i cięższy o co najmniej dwadzieścia kilogramów, z trudem za nim nadążał. Kolczaste pędy jeżyn szarpały jego stare dzinsy, a gałęzie drzew smagały go po twarzy, tak że omal nie spadły mu okulary. Biegł starym szlakiem, wijącym się wzdłuż brzegów Niedźwiedziego Stawu. Szop prac zerknął z przerażeniem i czmychnął w krzaki. Na niebie zataczał koła jastrzęb.

Prescott prawie bez tchu wbiegł na szczyt - wzgórze. Bardzo się spocił pod kurtką myśliwską i starą, grubą koszulą ojca. Billy Dean, ubrany w strój maskujący koloru khaki, i jego brzydki, rudy pies gdzieś zniknęli.

- Cholera - mruknął Prescott, dysząc ciężko.

Czasami Billy Dean zachowywał się jak skończony drań. Wybiegał w przód, nie bacząc na nic. Prescott zastanawiał się, czy Billy naprawdę ciężko ranił jelenia. Podejrzewał, że kuzyn tylko go drasnął i że teraz czeka ich kilkukilometrowa pogoń.

Prescott zauważył czerwone plamy na wyschniętej trawie przy szlaku: a jednak jeleni naprawdę był ciężko ranny. Poczul ulgę. Miał już dość tego galopu przez las. Zresztą nie przepadał za polowaniem. Owszem, chętnie strzelał do wiewiórek, kozłów czy lisów. Nawet wyobrażał sobie, że sam zabija niedźwiedzia lub aligatora i daje go do wypchania. Ale w sumie polowanie było bardzo męczącym zajęciem. Prescott wolał to, co następowało po nim: mógł napić się piwa, zapalić skrety, a czasami wziąć prochy. Lubił siedzieć przy ognisku i opowiadać zmyślane historie o dziwkach i zwierzynie. Sam się tym nakręcał. Ale istota polowania - śledzenie, strzały, patroszenie i transport zabitej sztuki - wcale mu się nie podobała.

- Hej! Tutaj! Pres! Chodź! Tuż za krawędzią... Co jest? - Głos Billy'ego brzmiał głucho.

Prescott ruszył w tamtą stronę. Schodząc szlakiem, zauważył jeszcze kilka plam świeżej krwi na zdeptanej trawie i liściach. Kluczył między wysokimi sosnami i dębami. Ścieżka biegnąca w poprzek zbocza była bardzo stroma i śliska. Kilka razy pośliznął się w swoich myśliwskich butach. Serce waliło mu jak młotem. Ściskając spoconą dłońią strzelbę ojca, pomyślał z przerażeniem, że może zlecieć w dół. Co jakiś czas dostrzegał kolejne ślady krwi. Billy chyba jednak nie kłamał. Choć miał skłonność do fantazjowania, mógł przecież trafić jelenia w ważny narząd wewnętrzny.

Prescott przedarł się przez świerkowy zagajnik i zobaczył połać suchej trawy. Była to polana, otoczona wysokimi drzewami, które przepuszczały niewiele światła słonecznego.

Billy Dean stał przy kikucie drzewa o nadpalonej korze, najwyraźniej trafionego piorunem. Obok wznosił się spory kopiec. Z początku Prescott wziął go za martwego jelenia, ale gdy tylko podszedł bliżej, zrozumiał, że się mylił. I to bardzo. Billy Dean nerwowo drapał się po policzku, patrząc na kopczyk ziemi i kamyków, długości mniej więcej dwóch metrów i szerokości ponad pół metra. Stary pies ojca Billy'ego popiskiwał, obchodząc wkoło ten równy, nienaturalny wzgórek.

- Co to jest? Co znalazłeś? - zapytał Prescott i zauważył, że rudy pies podniósł łeb, węsząc.

- To grób.

- Co takiego?

- Grób. Sam zobacz. Duży, może ludzki.

- No nie. - Ale podchodząc bliżej, Prescott przyznał, że Billy Dean ma rację.

Pies zaskamlał, jeżąc się od głowy do ogona.

Prescottowi bardzo się to wszystko nie podobało. Grób w lesie obok Krwawej Góry. Nie wyniknie z tego nic dobrego.

- Jak myślisz, co zrobić?

- Nie wiem.

- Chcesz go rozkopać?

- Może. - Billy Dean szturchnął kopiec miękkiej ziemi lufą strzelby. Gdyby zobaczył to ojciec, chyba obdarłby go ze skóry.

Pies zachowywał się bardzo dziwnie. Nerwowo. Popiskiwał i patrzył na drugi koniec polany.

- O, cholera!

- Co?

Billy Dean się pochylił.

- Coś tu jest. Pierścionek... Kurczę, pierścionek, a raczej obrączka. - Sięgnął ręką i podniósł złotą obrączkę, oblepioną ziemią. Wylał ją o spodnie i w półmroku zalśnił brylant, otoczony mniejszymi, czerwonymi kamyczkami. Pies zaczął wyć. - O rany. Patrz, jaki duży. Pewnie jest sporo wart. - Mrużąc oczy, przyjrzał się wewnętrznej stronie obrączki. - Coś tu jest napisane. Słuchaj: „Dla Barbary. Zawsze będę cię kochać”. Jest też data.

- Czyja to obrączka?

- Jakiejś Barbary.

- Phi! To wiem. - Czasami Billy Dean zachowywał się jak gamoń. Biegał szybko jak gazela, lecz zdaniem Prescottta nie był o wiele mądrzejszy niż kundle jego ojca. - Ale jakiej Barbary? I dlaczego tu leżała?

- Kogo to obchodzi? Niedobrze, że jest ten napis. Obrączka nie ma przez to dużej wartości.

- Co z tego? Przecież nie chcesz jej ukraść. - Prescott wiedział, że właśnie tak było. Billy Dean wyglądał mu na złodziejczaka. To nie był zły chłopak, tylko biedny. Bardzo cierpiał z tego powodu, że nigdy nic nie miał. Pies warknął cicho. Spuścił łeb. Prescott zobaczył, jak ruda sierść się jeży.

- Niczego nie kradnę. Znalazłem to. I tyle. - Billy schował obrączkę do kieszeni i, zanim Prescott zdążył coś powiedzieć, krzyknął z radości. - Popatrz no! Mam dziś fart. Tam jest jelen! Jasny gwint! Zobacz, jakie poroże!

Rzeczywiście, jelen padł przy dwóch poskręcanych dębach i wydał ostatnie tchnienie. Billy Dean szturchnął go, chcąc sprawdzić, czy na pewno nie żyje. Zadowolony wyciągnął nóż. Prescott nie ruszył się, żeby mu pomóc. Zrobiło mu się zimno. Przeszywały go lodowate dreszcze, ale nie dlatego że wiał porywisty, wyjący, zimny wiatr.

Nie, było coś więcej.

Wyczuwał zbliżające się niebezpieczeństwo.

Podobnie jak Rudy, stary pies Billy'ego.

Prescott zerknął przez ramię, mrużąc oczy, żeby coś zobaczyć przez brudne szkła okularów.

Czy ktoś ich obserwuje?

Czyżby czyjeś demoniczne oczy spoglądały zza ciemnych, gęstych zarośli przy starej, opuszczonej drodze?

Dlaczego ten cholerny pies jest taki czujny i wpatruje się w najciemniejszą część lasu?

Prescottowi zaschło w ustach. Nagle poczuł, że chce mu się sikać. I to bardzo.

- Zabierajmy się stąd.

- Dlaczego? - Billy Dean przyklął już na kolano i przeciął brzuch jelenia od mostka do genitaliów.

Pies znów zawarczał.

Cicho.

To było ostrzeżenie.

- Muszę oprawić jelenia - powiedział Billy. - A potem odkopimy ten grób.

- Co? Nie ma mowy!

- Jeśli pierścionek jest stamtąd, to może znajdziemy coś więcej.

- Lepiej zawiadomić policję.

- Po co?

- Tu się dzieje coś złego - szepnął zdenerwowany Prescott, wpatrując się w gęste zarośla po drugiej stronie polanki. Pies obnażył zęby i zaczął krążyć. Nie spuszczał z oka gęstwiny. Prescott miał wrażenie, że żołądek podchodzi mu do gardła. - Lepiej się w to nie pakujmy.

- Rób, co chcesz. Ja się stąd nie ruszę, dopóki nie wypatroszę tego sukinsyna. A potem odkopię grób i zobaczę, co jest w środku. Może znajdę tam więcej błyskotek. Cały skarb.

- Dlaczego miałby tu być skarb?

- Kto wie? - Billy Dean kołysał się na startych obcasach i patrzył w niebo, mrużąc jedno oko, jakby chciał lepiej widzieć.

Nad ich głowami zbierały się ciemne chmury. Zły znak.

Ale Billy zrozumiał to inaczej.

- Teraz Bóg wynagradza mi, że tyle razy się na mnie wypiął. - Billy pochylił się nad jeleniem. Już wcześniej naciął jego brzuch, na tyle płytko, by nie uszkodzić wnętrzości, które teraz wypłynęły na ziemię, tworząc śliski stos. - Wiem, wiem, nie powinienem w ten sposób mówić o Bogu, ale On dotąd niewiele dla mnie zrobił. Do teraz. Teraz chyba wreszcie mi pomoże. - Przeciął jelito i związał je na supeł.

- Ja tak nie myślę - sprzeciwił się Prescott. Ze strachu dostał gęsiej skórki. Ale Billy robił swoje. - No, już, Billy Dean. Musimy stąd iść. Natychmiast.

- Nie zostawię jelenia. Sam go ustrzeżę. I rozkopię ten cholerny grób. Co z tobą? - Billy podniósł się i obrócił, w lewej ręce wciąż trzymając myśliwski nóż. Z ostrza ściekała krew, plamiąc mu palce. Spojrzał wściekle na kuzyna. Wyglądał, jakby był jeszcze bardziej piegowaty. - Masz cykora, tak? Jezu Chryste! - W jego głosie brzmiało obrzydzenie. Spojrzał na cienisty las. - Co jest? Co zobaczyłeś?

- Nic. Nic nie widziałem, ale to nie znaczy, że nic tam nie ma. - Prescott zauważył jakiś ruch, przesuwany się cień, jakby liść nienaturalnie poruszył się na wietrze. Pies warczał głucho. - No, już! - nakazał, ruszając z powrotem szlakiem. - Chodźmy! - wrzasnął przez ramię. - Już! - Nie zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy Billy Dean za nim idzie. Pomknął przed siebie, byle jak najdalej. Pies, z podkulonym ogonem, śmignął koło niego.

A niech to wszyscy diabli, pomyślał Prescott. Billy Dean powinien iść ze mną. Żaden jeleni ani pierścionek nie są warte narażania się na niebezpieczeństwo, jakie wyczuwam w tym lesie. Ścieżka była stroma, trudno się nią biegło. Przy każdym oddechu czuł ból w klatce piersiowej. Sapał tak, że okulary zachodziły mu mgłą. Po twarzy płynęły mu łzy, wpadając aż za kołnierzyk. Boże, błagam, pozwól mi wyjść z tego cało i nie wiń mnie za to, co mówił Billy Dean. To idiota. Panie Boże, proszę... Płuca go paliły, a serce biło jak szalone, gdy dobiegł do rozwidlenia i skręcił w kolejną, stromą ścieżkę. Tamtędy przyszli. Ale czy na pewno? Czy mijał pęknięty dąb?...

Coś się poruszyło... Widział to w promieniach światła prześwitujących między drzewami. Jezu! Na pewno coś się poruszyło. Człowiek? Jakaś ciemna postać. Człowiek? A może wcielenie samego szatana? Prescott był przerażony. Obracając się gwałtownie, skręcił kostkę.

Poczuł przeszywający ból.

O, cholera! Pisnął, ale zaraz ugryzł się w język. Nie chciał, żeby Lucyfer go wypatrzył.

Biegiem! Natychmiast!

Musiał się ukryć. Biegł. W górę. W dół. Wciąż dalej, ścieżką, chociaż ból w nodze narastał.

Nie myśl o bólu! - nakazywał sobie. Nie myśl o Billym Deanie. Tylko uciekaj. Szybko!

Powykrzywiane drzewa i gęste zarośla migały mu przed oczami.

Gdzieś z przodu dobiegł go pełen bólu i strachu skowyt psa. Odbijał się echem w wąwozie.

A potem zapadła cisza.

Śmiertelna, niczym niezakłócona cisza.

O, Boże. Nigdy dotąd tak się nie bał.

Zamarł. Kostka bolała go coraz bardziej. Wyteżył wzrok, starając się coś zobaczyć przez zaparowane, brudne okulary. Gdzie jest pies? Gdzie ten cholerny pies? A ta ciemna postać? Dokąd poszedł ten diabeł? Może to wszystko było wytworem jego wyobraźni. Na pewno. Gra błędnego światła i cienia. Gdzie się podziała ta czarna postać? Wyżej, na stoku? Ścieżka była kręta, opadała i pięła się w górę. Prescott nie wiedział już, gdzie jest. Nie mógł zebrać myśli, z trudem oddychał.

O, Boże! Boże!

Musiał iść dalej.

W bucie czuł pulsujący ból kostki. Cały się spocił. Szedł, na wpół oślepiiony. Wydawało mu się, że krawędź wąwozu jest wiele metrów nad nim, a pod nim rozciąga się czarna otchłań. Jak się stąd wydostać? Dlaczego nie poszedł tą cholerną, starą przesieką? Gdyby Billy Dean mu pomógł...

Trzask.

Gdzieś w pobliżu złamała się gałązka.

Zamarł.

Czuł w uszach własny puls.

Boże, pomóż mi.

Serce ścisnęło mu się ze strachu.

Czy usłyszał kogoś za sobą? Ludzkie kroki na suchych liściach?

Odwrócił się.

Znów zrobił to za szybko.

Kostkę przeszył rozdzierający ból.

Poslizgnął się na kamykach na ścieżce i zsunął w stronę krawędzi. Gorączkowo machał rękami, żeby utrzymać równowagę, ale było już za późno. Stopy straciły oparcie. Krzyknął głośno. Spadając, zauważył wśród drzew wysoką sylwetkę mężczyzny.

Rozdział 2

Daj sobie spokój, Nikki. Chodźmy na drinka. - Trina Boudine, czarnoskóra piękność chuda jak modelka, zajrzała do boksu Nikki Gillette, opierając się o ściankę, oddzielającą ich biurka. - Wiesz, co mówią o takich, którzy tylko pracują, a nigdy się nie bawią.

- Słyszałam. Nie wiem, kto wygaduje takie rzeczy, ale na pewno nigdy nie brak mu pieniędzy na czynsz. - Zerknęła na Trinę. - Poza tym, jeśli nie zauważyłaś, nie jestem facetem.

- Szczegół bez znaczenia. - Ciemne oczy Triny rozblęły się. Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby o zadziwiająco krzywym zgryzie. Machnęła szczupłą ręką, na przegubie zabrzczało kilkanaście miedzianych bransoletek. - Co cię tak wciągnęło? Przecież pisałaś serię artykułów o cięciach budżetowych w szkolnictwie. - Cmoknęła. - Fascynujący temat.

- Dobra, dobra, rozumiem. Nikki odsunęła się na fotelu od komputera z nadzieją, że Trina nie przeczytała tekstu na monitorze. Jej artykuł nie miał nic wspólnego z pieniędzmi, cięciami budżetowymi ani powszechnymi obawami o stan szkolnictwa. Znów pisała o zbrodni, o kobiecie, którą przed dwoma dniami wyłowiono z rzeki. Redaktor naczelny nie zlecił jej tego artykułu. Poproszono o to Norma Metzgera, ale ona nie mogła się powstrzymać. Zbrodnie fascynowały ją od zawsze, zapewne dlatego że była córką sędziego Ronalda Gillette'a, zwanego Wielkim Ronem. Na myśl o ojcu zmarszczyła brwi. Zerknęła na Trinę. - Dobrze. Spotkajmy się. Kiedy i gdzie?

- Około siódmej, u Bridgesa. Wypijemy drinka, coś przekąsimy. Będą Aimee i Dana. Świętujemy. Rozwód

Aimee i zaręczyny Dany. Bieguny miłosnego życia.

- Zapowiada się szampańska zabawa - mruknęła sarkastycznie Nikki.
- Rozumiesz, dlaczego będzie lepiej, jeśli przyjdzie więcej osób. Mam nadzieję, że wpadną też Ned, Carl i Joanna. Zrobi się spontaniczną imprezę. Aimee nie może wykrzesać z siebie entuzjazmu w związku z zaręczynami Dany, ale Dana uparła się, żeby to oblać.

- Choć już dwa razy była mężatką?
- Znasz to powiedzenie...
- Tak, do trzech razy sztuka. Sypiesz dziś perełkami mądrości ludowej.
- Jak zawsze. - Na biurku Triny zadzwonił telefon. Przewróciła oczami. Monitor komputera Nikki zaczął migotać.

- Cholerne pudło - warknęła Nikki. - Myślałam, że Kevin to naprawi.
Kevin Deeter był bratankiem wydawcy. Studiował bez przekonania, za to miał świra na punkcie elektroniki. Jego zadaniem w „Sentinelu” było dbać o sprzęt. Samotnik, opowiadał dziwne dowcipy i niechętnie rozmawiał z ludźmi. Współpracownicy bardzo to sobie chwalili. Nikki kilka razy nerwowo wcisnęła klawisz *escape*, a potem zresetowała komputer.

- Był tu dziś Kevin.
- Majstrował przy komputerze?
- Przepraszam. Byłam zajęta. Nie zauważyłam.
- Świetnie - mruknęła z niezadowolaniem Nikki. Nie lubiła Kevina, ale tolerowała go ze względu na jego wiedzę informatyczną. Na pewno nie ceniła jego poczucia humoru. - Cholera, ten gość więcej psuje, niż naprawia. Do diabła!

Trina lekko potrząsnęła głową. Nikki zrozumiała ostrzeżenie. Kątem oka zauważyła Kevina - stał przy wieszaku na ubrania. Na uszach miał słuchawki walkmana. Pewnie jej nie usłyszał, zresztą nawet gdyby, to przecież powinien wiedzieć, że jego zadaniem jest naprawiać sprzęt, a nie go psuć. I te słuchawki! Gdyby Tom Fink zobaczył innego pracownika ze słuchawkami na uszach, natychmiast by go wyrzucił.

- Powiem mu, żeby nie dotykał mojego komputera, kiedy mnie przy tym nie ma - przysięgła Nikki, a Trina wzniosła oczy do nieba.

- Jasne. - Jej telefon zadzwonił po raz trzeci. - Obowiązki wzywają. - Wjeżdżając na fotelu do boksu, podniosła słuchawkę. - „Savannah Sentinel”, dział kontaktów z czytelnikami. Mówi Trina.

Nikki przysunęła się do monitora. Surfowała po sieci, szukając informacji o niezidentyfikowanej kobiecie, której ciało, obciążone metalowymi sztabami, wyłowiono z dna rzeki. Szczątki znaleźli nurkowie i natychmiast wezwali policję. Śledztwo powierzono detektywowi Pierce'owi Reedowi. Jak zwykle nie chciał skomentować tej sprawy i chociaż Nikki wielokrotnie dzwoniła, ani razu nie udało jej się porozmawiać z opornym policjantem.

Kliknęła na jego zdjęcie w Internecie. Wyglądał jak facet z reklamy papierosów marlboro. Był wysoki i smukły, miał pobrużdżoną, lecz przystojną twarz i bystre oczy. Nieżonaty. Wytlumaczyła sobie, że koniecznie musi o nim zebrać jak najwięcej informacji - nawet o jego stanie cywilnym.

Dowiedziała się też, że ponad dwanaście lat temu przepracował krótki okres w Wydziale Policji w Savannah. Potem przeniósł się na Zachodnie Wybrzeże i wstąpił do policji w San Francisco, gdzie dochrapał się stopnia starszego detektywa.

Od tego momentu jego przeszłość była trochę niejasna, ale z zebranych informacji Nikki wywnioskowała, że Reed narobił sobie kłopotów. I to poważnych. Zginęła kobieta w czasie, gdy chronił jej mieszkanie. Nikki wykryła, że Reed widział zabójstwo, ale nie zdołał uratować życia tej kobiecie ani nawet schwytać mordercy. Dostał nagane, lecz nie odebrano mu odznaki. Niemniej jednak zrezygnował z pracy i wkrótce po tym wrócił do Savannah.

Reszta to już historia. Uwieńczona słynną sprawą morderstw w rodzinie Montgomerych.

Z głośników pod sufitem pomieszczenia biurowego, które kiedyś było magazynem, płynęła cicha, łagodna muzyka. Nikki stuknęła ołówkiem w biurko, krzywiąc się w stronę zdjęcia Pierce'a Reeda. Fotografii zrobiono przed trzynastu laty, gdy był świeżo upieczonym policjantem w Savannah. Wtedy nie miał jeszcze trzydziestki, ale patrzył w obiektyw bardzo poważnie, niemal groźnie. Zastanawiała się nad motywami jego postępowania. Dlaczego przeniósł się aż do Kalifornii i wrócił już po dziesięciu latach? Dlaczego się nie ożenił? I nie miał dzieci?

Bardzo by chciała napisać obszerny artykuł o Reedzie i sprzedać go swojemu wydawcy. Postanowiła rozwiąć mity i przedstawić prawdziwą twarz jednego z najbardziej znanych mieszkańców Savannah.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z rozmyślań o detektywie, który zawsze uciekał dziennikarzom.

- „Savannah Sentinel” - powiedziała automatycznie, koncentrując się na telefonie. - Nikki Gillette.
- Dzień dobry, Nikki, mówi doktor Francis z komisji edukacji Savannah. Dzwoniła pani do mnie?
- Tak - odparła szybko. Przed oczami stanął jej obraz wysokiej, dumnej, zadbanej Afroamerykanki, która ciężko pracowała i w wieku czterdziestu dwóch lat awansowała na bardzo ważne stanowisko we władzach swojego rodzinnego miasta. - Dziękuję, że pani oddzwania. Chciałabym przeprowadzić z panią wywiad na temat ostatnich cięć budżetowych - wyjaśniła i szybko, przytrzymując słuchawkę ramieniem, znalazła w komputerze swoje notatki.
- Krążą plotki o rychłym zamknięciu mniejszych szkół podstawowych.

- Rzeczywiście tak będzie, ale to rozwiązanie tymczasowe. Zresztą wolimy to nazywać „połączeniem”. Będziemy łączyć po dwie, trzy takie szkoły i wszyscy na tym skorzystają. W ten sposób stworzymy uczniom lepsze warunki. Będą mieli kontakt z nauczycielami o innowacyjnych pomysłach. Dzięki temu poszerzymy ich horyzonty.

- Nawet jeśli dzieci, na ogół z uboższych dzielnic, będą dowożone autobusami do szkół na drugi koniec miasta?

- Tak, bo przyniesie im to korzyści - powiedziała doktor Francis swoim łagodnym, pojedynczym głosem.

Urodziła się w Savannah, więc miała bardzo ładny akcent. Pochodziła z ubogiej rodziny i bardzo ciężko pracowała, żeby zdobyć wykształcenie. Walczyła o stypendia, granty i programy badawcze. Dzięki temu skończyła szkołę i napisała doktorat, podczas gdy jej matka pracowała fizycznie na dwa etaty, jednocześnie wychowując szóstkę dzieci. Doktor Francis była ucieleśnieniem amerykańskiego marzenia: filantropką, niezamężną, bezdzietną, ale zarazem dbającą o wszystkie dzieci w Savannah. Dlaczego więc Nikki odnosiła wrażenie, że pani doktor się sprzedała? Mówiła dalej o potrzebach uczniów i społeczności, a Nikki skrupulatnie notowała, karcąc się w myślach za cynizm. Może doktor Francis naprawdę wierzy w te bzdury, które wygaduje? A może to wcale nie są bzdury? - pomyślała Nikki. To, że zamykają podstawówkę, do której kiedyś chodziłam, wcale nie musi być takie złe.

Słuchała, bawiąc się długopisem. Umówiła się z doktor Francis na spotkanie w tygodniu i odłożyła słuchawkę. Pomyślała, że ten artykuł na pewno nie zapewni jej nagrody Pulitzera ani też nie przysporzy popularności, ale mimo to warto poruszyć ten temat. Tak, dzięki temu artykułowi Nikki Gillette nie otrzyma propozycji pracy w większym czasopiśmie - jak „New York Times”, „Chicago Tribune” czy „San Francisco Herald” - ale przynajmniej zarobi na czynsz, a może i dowie się czegoś ciekawego.

Może.

Postanowiła jednak, że nie porzuci swojego dziennikarskiego śledztwa w sprawie niezidentyfikowanej kobiety, wyłowionej z rzeki, ani nie przestanie się interesować detektywem Pierce'em Reedem. Nie, w tym na pewno kryje się coś wartego opisanie. Czuliła to. Musi się tylko dowiedzieć, o co dokładnie chodzi. A w tym celu trzeba przeprowadzić wywiad z Reedem. Jakoś się do niego zbliżyć.

Wydawało się to równie łatwe jak oswojenie jeżozwierza. Ten facet był szorstki, zrzędlawy, a czasami po prostu ordynarny. I prawdopodobnie dlatego tak bardzo chciała napisać o nim artykuł. Stanowił wyzwanie. A Nikki Gillette nigdy nie cofała się przed wyzwaniem. Nigdy, ale to nigdy. Przecież była córką sędziego Rona Gillette'a.

Wiedziała, że wcześniej czy później znajdzie sposób, by dowiedzieć się wszystkiego o detektywie Reedzie. Może w końcu nic jej nie zainteresuje - okaże się, że Reed jest tak pasjonujący jak brudna skarpetka. Uśmiechnęła się do siebie. O, nie. Czuliła, że ten zamknięty w sobie gliniarz ma ciekawe tajemnice. Ona tylko będzie musiała je odkryć - i odkryje, niezależnie od tego, jak bardzo Reed będzie się bronił.

Śmigłowiec ratowniczy z głośnym warkotem silnika wystartował z dna wąwozu. W zimnym powietrzu przeleciał nad zalesionymi wzgórzami i zniknął za najwyższą górą. Stojący na szlaku w połowie zbocza zastępca szeryfa Davis McFee odwrócił wzrok od drżącego, przerażonego chłopaka. McFee wiedział na razie bardzo mało. Tylko to, że drugi, starszy chłopiec mógł nie przeżyć.

Do rozmowy włączył się partner Davisa, Bud Ellis.

- Powtórz jeszcze raz, Billy Dean. Byliście na polowaniu i coś przstraszyło twojego kolegę.

- Brata... to jest cioteczny.

- Prescottta Jonesa.

- Tak. Dużo razem łazimy.

- Sezon łowiecki jeszcze się nie zaczął.

- Racja. - Pызaty chłopiec spuścił wzrok, szurając stopą po miękkiej ziemi.

Billy Dean Jones opowiedział, że wraz z kuzynem pobiegł za zranionym jeleniem do wąwozu i tam natknął się na kopiec, który wyglądał jak grób. Coś przstraszyło jego kuzyna. Przerażony Prescott Jones popędził na wzgórze z psem. Gdy Billy Dean dotarł do tej części szlaku, odkrył, że jego kuzyn spadł ze stromego stoku.

W wyniku upadku Jones złamał podstawę czaszki i trzy żebra. Miał też otwarte złamanie prawego przedramienia. Podrapał sobie twarz, stłukły mu się okulary. Lekarz ze śmigłowca pogotowia ratunkowego podejrzewał, że chłopiec może też mieć uszkodzoną śledzionę lub doznał innych obrażeń wewnętrznych. Bez wątplenia miał wstrząśnienie mózgu. McFee nie mógł wykluczyć, że chłopaka ktoś zepchnął. Może kuzyni się pobili czy pokłócili. Jedno było pewne; Prescott Jones spadł z wysokości piętnastu metrów na dno wąwozu i bardzo dotkliwie się potłukł.

- Gonileś go na wzgórze? - podpowiedział Ellis.

- Nie, proszę pana. Biegłem za nim i Rudym. Nie wiem, gdzie ten kundel się podział. W każdym razie kiedy tam dotarłem, on już leżał. - Wskazał drzewa, rosnące u stóp stromego zbocza. - Nie mogłem po niego zejść, więc pobiegłem do samochodu. Jego tata trzyma tam komórkę. Od razu do was zadzwoniłem. Tak było. Przysięgam. - Szczekał zębami ze strachu lub zimna, a może z obu tych powodów.

- Znalezliście grób na dnie wąwozu? - zapytał Ellis.

- Tak, proszę pana. - Billy Dean kiwał głową tak energicznie, że kosmyk brudnych blond włosów podskakiwał mu między brwiami.

- Przyjrzyjmy się temu miejscu. - Ellis zerknął na McFee i obaj poszli za chłopcem w dół szlaku; na polanie leżał wypatroszony jelen i jego wnętrzności, a tuż obok, tak jak przysięgał chłopiec, wznosił się kopczyk ze świeżej ziemi, wyglądający na grób. Zastępcy szeryfa bardzo się to nie podobało. Wyjął puszkę z tytoniem i wsunął kawałek w usta. Co tam może być, do cholery? Może kolejny martwy jelen. Może nic. Może śmieci... ale śmieci zwykle leżały porzrucane i nikt ich nie zakopywał. Tutaj ewidentnie coś zakopano, a ziemi nie przykryto gałęziami ani liśćmi. Nie dość, że grób - jeśli naprawdę był to grób - znajdował się głęboko w wąwozie, to jeszcze ten ktoś, kto tu kopał, nie starał się tego ukryć.

Dziwne. Cholernie dziwne.

- Sprawdźmy, co tu jest - powiedział do Ellisa.

- A nie powinniśmy wezwać szeryfa? Może trzeba będzie ściągnąć zespół oględzinowy, żeby zbadał miejsce zbrodni.

- Jakiej zbrodni? - zapytał McFee. - Nie wiadomo, co jest w środku. Jeśli rozkopujemy ten kopiec i nic nie znajdziemy, to co? Bez potrzeby ściągniemy tylu ludzi.

- Powiem ci, co zrobimy. Pójdę na górę po łopatę i zadzwonię po policję.

- Dobrze. Billy Dean dotrzyma mi towarzystwa. Prawda, chłopcze?

Billy przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się sprzeciwić, ale zmienił zdanie.

- Tak jest.

- W porządku. O rany, jak tu zimno. - McFee objął się ramionami i spojrzał w niebo.

Szare chmury groziły deszczem. Gdy Ellis biegł w górę szlaku, McFee wyjął nóż i ostrożnie przesunął trochę ziemi na bok. Chłopiec przestępował z nogi na nogę. McFee domyślał się, że mały nie powiedział mu wszystkiego.

- Byłeś tu już kiedyś?

- Tak.

- Tutaj?

- Nie całkiem, ale w okolicy.

- W tym wąwozie?

- Raz. Jakiś miesiąc temu.

- Widziałeś tu wtedy ten grób?

- Nie, proszę pana, nie było go tu.

McFee w to akurat uwierzył. Ziemia była świeża, jak odwrócona skiba na niedawno zaoranym polu. Była innego koloru niż ziemia na polanie, nie chodziły po niej zwierzęta, nie zmoczył deszcz. A dwa dni temu była ulewa. Oberwanie chmury. Deszcz na pewno spłaszczyłby kopiec. Ale tak się nie stało, więc to, co znajdowało się pod ziemią, na pewno zakopano bardzo niedawno. McFee znów poruszył ziemię nożem. Pochylił się nad środkową częścią kopca, sądząc, że tam najprędzej na coś natrafi. Gdy kopał nożem niewielką dziurę, ostrze bardzo się zagłębiło. Wykopał już dołek głębszy niż długość noża z rękojeścią. Musiał przykłęknąć. Kopał coraz głębiej, a chłopak wciąż przestępował z nogi na nogę, wycierał nos wierzchem dłoni i bawił się kluczami w kieszeni.

- Twój pies często ucieka?

- Co? Nie, proszę pana. Rudy nigdy nie odbiega daleko.

- Jak myślisz, gdzie jest?

- Nie wiem. - Zmarszczył brwi i ściągnął usta, jakby się martwił. Zagryzł dolną wargę i chlipnął. - Tata obedrze mnie ze skóry, jeśli psu coś się stanie.

- Nie martw się na zapas - powiedział McFee. Był pewien, że i tak będą mieli dość kłopotów.

Reedowi burczało w brzuchu. Czuł ogień w przelyku. Zerknął na zegarek. Od powrotu z cmentarza bez przerwy zajmował się papierkową robotą, odbierał telefony, odpowiadał na e-maile i nadrabiał zaległości. Na śniadanie tylko wypił kawę, nie zjadł lunchu, a na nogach był o szóstej rano. Teraz była za kwadrans trzecia. Czas na przerwę. Pokręcił głową, starając się rozruszać kark i napięte mięśnie barków. Jak długo już nie ćwiczył w siłowni? Tydzień? Dziesięć dni? Może nawet dłużej. Dziś tam pójdzie. Bez względu na wszystko włoży dres i pobiegnie do starego klubu, gdzie ćwiczyli pięściarze, szczękały sztangi, a w powietrzu unosił się zapach potu. To nie był typowy, nowoczesny klub z podłączonymi do komputera trenerami, które rejestrowały puls, liczbę spalanych kalorii i przebytą odległość. Nie. To była stara szkoła. Ciężary, ciężary i jeszcze raz ciężary. A kto chciał biegać - biegał. Kto chciał wzmocnić mięśnie górnej części ciała, boksował wielki worek treningowy, tym samym rozładowując agresję. Kto zaś wolał ćwiczyć szybsze, gwałtowniejsze ruchy, robił to na mniejszym worku.

Prawdziwi twardziele wkładali rękawice, zabezpieczali zęby ochraniaczami i wychodzili na ring. Inni członkowie klubu patrzyli na te pojedynki i od czasu do czasu robili zakłady. Nie było to legalne, ale co z tego? Reed i inni trenujący tu policjanci przymykali na to oko. Reed przypuszczał, że w pomieszczeniach o popękanych, betonowych podłogach, gdzieś za starymi szafkami, dokonywano transakcji narkotykowych, ale nie widział, żeby ktoś kupował mu amfetaminę, sterydy. I miał nadzieję, że nigdy czegoś takiego nie zobaczy.

Przeciągając się na krześle, przypomniał sobie o liście, który dostał rano. Pewnie wysłał go jakiś kretyń, który miał ochotę zdenerwować policję. Reed nie dziwił się, że koperta była zaadresowana do niego. Z powodu sprawy

Montgomerych sprzed kilku miesięcy był najbardziej znanym i cenionym detektywem w wydziale.

Bardzo go to złościło.

Sięgnął do górnej szuflady biurka, znalazł fiolkę ze środkiem na nadkwasotę i połknął dwie pastylki, popijając resztką kawy. Telefon zadzwonił chyba po raz setny tego dnia. Reed podniósł słuchawkę.

- Detektyw Reed.

- Szeryf Baldwin z hrabstwa Lumpkin.

Reed się wyprostował. To nie był zwykły telefon. Hrabstwo Lumpkin znajdowało się prawie pięćset kilometrów na północ. Ale znał to miejsce. Nawet za dobrze.

- Czym mogę służyć, szeryfie?

- Powinien pan natychmiast tu przyjechać.

- Ja? - zapytał Reed, czując ucisk w żołądku, ostrzeżenie, że coś jest nie tak.

- Tak chyba będzie najlepiej.

- Dlaczego?

- Dwaj chłopcy wyszli po południu na polowanie z psem, w pobliżu Krwawej Góry. Jeden z nich, Billy Dean Delacroix, miał wielkie szczęście i ranił jelenia. Poszli za zwierzęciem do wąwozu. Zobaczyli, że jeleni padł na polance. Ale to nie wszystko. Na tejże polance znaleźli spory kopiec. Wyglądał im na grób. Ziemia była świeża, a ich pies bardzo dziwnie się zachowywał. Kuzyn Billy'ego Deana, Prescott Jones, przestraszył się i uciekł. Płótno coś o diable. Puścił się pędem drogą, którą przyszli. Billy Dean nie uwierzył i wkurzył się na kuzyna, ale kilka minut później też się przestraszył i ruszył za nim. Idąc w górę, usłyszał wrzask, który cholernie go przeraził. Wybiegł zza skały i zobaczył, że mały Jones spada z urwiska. Tam jest piętnaście metrów. Nie było jak do niego zejść, więc Billy Dean pobiegł do pikapa ojca i chciał zadzwonić po pomoc. Ale komórka źle działa w górach, więc musiał przejechać spory kawał, zanim się połączył.

- Jezu. - Reed wiercił się na krześle, zapisując nazwiska chłopców, i miał nadzieję, że szeryf wreszcie przejdzie do rzeczy.

- Wygląda na to, że chłopcy znaleźli się tam, gdzie nie powinni być. Może byli naćpani i albo zdarzył się wypadek, albo jeden zepchnął drugiego. - Szeryf się zawahał. Chyba zaciągnął się papierosem. Reed czekał. Wciąż nie rozumiał, dlaczego go wzywają. - Kłopot w tym, że było tak, jak mówił ten chłopak. Grób, elegancka trumna i tak dalej.

- Trumna?

- Tak, ktoś zadał sobie nie lada trud, żeby pochować ciała w trumnie z różanego drewna.

- Ciała? Czyli jest więcej niż jedno?

- Tak. Są dwa. Jedno świeże, drugie mniej... Dzwonię do pana, bo myślimy, że może pan znać jedną z ofiar.

- Ja? Dlaczego? - Wszystkie mięśnie Reeda były napięte. Przestał się wiercić.

- Znaleźliśmy w trumnie pańskie nazwisko.

- Co? Moje nazwisko? - Czy ten facet oszalał? Nazwisko „Reed” w trumnie? Co to ma znaczyć? - W trumnie?

- Zgadza się. Liścik do pana. I mały mikrofon.

- Chwileczkę, szeryfie. List do mnie i mikrofon były w trumnie z dwoma ciałami, a wszystko to znajduje się w lesie pięćset kilometrów od Savannah?

- Właśnie. W rogu trumny, przy głowach ofiar, była wywiercona dziura, w której tkwił mikrofon. Liścik był w nogach, za wyściółką.

- Wiadomo kim są ofiary? - Reedowi zakręciło się w głowie. Najpierw dziwaczny list rano, a teraz ta niesamowita wiadomość o ciałach w hrabstwie Lumpkin w Georgii, tam, gdzie się wychował. Wolalby zapomnieć o tym miejscu.

- Dwie kobiety, NN. Może powinien pan sam zobaczyć. Załatwiłem to już z policją stanową. Przyleci pan śmigłowcem. Zespół już zabezpiecza miejsce zbrodni, ale ponieważ w trumnie jest pana nazwisko, naprawdę myślę, że powinien pan przyjechać i sam zobaczyć.

Reed już złapał kurtkę.

- Coś się kroi w hrabstwie Lumpkin - około szesnastej oznajmiła Trina.

Wracała od dystrybutora napojów, trzymając w dłoni zimną, pokrytą kropelkami wody butelkę coli light.

Słuchając instrumentalnej wersji przeboju Patti Page, dobiegającej z głośników w redakcji „Savannah Sentinel”, Nikki starała się jakoś ubarwić swój suchy artykuł o komisji edukacji.

- Co takiego? - Odwróciła wzrok od monitora. Interesowały ją absolutnie wszystkie nowiny, chociaż hrabstwo Lumpkin leżało daleko na północ od Atlanty, przy granicy z Karoliną.

Trina lekko zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Ale jest to na tyle ważne, że nasze pismo się tym zainteresowało.

- Naprawdę? - Nikki nadstawiła uszu.

- Metzger był tak podekscytowany, że prawie zapomniał się pysznić.

Norman Metzger był reporterem do spraw kryminalnych. Jego podpis widniał pod niemal każdym artykułem,

który miał coś wspólnego z Wydziałem Policji w Savannah czy innymi stanowymi organami władzy. To nie był zły człowiek, ale Nikki uważała, że brak mu docieklivości i determinacji. Poza tym, jak zauważyła Trina, Norman miał zbyt wysokie mniemanie o sobie.

- Szykował się do wyjścia i dosłownie warczał na fotografa. Ponaglał Jima. Kiedy zapytałam, gdzie się pali, posłał mi uśmiech, który zawstydziłby kota z Cheshire, i powiedział tylko: „Dahlonga”. - Trina odkręciła butelkę z colą. Uniosła wysoko brwi, mówiąc: - Pomyślałam, że chciałabyś to wiedzieć.

- Bardzo słusznie. - Nikki odsunęła się na fotelu, spojrzała na korytarz i zobaczyła, jak Metzger wkłada na głowę wełnianą czapkę i nerwowo bawi się kluczami w kieszeni marynarki. Zauważył, że Nikki na niego i patrzy, zsalutował więc i puścił oko.

Drań.

Wiedział, że ona marzy o jego stanowisku. Za każdym razem jej dokuczał. Nie mógł się powstrzymać.

Z zaciętą twarzą przysunęła się do biurka.

- Nie przejmuj się nim. - Trina najwyraźniej wszystko widziała.

- Nie mogę.

- Wyluzuj. Nie przejmuj się tym głupkiem. Niech to po tobie spływa jak woda po kaczce.

- Skoro tak mówisz... - Umysł Nikki pracował na pełnych obrotach. Co takiego ważnego wydarzyło się w górach w północnej Georgii? - Dzięki za informację - powiedziała. - Jestem ci winna przysługę.

- Och, chyba już kilkanaście, ale kto to liczy? Wieczorem możesz mi postawić drinka. Pamiętaj, że niezależnie od tego, co się tam stało, nie wykręcisz się od spotkania z nami. Nie zamierzam być jedyną przytomną osobą w towarzystwie rozradowanej Dany i zrozpaczonej Aimee. Nic z tego, moja droga. Przyjdiesz.

- Obiecuję.

- Tak, tak, wiem. - Trina zdążyła usiąść na fotelu i zniknąć za ścianką działową, kiedy zadzwonił jej telefon.

- „Savannah Sentinel”, mówi Trina Boudine...

Nikki nie traciła ani sekundy. Chwyciła telefon komórkowy i wybrała numer; znała go na pamięć. Dzwoniła na komórkę Clifffa Sieberta; pracował w sekcji detektywistycznej Wydziału Policji w Savannah. Zawsze wiedział, co się dzieje, i, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, często przekazywał to Nikki. Może się w niej podkochiwał, ale wątpiła, że taka jest przyczyna. Przecież wcale jej nie podrywał. Może rozmawiał z nią tak otwarcie, bo była córką Wielkiego Rona Gillette'a. Najprawdopodobniej jednak miał wyrzuty sumienia.

- Cześć, to ja - powiedziała wesoło, kiedy odebrał.

Jęknął, ale dobrotliwie.

- Czego chcesz?

- Coś się kroi. Coś ważnego, jeśli sędzić po uśmiechu Norma Metzgera. Jedź do Dahlonga.

- Skąd się o tym dowiedział?

- O czym? Ja nic nie wiem.

Milczał przez chwilę, jak zwykle, kiedy Nikki żądała informacji, a on bił się z myślami.

- Powiedz, Cliff. Co się dzieje?

- Nie możesz się dowiedzieć w redakcji? - zapytał, chcąc ją zbyć. Tak jak zwykle.

- Żartujesz? Wiesz, jaki jest mój szef. Tom to dobry chłopak z Południa i mimo swoich nieukrywanych, liberalnych przekonań, w głębi serca uważa, że kobieta powinna łączyć w sobie cechy Scarlett O'Hary i Heidi Fleiss.

- Uważaj. Ja też jestem dobrym chłopakiem z Południa.

- Wiesz, co miałam na myśli. - Westchnęła. Cliff ją irytował, ale przecież zawsze tak było. Zawsze. Cliff Siebert przyjaźnił się z jej starszym bratem, gdy chodzili do szkoły średniej. Potem Andrew wyjechał na Uniwersytet Duke. Cliff skończył akademię policyjną i wyższe studia, pracując w Wydziale Policji w Savannah. Jego rodzina miała duży majątek za miastem, trzy farmy które należały do niej od sześciu pokoleń, ale Cliff nie chciał uprawiać ziemi. Chciał być policjantem już w dzieciństwie, gdy pierwszy raz zobaczył czarno-biały radiowóz, patrolujący ulice miasteczka, gdzie się wychowali. W weekend, gdy zginął Andrew, Cliff miał go odwiedzić, ale odwołał wizytę. Od tamtej pory dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Metzger naprawdę zalał ci za skórę - powiedział do Nikki.

- Owszem. - Gniewnie stuknęła ołówkiem. Miała dość dwulicowych mężczyzn, którzy w dzień wychwalają pracujące kobiety pod niebiosa, a po powrocie do domu przeistaczają się z doktora Jekylla w mister Hyde'a i oczekują, że żona przygotowuje im kolację i będzie się zachowywać jak cali girl za tysiąc dolarów. Oczywiście po wiadomościach wieczornych i sporcie w telewizji. Czy tacy właśnie nie byli mężczyźni w latach pięćdziesiątych XX wieku? Tom Fink, wydawca „Sentinela”, mógłby nawet ziać ogniem i wykrzykiwać prawicowe hasła zza wymagowanej szklanej ściany, którą się otoczył. W żaden sposób nie powstrzymałby Nikki Gillette. Mowy nie ma! Zamierzała przebić tę niewidzialną barierę. Uznała, że z odłamków mógłby sobie zafundować nową postawę życiową. Jej w każdym razie tak bardzo zależało na karierze, że była gotowa na zażartą walkę. Potrzebowała dobrego tematu na artykuł. Tylko jednego. Czuli, że dzięki wydarzeniom w hrabstwie Lumpkin może urzędującym swoje marzenia zawodowe. - No, już, gadaj. Co się dzieje?

Usłyszała ciężkie westchnienie, a potem głośne trzask, jakby obrócił się na fotelu. Wreszcie odezwał się ściszone głośnie.

- No, dobra. Słuchaj. Wiem tylko, że Pierce Reed wybiegł stąd jak oparzony. Poważna sprawa. Jedzie do biura szeryfa hrabstwa Lumpkin. Dasz wiarę? Wyjechał jakieś dwadzieścia minut temu. Nie wiem, o co chodzi, ale słyszałem, że śmigłowiec pogotowia ratunkowego zabrał rannego dzieciaka z lasu w tamtej części gór. Leci do szpitala Mason w Atlancie. Nie znam szczegółów, nie wiem, jakie obrażenia odniósł ten chłopiec ani jak to wszystko wiąże się z Reedem. Ale wydaje się, że do Reeda zadzwonili natychmiast. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Wiesz, Nikki. Nie słyszałaś tego ode mnie.

- Nigdy niczego nie wiem od ciebie. - Zerknęła na zegarek. - Dzięki, Cliff - powiedziała, w myślach już jadąc do północnej Georgii. - Nie zapomnę o tym.

- Zapomnij. Koniecznie. Dobrze? Nic ci nie powiedziałem. Jeśli puścisz parę z ust, mogę stracić pracę. W razie czego mów, że usłyszałaś te informacje na częstotliwości policyjnej.

- Dobrze.

- I, Nikki...

- Tak? - Grzebała w torebce, szukając kluczyków.

- Pozdrów ode mnie mamę.

Nikki zamarła. Ostatnio tak właśnie reagowała na myśli o matce. Obracała w palcach kluczyki do samochodu. Nagle poczuła, że ma lodowate ręce.

- Dobrze, Cliff - obiecała i rozłączyła się.

Przed oczami stanął jej obraz matki, teraz w bardzo złej formie, nieszczęśliwie zamężnej, zdanej na łaskę mężczyzny, który, nawet jeśli jej nie kochał, to również nie zdradzał. Przynajmniej tak wszyscy sądzili. Z pozoru sędzia Ronald Gillette był ucieleśnieniem przyzwoitości, dobrym mężem, opiekującym się chorowitą żoną, która często spędzała całe dnie w swoim pokoju.

Nikki wstała energicznie, starając się otrząsnąć ze smutku - zawsze ją opanowywał, gdy za długo myślała o matce.

Poszła do recepcji i powiedziała, że nie wróci do końca dnia. Starła się nie myśleć o swojej rodzinie. Otulając się kurtką, wybiegła z budynku. Wiał bardzo silny wiatr; potargał jej rudoblond włosy. Niesforne pasma opadały jej na oczy i smagały twarz. Już robiło się ciemno. Przebiegła na drugą stronę ulicy, gdzie pod latarnią stał zaparkowany jej mały hatchback.

Co Pierce Reed robi w hrabstwie Lumpkin, tak daleko od swojego rewiru? To pachniało ciekawym tematem, ale Nikki nie chciała robić sobie nadziei. Przecież alarm mógł być fałszywy. Ale jeśli tak, to dlaczego Norm Metzger już podążył za Reedem? Nie, z pewnością dzieje się coś bardzo interesującego. Wrzuciła bieg i ruszyła w stronę autostrady międzystanowej I-16, od razu przekraczając dozwoloną prędkość. Podróż do Dahlenega zajmie jej prawie pięć godzin, a potem co? Nawet gdyby dotarła do Reeda, jakie ma szanse, że detektyw coś jej powie?

Żadne.

Była skazana na porażkę.

Chyba że znalazłaby sposób, żeby go przycisnąć.

Przejechała przez miasto, jednym uchem słuchając wiadomości. Potem nastawiła radio na częstotliwość policyjną. Usłyszała o przestępstwach na drogach oraz o napadzie na sklep w południowej części Savannah, ale nic o Reedzie. Nic a nic.

Mocno wcisnęła pedał gazu i wyprzedziła cysternę z materiałem łatwopalnym. Kierowca włączył klakson, a ona pomachała mu ręką i śmignęła obok niego. Nie wiedziała, co znajdzie w hrabstwie Lumpkin, ale sądziła, że będzie to dziesięć razy ciekawsze niż ostatnie posunięcia komisji edukacji Savannah. Fascynowało ją wszystko, co dotyczyło detektywa Reeda.

Pierce Reed, przystojny, zawsze opanowany służbista, był bardzo skryty. Trzymał ludzi na dystans. Na widok dziennikarzy dosłownie zamykał się w skorupie.

Ale to się zmieni.

Tylko Reed jeszcze o tym nie wie.

- Przypuszczamy, że człowiek, który przywiózł trumnę, dotarł tu tą starą przesieką. - Szeryf Baldwin wskazał na rozwidlenie dróg i skręcił swoim jeepem w prawo. - Prawdopodobnie przyjechał truckiem z podnośnikiem i wyciągarką. Detektyw już sporządza listę właścicieli takich pojazdów. Spróbujemy się też dowiedzieć, czy taki samochód nie został ukradziony.

- Bardzo słusznie. - Reed pochylił się, rozpinając kurtkę.

Baldwin miał dobrze po pięćdziesiątce, ale był tak szczupły i wysportowany jak przed trzydziestu laty, gdy służył jako sierżant w wojsku. Zasadniczy człowiek, z porytą zmarszczkami twarzy, bystrzymi oczami i gęstymi, siwymi wąsami. Włączył ogrzewanie na cały regulator. Z cichym warkotem wdmuchiwało gorące powietrze do wnętrza służbowego samochodu. Z radia dobiegały trzaski na paśmie policyjnym. Silnik jęczał, gdy samochód wspinał się pod górę.

- Dopiero zaczynamy. Naprawdę bardzo mało wiemy. Pracuję w tym hrabstwie od dwudziestu lat. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. - Baldwin zredukował bieg. Snop światła z reflektorów jeepa oświetlał suchą trawę, żwir i pnie ściętych dębów oraz sosen. Spod krzaka wyjrzał opos. Zerknął na nich błyszczącymi oczkami, a potem odwrócił się i powoli cofnął w ciemne zarośla. - Nie mieści mi się to w głowie. Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu?

Reed też tego nie rozumiał. Jeep przedzierał się przez las, podskakując na wybojach, a detektyw wpatrywał się w ciemność. Co, do cholery, robi w tym miejscu, niedaleko małego, dwupokojowego domu, gdzie się urodził? Jak to się stało, że jego nazwisko, zapisane na kartce, znalazło się w trumnie z dwoma ciałami? Od chwili, gdy zadzwonił Baldwin, Reed nie myślał o niczym innym. Zastanawiał się nad tym już podczas lotu śmigłowcem. Gdy wreszcie spotkał się z szeryfem w budynku sądu, nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytania. Nikt nie wiedział, co się stało.

Przynajmniej na razie.

Jechali już od czterdziestu minut. Dawno zostawili za sobą światła Dahlonga i wyjechali na niezamieszkane przez ludzi pustkowia. Dopiero teraz Reed zauważył światło między drzewami.

Zaczyna się, pomyślał, czując przyływ adrenaliny, jak zwykle, gdy przybywał na miejsce zbrodni,

- Zaczęliśmy pracę późnym popołudniem, ale szybko zapadł zmrok. Synoptycy zapowiadali deszcz. Baliśmy się, że zmyje ślady, więc natychmiast ściągnęliśmy sprzęt - objaśnił szeryf, niepotrzebnie, bo Reed dobrze wiedział, że tak się robi, asystował przecież przy niejednej poważnej sprawie.

Inne pojazdy: vany, suvy i cruisery stały bezładnie zaparkowane jakieś trzydzieści metrów od szlabanu. Reflektory, lampy, latarki i żarzące się pomarańczowo końce papierosów rozjaśniały mrok. Władze stanu i hrabstwa już otoczyły miejsce zbrodni żółtą taśmą. Jeden ze stojących w pobliżu vanów miał szeroko otwarte tylne drzwi. Policjanci już zaczęli zbierać dowody. Detektywi i zastępcy szeryfa pracowali ręką w rękę z policją stanową.

Baldwin dokonał kilku szybkich prezentacji, a potem, gdy jeden z jego zastępców uniósł fluorescencyjną lampę, wskazał zardzewiałą szlaban - była to ciężka belka, która chwiała się nad suchą trawą - oraz pozostałość dawnej drogi.

- Widzi pan pogniecione chwasty i ślady oleju na trawie? - Reed widział. - A szlaban... - Baldwin wskazał na zardzewiałą belkę - był zabezpieczony łańcuchem i kłódką, ale łańcuch został przecięty. Na pewno użyto do tego niezłych obcęgow. - Reed przykucnął, żeby przyjrzeć się z bliska. - Ten, kto to zrobił, później zabezpieczył szlaban drutem... Proszę spojrzeć. - Skierował światło latarki na miejsce, w którym łańcuch został przecięty i załatany grubym drutem, może takim z wieszaka na ubranie.

Oproszono szlaban specjalną substancją, żeby zdjąć odciski palców, a jeden z funkcjonariuszy sporządzał już odlewy śladów opon. Inni przeszukiwali okolice, świecąc sobie latarkami. Teren oznakowano taśmą, żeby nazajutrz, przy świetle dziennym, można było kontynuować poszukiwania.

Ostrożnie, żeby nie zadeptać ewentualnych śladów, Baldwin poprowadził Reeda głębiej w las, w górę po stromym stoku, a potem w dół, po drugiej stronie, na polanę. Ustawiono tam duże lampy. Policjanci ostrożnie badali ziemię, pobierali próbki i rejestrowali wszystko aparatami cyfrowymi, polaroidami i kamerami wideo. Wiał zimny wiatr. Dokuczał Reedowi, przenikając przez kurtkę, lada moment mogło się rozpadać, ale najgorsza była złowieszcza atmosfera. Tak jakby w powietrzu unosiło się coś nieokreślonego. Coś złego. Wyczuwał to. Jak zwykle na miejscu zbrodni. Baldwin poprowadził go na przełaj, przez zagajnik wrzecionowatych drzew, na polanę. Minęli martwego jelenia, którego niewidzące oczy załśniły w świetle latarki. Wnętrza leżały na ziemi. Kałuża krzepnącej krwi otaczała zwierzę. Reed czuł, że w lesie już czają się padlinożercy. Czekają.

Baldwin podszedł do płytkiego grobu. Reed poczuł ucisk w żołądku, patrząc na ziemię spiętrzoną wokół trumny z różanego drewna z mosiężnymi okuciami. Drewno było poczerniałe i zaplamione, metal już nie lśnił. Otwarte wieko wyglądało dziwnie w nienaturalnym świetle lamp, umieszczonych na statywach. Reed podszedł bliżej. Był bardzo spięty.

- Jezu - wydusił. Odetchnął głęboko. - Dlaczego nie powiedzieliście mi, że ten bydlak pochował ją żywcem? - Był wściekły. - Kto, na miłość boską...

Na satynowej wyściółce, teraz poplamionej, leżały przyciśnięte do siebie dwa ciała. Jedno prawie nie wystawało spod drugiego. W powietrzu unosił się zapach śmierci, rozkładających się zwłok. Jaskrawe światło, padające na makabryczną scenę, kontrastowało z tłem ciemnego lasu. W trumnie leżało niejedno ciało, lecz dwa, jedno na drugim. Reed podszedł bliżej. Z obrzydzeniem zmrużył oczy. Na wierzchu spoczywało blade, nagie ciało kobiety z siniakami na twarzy, rękach i nogach. Najwyraźniej próbowała wydostać się z grobu.

Na miłość boską, została pochowana żywcem.

Starał się nie myśleć o tym, co czuła. Uważnie przyjrzał się jej twarzy.

Wielkie nieba, nie... to niemożliwe. Omal nie zwymiotował, patrząc na siniaki na ładnej twarzy o regularnych rysach, na dłonie o wypielęgnowanych paznokciach, które zostały wyrwane, na wytrzeszczone z przerażenia, martwe oczy Barbary Jean Marx.

- Sukinsyn - mruknął, odwracając się na chwilę i nabierając powietrza w płuca. Bobbi? Nie!

Gdy znów spojrzął na trumnę, nie miał już wątpliwości. Leżała naga, jej długie nogi były posiniaczone, a jędrne

piersi teraz leżały płasko na żebrach. Spoczywała na czyichś rozkładających się szczątkach. Najprawdopodobniej zmarła niedawno, najwyżej przed dołą. Z uszu ciekła jej krew. Zakrwawione palce były rozczapierzone i wygięte, jakby stężenie pośmiertne usztywniło je, gdy próbowała wydostać się z trumny.

- Znają pan? - zapytał Baldwin.

Reed poczuł ucisk w żołądku. I w gardle. Omal nie zwymiotował.

- Tak - szepnął wreszcie, wciąż z niedowierzaniem, patrząc na martwą kobietę.

Boże wielki. Czy to prawda? Bobbi? Żywotna, seksowna, niesforna Bobbi? Czas jakby stanął w miejscu. Odgłosy nocy ucichły. Przed oczami Reeda migwały obrazy: erotyczne wspomnienia tej kobiety o zmysłowych, brązowych oczach, jędnym, ładnie umięśnionym ciele, w koszulce na ramiączka, podkreślającej duże piersi o pięknych sutkach. Wchodziła na niego powoli, mrużyła oczy, gładziła jego klatkę piersiową, lekko drapała go paznokciami, a on, spocony, z trudem łapał powietrze, nie mogąc powstrzymać bolesnej erekcji. Bardzo jej pragnął.

Teraz, patrząc na jej blade, martwe ciało, odchrząknął i przepędził te myśli. Wydawały mu się profanacją. Drżała mu szczęka. Oprócz smutku i obrzydzenia czuł wielkie znużenie. Jak to się stało? Kto jej to zrobił?

- Nazywa się Bobbi Jean. Barbara Jean Marx. - Jego głos brzmiał chrapliwie. Nie kochał jej, ale...

- Jak dobrze ją pan znał? - zapytał szeryf i podejrzliwie uniósł brwi.

Reed zazgrzytał zębami. Odetchnął głęboko. Czuł na sobie wzrok kilku policjantów.

- Barbara Marx i ja? - Odwrócił się od jej szczątków i starał się opanować wściekłość, rozdzierającą jego duszę. - Tak, znałem ją. - Nie ma powodu ukrywać prawdy. I tak wyjdzie na jaw. - Kilka miesięcy temu byliśmy kochankami.

Rozdział 3

Czy mikrofon w trumnie działa?

Och, tak, pomyślał Mściciel, działa bez zarzutu. Nie majak nowoczesna technika. Działał też mały magnetofon. Głos Pierce'a Reeda był tylko trochę zniekształcony, chociaż detektyw znajdował się w odległości kilometra. Mściciel ukrył się wyżej na wzgórzu, wśród drzew. Wpatrywał się przez lornetkę w miejsce oświetlone reflektorami i nasłuchiwał, a jego magnetofon rejestrował każdy dźwięk. Niewiele widział pomiędzy liśćmi, ale mimo to czuł, że się mści, i był zadowolony. Obserwował sytuację zza gałęzi sosen.

- Tak sądzimy. Mikrofon wygląda na nowy - odpowiedział wreszcie męski głos.

- W takim razie ten bydlak może nas teraz słuchać. - To był głos Pierce'a Reeda. Chociaż minęło tyle lat. Mściciel go rozpoznał. Zjeżyły mu się włoski na karku.

- To prawdopodobne - zgodził się inny głos, może tego prostaka szeryfa.

Przez kilka sekund Mściciel słyszał tylko szum i stłumione głosy. Policjanci odeszli od trumny, żeby wysłać ludzi na przeszukanie wzgórz. Oficerowie z psami na pewno już krążyli po wawozach. Nie przejmował się. Spodziewał się tego. Ale teraz musiał już iść.

- Mówił pan, że był list. - To znów głos Reeda.

- Tutaj... wciśnięty w środek.

Przez chwilę milczeli. Potem znowu odezwał się Reed:

- Tik tak, zegar gra. W jednej dwie, raz i dwa.

Mściciel bezgłośnie powtarzał słowa, które wypowiedział Reed. Domyśl się, o co chodzi, draniu.

- Co to znaczy, do cholery? - zapytał kolejny głos. Nazywali tego człowieka Baldwinem.

Mściciela przeszył dreszcz.

- Nie wiem, ale rano dostałem podobny list.

Mściciel uśmiechnął się, słysząc napięcie w głosie Reeda. Gliniarz się niepokoił. I dobrze. Powinieneś się bać, żałosny gnojku. Chociaż raz zrób, co do ciebie należy!

- Co tam było napisane? - zapytał Baldwin.

- Raz, dwa, zaczęła się gra. Niech ich słuchają, kiedy umierają.

Zgadza się.

- Cholera. Facet nie jest Szekspirem.

Uśmiech zniknął z twarzy Mściciela... Co to miało znaczyć?

- Ale jest pan pewien, że to ten sam facet?

Oczywiście, ty kołku!

- Identyczny papier. Takie same drukowane litery. - To powiedział Reed.

Poważnie. Z nutką gniewu w głosie. Doskonale.

- Czyli mamy do czynienia ze świrem, który uwziął się na pana.

- Na to wygląda.

- To poważna sprawa, skoro zabił pańską przyjaciółkę i włożył do trumny, którą przecież musiał wykopać. Sprawdźmy miejscowe cmentarze.

- I postaramy się zidentyfikować drugą kobietę. Może mają ze sobą coś wspólnego.

Mściciel obliznął zaschnięte wargi. Usłyszał nad głową szelest gałązek, poruszanych wiatrem. Może za dużo

napisał od razu.

- Dowiedzmy się.

- I to natychmiast! - rozkazał szorstko Reed.

Czas upływał. To były cenne sekundy i ci dranie mogli go znaleźć, ale Mściciel zwlekał, bo koniecznie chciał usłyszeć więcej. Znów spojrzął przez lornetkę na światło. Miał nadzieję, że wypatrzy Reeda. Bardzo chciał zobaczyć ból na jego twarzy. Wyobrażał sobie, jak Reed pochyla się nad nagim ciałem swojej kochanki i patrzy na jej stężale po śmierci rysy. To była słodka zemsta. Serce zabiło mu szybciej.

- Spójrzcie. Wyściółka jest podarta, a jej palce... - Głos drżał mu z wściekłości i rozpacz.

Zgadza się, Reed, drapała, żeby się wydostać. Mściciel poczuł, że krew krąży mu szybciej. Barbara Jean Marx dostała to, na co zasłużyła. To samo spotka pozostałych.

Rozszczękał się jakiś pies. Dźwięk odbijał się echem w wąwozie.

Nie mógł zostać dłużej. To byłoby niebezpieczne. Mściciel bardzo się ucieszył, że ściągnął Reeda na wieś, gdzie drań się urodził. Ale teraz nadszedł czas, żeby wrócić do Savannah... ryzykował, przywożąc tu trumnę. Ktoś mógł go zobaczyć. Jednak było warto, choćby po to, żeby wytrącić Reeda z równowagi. Chciał skierować policję na fałszywy trop. Tylko nie przewidział, że pojawią się tu te szczyły. To był błąd.

Obiecał sobie, że kolejnego już nie popełni.

- Dlaczego mi pan nie powiedział, że jeszcze żyła... Chryste... Chciał pan zobaczyć moją reakcję, prawda? Co? Myśli pan, że jestem w to zamieszany, że sam napisałem swoje nazwisko i... - Umilkł na chwilę. Mściciel sądził, że detektyw próbuje się opanować. - Posłuchaj mnie, bydlaku, kimkolwiek jesteś. - Teraz głos był wyraźny, jakby Reed mówił prosto do mikrofonu. - Nie ujdzie ci to na sucho, słyszysz? Będę cię ścigał, popaprańcu. Aż dopadnę. Zrozumiałeś? Aż dopadnę! Odtąd nie możesz spać spokojnie!

Nie mogę, Reed? Mściciel wziął plecak i szybko ruszył ścieżką w stronę samochodu. No to poczekaj.

Wskazówka prędkościomierza stała na stu kilometrach na godzinę. Nikki jechała na północ. Jej samochód zarzucał na zakrętach, ale mocno trzymała kierownicę, pędząc nocą przez wzgórze. Gdy zaczął padać deszcz, odruchowo włączyła wycieraczki. I zauważyła, że kończy się paliwo.

Zaplanowała trasę. Żałowała, że nie może skorzystać z czarodziejskiej różdżki lub teleportować się do hrabstwa Lumpkin i być tam w chwili, gdy Reed pojawi się na miejscu zbrodni; jeśli dobrze się domyślała, chodziło o podwójne zabójstwo. Usłyszała kilka informacji na częstotliwości policyjnej, ale było ich za mało, żeby coś wywnioskować. Wiedziała tylko, że ma jechać na starą drogę, kiedyś używaną przez drwali, w pobliżu Krwawej Góry. Podłączyła swój laptop do GPS-u i znalazła drogę, ale potrzebowała więcej informacji. Dodzwoniła się do biura szeryfa hrabstwa Lumpkin i oczywiście dowiedziała się z automatycznej sekretarki, że jest zamknięte do rana. Zadzwoniła do kilkorga znajomych z tamtej okolicy, ale nic to nie dało. Gdy ponownie wybrała numer Cliffa Sieberta, nie podniósł słuchawki. Na pewno jej unikał.

Skreśliła trochę za szybko i opony zapiszczały. Chciała porozmawiać z detektywem Pierce'em Reedem, ale wiedziała, że nie będzie to łatwe. Wielokrotnie próbowała nawiązać z nim kontakt, gdy prowadził sprawę morderstw w rodzinie Montgomerych, ale był oporny... a nawet opryskliwy. Słynął z niechęci do dziennikarzy. Rozumiała to - gdy zabito kobietę, nad którą czuwał, prasa nie zostawiła na nim suchej nitki, mimo że wydział spraw wewnętrznych policji w San Francisco oczyścił go ze wszystkich zarzutów.

Prawdopodobnie jej ojciec wiedział o Reedzie więcej niż ona.

Nikki skrzywiła się na tę myśl i zmieniła światła drogowe na światła mijania, bo z przeciwnej strony zbliżał się samochód. Nie chciała prosić „Wielkiego Rona” Gillette’a o żadną przysługę. Nie robiła tego nigdy dotąd i nie zamierzała robić w przyszłości.

Akurat, mała Nikki. Zrobiłabyś wszystko, byleby tylko napisać dobry artykuł. Wydawało jej się, że słyszy kpiarski głos starszego brata. Ale Andrew nie mógłby jej tego powiedzieć, bo od dawna nie żył. Zrobiło jej się zimno. Samochód pędził szybko, a wycieraczki zmywały deszcz z przedniej szyby.

Andrew, wspaniały sportowiec.

Andrew, wyjątkowy student.

Andrew, rozpieszczony syn, mający pójść śladami sławnego ojca.

Andrew, który zginął, bo spadł z pomostu dziesięć metrów nad ziemią.

Andrew, cały połamany, miał bardzo wysoki poziom alkoholu we krwi. Wykryto też ślady ecstazy i kokainy.

Andrew zginął w tragicznym wypadku. A może sam odebrał sobie życie?

Czy to był zbieg okoliczności, że wypadek zdarzył się zaledwie tydzień po tym, jak Andrew nie dostał się na wydział prawa na Harvardzie, uczelni, którą skończył ojciec?

Nikki zacisnęła zęby. Mrużąc oczy, patrzyła w noc. Od śmierci brata minęło osiem lat, a jednak wciąż nie mogła się z nią pogodzić. Spowijała ją jak ciemny welon, w najbardziej niespodziewanych momentach. Starła się nie myśleć o niedowierzaniu i rozpacz, które wtedy czuła. Minęła drogowskaz: do Dahlenega jeszcze ponad sto pięćdziesiąt kilometrów.

Podjechała na pierwszą stację benzynową, którą zauważyła, i zatankowała do pełna. W sklepiku pracował młody

sprzedawca z trądzikiem na twarzy. Wyglądał na jakieś czternaście lat, ale z miną znawcy sprzedał jakiemuś facetowi sześciopak piwa, jakby nic innego nie robił w swoim krótkim życiu. Sięgając do lodówki po napój, mimowolnie usłyszała słowa klienta, nieogolonego mężczyzny po sześćdziesiątce, z krzaczastymi, siwymi brwiami i widocznymi brakami w uzębieniu.

- Co się wyprawia pod tą Krwawą Górą?

Chłopiec otworzył kasę, wcisnął do środka zniszczone banknoty i wyjął kilka monet.

- Właściwie nic o tym wiem. Dwaj myśliwi czegoś się przestraszyli i jeden spadł do wąwozu albo może ktoś go zepchnął. Przewieźli go śmigłowcem do szpitala Mason General w Atlancie.

Nikki, schowana za półką z chipsami, nadstawiła uszu.

- Słyszałem, że pełno tam policji. Podobno znaleźli groby.

Chłopak nie okazywał zainteresowania. Wyciągnął rękę i podał klientowi resztę.

- Taa, Scratch Diggers mówi, że już wykopali dwa ciała.

- Co on tam wie?

- Bardzo dużo. Jego stara pracuje w centrali policyjnej.

- Scratch za dużo gada.

- A jakże. Ale nie zmyśla.

Dwa ciała, może więcej. Co to miało wspólnego z Pierce'em Reedem? Nikki wzięła paczkę doritos i kolorowe pismo. Przerzucała strony, jakby ciekawiły ją najnowsze plotki o gwiazdach, cały czas podsłuchując.

Tylko że rozmowa się skończyła. Starszy facet szedł już w stronę drzwi, przy których był zamontowany staromodny dzwonek i nowoczesna kamera wideo.

- Na razie, Woodie. Pozdrów rodziców.

- Dobrze - obiecał chłopak.

Dzwonek zadzwieczał, gdy klient wychodził.

Nikki podeszła do kasy.

- Czy to prawda? - zapytała niewinnym tonem, szukając portfela w torebce. - Słyszałam, o czym rozmawialiście. Naprawdę pod Krwawą Górą były pogrzebane jakieś ciała?

- Nie wiem. Niedawno oglądałem wiadomości - wskazał podbródkiem niewielki, czarno-biały telewizor wciśnięty pod ladę. Nadawano właśnie jakiś reality show, ale z powodu zakłóceń prawie nic nie było widać. - Mówili, że ktoś znalazł tam groby, ale to informacja „niepotwierdzona przez policję”. - Posłał jej uśmiech wiejskiego chłopaka i dodał: - Ale mój tata zawsze mówi, że nie ma dymu bez ognia.

- Święte słowa - zgodziła się, podając mu pięciodolarówkę. Szybko wydał resztę. - Czy to daleko stąd?

- Godzina jazdy, może półtorej - odparł chłopak, pakując jej zakupy do torby.

Nie miała wątpliwości, że wyprzedzi ją Norm Metzger i kilku lokalnych reporterów. Wsiadła do samochodu i spokojnie wyjechała na autostradę, a potem dodała gazu. Policja nabrała wody w usta. I nic w tym dziwnego. Nikki miała nadzieję, że jej się poszczęści. Żałowała tylko, że Cliff Siebert nie powiedział, dlaczego Pierce'a Reeda wysłano na miejsce zbrodni. Wtedy miałyby jakiś punkt zaczepienia. Postukiwała palcami o kierownicę i zagryzała wargę. Musi skłonić tego opornego detektywa, żeby udzielił jej wywiadu na wyłączność. Na pewno jest jakiś sposób, żeby do niego dotrzeć. Przecież nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba tylko wykombinować, jak to zrobić.

- Mówisz, że byliście kochankami? - Szeryf Baldwin pochylał się nad trumną. Gdy się wyprostował, strzyknęło mu w plecach. Wokół opadała mgła. Lada moment mogło zacząć lać, a zimne, górskie powietrze przeszywało Reeda do szpiku kości.

- Byliśmy. To się skończyło.

- Kiedy?

- Ostatni raz widziałem ją kilka miesięcy temu. To ja zerwałem.

Baldwin był wyraźnie zainteresowany. Przeszepował z nogi na nogę, mrużąc oczy w niesamowitym, sztucznym świetle reflektorów.

- Dlaczego? - Szeryf znów zerknął do trumny. - Była ładna.

Reed poczuł, że drży mu mięsień szczęki.

- Powiedzmy, że stało się to z powodu jej męża. Jerome'a Marksa. Jest znanym w Savannah biznesmenem, import i eksport. Nie pochwalał naszego związku.

Szeryf wciągnął powietrze przez zęby.

- Była mężatką?

- Ona tak nie uważała. W przeciwieństwie do niego. Poczuli się urażony, że jestem z jego żoną.

- Trudno mu się dziwić - mruknął Baldwin. - Nie wiedziałeś, że była zaobrączkowana?

- Mówiła, że jest w separacji, że rozwód to tylko formalność. Miał się odbyć lada dzień.

- Nie sprawdziłeś? Przecież takie informacje są dostępne dla wszystkich. - Wbił w niego swoje ciemne oczy.

- Nie.

- Ufałeś jej.

- Nigdy jej nie ufałem. - Ale nie potrafił się jej oprzeć. Niektórzy mężczyźni mają słabość do alkoholu. Inni biorą narkotyki. Jeszcze inni palą papierosy. Piętą achillesową Pierce'a Reeda były kobiety. Zwykle nie te, co trzeba. Zawsze tak było i stracił nadzieję, że to się kiedykolwiek zmieni. Spojrzał na Bobbi i poczuł ucisk w żołądku.

- Chyba będziemy musieli zawiadomić Marksa. Niech tu przyjedzie i zidentyfikuje zwłoki.

- Ja z nim porozmawiam.

Szeryf wyraźnie się wahał. Zerknął na detektywa McFee i swojego zastępcę Raya Ellisa, w zamyśleniu skubiąc dolną wargę.

- To chyba nie zaszkodzi, zwłaszcza że facet jest już w Savannah. Ale weź ze sobą kogoś, bo znałeś ofiarę. McFee - powiedział, kiwając głową w stronę wysokiego mężczyzny, którego twarz kryła się pod rondem kapelusza. - Odwieź detektywa do domu.

- Dobrze. - Reeda nie obchodziło, kto z nim pojedzie. Bardzo chciał zobaczyć wyraz twarzy Jerome'a Marksa, gdy powie mu, że jego żonę pogrzebano żywcem.

- Hej! - krzyknął ktoś z ciemności. - Mamy towarzystwo. Są już dziennikarze.

- Świetnie - mruknął pod nosem Reed, widząc prześwitujące zza drzew światło reflektorów. Tylko cyrku teraz potrzebowali!

- Trzymajcie ich z dala od miejsca zbrodni - rozkazał Baldwin, rozzłoszczony jak Reed. I do detektywa McFee: - Niech Reed spojrzy na drugie ciało. To pod spodem.

Potężnie zbudowany detektyw bardzo ostrożnie uniósł głowę Bobbi dłońmi w rękawiczkach.

W świetle reflektorów zobaczyli twarz w stanie częściowego rozkładu, makabryczną czaszkę już bez rysów. Rzadkie siwe włosy, spięte w kok i resztki kiedyś niebieskiej sukienki wskazywały, że było to ciało starszej kobiety.

Reed potrząsnął głową i zacisnął zęby. Nie przeraził go widok rozkładającego się ciała; nieraz już oglądał zwłoki. Ale robiło mu się słabo na myśl, że Bobbi była przytomna i wiedziała, że pogrzebano ją żywcem, w jednej trumnie z trupem. Jaki wariat byłby zdolny do takiego okrucieństwa? Kto wiedział, że on i Bobbi byli kochankami? Komu aż tak bardzo zależało i kto był aż tak skrzywiony psychicznie, że dopuścił się takiego czynu?

Jerome Marx.

Kto inny mógłby zaadresować list do Reeda i zostawić go w trumnie?

Ale dlaczego położył Bobbi na ciele innej kobiety - i kim była ta kobieta? Musiał przewidzieć, że wkładając do trumny list zaadresowany do Reeda, automatycznie stanie się głównym podejrzanym. Jerome Marx nie był dobrym człowiekiem, ale na pewno nie można go było nazwać idiotą.

Szeryf pocierał szczękę i drapał się po zaroście. Z dala dobiegało wycie psów.

- Skończymy tutaj, a potem wrócimy do biura i spisujemy twoje zeznania.

Nikki Gillette podjechała pod biuro szeryfa w Dahlonega po dziewiątej wieczorem. Jechała wiele godzin i bolało ją całe ciało. Burczało jej w brzuchu, serce waliło jak młotem i wciąż nie wymyśliła, jak dotrzeć do Pierce'a Reeda. Co gorsza, nie była sama. Na parkingu wydziału stało kilka furgonetek stacji telewizyjnych. Westchnęła, zniechęcona, widząc, że jest tu już nie tylko Norm Metzger, ale i Max O'Dell z WKAM, stacji telewizyjnej z Savannah, i inni reporterzy z Atlanty, i kilku takich, których już kiedyś widziała, ale nie pamiętała nazwisk. To, co wydarzyło się w pobliżu Krwawej Góry, dziennikarze najwyraźniej uznali za hit tygodnia.

Musiła jakoś zyskać przewagę.

Norm zauważył ją i wysiadł z samochodu.

- Co tu robisz?

- To samo, co ty.

- Tom kazał ci przygotować materiał? - zapytał, unosząc brew nad okularami bez oprawek.

Fotograf wygramolił się z tylnego siedzenia za miejscem pasażera i dołączył do rosnącego tłumku reporterów przed budynkiem.

- Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, co się dzieje - powiedziała.

- Długa ta przejażdżka bez celu - zauważył.

- Zaciekawilo mnie to.

- Czyli dowiedziałaś się o ciałach.

- Tak.

- I o tym, że wezwano tu Pierce'a Reeda.

Kiwnęła głową. Norm wciągnął rękawiczki.

- Wiesz, że on cię nie lubi.

- Jak wszystkich reporterów.

- Ale ciebie szczególnie. Dopiekłaś mu podczas sprawy Montgomerych.

- Tak? Powiedział ci to?

- Nie musiał. Widziałem, jaką miał minę, gdy do niego podchodziłaś.

- Bo to szorstki facet.

- Zwłaszcza w twojej obecności.

Nagle otworzyły się drzwi i na betonowe schody wyszedł szeryf Baldwin z kilkoma detektywami; był wśród nich Pierce Reed.

Szeryf, nie korzystając z mikrofonu, gromkim głosem poprosił wszystkich o uwagę. Ucichły szepty, szmery i spekulacje. Wszyscy zamarli z długopisami, ołówkami i magnetofonami w dłoniach. Na grupę funkcjonariuszy skierowano kamery.

- Jesteśmy bardzo zmęczeni, wy pewnie też, dlatego powiem krótko. Po południu wezwano policję. Z początku sądziliśmy, że chodzi o wypadek na polowaniu, w którym brało udział dwóch chłopców. Pojechaliśmy tam. Jeden z nich został przewieziony śmigłowcem do szpitala Mason w Atlancie, a drugi złożył zeznania. Przy Krwawej Górze znaleźli kopiec, który wyglądał jak grób, więc poszliśmy go zobaczyć. Rzeczywiście, znaleźliśmy grób, a w nim nie jedno ciało, ale dwa. Teraz ustalamy tożsamość ofiar, żeby jak najszybciej powiadomić rodziny. Nie udzielimy państwu więcej informacji, ale możemy powiedzieć, że prawdopodobnie chodzi o zabójstwo. To wszystko.

Reporterom to nie wystarczyło. Wszyscy naraz zaczęli krzyczeć.

- Szeryfie Baldwin! Spodziewacie się znaleźć więcej ciał?

- Jak długo ofiary tam leżały?

- Dlaczego wezwaliście detektywa z Savannah?

- Czy myśliwy przeżyje?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - odparł Baldwin stanowczym, prawie agresywnym głosem. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale także zdeterminowanego. Spojrzał z góry na reporterów. - Rano będziemy mogli powiedzieć coś więcej. Na razie wszyscy odpocznijmy. - Machnął ręką, słysząc kolejne pytania, i zniknął w biurze.

Nikki przysunęła się bliżej. Odniosła wrażenie, że Reed na nią spojrział. Ale nawet jeśli ją zobaczył, w żaden sposób nie okazał, że ją zna. Zamknęły się za nim drzwi i, na wypadek gdyby któryś z reporterów chciał wejść do środka, stanął przy nich zastępca szeryfa.

- Co teraz? - zapytał Norm. Stał blisko niej.

- Teraz chyba trzeba czekać - odparła Nikki, chociaż wcale nie miała zamiaru siedzieć beczynnie i czyhać na okrojone informacje, które przekaże policja. Przecież mieszkała zaledwie kilka ulic od domu Pierce'a Reeda.

- Dwa ciała w jednej trumnie? - zapytała Sylvie Morrisette następnego ranka. Marszcząc nos, opadła na jedno z krzeseł w gabinecie Reeda. Jej platynowe włosy były jeszcze bardziej nastroszone niż zwykle. Jak zawsze unosił się wokół niej lekki zapach dymu papierosowego. - To coś nowego. Faceta nie było stać na własną trumnę?

- Kobiety - uściślił Reed, którego nie rozśmieszył jej żart.

Nie był w nastroju. Spędził pół nocy w Georgii, wiedząc, że szeryf i jego detektywi uważają go za podejrzanego. Potem przespał się kilka godzin. Nieprzytomny, wziął prysznic i około wpół do siódmej siedział już za biurkiem. Żył o kawie i środkach na nadkwasotę. W koszu leżał zjedzony do połowy pączek, pozostałość ostatniego posiłku. Reed nie miał ochoty na żarty.

- Jedna z ofiar to Barbara Jean Marx. Drugiej jeszcze nie zidentyfikowano.

- Barbara Jean Mara? - Morrisette zmarszczyła brwi. Zaśnił nowy, srebrny koleczyk. - Słyszałam gdzieś to nazwisko.

- Do niedawna była żoną Jerome'a Marksa. - Zazgrzytał zębami, wspominając, jak łatwo go okłamała i jak chętnie jej uwierzył. - Marx ma firmę importowo-eksportową w centrum miasta. Pomyślałem, że złożę mu wizytę i osobiście przekazać tę wiadomość.

- Znasz go? - zapytała Morrisette, wyciągając z torebki gumę do żucia. - Wydaje mi się, że tak.

Zawahał się, ale uznał, że może jej to powiedzieć.

- Znałem Bobbi Jean. Byliśmy razem.

- I masz zamiar porozmawiać z jej mężem? Czy to nie jest sprzeczne z polityką wydziału?

- Pójdzie ze mną detektyw z hrabstwa Lumpkin, Davis McFee.

Morrisette uniosła brew.

- Załatwiłeś sobie policyjną eskortę?

- Bardzo śmieszne - odparł zadziornie, choć ta myśl trochę go dręczyła, Baldwin na pewno mu nie ufał. Czy ja na jego miejscu bym ufał? Skądże! Skarcił się w myślach. Baldwin po prostu chce być kryty. - Może masz ochotę się z nami wybrać?

- W życiu nie przepuściłabym takiej okazji. - Odwinęła z papierka zgnieciony kawałek gumy i włożyła go do ust. - Mów, co się dzieje.

Reed opowiedział jej wszystko, co pamiętał: lot śmigłowcem, grób, wreszcie spotkanie - szeryf Baldwin „dla dobra wydziału” postanowił wysłać detektywa McFeego, żeby prowadził dochodzenie. Bardzo nagiął zasady, pozwalając, by dawny kochanek Bobbi Jean brał udział w śledztwie. Gdy Reed skończył, Morrisette gwizdnęła.

- Jezus, Reed, ale kicha! Myślisz, że list z trumny jest powiązany z tym, który przyszedł wczoraj?

- To byłby zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Ale listy wyglądają tak samo. Identyczny papier,

identyczne litery. W laboratorium już je porównują i sprawdzają, czy nie ma odcisków palców.

- Ale mamy szczęście - mruknęła Morrisette, gdy zadzwonił telefon.

Reed gestem pokazał jej, żeby nic nie mówiła, i podniósł słuchawkę. Miał nadzieję, że uzyska jakieś informacje o Bobbi i drugiej kobiecie z trumny, ale dzwoniło do niego w innej sprawie. Kilkoro dzieci bawiło się rewolwerem ojca - jedno zginęło. Przygnębiający początek dnia, który i tak nie zapowiadał się dobrze.

Gdy Reed rozmawiał, zadzwonił pager Morrisette. Wyjęła telefon komórkowy z torebki i wyszła na korytarz. Wróciła, zanim Reed skończył rozmawiać, ale już nie usiadła. Oparła się o parapet i czekała, aż detektyw odłoży słuchawkę. Drzwi gabinetu były uchylone, więc Reed słyszał głosy i kroki. Policjanci i urzędnicy przychodzili do pracy.

- Kiedy zamierzasz odwiedzić męża ofiary i przekazać mu wiadomość? - zapytała.

Gdzieś w korytarzu zadzwonił telefon.

- Byłego męża. Kiedy tylko przyjdzie ten detektyw z hrabstwa Lumpkin.

- Co z sekcją zwłok?

- Będzie w Atlancie, prawdopodobnie już dziś. Sprawa jest traktowana jako bardzo ważna. Ale najpierw chcą, żeby ktoś poza mną zidentyfikował zwłoki.

- Kto wiedział, że z nią byłeś?

- Oprócz Marksa nikt.

- Przynajmniej ty o tym nie wiedziałeś. Mogła się zwierzyć przyjaciółce.

- Marx też mógł komuś powiedzieć.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- Sześć, może siedem tygodni temu.

- Wtedy z nią zerwałeś?

- Tak.

- Bo dowiedziałeś się, że nie jest rozwiedziona.

- Mhm.

- Kiedy zgłoszono jej zaginięcie?

- Wcale go nie zgłoszono. Zapytałem Ritę z wydziału osób zaginionych. - Rozpiął górny guzik koszuli i poluzował krawat. - Znaleźliśmy ją krótko po śmierci. Koroner uważa, że od zgonu minęło niecałe dwanaście godzin. Postaramy się sprawdzić, kto widział ją ostatni i co wtedy robiła. - Zerknął na zegarek. - Może wpadnę do sklepu jubilerskiego, gdzie pracowała.

- Znasz jej koleżanki?

Zastanowił się i pokręcił głową. Przecież właściwie jej nie znał. Ich romans? To prawie wyłącznie seks. A jednak... zabójca jakoś ich połączył. Reed bał się myśleć, że Bobbi zmarła tak straszliwą śmiercią z powodu związku z nim.

Sylvie Morrisette chyba czytała mu w myślach.

- Nie obwiniaj się - powiedziała. - Widzę to w twoich oczach. Myślisz, że ta kobieta zmarła z twojego powodu. Bo w trumnie był list.

- Ty tak nie sądzisz?

- Nie wiem. Jeszcze nie. Ty też nie możesz tego wiedzieć. - Zeskoczyła z parapetu. - Bądźmy obiektywni.

Reed zastanawiał się, czy to możliwe.

Czuł, że nie.

Znów zadzwonił telefon; Reed podniósł słuchawkę w chwili, gdy do gabinetu wszedł detektyw McFee. Przy tym wysokim, potężnym mężczyźnie Morrisette wyglądała jak krasnal. Widząc McFee'ego w świetle poranka, Reed mimowolnie pomyślał o Lurchu z *Rodziny Addamsów*. Detektyw był wysoki i grubokościsty, miał ziemistą cerę i głęboko osadzone oczy. Reed dokonał prezentacji. Zauważył, że Morrisette obrzuciła McFee'ego spojrzeniem od stóp do głów. Dlaczego twarda Sylvie Morrisette, czterokrotna rozwódka, patrzyła na każdego nowo poznanego mężczyznę tak, jakby był potencjalnym kandydatem na męża numer pięć?

Biorąc kurtkę, doszedł do wniosku, że nigdy tego nie zrozumie.

Mściciel uśmiechnął się, oglądając poranne wiadomości. Informacje podawane późnym wieczorem były bardzo ogólnikowe, ale teraz mówiono coraz więcej o odkryciu w wąwozie w pobliżu Krwawej Góry. To był główny temat dnia.

Siedząc na krawędzi otomany, nagrywał i oglądał na pięciu ekranach pięć programów, w których różni reporterzy mówili to samo. Pokazywano zdjęcia grobu, zrobione ze śmigłowców, które zawisły nad dnem wąwozu, gdy tylko zaczęło świtać. Policjanci wciąż badali miejsce zdarzenia. Żmudnie przeszukiwali każdy centymetr kwadratowy ziemi, liści i suchej trawy. Jakby mogli coś tam znaleźć.

Na myśl o tym, że to on spowodował takie zamieszanie, serce zabiło mu szybciej. Wszyscy ci ludzie uwijali się tam z jego powodu. Pierce Reed musiał pojechać na północ, w swoje rodzinne strony. Pierwsze lata życia spędził przecież w przyczepie pod Dahlonga. Pochodził z Georgii, chociaż większość ludzi sądziła, że urodził się gdzieś

na Środkowym Zachodzie, a on nie prostował tego nieporozumienia. Ten facet był kłamcą. Draniem.

Ale teraz czeka go zasłużona kara.

Na jednym z ekranów zamigotał obraz jelenia zastrzelonego przez głupiego dzieciaka. Mściciel już nie cieszył się tak bardzo... Nie sądził, że będą tam myśliwi. Myślał, że jest sam na ścieżkach, po których chodzą tylko dzikie zwierzęta.

Wstał z otomany. Kiedy się wyprostował, z trudem mieścił się w tym małym pomieszczeniu, gdzie jedną z ceglanych ścian pokrywały telewizory. Ich migocące ekrany były teraz jedynym źródłem światła. Na drugiej ścianie od góry do dołu wisiały półki ze sprzętem elektronicznym. Mikrofony. Kamery wideo. Urządzenia do obserwacji. Były tam też setki filmów na kasetach i płytach DVD. Lubił filmy o bohaterach, którzy pokonywali wszelkie przeciwności, przetrwali i zemścili się, wzięli sprawiedliwość w swoje ręce i sami odpłacili się swoim prześladowcom.

Charles Bronson.

Bruce Lee.

Clint Eastwood.

Mel Gibson.

Keanu Reeves.

Aktorzy, którzy wcielali się w role twardziel!, byli jego idolami. Uwielbiał filmy o prawie niemożliwym do zniesienia bólu i krwawej zemście. *Mad Max*, *Rambo*, *Matrix*... oglądając je, czuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach.

Trzymał tu też trochę ubrań, w których pokazywał się światu. Miał garnitury, dzinsy, bluzy, a nawet koszulki polo. Ale tutaj nie potrzebował wymyślnych strojów - wystarczały proste. Na wieszakach wisiało ubranie w barwach maskujących oraz kombinezon do nurkowania. Za stalowymi drzwiami znajdowała się komórka, którą sam zrobił - ciasna i ciemna, nie miała klamki po wewnętrznej stronie drzwi. Doskonałe miejsce do przetrzymywania żywego człowieka. Umeblowanie pokoiku było skromne: stół do pracy, zniszczone krzesło i otomana naprzeciwko telewizorów. Stał tu też jego skarb: antyczna komoda z lustrem, którą ocalił z domu matki.

Podszedł do komody i zobaczył swoje odbicie w porysowanym, owalnym lustrze. Przypatrywał się sobie w świetle migocących ekranów. Z lustra patrzyły na niego lodowate oczy, okolone prostymi rzęsami. Ludzie mówili, że były szalone, seksowne i zimne. Jedną z gęstych brwi przecinała niewielka blizna. Ta niedoskonałość przydawała mu uroku w oczach kobiet. Niejedna uważała, że jest podniecający i niebezpieczny.

Zmysłowy.

Zamyślony, małomówny mężczyzna, który ma swoje tajemnice.

Gdyby tylko wiedziały.

W lustrze widział też swój tors, wspaniale umięśniony od ćwiczeń w wojsku. Robił pompki, opierając się na końcach palców, setki razy się podciągał, wykonywał przysiady. Pływał. Biegał. Trenował. Dążył do doskonałości. Każdy mięsień jego ciała był idealnie wyrzeźbiony.

W jaki inny sposób mógłby przetrwać?

Otworzył drugą szufladę i spojrzał na leżące w niej części garderoby. Koronkowa czarna halka, stanik i majtki... bielizna tej dziwki Barbary Jean Marx. Były też nadgniłe szczątki tkaniny, która okrywała intymne części ciała drugiej martwej kobiety. Brudne, paskudne szmatki schował do plastikowej torebki. Bez tej starej bielizny kolekcja byłaby niepełna, ale nie chciał, żeby śmierdząca, rozkładająca się tkanina pobrudziła gładkie, jedwabne majtki, halkę i stanik Barbary Jean Marx.

Dotykając bielizny dziwki, przesuwając jedwab między palcami, poczuł przyjemne ciepło. Na chwilę zamknął oczy, podniósł majtki do nosa i poczuł, że zaczyna się erekcja. Nienawidził tej kobiety, ale także jej pożądał. Jak każdy normalny mężczyzna.

Wcale nie jesteś normalny, ty beznadziejny, głupi gnojku!

Ten głos zabił w nim żądzę. Mściciel zagłuszył krzyki, do tej pory odbijające się echem w jego głowie. Złożył bieliznę Barbary Jean i wsunął ją do plastikowej torebki. Skarcił się w myślach za to, że zgubił obrączkę... cholera jasna, bardzo chciał ją mieć. Wyobrażał sobie, że gładzi lśniące kamienie, oglądając w telewizji wiadomości o niewyjaśnionej śmierci Barbary Jean Marx, byłej modelki, żony bogacza. Ale zgubił tę przeklętą obrączkę. Kolejny błąd. Zacisnął zęby.

Wsuwając bieliznę do drugiej szuflady, spojrzał na krople zaschniętej krwi na blacie toaletki i dotknął ich lekko opuszką kciuka. Często tak robił, żeby sobie przypomnieć. Bardzo uważał, żeby dotykać śladów delikatnie, bo nie chciał ich zatrzeć. Musiały pozostać tam, gdzie były, nawet te z boku. I na przedniej listwie górnej szuflady, i wokół dziurki od klucza. Nie otworzył tej szuflady. Postanowił, że nigdy tego nie zrobi. To Świętość, której nie wolno mu zbezcześcić. Dotknął łańcuszka na szyi i wiszącego na nim kluczyka.

Czasami kusiło go, żeby zdjąć ten zniszczony, złoty łańcuszek, wsunąć kluczyk do zamka, obrócić go i usłyszeć cichy szczeł. Stara, zapieczętowana zaschłą krwią szuflada otworzyłaby się powoli, a on by...

Nie! Nigdy nie otworzy tej szuflady!

Wszystkie diody się świeciły, sygnalizując, że trwa nagrywanie. Mógł opuścić kryjówkę. Zaczął żyć jak zwykły

człowiek. Obliznął usta i starał się uspokoić szybko bijące serce. Spojrzał ostatni raz na reporterów, relacjonujących zamieszanie, którego narobił. Tyle hałasu z powodu śmierci tej dziwki. Znow wyobraził sobie, jak obudziła się w trumnie, drżąc z przerażenia. Mógł wyciągnąć trumnę na powierzchnię, być wybawcą, posiąść Bobbi tam, na miejscu. Zrobiłaby dla niego wszystko. Rozsunęłaby nogi. Wzięłaby jego członek do ust. Wszystko.

Poczuł falę żądy. Krew zaczęła krążyć szybciej. Wyobraził sobie Pierce'a Reeda w łóżku z nią.

Bydlak!

Nagle Mścicielowi zaschło w ustach. Patrząc na ekrany telewizorów, przypominał sobie, jak wbił igłę w jej ramię... Osunęła się na ziemię. Krzyknęła, tracąc przytomność, i...

Z zamyślenia wyrwała go seria dzwonek. Wrócił do rzeczywistości i uświadomił sobie, że musi się pospieszyć. Wcisnął guzik alarmu w zegarku i, zostawiając w pokoju magnetowidy nagrywające telewizyjne wiadomości, przeszedł cicho ciemnymi korytarzami, które przypominały tunele. Przygotował się psychicznie na spotkanie z nowym, zimowym porankiem.

Wreszcie nadszedł jego czas.

Rozdział 4

Skradał się w wieczornym mroku, który dopiero zapadł. Był śmiertelnie zmęczony. Gdyby go przyłapano, pewnie straciłby pracę. Wszedł jednak tylną furtką, znalazł zapasowy klucz, który Bobbi zawsze trzymała za węzem do podlewania, i otworzył sobie drzwi do garażu. Tam zdjął buty i po cichu wszedł do kuchni. Żaluzje były zasunięte, a w piecyku gazowym jak zwykle płonął błady płomyk. Choć Reed od kilku miesięcy nie odwiedzał domku, wszystko było tu znajome. Przyszedł tu, wiele ryzykując, bo był pewien, że zostanie odsunięty od śledztwa. Gdy tylko prokurator okręgowa dowie się, że był związany z ofiarą, przydzieli mu inne zadania i odsunie od wszelkich informacji, wiążących się ze śmiercią Bobbi. Reeda bardzo to denerwowało.

Przeszedł w skarpetkach po zniszczonej, drewnianej podłodze, przez niewielki aneks kuchenny do salonu. Dobrze pamiętał jego wystrój: wyściełane meble, kolorowe narzuty i rośliny w donicach, ustawionych w każdym rogu. Na stoliku leżały gazety. Nie ruszał ich, ale zauważył poranne wydanie „Sentinela” sprzed dwóch dni. Bobbi - albo ktoś inny, kto był w domku - czytała lokalną gazetę. W oczy rzucał się wydrukowany grubą czcionką tytuł artykułu o projekcie rekonstrukcji historycznej dzielnicy miasta. Tekst napisała Nikki Gillette, To była jedna z najbardziej irytujących kobiet, jakie znał, zawzięta reporterka, która nie cofnęłaby się przed niczym, byleby odnieść sukces. I wyglądała na taką przebojową osobę. Kręcone rudoblond włosy, jasne oczy, jędrny tyłek... Nazwisko „Nikki Gillette” oznaczało kłopoty. Była nie tylko natrętną reporterką, ale i córką sędziego Ronalda Gillette'a.

Reed skierował snop światła małej latarki na talerz z przypaloną, do połowy zjedzoną grzanką. Na talerzu została grudka zaschniętego dżemu, a na filiżance niedopitej kawy były ślady szminki. Śniadanie. Sprzed dwóch dni.

Poszedł do sypialni. Pościel była pognieciona, częściowo ściągnięta z łóżka, a poduszka leżała na podłodze - Reed wiedział jednak, że nie były to ślady walki. Bobbi zawsze zostawiała bałagan w łóżku. „Tak jest bardzo seksownie, prawda? - zapytała kiedyś, stając na palcach i całując go w szyję. - Łóżko zawsze wygląda tak, jakbyś przed chwilą w nim się kochał i zaraz miał zacząć od nowa”.

Nigdy nie widziała jego po żołniersku pościelonego łóżka ani ascetycznego pokoju z jedną komodą, trzynastocalowym telewizorem, niedużym lustrem i urządzeniem treningowym do wiosłowania.

Drzwi szafy były otwarte. Zjrzał do środka, świecąc sobie latarką. Z kosza na podłodze wysypywały się brudne ubrania, a na wieszakach wisiały równo czyste sukienki. Przez chusteczkę otwierał szuflady komody. Znalazł bieliznę, pachnące saszetki, podkoszulki i szorty. Nic specjalnego. W nocnej szafce był wibrator, kremy, chusteczki do nosa, jej zdjęcie w sukni ślubnej i sfatygowany egzemplarz Biblii. Nic niezwykłego. Nic obciążającego.

W łazience też był bałagan. Unosił się tam znajomy zapach perfum. Na małym blacie stały kosmetyki do twarzy, środki do pielęgnacji włosów, aspiryna i lotion. Szczotka, na której zostało kilka ciemnych włosów Bobbi, była oparta o powiększające, podświetlane lustro. W apteczce znajdowały się maści, kremy, lakiery do paznokci i lekarstwa. Vicadin, percaset i miesięczny zapas środków antykoncepcyjnych.

Najwyraźniej od jakiegoś czasu ich nie używała.

Wanna na nóżkach z niedawno podłączonym prysznicem aż się prosiła, by ją wyszorować.

Ale Reed nie zauważył tam nic niezwykłego.

W drugim pokoju, dziennym, znow bałagan, ale to nie dziwiło u Barbary Jean Mara. To przecież był „tymczasowy domek”, jak powiedziała Reedowi ostatniego ranka, gdy ją widział. Leżeli w łóżku, zaplątani w prześcieradła. W powietrzu unosił się ciężki zapach seksu.

- Zaczekam tu, aż dostanę rozwód, a potem kupię sobie większe mieszkanie.

- Myślałem, że już jesteś po rozwodzie - powiedział.

- Mamy drobny kłopot techniczny. Chcę, żeby Jerome zapłacił mi więcej pieniędzy. On się na to nie zgadza.

- Powiedziałas mi, że to już skończone.

- Bo jest skończone.

- Ale nie w świetle prawa! - Rozzłościł się. I to bardzo. Zrzucił z siebie prześcieradło. Gdy próbowała mu to wyjaśnić, ubrał się i wyszedł. Pamiętał, że był wrzesień i padał ulewny, ciepły deszcz.

Ostatni raz obszedł cały domek, rozglądając się uważnie. Oczywiście tu wróci, z McFeem i Morrisette. Jeśli mu pozwolą. Ale najpierw chciał sam się przekonać, jak wyglądał ostatni dzień życia Bobbi. Wszedł do kuchni i spojrzął na automatyczną sekretarkę. Światelko migało. To była sekretarka z kasetą magnetofonową. Wiedział, jak działa. Proste urządzenie miało wspaniałą opcję „zachowaj wiadomość jako nową”. Mógł przesłuchać kasetę bez obawy, że ktoś się zorientuje. Przez chusteczkę wcisnął guzik. Kasetą przewinęła się z sykiem i traskiem. Najpierw dwukrotnie usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki, a potem w kuchni rozległ się kobiecy głos.

- Cześć. To ja. - Mówiła Bobbi.

Reed omal nie wyskoczył ze skóry.

- Na pewno cię to zaskoczyło, prawda? - Chryste, o czym ona mówiła? - idę na spotkanie z nim, ale zapomniałam wziąć dezodorant i rzeczy do pralni, zresztą chciałam sprawdzić, jak działa nowa komórka. Dlatego to nagrywam. Fajnie, co? - Zaśmiała się, zadowolona z siebie, a Reed dostał gęsiej skórki, bo dobrze pamiętał ten chrapliwy śmiech. Było tak, jakby wciąż żyła.

Czy dzwoniła do kogoś, kto tu był, czy zostawiła wiadomość dla siebie? I kim był ten „on”, o którym mówiła? Jerome Marx? Nowy przyjaciel?

Żadnych innych wiadomości.

Reed ustawił aparat tak, żeby zerwane połączenia i wiadomość Bobbi były „nowe”, a potem wyszedł. Tak jak kiedyś.

Kluczem do sprawy był Pierce Reed.

Nikki nie miała co do tego wątpliwości. Pomyślała o detektywie rano, gdy tylko obudziło ją radio. Zmarnowała dzień i noc w Dahlonga, grzebiąc w przeszłości Reeda. Starła się znaleźć związek między nim a grobem przy Krwawej Górze, ale nie udało jej się nic wykryć, więc dała sobie spokój. Co za strata czasu i energii! Wściekłym ruchem wyłączyła radio i, jęcząc, wyszła z łóżka. Padła na materac przed trzema godzinami, po bardzo długiej podróży samochodem. Piekły ją oczy, bolała głowa, a gdy poruszyła szyją, coś w niej strzyknęło. Zły znak. Sięgnęła po pilota telewizora i włączyła lokalne wiadomości. Jennings, jej żółtawy, przegowany kot, najbardziej leniwe stworzenie pod słońcem, powoli uniośł głowę. Wstał z poduszki, przeciągnął się i ziewnął, pokazując zęby ostre jak igiełki i różowy, chropowaty język. Nikki odruchowo pogłaskała go po głowie, wpatrując się w ekran telewizora.

Grób z dwoma niezidentyfikowanymi ciałami wciąż był głównym tematem wiadomości. Na wszystkich kanałach.

Dlaczego Reed bierze udział w śledztwie?

Przecież nie sprowadziliby gliniarza z Savannah - prawie pięćset kilometrów - do lasów północnej Georgii tylko dlatego, że z powodu sprawy Montgomerych pisały o nim wszystkie gazety. Na pewno nie. Była jakaś inna, poważna tego przyczyna. Nikki musiała się tylko dowiedzieć jaka. Powlokła się do kuchni, nasypała kawy do ekspresu, nalała wody, a potem poszła do łazienki i przekreśliła włącznik bojlera. Rury w starym domu zajęczały. Woda zaczęła się podgrzewać. Nikki wróciła do sypialni i spojrzała na ekran telewizora. W CNN powiedziano o tej sprawie po relacji z Bliskiego Wschodu, a przed materiałem o wakacyjnych planach prezydenta. Jeszcze raz włączyła lokalne wiadomości i stwierdziła, że biuro szeryfa hrabstwa Lumpkin nie udzieliło żadnych dodatkowych informacji.

To dobrze.

Chciała poznać tę sprawę i napisać artykuł.

Bardzo tego chciała.

Szybko pobiegła pod prysznic - miała nadzieję, że gorąca woda ją obudzi i podziała przeciwbólowe na mięśnie. Ale ciśnienie wody na ostatnim piętrze starego budynku było zbyt niskie, żeby prysznic mógł ją ożywić. Poświęciła mniej niż dziesięć minut na makijaż i fryzurę. Wtarła piankę w swoje jasne loki i ułożyła je byle jak. Jęknęła, widząc ciemne smugi pod oczami - nie zatuszuje ich żaden podkład.

Drobiazg.

- Kogo to obchodzi? - zapytała Jenningsa, który wskoczył na umywalkę i obserwował jej poranną toaletę. - Jesteś głodny?

Zeskoczył z umywalki i powędrował do kuchni.

- Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca. Zaraz przyjdę.

Włożyła czarne spodnie, bluzę z długimi rękawami i kurtkę. Zarzucając torebkę na ramię, zastanawiała się, jak napisać artykuł i jak dotrzeć do Reeda. Zamierzała ponownie go zagadnąć, choć nigdy dotąd nie przyniosło to rezultatu. Przeszła kilka kroków ze swojej małej sypialni do kuchni połączonej z pokojem dziennym. Mieszkanie znajdowało się w wieżycy wiktoriańskiego domu, który kiedyś był okazałą, zadbaną budowlą, ale teraz przydałoby się odświeżyć drewniane podłogi, pomalować ściany i gipsowe dekoracje, no i wymienić podesty. Mimo to Nikki uważała ten dom za swój. Lubiła go.

Szybko nakarmiła kota i nalała sobie kawy. Sącząc ją, obejrzała kolejne wiadomości na swoim starym, dwunastocalowym telewizorze, który kupiła w czasie studiów. Miał mniej więcej tyle lat, co Jennings. Nikki stała się właścicielką telewizora i kota na czwartym roku, kiedy doszła do wniosku, że może już podejmować

samodzielne decyzje. Efektami tych samodzielnych decyzji były też jej związki z niewłaściwymi facetami.

- To naturalne - powiedział jej psychoterapeuta. - Przeżyłaś wielką stratę. Nie tylko ty, ale i cała twoja rodzina. Szukasz kogoś, kto zapełni pustkę.

Nikki od razu uznała terapeutę za szarlatana i zrezygnowała z wizyt po Jednej, bardzo nieprzyjemnej sesji. Oczywiście, tęskniła za starszym bratem. Jej rodzina - mama, tata, brat i siostra - też była w żałobie. Ale Nikki wątpiła, by to śmierć Andrew spowodowała, że czuła potrzebę umawiania się ze wszystkimi frajerami, jakich spotykała na Uniwersytecie Georgii. Patrząc w przeszłość, uznała, że decyzje o zakupie telewizora i Jenningsa były najlepszymi, jakie podjęła.

Na ekranie ukazywały się różne obrazy. Skupiła się na wiadomościach.

Żadnych relacji z Dablonega.

Nie było też wywiadów z Pierce'em Reedem. Nawet w lokalnych kanałach. Tym lepiej.

To ułatwia mi zadanie, pomyślała, wlewając kawę do podróżnego kubka. Postanowiła obserwować Reeda, wszędzie za nim jeździć, a także za wszelką cenę dowiedzieć się od swojego informatora, dlaczego detektywa wysłano na północ. Była pewna, że uda jej się rozwiązać zagadkę dwóch ciał. Tak czy inaczej, zdobędzie ten wywiad na wyłączność.

Wybierając numer telefonu komórkowego Cliffa Sieberta, wyszła z mieszkania i stanęła na podeście. Widziała stąd ulicę, dachy domów i drzewa w Forsyth Park. Miasto już się obudziło, po starych ulicach historycznej dzielnicy jeździły samochody. Wydział policji znajdował się niedaleko.

Cliff nie odebrał.

- Co za niespodzianka - mruknęła i pomyślała, że kolega wciąż jej unika.

Zostawiła wiadomość i zbiegła po schodach. Zimny wiatr targał jej wilgotne włosy. Podeszła do samochodu, wrzuciła na tylne siedzenie przenośny komputer i torebkę, a potem wcisnęła kubek z kawą w uchwyt. Wsunęła kluczyk do stacyjki i po chwili usłyszała rżenie starego silnika.

- Tak, tak, dawaj. Ja też jestem zmęczona - mamrotała. Przy piątej próbie silnik zakaszał i zapalił. - Widzisz? Wiedziałam, że potrafisz - powiedziała, wrzucając wsteczny bieg.

Wyjechała na wąską uliczkę; po obu stronach stały porośnięte winoroślą garaże i stare domy.

W drodze do redakcji minęła posterunek policji. Chciała się tam zatrzymać, ale po chwili zmieniła zdanie. Powinna się pokazać w pracy i ułożyć dokładny plan działania, zanim przyprze Reeda do muru.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę? - zapytał Jerome Marx, podnosząc się z fotela na widok trojga detektywów, których sekretarka wprowadziła do jego gabinetu.

Aż do tego ranka był „w podróży służbowej, poza miastem”. Miał na tyle przyzwoitości, by wstać i ich powitać, ale jego ciemne oczy patrzyły wrogo, usta, osłonięte kochanym bródką, były zacisnięte, a w głosie brzmiała irytacja. Miał na sobie doskonale skrojony, granatowy garnitur oraz białą koszulę z szerokim krawatem w bordowym kolorze i złotymi spinkami do mankietów. Gabinet, w skórce i mahoniu, był równie drogi i elegancki jak strój jego właściciela.

Ale to była tylko fasada.

Reed wiedział dużo o pochodzeniu Marksa. Daleko im obu do dawnej fortuny i szlachectwa. Marx, syn krawcowej i handlarza starych samochodów, skończył college dzięki stypendium sportowemu, a potem zdobył dyplom na wydziale bankowości i finansów małego uniwersytetu. Pracował w wypożyczalniach samochodów, w bankach i firmach brokerskich, aż postanowił założyć własne przedsiębiorstwo i wykorzystać kapitał odziedziczony po ojcu żony. On i Barbara Jean nie mieli dzieci.

Może to i lepiej, pomyślał Reed. W tej sytuacji.

McFee przedstawił Morrisette, Reeda i siebie. Skóra na kościach policzkowych Marksa napięła się jeszcze bardziej, gdy spojrział Reedowi w oczy.

- Niestety, mamy bardzo złą wiadomość - powiedział McFee.

- Jaką? - Marx się zaniepokoił.

- Chyba znaleźliśmy ciało pańskiej żony.

- Co? - Krew odplynęła mu z twarzy. - Mojej żony? Barbary?

- Tak. Jeśli oglądał pan wiadomości, wie pan o grobie, który znaleźliśmy przy Krwawej Górze w hrabstwie Lumpkin...

- Mój Boże, to znaczy... - Wodзил po nich wzrokiem. - To znaczy, że Bobbi była... w tej... tam... - Przełknął z trudem i opadł na fotel o wygiętym oparciu, stojący przy biurku. - Nie... to niemożliwe.

- Niestety, proszę pana. Ale chcielibyśmy, żeby pan zidentyfikował ciało. Jest w Atlancie.

- O, mój Boże... mój Boże... - Ukrył twarz w dłoniach. Czystych dłoniach. Paznokcie miał starannie wypielęgnowane, może przez manikiurzystkę. Wiadomość pewnie nim wstrząsnęła, ale przecież mógł udawać. - Nie. Nie wierzę. - Podniósł wzrok. Ich ponure twarze chyba go przekonały. - Oczywiście, że pojadę. Do Atlanty?

- Tam przeprowadzą autopsję.

- Chryste Panie! Autopsję?

- To wygląda na zabójstwo.
- Ale kto? Kto mógłby... - Głos mu się załamał. Wreszcie to do niego dotarło. - Myślicie, że skrzywdziłem Bobbi? - Był przerażony. - Nigdy bym tego nie zrobił. - Jeszcze raz spojrzął Reedowi w oczy i dodał łagodniejszym tonem: - Owszem, zdarzały nam się wzloty i upadki, rozwodziliśmy się, ale przysięgam, że nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią. Jeśli państwo chcą, żebym zidentyfikował ciało, pojedę tam. Od razu.

Gdy tylko Nikki wrzuciła torebkę do szuflady i kliknęła myszką komputera, do jej boksu zajrzała Trina.
- Masz poważne kłopoty. - Spojrzała na nią znad ścianki. Dobiegające z głośników instrumentalne wersje kolęd mieszały się ze stukotem klawiszy i stłumionymi głosami personelu.
- Spodziewałam się tego. Metzger wczoraj z samego rana poleciał na skargę do Finka.
- Może poleciał.
- Może?
- Miałam na myśli nasze umówione spotkanie. Zostawiłaś mnie na pastwę Dany i Aimee. Musiałam zachowywać się jak psycholog. - Trina teatralnie wzniosła oczy do nieba. - Uwijałam się przez cały wieczór. Gratulowałam Danie, mówiłam, jak wspaniale będzie jej w małżeństwie, i wychwalałam Todda pod niebiosa, a potem robiłam zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i przekonywałam Aimee, jak wielkim szczęściem dla niej jest rozwód z tym cholernym kłamczuchem, który w dodatku ją zdradzał.
- Na pewno nieźle się ubawiłaś.
- Przydałoby się wsparcie.
- Przepraszam, byłam...
- Wiem, wiem, szukałaś tematu, na którym mogłabyś wypłynąć. Przy okazji, dzwoniła do ciebie doktor Francis. Chce ustalić termin wywiadu. Komisja zbiera się w przyszłym tygodniu, a potem dopiero po świętach. Doktor Francis chce się upewnić, czy dobrze zrozumiałaś jej stanowisko w sprawie łączenia szkół.

Nikki jęknęła.
- Skąd to wiesz?
- Celeste znów skierowała twoją pocztę głosową na mój telefon.
Nikki uśmiechnęła się fałszywie.
- Super - powiedziała sarkastycznym tonem. - Odebrałaś coś jeszcze?
Trina radośnie wyszczerzyła zęby.
- Tylko wiadomość od Seana...
- Od Seana? - Nikki poczuła ucisk w sercu i stary, znajomy ból, z którym walczyła. - Co powiedział?
- Że będzie w mieście i chce... zaraz, jak on to ujął? „Namierzyć cię”.
- Nic z tego. - Nikki nie miała zamiaru powtarzać dawnych błędów.
- Dlaczego nie? Ile czasu upłynęło? Dziesięć lat? Dwanaście?
- Prawie, i mówię ci, że kto kiedyś zdradzał i kłamał, ten nigdy się tego nie odczyzy,
- Może dojrzał.

Jakie było prawdopodobieństwo, że tak się stało?
- Coś jeszcze? - zapytała Nikki; nie chciała myśleć o Seanie Hawke’u, jego swobodnym zachowaniu, uśmiechu niegrzecznego chłopca i muskularnym ciele. Przeszło, minęło. Koniec, kropka. Nie zamierzała dawać mu drugiej szansy. Szkoda jej było na to czasu. Nie chciała się nawet „przyjaźnić”, Zresztą w tym przypadku nie było to możliwe. - Jakież inne wiadomości?

- Nie.
- To dobrze. - Nie zdziwiła się, bo większość ludzi dzwoniła na jej telefon komórkowy. I dobrze, zważywszy na niekompetencję Celeste. Recepcjonistka miała dwadzieścia cztery lata i zdaniem Nikki była kompletną idiotką. Bo z jakiego innego powodu wdałaby się w romans z Finkiem, którego córka z pierwszego małżeństwa była prawie w jej wieku? Do Celeste nie docierało nawet to, że miał drugą żonę i dwoje dzieci w wieku szkolnym. Nikki robiło się niedobrze, kiedy słyszała od niej, że małżeństwo Finka „umarło” i że on i żona „żyją każde swoim życiem”, a „nie rozwodzą się tylko ze względu na dzieci”. Zresztą wszystko, co dotyczyło Finka, przyprawiało ją o mdłości.

Naczelnny chyba czytał w jej myślach, bo zajrzał do boksu i powiedział:

- Nikki, w wolnej chwili przyjdź do mojego gabinetu.

Trina schowała się w swoim boksie.

Wspaniale, pomyślała Nikki, czując, że wraca ból głowy. Wzięła torebkę i podreptała za Finkiem, który poruszał się ze swobodą i wdziękiem byłego dżokeja. Wciąż ładnie wyglądał i był w dobrej formie. Włosy, kiedyś ciemne, teraz pasmami posiwiały. Zawsze nosił koszulki polo i spodnie khaki, jakby właśnie wrócił z pola golfowego. Otworzył drzwi do swojego gabinetu o szklanych ścianach i zaczął czekać, aż wejdzie. Ależ z niego dżentelmen, pomyślała sarkastycznie, gdy wskazał jej jeden z dwóch foteli, a sam zasiadł przy biurku, zakładając nogę na jego róg i splatając ręce na kolanie.

- Słyszałem, że ostatnie dni spędziłaś w Dahlonega.

Metzger widać szybko przekazał wiadomość.

- Tylko dwadzieścia cztery godziny, ale tak, byłam tam - przyznała, patrząc, jak Fink kręci stopą.
- Z jakiegoś szczególnego powodu? - Był śmiertelnie poważny. Zaciął usta i patrzył na nią chłodno.
- Chciałam się czegoś dowiedzieć o grobie znalezionym przez policję.
- Przydzieliłem tę sprawę Normowi.

Kiwnęła głową.

- Nie podobało mu się, że tam pojechałam.
- Rzeczywiście, był trochę zdenerwowany.
- Dlaczego?

- Uważa, że z nim rywalizujesz.

- Czuje się zagrożony?

- Tego nie powiedziałem.

Nikki była zmęczona i zła. Nie mogła się opanować.

- Ale dałeś do zrozumienia. Nie wiem, co w tym złego, że pojechałam do Dahlonega. Moja praca na tym nie ucierpiała. Metzger wciąż ma swój temat. W czym problem?

- Może nie ma żadnego - powiedział Fink, wciąż poważny i chłodny. - Nie każę ci się wycofać z tej sprawy. Nie zamierzam też cię ostrzegać, żebyś nie narażała się kolegom. Nie. Odrobina rywalizacji nigdy nie zaszkodzi. Musisz tylko pamiętać, że grasz z Normem w jednej drużynie. Oczekuję jak najlepszych artykułów od was obojga.

- Czyli nie zabraniasz mi węszyć.

- To nadal jest temat Norma i ty dobrze o tym wiesz. Uszanuj to. Ale nie musisz rezygnować z badania tej sprawy. Jeśli tylko nie zaniedbasz własnej pracy.

- To wszystko? - zapytała oszołomiona.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Co? Myślałaś, że cię ochrzanię?

- Co najmniej.

Prychnął i odsunął się od biurka.

- Za to, że depczesz Metzgerowi po piętach? - zapytał i pokręcił głową. - Nie. Jak już powiedziałem, odrobina rywalizacji nigdy nikomu nie zaszkodziła.

- Czyli mam zielone światło?

- Tylko nie przeszkadzaj Metzgerowi. - Fink kiwał głową w rytm poruszającej się stopy.

- A on może przeszkadzać mnie?

- Teraz przesadziłaś, Gillette.

Podniosła obie ręce nad głowę, jakby w geście poddania.

- Chciałam tylko sprawdzić, co mi wolno.

- Więc już wiesz. - Wstał.

Uznała, że to sygnał, żeby zrobić to samo.

Była już przy drzwiach, kiedy powiedział:

- Tylko graj zgodnie z zasadami, dobrze? Nie wpędź gazety w żadne kłopoty, prawne czy inne.

Odruchowo się wyprostowała. Wiedziała, o czym mówił. Chodziło mu o Chevaliera. Choć tamta sprawa dawno przeszła do historii, Nikki czuła, że wspomnienia będą ją dręczyć do końca życia. Była wtedy młoda i głupia. Dla dobra artykułu skompromitowała prawie wszystkich znajomych, również ojca. I dostała nauczkę. To było dawno temu. Odwróciła się do szefa, uniosła podbródek i powiedziała lodowatym tonem:

- Możesz mi zaufać. Wszystko, co zrobię, będzie czyste. Ty i „Sentinel” macie to u mnie jak w banku.

Fink prawie się uśmiechnął.

- I to właśnie chciałem wiedzieć.

Amen, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Nie miała powodu mu dokuczać. W końcu pozwolił jej na coś o wiele ciekawszego - nie musi pisać o harmonogramie prac komisji edukacji i przeprowadzać wywiadów z konserwatorami zabytków. Idąc między boksami, pomyślała, że nie powinna mu ufać, ale szybko tę myśl odepchnęła. Swoim podejrzeniom przyjrzy się później. Teraz może wreszcie udowodnić, że jest kimś. I to z błogosławieństwem Finka. Bardzo ją to cieszyło. Postanowiła posiedzieć kilka godzin w redakcji i popracować nad rozgrzebanymi artykułami - potem wróci do sprawy w miejscu, w którym ją przerwała. A to oznacza, że powinna nawiązać kontakt z detektywem Pierce'em Reedem.

Znaleźć go nie będzie trudno, ale skłonić do szczerzej rozmowy - to całkiem co innego. Już wiele razy proponowała mu wywiad, a on zawsze odnosił się do niej z pogardą i niechęcią. Powinien zmienić swoje nastawienie do dziennikarzy i w ogóle do ludzi. Nikki wiedziała, jak mu w tym pomóc.

Reed na pewno ma jakiś mroczny sekret, o którym wolałby nikomu nie mówić.

Chcesz go szantażować, Nikki? - zapytał z oburzeniem głos w jej głowie, ale ona nie słuchała. Nie dziś. Postanowiła bardzo uważnie przyjrzeć się wszystkim informacjom, do których się dokopie. Potrzebowała tylko odrobiny amunicji, czegoś, co skłoniłoby go do zwierzeń. Znów poczuła wyrzuty sumienia. Byłabyś zadowolona, gdyby to on grzebał w twojej przeszłości?

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, poszła do swojego boksu. Zadzzwoni do doktor Francis i skończy artykuł o

komisji edukacji. Ale najpierw połączyła się z Internetem i wklepała do swojej ulubionej wyszukiwarki słowa „detektyw Pierce Reed”. Czekając, aż pojawią się odsyłacze, przypomniała sobie, że ma sprawdzić jego stan cywilny i dowiedzieć się jak najwięcej o sprawie w San Francisco. Wiedziała już, że detektyw spędził pierwsze lata życia w północnej Georgii, w pobliżu Krwawej Góry i miejsca, gdzie właśnie znaleziono grób. Po rozwodzie rodziców pojechał z matką do Chicago, a potem wylądował na Zachodnim Wybrzeżu. Mimo to wciąż wracał do Savannah, raz przed piętnastu laty i ostatnio. Dlaczego? Postanowiła pojechać jeszcze raz do hrabstwa Lumpkin i pogadać z szeryfem, rannym chłopakiem, jego kolegą i w ogóle ze wszystkimi, którzy znali Reeda. Musiał być jakiś powód, dla którego wezwano tam detektywa.

Monitor komputera zamigotał. Uśmiechnęła się. Wyświetliło się kilkadziesiąt informacji o detektywie Reedzie. Danych było mnóstwo. Większość pochodziła z „Savannah Sentinel”. Ale były też inne, w tym kilka artykułów z gazet z San Francisco i Oakland w stanie Kalifornia.

Klikając myszką, Nikki Gillette wejrzała w osobiste i zawodowe życie detektywa Pierce’a Reeda. Zobaczyła jego zdjęcia - o wiele młodszego - i uznała, że choć już wtedy był bardzo przystojny, to teraz prezentował się jeszcze lepiej. Przynajmniej w jej oczach. Postarzał się trochę, miał lekko szpakowate włosy, ale wyraziste rysy i jastrzębie oczy bardzo pasowały do pobrażonej twarzy o wyraźnej linii zarostu. Rozczarowanie i podejrzliwość, które miał w oczach, tylko przydawały mu atrakcyjności.

Jesteś chora, powiedziała sobie w myślach. I zawsze wiążesz się z niewłaściwymi facetami. Na przykład z Seanem Hawke’em. Choć Reed jest atrakcyjny, pamiętaj, że interesujesz się nim wyłącznie zawodowo. Masz napisać artykuł, od którego zależy twoja kariera. Romans może ci w tym tylko przeszkodzić.

Omam nie wybuchła śmiechem. Romans? Z Pierce’em Reedem? Z człowiekiem, który pałał taką nienawiścią do czwartej władzy?

Dobry dowcip!

- Chcę się dowiedzieć, kto ostatni widział Bobbi Jean żywą - warknął Reed do Morrisette i McFeego, gdy odjeżdżali spod biura Marksa.

Było ciemno, dochodziła już dziewiąta, więc paliły się uliczne latarnie. Prowadziła Morrisette, znana z ciężkiej nogi. Reed siedział obok niej, a McFee z tyłu. Podróż do Atlanty zajęła im cały dzień. Patrzyli, jak pobladły Jerome Marx identyfikuje zwłoki swojej byłej żony. Nie załamał się, z jego oczu nie popłynęła ani jedna łza, nie wyglądał też na pogrążonego w żalu, ale gdy powiedzieli mu o jej śmierci, naprawdę doznał wstrząsu. Zszokował go też widok zwłok. Zesztywniały patrzył na nie, gdy podniesiono prześcieradło.

- To ona - szepnął i natychmiast się odwrócił.

Reed nie umiał stwierdzić, czy reakcja Marksa była taka, bo Bobbi nie żyła, czy też dlatego, że się z nią rozwodził. Tak czy inaczej, jeśli Jerome Marx wrzucił ją żywą, krzyczącą do trumny, to cholernie dobrze ukrywał swoją winę. Rozmawiał z nimi szczerze i zgodził się poddać badaniu wykrywaczem kłamstw. Zapytał o pierścionek, który dał jej w rocznicę ślubu, a potem powiedział, że pewnie go zdjęła, bo się rozwodzili. Gdy zapytali, czy mogą przeszukać jego dom, nawet okiem nie mrugnął ani nie wezwał adwokata. Zachowywał się tak, jakby nie miał nic do ukrycia. Ale Reed mu nie wierzył.

- Chcę też wykazy jej rozmów telefonicznych i...

- Tak, tak, to co zwykle. Wiem - powiedziała Morrisette zza kierownicy. Znajomi. Rodzina.

- Bobbi ma chyba brata gdzieś pod Nowym Orleanem, ale jej rodzice nie żyją.

- A dzieci? - zapytała Morrisette, sięgając po zgniecioną paczkę marlboro lights. Udało jej się wytrząsnąć ostatniego papierosa i nie wypaść z drogi na zakręcie przy rzece.

- Nic mi o nich nie wiadomo. - Reed myślał szybciej niż zwykle. Wykrzykiwał rozkazy. Nie miało znaczenia, że właściwie to nie on prowadzi sprawę. - Będziemy się cofać w czasie. Pogadajmy z ludźmi z jej pracy, z kobietą, od której wynajmowała dom, i ze znajomymi. Ktoś musi coś wiedzieć. Na wszelki wypadek kazałem obserwować jej dom. - Gdy Morrisette łypnęła na niego, dodał: - Przed identyfikacją zwłok nie mogliśmy uzyskać nakazu rewizji.

- Ty zidentyfikowałeś ciało - powiedziała.

- Tak, ale bardziej wiarygodne są zeznania męża.

- Czyli teraz trzymasz się zasad? - zapytała.

- Wszystko trzeba robić pod ręcznikowe.

- Akurat. To nie w twoim stylu, Reed.

- Zatrzymajmy się przy jej domu. Zobaczmy, czy zespół oględzinowy już przyjechał. - Podał adres Bobbi i Morrisette zawróciła przy najbliższej przecznicy. Ruszyli z dużą prędkością na południe, przez historyczną dzielnicę z odnowionymi domami o wysokich gankach, szerokich oknach i lśniących okiennicach. Mijali place, przypominające parki, z ławkami, posągami i bujną roślinnością.

- Może być mały problem z twoim uczestnictwem w śledztwie - zauważyła Morrisette, zapalając papierosa i otwierając okno. W samochodzie intensywnie zapachniało starym Savannah.

- Omówiłem to z szeryfem.

- Zgadza się - wtrącił się McFee. Milczący dotąd detektyw wreszcie się odezwał, gdy Morrisette skręciła w

boczną ulicę.

- Tak, w hrabstwie Lumpkin. Ale Okano może być innego zdania. Strasznie czepia się drobiazgowo. - Morrisette pokonała ostry zakręt, trzymając papierosa w zębach. Reed skrzywił się, patrząc w noc.

- Na tym właśnie polega kłopot z prawnikami. - Morrisette zerknęła w lusterko wsteczne. Radio, nastawione na częstotliwość policyjną, zatrzeszczało. - Tylko czyhają, by komuś wytoczyć proces.

- Wcale nie. Kłopot z prawnikami polega na tym, że wszyscy cierpią na paranoję - rzędził Reed, ale wiedział, że jego sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Katherine Okano, prokurator okręgowy, zwykle była po jego stronie i czasami zdarzało jej się naginać zasady, ale kiedy dowie się o jego romansie z Bobbi, najprawdopodobniej odsunie go od śledztwa.

Morrisette skręciła w lewo i podjechała pod dom Bobbi. Na ulicy stało już kilka samochodów policyjnych, a podwórko przecinała żółta taśma. Na miejscu była też jednostka K-9. Morrisette zaparkowała na podjeździe i zdusiła papierosa w popielniczce. Detektywi minęli zespół, zbierający dowody przed domem, i weszli do środka.

Gdyby nie uwijający się jak w ukropie policjanci, dom i podwórko wyglądałyby tak samo, jak ostatnim razem, gdy był tam Reed. Pokręcił się po podwórku, żeby policjantów nie zdziwiły ślady jego stóp przy domu.

- Co znaleźliście? - zapytał Diane Moses kierująca zespołem oględzinowym policji w Savannah. Afroamerykanka, która awans zawodowy zawdzięczała własnej ciężkiej pracy, była mądra i twarda. W wydziale żartowano, że gdyby chciała, mogłaby nie tylko rozdzielić Morze Czerwone na dwie części, ale i pociąć je w kratkę.

- Niewiele. Wciąż zbieramy ślady. Nie było włamania. Ale nie ma jej samochodu. Na pewno spotkała się z zabójcą, przypadkowo lub nie.

- To nie był przypadek. Morderstwa dokonano z premedytacją.

- Skoro tak mówisz.

- Nikt nie zada sobie trudu wykopania trumny tylko dlatego, że może kiedyś natknie się na ofiarę. - Ani nie adresuje kartki do gliniarza.

- Wygląda na to, że ona lubiła seks i Boga. Zabawa i religia. W sypialni są erotyczne zabawki wszelkiego rodzaju, za to lektury wybierała duchowe. Masz pojęcie?

Mieszkanie sfotografowano i sfilmowano kamerą wideo, chociaż nie było dowodów zbrodni. Każdy aspekt życia Barbary Jean Marx miał się dostać do wiadomości publicznej. W tym jej związki z mężczyznami. Reed był pewien, że przy okazji wypłynie jego nazwisko.

- Sprawdziliście jej komputer? Poczta elektroniczną? Telefon?

- Zabieramy ze sobą twardy dysk. Na sekretarce nie było wiadomości. Ani zidentyfikowanych numerów, z których do niej dzwoniło.

- Na pewno? - spytał, zerkając na telefon. - Żadnych wiadomości?

Diane podniosła wzrok znad swoich notatek.

- Przecież mówię. Żadnych wiadomości.

- Może ktoś się połączył i odłożył słuchawkę?

Zmarszczyła czoło tak, że brwi utworzyły jedną linię.

- Nic a nic. Kasety w sekretarce była pusta. Nie znaleźliśmy telefonu komórkowego ani torebki. Coś jeszcze? - zapytała. - Bo jeśli nie, to mam robotę.

W tym momencie fotograf o coś ją zapytał, więc Reed dał za wygraną. Podeszedł do telefonu. Światelko nie migąło. Czyli ktoś był tu po jego wieczornej wizycie.

Wyszli po dziesięciu minutach. Morrisette znów usiadła za kierownicą i ruszyli z powrotem na posterunek. W ciemności błyskały reflektory mijanych samochodów, uliczne latarnie roztaczały niebieskawą, nienaturalną poświatę. Niektóre ze stojących przy ulicy domów były udekorowane świątecznymi lampkami. Reed zobaczył w dużych oknach kilka rozświetlonych choinek.

Zapomniał, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia.

Zresztą nie miało to żadnego znaczenia.

Morrisette przejechała obok Cmentarza Kolonialnego. Stare nagrobki i sucha trawa robiły ponure wrażenie. To był adres zwrotny listu, który Reed otrzymał wczoraj rano. Tak jakby autor był tutaj.

- Trzeba sprawdzić wszystkie miejscowe cmentarze - powiedział, patrząc na bezlistne drzewa rosnące między starymi grobami. - Zapytać, czy jakiś grób nie został zbezczeszczoney.

- Myślisz, że ktoś, kto zakopał trumnę w górach, przywiózł ją stąd? - zapytał McFee.

- Całkiem możliwe.

Wszystko było możliwe. Zerkając przez tylną szybę, zastanawiał się, czy był śledzony. Czy obserwował go zabójca Bobbi? Czy widział, jak chodzi po jej domu? Może krył się w jakimś zakątku, a Reed przeszedł tuż obok niego? A może był tam ktoś inny, kto miał klucz do mieszkania Bobbi i przyszedł po nią? Co z mężem? Jerome Marx wciąż ją utrzymywał. Z tego, co Reed wiedział, Bobbi, pracując na pół etatu, nie zarobiłaby na swoje wydatki.

Morrisette wjechała na parking przed posterunkiem policji.

- Zaczę dzwonić do wszystkich, którzy znali Barbarę Jean. - Zahamowała i cruiser wsunął się na swoje miejsce parkingowe.

McFee miał zostać w Savannah jeszcze kilka dni, wysłać raporty faksem lub pocztą elektroniczną do biura szeryfa hrabstwa Lumpkin i, zdaniem Reeda, po prostu im przeszkadzać. Reed wolałby wziąć byka za rogi i poprowadzić dochodzenie, ale nie mógł. Morrisette miała rację. Musiał bardzo uważać.

Noc była zimna i wilgotna. Powietrze wydawało się ciężkie, lada moment mógł zacząć padać deszcz.

- Ale ziąb - mruknęła Morrisette, gasząc papierosa w pojemniku z piaskiem przy drzwiach.

- Jest zima - zauważył McFee.

- Tak, ale czy Matka Natura nie wie, że jesteśmy na południu?

Reed otworzył drzwi ramieniem, przepuścił Morrisette i McFeego, a potem poszedł z nimi po schodach na drugie piętro. Podeszwy ich butów stuknęły o stopnie. McFee zasiadł za biurkiem, które tymczasowo mu przydzielono, a Morrisette towarzyszyła Reedowi do jego gabinetu.

- Muszę wrócić do domu - powiedziała niemal przepraszającym tonem. - Ostatnio prawie nie widuję dzieciaków.

Reed zerknął na zegarek.

- Nie śpią jeszcze?

- Zapomniałam, że ty nie masz dzieci. Twoje szczęście... a może raczej ich.

- Bardzo śmieszne - odparował, zdejmując kurtkę. Temperatura w pomieszczeniach komisariatu przekraczała dwadzieścia stopni.

Była już noc i prawie wszyscy pracownicy wrócili już do domów. Przy biurkach siedziało tylko kilku twardzieli, takich jak on, na ogół bez rodzin. Posmutniał na myśl o swojej samotności, ale szybko się otrząsnął. Przecież nie jest typem człowieka, który mógłby się ustatkować. Wszystkie jego związki się rozpadły, nawet ten w San Francisco, który miał dla niego takie duże znaczenie. Helen była nauczycielką i mówiła, że go kocha, ale to nie wystarczyło, żeby zatrzymać go w mieście po tragedii. Nic by go wtedy nie zatrzymało. Wrócił więc do Savannah i przeżył kilka przelotnych związków - jeśli można to tak nazwać. Taki też był jego krótki romans z Bobbi Jean Marx.

- Idź do domu, do dzieci.

- Dobrze - powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. Zapiszczał jej pager. - Widzisz? Opiekunka mnie szuka. Do jutra.

- Jasne - odparł, ale już zniknęła za biurkami i zeszła po schodach.

Został sam w gabinecie. Zerknął w pocztę elektroniczną, na pierwszy rzut oka nie zobaczył nic ciekawego, więc uznał, że korespondencja może poczekać do rana. Był bardzo zmęczony i kusila go myśl o gorącym prysznicu, zimnym piwie i łóżku.

Może powinien wrócić do domu. Wypocząć trochę i rano zacząć intensywne śledztwo. Siegał po kurtkę, gdy telefon zadzwonił. Odebrał, zanim rozległ się drugi dzwonek.

- Detektyw Reed - powiedział automatycznie.

- Jeszcze jesteś w pracy? Myślałem, że o tej porze zgłosi się tylko poczta głosowa.

Reed rozpoznał głos lekarza sądowego, Gerarda St. Claire'a.

- Mam już wstępny raport w sprawie tych ciał z trumny. Porozumiałem się z lekarzem sądowym z Atlanty.

- Już? - Reed od razu przestał odczuwać zmęczenie.

- Powtarzam, raport jest wstępny. A nawet bardzo, ale powiedziano nam, żebyśmy się pośpieszyli.

- I?

- Niewiele wiemy. Jeszcze. Ta niezidentyfikowana kobieta miała chyba atak serca. Nic nie wskazuje na zabójstwo, ale jeśli włożono ją do trumny i pogrzebano żywcem, mogła dostać zawału. Wciąż sprawdzamy i ze stanu rozkładu ciała wnioskujemy, że zmarła przed dziesięcioma tygodniami.

Reed notował. Słuchał uważnie.

- Z drugą kobietą było łatwiej.

Reed zeszytniał.

- Przyczyną śmierci drugiej ofiary, którą zidentyfikowano jako Barbarę Jean Marx, było prawdopodobnie uduszenie, ale wciąż badamy jej ciało i szukamy obrażeń. Na razie nic nie znaleźliśmy. Prawdopodobnie udusiła się w trumnie. Steżenie pośmiertne wskazuje, że zmarła od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin temu, pogrzebana żywcem. Nie ma widocznych ran, nie ma krwi, z wyjątkiem zadrapań na palcach; powstały, kiedy próbowała się wydostać. Na kręgosłupie jest tatuaż w kształcie róży.

Reed go pamiętał. Dotykał palcami tego rysunku na ciele. Jezu Chryste!

- Ma kilka siniaków, badamy je. Jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić, czy z kimś walczyła. Analizujemy materiał spod paznokci, ale, jak już mówiłem, nie ma widocznych ran. - Lekarz zawahał się. Reed wyczuł, że to nie wszystko.

- Coś jeszcze?

- Tak. Jest coś, o czym chyba powinienes wiedzieć.

- Słucham. - Miał złe przecucie. Bardzo silne, złe przecucie. Był spięty, ścisnął słuchawkę.

- Była w ciąży.
Reeda zatkało.
- W ciąży? - Nie!
- W jedenastym, może dwunastym tygodniu.
Reed nawet nie drgnął. Przez chwilę nie oddychał.
- To może być motyw.
- Mhm... - wydusił, czując pulsowanie w głowie.

Bobbi? W ciąży? W trzecim miesiącu ciąży? Zaszło mu w ustach. Pamiętał ją w pokoju hotelowym na wyspie. Gazowe firanki powiewały na wietrze, który przynosił zapach oceanu. Przypomniał sobie jej potargane, ciemne włosy, zadarty nos i oczy płonące pożądaniem. - Było ci dobrze? - gruchała, cała lśniąca od potu. - Bo jeśli nie, kotku, to możemy zacząć od nowa. - Skubnęła ustami jego ucho. Zawsze żartobliwa i bardzo zmysłowa. Podobała mu się. Był początek września... długi weekend z okazji Święta Pracy. Patrzył przez otwarte okno na zatokę, gdzie po gładkiej tafli wody sunęły żaglówki. Żagle rysowały się wyraźnie na tle lazurowego nieba.

- Trwają już badania laboratoryjne. Tymczasem prześwietlimy ciała i otworzymy je - mówił St. Claire, wrywając go z rozmyślań. - I postaramy się zidentyfikować drugie zwłoki.

- Dobrze. - Reed już prawie go nie słuchał. - Wyślijcie mi raport.
- W porządku. - St. Claire rozłączył się, a Reed odłożył słuchawkę. Odwrócił głowę i wyjrzał przez okno, oświetlone niemal upiornym blaskiem ulicznej latarni. Zauważył, że zaczęło padać. Przez lśniąca w deszczu ulicę przeszła jakaś ciemna sylwetka, niewiele więcej niż cień.

Przetarł oczy dłonią. Cień zniknął. Może był tylko wytworem jego wyobraźni. A może po prostu ktoś uciekał przed dużymi kroplami. Cholera jasna, zaklął Reed, prawdopodobnie byłem ojcem nienarodzonego dziecka Bobbi Jean Mara. Jakiś chory sukinsyn zabił nie tylko Bobbi, ale i płód.

Dlaczego?

Kto?

Czy zginęła, bo była w ciąży, czy też był to przypadek?

„W jednej dwie, raz i dwa”.

W jednej dwie - o co chodziło zabójcy? Zabił dwie osoby w jednej? Dziecko i Bobbi. Czy ten bydlak wiedział, że była w ciąży? Reed zacisnął szczękę aż do bólu.

Zerknął na zegarek. Czerwone cyfry lśniły na nadgarstku.

„Tik tak, zegar gra”.

Podpowiedz. To musiała być podpowiedz. Ścigali się z czasem... a reszta...

„Raz, dwa. Zaczęła się gra. Niech ich słuchają, kiedy umierają”.

Ten zboczony drań na pewno wskazywał ofiary. Te dwie były pierwsze... zaczęła się gra... ile jeszcze będzie? Czy on je zna?

Poczuł mdłości na myśl, że zabójca z niego drwił. Napisał ten list, kiedy Bobbi jeszcze żyła. Morderca był hardy, zuchwały. Chciał się popisać. Na razie tego nie stwierdzono, ale Reed zastanawiał się, czy mogli uratować Bobbi od tej strasznej śmierci - gdyby on był mądrzejszy.

Nie było sposobu... Otrzymał list od zabójcy, gdy ona już leżała w trumnie. Zacisnął pięści z poczucia bezsilności. List był zaadresowany do niego. To, co się działo, było sprawą osobistą. Między zabójcą a nim.

Nagle Reed poczuł, że musi się napić. Czegoś bardzo mocnego.

„W jednej dwie, raz i dwa”.

Co to może oznaczać, do cholery jasnej?

Na pewno nic dobrego.

Rozdział 5

Reed nie odpowiadał na jej telefony.

W ciągu czterech dni Nikki zostawiła trzy wiadomości w jego poczcie głosowej na posterunku. Detektyw Pierce Reed najwyraźniej wcale nie miał ochoty oddzwonić. Nic nie uzyskała. Napisała nawet e-mail. Bez efektu. Facet mnie unika, pomyślała, popijając kawę i wylewając fusy do zlewozmywaka.

W Dahlonga też nie poszło jej dobrze. Pojechała tam, pokręciła się trochę, porozmawiała z szeryfem, który ją zbył, i wróciła do Savannah, wiedząc niewiele więcej niż na początku. Była pewna, że na Krwawej Górze zdarzyło się coś bardzo ważnego i że Reed został wezwany na miejsce zbrodni, dlatego że stąd pochodzi... ale na razie była rozczarowana poszukiwaniami.

Pocieszało ją tylko to, że Norm Metzger, który bardzo szybko znalazł się w hrabstwie Lumpkin, też wrócił z pustymi rękami.

- W trudnych sytuacjach trzeba się uciekać do desperackich środków - powiedziała Jenningsowi, ubierając się. Kot leżał skulony w fałdach jej kołdry. Rzadko używany piec głośno buczał, daremnie próbując ogrzać lodowate, poranne powietrze, które sączyło się do środka przez szpary w starych oknach jej mieszkania. Drżąc z zimna, Nikki włożyła czarną spódnicę, sweter khaki i zamszowe botki. Stroju dopełniła zamszowa kurtka. Nikki uznała, że lepiej już nie będzie wyglądać. - Jeśli Mahomet nie chce przyjść do góry - mówiła dalej do kota - to góra przyjdzie...

Zebrało mi się dziś na sentencje. Nudne, co?

Jennings zignorował jej słowa. Zeskoczył z łóżka i pobiegł z podniesionym ogonem do miseczki zjedzeniem, stojącej w kuchni.

- Mógłbyś mi czasami powiedzieć jakiś komplement - mruknęła z wyrzutem, dorzucając do miseczki suchej karmy i trochę kupionego okazjnie jedzenia z puszk. Mieszanina pachniała równie paskudnie, jak wyglądała, ale Jennings, kot prawie gruby, był zachwycony i od razu zaczął jeść, głośno mlaskając.

Nikki wzięła laptop i torebkę, a potem owinęła sobie szyję szalikiem.

- Nie traćmy czasu - oświadczyła kotu. - Prawdziwa okazja trafia się tylko raz. - Przewiesiła przez ramię pasek torby z komputerem i dodała: - To kolejne przysłowie z tych, którymi mój tata sypie jak z rękawa.

Kot nie zwracał na nią uwagi.

- Ale w to akurat wierzę. Tom Fink nie słynie z cierpliwości. Jeśli napiszę dobry artykuł, to zobaczysz. Zaczę prawdziwą karierę i wtedy powiemy Finkowi, żeby się wypchał. Przeprowadzimy się do wielkiego miasta, gdzie jest duży rynek prasowy. - Poklepała Jenningsa po przegowanym łebku. - Chciałbyś się przenieść do Nowego Jorku? Nie? Do Dallas? Hm, a może do Los Angeles? Już sobie ciebie wyobrażam na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Kupimy kabriolet, drogie okulary przeciwsłoneczne i... - Zerknęła na zegarek, no tak, traci czas. - I muszę już iść.

Szybko wyszła na dwór. Było wilgotno i jeszcze ciemno, księżyc na szczęście zasłaniały chmury, więc Nikki łatwiej było pogodzić się z tym, że jest już rano. Zbiegła z drugiego piętra po śliskich schodach na ogrodzone podwórko. W żadnym z zasłoniętych okiennicami okien budynku się nie świeciło. Dla innych lokatorów wół do szóstej to jeszcze był środek nocy.

Ale przecież inni lokatorzy nie ścigali Pierce'a Reeda.

Pewnie dlatego że byli zdrowi na umyśle.

Była zmęczona, bo przez pół nocy szukała informacji o Reedzie. Sprawdziła go nawet w urzędzie stanu cywilnego. Odkryła, że nie jest i nigdy nie był żonaty. Przynajmniej tak wynikało z dokumentów. Dowiedziała się też o jego kłopotach w San Francisco. Miał tam dziewczynę, ale po tamtej sprawie wyszła za kogoś innego.

Reed wrócił do Savannah, miasta, gdzie piętnaście lat wcześniej zaczął pracę w policji.

Nikki wiedziała niewiele, ale przecież dopiero zaczęła zbierać informacje. Wcześniej czy później wymyśli jakiś sposób, żeby skłonić tego opornego detektywa do mówienia. Otworzyła samochód i wsiadła.

Silnik krztusił się i krztusił, ale w końcu zapalił. Nikki szybko wyjechała z parkingu i przejechała kilka ulic, by dotrzeć do kamienicy, w której mieszkał Reed. Kiedyś był to duży dom jednorodzinny, ale podzielono go na odrębne mieszkania.

Jego el dorado, bardzo stary cadillac, który można byłoby nazwać zabytkiem, gdyby nie był tak poobijany, stał na swoim zwykłym miejscu parkingowym. To dobrze. Kiedyś Nikki często tu bywała. Było to podczas sprawy zabójstw w rodzinie Montgomerych, o której pisała artykuł. Dowiedziała się nawet, pod którym numerem mieszka Reed, ale nie miała odwagi zapukać do jego drzwi. Dziś miało się to zmienić.

Zobaczyła światło w oknie z matową szybą, prawdopodobnie w łazience Reeda. Albo spał przy zapalanej lampce, albo już wstał i zaczynał dzień.

Okrążając budynek, zauważyła wolne miejsce po drugiej stronie ulicy i tam zaparkowała. Serce waliło jej jak młotem. Była zdziwiona własną zuchwałością. Nigdy dotąd nie nagabywała oficera policji. Nie miała złudzeń co do reakcji Reeda. Była pewna, że się wścieknie. Co więc mogła osiągnąć? Nerwowo bębniła palcami po kierownicy, słuchając radia i pasma policyjnego - a nuż podadzą jakąś informację o grobie, znalezionym w północnej Georgii. Nie chciała drażnić Reeda, ale musiała się czegoś dowiedzieć. W kilku oknach zapaliły się światła. Po dwudziestu minutach wyłonił się Reed, z mokrymi, ciemnymi włosami odgarniętymi z czoła, w białej koszuli, wystającej spod sportowej kurtki. Szedł przez niewielki parking. Był wysoki i szczupły, miał mocno zarysowaną szczękę, która przywodziła na myśl hollywoodzkiego kaskadera. Rzucił teczkę na tylne siedzenie samochodu, usiadł za kierownicą i wyjechał swoim el dorado z miejsca parkingowego.

Nikki nawet nie włączyła silnika, dopóki jego wielki samochód nie minął jej i nie skręcił dwie przecznice dalej. Dopiero potem za nim pojechała. Wyjeżdżając z zakrętu, zobaczyła, że cadillac skręca w lewo kilkaset metrów dalej. Ucieszyła się. Jechał do swojego ulubionego lokalu, gdzie często jadał śniadanie - w pobliżu wjazdu na drogę międzystanową I-16.

Postanowiła dać mu czas, żeby usiadł i złożył zamówienie, i wejść dopiero wtedy, gdy będzie czekał na posiłek. Jeśli będzie chciał, żeby się odczepiła, da jej to do zrozumienia.

Wjechała na parking przed bankiem i odczekała pięć minut. Wystarczająco długo. Z notesem i dyktafonem w torebce przebiegła po mokrym chodniku. Nagle odniosła wrażenie, że coś się poruszyło w gęstwinie dębów w pobliżu tylnego wejścia. Zatrzymała się i spojrzała jeszcze raz, ale nic nie zobaczyła. Wyczuła jednak zapach dymu papierosowego. Wbiła wzrok w ciemność, ale zaraz skarciła się w myślach za głupotę. Kucharz wyszedł sobie na dymka. Wielkie rzeczy. Pobiegła do głównego wejścia. Dwaj mężczyźni, którzy właśnie wychodzili, przytrzymali jej drzwi. Wsunęła się do środka.

W lokalu było ciepło. Choć dopiero minęła szósta rano, kilku miejscowych już siedziało przy ladzie,

oddzielającej część jadalną od kuchni. Rolnicy, dostawcy i kierowcy ciężarówek opowiadali sobie dowcipy i prawdziwe historie przy kawie i obfitych śniadaniach, złożonych z szynki, kaszy kukurydzianej, jajecznicy oraz tostów. Zawieszona pod sufitem wiatraki młóciły powietrze pachnące dymem, boczek smażył się na ruszcie, a świeże ciasta obracały się powoli na półce w oszklonej chłodziarce.

Rozejrzała się.

Reed siedział z tyłu, nad filiżanką kawy, i przeglądał gazetę.

Teraz albo nigdy, pomyślała, przygotowując się psychicznie na opór z jego strony. Zawsze, gdy próbowała uzyskać od niego jakieś informacje, stawał się nieprzenikniony jak granitowa skała. Mówił niewiele, jego odpowiedzi często były opryskliwe. A przynajmniej szorstkie.

Musiała napisać ten artykuł. Zwłaszcza teraz, gdy Tom Fink dał jej swoje błogosławieństwo. Kto wie, czy to się nie zmieni.

Ignorując tabliczkę z napisem PROSZĘ ZACZEKAĆ NA WSKAZANIE STOLIKA, podeszła do stolika Reeda i usiadła naprzeciwko niego. Nawet na nią nie spojrział.

- Detektywie Reed?

Dopiero wtedy przeniósł wzrok z rozpostartej gazety na jej twarz. Spokojny, obojętny. Jasnobrązowe oczy wydawały się ją taksować.

- Chyba nie proponowałem, żeby pani usiadła.

- To prawda. Dzwoniłam do pana na posterunek, ale pan nie odpowiadał na moje telefony.

- Byłem zajęty.

- Oczywiście. Ale ja chcę tylko zadać kilka pytań. - Poszukała w torebce dyktafonu i notesu. Wcisnęła przycisk nagrywania, spodziewając się, że Reed sięgnie przez stół i wyłączy urządzenie.

Uniósł ciemną brew.

- Zawsze chce pani zadawać pytania.

Zignorowała tę uwagę i drażyla dalej.

- Pojechał pan do Dahlenega.

- Pani też.

Czyli ją widział. Tak myślała.

- Rzeczywiście, pracuję nad tą sprawą.

- Tak? - W jego głosie nie było ani nutki rozbawienia.

- Taki...

Podeszła do nich kelnerka, wysoka, szczupła dwudziestokilkulatka z lokami jak Nicole Kidman i plaketką z imieniem Jo.

- Zdecydowali się państwo? - zapytała z szerokim uśmiechem. W obu rękach trzymała parujące dzbanki.

Nikki szybko sięgnęła po kartę wsuniętą między plastikowy pojemniczek na keczup a szklaną butelkę z syropem.

- Zwykła czy bezkofeinowa?

- Zwykła - odpowiedziała automatycznie Nikki.

Jo odwróciła filiżankę stojącą na stoliku i naląła do niej kawy.

- To, co zawsze - powiedział Reed, z irytacją marszcząc czoło. - Zestaw numer cztery. Szynka, jajka sadzone, tost z białego pieczywa i kasza kukurydziana. Ostro sos.

- Jasne. A pani? - Jo zwróciła swoje samie, brązowe oczy na Nikki.

- Tylko kawa, och, i kawałek ciasta. Orzechowego.

- To wszystko?

- Tak.

- Lody? Podajemy je z ciastem.

- Nie, dziękuję. Tylko ciasto. - Nikki nie była głodna i nie miała ochoty na nic poza mocną kawą, ale potrzebowała pretekstu, żeby tam siedzieć. W przeciwnym razie Reed na pewno by ją spławił. I to szybko. To, że nie kazał jej odejść w ciągu pierwszych trzydziestu sekund rozmowy, było już nie lada osiągnięciem.

- Zaraz wrócę - obiecała Jo, nic nie zapisując, i poszła do sąsiedniego stolika.

- Więc... - Nikki postawiła dyktafon na stole.

Reed spojrział na urządzenie z pogardą.

- Nie powiem pani nic o sprawie z hrabstwa Lumpkin ani o żadnym z innych śledztw. - Podniósł filiżankę i patrzył na Nikki znad jej krawędzi. - Równie dobrze może pani wziąć ciasto na wynos.

- Proszę tylko o kilka informacji.

- Nic nie wiem.

- Ale...

- Wydział zajmuje się oświadczeniami dla prasy. Podobnie jak biuro szeryfa hrabstwa Lumpkin, a także FBI. Może pani poczekać, jak wszyscy inni.

- FBI bierze udział w śledztwie? - zapytała, czując szybsze bicie serca. Jeśli tak...

- Jeszcze nie. - Powoli napił się kawy.

- Ale tak będzie.
- Podalem tylko przykład.
Nie była przekonana.

- Może próbował pan dać mi wskazówkę.

Zaśmiał się sarkastycznie i w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki, co wcale nie złagodziło rysów twarzy.

- Jasne, właśnie o to mi chodziło. - Patrzył jej prosto w oczy. - Ale to jeszcze nie wszystko. Marzę o tym, żeby zostać wydziałowym kapusiem i mówić pani o dowodach, które znajdujemy. W ten sposób wszystko trafi do gazety i zabójca będzie doskonale wiedział, co na niego mamy. Podobnie jak wszystkie świry, które chcą zabłysnąć i przywłaszczyć sobie cudzą zbrodnię. Nawet pani nie wie, ilu popaprańców chce na siebie zwrócić uwagę. Sprawdzanie ich wszystkich kosztowałoby wydział dużo czasu i pieniędzy. Angażuje się w to zbyt wielu ludzi. Obraz się zaciemnia, a prawdziwy zabójca może swobodnie działać dalej. - Wypił jeszcze łyk kawy i odstawił prawie pustą filiżankę na stół. - Od dziś proszę mnie nazywać Głębokim Gardłem. - Z kpiarskim błyskiem w oczach dodał: - Może jest pani za młoda, żeby pamiętać aferę Watergate i człowieka, który przekazywał informacje Woodwardowi i Bernsteinowi.

- Mój ojciec jest sędzią. W dzieciństwie słyszałam o Głębokim Gardle oraz o filmie pornograficznym, którego tytuł stał się przydomkiem tego gościa.

- Naprawdę? - Reed sięgnął do kieszeni kurtki po portfel. - A ja słyszałem, że ojciec z panią nie rozmawia, odkąd omal nie zaprzepaściła pani procesu, który prowadził.

Poczuła ucisk w gardle i falę gorąca. Ale patrzyła mu w oczy.

- To było dawno temu, Reed. Już mu przeszło.

- Mnie by nie przeszło. Nie, gdyby załatwiła mnie pani tak jak własnego ojca. Proszę mi wierzyć, nigdy bym pani nie wybaczył - powiedział. Właśnie przysła kelnerka z kilkoma talerzami. Reed odwrócił wzrok od Nikki i uśmiechnął się niewesoło do Jo. - Panna Gillette zapomniała chyba powiedzieć, że chce ciasto na wynos.

- Och. - Dziewczyna nagle się zmieszła. Na pewno słyszała końcówkę ich rozmowy. - Bardzo przepraszam, zaraz zapakuję. - Szybko postawiła dania Reeda na stoliku i pobiegła z ciastem do kuchni.

Reed znów spojrział na Nikki.

- Teraz proszę mnie posłuchać, panno Gillette. Dziś będę miły tylko dla Jo, bo podaje mi jedzenie. - Dźgnął widelcem kaszę. - Nie mam pani nic do powiedzenia poza zwykłym „bez komentarza”. Nieważne, ile e-maili czy wiadomości mi pani zostawi. Nie będę miał dla pani żadnych informacji, dopóki wydział nie wyda oświadczenia. Zresztą wtedy też chyba nie będę nic mówić. Będzie pani musiała zadowolić się tym, co wszyscy inni reporterzy w mieście.

Wyprostowała się bezwiednie.

- Wie pan co, Reed? - zapytała. - Nie sądziłam, że jest pan taki potulny. Myślałam, że ma pan więcej odwagi. Większą klasę. Że stać pana na własne zdanie.

- I miałbym je pani powiedzieć? - zapytał, krzywiąc się.

- Słyszałam, że jest pan niesfornym gliniarzem, który nagina zasady, żeby dotrzeć do prawdy.

- Źle pani słyszała.

- Tak? - zapytała wyzywająco. - Dlaczego pojechał pan do hrabstwa Lumpkin? Przecież pracuje pan w Savannah. Wezwano pana, bo jest pan ekspertem? Czy raczej jest pan jakoś powiązany z tym miejscem? Albo z zabójstwem? Dlaczego pan?

Nie odpowiedział, ale dostrzegła coś w jego oczach, cień, który natychmiast zniknął.

- Nie wiem.

- Oczywiście, że pan wie.

Zaczął mu drgać mięsień szczęki.

- Daj sobie spokój, Nikki. To sprawa policji.

- Co, do cholery, stało się na Krwawej Górze?

Zacisnął usta.

- Skoro już tu jesteś, coś ci poradzę.

- Dobrze. Zamieniam się w słuch. - Zerknęła na dyktafon, nagrywający całą rozmowę.

- Następnym razem, kiedy będziesz się zakradać pod czyjeś mieszkanie i śledzić, bądź bardziej dyskretna.

- Rozumiem, że mam się uczyć obserwacji od ciebie - odparła i natychmiast tego pożałowała.

Zacisnął usta. Zmrużył oczy i bardzo powoli odłożył widelec. Nikki wiedziała, że ledwo się hamuje.

- Wywiad się skończył.

- Wcale się nie zaczął.

- Zgadza się. - Sięgnął do dyktafonu i wcisnął przycisk „stop”. Urządzenie wyłączyło się z trzaskiem. Reed gniewnie spojrział na Nikki.

Jo wybrała właśnie tę chwilę, żeby wrócić ze styropianowym pudełkiem.

- Proszę bardzo.

Nikki sięgnęła po torebkę, ale Reed wyciągnął rękę przez stół i złapał ją za przegub. Silne palce mocno się

zaczisnęły.

- Ja stawiam. - Puścił jej rękę tak nagle, jak ją złapał. Zwracając się do kelnerki, zdobył się na słaby uśmiech. - Proszę dopisać zamówienie panny Gillette do mojego rachunku.

- Dobrze - powiedziała Jo, zerkając na Nikki, a potem znów na Reeda. Położyła rachunek na stole, odwróciła się na pięcie i poszła do innego stolika, gdzie właśnie siadało kilku mężczyzn w myśliwskich kurtkach i kapeluszach.

Nikki za wszelką cenę starała się zatrzeć złe wrażenie, byle tylko nie zrazić do końca tego człowieka.

- Detektywie Reed, bardzo mi przykro, że tak źle zaczęliśmy.

- Wcale nie zaczęliśmy.

- Dlaczego tak bardzo mnie nie lubisz?

- Nie bierz tego do siebie.

- Ach, tak?

- Chodzi o twój zawód. Bardzo nie lubię reporterów. Wszystkich. Zawsze nam przeszkadzają.

- Czasami pomagamy. Przecież trzeba informować opinię publiczną.

- To rzadko jest konieczne. A wy podjudzacie, wyciągacie błędne wnioski, straszycie ludzi, drukujecie niepotwierdzone informacje... to naprawdę wkurzające. Ale nie cytuj mnie. To była „wypowiedź nieoficjalna”.

- Policja nie lubi, kiedy ktoś patrzy jej na ręce. Dzięki mediom jesteście uczciwi.

- Media są jak wrzód na dupie. - Zerknął na niedojedzone śniadanie, zmarszczył brwi i wyciągnął z kieszeni portfel. - Zmieniłem zdanie. Możesz tu zostać. Nie jestem już głodny. - Rzucił na stół banknot dwudziestodolarowy i wstał. - *Bon appetit!*

- Hej! Chwileczkę! - Pobiegnęła za nim do drzwi. Kierował się do swojego el dorado. Zimne powietrze smagało jej twarz, gdy pędziła przez parking. Kiedy do niego dobiegła, otwierał samochód. - No dobrze, dobrze. Przepraszam za tę złośliwość na temat obserwacji - kajała się. - Moja wina. Nie powinnam była wspominać o tym, co stało się w San Francisco. I posunęłam się za daleko, broniąc reporterów. Wiem, że niektórzy są gotowi... bardzo przesadzić, żeby tylko wywołać sensację i zabłysnąć. Źle zrobiłam. Niepotrzebnie to powiedziałam. Ale bardzo chcę napisać ten artykuł. Wcale nie oczekuję, że zdradzisz mi szczegóły śledztwa. Nigdy bym o coś takiego nie poprosiła. Ani też nie spodziewam się specjalnych względów. Chciałabym tylko spojrzeć na sprawę z innej perspektywy. Jesteśmy przecież w Savannah, a ty pojechałeś do innego stanu, gdzie nie sięga twoja jurysdykcja.

- Co z tego?

- Dlaczego tak się stało? Dlaczego właśnie ty? Co się tam dzieje? - Nie odpowiedział, tylko stał bez ruchu. - Chcę współpracować, nie jestem wrogiem - nalegała, ale on tylko na nią patrzył. Było jeszcze ciemno, deszcz moczył mu włosy, a jego twarz w niebieskawym blasku neonu restauracji była nieprzenikniona. Twarda. Reed mógł być wściekły.

- Ludzie... - powiedział tak cicho, że z trudem dosłyszała. - Nie wiecie, kiedy dać sobie spokój, prawda?

- Tak jak policja. Gdybyście wy dali sobie spokój, żaden przestępca nie trafiłby za kratki.

- To nie jest to samo.

- Oboje wykonujemy swoją pracę.

- Właśnie. I ja muszę jechać do swojej. - Wsiadł do wielkiego cadillaca, włożył kluczyk w stacyjkę i uruchomił silnik.

Wściekła na siebie, Nikki cofnęła się i patrzyła, jak Reed wyjeżdża z miejsca parkingowego.

- Pięknie - mruknęła pod nosem. - Po prostu cudownie. Świetna z ciebie reporterka, Gillette. - Podniosła kołnierz, żeby choć trochę uchronić się przed deszczem, wróciła na parking pod bankiem i wsiadła do swojego samochodu. Tak skończyła się próba nawiązania kontaktu z Reedem. Nic nie wskórała! Było fatalnie! Wróciła do punktu wyjścia. Znowu. Ale przecież musi być powód, dla którego wezwano Reeda do hrabstwa Lumpkin. I to ważny powód. Jego umiejętności? Powiązania? Fakt, że się tam urodził? Co to jest? Szukała i szukała, ale nie znalazła nic poza tym, że w dzieciństwie spędził tam kilka lat. Ten trop prowadził donikąd.

Sapnęła, zabębniła palcami w kierownicę i postanowiła, że nie będzie się nad tym zastanawiać na jakimś cholernym parkingu. Musi porządnie się przyłożyć i szukać. Wcisnęła pedał gazu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Gdy silnik zaczął działać, spojrzała przez ramię, żeby wyjechać tyłem z miejsca parkingowego. Nagle zauważyła jakiś ruch w pobliżu żywopłotu otaczającego parking. Czyjaś sylwetka odsunęła się od ulicznej latarni.

Ścisnęło jej się serce.

Zerknęła w lusterko wsteczne. Nic.

Jeszcze raz spojrzała przez ramię. Żywopłot się nie ruszał.

- To nic - powiedziała sobie, dostrzegając mężczyznę, stojącego za żywopłotem, poza kręgiem światła latarni. Nie widziała jego rysów, ale czuła, że na nią patrzy. Obserwuje.

Czy czeka?

Czy to ten sam mężczyzna, którego widziała przed spotkaniem z Reedem?

Zaschło jej w gardle. Włączyła wsteczny bieg. Co z tego, że jakiś facet kręci się koło restauracji? Przecież to nie zbrodnia. W dodatku zbliża się godzina porannego szczytu. Niebo już robi się szarawe. Może facet czeka, aż ktoś go zabierze, szuka przystanku autobusowego, jedzie do pracy.

A może nie.

Coś w jego sylwetce, gdy stał tuż obok kręgu światła latarni, bardzo ją zaniepokoiło. Czowała na sobie jego wzrok. Obserwował ją. Dostała gęsiej skórki.

- Zboczeniec - mruknęła, jeszcze raz spoglądając w lusterko wsteczne.

Poszedł sobie.

W pobliżu nigdzie ani śladu.

Zniknął jak sen.

- No, już, Nikki. Weź się w garść. - Może poniosła ją wyobraźnia i dlatego wszędzie widziała czające się zło? To na pewno był wpływ tych wszystkich rozmów o grobach, trupach i morderstwach. - Dobre sobie! - mruknęła. - Niedoszła reporterka kryminalna przestraszyła się gościa, który pewnie czekał na autobus. - Zastanawiała się, co się z nią stało. Po jednej rozmowie z Reedem nagle tak zmiękła? To nie było w jej stylu. Włączyła bieg i wreszcie wyjechała z parkingu. Nikt jej nie obserwował ani nie śledził. Nic się nie działo. Nic!

A jednak...

Jeszcze raz spojrzała w lusterko. Czy on tam jest? Niedaleko latarni? Czy obserwuje ją w milczeniu, ukryty wśród liści? Czy coś się tam poruszyło?

Oblał ją zimny pot. Nacisnęła pedał gazu.

Zatrąbił klakson.

Wcisnęła mocno hamulec, o włos mijając taksówkę, która wyjechała z prawej strony. Nawet jej nie widziała. Czując przypływ adrenaliny, zacisnęła spocone dłonie na kierownicy i nakazała sobie w myślach: opanuj się. Nie mogła zmarnować okazji na taki artykuł. Całe życie czekała na taką szansę.

Dodała gazu i hatchback wyjechał na ulicę.

Ostatnie spojrzenie w lusterko - ale nikogo nie zobaczyła. Nikogo.

Uciekaj, dziwko, pomyślał Mściciel, ukryty w gęstym listowiu za żywoplotem. Patrzył, jak czerwone tylne światła samochodu Nikki Gillette znikają za rogami. Nigdy nie uciekniesz. Nie przede mną.

Przeszył go miły dreszcz. Krew krążyła szybciej. Zainteresowała się sprawą, a to oznaczało, że media poświęcą mu więcej uwagi - nie tylko ten szmatławiec, w którym pracowała, ale i stacje radiowe, i telewizyjne. Stanie się sławny nie tylko w tamtej miejscinie na północy. Będzie się o nim mówić w Atlancie i tutaj, w Savannah. A może też w ogólnokrajowych mediach...

Tak jak się spodziewał, Nikki Gillette pojechała za Reedem do restauracji i tam go przyszpiliła. Obserwował ich rozmowę z zewnątrz, przez okno. Wszystko poszło zgodnie z planem. Stojąc na mrozie, nic nie słyszał, ale czytając im z ust, zorientował się, o co się kłócili.

Ona chciała się czegoś dowiedzieć.

Reed nie miał zamiaru nic jej mówić.

Co musiało ją zachęcić do poważniejszych poszukiwań. Taką miała naturę. Nikki nie lubiła przegrywać.

Teraz oboje, gliniarz i reporterka, byli zaangażowani w sprawę.

Doskonale.

Już byli kłębkami nerwów.

Mściciel uśmiechnął się. Obliznął usta końcem języka.

To dopiero początek.

Rozdział 6

No, Cliff, mów - powiedziała Nikki, gdy wreszcie dodzwoniła się na jego telefon komórkowy. Cały ranek była w redakcji. Popracowała trochę nad innymi artykułami, żeby jak najszybciej mieć to z głowy, zostawiła wiadomość dla siostry, posłuchała redakcyjnych plotek, ale tak naprawdę zajęła się szukaniem informacji o dwóch ciałach znalezionych w grobie w lesie północnej Georgii. Zadzwoiła do swoich informatorów w hrabstwie Lumpkin i do kolegi z AP, który pracował pod Atlantą, ale wszyscy wiedzieli tylko to, co przekazało dziennikarzom biuro szeryfa, czyli niewiele. Teraz siedziała przy biurku, mazała coś w notesie i mówiła cicho do telefonu, mając nadzieję, że nikt jej nie usłyszy, nawet Trina. - Co się dzieje w Dahlenega? Dlaczego Reed bierze udział w śledztwie?

- Cholera, Nikki, jego o to zapytaj! - irytował się Cliff.

- Próbowałam. Dziś rano. Powiem ci tylko, że nie był skory do rozmowy.

- To w jego stylu.

- Więc dlaczego on? Czemu poleciał tam śmigłowcem? Jaki jest jego związek z tą sprawą?

- Nie mogę powiedzieć.

- Ale jakiś jest.

- Mówię ci, że nie mogę...

- Dlaczego?

Nie odpowiedział, ale ona od początku podejrzewała, z jakiego powodu wysłano Reeda do Dahlenega.

- Bo Reed jest w to zaangażowany. Znał ofiarę albo zabójcę, albo może jest podejrzany...

- Wolnego, wolnego! To już są spekulacje!
- Musi być jakiś powód. Wiesz już, kim były ofiary?
Wyraźnie się zawahał.
- Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca.
- Przecież nic nie powiedziałem.
- Nie wygłupiaj się, Cliff. W końcu podacie nazwiska ofiar do wiadomości publicznej, gdy tylko krewni zostaną poinformowani.

- Czyli dziś po południu.
- Powiedz mi teraz, żebym wiedziała wcześniej niż inni.
Westchnął; Nikki poczuła ulgę. Cliff zawsze wzdychał, zanim podał jej ważną informację.
- Chyba nic się nie stanie, jeśli ci powiem. Ofiary to dwie kobiety. Starsza zmarła jakiś czas temu, bo ciało jest w stanie zaawansowanego rozkładu; nie znamy jeszcze jej tożsamości. Druga jest znacznie młodsza i była w trumnie bardzo krótko.

- Jak krótko?
- Niecały dzień.
- Kto to jest?
- Barbara Jean Mara. Wszyscy mówili na nią Bobbi. Pochodziła z Savannah. To już wszystko, co mogę ci powiedzieć. Naprawdę. Muszę kończyć.

Nikki zapisała nazwisko ofiary. Wreszcie miała coś na początek.

- Jak zmarła?
Wahanie. Nikki postawiła przy nazwisku znak zapytania.
- A ta druga?
- Zdradzę ci tylko, że to było zabójstwo, przynajmniej w przypadku Bobbi, ale naprawdę nie mogę z tobą o tym rozmawiać. Żeby nie zaszkodzić śledztwu.

- Daruj sobie tę policyjną śpiewkę. - Nikki napisała nazwisko Reeda obok nazwisk ofiar i postawiła kolejny znak zapytania. - Kim jest druga ofiara? Jak są ze sobą powiązane?

- Na razie nie powiem nic więcej.
Nikki wiedziała, że Cliff za nic w świecie nie zdradzi jej przyczyny śmierci ofiary, więc spróbowała z drugiej strony.

- Kim ona była? Nie chodzi mi o nazwisko.
- Nie wolno mi powiedzieć.
- Powtarzasz się jak stara płyta.
- No i dobrze.

Słyszac stanowczość w jego głosie, wyczuła, że Cliff zaraz się rozłączy, więc zapytała szybko:

- Dlaczego wydział wysłał tam Reeda? A może poprosiło o to biuro szeryfa w Dahlonga?

Cisza. Żadnej odpowiedzi. Zamknął się w sobie. Musiała działać szybko.

- Dlatego że kiedyś tam mieszkał? A może z powodu jego wyjątkowych umiejętności? Albo po prostu dlatego że akurat był na służbie?

- Sama się domyśl, Nikki - warknął Siebert. - To nie jest fizyka jądrowa. - Głośne kliknięcie było sygnałem, że się rozłączył.

- Cholera jasna - mruknęła pod nosem, wyrwała kartkę z notatnika i włożyła ją do torebki. Nie traciła ani chwili. To była jej szansa. Wielka szansa. Nikki nie miała zamiaru dzielić się informacjami z Normem Metzgerem. Mowy nie ma! Nie i już! Niezależnie od poleceń Toma Finka. Nie chciała ryzykować, że ktoś w redakcji odkryje, czym ona się zajmuje, spakowała więc komputer, uprzedziła recepcjonistkę, że wychodzi, i pojechała do domu. W swojej wieżycze mogła się połączyć z Internetem przez sieć kablową i znała hasło, umożliwiające dostęp do archiwów „Sentinela” oraz jego siostrzanej gazety w Atlancie. Postanowiła, że tego popołudnia wyciągnie z baz danych wszystkie informacje na temat Barbary Jean Marx, potem pojedzie do jej domu i miejsca pracy, a także porozmawia z jej znajomymi. Może domyśli się, dlaczego ta kobieta została zamordowana.

- Co wiedzą w biurze szeryfa? - zapytał Reed, gdy około trzeciej McFee wszedł do jego gabinetu.

Reed pracował cały ranek. Nadrabiał zaległości w innych śledztwach, skontaktował się z laboratorium kryminalistycznym, żeby sprawdzić, czy znaleziono jakieś odciski palców na liście, który otrzymał poprzedniego dnia, zadzwonił do St. Claire'a i zapytał o ustalenia na temat ofiar znalezionych w grobie. Lekarz przefaksował mu wstępne raporty. Reed czytał je teraz. Potwierdziło się wszystko, co St. Claire powiedział mu wcześniej. Barbara Jean Marx zmarła z powodu uduszenia, a w jej krwi stwierdzono wysoki poziom alkoholu i ślady środka uspokajającego, ativanu. Miała poranione palce, posiniaczone kolana, zakrwawione czoło - prawdopodobnie uderzyła głową w wieko trumny. Zdarła kilka paznokci u rąk i nóg, bo drapała, próbując się wydostać. I była mniej więcej w jedenastym tygodniu ciąży. Reed czytał to ze ściśniętym żołądkiem.

McFee usiadł na krześle.

- Rozmawiałeś z Baldwinem?

- Parę razy, ale wiemy niewiele więcej niż dwa dni temu - przyznał detektyw. Krzywiąc się, przesunął dłonią po szczęce. Siegnął do kieszeni i wyciągnął mały notes. - Prescott Jones, chłopak, który został ranny na Krwawej Górze, nadal jest w stanie krytycznym. Baldwin pojechał porozmawiać z nim, ale nic z tego nie wyszło; lekarze i pielęgniarki zabraniają odwiedzin. Ojciec chłopaka też nie pomógł. Chyba ma nadzieję, że jego syn drogo sprzeda swoją opowieść jakiemuś brukowcowi. Ale Baldwin wciąż nad nim pracuje. Rozmawiał też z drugim chłopakiem.

- Delacroix?

- Tak. Ale smarkacz wciąż mówi to samo i nie przypomina sobie więcej szczegółów. Tylko że wygląda, jakby... jakby coś ukrywał.

- Może boi się gliniarzy. Jak większość dzieciaków. Woli milczeć, niż pakować się w kolejne kłopoty.

- Porozmawiam z nim jeszcze raz. - McFee zapisał to sobie w notesie. - A może szeryf coś z niego wydusi.

- Może - zgodził się Reed.

- Rozmawiałem też z szefem zespołu oględzinowego. Ustalili numer seryjny trumny i zbadali próbki gleby. Miałeś rację, część ziemi pochodzi z innego miejsca. Za dużo w niej piasku.

Usłyszeli stukot obcasów - idzie Morrisette, wiedzieli to, zanim pojawiła się w drzwiach. Jej jasne włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Od stóp do głów ubrana była na dzinsowe: dzinsowe spodnie, koszula i kurtka. I oczywiście buty z wężowej skóry, które dawno temu kupiła w El Paso.

- O czymś nie wiem? - zapytała i posłała McFee uwodzicielski uśmiech.

O, rany, pomyślał Reed, czy ona się nigdy nie opamięta?

- McFee przekazywał mi właśnie ostatnie informacje.

- Zespół oględzinowy ustalił numer seryjny trumny i znalazł na niej glebę inną niż w okolicy.

- Czyli trumna została przywieziona.

- Na to wygląda - potwierdził McFee. - Sprawdzają i porównują.

Morrisette przysiadła na parapecie. Za nią, po drugiej stronie szyby, promienie zimowego słońca przebijały się przez gęste chmury.

- Niech sprawdzą, czy próbka nie pochodzi przypadkiem z cmentarza Stonewall.

- Dlaczego? - zapytał McFee.

- Poprzedniej nocy ktoś rozkopał tam grób.

Reed spojrzał uważnie na partnerkę.

- I nie ma trumny?

- Zgadza się. Nie tylko trumny, ale i ciała.

- Niech zgadnę: sześćdziesięcioletniej kobiety?

- Pauline Alexander.

McFee prychnął.

- To by pasowało. Trumna została zrobiona w Jackson w Missisipi i sprzedana Beaufortowi Alexandrowi, dla żony. Jakies dwa miesiące temu.

- Pauline Alexander zmarła w domu, na atak serca. Była w kuchni i robiła konfitury czy jakieś inne przetwory. - Morrisette wzruszyła ramionami. - Nie wiedziałam, że ludzie jeszcze zawracają sobie tym głowę. W każdym razie Beaufort wrócił z polowania, znalazł ją na podłodze i wezwał pogotowie. Ale było już za późno.

Reed przejrzał raport z sekcji zwłok, szukając jakiejś nienaturalnej przyczyny ataku serca, ale nie znalazł nic, co mogłoby wskazywać na przestępstwo.

- Czyli mamy jedną kobietę zmarłą śmiercią naturalną oraz drugą, którą zamordowano i pogrzebano żywcem w trumnie - powiedział i podnosząc wzrok, dodał: - Była w ciąży.

- Cholera, nie! - Morrisette zerwała się z parapetu.

McFee miał zacięty wyraz twarzy.

- Dziecko?

- Ofiara była w drugim miesiącu ciąży.

- Myślisz, że morderca o tym wiedział? - zapytała Morrisette. - Jezu Chryste, jakim chorym, pieprzonym zbrojencem trzeba być, żeby wykończyć kobietę w ciąży?! Kto mógł jej tak nienawidzić? To na pewno ojciec dziecka. Jej mąż.

- Jeśli to on był ojcem - powiedział Reed, czując ucisk w żołądku. - Trzeba przeprowadzić testy DNA.

- Mówiłeś, że miałeś z nią romans. - Siedzący po drugiej stronie biurka McFee patrzył podejrzliwie na Reeda.

- Co? Zaraz, zaraz... - Morrisette opadła szczęką. - Ty ojcem? O, rany, niech no tylko Okano się o tym dowie.

Natychmiast odsunie cię od śledztwa.

- Wiemy już, kto ostatni widział Bobbi? - zapytał Reed.

- Może ty mi to powiesz? - Morrisette chodziła po gabinecie jak zraniony lew, nerwowo przeczesując palcami włosy nastroszone tak, jakby rażono ją prądem. - Dlaczego nic nie powiedziałaś? - Była wściekła, policzki jej płonęły. - Jesteśmy partnerami, Reed. Wiesz wszystko o moim życiu, o dzieciach, byłych mężach i... o, cholera. - Znów wskoczyła na parapet. - Masz jeszcze jakieś tajemnice, którymi chciałbyś się podzielić?

- Nie teraz.
- W razie czego mów, dobra?
- Teraz musimy się dowiedzieć, czy Barbara Jean Mara знаła Pauline Alexander.
- To dopiero początek - mruknęła Morrisette.
- Tak, ale czy jest jakiś związek? Czy trumna Pauline została wykopana przypadkowo, czy też zabójca dał nam kolejną wskazówkę? List mówi o dwóch osobach.
- Naprawdę cię to nie ruszyło? - syknęła Morrisette. - Zamiast krwi w twoich żyłach płynie lodowata woda? Właśnie się dowiedziałeś, że twoja kochanka została wpakowana do trumny, pogrzebana żywcem, może była z tobą w ciąży, a ty... siedzisz sobie, jak gdyby nigdy nic, i zastanawiasz się, czy znała tamtą kobietę? - Wzniosła oczy do nieba i wykonała wymowny gest ręką. - Nie mogę w to uwierzyć.
Reed oparł się na krzesło.
- Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to rozwiązać tę sprawę.
- Ale...
- On ma rację - wtrącił McFee. - I musi się spieszyć. - Patrzył na Reeda, ale wskazywał kciukiem Morrisette. - Bo ona też ma rację. Odsuną cię od śledztwa. I to natychmiast.

Telefon komórkowy Nikki zadzwonił w chwili, gdy podjeżdżała pod firmę Jerome'a Marksa. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Simone, jej przyjaciółki.

- Hej, co słyhać? - zapytała Nikki, patrząc na drzwi budynku z czerwonej cegły, znajdującego się kilka ulic od Giełdy Bawełny.

- Kick boxing jutro o siódmej wieczorem. Pamiętasz?
Nikki jęknęła w myślach. Dziś i jutro czeka ją wiele godzin poszukiwań, poza tym musi napisać artykuł.
- Nie.
- Opuściłaś ostatnie zajęcia.
- Wiem, wiem, ale robię coś bardzo ważnego.
- Nie mów. - Simone powiedziała to takim tonem, jakby się uśmiechała. - Temat życia. Szansa na karierę, wielki przełom, artykuł stulecia i...
- Dobra, dobra, wiem, że to wszystko już słyszałaś.
- Aha... Myślałam, że sobie poćwiczymy, a potem posiedzimy przy grillu, wyskoczymy na drinka albo coś takiego.

- Nie wiem, czy dam radę.
- Nie żartuj, Nikki. Te treningi to był twój pomysł.
Nikki zerknęła na zegarek. Wpół do szóstej. Gdzie ten Mara?
- Sama nie wiem.
- Na pewno poczujesz się lepiej.

Simone miała rację. Trochę ćwiczeń fizycznych na pewno nie zaszkodzi. Po treningu Nikki zawsze czuła się silniejsza, nabuzowana, gotowa podbijać świat.

- Dobrze, spotkamy się w klubie, ale inne rozrywki chyba sobie daruję.
- Czyli będę musiała cię namawiać. Może po zajęciach wyciągniemy Jake'a na drinka.
Jake Vaughn był ich trenerem. Wysoki, ciemnowłosy, przystojny, miał takie mięśnie, że mógłby startować w konkursie na Mistera Universe. Nikki podejrzewała, że jest gejem. Podobał się wszystkim kobietom i niektórym mężczyznom w grupie. Jake nie wysyłał seksualnych wibracji, w przeciwieństwie do większości facetów po trzydziestce. Simone chyba tego nie zauważyła. Podkochiwała się w Jake'u od pierwszych zajęć, w których uczestniczyły we wrześniu.

- Próbuj.
- A żebyś wiedziała, że spróbuję.
Nikki wpatrywała się w drzwi budynku. Wreszcie zobaczyła Jerome'a Marksa. Ubrany w płaszcz, podążył szybko w stronę parkingu.

- Simone, muszę kończyć. Zobaczymy się później.
- Liczę na to. Jutro. - Simone się rozłączyła.
Nikki zablokowała telefon komórkowy, wrzuciła go do torebki i szybko wysiadła z samochodu. Zapadał zmrok. Przebiegła przez ulicę i dogoniła Jerome'a Marksa przy schodach.

- Panie Marx?
Odwrócił się do niej i lekko uśmiechnął. Nie wyglądał jak pogrążony w żałobie mąż.
- Nikki Gillette, „Savannah Sentinel”. Słyszałam o śmierci pańskiej żony. Proszę przyjąć moje kondolencje.
- Byłej żony - poprawił i już się nie uśmiechał. Zaciśnął usta. - A raczej niedoszłej byłej żony. Dziękuję.
- Jeśli ma pan chwilę, chciałabym porozmawiać o tym, co się stało. - Niemal truchtała, żeby dorównać mu kroku.
- O czym tu mówić? Bobbi została zamordowana. Jakiś świr zamknął ją w trumnie z martwą kobietą i pogrzebał żywcem. Mam nadzieję, że policja schwyta tego drania. - Ruszył po betonowych schodach.

Nikki stanęła jak wryta.

- Żywcem? - powtórzyła wstrząśnięta. Miała wrażenie, że krew ścina jej się w żyłach. Wyobraziła sobie kogoś zamkniętego w trumnie, brak powietrza, niemożność ucieczki. - Żyła wtedy? - Choć przerażona, czuła też ekscytację. Poznała nie tylko tożsamość ofiary, ale i przyczynę zgonu. - Czy była przytomna? A może... oszołomiona narkotykami? Czy wiedziała, co się z nią działo?

Zbladł. Zrozumiał, że powiedział za dużo.

- To była wiadomość nieoficjalna.

- Nie zastrzegł pan tego na początku.

- Proszę mnie zacytować, a pozwę panią do sądu - rzucił przez ramię, ale to nie miało już znaczenia. Nikki była uradowana. To jest to! Temat, na który czekała tyle lat. Już z dwóch źródeł wiedziała, że ofiarą była Barbara Jean Marx. Musiała jeszcze raz zapytać Cliffa, czy w trumnie naprawdę były dwa ciała i czy Barbara Jean została pogrzebana żywcem - ale miała już o czym pisać.

- Wie pan, kim była ta druga kobieta? - zapytała. Jej umysł pracował na zwiększonych obrotach.

- Nie.

- Czy pańska żona miała wrogów?

- Zbyt wielu, żeby ich wyliczyć, a ten wywiad właśnie się skończył. Chociaż właściwie się zaczął. - Otworzył sobie ramieniem drzwi na trzeci poziom parkingu. Nikki przytrzymała je i wbiegła za nim, gdy szedł do czarnego mercedesa.

- Kto pańskim zdaniem mógłby chcieć skrzywdzić Barbarę?

Zatrzymał się przy eleganckim zderzaku samochodu.

- Proszę zapytać Pierce'a Reeda - burknął gniewnie. - A teraz, pani wybaczy. - Otworzył samochód i usiadł za kierownicą, zanim zdążyła coś powiedzieć. Rzucając jej ostatnie wściekle spojrzenie, wyjechał tyłem z miejsca i ruszył przez parking.

W dużym, pustym garażu hulał wiatr. Nikki stała na betonie, poplamionym olejem i poznaczonym śladami opon. Na tym poziomie było tylko kilka samochodów. Poszła w stronę schodów, stukając obcasami. Ktoś zamknął Barbarę Jean Marx w trumnie. Z innym ciałem? Od tej myśli Nikki zrobiło się niedobrze. Wyobraziła sobie strach tej kobiety. Nikki miała klaustrofobiczną naturę, zawsze wolała otwarte przestrzenie od klitek, wind czy ciasnych pokoi. Myśl o ocknięciu się w trumnie, między zwłokami a wiekiem... O, Boże, to zbyt okropne, żeby się nad tym zastanawiać. Kto byłby zdolny do takiego czynu? Jak bardzo musiał nienawidzić tej kobiety, żeby zgotować jej taki los?

Nikki doszła do schodów i ruszyła w dół.

„Proszę zapytać Pierce'a Reeda”.

Oczywiście, że zapyta Reeda. On prowadzi śledztwo.

Tylko że Jerome Marx powiedział to bardzo dziwnym tonem, jakby to była obelga, jakby chodziło o coś jeszcze. Nadinterpretuję fakty, pomyślała. Jak zwykle ponosi mnie wyobraźnia.

Usłyszała odgłos zatraskiwanych drzwi piętro wyżej i skrzypienie zelówek na stopniach.

Ale dlaczego Reeda poproszono o pomoc w śledztwie?

I dlaczego nazwisko Barbary Marx wydawało jej się znajome? Od początku odnosiła wrażenie, że gdzieś je już słyszała. Może to była przypadkowa zbieżność, może nazywała się tak jakaś aktorka czy inna sławna osoba, o której czytała w rubryce plotek, ale miała przecucie...

Odgłos kroków na górze był coraz głośniejszy. Pomyślała o ciemnej postaci, którą widziała tego ranka, o nieznanym, kryjącym się w cieniu. Serce zabiło jej szybciej. Klatka schodowa była niezbyt dobrze oświetlona. Nikki przyspieszyła, chciała jak najszybciej zejść na pierwsze piętro. Kroki były coraz bliżej. Energicznie otworzyła drzwi, prowadzące na ulicę, i wybiegła od garażu. Zerknęła przez ramię i zobaczyła mężczyznę; biegł w drugą stronę, jakby bardzo się spieszył. Nawet na nią nie spojrzął, ale gdy dotarła do samochodu, tętno miała powyżej stu uderzeń na minutę. Otworzyła drzwiczki.

Już wsiadała, gdy zauważyła kawałek papieru wetknięty za wycieraczkę. Jęknęła w myślach. Wspaniale! Jeszcze do tego mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Ale przecież jest już po godzinach! Zresztą ta kartka wcale nie wyglądała na mandat. O, Boże, pomyślała. Na pewno ktoś uderzył w mój samochód. Właśnie! I uciekł. Wyrwała złożoną kartkę zza wycieraczki i rozpostarła ją. Spodziewała się zobaczyć nazwisko i numer telefonu. Ale na kartce były tylko dwa słowa.

DZIŚ WIECZOREM.

Co to znaczy, do cholery jasnej?!

Powiał wiatr, rozrzucając suche liście po ulicy. Przejechał samochód. Nikki rozejrzała się, szukając tego, kto mógł zostawić tę kartkę. W pobliżu nie było nikogo. Nie widziała żadnej przyczajonej, obserwującej ją postaci. Kilku pieszych, idących ulicą, wyglądało raczej na pracowników biurowych, którzy po pracy spieszyli do swoich samochodów lub domów. Jakiś chłopak jechał na deskorolce, kobieta pchała wózek z dzieckiem, starszy pan prowadził psa na smyczy, nastoletnia para tuliła się i śmiała, przechodząc przez ulicę w niedozwolonym miejscu. Nikki spojrzęła na parking... drzwi właśnie się zamykały. Poczula ciarki na plecach, choć właściwie nie było ku

temu powodu.

Wcisnęła kartkę do torebki i wskoczyła do samochodu. Nie była strachliwa, ale dziś w powietrzu wisiało coś dziwnego. Poza tym wytrąciła ją z równowagi myśl o Bobbi Jean Marx, wciśniętej do trumny z martwą, rozkładającą się kobietą. Nikki była reporterką. Uodporniła się trochę na ból i okropności świata, ale gdy cierpiały dzieci lub zwierzęta, zawsze ją to poruszało. I to bardzo. Każdy, kto krzywdził niewinnych, powinien ponieść karę dożywotniego więzienia albo jeszcze gorszą. To samo powinno spotkać bydlaka, który zamknął żywą kobietę w trumnie ze zwłokami. Czy można sobie wyobrazić potworniejszą śmierć? Zadrżała i wyjechała z podjazdu.

„Dziś wieczorem”.

Co dziś wieczorem?

- Na miłość boską, co ty sobie myślałeś? - Katherine Okano stała za biurkiem i wyglądała przez okno, gdy Reed zapukał w uchylone drzwi jej gabinetu i wszedł do środka. Splotła ramiona pod biustem i gniewnie uderzyła palcami jednej ręki w rękaw drugiej. Była szczupła, despotyczna, zasadnicza i bardzo stanowcza. Teraz przyparła do muru Reeda. - Znałeś Barbarę Jean Marx, ofiarę zabójstwa, i poprosiłeś o pozwolenie na udział w śledztwie? - Zanim zdążył odpowiedzieć, dokończyła: - W dodatku była w ciąży. Może z tobą. Nie rozumiesz, że to klasyczny konflikt interesów? - Jej głos ociekał sarkazmem.

- Chcę znaleźć zabójcę.

- Nie wątpię, ale odsuwam cię od sprawy. - Spojrzała na niego znad okularów w metalowej oprawce. Była po czterdziestce, miała jasne włosy przycięte na pazia, bystry umysł i przesywające spojrzenie.

- Znałem Barbarę.

- Jesteś uprzedzony. I, przy okazji, ta kobieta była mężatką. Policji nie jest potrzebna taka reklama. Prasa nie zostawiłaby na nas suchej nitki.

Odsunęła fotel przy biurku i usiadła, jakby wyczerpała temat.

- Koniec dyskusji, Reed. Odsuwam cię od sprawy.

- List w trumnie był adresowany do mnie. Inny taki list dostałem pocztą w przeddzień odkrycia zwłok, z fałszywą pieczęcią cmentarza Kolonialnego. Myślę, że oba listy napisała ta sama osoba. Kimkolwiek jest ten drań, stara się uwikłać mnie w tę sprawę.

Spojrzała na niego.

- Tym bardziej nie powinieneś jej prowadzić.

- Kathy, przecież wiesz, że sobie poradzę. Będę obiektywny, jednocześnie lepiej rozumiejąc problem.

- Daj spokój, Reed. Nie ma mowy!

- Ale...

- I proponuję, żebyś dobrowolnie dał próbkę na test DNA.

- Już to zrobiłem.

- Dobrze. Odsuś sobie, Reed. To śledztwo ma być przeprowadzone książkowo. - Zamrugła. - Rozumiesz?

- Tak.

- Cieszę się. Jeśli wpadnie ci do głowy, żeby kombinować za moimi plecami, wiedz, że możesz za to zapłacić utratą pracy. Narażałam się dla ciebie, kiedy wyjechałeś z San Francisco. Chcesz zrobić ze mnie idiotkę?

- Nawet by mi to przez myśl nie przeszło.

- Doskonale. - Pierwszy raz tego dnia uśmiechnęła się do niego serdecznie. - W takim razie nie będziesz się sprzeciwiał testowi na ojcostwo ani przesłuchaniu przez detektywa McFeego.

- Skądże znowu - powiedział Reed, choć wewnątrz się gotował. Wiedział, że o nic go nie oskarżała i prawdopodobnie nawet nie podejrzewała, ale i tak był wściekły. Podszedł do drzwi. Gdy wychodził, odezwała się:

- Dzięki, Pierce. Wiem, że nie jest ci łatwo i... cóż... przyjmij moje kondolencje, jeśli... sam wiesz co.

Jeśli okaże się, że dziecko było moje.

- Tak. Wiem. - Wyszedł i krętymi korytarzami wrócił do swojego gabinetu. Jego dziecko. Czy to możliwe? A niech to!

Była w kuchni. Niska i garbata, z siwymi włosami upiętymi w kok na czubku głowy, w podomce krzątała się przy piecyku i gotowała wodę na herbatę. Tak jak co czwartek, w jedyny wieczór tygodnia, kiedy gospoia wychodziła wcześniej. W starym domu było ciemno - tylko niebieskawy blask sączył się z telewizora, włączonego w sypialni, a w kuchni paliło się ciepłe światło.

Mściciel obserwował ją z zewnątrz. Nie mógł już się doczekać tego, co miało się stać. Wyobraził sobie zabójstwo i krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Ukryty w cieniu wielkiej magnolii, pogłaskał dużego, przegowanego kota, którego trzymał na rękach, i spojrzał w niebo. Sierp księżycy był wysoko, prawie niewidoczny przez płataninę gałęzi i cienką warstwę chmur, wiszących nad miastem. Kot był zdenerwowany, próbował się wyrwać. Nic z tego.

Zagwizdał czajnik. Mściciel usłyszał ten dźwięk nawet przez zaparowane szyby. Dobrze. Kot się szarpnął, ale nie zdołał uciec. Już prawie czas. Oblał się potem. Cierpliwości. Jeszcze kilka sekund.

Tylne drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Staruszka wyszła w snop światła lampy na ganku.

- Maximus?! - zawołała gdaczącym głosem. - Chodź, kotku!

Kot szamotał się coraz bardziej.

Mściciel poczuł przyptyw adrenaliny. Już niedługo.

Zaczekaj. Jeszcze nie.

- Kici, kici... Maximus, ty diabełku... gdzie się podziałeś? Wracaj, kotku, kici, kici. - Wołając tak zatroskanym głosem, przeszła z jednego końca ganku na drugi i patrzyła w ciemną gęstwinę liści w ogrodzie.

Pręgowany kot, którego trzymał w rękach, ze wszystkich sił starał się wyrwać.

Nie. Jeszcze nie. Huczało mu w uszach. Nie poruszył się. Nawet nie zaszeleścił.

- Och, ty wstrętny kocurze, wracaj natychmiast...

Teraz!

Szybkim, cichym ruchem przrzucił kota przez płot.

Pręgus zapiszczał.

- Maximus? Co się dzieje? - zapytała i szybko zeszła po schodach... na ceglana ścieżkę... szurając kapciami, dreptała w stronę furtki.

Sięgnął do kieszeni. Dłonią w rękawicze wyciągnął przygotowaną strzykawkę.

- Chodź tu, kotku. Kici, kici... Nic ci się nie stało? - Szarpała zasuwkę, gdy wyskoczył z ciemności. Zaczęła krzyczeć.

Jedną ręką zasłonił jej usta.

Walczyła. Była zaskakująco silna jak na chudą staruszkę.

- Czas na spotkanie z Bogiem, Roberta - szepnął chrapliwie do jej ucha, a ona zaczęła się szarpać i szamotać jeszcze zapalczywiej. Ale nie mogła mu się wyrwać.

Wolną ręką wbił igłę strzykawki w jej chude ramię, przez gładki materiał podomki. Walcząc, wykręciła głowę i spojrzała mu w twarz. Zobaczył w jej oczach, że go rozpoznała. Była zaskoczona i przerażona. Ugryzła go w rękę. Mocno. Przebiła zębami skórę rękawiczki.

Ból przeszył wewnątrz jego dłoni.

- Suka! - prychnął.

Jeszcze próbowała się uwolnić - daremnie.

Stało się.

Przewróciła oczami. Szczęka jej opadła. Ciało zwiotczało.

Zarzucił ją sobie na ramię. Kot, sycząc, przybiegł i spojrzał na niego wściekłymi, złośliwymi oczami. Był jedynym świadkiem. I mimowolnym współnikiem. Głupi zwierzak nie wiedział, że już nigdy nie zobaczy swojej pani.

Nikt już jej nie zobaczy.

Rozdział 7

Nazwałaś faceta Grabarzem? - zapytał Tom Fink, poprawiając okulary do czytania i przeglądając ostateczną wersję artykułu Nikki o miejscu zbrodni w hrabstwie Lumpkin.

Był późny wieczór, poranne wydanie właśnie miało iść do druku, a Nikki przestępowała z nogi na nogę przed biurkiem Finka. Naczelnym stał po drugiej stronie. Jej artykuł leżał na blacie między nimi.

- Tak. Nieźle brzmi, prawda? - Nikki była zachwycona myślą, że wreszcie zobaczy swój podpis na pierwszej stronie. Wyobrażała sobie wydrukowaną gazetę i tytuł napisany pogrubianymi literami: GRABARZ UDERZA, POLICJA JEST ZASKOCZONA.

Jeśli Fink się zgodzi.

- Twoje źródła są pewne? - Z niedowierzaniem uniósł brew.

- Oczywiście.

- Nie wciskaj mi kitu. Rozmawiałaś z Reedem? - Fink wskazał nazwisko detektywa w drugim akapicie.

- Próbowałam. Nie jest zbyt chętny do współpracy. Ale mam kogoś, kto jest blisko śledztwa...

- Kogo? - zapytał.

- Co to, to nie. Nie ujawniam źródeł. Nawet tobie.

- Jakby co, pójdziesz do sądu.

- Jeśli będę musiała. Ale nie będę. Rozmawiałam z mężami obu ofiar.

- Zaraz, zaraz - poprawił. - Jednej ofiary. Starsza pani, Pauline Alexander, zmarła śmiercią naturalną.

Fink się zainteresował. To dobrze.

- Na to wygląda. Ale nie ma pewności.

- Coraz bardziej cię to wciąga? - zapytał.

- Tak.

Trochę się rozchmurzył. Po raz trzeci przejrzał jej artykuł.

- Pokazałaś to Metzgerowi?

Nikki nie mogłaby skłamać. Nawet gdyby chciała. Ale nie chciała, bo Fink i tak wkrótce o wszystkim by się

dowiedział.

- Nie. Nie rozmawiałam z nim.

Fink spojrział na nią znad okularów. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Dlaczego? Przecież kazałem wam współpracować.

Nikki wzruszyła ramionami.

- Lepiej pracuję w pojedynkę - oświadczyła. - Myślę, że gdybyś zapytał Norma, powiedziałby ci to samo.

- Czyli że cię poniosło. - Wyprostował się, splótł ręce na piersi i zmarszczył brwi; na czole pojawiły mu się głębokie bruzdy. - Przecież ci mówiłem...

- Chcesz to wydrukować czy nie? - zapytała, przechodząc do ataku. - Teraz możemy pokonać konkurencję. Za sześć godzin wszystko to... - Ze zniecierpliwieniem przewracała strony artykułu - będzie w każdej gazecie na południowym wschodzie, w telewizji i radiu. Na razie mamy przewagę i nie możemy z niej zrezygnować. Co do wiarygodności artykułu, jestem jej pewna w stu procentach.

- Ma tak być w każdym przypadku.

- W takim razie w stu pięćdziesięciu lub dwustu. Mówię ci. Tom, to jest coś. Prawie jak wywiad na wyłączność.

Prychnął. Spojrział z powątpiewaniem. Zagryzł wargę, jakby debatowali nad losami globu, choć zdaniem Nikki nie było żadnych wątpliwości.

- Tom, naprawdę. Zaufaj mi.

Podniósł na nią wzrok. Jego spojrzenie mówiło: „Raz już ci zaufałem i spieprzyłaś sprawę podczas procesu Chevaliera”. Ale nie wypowiedział tych słów, bo od ponad dziesięciu lat, od tamtej sprawy, pracowała bez zarzutu. Mimo to wciąż się wahał. Dobrze wiedziała, dlaczego. Wkurzało go, że nie zna żadnego z jej źródeł informacji. Od lat ścierali się z tego powodu.

- Przez ostatnie trzy godziny jeszcze raz sprawdzałam fakty.

Cliff Siebert nie chciał mówić o szczegółach, ale potwierdził wszystko, czego dowiedziała się od Jerome'a Marksa. Gdy zapytała o Reeda, Cliff poradził, żeby sama porozmawiała z szorstkim detektywem. Jakby do tej pory nie próbowała. Zostawiła Reedowi kolejne wiadomości; nie uzyskała odpowiedzi, ale postanowiła wymienić jego nazwisko w artykule i napisać, że wezwano go do hrabstwa Lumpkin i że miał coś wspólnego z zabójstwami,

- Zgoda, wydrukujemy to. Na pierwszej stronie. - Tom potarł ręką kark. Spodziewała się usłyszeć, że jeśli coś będzie nie tak, straci pracę w redakcji. Ale on mruknął pod nosem: - Dobra robota.

Nikki nie wierzyła własnym uszom. Pochwała od Groźnego Toma? Jej sytuacja wyraźnie się poprawiała. Zanim zdążył zmienić zdanie, zebrała swoje rzeczy i wyszła z redakcji.

Nad miastem zapadła już noc. Mgła unosiła się nad latarniami i światłami samochodów. Wsiadła do swojego hatchbacka i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik prychnął, zakaszłał i zgasł.

- No, już - ponagliła. Nie dziś. Mały subaru nie mógł jej teraz zawieść. Znowu spróbowała i tym razem oporny silnik zapalił. - Tak lepiej. - Wzdychając z ulgą, poklepała deskę rozdzielczą i wyjechała z parkingu.

Na ulicach było pusto. Dziwnie pusto. Jadąc do domu, minęła tylko kilka samochodów. Pomyślała o mężczyźnie, którego widziała po nieudanym spotkaniu z Reedem. Wjeżdżając na miejsce parkingowe pod domem, wygrzebała z torebki kartkę, którą znalazła za wycieraczką. Dwa słowa były wyraźnie widoczne w bladym świetle zegarów kontrolnych samochodu.

DZIŚ WIECZOREM.

Czyli właśnie teraz, zgadza się?

Czy to ostrzeżenie?

Groźba?

A może nieszkodliwy żart?

Przeszył ją dreszcz. Spojrzała w lusterko wsteczne. Chyba wszystko w porządku - choć stary dom był równie ciemny jak przed osiemnastoma godzinami, kiedy wychodziła. To tylko zmęczenie. Dlatego denerwuje się bez powodu.

Napięta jak struna, zabrała z samochodu teczkę i torebkę i szybkim krokiem poszła do furtki. Była otwarta i skrzypiąc, poruszała się na wietrze, jakby ktoś, kto wychodził, za bardzo się spieszył, by ją zamknąć. Nikki weszła i zatrzasnęła za sobą żeliwne drzwiczki. Z bijącym sercem poszła wybrukowaną ścieżką do zewnętrznych schodów, cały czas karcąc się w myślach za głupotę. Czego się boisz? Nocy? Na miłość boską, to śmieszne! Nie wpadaj w paranoję.

Szła po schodach, stukając obcasami. Kiedy stanęła na najwyższym stopniu, dostrzegła jakiś ruch. Coś przemknęło w ciemności. Omal nie krzyknęła, ale rozpoznała Jenningsa.

- Och, co ty tu robisz? - zapytała, gdy kot wskoczył na schody i z podniesionym ogonem biegł na górę, do jej mieszkania.

Poszła za nim. Ale mogłaby przysiąc, że zamknęła kota w środku.

Czy aby na pewno?

Może zostawiła otwarte okno w łazience, żeby wywietrzyć po prysznicu? A może uciekł rano, kiedy wychodziła? Tak czy inaczej, teraz miauczał i dreptał pod drzwiami.

- Dobrze, dobrze, wiem - powiedziała, gmerając w torebce, żeby znaleźć klucze. - Jest bardzo zimno. - Wreszcie je wygrzebała i włożyła najdłuższy z nich do zamka. Zorientowała się, że zatrask nie zaskoczył do końca. Nic dziwnego, że kot uciekł. Ale... drzwi nie były uchylone. Tylko nie do końca zamknięte. Jakby ktoś chciał je zatrzasnąć, ale bardzo się spieszył.

Tak jak ja. Rano.

Przypomniała sobie, że wyskoczyła z mieszkania jak oparzona, w biegu owijając się szalikiem, bo spieszyła się do Reeda. Ale drzwi na pewno się za nią zatrzasnęły. Dobrze słyszała szczęk zamka. Drzwi były zamknięte.

Furtka na pewno też.

Przeżona nie mogła złapać tchu. Może ktoś dostał się do jej mieszkania i jeszcze tam jest? Z sercem w gardle ostrożnie weszła do - środka, dotykając palcami ściany, aż namacała kontakt i zapaliła światło. W pokoju dziennym nagle zrobiło się jasno. Jennings wyskoczył zza drzwi, zanim zdążyła go złapać.

Nikt nie krył się w rogach ani za zasłonami.

Wszystko wyglądało jak zwykle.

Wciąż zdenerwowana, powoli obeszła całe mieszkanie. Nawet częściowo zjedzona kocia karma wyglądała tak jak rano, kiedy wychodziła. W dzbanku była zimna kawa, jej kapcie leżały przy biurku, buteleczki z kosmetykami do makijażu wciąż stały na blacie.

- Fałszywy alarm - powiedziała kotu i westchnęła z ulgą. Zamknęła drzwi na klucz i sprawdziła okna. Wszystkie były zamknięte. - No to dlaczego zamek w drzwiach się nie zatrzasnął? - zastanawiała się na głos zrzucając ubranie i włączając radio.

Nadawano właśnie *Nocne wyznania*. Gospodarzem programu była doktor Sam, psycholog z Nowego Orleanu; udzielała porad šiwirom, tym, którzy mieli telefony komórkowe. Nikki pamiętała, jak popularna była ta audycja przed kilku laty, kiedy na ulicach Nowego Orleanu czaił się seryjny morderca i dzwonił do doktor Sam zawsze, gdy była na antenie. Dziś do pani psycholog zatelefonowała słuchaczka, która chciała romansu z facetem, ale już wcześniej uprawiała z nim cyberseks przez Internet, cokolwiek to znaczy.

- Jeszcze to - wymamrotała Nikki, wyciągając się na łóżku i głaszcząc kota. - Mam słuchać o czyichś zboczeniach. - Jennings zaczął mruczeć tak głośno, że Nikki prawie nie słyszała kobiety, która narzekała na antenie, że jej obecny mąż nie może się dogadać z jej piętnastoletnią córką. - A to numer! Ja nie mogłam się porozumieć z własnym ojcem. - Naciągnęła kołdrę pod samą szyję i przypomniała sobie, że jako nastolatka bardzo się buntowała. Wychowała się w niesłuchanie dysfunkcyjnej rodzinie. Nagle poczuła wyrzuty sumienia, że od prawie tygodnia nie dzwoniła do matki. - Jutro - obiecała sobie, próbując to zapamiętać. Zgasła światło i otuliła się kołdrą.

W pokoju było chłodno. Mróz zimowej nocy zdawał się sączyć przez okno. Na ścianach poruszały się cienie. Nikki zamknęła oczy i przewróciła się na drugi bok, wsuwając dłoń pod poduszkę. Jej palce dotknęły czegoś dziwnego, sztywnego... papier? Nie, koperta.

Co jest?

Poderwała się na równe nogi, zapaliła światło i odrzuciła poduszkę. Jennings wpęłzył pod łóżko.

Na niebieskim prześcieradle leżała koperta.

Nikki przypomniała sobie kartkę, którą znalazła za wycieraczką samochodu.

- O, Boże - szepnęła, przeżona.

Odkoczyła od łóżka, napięta jak struna. Jeszcze raz rozejrzała się po sypialni, zajrzała pod łóżko i do szafy, mając już pewność, że w jej mieszkaniu był ktoś obcy. Nadstawiała uszu, ale słyszała tylko wyjący wiatr i trzaski w starym domu. Uspokój się, Nikki, nakazała sobie. Tutaj nie ma nikogo. Sprawdziłaś. Drzwi są zamknięte. Na zasuwkę. Okna też.

A jednak cała się trzęsła.

Ktoś był tu wcześniej.

I zostawił wiadomość.

Roztrzęsiona, podeszła do łóżka - a nuż ktoś spod niego wyskoczy? Ale przecież sprawdziła, że nikogo nie ma. Z przeżona nie mogła myśleć. Wreszcie wzięła kopertę i powoli ją otworzyła:

ZAŁATWIONE.

Powtórzyła to głośno.

- Załatwione. Ale co? Co jest załatwione? - O co tu chodzi, do cholery? Jak ten ktoś dostał się do jej mieszkania?

Podeszła do frontowych drzwi, powoli je otworzyła i przyjrzała im się uważnie, szukając śladów włamania. Nic. Ale nie miała wątpliwości, że ktoś wszedł i wyszedł przez te drzwi, niechcący wypuszczając kota. Obcy człowiek był w jej mieszkaniu. W sypialni. Dotykał łóżka, podniósł poduszkę. Serce waliło jej jak oszalałe. Zalewały ją fale strachu i złości. Kto mógł to zrobić? Kto miał klucz? Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu tylko po to, żeby zostawić jej wiadomość? Nie, to nie wszystko. Ten ktoś chciał jeszcze napędzić jej strachu.

Walczyła z lękiem i próbowała myśleć logicznie. Ktoś próbował jej coś powiedzieć... coś ważnego. *DZIŚ WIECZOREM* i *ZAŁATWIONE*. Wykonał swoje zadanie, o cokolwiek chodziło. W głębi serca czuła, że to coś bardzo złego, owianego tajemnicą. Przypomniała sobie postać na ulicy... wczesnym rankiem... ktoś ją wtedy

obserwował... widział ją z Reedem.

Wielki Boże, czy to ma coś wspólnego z Pierce'em Reedem? Naciągana interpretacja. A jednak liściki dostała już po rozpoczęciu sprawy Grabarza. Niemożliwe, powiedziała sobie w myślach. Wyciągasz wnioski bez sensu. Myśl racjonalnie, nie bój się. Kto mógłby ci to zrobić? Wróg? Kto poza tobą i zarządcą domu ma klucz? Może dawny lokator? Albo pożyczyłaś klucz znajomemu? Po kolei przypomniała sobie ludzi, którym pożyczała klucze, ale przecież zawsze je oddawali. Chyba że ktoś zrobił duplikaty. Gdy Nikki wyjeżdżała, prosiła swoją siostrę Lily o opiekę nad mieszkaniem i Jenningsem. Klucze miał też jej były chłopak, Sean Hawke, no i ojciec... Trina pożyczyła od niej samochód, a klucz do domu był na tym samym breloczku... Wielkie nieba, tych ludzi nie dałoby się w żaden sposób zliczyć.

Była zbyt wyczerpana, żeby myśleć, zresztą nie sądziła, by ktokolwiek ze znajomych, którym przecież ufała, mógł być wmieszany w tę sprawę - chyba że ktoś ukradł klucze na krótko i zrobił duplikaty. Powoli wróciła do łóżka i zdjęła pościel. Jeśli zostawił tę kopertę, to mógł też zostawić coś innego. Coś o wiele gorszego. Przez następną godzinę przeszukiwała mieszkanie centymetr po centymetrze, ale nie zauważyła nic więcej. Nie było innych śladów czyjejś obecności. Dopiero wtedy zastawiła drzwi frontowe biurkiem i próbowała nad sobą zapanować.

Powinam zawiadomić policję, pomyślała.

I co? Powiem, że dostałam dwa liściki bez znaczenia?

To nie są liściki bez znaczenia i dobrze o tym wiem.

Może rano. Wyjdę na idiotkę. Twarda reporterka, Nikki Gillette, śmiertelnie przerażona z powodu dwu kartek papieru.

Nie mogła spać w tym łóżku... nie mogła znieść myśli, że był w nim jakiś zboczeniec. Zaniósła kołdrę do pokoju dziennego i skuliła się na kanapie, zastanawiając się, czy kiedyś jeszcze poczuje się bezpieczna w swoim łóżku i całym mieszkaniu. Zawsze uważała tę wieżyczkę za swój azyl. Teraz ktoś zakłócił jej spokój.

- Drań - mruknęła z wściekłością. Schowała się pod kołdrą i zamknęła oczy. Wyteżyła słuch - a nuż usłyszy choćby najmniejszy hałas, dziwny w jej domu, ale słyszała tylko westchnienia wiatru i szmer piecyka.

Kto, do cholery, zostawił te wiadomości?

I dlaczego?

Na cmentarzu panowała ciemność, rozjaśniana tylko blaskiem księżycy, wyglądającego zza cienkich, strzępiastych chmur. Zimny wiatr szalał między spłowiałymi ze starości, białymi nagrobkami i kołysał gałęziami drzew porośniętych mchem.

W mieście było cicho i Mściciel słyszał tylko bicie własnego serca i swój urywany oddech, gdy ciągnął starszą panią na miejsce jej ostatniego spoczynku. Była w worku, nieruchoma, ale cięższa, niż się spodziewał. Stąpając cicho, zmierzał w kierunku przygotowanego grobu, czarnego dołu, w którym spoczywało już jedno ciało. I czekało na drugie. Wcześniej otworzył trumnę i umocował mikrofon. Włożył worek z ciałem do dołu, a potem sam tam zszedł. Poczł zapach mokrej ziemi, gdy po ciemku wysunął kobietę z worka i wcisnął ją do trumny. Mimo zimna był cały spocony. Gdy wreszcie zamknął wieko i wyszedł na górę, zaczął zasypywać grób. Ziemia i kamyki spadały na wieko trumny. Łopata za łopata. Sądził, że kobieta zaraz zacznie krzyczeć, ale grzebiąc ją, nic nie usłyszał. Spod powiększającej się warstwy ziemi nie dochodził żaden odgłos, który mikrofon powinien przekazać do słuchawki w jego uchu.

- No, już, obudź się, stara dziwko - warknął, zasypując grób i starając się zrobić to jak najszybciej i jak najciszej. Na cmentarzu było pusto, a bramę zamykano na noc, zawsze jednak istniało ryzyko, że ktoś przyjedzie: strażnik lub dzieciaki szukające wrażeń na cmentarzu o północy.

Z tej cholernej trumny wciąż nie dobiegał żaden dźwięk.

Niedobrze.

Powinna się obudzić.

Zorientować się, jaki los ją czeka.

Zrozumieć, że nadszedł czas zemsty.

Skończył zakopywać grób, spocony od stóp do głów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przykryć świeżej ziemi liśćmi i gałązkami, czy nie spróbować jej zamaskować, ale przecież nie było powodu. Reed i tak jutro tu przyjdzie.

Szybko, z łopata i pustym workiem, przeskoczył przez płot prosto w krzaki na końcu cmentarza, przy drodze dojazdowej. Jego truck stał sobie spokojnie tam, gdzie go zostawił, pod dębem wirginijskim. Na razie idzie nieźle, pomyślał, podnosząc siedzenie i wkładając pod nie łopatę.

Za nim mignęły światła reflektorów samochodu. Bliźniacze, jasne snopy, przecinające ciemność, zmierzały w jego stronę. W stronę jego samochodu.

- Cholera.

Szybko wsiadł, uruchomił silnik i wrzucił bieg. Tamten samochód skręcił, a jego światła, odbijające się w lusterku wstecznym, omal nie oślepiły Mściciela. Szybko zawrócił i wyminął nadjeżdżający pojazd, stary,

zniszczony furgon. Schylił głowę, żeby ukryć twarz, wcisnął gaz do dechy i uciekł. Kto, do cholery, mógł jechać tą drogą o tak późnej porze? Pewnie nastolatki, szukające miejsca, żeby wypić piwo, zapalić trawkę albo się obściskować.

Co za pech!

Ale przynajmniej nie był to samochód policyjny.

Obliżał wargi, spojrzął w lusterko i z zadowoleniem stwierdził, że furgon nie zawrócił i nie jedzie za nim.

Zjechał z drogi dojazdowej, próbując zachować spokój. Po twarzy i całym ciele spływał mu pot. Nie mógł tego spieprzyć. To była jedyna szansa zemsty... a on przecież jest Mścicielem. Jeszcze raz popatrzył w lusterko wsteczne i poczuł skurcz w żołądku, widząc radiowóz, który właśnie wjeżdżał na ulicę.

Może kierowca starego furgonu zawiadomił gliny?

Ale dlaczego?

Może ktoś był na cmentarzu i widział go.

Może...

Zamigotały światła radiowozu.

A niech to!

Usłyszał cichy jęk, a potem żałosny płacz.

- Pomocy... o, Boże, gdzie ja jestem? - A potem do jego ucha dotarł przeraźliwy krzyk. Starucha wreszcie się obudziła. Szlochała, szamotała się, krzyczała, a on nie mógł się tym cieszyć. Nie teraz.

Gliniarz się zbliżał.

Mściciel nie zamierzał uciekać. W wyścigu z radiowozem nie miałby szans. Martwił się, że gdyby policjanci zatrzymali go do rutynowej kontroli i przy okazji znaleźli w samochodzie sprzęt i worek, na pewno wszystkiego by się domyślili. Nie zdążyłby wypełnić swojej misji do końca. Nie ma mowy! Nie teraz. Był już zbyt blisko i zbyt długo czekał.

Nie mógł iść do więzienia. Tylko nie to, do cholery!

Noc przeszył dźwięk syren radiowozu. Światła były niemal oślepiające.

Oddychał płytko, serce waliło mu jak oszalałe, w ustach miał sucho.

- Pomocy! O, Boże! - Wyrwał słuchawkę z ucha i wepchnął do kieszeni. Radiowóz dosłownie siedział mu na tyłku. Nie mógł ryzykować, że policjant usłyszy krzyki dobiegające z jego słuchawki.

Dłonie Mściciela zacisnęły się na kierownicy. Zjechał na pobocze. Miał broń. Gdyby gliniarz go zatrzymał, mógł zabić drania. Tak po prostu. A potem pozbyć się samochodu. Wóz nie był zarejestrowany na niego. Jeszcze mogło się udać. Jeszcze mógł wypełnić misję.

Radiowóz z wyjącą syreną i pulsującymi światłami wyprzedził go z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Gliniarz za kierownicą nawet na niego nie spojrział.

Mściciel był bezpieczny.

Przynajmniej na razie.

- Pomocy! - krzyczała Roberta. Serce biło jej tak mocno, jakby zaraz miało pęknąć. Dopiero się ocknęła i jeszcze była oszołomiona, ale wiedziała, że dzieje się coś złego. Że znalazła się w niewyobrażalnie okropnej sytuacji. A może to tylko sen? Koszmar?

Tak. Na pewno.

Obudź się. Obudź się natychmiast.

Zadrzała i oparła ręce o zniszczony materiał, wyściełający wieko pudła, w którym się znajdowała. Wieko nawet nie drgnęło. Pchała mocno. Wciąż bez skutku.

Każdą komórką swojego ciała czuła przerażenie.

Obudź się. Obudź się natychmiast we własnym łóżku!

Wciągnęła w płuca cuchnące powietrze... ale tak trudno było oddychać i... i... to był chyba najgorszy z możliwych sennych koszmarów.

Obudź się, Roberto! Na Boga, obudź się!

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy.

Ciemność.

Całkowita ciemność.

Działo się coś bardzo, bardzo złego. Zaszło jej w gardle. Wpadła w panikę.

Zrób coś! Wyjdź stąd! Na miłość boską, wydostań się stąd!

Pchała w górę.

Nic.

Jeszcze raz. Mocniej.

Bolały ją ręce. Zwłaszcza nadgarstki bolały tak bardzo, jakby zaraz miały pęknąć.

To nie sen, tylko rzeczywistość. Była uwięziona. Jak sardynka wepchnięta do małej puszkki. Och, słodki Jezu, nie!

Zebrała myśli i zorientowała się, że jest naga. Całkowicie rozebrana.

A jej plecy były przyciśnięte do czegoś, co mogło być... nie... och... nie! Oślizły, galaretowaty przedmiot pod nią był ludzkim ciałem. Pokrywa pudła była wiekiem trumny. Pochowano ją żywcem.

Jak tamtą biedaczkę.

- Pomocy! Niech mnie ktoś ratuje! - Zaczęła kopać, walić w wieko nagimi kolanami, drapać wyściółkę i wrzeszczeć do bólu gardła.

Bała się myśleć o tym, co znajdowało się pod nią - w pośladki wbijała jej się metalowa klamra paska, kości pod zniszczoną tkaniną uwierały ją w plecy, żebra dotykały jej ramion. Krzyczała raz po raz, szlochała, czując kwaśny smród rozkładającego się ciała.

- Ratunku! Pomocy! Och... Boże... Błagam! - Płakała, drapała, ocierała sobie palce do krwi, paliło ją w płucach, w głowie wirowały przerażone myśli. Nie mogła tak umrzeć, leżąc na zwłokach; śmierdząca skóra przyklejała się do jej włosów, do całego ciała. Dostała dreszczy, wyobrażając sobie robaki, larwy i inne obrzydlistwa, pełzające wśród rozkładających się mięśni i wnętrzności, na których leżała.

- Wypuść mnie. Proszę, błagam... wypuść mnie stąd.

Jak oszalała, w przypływie adrenaliny spróbowała kopnąć mocniej.

Bum! Usłyszała głuchy dźwięk. Ból rozszedł się po całej nodze. Z trudem łapała w płuca stęchłe powietrze.

Bezsensowna walka. Nie mogła uciec.

- Dlaczego?! - krzyknęła, szlochając. - Dlaczego ja?

Uspokój się, Roberto. Pamiętaj o swojej wierze. Zwróć się do Ojca. On ci pomoże. On jest z tobą. On o tobie nie zapomniał.

Przesunęła dłońmi po żebrach, przez nagie piersi, do zawieszzonego na łańcuszku krzyżyka. Dopiero po chwili, gdy jej zakrwawione palce gorączkowo dotykały szyi, zorientowała się, że łańcuszka i krzyżyka nie ma. Ktoś, kto ją rozebrał, zdjął jej łańcuszek i cenną, ślubną obrączkę.

- Ty chory draniu! - syknęła. Z oczu popłynęły jej łzy rozpacz. Zaczęła kasłać. Ze strachu krew zastygała jej w żyłach. W ramieniu pojawił się dziwny ból, nasilające się mrowienie. Głęboko w klatce piersiowej poczuła narastający ucisk.

Ufaj Panu Bogu. On jest z tobą. Roberto, nie poddawaj się zwątpieniu.

Ból był palący, ale ona przypomniała sobie słowa, które pocieszały ją, kiedy była mała. Zaczęło cicho mamrotać:

- Jezus mnie kocha, wiem to na pewno, czytam to w Biblii...

Co jest, do cholery?

Śpiew? Starucha śpiewa? Mściciel ponownie poprawił słuchawkę w uchu, wjeżdżając w ciemną uliczkę za swoim domem. Na górnych piętrach nie paliły się żadne światła, a piwnica była ciemna jak grób. Zaparkował za szarym vanem.

- Wszyscy do Niego dziś się modlimy, jesteśmy słabi, lecz On jest silny... - śpiewała Roberta Peters.

Jakby to mogło jej pomóc.

Mściciel słuchał zaskakująco mocnego, czystego głosu kobiety, która nie jęczała już ze strachu, lecz głośno wyrażała swoją wiarę w piosence, zapamiętanej z dzieciństwa.

Jakby była gotowa na śmierć i spotkanie ze swoim Stwórcą.

Skrzywił się z obrzydzeniem. Rozpoznał słowa i melodię. Ile razy zmuszano go, żeby odbębnił tę żalną śpiewkę po brutalnym biciu? I co mu to dało?

Gdzie był Bóg, kiedy on cierpiał?

Czy słuchał i pomagał?

Mściciel nic takiego sobie nie przypominał.

- Dalej - mruknął z pogardą, jakby kobieta mogła go usłyszeć. - Śpiewaj, aż wysiądą ci płuca.

- Tak, Jezus mnie kocha... - powtórzył wyraźnie głos Roberty Peters. - Tak, Jezus mnie...

I cisza.

Już nie zapłakała.

Nie błagała o litość.

Nie zanosila się szlochem.

Skóra jego twarzy boleśnie się napięła. Opuścił okno samochodu i splunął. Kto by pomyślał, że stara tak potulnie przyjmie swój los, a nawet będzie wyczekiwać przejścia do innego świata? Może chciała iść uśmiechnięta na spotkanie ze świętym Piotrem?

Mściciel poczuł w sobie pustkę. Wściekły wyrwał z ucha słuchawkę. Po to zadał sobie tyle trudu? Tyle planów i kombinowania, żeby ona od razu pogodziła się z losem? Cholera! Co prawda Roberta Peters najpierw krzyczała z przerażenia i próbowała się uwolnić, ale potem zareagowała fatalnie.

Nie to co Barbara Marx. Słuchając Bobbi Jean - tak o sobie mówiła - cieszył się, a może nawet trochę podniecał seksualnie. Była bardzo zmysłowa, więc zadając jej śmierć, czuł prawdziwą satysfakcję. Nawet teraz, kiedy wspominał jej jęki, narastała w nim żądza.

Ale to... żalony płacz i szkolna, dziecinna piosenka o Bogu wywołały w nim dziwne poczucie pustki.

Nie przejmuj się. Starucha musiała zapłacić. Jak pozostali. Będzie ich więcej. Dobrze o tym wiesz. Niektórzy ucieszą cię bardziej niż Barbara Jean. Cierpliwości.

Wysiadł z trucka, zamknął go i pewnym krokiem poszedł w ciemności do tylnego wejścia starego domu, w którym mieszkał. Wzdłuż zniszczonej, brukowanej ścieżki prowadzącej do piwnicy, rosły gęste winorośle i paprocie; gałązki smagały go, gdy przechodził. Czuł zapach ziemi. Wyjął klucze i wszedł do ciemnego wnętrza. Do swojej kryjówki. Nikt nie podejrzewał, że schodzi do piwnic tego starego domu. Nawet właściciele nie wiedzieli, że ma klucze do tej części. To mu bardzo odpowiadało.

Nie zapalił światła. Poruszał się po omacku, dotykając palcami starych półek i ceglanych ścian.

Dziś jeszcze raz przesłucha kasety. Porówna je. Zmierzy czas... sprawdzi, jak długo umierała każda z jego ofiar.

Szedł korytarzem i dopiero gdy znalazł się w swojej kryjówce, zapalił światło i podszedł do komody, gdzie schował majtki Roberty Peters, zaskakująco duże jak na tak chudą kobietę. Nie były białe, o, nie, tylko lawendowe. Nawet tak pachniały - jakby w szufladzie z bielizną trzymała saszetki z lawendą. I jedwabne, na pewno drogie.

Wyjął dyktafon z kieszeni i wsunął kasetę do odtwarzacza. Jeszcze raz usłyszał jej szept i płacz, och, jednak błagała, i uśmiechnął się do siebie namyśl o tych, co pozostali... o tym, jakie zada im cierpienie, żeby znów nie poczuć rozczarowania. Miał jeszcze dużo pracy - tak wiele osób musi zapłacić za swoje winy. No i listy: musiał je pisać bardzo rozważnie, żeby policjanci tańczyli tak, jak im zagra. Z uśmiechem wyciągnął swój album i spojrzął na pozostałe ofiary. Zaznają największego przerażenia. Dowiedzą się, jak go zawiodły. Zrozumieją, dlaczego zgotował im piekło.

A on już tego dopilnuje.

Rozdział 8

Znasz jakiegoś dobrego adwokata? - zapytała Morrisette następnego ranka, wkraczając do gabinetu Reeda.

- Zamierzasz pozwać kogoś do sądu?

- Barta. Mam już tego dość, a palant, z którego usług korzystałam do tej pory, nawet nie kiwnął palcem. Jeśli Bart chce się ze mną procesować, proszę bardzo, ale mówię ci, będzie ostro. - Usiadła na krześle, skrzyżowała nogi i skrzywiła się. Gniewnie machała stopą. - Na miłość boską, on jest ojcem moich dzieci. Jak może myśleć, że uda mu się wykreć? I nic nie płacić?

Reed nie zdażył odpowiedzieć.

- Ma czelność ciągnąć mnie do sądu! Co ja takiego zrobiłam, że Bóg pokarał mnie tym draniem? To podły sukinsyn i tyle. Jak myślisz, ilu facetów jest na świecie? Trzy, może cztery miliardy i z tych wszystkich potencjalnych samców wybrałam właśnie tego bydlaka, żeby zrobić sobie dzieci. Powinam iść do psychiatry. - Przechesała dłonią nastroszone włosy i powoli wypuściła powietrze z płuc, jakby chciała w ten sposób wydmuchać gniew. Po chwili dodała o wiele spokojniej: - No dobrze, dość o moim tak zwanym życiu osobistym. Co nowego poza tym, że odsunęli cię od sprawy Grabarza?

- Grabarza? Czyli czytałaś „Sentinela”. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Całe miasto, a nawet hrabstwo, czytało artykuł z pierwszej strony gazety. Sięgnął do szuflady po flakonik z tabletkami na nadkwasotę i połknął dwie.

- Nikki Gillette u szczytu formy. - Morrisette się skrzywiła. - Boże, jak ja nie cierpię dziennikarzy!

Reed pominął to milczeniem. Miał wyrobione zdanie na temat czwartej władzy. Ale w Nikki Gillette było coś intrygującego. Gdyby nie była reporterką, mogłaby mu się spodobać. Budowa sportsmenki, jędrny tyłek, mały biust i szczupłe nogi. Uparta i zdeterminowana. Zauważył też, że miała jasnozielone oczy i brwi, które czasami wyginały się cynicznie.

- Skąd wzięła informacje?

- W artykule jest twoje nazwisko.

Prychnął.

- Ma wtyczkę w wydziale.

- Co ty powiesz? Nasze biuro jest jak sito. Wszystko stąd wypłynie. Gdzie McFee?

- Nie wiem. Nie biorę już udziału w śledztwie.

Morrisette uśmiechnęła się pierwszy raz tego dnia.

- Akurat! Oficjalnie cię odsunęli, ale i tak będziesz drażył sprawę.

- Właśnie że nie - odpowiedział ze śmiertelną powagą. - Takie są przepisy.

- Oszczędź mi tego. - Obróciła się na krześle i kopnęła drzwi. Gdy zatrzasnęły się głośno, spoważniała. - Barbara Marx była w ciąży. Czy to twoje dziecko?

Poczuł ucisk w piersi. Odwrócił wzrok.

- Nie wiem.

- Ale mogło być twoje.

- Tak. - Zaczął mu drzeć mięsień szczęki. Nie chciał nawet o tym myśleć.

- Rany boskie, Reed, co ty sobie wyobrażałeś? W dzisiejszych czasach? Bez prezerwatywy?

Nie odpowiedział, tylko spojrzął w stronę okna, na poranne światło, przebijające się przez brudne szyby i na gołębie na parapecie.

- I tacy właśnie są mężczyźni! - Głośno westchnęła i zaczęła skubać włosy palcami. - Cholera, zapaliłabym sobie. Ja też.

- No dobra, nie muszę ci prawić kazań.

- Racja. Nie musisz.

Potrząsnęła głową.

- Mów, co mam robić. - Nagle zaczęła się zachowywać jak służbistka. Była opanowana. Z determinacją zacisnęła szczękę. Jej usta wyglądały jak cienka kreska.

Był od niej wyższy stopniem. Tworzyli dziwny zespół. Niektórzy detektywi z wydziału zakładali się o to, ile ze sobą wytrzymają. A jednak Pracowało im się dobrze.

- Zajmiesz się tym, co oficjalne. Będziesz podpisywać papiery, telefonować i odbierać telefony.

- A co ty będziesz robił?

- Pracował nad innymi sprawami, oczywiście.

- Daj spokój! - Morrisette przewróciła oczami. - Dobrze, dobrze, możemy tak grać. Okano natychmiast odbierze ci odznakę, jeśli dowie się, że wciąż pracujesz nad sprawą. Nawet jako doradca.

- Ale ja nad nią nie pracuję.

- Gównu prawda.

Reed nie odpowiedział, bo w drzwiach pojawiła się przysadzista urzędniczka. Weszła do gabinetu i wrzuciła do jego przegródki plik listów.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedział Reed. - Co słychać, Agnes?

- Stara bieda. - Spojrzała na biurko. - Widzę, że znów o tobie pisać.

- Sława to dopust boży.

- Święte słowa. - Wyszła, krztusząc się ze śmiechu.

Reed skrzywił się, zerwał gumkę z listów i zaczął je przeglądać.

- Chcę wiedzieć, kiedy będziemy mogli porozmawiać z tym małym, który leży w szpitalu.

- Z Prescottem Jonesem?

- Tak. Sprawdź, jak się czuje i czy można go już odwiedzić. Zapytaj, czy możemy z nim porozmawiać.

- Zapytam, czyja mogę z nim porozmawiać.

Reed znów się skrzywił.

- Racja. To bardzo prawdopodobne, że widział zabójcę. Na razie byłby jedynym świadkiem. Weź tam ze sobą zdjęcie Marx i pokaż je chłopakowi. A potem jeszcze raz sprawdź alibi Jerome'a Marksa. - Mówiąc, Reed sortował pocztę. - Rozmawiałaś już z kimś z pracy Barbary Jean? Ze sklepu jubilerskiego Hexlera przy Giełdzie Bawełny?

- Już się tym zajmuję. Zaczęłam od listy jej znajomych. A co z krewnymi?

- Miała chyba brata. Może też ciotkę. Brat nazywa się... - Przeglądał koperty. - Vic, Val albo...

- Vin. Vincent Lassiter. Chciałam się z nim skontaktować, ale zapadł się jak kamień w wodę. Tydzień temu odłączono mu telefon. Kiedyś siedział w więzieniu. Za kradzież samochodu, nagabywanie i posiadanie narkotyków. Żadnej przemocy.

- Cholera, jakaś ty sprawna. - Reed spojrzał na nią znad stosu listów.

- Po prostu wykonuję swoje zadania - odcięła się. - Pomyślałam, że może zadzwonisz po koleżeńsku do detektywa Montoi w Nowym Orleanie, żeby sprawdzić Lassitera. Oczywiście nieoficjalnie.

- Oczywiście.

- Zapytaj, co wie o Lassiterze.

- Dobry pomysł. - Zerknął na pocztę i nagle zobaczył kopertę.

Białą kopertę średniej wielkości, z jego nazwiskiem wypisanym na maszynie.

- Do diabła!

List wysłano spoza miasta, z Heritage Road. Na kopercie nie było nazwiska nadawcy. Odłożył na bok inne listy i ją rozciął. Była w niej jedna kartka. Przeczytał:

RAZ, DWA, TRZY, CZTERY...

CZEGO TY TERAZ SIĘ SPODZIEWASZ, DO JASNEJ CHOLERY?

Zamarł. Jeszcze raz przeczytał złowieszcze słowa.

- Co? - zapytała Morrisette. Poderwała się na nogi. Patrząc mu przez ramię, przeczytała list. - O Jezu. - Spojrzała na Reeda. - Ten sukinsyn nie żartuje.

- Co ty sobie wyobrażasz? - Norm Metzger był tak wściekły, że drżały mu wąsy i kozia bródka. Trzasnął złożonym egzemplarzem porannego wydania w blat biurka Nikki. Spodziewała się tego wybuchu, bo cały ranek napotykała jego gniewne spojrzenia i widziała, jak pobiegł do gabinetu Toma Finka, gdy tylko naczelny przyszedł do pracy.

- Powęszyłam trochę i zdobyłam informacje. - Oparła się wygodnie na fotelu i patrzyła Normowi prosto w oczy ani trochę niespieszona. Była zmordowana, przez całą noc nie zmrużyła oka z powodu listu, który znalazła w

swoim mieszkaniu, i nie zamierzała wysłuchiwać bzdur Metzgera. Nie dziś.

Podrapał się kciukiem w pierś.

- To miał być mój temat - wycedził.

- Porozmawiaj z szefem.

- Już rozmawiałem. Przecież o tym wiesz. - Metzger pochylił się nad jej biurkiem tak blisko, że czuła zapach kawy w jego oddechu. - Od lat próbujesz wtargnąć na mój teren, Nikki, ale wiedz, że ci się nie uda.

- Wtargnąć na twój teren? Daj spokój, Norm. Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że jesteś Jamesem Cagneyem w roli twardziela w jakimś czarno-białym filmie z lat czterdziestych? - Zmusiła się do uśmiechu. Norm tak zacisnął usta, że aż zbladły. - Jak już wiesz, powęszyłam trochę i zdobyłam informacje. Omówiłam to z Tomem. Posłał mój tekst do druku.

- Mogłaś skontaktować się ze mną.

- Po co? Czy ty zrobiłbyś to na moim miejscu?

Wyprostował się. Spojrzał w sufit.

- Nie.

- Tak też myślałam.

- Chcesz ze mną współpracować przy tej sprawie? - zapytał, jakby wyświadczał jej wielką przysługę. Chociaż to ona znalazła wiarygodne źródło informacji.

- Lepiej pracuję sama.

Prychnął.

- Czyli nie uważasz, że co dwie głowy, to niejedna?

- Tak może myśleć tylko mężczyzna. Z powodu swojej anatomii.

Posłał jej spojrzenie, które chyba miało być lodowate.

- Wiesz co, Nikki, udajesz twardą, ale uważaj, żebyś nie przesadziła. To mała gazeta, a w tym mieście ludzie mają dobrą pamięć. Już kiedyś wpakowałaś się w kłopoty, więc postaraj się nie powtórzyć tego samego błędu.

- Nie powtórzę - powiedziała pewnie, choć wcale się tak nie czuła, a on wrócił do swojego biurka.

Trina odsunęła się na fotelu.

- Oj. Właśnie zraniłaś męskie ego.

- Ale nie do końca. - Zerknęła w stronę korytarza. Metzger wziął już kurtkę i wełnianą czapkę i szykował się do demonstracyjnego wyjścia. - Wkurzył się trochę, bo okazałam się lepsza.

- Nie zapomni o tym. Ja wolałabym nie poznać złej strony jego charakteru.

- To on ma też dobrą?

- No, no, aleś dziś dowcipna... - Trina zaśmiała się i puściła do niej oczko. Zadzwoił telefon, więc wróciła do swojego boksu.

Nikki zadzwoniła do zarządcy budynku, w którym mieszkała, i kazała zmienić zamki. Na szczęście bardzo lubił majsterkować, więc obiecał, że zmieni zasuwę i zamek, zanim ona wróci do domu. Poprosił, żeby wieczorem wpadła do niego po nowe klucze. Mieszkał na parterze. Kiedy zapytał, dlaczego chce wymienić zamki, odparła, że nachodzi ją były chłopak, i ta odpowiedź w zupełności mu wystarczyła.

Przez resztę dnia starała się unikać Metzgera. Kończyła artykuł o doktor Francis i komisji edukacji, jednocześnie szukając nowych faktów w sprawie Grabarza. Uzyskała jeszcze kilka szczegółów z biura szeryfa hrabstwa Lumpkin. W szpitalu w Atlancie nie pozwolono jej porozmawiać z rannym chłopcem, a do tego drugiego, Billy'ego Deana Delacroix, nie mogła dotrzeć, bo jego ojciec zażądał zapłaty za wywiad. Sfrustrowana Nikki jeszcze raz zadzwoniła do Cliffa, a potem szukała informacji o dwóch kobietach w grobie. Mąż Barbary Jean Marx nie chciał z nią rozmawiać. Pracownicy sklepu jubilerskiego Hexlera też nabrali wody w usta.

Ale Nikki nie miała zamiaru się poddawać.

Nie zapomniła też o dwóch liścikach, które otrzymała.

DZIŚ WIECZOREM.

Oraz...

ZAŁATWIONE.

Cokolwiek miało się stać poprzedniego wieczoru, już się dokonało.

Warto było się starać dla takiego nagłówka w gazecie.

GRABARZ ATAKUJE, POLICJA ZASKOCZONA.

Och, tak!

Mimo zmęczenia Mściciel poczuł przyjemny dreszczyk, gdy wyglądał pierwszą stronę dziennika „Savannah Sentinel”, leżącego na stole. Bardzo starannie wyciął artykuł, tak by linia cięcia była idealnie prosta, po czym wyrzucił resztę gazety. Wycinek trafi do jego albumu. Ze wszystkich telewizorów, rzucających jasną poświatę, dobiegały ciche głosy prezenterów i prezenterek. Mściciel zwiększał głośność dopiero wtedy, gdy zauważył coś ciekawego. Magnetowidy nagrywały wiadomości ze stacji kablowych całego kraju. Później, po kilku godzinach niezbędnego snu, wytnie wszystkie niepotrzebne fragmenty, a resztę dołączy do swojej osobistej wideoteki.

Grabarz.

Nikki Gillette wymyśliła mu przydomek, jakby przewidywała, że znów uderzy. Gdyby tylko wiedziała, jak blisko jest prawdy i jego samego. Nucąc pod nosem, podszedł do wzmacniacza na dłuższej ścianie i podkreślił głośność... nic... pewnie poszła już do pracy. Nieważne. Miał kasetę z ostatniej nocy. Włączył przycisk odtwarzania, usłyszał szelest przewijanej miniaturowej kasety, a potem głos Nikki Gillette, bardzo wyraźny, mimo że w tle było słychać audycję radiową. Oznaczył część, która mu się podobała. To była chwila, gdy Nikki przeczytała list.

- Co? Co jest załatwione? - zaskrzeczał jej głos.

Mściciel znów poczuł dreszczyk na całym ciele i erotyczne ciepło, rozgrzewające mu krew, ale wcisnął przycisk „pauza”. Podszedł do komody i otworzył drugą szufladę. Wyjął czarne, koronkowe majtki, które na pewno niewiele zasłaniały. Och, jaka niegrzeczna dziewczynka z tej Nikki! Uśmiechnął się i przytknął majtki do swojego policzka, czując, jak jego zarost zahacza o cienki jedwab. Nawet nie zauważyła, że zniknęły. Pomyślał, że wziął je o wiele za wcześnie. Nie powinien był tego robić, bo Nikki jeszcze żyła i miała się dobrze, nie była zamknięta w trumnie ze zwłokami. Mimo to nie mógł się oprzeć i ukradł jej seksowne majteczki.

Ponownie wcisnął klawisz Play. Odtwarzacz zaczął działać. Znów rozległ się cichy syk kasety, a potem głos Nikki, która mówiła, nie wiedząc, że umieścił w jej sypialni malutki mikrofon, nagrywający wszelkie dźwięki... i to tylko dla niego... Czekał, słuchając jej kroków, gdy obchodziła całe mieszkanie i wróciła do sypialni. Oblizując usta, słuchał, jak antyczne łóżko skrzypi pod jej ciężarem. Wyobrażał sobie, że się położyła, wyciągnęła na jedwabnym, niebieskim prześcieradle i przykryła grubą kołdrą. Zaschło mu w ustach. Och, tak... pamiętał, jak przesunął koniuszkami palców po gładkiej tkaninie pachnącej Nikki. Już wtedy było to erotyczne doznanie, a teraz jeszcze się wzmogło. Wyobrażał sobie jej ciało. Gorące. Spragnione. Miłe jak jedwab pod opuszkami jego palców.

Szumiało mu w uszach, członek miał twardy jak skała, nasłuchiwał coraz uważniej, jak zmienia się odgłos jej kroków, gdy zawałała się i wróciła.

- Tak, malutka, mów do mnie - powiedział, rozpinając rozporek i patrząc na swoje zniekształcone odbicie w popękany lustrze.

Niedługo Nikki się odezwie. Zwróci się do niego. To będzie wściekły syk. Na chwilę wstrzymał oddech, dotykając koronkowymi majtkami swojego członka. Przesuwał materiał bardzo delikatnie. Czekał i podniecał się.

- No, już, Nikki, mów do mnie. Już... - Z trudem się powstrzymywał. Miał urywany oddech, serce biło mu jak szalone, krew krążyła szybko.

W końcu, gdy już myślał, że zaraz wybuchnie, w pokoju rozległ się jej głos.

- Bydlak! - syknęła.

Przestał się hamować.

Wyrzucił na jej majtki tę wyjątkową część siebie.

Rozdział 9

Zadzwoń do dozorczy cmentarza Heritage. Zapytaj, czy żaden z grobów nie został naruszony. - Reed zdjął kurtkę z wieszaka. - Jeśli tak, wyślij tam ludzi, żeby zabezpieczyli miejsce.

- Zostałeś odsunięty od śledztwa, pamiętasz? - zapytała Morrisette, gdy otworzył drzwi swojego gabinetu i siedł między biurkami, na których mruczały komputery i dzwoniły telefony, przez pomieszczenie, gdzie aresztowani w kajdankach rozwalali się bezczelnie na krzesłach, a policjanci spisywali ich zeznania i sporządzali raporty.

- Jak mógłbym zapomnieć? - Ale nawet nie zwolnił. Zbiegł po schodach. Morrisette deptała mu po piętach. - Ja poprowadzę. - Otworzył ramieniem boczne drzwi i wyszli na dwór.

Było szaro. Od samego rana zbierało się na deszcz. Teraz padał wielkimi kroplami, które szybko tworzyły kałuże na chodniku i spływały do studzienki kanalizacyjnej.

Zanim Morrisette zdążyła zaprotestować, Reed usiadł za kierownicą. Kiedy wyjeżdżał z parkingu, jego partnerka dzwoniła do centrali i strażnika cmentarza. Udało jej się zapalić papierosa i nie upuścić słuchawki, gdy Reed włączył światła i ruszył szybko przez miasto. Skręcił w Victory Drive i, mijając palmowce i drżące azalie, jechał w stronę starego cmentarza na przedmieściu.

Radio trzeszczało, słychać było szmer silników innych samochodów, wycieraczki zbierały deszcz z przedniej szyby, a Morrisette rozmawiała przez telefon.

- ...zgadza się - mówiła. - Dobrze, niech ktoś zabezpieczy to miejsce. Będziemy tam za dziesięć, może piętnaście minut. - Rozłączyła się i z kamienną twarzą spojrzała na Reeda przez chmurę dymu. - Nie myliłeś się. Wczoraj w nocy ktoś rozkopał jeden z grobów. Rano zobaczyli to odwiedzający. Zawiadomili urząd miasta. Funkcjonariusze skontaktowali się ze strażnikiem, a on dosłownie przed kilkoma minutami wezwał policję. Radiowóz był dwie przecznice dalej, więc na pewno jest już na miejscu.

Reed zacisnął zęby.

- A niech to wszystko cholera weźmie.

- Wygląda na to, że Grabarz, czy jak go tam nazwiesz, znów uderzył. Seryjny morderca? - Uniosła brew i mocno się zaciągnęła.

- Możliwe.

- Trzeba będzie wezwać federalnych.

- Okano pewnie już to zrobiła.

Treść listu odbijała się echem w jego głowie.

RAZ, DWA, TRZY, CZTERY...

CZEGO TY TERAZ SIĘ SPODZIEWASZ, DO JASNEJ CHOLERY?

Reed bał się nawet o tym pomyśleć.

- Dlaczego ten facet wybrał właśnie ciebie? Dlaczego do ciebie pisze? - zapytała, strząsając popiół z papierosa za okno.

- Znałem Bobbi.

- Myślisz, że następną ofiarę też?

Reedowi zaburczało w brzuchu. Zaciśnął szczękę tak mocno, że aż poczuł ból. Nie chciał nawet myśleć o tym, że wszystkie kolejne ofiary to będą jego znajomi. O, Boże, nie.

- Mam nadzieję, że nie - odparł. Czy jakiś świr, któremu nadepnął na odcisk, mógłby nienawidzić go tak bardzo, żeby zabijać jego bliskich?

Kto mógł go tak znienawidzić?

Ktoś, kogo obraził?

Przestępca, którego wsadził do więzienia?

Cholera! Skręcił na drogę wyjazdową z hrabstwa i pojechał na cmentarz, pod którym stały już dwa radiowozy. Bramę zabezpieczono żółtą taśmą. Zebrało się kilku gapiów. Stojąc w deszczu, wpatrywali się w cmentarz, może zobaczą miejsce tragedii?

Nieopodal stała biała furgonetka z granatowymi emblematami stacji WKAM namalowanymi na bokach - dziennikarze przyjechali.

- Już zaczął się cyrk. Reed otworzył drzwi samochodu, a Morrisette zdusiła papierosa i zostawiła tłący się niedopałek w popielniczkę. - Chodźmy.

Zanim reporterzy zdążyli do nich podbiec, pokazali odznaki ubranemu w mundur policjantowi i weszli na cmentarz, przechodząc pod żółtą taśmą. Trawa była mokra od deszczu, wiał zimny wiatr. Poszli na tył cmentarza, gdzie stało kilku policjantów. Robiono zdjęcia. Pakowano próbki ziemi do torebek. Zbierano śmieci. Badano ślady w ziemi. Zespół Diane Moses pracował pełną parą. Reed zauważył furtkę w kutym, żeliwnym płocie, okalającym cmentarz. Była na tyle szeroka, że samochód mógł przez nią przejechać, i znajdowała się przy drodze dojazdowej z tyłu cmentarza. Prawdopodobnie jeździły tędy karawany, a grabarze dowozili swój sprzęt. Za drzewami, w pewnej odległości od furtki, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów, stała furgonetka zespołu oględzinowego, z otwartymi tylnymi drzwiami.

- Kiedy będziemy mogli zacząć kopać? - zapytał jeden z funkcjonariuszy. Ubrany w pelerynę przeciwdeszczową, podobnie jak kilku innych mundurowych miał już łopatę i kilof.

- Kiedy skończymy - warknęła Diane. Ta energiczna, zasadnicza kobieta była równie dumna ze swojej pracy i z afroamerykańskiego pochodzenia. - Jego zapytajcie - wskazała podbródkiem Reeda.

- Zaczekamy - powiedział.

- A żebyś wiedział - mruknęła Diane, wkładając lateksowe rękawiczki i biorąc podkładkę z formularzami. - Mamy już pozwolenie na odkopanie grobu, ale musicie poczekać na mój sygnał.

- Rany, wstałaś dziś lewą nogą czy co? - zapytał policjant, który robił zdjęcia.

Diane nie odpowiedziała. Ale z irytacją zaciśnęła usta, zanotowała coś na kartce i podeszła bliżej grobu, żeby porozmawiać z mężczyzną biorącym próbki gleby.

Patrząc na świeżo przekopaną ziemię, Reed nagle odniósł wrażenie, że deszcz stał się zimniejszy. Na starym, spłowiałym nagrobku widniał napis: **THOMAS ALFRED MASSEY, UKOCHANY MAŻ I OJCIEC**. Pod imieniem i nazwiskiem wryto daty urodzenia i śmierci. Massey został pochowany przed siedmioma laty i miał wtedy osiemdziesiąt lat.

Jeśli to on był w trumnie.

Przed ekshumacją niczego nie będą pewni.

Reed nie znał tego człowieka, ale nazwisko wydawało mu się znajome... Zastanawiał się nad tym, ale nie mógł sobie przypomnieć twarzy tego mężczyzny. Nie wiedział nawet, gdzie słyszał jego nazwisko.

Przynajmniej nie był to jego dobry znajomy.

Reed miał nadzieję, że jeśli w trumnie jest kolejna ofiara, to będzie to ktoś obcy. Sięgnął do kieszeni po fiolkę z tabletkami na nadkwasotę. W żołądku burczało mu od kiepskiej kawy. Prawie nic dziś nie jadł.

Stał w błocie i, osłaniając się przed zacinającym wiatrem i deszczem, patrzył, jak Diane Moses rozmawia z członkami swojego zespołu. Zerknął na sąsiedni nagrobek i przeczytał wykute w granicie nazwisko zmarłego oraz słowa: **NIECH SPOCZYWA W POKOJU**.

Nic z tego.

Dopóki Grabarz jest na wolności.

- ...ale nie podasz mojego nazwiska, dobrze? - poprosiła chuda dziewczyna, siedząca naprzeciwko Nikki w

kawiarence. Lindsay Newell miała dwadzieścia siedem lat, ale wyglądała na osiemnaście. - Bo pan Hexler nie chce żadnych kłopotów, bardzo boi się skandalu. Mówi, że to szkodzi interesom.

- Będę dyskretna i oczywiście, jeśli sobie tego nie życzysz, nie zacytuję cię bezpośrednio - zapewniła Nikki sprzedawczynię, która pracowała w sklepie jubilerskim z Bobbi Jean Marx.

Nikki ubrała się dziś zwyczajnie, w znoszone dżinsy i sweter, żeby dziewczyna czuła się przy niej swobodnie. Miała nadzieje, że dzięki temu coś z niej wyciągnie. Jakby były koleżankami. Nikki kupiła kawę i rogaliki, ale Lindsay tylko skubnęła deser. W szumie rozmów i brzęku sztućców Nikki starała się zjednać sobie współpracownicę Bobbi Jean. Na razie się to nie udawało. Lindsay była bardzo spięta. W Ziarnku Kawy wciąż zmieniali się klienci, to wchodzili, to wychodzili. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, dzwięczał zawieszony przy nich dzwonek, a Lindsay aż podskakiwała, jakby była pewna, że do kawiarni właśnie wszedł jej szef i zaraz przyłapie ją na rozmowie z reporterką.

- Proszę, nie podawaj mojego nazwiska. Nie mogę stracić pracy! - Dziewczyna nerwowo zagryzła kącik pomalowanych błyszczkiem ust i po raz trzeci zerknęła na zegarek. Z głośników dobiegały łagodne dźwięki jazzu, a stojące za ladą kasjerki w fartuszkach wykrzykiwały zamówienia do kuchni. Lindsay miała poranną przerwę na kawę. Już była bardzo zdenerwowana, a potrójne espresso z odtłuszczonym mlekiem przecież nie mogło jej uspokoić. Nie zgodziła się, żeby Nikki nagrywała ich rozmowę na dyktafon, ale pozwoliła robić notatki.

- Dobrze, nie podam. Żadnych nazwisk. Przyrzekam. Porozmawiajmy więc o Bobbi Jean. Kiedy widziałas ją po raz ostatni?

- Dwa dni przed tym, jak dowiedziałam się o... - Lindsay przełknęła ślinę. - O jej śmierci... To straszne! Pogrzebał ją żywcem, w jednej trumnie z rozkładającymi się zwłokami. - Zadrżała i z trudem podniosła filiżankę z kawą. - Rozmawiałam już z policją i powiedziałam wszystko, co wiem. Ale to niewiele. - Nerwowo zlizwała pianę z ust. - Oprócz...

- Oprócz czego? - Nikki dostrzegła wahanie w jej oczach. Jakby dziewczyna miała jakąś tajemnicę, której chciała się pozbyć.

- Och... Boże... ja... któregoś ranka, tuż po otwarciu sklepu, zobaczyłam, jak wymiotowała. To było jakiś tydzień temu. Musiałam sama obsługiwać klientów przez pół godziny. Bobbi wyszła z łazienki błada jak ściana. Jak duch. - Lindsay pochylała się nad stolikiem i szepnęła: - Myślałam, że ma gripę czy jakąś inną infekcję, więc poradziłam, żeby poszła do domu. Ale kiedy zaproponowałam, żeby zadzwoniła po kogoś na zastępstwo, nie zgodziła się. Powiedziała, że jeden dzień w łóżku na pewno jej nie pomoże, zresztą od tego zaczął się problem. Nie zrozumiałam... przynajmniej nie do końca, ale podejrzewałam... Kilka tygodni wcześniej widziałam w koszu na śmieci zużyty test ciążowy, ale nie wiedziałam czyj. Pracuje tu dużo dziewczyn, każda mogła zrobić test. Ale teraz... - Wzruszyła szczupłymi ramionami. - Myślę, że to był jej.

- Ale przecież pozostawała w separacji z mężem - powiedziała Nikki, czując przyływ adrenaliny. Ofiara była w ciąży? Tej informacji policja nie podała. Zachowano to w tajemnicy. Jeśli była to prawda.

- Wiem, ale czasami ludzie się schodzą.

- A oni?

Lindsay wyjrzała przez okno. Ludzie podążali szybkim krokiem, z otwartymi parasolami i postawionymi kołnierzami.

- Nie wiem, ale Bobbi... spotykała się z innymi facetami.

Nikki omal nie spadła z krzesła. Notowała gorączkowo.

- Znasz ich nazwiska?

- Nie. Chyba nikt nie wie, kto to był, bo Bobbi była w trakcie rozwodu i chciała wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy od swojego eksa, to jest męża, no, wiesz, Jerome'a.

- Ale faceci na pewno dzwonili do niej do sklepu.

Jasne oczy zamrugały. Lindsay okręcała na palcu ciemne włosy.

- Chyba tak.

- Nie odbierałaś takich telefonów?

- Nie. Mężczyźni dzwonią cały czas, kiedy chcą kupić prezenty dla swoich żon czy dziewczyn. - Lindsay ściągnęła usta. Jej brwi utworzyły jedną kreskę, jakby bardzo głęboko się zastanawiała. Tymczasem z głośnika rozległo się: „Podwójna kawa czekoladowa, odtłuszczona, z bitą śmietaną”.

- Nie pamiętasz nikogo konkretnego?

- Nie... ale... odniosłam wrażenie, że jeden z tych facetów był policjantem.

- Dlaczego? - Policjant? Kto?

- Chyba wywnioskowałam to z jej słów. Żartowała o kajdankach, rewizji osobistej, wielkiej palce i... wszystko to było dwuznaczne. - Ciągnęła lok tak mocno, że omal go nie wyrwała. - Ale może tylko tak mi się wydawało. Nie powinnam nic mówić. Jakie to ma znaczenie? Przecież ona nie żyje. Dlatego nie mogłam rozmawiać o tej sprawie z policją. Nie znałam jej kochanka, nie chciałam wpędzać nikogo w kłopoty. Pogubiłam się, rozumiesz? - Lindsay zagryzła dolną wargę i wreszcie przestała szarpać włosy, żeby wziąć papierowy kubeczek z kawą. - Naprawdę muszę już iść - powiedziała. - Przerwa na kawę się skończyła, zresztą nie mam nic więcej do powiedzenia. -

Poderwała się z krzesła, jakby się bała, że jeśli zostanie przy stoliku choćby sekundę dłużej, to zagniewany Bóg porazi ją piorunem.

- Zadzwoń do mnie, jeśli jeszcze coś sobie przypomnisz! - zawołała Nikki, doganiając ją w drzwiach i podając wizytówkę, którą wyjęła z kieszeni džinsów.

Lindsay patrzyła na wizytówkę takim wzrokiem, jakby obok logo gazety widniało nazwisko i numer telefonu samego szatana.

- Nie, nic więcej nie wiem. Naprawdę. - Cofając się, omal nie wpadła na mężczyznę składającego parasol. Na podłogę spływały krople. - Och! Przepraszam - wymamrotała szybko i uciekła. Przebiegła przez ulicę w niedozwolonym miejscu, chciała jak najszybciej wrócić do pracy.

Nikki nie traciła czasu. Wzięła kubek z kawą i wyszła na dwór. Chociaż nie minęło jeszcze południe, dzień był ciemny. Ponury. Ciągle padał deszcz. Chłapiąc butami, doszła do samochodu, wsiadła i próbowała uruchomić silnik. Bez skutku.

- O, nie - mruknęła pod nosem. Hatchback tylko dwa razy zakasłał. - tło już, nie czas na humory. - Muszę odstawić go do warsztatu, pomyślała. Bez dwóch zdań.

Usłyszała trzaski w paśmie policyjnym, ale słów nie zrozumiała.

Stary silnik odpalił przy trzeciej próbie. Nikki, zanim wyjechała na drogę, spojrzała w boczne lusterko. Gdy stała pod światłami, zadzwonił jej telefon komórkowy. Przez chwilę grzebała w torebce, aż wreszcie znalazła go po trzecim dzwonku.

- Nikki, słucham - powiedziała i skrzyła, starając się nie wylać kawy.

- Cześć, kochanie.

Zakłuło ją w sercu. Wyobrazila sobie twarz swojego byłego chłopaka - mocno zarysowana szczęka, ciemna linia zarostu i jeszcze ciemniejsze oczy. Oczy tajemnicze. Kłamiwe. Prawie czarne włosy sięgały kołnierzyka.

- Sean. Słyszałam, że jesteś w mieście.

- Nie oddzwoniłaś.

Czy powiedział to z wyrzutem? Jakby sprawiła mu przykrość? Sean? Niemożliwe! Upiła łyk kawy i wcisnęła kubek w uchwyt; tylko trochę się rozlała.

- Nie widzę powodu, żeby dzwonić. - Światło się zmieniło, śle przez skrzyżowanie przejechał jeszcze jeden samochód. - Idiota!

Sean się zaśmiał. To był cichy, seksowny śmiech.

- Zgadza się.

Nie, to ja byłam idiotką. Szalałam za tobą.

- Słuchaj, Sean, jestem zajęta. Masz do mnie jakąś sprawę? - zapytała, słysząc coś ciekawego w policyjnym paśmie. Wysyłano jednostki na Heritage Road. Raczej nie chodziło o wypadek drogowy.

- Może moglibyśmy się spotkać.

- Raczej nie.

- Nikki, muszę cię zobaczyć.

- Teraz? - Nie wierzyła własnym uszom. Przecież to Sean chciał rozstania, to on nie był z nią szczęśliwy. Chrząnił, że nie była jego „duchową przyjaciółką” czy jakoś tak.

- Dziś wieczorem?

- Nie mogę.

- Jutro?

- Ja... nie wiem. - Kiedyś byłaby zachwycona, słysząc te słowa z jego ust. Ale to było dawno. - Chyba nie.

- Nikki - powiedział cicho. Dobrze pamiętała ten głos. Niski. Seksowny. Bardzo głęboki. - Unikasz mnie.

- Racja. Chwileczkę... - dodała, przypominając sobie o liście, który znalazła w łóżku. - Masz jeszcze klucz do mojego mieszkania?

- Może... - Przekomarzał się z nią? Flirtował? O, rany!

- Mówię poważnie, Sean.

- Nie, kochanie, kazałaś mi go oddać. Nie pamiętasz?

Przypominała sobie, jak zdejmował kluczyk ze swojego breloczka. Siedzieli w jego starym, „klasycznym” jaguarze, a ona błagała, żeby z nią nie zrywał.

- Zgadza się. Ale mogłeś zrobić duplikat.

- Niby dlaczego?

- Wszystko ma jakiś powód.

- To cios poniżej pasa, Gillette.

- Więc nie jestem już „kochaniem”? To dobrze. - Na Heritage Road wysyłano kolejne radiowozy. Usłyszała dokładny adres i, przytrzymując telefon ramieniem, wygrzebała plan miasta z przepełnionego schowka. - Nie mam teraz czasu - powiedziała i rozłączyła się. Co on sobie wyobraża? Przecież ją zostawił. I teraz ona ma rzucić wszystko dla niego?

Co to, to nie!

Ale w jego głosie pobrzmiwała desperacja... och, na pewno chciał pieniędzy. Już był jej winien tysiąc pięćset dolarów. Nie pożyczłaby mu ani centa więcej.

Pomyślała o poprzedniej nocy. O liście w swoim łóżku. I o kartce za wycieraczką samochodu... Czy Sean mógł je zostawić? To nie w jego stylu. A jednak...

- Nie myśl o tym teraz - nakazała sobie. Nie będzie już tracić czasu na tego „artystę”, który później okazał się też drobnym oszustem.

Stojąc na następnych światłach, spojrzała na plan. O, Boże. Serce zabiło jej szybciej. To był adres cmentarza Heritage. Poczowała przypływ adrenaliny.

Grabarz na pewno znów uderzył.

Głośny dźwięk klaksonu przypomniał jej, że światło zmieniło się na zielone. Natychmiast skręciła i ruszyła w stronę przedmieść.

W stronę swojego następnego artykułu.

Rozdział 10

Reed patrzył w otwartą trumnę. Na dwa wciśnięte do niej ciała. Tak jak wcześniej. Tylko że nagie, posiniaczone ciało na górze było ciałem starszej kobiety. Drugie już się rozkładało. Ale z resztek ubrania - ciemnego garnituru - i wciąż widocznych pasm siwych włosów Reed wywnioskował, że były to zwłoki Thomasa Massey'a.

- Jezu Chryste - szepnęła Morrisette blada jak ściana, gdy zajrzała do otwartej trumny.

Miejsce zdarzenia otoczono taśmą. Technicy szybko zabrali się do pracy. Nad grobem rozpięto wielki namiot, żeby chronić wszelkie dowody. Pełnił podwójną funkcję. Zabezpieczał miejsce zbrodni przed deszczem, ale też przed fotografami - mieli aparaty z teleobiektywem - i reporterami stacji telewizyjnych, wyposażonych w bardzo nowoczesny sprzęt, nawet w nisko latające śmigłowce. Dopóki rodzina nie zostanie powiadomiona i policja nie stwierdzi, że to robota seryjnego mordercy, dopóty trzeba będzie zachować ostrożność, przekazując informacje prasie, bo dziennikarze mogliby wywołać panikę lub zaszkodzić śledztwu.

- Skontaktujmy się z wydziałem osób zaginionych i sprawdzimy, kto to jest. Zadzwoń do Rity i zapytaj, czy ktoś zgłosił zaginięcie białej kobiety w wieku około siedemdziesięciu lat.

- Nie trzeba. - Nastroszone włosy Morrisette oklapły na deszczu. Drżała na całym ciele, patrząc w grób. - Dostanę fajkę? - zapytała, odwracając wzrok od straszego widoku i patrząc na kolegów.

- Proszę. - Fletcher, jeden z mundurowych, sięgnął do kieszeni, znalazł zgniecioną paczkę cameli i wytrząsnął papierosa. Morrisette wzięła go drżącymi palcami i próbowała zapalić, ale zapalniczka wciąż gasła.

- Znasz ją? - zapytał Reed, biorąc od niej zapalniczkę. Od razu udało mu się ją zapalić.

Morrisette mocno zaciągnęła się camelem. Wydmuchała dym nosem.

- To pani Peters. Nie znam jej imienia, ale wiem, że pracowała jako wolontariuszka w bibliotece. Chyba była wdową, ale nie jestem pewna. - Morrisette zaciągnęła się papierosem, żeby się uspokoić. Jej twarz powoli odzyskiwała naturalny kolor. - Pani Peters uczestniczyła w „godzinach bajek” zeszłego lata. Moje dzieci chodziły tam co czwartek po południu i słuchały, jak czytała książkę o Harrym Porterze. - Syknęła gniewnie: - Do cholery, kto mógł to zrobić? Co za pieprzony świrus wcisnął starszą panią do trumny, na rozkładające się zwłoki. I... - Pochyliła się i spojrzała na palce denatki. - I zostawił ją tam żywą? Do diabła! - Odwróciła wzrok i, biorąc papierosa do lewej dłoni, szybko przeżegnała się prawą. Reed pierwszy raz w życiu widział, jak jego partnerka wykonuje gest religijny.

- To ten sam sukinsyn, który zabił Bobbi Jean. - Spojrzał na spłowiałą wyściółkę trumny, teraz poszarpaną i zakrwawioną, na połamane paznokcie ofiary z plamami zaschniętej krwi oraz na siniaki na jej czole. Dowodziło to, że pani Peters, wolontariuszka z biblioteki, zmarła taką samą, potworną śmiercią jak Barbara Jean Marx.

- To chyba wyklucza Jerome'a Marksa - myślała głośno Morrisette. Zdjęła z języka paproszek tytoniu. Wiatr powiał mocniej, wydymając boki plastikowego namiotu.

- Chyba że to naśladowca - wtrącił Fletcher.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. - Reed miał czarne myśli. Śmierć Bobbi i dziecka była wielką tragedią, ale kolejne morderstwo? Te zabójstwa były do siebie zbyt podobne, by ich nie połączyć. Najwyraźniej zrobił to psychopata. Kolejny szalencie! Reed powrócił myślami do ostatniego lata, gdy w upale ścigał zabój czyniącą członków znanej rodziny z Savannah. A teraz to. Zaledwie pół roku później. - Musimy się dowiedzieć, co, jeśli w ogóle, łączyło ofiary - powiedział do Morrisette. - Czy się znały? I co ze zwłokami, które już wcześniej były w trumnach? Dlaczego je wybrano? Przypadkowo czy był jakiś związek? - Pocierając zeszytniały kark, dostrzegł mikrofon. - Cholera. Spójrz... - Przykucnął przy trumnie i wskazał dziurkę, wywierconą w gnijącym drewnie. W środku tkwił prawie niewidoczny mikrofon.

- Tak, zapisaliśmy już markę i model - powiedział technik, który zbierał dowody z dłoni pani Peters.

Ludzie Diane Moses zdążyli już obejrzeć trumnę. Szukali odcisków palców, śladów narzędzi, włókien, włosów, jakichkolwiek innych dowodów. Podobnie jak zespół oględzinowy w hrabstwie Lumpkin.

To morderstwo jest identyczne z zabójstwem Bobbi Jean.

Tylko że tej kobiety nie znam.

Reedowi znów zeszytniał kark.

- Znaleźliście coś jeszcze? Może w trumnie był list?

- List? - Funkcjonariusz spojrział na Reeda jak na wariata. - Nie było żadnego listu. Nic poza dwoma ciałami i mikrofonem. Wszystko przeszukaliśmy.

Reed trochę się odprężył. Przynajmniej zabójca nie szukał z nim kontaktu.

Usłyszał głośny warkot, wyszedł więc z namiotu i spojrział w zachmurzone niebo. Kilkadziesiąt metrów dalej nad drzewami unosił się niewielki śmigłowiec. Z otwartych drzwi wychylał się kamerzysta. Reporterzy starali się sfilmować miejsce zbrodni z lotu ptaka. Bardzo go to zdenerwowało, podobnie jak Diane Moses, która, ubrana w żółtą kurtkę przeciwdeszczową, wyszła przed namiot, spojrzała w górę i zakłęła cicho pod nosem.

- Cholerne sępy.

Wiadomości o jedenastej, pomyślał Reed. I przypomniał sobie list, który rano przyszedł na posterunek. Wynikało z niego, że będzie więcej zabójstw. Losowych? Konkretnych? Czy ten bydlak znał swoje ofiary? Bawił się nimi? Reed poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Co już macie? - zapytał Diane Moses.

- Niewiele. To wstępne wnioski, ale sądzimy, że sprawca zaparkował tam... - wskazała drogę dojazdową - i albo przeszedł przez płot, albo miał klucz do furki. Zamek nie został uszkodzony. Stamtąd musiał przynieść ciało, więc jest potężnie zbudowany albo przynajmniej silny. Nie ciągnął go. Nie ma śladów ani nawet odcisków butów, żebyśmy mogli zrobić odlewy. Deszcz też nam nie pomógł. Ale to chyba jedyne logiczne wytłumaczenie. Wątpię, żeby szedł główną aleją. Byłoby za duże ryzyko, że ktoś go zauważy. Gdy tylko coś ustalimy, powiadomię cię.

- Dzięki - powiedział Reed.

- Nie ma za co. - Weszli do namiotu. - Masz wszystko, co trzeba? - zwróciła się do policyjnego fotografa. - Chcę zdjęcia całego obszaru, wieka trumny i tego, co jest w środku.

- Chodźmy - powiedział Reed do Morrisette, która chyba trochę się pozbierała. - Dostaniemy raporty, ale myślę, że powinienem pokazać Okano list.

- Wywali cię z roboty za to, że tu przyszedłeś.

- Ja tylko wybrałem się na przejażdżkę - wyjaśnił, gdy brnęli przez wysoką trawę.

- Uważaj, bo ci uwierzy.

Wzruszył ramionami i poczuł, jak krople deszczu wpadają mu za koszulę. Cmentarz nie był zbyt dobrze utrzymany. Większość nagrobków miała ponad sto lat; nowszych, takich jak grób Thomasa Maseya, było niewiele. W trawie rosły chwasty, niektórych krzewów od dawna nie przycinano. Dlaczego zabójca wybrał ten cmentarz? Czy miało to jakieś znaczenie, czy wcale tego nie planował i zdał się na los? A co z grobem? Czy morderca wybrał Thomasa Maseya ot tak, czy też chciał coś przez to powiedzieć?

Spojrzął gniewnie na złowieszcze niebo. Ciemne chmury wisiały nad wieżami kościołów, przesłaniały najwyższe gałęzie palmowców i rozłożystych dębów wirginijskich, rosnących przy ulicach. Dlaczego Roberta Peters, w niczym nieprzypominająca Bobbi Jean, stała się następną ofiarą?

Morrisette szła obok. Czubki jej butów z wężowej skóry były mokre od trawy i deszczu. Gdy doszli do głównej bramy, wyczuł - a dopiero potem zobaczył - grupę reporterów i gapiów, którzy zebrali się po drugiej stronie żółtej taśmy.

- Detektywie! Proszę nam powiedzieć, co się tu dzieje! - zażądał męski głos.

Na tym etapie śledztwa nie mam nic do powiedzenia - wyrecytował Reed, idąc w stronę radiowozu.

- Czy to kolejne zabójstwo Grabarza?

Reed rozpoznał głos.

- Grabarza? - powtórzył, podnosząc wzrok i dostrzegając Nikki Gillette.

Stała z przodu, wyczekując informacji. Jej rudoblond włosy, ściągnięte w koński ogon, oklapły na deszczu, oczy jej błyszczały, policzki zaczerwieniły się z zimna. W za dużym płaszczu przeciwdeszczowym, dżinsach i mokrych adidasach wyglądała bardzo młodo. W innych okolicznościach Reed uznałby ją za atrakcyjną. Ale dziś widział w niej tylko natrętą dziennikarkę, źródło samych kłopotów. W jednej ręce trzymała dyktafon, w drugiej długopis i notatnik. Kartki doszczętnie przemokły, a z długopisu kapąły krople deszczu. Nikki nie zwracała jednak na to uwagi. Była gorliwa jak zwykle.

- Czy to zbrodnia tego samego przestępcy, który włożył ciało do trumny i zakopał je pod Krwawą Górą? - zapytała.

- Za wcześniej jeszcze, by to stwierdzić.

- Ale czy nie wskazuje na to sposób działania sprawcy? - Gillette nie ustępowała.

- Nie będę teraz spekulować ani nie powiem nic, co mogłoby zaszkodzić śledztwu. - Uśmiechnął się lekko zniecierpliwiony.

- Wydaje się, że to więcej niż tylko zbieg okoliczności - upierała się Nikki. Nigdy nie odpuszczała.

Inni reporterzy też zadawali pytania.

- Zauważyliśmy, że kopiecie. Czy znaleziono kolejny grób? - zapytał Max O'Dell, wymachując mikrofonem.

- Znaleźliście pustą trumnę? - dopytywał się inny reporter.

- Czy grób został rozkopany?

- Była tam trumna z dwoma ciałami?
- Proszę - powiedział Reed, starając się trzymać nerwy na wodzy - pozwólcie nam pracować. Odpowiemy na pytania później, gdy będziemy więcej wiedzieć.
- Czyli kiedy? - To znowu była Nikki Gillette, notująca coś gorączkowo, z niesfornymi lokami opadającymi na twarz.
- Wydamy oświadczenie.
- Nie będzie konferencji prasowej? - zapytała. Strużki deszczu spływały jej po twarzy i szpiczastym podbródku. Powstrzymał się od kąsliwej uwagi.
- Decyzja w tej sprawie nie należy do mnie. Dziękuję. - Uniósł rękę w geście pożegnania, odwrócił się od reporterów i poszedł do radiowozu. - Zabieramy się stąd.
- Im szybciej, tym lepiej - stwierdziła Morrisette, poważniejsza niż zwykle. - Po powrocie na komisariat powiemy o wszystkim Okano. - Zerknęła na niego, szukając papierosów w swojej dużej, skórzanej torbie, w której brzęczały klucze i monety. - Wiem jedno: nie będzie zadowolona. - Otwierając okno, dodała: - Mnie też to się nie podoba. Kto, do cholery, zabija starszą panią, która pomaga w bibliotece? - Kilka razy bezskutecznie próbowała zapalić zapalniczkę, zakłęła, wygrzebała z torby drugą i wreszcie jej się udało.
- To nie było zwykłe zabójstwo - warknął Reed. - Pogrzebał ją żywcem w trumnie ze zwłokami.

Rozdział 11

Muszę z tobą porozmawiać - nalegała Nikki, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą telefon komórkowy. Wracala do redakcji przez zatłoczone ulice i wreszcie udało jej się połączyć z Cliffem Siebertem, co uznała niemal za cud. - Spotkajmy się. - Zdjęła nogę z gazu i skręciła w Victory Drive. Po dwóch godzinach stania pod cmentarzem była przemarznięta do szpiku kości. Deszcz ustał, a na zachmurzonym niebie zaczęły się pojawiać plamy błękitu, ale ona zdążyła doszczętnie zmoknąć. Włosy już dawno wysliznęły się z gumki, wiążącej je w koński ogon, i teraz były potargane i mokre; płaszcz przemókł, w adidasach chlupało, a skarpetki przykleiły jej się do stóp, jakby brodziła po kostki w lodowatej wodzie. Zastanawiała się, czy opowiedzieć Cliffowi o intruzie i liście, ale wiedziała, że on zbagatelizuje to i uzna za żart. Tak jak kiedyś. Wtedy myślała, że prześladuje ją Corey Sellwood. Zrobiła z siebie idiotkę. Nie, wydarzenia ostatniej nocy musi zachować dla siebie.

- Gdzie się spotkamy? - zapytał Cliff.
- Mogę przyjść do ciebie wieczorem - zaproponowała z udawanym entuzjazmem. - Albo ty wybierz miejsce. - Starala się mówić swobodnym tonem. Zjechała na prawy pas. - O której kończysz pracę?
- Lepiej, żebyś nie przychodziła do mnie do domu. - Usłyszała niezdecydowanie w jego głosie i wyobraziła sobie, jak nerwowo bawi się kluczami w kieszeni swoich beżowych, sportowych spodni.

Cliff miał kręcone, płomiennorude włosy, zawsze krótko przystryżone, i gładko ogoloną twarz. Zwykle nosił koszulki polo. Bardziej przypominał Nikki zawodowego gracza w golfa niż policjanta.

- No to wybierz inne miejsce. - Nie ustępowała.
 - Sam nie wiem...
 - Och, proszę, Cliff. - Musiała z nim porozmawiać. - Może gdzieś za miastem...
- Westchnął głośno, jakby zaraz miał popełnić największy błąd w swoim życiu i już tego żałował.

- Dobrze. Dziś wieczorem.

- Powiedz, gdzie i kiedy dokładnie. Przyjadę. - Skręciła w stronę rzeki i biura „Sentinela”. Pomyślała, że wygląda jak przepuszczona przez wyżymaczkę, ale nie miała czasu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Musiała skończyć artykuł o komisji edukacji i napisać coś o Grabarzu. Przecież rano uzyskała od Lindsay Newell sensacyjne informacje o tym, że Bobbi Jean Marx była w ciąży i spotykała się z gliniarzem. Nikki bardzo to zafrapowało.

- Cliff wciąż nie odpowiadał.
- Odebrało ci mowę?
 - Dobrze by było.
 - Och, Cliff, przestań się przejmować. Gdzie się spotkamy?
- Wahał się chwilę.
- U Braci Weaver. Wiesz, o czym mówię? To parking dla ciężarówek przy Dziewięćdziesiątej Piątej, tuż przy granicy z Karoliną. Jest tam spokojna restauracyjka.
 - Słyszałam o tej knajpie - powiedziała, próbując ją sobie przypomnieć. - O której?
 - Ósma, ósma trzydzieści?
 - Dobrze. Nawet postawię ci kolację.
 - Na to się nie zgodzę.
 - Dlaczego?
 - Jesteś kobietą.
 - Och, na miłość boską. Przecież żyjemy w nowym tysiącleciu. Przedwojenny, uprzejmy dżentelmen z Południa to przeżytek, i to od dawna, Siebert.
 - Ja tak nie uważam. Zawsze będę uprzejmy wobec dam.

Jęknęła w myślach. Nagle uświadomiła sobie, że jego głos bardzo się zmienił. Jakby nie było już tamtego żywiołowego Cliffa Sieberta, przyjaciela jej brata, który polował z nim na wiewiórki, a potem beczelnie z nią flirtował. Tamte dobre chwile minęły, a wesołość Cliffa przygasił upływ czasu i przeżyta tragedia.

- Nie jestem damą, Cliff. Nie dziś. Jestem starą przyjaciółką rodziny.

- Tak to nazywasz?

- Właśnie. No to na razie. - Rozłączyła się i poczuła wyrzuty sumienia. Wiedziała, że Cliff interesuje się nią od lat. Kiedy dorastali, było to bardzo wyraźnie widać. Doskonale pamiętała upalny, letni dzień, gdy wróciła z tenisa. Miała na sobie szorty i przepocony T-shirt, włosy spięła w koński ogon. Osłoniła oczy daszkiem. Cliff i Andrew siedzieli przed domem jej rodziców przy stole, w cieniu dużego, niebieskiego parasola. Wrócili wcześniej z polowania na wiewiórki i rozmawiali wesoło, popijając piwo Wielkiego Rona.

- Trzymasz cnotę dla mnie, prawda, Nikki? - żartował Cliff, który nie przepuścił żadnej okazji, żeby jej dociąć. Tamtego lata przed śmiercią Andrew Cliff miał niewiele ponad dwadzieścia lat i zawsze jej dokuczał. W jego oczach igrały wesołe iskierki. Uśmiechał się od ucha do ucha swobodnym, chłopięcym uśmiechem.

- Chyba śnisz, Siebert - odparła wtedy przekornie, śmiejąc się i ocierając pot z czoła,

- Czyli wiesz o moich snach? - Mrugnął porozumiewawczo. - Nie dla dzieci, prawda?

- Jesteś kopnięty! - Minęła ich, a Andrew otworzył dwie butelki o długich szyjkach i wyrzucił kapsle w gęstwinę magnolii, sosen i jaśminów.

- Och, kochanie, gdybyś tylko wiedziała... - przyznał Cliff. Jego głos odbijał się echem w jej głowie. Nie pierwszy raz zdała sobie sprawę, że jego flirt z nią nie był tylko żartem.

To smutne, pomyślała teraz, wjeżdżając na parking niedaleko redakcji, że śmierć Andrew jemu odebrała chłopięcą butę, a mnie - dziewczęcą niewinność. Tyle się zmieniło.

Nic na lepsze.

Dom Roberty Peters przypominał muzeum. Morelowe ściany otoczone żeliwnym płotem, porośnięte bluszczem wyglądały, jakby dom przeniesiono z włoskiej wsi. Z przodu i z tyłu były ganki z balkonikami, zarys wysokich okien podkreślały lśniące, czarne okiennice, a ogród porastały krzewy, zielone i ładne nawet teraz, pod koniec listopada. Na dwuskrzydłowych, frontowych drzwiach wisiały dwa świąteczne stroiki.

Przy furtce stał mundurowy policjant, a w środku już pracowała ekipa Diane. Reed i Morrisette, ostrożnie, żeby nie zatrzeć śladów, przeszli przez pokoje pełne historycznych przedmiotów, mebli i - zdaniem Reeda - rupieci.

- Cholera, ciekawe, kto jej sprzątał - powiedziała Morrisette, patrząc na lśniące bibeloty równiutko ustawione na szklanych półkach. - Chciałabym poznać numer telefonu tej gosposi.

- Prawdopodobnie pracowała tu od rana do wieczora. Musimy z nią porozmawiać.

- Z ogrodnikiem i hydraulikiem też.

- I z ludźmi z biblioteki.

- Nigdy chyba nie odpoczniemy.

- Nigdy - potwierdził półgłosem.

Na razie nie pojawił się żaden reporter. Na razie! Tymczasem technicy fotografowali, zdejmowali odciski palców i odkurzali. Zebrano śmieci. Przeczyszywano cały dom w poszukiwaniu dowodów. Policjanci nie wykryli żadnych śladów krwi, ale przecież Roberta Peters nie miała widocznych obrażeń poza guzem na głowie, którego pewnie nabiła sobie, próbując usiąść w trumnie, oraz pokaleczonymi opuszkami palców. Przewieziono ją do kostnicy, ale na raport z sekcji zwłok trzeba było poczekać kilka dni. Zresztą nie miało to znaczenia. Oglądając dłonie Roberty Peters, Reed uznał, że kobieta umarła taką samą śmiercią jak Bobbi Jean.

Tylko że na pewno nie była w ciąży.

Podejrzewał, że zabójcy chodziło o niego i że Bobbi mogła zginąć z powodu ich związku. Może jakiś zbir, którego wsadził za kratki, wyszedł na wolność i chciał się zemścić? Reed zaczął już sprawdzać dane więźniów, którzy zostali zwolnieni lub uciekli, ale teraz... znów pomyślał o zbrodniach. Nie znał Roberty Peters. Nie widział jej nigdy w życiu. A przynajmniej tego nie pamiętał.

Ale zabójca wciąż zwraca się do mnie.

Musi być jakiś powód.

Chyba że zostałem wybrany losowo, może dlatego że poprzedniego lata pisały o mnie wszystkie gazety.

Od tamtej pory był ulubionym celem różnych świrów.

Bardzo ostrożnie, omijając techników zabezpieczających ślady, Reed i Morrisette przeszli przez ładnie odnowiony dom z rzeźbionymi, drewnianymi balustradami wypolerowanymi na wysoki połysk i spleśniałymi dywanikami, które, jak przypuszczał detektyw, zostały utkane ręcznie na Bliskim Wschodzie. Na górze znajdowały się cztery pokoje, największy był chyba sypialnią Roberty Peters. Oprawione w ramki, wyblakłe zdjęcia, przedstawiające Robertę i mężczyznę, prawdopodobnie jej męża, stały na stolikach i kominku. Ubrania trzymała w komodzie i szafach, a lekarstwa i przybory toaletowe - w łazience. Drugi i trzeci pokój były najwyraźniej przeznaczone dla gości. W antycznych łóżkach chyba nigdy nikt nie spał, a komody były puste. W czwartym, najmniejszym pokoju ktoś mieszkał, o czym świadczyły rzeczy osobiste, ubrania w szafie i komodzie, kosmetyki

do makijażu i przybory toaletowe na nocnym stoliku. Ale kto? Reed zapisał to sobie w pamięci i zszedł bocznymi schodami dla służby do kuchni, gdzie Diane Moses sprawdzała, co już zrobiono i znalezione na miejscu zbrodni.

Jak najszybciej prześlij mi raport - poprosił Reed.

- Słyszałam, że zostałeś odsunięty od sprawy. - Diane, w rękawiczkach, poleciła fotografowi zrobić więcej zdjęć kuchni, gdzie na palniku stał czajnik, a na chodniczku przy spiżarni znajdowały się miseczki z karmą i wodą dla zwierzęcia. Reed czuł, że wszyscy patrzą na niego. Diane, która słynęła z cynizmu i złośliwości, tym razem po prostu stwierdziła fakt.

- Wyślij raporty do Morrisette - powiedział Reed, gdy fotograf robił zdjęcia swoim trzydziestopięciomilimetrowym obiektywem oraz rejestrował wewnątrz ultranowoczesną kamerą cyfrową.

Morrisette przeszła obok miseczek na podłodze.

- Gdzie jest kot lub pies?

- Jeszcze go nie znaleźliśmy - odparła Moses.

- Karma chyba została niedawno nałożona.

- Może kot jest na diecie - mruknął ponury fotograf.

- Tak, a ona parzyła herbatę, - Na marmurowym blacie stała porcelanowa filiżanka ze spodeczkiem. Pusta i czysta. Torebka herbaty ekspresowej w imbryku była zanurzona w zimnej już wodzie o ciemnobrązowej barwie. Na szklanym talerzyku leżały dwa niezjedzone ciasteczka. - Palnik był wyłączony. W kuchni, na schodach, tylnym ganku i w sypialni Roberta paliło się światło, w pozostałych częściach domu nie. Wszystkie okna i drzwi z wyjątkiem tych - machnęła ręką w rękawiczkach w stronę tylnego wejścia - były zamknięte. Te były uchylone.

- Ślady włamania? - Reed przyglądał się drzwiom i zasuwce.

- Żadnych. Nie było też śladów walki. Zbadaliśmy już kuchnię, ganek i tylne podwórko. Wygląda na to, że chciała się napić herbaty, ale nie zdążyła. Sprawdźmy, czy w herbacie w czajniku są jakieś toksyny, ale wątpię, żeby upiła chociaż łyk.

- Jakież wiadomości?

- Nie ma automatycznej sekretarki, pageda, komputera ani poczty głosowej - powiedziała Diane. - Są za to książki, całe tony książek, i tylko jeden telewizor, nastawiony na lokalną stację, która dwadzieścia cztery godziny na dobę nadaje programy religijne.

- Do kogo dzwoniła?

- Ostatni wybrany numer ma kierunkowy do Phoenix.

- Ale nie mieszkała sama - powiedział Reed.

- Nie. Ale tego kogoś nie ma w domu.

Na tylnych schodach rozległ się odgłos kroków. Reed spojrział w tamtą stronę i zobaczył mundurowego nowicjusza, Williego Armstronga.

- Znalazłem kota - oznajmił policjant. Na policzku miał długie, czerwone zadrapanie. - Siedzi pod gankiem. Nie chce wyjść.

- Ale cię podrapał - zauważyła Morrisette.

Młody gliniarz zaczerwienił się aż po koniuszki dużych uszu.

- Tak. Bardzo się zdenerwował. Albo się boi, albo jest ranny. Wezwałem służby weterynaryjne.

- Służby weterynaryjne? - powtórzyła Morrisette. - Chryste Panie! Willie, jesteś policjantem czy mazgajem? Nie możesz go sam wydostać?

- Hej, próbowałem. Drań omal nie poorał mi twarzy pazurami. - Armstrong był chyba urażony uwagą Morrisette, ale przecież od niedawna pracował w wydziale. Przyzwyczajai się.

Wciąż się tłumaczył, trąc palcem policzek.

- Głupek mnie podrapał. Nie chciałem zatrzeć ewentualnych śladów na miejscu zbrodni. Przecież tam może coś być.

- Masz rację - powiedziała Diane.

- Ja wyciągnę tego kota. - Morrisette patrzyła na Armstronga, jakby był debilem, słabeuszem albo jednym i drugim. - To nie wymaga precyzji neurochirurga ani siły poskramiacza niedźwiedzi. - Przewróciła oczami. - Nie trzeba nawet używać gazu łzawiącego, Willie. To tylko kot.

- Daj spokój. Armstrong ma rację. - Diane sięgnęła po narzędzia. - I dobrze o tym wiesz, Morrisette. Odczep się od niego.

- Dlaczego miałyby go traktować inaczej niż pozostałych? - mruknął pod nosem inny gliniarz, a Morrisette posłała mu złowieszcze spojrzenie.

Młody Armstrong szybko zszedł po schodach na tylne podwórko, ogrodzone płotem i porośnięte gęstymi krzewami.

- Kiedy tylko będziemy coś mieli, zawiadomimy cię, Morrisette - powiedziała dobitnie Moses, ale kątem oka zerknęła na Reeda, szybko skinęła mu głową, po czym wróciła do pracy.

- Czyli wszyscy już wiedzą, że zostałeś odsunięty od sprawy.

- Chyba tak.

- Wygląda na to, że stajesz się sławny - zauważyła Morrisette, gdy szli brukowaną ścieżką do radiowozu.
- Reed otworzył drzwi i wszedł.
- Już jestem.

Rozdział 12

Uważacie, że to seryjny morderca? - zapytała Katherine Okano, studiując przez dwuogniskowe okulary list, który otrzymał Reed. Szary, wełniany kostium, który miała na sobie, odzwierciedlał jej nastrój. Zaciśnięte usta nadawały jej twarzy wyraz nieprzejednania.

- Na to wygląda. - Reed siedział na krześle, a Morrisette stała przy oknie.
- Tego tylko brakowało. - Okano usiadła na swoim fotelu. - No dobrze, mówcie, co macie.

Opowiedzieli prokurator okręgowej o wydarzeniach na cmentarzu Heritage i oględzinach domu Roberty Peters. Zebrali zeznania od sąsiadów. Jeden z nich pamiętał, że około dziesiątej Roberta wołała kota, inny powiedział, że z panią Peters mieszkała Angelina jakaś tam, gosposia, która miała jeden wieczór w tygodniu wolny.

- Nie rozmawialiście jeszcze z gosposią?
- Nie możemy jej znaleźć.

Zmarszczki na czole Okano pogłębiły się.

- Prasa już coś zwęszyła?
- Dziennikarze wypytują - przyznał Reed, myśląc o telefonach i e-mailach, które otrzymał. Dwie wiadomości w poczcie głosowej zostawiła mu Nikki Gillette, wysłała też e-mail. Nie była jedynym zainteresowanym reporterem, ale na pewno wykazywała największą determinację. Postawiła sobie chyba za punkt honoru, żeby do niego dotrzeć. Inni reporterzy dzwonili też do Morrisette, Cliffa Sieberta i Reda Demarca, ale Gillette uwzięła się na niego. - Zaczynają się domyslać, o co chodzi.

Okano skrzywiła się i oparła wygodniej. Zaciśnęła usta, a zielone oczy za okularami w metalowej oprawce wyraźnie pociemniały. Nie była zadowolona.

- Będziemy musieli wydać oświadczenie, ale przedtem chcę poznać więcej faktów.
- Czekamy na raporty zespołu oględzinowego i zakładu medycyny sądowej - powiedział Reed, a gdy Okano łypnęła na niego złowieszczco, dodał: - Słuchaj, oboje wiemy, że nie prowadzę tej sprawy, ale wciąga mnie w nią zabójca, przysyłając listy.
- To ja prowadzę śledztwo - wtrąciła Morrisette. - Już zaczęłam przesłuchiwać sąsiadów i znajomych Roberty Peters. Mam długą listę. Nie tylko udzielała się jako wolontariuszka w bibliotece, ale i co tydzień grała w brydża ze swoimi koleżankami, pracowała w zarządzie klubu ogrodniczego i płaciła składki w dwóch klubach towarzyskich. Będzie gdzie szukać.

Czyli dziennikarze lada moment przeprowadzą frontalny atak. - Okano przymrużyła oczy. - Znałaś ją? - zapytała Morrisette.

- Raczej z opowiadań. Zeszłego lata zamieniłam z nią kilka słów, głównie „dzień dobry” i „co słyhać”. Wiem o niej tylko tyle, że pomagała w bibliotece i czytała dzieciom książki.

Okano podniosła szklankę z parującą kawą.

- Dobrze, ty nadal prowadzisz sprawę, ale ty, Reed, jesteś naprawdę odsunięty. Oficjalnie i nieoficjalnie. Jeśli zabójca znów się z tobą skontaktuje, zamelduj o tym Morrisette, a ty - przechyliła głowę w stronę policjantki - informuj mnie na bieżąco o postępach w śledztwie. - Postukała długim palcem w list od zabójcy. - Wyślijcie go do laboratorium, do porównania z poprzednimi listami. Czekam na informację. Tymczasem zawiadomię FBI.

Reed skinął tylko głową. Chociaż nikt nie lubi federalnych, znają się na rzeczy i mają dostęp do źródeł, nieosiągalnych dla policji z Savannah. Mogą się przydać, a wydziałowi potrzebna każda pomoc, pomyślał.

- Będziemy musieli wydać oświadczenie, ostrzec opinię publiczną - myślała głośno Okano. - Nie wywołując paniki. - Zerknęła na nich oboje, a potem wbiła wzrok w Morrisette. - Złap tego drania, i to szybko.

Reed i Morrisette wyszli razem z gabinetu prokurator okręgowej, zanieśli list do laboratorium i wrócili do wydziału zabójstw, gdzie wszyscy byli pogrążeni w pracy. Detektywi siedzieli przed monitorami komputerów, rozmawiali przez telefon lub pracowali nad górami dokumentów, jakie zbierały się podczas każdego śledztwa.

- Muszę zadzwonić do kilku osób. Spotkamy się później - powiedziała Morrisette i poszła do swojego biurka.

Reed usiadł na krześle u siebie. Stara instalacja grzewcza wdmuchiwała do pokoju tak gorące powietrze, że detektywowi pot wystąpił na czoło. Temperatura na zewnątrz wynosiła dziesięć stopni, a w środku przekraczała trzydzieści. Po prostu upał. Jak w najgorętsze lato. Poluzował krawat i spojrzał na monitor komputera. Powinien pracować nad kilkoma śledztwami, ale najważniejsza była dla niego sprawa Grabarza. Nie podobał mu się ten przydomek. Tylko Nikki Gillette mogła wymyślić coś tak beznadziejnego. Zignorował polecenie Okano, żeby odsunąć się od śledztwa. Tkwił w tym po uszy, czy mu się to podobało, czy nie. Zabójca tego dopilnował.

Dlaczego?

Co łączyło go z psychopatą, który beczcił cmentarze i wkładał żywe kobiety do trumien z ciałami? I dlaczego zabójca przewiózł jedną z trumien prawie pół tysiąca kilometrów na północ? Jaki to miało sens? Czy chciał przez to coś przekazać? Tylko Reed nie zrozumiał? Kliknął ikonę na monitorze, wyświetlił akta sprawy Grabarza i powiększył zdjęcia ofiar. Ze ściśniętym gardłem patrzył na Bobbi Jean... Kiedyś była taka piękna. Teraz zostały po

niej tylko blade zwłoki.

Spojrzał na pozostałe ciała - dwa były w stanie zaawansowanego rozkładu. Co łączyło tych ludzi ze sobą? I z nim? Czy w ogóle był jakiś związek? A może zabójca po prostu chciał zmylić policję? Czy Grabarz go znał, czy po prostu zapamiętał nazwisko z gazety, bo pisano o nim przez całe lato? Kto wie?

Przeoglądał akta, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Obrócił się na krześle i zobaczył masywną sylwetkę detektywa McFeego.

- Chciałem się pożegnać - powiedział wielkolud.

- Wracasz do domu?

- Na jakiś czas. Rano przejrzałem wszystkie informacje o tej nowej zbrodni. - Jego wysokie czoło poryły zmarszczki. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z prawdziwym świrem. Chciałbym zostać dłużej, ale nie ma powodu. Szeryf kazał mi się zameldować.

- Ale wrócisz?

- Tak sądzę. Tkwimy w tej sprawie razem.

Reed kiwnął głową.

- Podrzucić cię na lotnisko?

McFee pokręcił głową.

- Nie trzeba. Ktoś mnie podwiezie. - Podeszedł do biurka Reeda i wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie. - Na razie. Powodzenia.

- Nawzajem.

- Dam ci znać, jeśli na coś natrafimy.

- Dziękuję.

McFee skinął głową i ruszył w stronę wyjścia. Reed patrzył za nim przez otwarte drzwi i wcale się nie zdziwił, widząc, że podchodzi do niego Sylvie Morrisette. Olbrzym wyraźnie się ucieszył, a Morrisette rozchmurzyła pierwszy raz tego dnia. Uśmiechała się do McFeego, patrzyła zalotnie, wydawała się bardzo kobieca. Wysoki detektyw zerknął przez ramię, napotkał spojrzenie Reeda i uśmiechnął się szelmowsko, unosząc kącik ust. Jakby chciał powiedzieć: „Tak to jest, Reed. Ucz się. Urok miłego, wiejskiego chłopaka działa na kobiety bardziej niż butelka chablis”.

Zniknęli na schodach, a Reed podniósł słuchawkę telefonu. Przytrzymał ją ramieniem, znalazł numer, który wcześniej sobie zapisał, i wybrał kolejne cyfry. To był ostatni numer, pod który zadzwoniła Roberta Peters... nie, raczej ostatni numer, pod który zadzwoniono z jej telefonu. Albo sama zatelefonowała do Phoenix, albo zrobił to ktoś, kto u niej był.

Po trzech dzwonekach powitał go słodki, kobiecy głos.

- Halo, tu Glenda z misji ewangelicznej Wiara. Bóg z tobą. Z kim mam połączyć?

Reed przedstawił się i powiedział, o co chodzi. Przełączano go po kolei do kilku osób, z których żadna nie udzieliła mu informacji. Głosy przestawały być przyjazne, a pozdrowienie „Bóg z tobą” urywało się w pół słowa, gdy tylko mówił, że jest z policji. Ostatnią osobą, z którą rozmawiał, był „Wielebny Joe”. Powiedział oschle, że nie udziela żadnych informacji o członkach misji, i odłożył słuchawkę. Reed skontaktował się z władzami Phoenix, żeby zapytać o misję ewangeliczną Wiara i Wielebnego Joego. Powiedziano mu, że kapłan i jego organizacja są czysti jak łąza. Wielebny Joe nigdy nie został ukarany nawet mandatem. Był niemal zbyt porządny. W Reedzie od razu wzbudził nieufność. Detektywowi nie spodobało się, że wielebny nie używał nazwiska. Może Joe był taką sławą w pobożnym świątku, że nie potrzebował nazwiska. Jak Cher, Madonna lub Liberace. Po prostu Wielebny Joe.

Intuicja tym razem zawiodła Reeda; ten telefon okazał się stratą czasu i kolejnym ślepym zaułkiem. Pierwsze niepowodzenie.

Wziął puszkę coli z dystrybutora napojów w korytarzu, a potem zadzwonił do wydziału policji w Nowym Orleanie. Miał nadzieję zastać Reubena Montoyę, młodego detektywa, z którym latem pracował nad sprawą Montgomerych, ale sekretarka powiedziała, że Montoya przed kilkoma miesiącami odszedł z wydziału, i skierowała Reeda do detektywa Ricka Bentza. Zgłosiła się poczta głosowa i Reed przypomniał sobie, że już kiedyś współpracował z Bentzem. Teraz znów tak będzie. Zostawił krótką wiadomość z pytaniem o brata Bobbi Jean, Vince’a Lassitera, podał swój numer telefonu i się rozłączył.

Drugie niepowodzenie.

Wypił do końca colę, odpowiedział na kilka telefonów i zajął się robotą papierkową, ale w głowie cały czas kołatały mu myśli o Grabarzu. Zbliżał się wieczór. Reed wciąż zastanawiał się nad tą sprawą. Uważał, że umknęło mu coś bardzo ważnego. Cholerny zabójca drwił z niego, wysyłając listy ze wskazówkami, których Reed nie potrafił rozszyfrować. Wyjął żółty notatnik i długopis. Postanowił zacząć od wiadomości od zabójcy. Chociaż były już analizowane w laboratorium przez policyjnego psychologa, a teraz zapewne też przez specjalistę z FBI, Reed wolał przeanalizować je sam. To była jego korespondencja z zabójcą. Łączące go z nim ogniwo. W listach adresowanych do niego powinno być coś, co tylko on mógł zrozumieć. Zapisał treść pierwszego listu, tego, który przyszedł na posterunek i miał na kopercie adres zwrotny Cmentarza Kolonialnego.

RAZ, DWA, ZACZEŁA SIĘ GRA.
NIECH ICH SŁUCHAJĄ,
KIEDY UMIERAJĄ.

To był wstęp do całej sprawy. Zabójca zapowiedział, że Reed znajdzie dwie ofiary, chociaż Pauline Alexander zmarła przed kilku laty z przyczyn naturalnych. Reed uznał to za zaczepkę. Zabójca zdradził tylko, że po pierwszych ofiarach będą następne. Czyli uznawał za ofiary zarówno Bobbi Jean, jak i Pauline Alexander.

TIK TAK, TIK TAK,
ZEGAR GRA.
W JEDNE DWIE,
RAZ I DWA.

Znów odniesienie do dwóch ofiar albo... czy zabójca wiedział o dziecku?

Jeśli tak, to byłyby trzy ofiary... jedna plus dwie to trzy... Ale były tylko dwa ciała - chyba że morderca miał na myśli Thomasa Massey, który od dawna nie żył. Może więc trumna Massey została wykopana celowo. Może psychopata nie przypadkiem wybrał jego grób.

- Myśl, Reed, myśl - warknął do siebie. W listach musi być jakieś nawiązanie do czasu. Ale jakie? Czy zabójca działał według harmonogramu? Czy sam go ustalił? Dlaczego kontaktował się z nim? - No już, rozgryź to - nakazał sobie, zapisując treść trzeciego listu:

RAZ, DWA, TRZY, CZTERY...

CZEGO TY TERAZ SIĘ SPODZIEWASZ, DO JASNEJ CHOLERY?

Kolejna zaczepka. Zabójca bawił się z nim w kotka i myszkę. I czuł przewagę. Zwrócił się do niego bezpośrednio, w drugiej osobie. Ale w ostatnim liście coś się nie zgadzało. Coś niepokoiło detektywa. „Raz, dwa, trzy, cztery”. Jak dziecinna wyliczanka, ale oczywiście było to też nawiązanie do liczby ciał. Czterech - czyli ofiarami były nie tylko Barbara Jean Marx i Roberta Peters, ale też Pauline Alexander i Thomas Massey. Bo po co liczyłyby do czterech? Chyba że kpi sobie z ciebie, a dwa pozostałe ciała są w grobach, do których jeszcze nie dotarłeś.

- Cholera - mruknął, zadowolony, że listami zajął się psycholog z FBI. To na pewno go zainteresowało.

Bębniąc palcami w blat biurka, jeszcze raz przejrzał wszystkie raporty i dowody. Sprawdził też pocztę elektroniczną, gdzie znalazł wstępny raport na temat Thomasa Massey. Był Afroamerykaninem, miał czworo dzieci, które rozjechały się po całym kraju, i żonę, mieszkającą w niewielkim domu za miastem. Przed laty Massey pracował jako woźny w szkole, był też diakonem w kościele. Jego żona, Bea, pracowała na pół etatu jako księgowa i wychowywała dzieci. Na razie nie stwierdzono, by Massey kiedykolwiek wszedł w konflikt z prawem. Jego małżeństwo trwało już czterdzieści pięć lat, gdy zmarł.

Była też Roberta Peters, sześćdziesięcioletnia wdowa. Bezdzienna, Mieszkała sama w starym domu, który zajmowała z mężem od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Mąż zmarł przed czterema laty.

Jaki więc był związek między ofiarami? Czy w ogóle istniał?

CZEGO TY TERAZ SIĘ SPODZIEWASZ, DO JASNEJ CHOLERY?

Reed zacisnął zęby. Morderca najwyraźniej nie zamierzał przestać. Detektyw zastanawiał się, czy zabójca określił liczbę ofiar. Prawdopodobnie nie. Zresztą pytanie było retoryczne. Drań nie zakończy swojej śmiertelnej gry, dopóki policja nie zakuje go w kajdanki lub nie zabije. Reed wolałby to drugie rozwiązanie.

Może mu się poszczęści i sam dostąpi tego „zaszczytu”?

Rozdział 13

Nie chcesz zjeść z nami kolacji? - zapytała Charlene Gillette. Ważyła zaledwie pięćdziesiąt kilogramów i była bardzo blada, ale doskonale umalowana. Siedziała na poduszkach w fotelu przy oknie, wychodzącym na rozległe tarasy rodzinnej posiadłości. Na dworze było ciemno. Światło lamp przy ceglany murze padało na krzewy. Na stole kuchennym, obok wazonu z egzotycznymi kwiatami, leżało poranne wydanie „Sentinela” - z artykułem Nikki na wierzchu - a na nim okulary do czytania.

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę, mam - powiedziała Nikki. Omal nie zaburczało jej w brzuchu, gdy poczuła zapach pysznej pieczeni, wydobywający się z piekarnika. Ciasto orzechowe studziło się na kuchennym blacie, a na gazie gotowały się kartofle. Sandra, która w domu była jednocześnie gosposią i pielęgniarką, przyrządzała sałatkę ze szpinaku z gruszkami i pleśniowym serem. Nikki stała przy blacie i skubała kawałki siekanych orzechów laskowych, które nie trafiły do salaterki.

- Zawsze dokąś pędzisz. Nie zaskodziłoby ci, gdybyś choć raz spokojnie usiadła i zjadła z nami kolację.

- Oczywiście, że nie. - Ale Nikki wybiegła już myślami w przód. Musiała odebrać nowe klucze do mieszkania. Oczywiście nie powiedziała rodzicom o włamaniu. Gdyby to zrobiła, od razu zaczęliby się zamartwiać, wysyłałiby ją na policję albo prosili, żeby zamieszkała z nimi... Nie odpowiadało jej żadne z tych rozwiązań.

- Nie wiem, kiedy ty odpoczywasz - narzekała Charlene.

- To nie leży w mojej naturze.

- Wykapany ojciec.

Sandra uniosła brew, biorąc garstkę posiekanych orzechów i posypując nimi liście szpinaku.

- Czy jest w tym coś złego?
Matka nie odpowiedziała. Strzeliła palcami, jakby nagle przypomniała sobie coś ważnego.

- Och, kochanie, przy okazji, zgadnij, kto nas dziś odwiedził?
- Nigdy nie zgadnę - odparła szczerze Nikki. - Macie zbyt wielu znajomych.
- Nie chodzi o mnie. To ktoś, kogo ty, hm, znałaś.
- Kto? - zapytała obojętnie Nikki.
- Sean - oznajmiła matka z błyskiem w oku.
Nikki jęknęła w duchu.
- Sean Hawke? Co tu robił?
- Wpadł, żeby się ze mną zobaczyć. Chodziłam do szkoły z jego matką, przecież wiesz.
Nikki to pamiętała. Chociaż wcale nie chciała.
- Pytał o ciebie.
- Już z nim rozmawiałam.
- I? - Matka uniosła brew.
- I nic. Chce, żebyśmy znowu byli razem. Uważam, że to zły pomysł.
- Naprawdę? Ja zawsze lubiłam Seana. - Podniosła dłonie do boków głowy, jakby chciała się osłonić przed ciosem. - Wiem, wiem. Nie udało się wam. On zainteresował się inną kobietą, ale, sama wiesz, oboje byliście wtedy tacy młodzi. Może teraz...
- Nigdy, mamo, i wprost nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Sean był, jest i będzie draniem. Koniec, kropka. - Nikki nie mogła powstrzymać irytacji. Charlene chyba uznała ją za starą pannę, tylko dlatego że przekroczyła trzydziestkę. Śmieszne. - Tata natomiast nigdy go nie lubił - przypomniała i wydało jej się, że kątem oka dostrzegła, jak Sandra szybko kiwnęła głową.
- Twój ojciec jest podejrzliwy wobec Wszystkich. - Charlene spłotła ręce pod swoim małym biustem. Zaciśnęła zęby i jej twarz przybrała nieprzejednany wyraz, który Nikki widywała często, zbyt często. - To skutek tego, że jest prawnikiem i codziennie widzi ciemną stronę życia.
Nikki usłyszała, jak otwierają się drzwi garażu.
- O wilku mowa.
Matka zeszywniała, jakby próbowała uzbroić się w odwagę, a Nikki zrobiło się przykro. Co się stało z jej rodzicami? Kiedy byli młodszy, tańczyli i śmiali się, w ich oczach zapalały się iskierki, dowcipkowali sobie. Byli sobie bardzo oddani, a jednocześnie niezależni i przede wszystkim pełni szacunku. Radośni. Szczęśliwi. Kochali się nawet po narodzinach czwórki dzieci i po dwudziestu latach spędzonych razem. Ale ich szczęście stopniało po śmierci najstarszego syna. Oboje nie mogli się też pogodzić z upływem czasu. Wiek i żal odebrały Charlene rezolucję i energię, a jej męża przepęłniły goryczą.
Sandra zmiotła właśnie z blatu okruszki orzechów, gdy były sędzia Ronald Gillette otworzył drzwi i wkroczył do jasno oświetlonej kuchni.
Miał rumiane policzki i ostatnio zawsze czerwony nos. Niebieskie oczy błyszcząły, choć białka pokrywała sieć popękanych naczynek krwionośnych. Niektórzy ludzie mówili, że jest podobny do Świętego Mikołaja, ale Nikki widziała w nim raczej Burla Ivesa w roli Tatusia w starej, filmowej wersji *Kotki na gorącym, blaszanym dachu*.
- Cześć, mój Fajerwerku! - huknął i uściskał swoje najmłodsze dziecko, czego zresztą się spodziewała. Pachniał cygarami, whisky i deszczem. - Wreszcie dostałaś się na pierwszą stronę! Gratuluję! - Jeszcze jeden „niedźwiadek”.
Nikki uśmiechnęła się od ucha do ucha.
- Przy czym najważniejszym słowem w tym zdaniu było „wreszcie”.
Wielki Ron się zaśmiał.
- To nie znaczy, że jesteś na szczycie.
- Jeszcze nie.
- Może uczymy to drinkiem? Charlene?
- Nie. - Matka potrząsnęła głową, próbując nie okazać dezaprobaty, ale kąciki jej ust znacząco się wygięły.
- Ale ty się napijesz? - zapytał Nikki.
Pomyślała o umówionym spotkaniu z Cliffem.
- Muszę już iść, tato. Obowiązki wzywają.
- Tylko jeden drink. - Szedł już w stronę salonu.
Matka spojrzała w ciemne okno i Nikki zauważyła odbicie jej bladej twarzy w szybie. Dostrzegła ból i dezaprobatę.
- Dobrze się czujesz, mamo?
Charlene zamruła i zmusiła się do uśmiechu.
- Bardzo.
- Nie okłamałabyś mnie, prawda? - Nikki usiadła na poduszce obok matki i przytuliła ją. Charlene pachniała pudrem i perfumami Estee Lauder. - Wczoraj był lekarz. Co powiedział?

- To, co zwykle. Że całe zło dzieje się w mojej głowie. - Zerkając na korytarz, w którym zniknął jej mąż, dodała:
- Zaproponował, żebym poszła do psychiatrii.
Nikki wzięła matkę za rękę i zdziwiła się, że jest taka drobna i chuda. Pierścionki były tak luźne, że oczka przesuwwały się w stronę wnętrza dłoni.
- Czy to coś złego?
Charlene opanowała drżenie podbródka i spojrzała córce w oczy.
- Ty też myślisz, że jestem szalona.
- Nie szalona. Tylko załamana.
- Czy to nie to samo?
- Skądże. Różnica jest ogromna. - Nikki starała się być miła, ale niełatwo było powiedzieć matce prawdę. - Wydajesz się taka nieszczęśliwa, mamo.
- Cóż za spostrzegawczość - warknęła gniewnie Charlene, a potem opanowała się i uwolniła palce z uścisku Nikki. - Wszystko ze mną w porządku. Naprawdę. Nie martw się. Proszę.
W korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków, więc usta matki znów na chwilę się ściągnęły, jakby nie mogła wytrzymać w jednym pomieszczeniu z mężem. Zdobyła się na wymuszony półuśmiech, gdy Wielki Ron wszedł do pokoju, niosąc dwie niskie szklanki. W bładozłotym płynie podzwaniały kostki lodu.
- Proszę bardzo - powiedział, podając jedną ze szklaneczek córce.
- Przecież mówiła, że nie chce pić - wtrąciła Charlene.
- Naprawdę? - Mrugnął do Nikki. - Chyba nie słyszałem. Trącając swoją szklaneczką szklaneczkę Nikki, powiedział: - Za kolejne wielkie odkrycia i artykuły na pierwszej stronie.
- Dzięki. - Upiła łyczek, uznała, że whisky jest dobra, i starała się zignorować wiszące w powietrzu napięcie.
Żeby ugłaskać matkę, a także dlatego że była głodna, została na kolacji. Słuchała opowieści ojca o golfie i rybach i bezskutecznie starała się wciągnąć Charlene do rozmowy. Z deserem przenieśli się do bawialni. Jedli ciasto i sączyli kawę, a Nikki starała się nie myśleć, że zrobiło się późno. Prawie skończyła deser, kiedy zorientowała się, że zapomniała o spotkaniu z Simone. Znowu. Nie cierpiała ludzi, którzy wystawiają przyjaciół do wiatru, a ostatnio sama to robiła.
- Kurczę, muszę lecieć - powiedziała, zostawiając kawałek ciasta i kawę na stoliku.
- Gdzie się pali? - Ojciec siedział w swoim ulubionym, zniszczonym fotelu z podnóżkiem, na którym oparł stopy. Rozpiął koszulę i podciągnął nogawkę, żeby rozpiąć kaburę, którą nosił na kostce. Od nieudanego zamachu na swoje życie, kiedy to komuś nie spodobał się wydany przez niego wyrok, zawsze nosił przy sobie broń.
- Obiecałam Simone, że spotkamy się w klubie sportowym - wyjaśniła Nikki, biorąc torebkę. Zerknęła na zegarek. - Jeśli się pospieszę, może jeszcze zdążyć.
- Prawie nas nie odwiedzasz - jęknęła Charlene.
Wielki Ron masował sobie tydkę. Położył kaburę i pistolet na stoliku.
- Zabierz to natychmiast - powiedziała Charlene, wskazując broń palcem. - Ostatnim razem, kiedy zostawiłeś tu pistolet, przyszła Lily z Ophelią.
Wielki Ron tylko zmienił pilotem kanał w dużym telewizorze.
- Na miłość boską. - Charlene zacisnęła usta tak, że utworzyły cienką kreskę.
Nikki było przykro, że wychodzi. Awantura wisiała w powietrzu.
- Wkrótce znów wpadnę. Przyrzekam. - Pocałowała matkę w czoło, uściła ojca i wybiegła z domu. Rodzice zawarli trudny rozejm. Nie miała wątpliwości, że sobie poradzą. Ale trzymała kciuki, żeby kłócili się jak najmniej.
Jak mogła zapomnieć o przyjaciółce? Chociaż była bardzo ambitna, nie uważała, że praca jest sensem życia. Rodzina i przyjaciele byli równie ważni. A jednak nie spotykała się z rodzicami, od kilku dni nie dzwoniła do siostry, zostawiła Trinę z Aimee i Daną, a teraz omal nie wystawiła do wiatru najlepszej przyjaciółki.
- O, tak, Gillette - skarciła się głośno. - Wspaniała z ciebie koleżanka.
Pojechała do domu, przekraczając dozwoloną prędkość, zapukała do zarządcy, odebrała dwa nowe, lśniące klucze i usłyszała, że nowe zamki „to gwarancja, że niechciany chłopak już nie będzie jej nękać”.
- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem i wbiegła po schodach. Z wahaniem wsunęła klucz do nowego zamka, ale drzwi zaraz się otworzyły, a jej przytulne mieszkanko wyglądało tak jak wtedy, gdy wychodziła. Przynajmniej tak jej się wydawało.
Jennings z wdziękiem zeskoczył z kuchennego blatu i ocierał się o jej nogi. Poglaskała go, nakarmiła i przebrała się. Zadzwoiła do Cliffa Sieberta na komórkę i powiedziała, że przyjedzie na parking dla ciężarówek trochę później, bo musi spotkać się z Simone. Potem, czując niewielkie wyrzuty sumienia, że znów zostawia kota, dobrze zamknęła za sobą drzwi i popędziła po schodach. Zajęcia w klubie zaczynały się za pięć minut.
Tylko że jechało się tam ponad kwadrans.

Rozdział 14

To wszystko na dziś. Dziękuję. - Jake Vaughn skłonił się, klasnął w ręce i uśmiechnął się do grupy. Nikki, złana potem, czuła każdy mięsień. Spóźniła się na trening kick boxingu o dziesięć minut i nie zdążyła na rozgrzewkę, ale na szczęście znalazła miejsce obok Simone, która ćwicząc, gapiała się na instruktora.

- To żenujące - skarciła ją Nikki, ocierając twarz ręcznikiem. Większość ćwiczących zbierała sprzęt i wychodziła z wysokiej sali gimnastycznej o lśniącej, drewnianej podłodze, z koszami do koszykówki.

- Tak myślisz? - Simone zaśmiała się. Jej czarne włosy były ściągnięte na czubku głowy w luźny, pozornie niedbały kok, ale Nikki podejrzewała, że przyjaciółka czesała się z pół godziny. Simone miała skórę o złotawym odcieniu i policzki zarumienione od wysiłku, a może od myśli o instruktora, Nikki nie była pewna. - Nie sądziłam, że coś może cię wprawić w zakłopotanie - powiedziała, dotykając czoła końcami ręcznika, zarzuconego na ramiona.

- Myliłaś się.

- W takim razie przygotuj się na wielki szok. - Rzuciła Nikki spojrzenie, mówiące: „Podziwiał”, i podeszła do Jake’a, który wkładał sprzęt gimnastyczny do nylonowej torby firmy Nike.

Nikki nie słyszała rozmowy, ale przypuszczała, że Simone zaprasza go na randkę. Uśmiechnął się szeroko, kiwnął głową, ale zaraz potem nią pokręcił. Odmówił Simone. Co z nim było nie tak? Simone wyglądała fantastycznie w koszulce i obcisłych spodenkach, zadrukowanych w lamparcie cętki. Jake po prostu musiał być gejem. Zresztą z jakiego innego powodu Simone mogła się nim interesować? Zawsze pociągali ją niedostępni mężczyźni - żonaci, tuż po rozwodzie albo z problemami emocjonalnymi. To był pierwszy raz, kiedy Simone zagięła parol na kogoś, kto się nią nie interesował. Bardzo ją to uraziło. Tylko że tego faceta najprawdopodobniej w ogóle nie ciągnęło do kobiet.

Nikki zarzuciła sobie ręcznik na szyję, patrząc, jak Simone i Jake się rozchodzą.

- Nie ma czasu - powiedziała Simone zakłopotana. Jej ciemne brwi tworzyły jedną kreskę, usta były ściągnięte. Jej dobry nastrój przysł.

- Bo jest gejem.

- Tego nie wiesz.

- Chcesz się założyć?

Simone westchnęła dramatycznie.

- Nie! To głupi zakład. Ale skoro Jake nie może ze mną iść, to może ty? Zjemy kolację?

- Wspaniale, że mnie zaprosiłaś, kiedy ci odmówił - żartowała Nikki.

- Och, Nikki, jesteś niesprawiedliwa. Ty zawsze mnie wystawiasz, i to wcale nie dla przystojnych facetów. Zawsze mówisz, że... - pokazała palcami w powietrzu, że będzie cytować „chodzi o ważną, ale to naprawdę bardzo ważną sprawę”.

- Dobrze, dobrze. Wiem, że jestem okropna. - Nikki zerknęła na zegarek. Miała niecałą godzinę do spotkania z Cliffem.

- Właśnie. Więc wynagrodź mi to. I nie narzekaj, że zaprosiłam cię, kiedy on mi odmówił. Poza tym musisz coś zjeść. Przekonasz mnie, że Jake jest do niczego, gdy będziemy jadły krewetki i frytki.

- Myślałam, że masz ochotę na mięso z grilla.

- Tak, i miałam też ochotę na Jake’a. Kobieta ma prawo czasami zmienić zdanie.

- Jadłam kolację u rodziców.

- To dotrzyмай mi towarzystwa.

- Tylko na chwilę - zgodziła się Nikki.

Pojechały każda swoim samochodem do Bijou, kawiarenki przy nabrzeżu. Atmosfera była kiepska, lokal ciasny i hałaśliwy, ale Nikki wiedziała z doświadczenia, że takich krewetek, ostryg i krabów nie dostałyby w żadnej innej restauracji. Do niewielkiego pomieszczenia wciśnięto z tuzin stolików, przykrytych czerwono-białymi obrusami z ceraty, a pod sufitem obracały się wiatraki, teraz udekorowane choinkowymi lampkami. Pod ścianami znajdowały się półprywatne boksy z wieszakami na ubrania. Gdy Nikki i Simone weszły, właśnie zwolnił się stolik przy drzwiach do kuchni, więc od razu usiadły.

Po kilku minutach przyszła kelnerka z fioletowymi pasemkami i kilkoma kolczykami w brwiach. Zanim Nikki zdążyła przekonać Simone, że Jake, instruktor kick boxingu, jest poza zasięgiem, postawiono przed nimi danie z owoców morza i mrożoną herbatę.

- Chcesz trochę? - zapytała Simone, maczając pasek małża w ostrym sosie.

- Naprawdę jestem najedzona.

Nikki sęczyła mrożoną herbatę i starała się nie patrzeć co pięć minut na zegarek, gdy jej przyjaciółka zajadała frytki, krewetki, małże i kraby w cieście. Z głośników po raz drugi dobiegały dźwięki piosenki *Jingle Bell Rock*.

- Dobrze, nie mogę mieć Jake’a. Jakoś to przeżyję - stwierdziła filozoficznie Simone. - Chyba doszłam już do siebie po stracie Andrew.

- Szybciej niż większość z nas.

Rzadko mówiły o Andrew i o tym, że zerwał z Simone tydzień przed odebraniem sobie życia. Nikki wcale nie była taka pewna, że przyjaciółka wyszła z tego emocjonalnie niezraniona, ale nie była w nastroju do sporów.

- Pomówmy o tobie. Dlaczego zawsze siedzisz w domu albo w pracy? Zaczynam myśleć, że masz tam gdzieś kochanka.

Nikki omal nie roześmiała się w głos. Minęło kilka miesięcy, odkąd była na randce, i bardzo dużo czasu od

rozstania z Seanem, jej ostatnim poważnym chłopakiem.

- Myśl tak dalej. Dzięki temu czuję się intrygująca.

- Przecież jesteś.

- Ja? - Nikki potrząsnęła głową i ukradła frytkę. - Można we mnie czytać jak w otwartej książce.

- Przede wszystkim to, że za dużo pracujesz - powiedziała Simone, gdy kelnerka ponownie napełniła szklanek Nikki, a ktoś z klientów wybrał z szafy grającej stary przebój Jimmy'ego Buffeta. Dźwięki *Margaritaville* mieszały się ze szcękaniem sztućców i szumem rozmów.

- Niektórzy nie mają ciepłych posadek w wydziale planowania architektonicznego miasta.

- Ciepłych, ale nudnych. Całymi dniami słucham sprzeczek architektów i... chyba nie wiem, ale nie tak chcę spędzić resztę życia. Ty przynajmniej kochasz swoją pracę. - Simone odłożyła widelec. - Powiem ci, co sobie wymyśliłam.

- Oprócz tego, że chcesz przekonać geja do kobiet? - Nikki dopiła mrożoną herbatę i gryzła teraz kostkę lodu.

Simone zignorowała przytyk.

- Chcę się stąd wyprowadzić.

- Co? - Zaskoczona Nikki odstawiła szklanek. Omal nie udławiła się lodem.

- No właśnie to.

- Ale dokąd i dlaczego?

- Nie wiem jeszcze, gdzie zamieszkać. Byle nie tutaj. Może w Richmond.

- Richmond? - Nikki nie wierzyła własnym uszom. Simone nigdy nie wspomniała nawet słowem, że chciałaby się wynieść z Savannah.

Simone skubała krewetkę. Unikała wzroku przyjaciółki.

- Albo do Charleston.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała Nikki.

Para przy sąsiednim stoliku z hałasem odsuwała krzesła.

- Och, Nikki, dobrze wiesz, co mam na myśli. Ty od lat mówisz o wyjeździe. Do Nowego Jorku, Chicago, San Francisco albo Los Angeles. Ja nie chcę się przenosić na drugą stronę kraju. Chcę być na tyle blisko, żeby zawsze móc odwiedzać rodziców, ale też na tyle daleko, żeby móc spokojnie żyć. Spójrzmy prawdzie w oczy, Nikki. Ja tu gnuśnieję. Dzieje się tak od śmierci Andrew. Potrzebuję odmiany.

Otóż to. Nie tylko była jedyną spadkobierczynią bogatej, starej rodziny z Savannah, ale i odziedziczyła część majątku Andrew. Chociaż polisa na życie została unieważniona, bo popełnił samobójstwo, Andrew miał po babci ziemię i spore oszczędności w banku. Niektórych denerwowało to, że Simone otrzymała część rodzinnej fortuny Gillette'ów, ale Nikki nigdy się tym nie przejmowała.

- Miałam nadzieję, że zrozumiesz - ciągnęła Simone. - Ty zawsze szukasz wrażeń. I znajdujesz je w pracy.

- Och, tak, piszę emocjonujące artykuły o najbliższych planach towarzystwa historycznego. A wybory do komisji edukacji to po prostu hit.

- Pomogłaś wsadzić Dickiego Raya Biscaype'a.

- I świat stał się lepszy - zadrwiła Nikki, przypominając sobie tego łobuza, kuzyna Montgomerych. To był wyjątkowy drań.

- Naprawdę - upierała się Simone, obserwując, jak kelner zgrabnym ruchem chowa do kieszeni napiwek, pozostawiony na sąsiednim stoliku, zbiera naczynia i przeciera ceratę mokrą ścierką. - Dickie Ray organizował walki psów. - Zadrzała. - To okropne. Wyświadczyłaś wszystkim przysługę. A teraz jesteś na tropie tego Grabarza, zgadza się? - Oczy Simone rozbłysły. Rano czytałam twój artykuł. I szukasz dalej - powiedziała z uśmiechem, a potem nachyliła się nad stolikiem, jakby chciała jej zdradzić tajemnicę. - Nie jestem detektywem, ale widzę, jak zerkasz na zegarek i na komórkę. Mogę się założyć, że dzieje się coś ważnego i zaraz musisz jechać. Tak?

- Aż tak widać?

- Tak. Założę się, że to ma coś wspólnego z tymi morderstwami.

Nikki się zawahała.

- Nie mogę ci dużo powiedzieć, ale po raz pierwszy od bardzo dawna mam szansę udowodnić Tomowi Finkowi, że jestem coś warta. I jej nie zmarnuję.

- Och... - Simone kiwnęła głową, jedząc krewetkę. - Czyli nadal to w tobie tkwi. Nikki, proces Chevaliera odbył się całe wielu temu.

- Mnie się wydaje, że wczoraj.

- O wiele wcześniej. Raczej dziesięć czy dwanaście lat temu. Byłam w sądzie. Pamiętam. - Zadrzała, a Nikki zauważyła gęsią skórę na jej przedramionach. - Słyszałam, że Chevaliera wypuścili kilka tygodni temu. Masz pojęcie? Świr wymordował całą swoją rodzinę, a teraz wyszedł z więzienia, bo popełnili jakiś błąd w procedurze? - Simone zbladła i mówiła ze śmiertelną powagą. - Takie przypadki bardzo źle świadczą o naszym wymiarze sprawiedliwości.

Nikki całkowicie się z nią zgadzała. Nie chciała myśleć o LeRoyu Chevalierze, jego brutalnej zbrodni i o tym, jak omal nie zaprzepaściła procesu, rozpowszechniając informacje, które uzyskała od ojca, przewodniczącego składu

sędziowskiego. Przez nią mógł stracić pracę. Najprawdopodobniej zniszczyła jego ambicje polityczne. A teraz Chevalier wyszedł na wolność. Zgadzała się z Simone, że tak być nie powinno. Spojrzała na zegarek i przeprosiła przyjaciółkę.

- Wybacz, ale naprawdę muszę już pędzić.

- Wiem, gdzieś tam jest wspaniały temat i tylko czeka, żeby Nikki Gillette zechciała się nim zainteresować.

Nikki uśmiechnęła się, otwierając portfel, ale zaraz jęknęła. Spiesząc się do domu po nowe klucze, zapomniała wpaść do banku. Nie miała przy sobie ani centa.

- Nie uwierzysz.

Simone się zaśmiała.

- Nie przejmuj się. Zapłacę za twoją herbatę. A ty mi się zrewanżujesz, kiedy dostaniesz nagrodę Pulitzera. - Simone uniosła dłoń, chcąc przywołać kelnerkę, ale zaraz ją opuściła. Uśmiech znikł z jej twarzy, zmarszczyła brwi. - Co to za facet?

- Który?

- Siedział w tamtym boksie... - Wskazała podbródkiem wnękę w rogu, przy bocznych drzwiach, które właśnie się zamykały. - Siedział twarzą w moją stronę i kilka razy widziałam, jak na nas patrzył... wydawało mi się, że skądś go znam, ale... - Jeszcze bardziej zmarszczyła brwi. - Och, może to nic takiego.

Nikki zaszczoło w ustach. Patrzyła przez szklane drzwi, ale widziała za nimi tylko ciemność i pusty chodnik. Szybko spojrzała we frontowe okna restauracji, ale nie zauważyła nikogo w padających z nich snopach ciepłego światła. Żadnej podejrzaney sylwetki.

- Obserwował nas?

- Och, może nie. - Ale Simone wciąż marszczyła czoło. - Pewnie tylko mi się zdawało. Ostatnio jestem podenerwowana.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Mam dziwne przeczucia... - Głos jej się załamał i westchnęła. - Muszę się wynieść z tego miasta.

- Jakie przeczucia?

Simone wyciągnęła torebkę spod krzesła i przewiesiła ją sobie przez ramię.

- To nic. - Widząc, że Nikki patrzy na nią z powątpiewaniem, dodała: - Naprawdę. Pamiętaj, że jestem kopnieta. Przecież uganiam się za homoseksualistami.

Nikki pomyślała o liście, który znalazła w swoim łóżku. Zrobiło jej się zimno. Ale gdyby teraz powiedziała o tym Simone, jeszcze bardziej by ją zdenerwowała.

- Jeśli coś cię niepokoi...

- To chyba ta pora roku. Boże Narodzenie i tak dalej. Zawsze spędzałam święta z Andrew... ale to odległe czasy. Minęło prawie trzynaście lat. Mogłyśmy być szwagierkami... mogłaś zostać ciocią moich dzieci. Ciocia Nik. Jak to brzmi?

- Znajomo. Córka Lily tak na mnie mówi.

Simone wcale nie pozbyła się po śmierci Andrew, podobnie jak reszta rodziny. Może rzeczywiście powinna wyjechać z Savannah. Oddalić się od wspomnień. Od najlepszej przyjaciółki, która przecież była siostrą Jej ukochanego mężczyzny. Od duchów przeszłości.

Kelnerka wreszcie podeszła do ich stolika. Simone poprosiła o rachunek, a Nikki zapytała o faceta, który siedział w rogu sali.

- Nigdy go nie widziałam. Ale pracuję tu dopiero tydzień.

- Dzięki.

- To bez znaczenia - powiedziała Simone, patrząc na rachunek.

- Następnym razem ja stawiam. Naprawdę. - Nikki wzięła torebkę.

- Już to kiedyś słyszałam. Ale nie przejmuj się, nie kosztujesz mnie drogo. Tyle co szklanka mrożonej herbaty. - Simone rzuciła kilka banknotów na stolik i razem wyszły do samochodów. Zniszczony hatchback Nikki był zaparkowany dwa miejsca od półrocznego kabrioletu bmw Simone.

Brukowana ulica była pusta i ciemna, ale Nikki nie zauważyła, żeby ktoś czaił się w mroku. Mimo to była zdenerwowana, więc sprawdziła tył samochodu, zanim wsiadła i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik zgasł. Znowu. Kilkakrotnie wcisnęła pedał gazu, jeszcze raz przekreśliła kluczyk i zobaczyła, jak Simone zjeżdża z krawężnika.

- No, już! - Kolejna próba; silnik tylko rzeził przez chwilę i znów zgasł.

Tylne światła samochodu Simone były już tylko dwoma czerwonymi punkcikami w oddali. Nikki zaczęła się pocić. Przypomniła sobie o facecie, który podobno przyglądał im się z boku w Bijou. Ale nie była sama, przecież z budynku wychodzili klienci, poza tym miała komórkę. Jeszcze raz przekreśliła kluczyk i silnik zaskoczył. Delikatnie dodała gazu i zjechała z krawężnika. Czuła ulgę, aż do zakrętu, w który weszła trochę za szybko.

Jak zwykle była spóźniona.

Za żadne skarby nie chciała odpuścić spotkania z Cliffem Siebertem.

Subaru zakotłosał się na zakręcie. Straciła nad nim panowanie. Działo się coś złego...

- Cholera jasna! - Nikki wjechała na chodnik i wysiadła, żeby zobaczyć, co się stało. W jednej z tylnych opon nie było powietrza. - A niech to! - Kopnęła oponę i zaklęła pod nosem. Jednak nie zdążyła na spotkanie. W żadnym razie.

Co za pech!

Było ciemno, ale umiała zmienić koło. Wyciągnęła telefon i wybrała numer komórki Cliffa.

Jeden dzwonek.

Wymiana trochę potrwa, ubrudzę się, ale dam sobie radę.

Drugi dzwonek.

No, już, odbierz!

A może zadzwonić po pomoc drogową? Może Cliff zaproponuje...

Trzeci dzwonek.

No nie! Obok niej zatrzymała się furgonetka. Facet w bejsbolówce opuścił szybę.

- Jakies kłopoty?

Czwarty dzwonek.

- Złapałam gumę.

- Pomóc?

- Nie... dam sobie radę. Mój mąż już tu jedzie - skłamała, mając nadzieję, że mężczyzna nie zauważy, że nie ma obrączki.

Usłyszała kliknięcie w telefonie i głos Cliffa, proszący o nagranie wiadomości po sygnale.

- Mogę tu z panią poczekać, aż przyjedzie. - Nieznajomy uśmiechnął się, odsłaniając złoty ząb, który zalśnił w blasku latarni.

- Nie, nie trzeba. Właśnie z nim rozmawiam, jest tylko kilka ulic dalej. - Co? - powiedziała do komórki. - Nie, tylko jakiś pan zaproponował pomoc. Nie, oczywiście. Powiem, że będziesz za minutkę... Ja też cię kocham. - Patrząc na kierowcę furgonetki, zmusiła się do uśmiechu. Miała nadzieję, że nie trzęsą jej się wargi. - Zaraz tu będzie. - Gardło miała ściśnięte i wewnątrz drżała na myśl o mężczyznach czających się na ulicach, o włamaniu do swojego mieszkania, listach, które otrzymała, i o seryjnym mordercy grasującym w Savannah. Miała wrażenie, że krew krzepnie jej w żyłach. - Dziękuję.

Do furgonetki podjechał inny samochód, więc kierowca dotknął daszka czapki w kpiarskim geście pozdrowienia.

- Jak chcesz, kochanie.

Dostała gęsiej skórki, kiedy odjeżdżał. „Kochanie”. Dlaczego ją tak nazwał? Chcąc go zidentyfikować, spojrzała na tył jego samochodu, ale tablica rejestracyjna nie była podświetlona, a w ciemności nie dało się odczytać liter i cyfr. Wiedziała tylko, że to granatowa furgonetka dodge caravan z rejestracją z Georgii. To niewiele.

Zresztą to mógł być samarytanin.

Akurat.

Wciąż trzymała w dłoni komórkę. Wcisnęła przycisk i wybrała numer pomocy drogowej. Powiedziała, gdzie stoi jej samochód, i poprosiła, żeby mechanik spotkał się z nią w Bijou. To było zaledwie kilkaset metrów dalej, a lokal przynajmniej był dobrze oświetlony i pełen ludzi.

Tam będzie bezpieczna.

Zaczęła biec.

Spocona od wysiłku i rozdygotana ze strachu, przyspieszyła. Migwały światła przejeżdżających samochodów, krzewy przy drodze wyglądały bardzo ponuro, a ona czuła, że jest całkiem sama.

Pierwszy raz w życiu Nikki Gillette spanikowała.

Rozdział 15

Reed rzucił klucze i korespondencję na biurko w swoim mieszkaniu, które składało się z trzech pomieszczeń w amfiladzie na parterze niegdyś wspaniałego, starego domu. Było tu okno wykuszowe i wykładany płytkami kominek, były też półki z książkami oraz oryginalne, drewniane podłogi. Niestety, kuchnia była maleńka, a w sypialni z trudem mieściło się jego łóżko i biurko. Ale Reed nie potrzebował dużo przestrzeni.

Dziś padał, jego ciało domagało się snu, lecz umysł wciąż pracował na wysokich obrotach. Chociaż się starał, nie mógł przepędzić z myśli obrazu Bobbi Jean w trumnie ani nie wyobrazić sobie jej strachu. A raczej paniki.

Była w ciąży. Może nosiła moje dziecko.

- Jezu - mruknął pod nosem, biorąc pilota i nastawiając wiadomości.

Miał nadzieję, że to uciszy demony krzyczące w jego głowie. Wyjął z zamrażalnika pizzę, włączył piecyk i otworzył sobie piwo. Kto mógł chcieć śmierci Bobbi? Kto nienawidził jej aż tak, że wrzucił ją do trumny ze zwłokami i pogrzebał żywcem? Ten sam wariat, który zrobił to Robercie Peters. Czyli zabójstwo nie dokonał Jerome Mara. Chyba że był bardzo sprytny i zabił drugą osobę w ten sam sposób, żeby odwrócić od siebie podejrzenia. Ale po co sprawca zadał sobie trud pogrzebienia ofiar żywcem? To był akt wściekłości... głęboko zakorzenionej nienawiści i premedytacji. W trumnach były mikrofony, więc zabójca słuchał, jak umierały jego ofiary, i cieszył się ich cierpieniem.

- Bydlak.

Dzwonek oznajmił, że piec się nagrzał. Reed włożył na ruszt zamrożoną pizzę, pokrytą kryształkami lodu, a potem wrócił do pokoju dziennego i położył komputer na biurku. Wcisnął przycisk i laptop uruchomił się z pomrukiem. Reed jednym uchem słuchał wiadomości w telewizji. Prezenter mówił o wynikach meczów koszykówki. Zespół Miami Heat przegrał, za to Atlanta radziła sobie bardzo dobrze. Reed przysunął krzesło bliżej biurka i połączył się z pocztą elektroniczną - czekało tam trzydzieści parę wiadomości.

Wyrzucając spam i stare, wielokrotnie odgrzewane dowcipy, dopił piwo i otworzył wiadomość zatytułowaną Grabarz w akcji.

- Co jest?

Kliknął nagłówek i przeczytał wiadomość, która wyświetliła się na ekranie:

NUMER CZWARTY MAMY Z GŁOWY.

JEDNA TRZECIA JUŻ ZAŁATWIONA,

RESZTA NIECO ODROCZONA.

- Cholera! - Reed wcisnął przycisk „drukuj”.

Zadzwoił dzwonek piecyka. Na ekranie pojawił się komunikat o błędzie i Reed zorientował się, że nie podłączył komputera do drukarki. Szybko wpiął kabel i ponownie wcisnął przycisk drukowania, gdy na ekranie pojawiły się dziwne, upiorne obrazy. Zdjęcia Barbary Jean Marx, Pauline Alexander, Thomasa Maseya i Roberty Peters. Zdjęcia ofiar przesuwaly się po ekranie, a potem, na oczach Reeda, zmieniały się w pył i szkielety.

- Cholera jasna. - Miał wrażenie, że krew zakrzepła mu w żyłach. Jedna trzecia załatwiona? Były już cztery ofiary. Czyli w sumie ma być dwanaście?

Z drukarki zaczęła się wysuwać strona. Reed pobiegł do kuchni, wyłączył zegar i piekarnik, ale zostawił pizzę w piecyku. Natychmiast wrócił do komputera. Próbował sprawdzić e-mailowy adres nadawcy, chociaż wiedział, że jest fałszywy.

Dwanaście ofiar?

Czemu zabójca powiedział to właśnie jemu? Dlaczego miałby mu podpowiadać? Co te cztery ofiary miały ze sobą wspólnego i kim będą następne?

Zaciskając zęby, odpisał na e-mail.

Wątpił, czy uzyska odpowiedź.

Przesłał wszystko Bentleyowi, informatykowi z wydziału, a potem jeszcze wysłał kopię do Morrisette.

Chwycił słuchawkę i wybrał numer domowy Morrisette. Odebrała po trzecim sygnale.

- Halo? - jęknęła zaspanym głosem.

- To ja. Grabarz znów się ze mną skontaktował.

- Co?

- Pocztą elektroniczną. Przesłałem ten e-mail do Bentleya i do ciebie. Sprawdź.

- Dobrze. Oddzwonię za pięć minut - powiedziała, nagle całkowicie obudzona, i odłożyła słuchawkę. Reed wpatrywał się w e-mail, mając nadzieję, że adres zwrotny doprowadzi go do zabójcy. Czy ten facet jest aż taki głupi? Aż taki zuchwały?

Zadzwoił telefon.

Szybko podniósł słuchawkę.

- Reed.

- Jezu Chryste, co ten świr planuje? - zapytała Morrisette. Reed słyszał, że zapala papierosa.

- Chciałbym wiedzieć.

- Dwanaście? Cholera jasna, co to ma znaczyć?

- Nie wiem, ale lepiej rozgryźmy to szybko. Rób, co możesz, zobaczymy się rano.

- Dobrze. - Rozłączyła się, a Reed dalej patrzył w monitor komputera i obrazy, zwijające się i obracające jak liście na wietrze.

Oby ten drań popełnił błąd. Natychmiast znalazłbym jego kryjówkę. I to z przyjemnością.

„Reszta nieco odroczone”?

Nie, jeśli będę miał na to jakikolwiek wpływ.

- Skąd to wzięłeś, do diaska?

- C-co? Billy Deen otworzył oko i zobaczył masywną sylwetkę ojca, pochyloną nad łóżkiem. Stary miał zaciętą twarz, a w wyciągniętej ręce trzymał obrączkę, tę, którą Billy Dean znalazł przy grobie.

- Tę obrączkę! Skąd ją wzięłeś?

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamał Billy, od razu wiedząc, że źle robi. Nie można było bezkarnie okłamać Merle'a Delacroix.

- I pewnie o tym też nic nie wiesz? - Sięgnął do przedniej kieszeni obcistych, znoszonych spodni i wyciągnął małą, niebieską fajkę Billy'ego, przyciętą specjalnie do palenia trawy.

Kurczę blade!

Bill usiadł powoli i próbował myśleć. Jak najszybciej. Ale strach go paraliżował.

- Grzebałeś w moich rzeczach?

- Nie bądź taki sprytny. To właśnie zrobiłem i nie pieprz mi tu o swoich prywatnych sprawach, bo nic ci to nie da. O, nie. Mieszkasz pod moim dachem, ja tu rządę i wszyscy wiedzą, co myślę o kradzieży i paleniu trawy. Bóg jeden wie, co jeszcze robiłeś. - Rozejrzał się po nieporządnym pokoju Billy'ego, w którym mieszkał też stary pies. Przechesał dłonią swoje rzadkie włosy i prychnął z pogardą: - Co za bałagan. I cuchnie tu jak w chlewie.

- Nie powinieneś grzebać w moich rzeczach - mruknął pod nosem Billy Dean.

- A ty nie powinieneś kraść. Nie wiesz, że to sprzeczne z prawem i przykazaniami? Pamiętasz? „Siódme - nie kradnij”. - Drżąc z wściekłości, Merle rzucił fajkę na starą koldrę na łóżku Billy'ego. - Wiesz, kim jesteś? Kłamcą, draniem i złodziejem.

Billy miał kłopoty. Poważne kłopoty.

- Ja nie...

Szybko, jak atakujący grzechotnik, Merle chwycił syna za tył koszulki i podniósł go na nogi.

- Słuchaj no, mały. Nie będę słuchał twoich kłamstw. Nie próbuj mnie urobić. Jeśli chcesz dalej tu mieszkać, gadaj, co się naprawdę stało.

Billy omal nie posikał się w spodnie.

- Znalazłem obrączkę.

Ojciec mocniej szarpnął go za koszulkę i potrząsnął tak, że Billy miał wrażenie, iż klekoczą mu kości.

- Tak, znalazłeś. W komodzie jakiejś starszej pani.

- Nie!

Jeszcze jedno szarpnięcie. Tym razem ojciec skręcił ubranie tak, że zacisnęło się na szyi chłopca.

- Nie kłam!

- Nie kłamie! - upierał się Billy, z trudem łapiąc oddech. - Ja... ja... znalazłem obrączkę... naprawdę... przy tym grobie. Przysięgam na Boga.

Ojciec podejrzliwie zmrużył oczy.

- Przy grobie?

- Tak, leżała w ziemi i ja... ją wziąłem. Pomyślałem, że to nikomu nie zaszkodzi.

- Ale nie była twoja. Zresztą nie wolno ruszać dowodów rzeczowych. Cholera jasna, ty chyba masz we łbie siano zamiast mózgu. Jesteś kretynem. Cholernym, żalonym kretynem! Do diabła!. - Z obrzydzeniem puścił koszulkę, a Billy zakasłał, wciągając powietrze. - Tę fajkę też pewnie znalazłeś.

Stary go podpuszczał. Billy nie dał się nabrać.

- Nie, tato.

- Jest twoja?

- Nie...

- Tylko nie kłam!

- To jest... fajka kolegi.

- Którego?

- Nie mogę powiedzieć.

- Oj, możesz i powiesz. - Pod wełnianą koszulą ojca napięły się mięśnie. Merle zmarszczył nos. Oczy mu pociemniały i stały się czarne jak obsydian w sygnecie, który nosił. Zacisnął pięści, aż kostki mu zbieleły.

- Tato, proszę...

- Kto?

Merle jeszcze mocniej zacisnął pięści.

- Taki jeden gówniarz.

- Podasz mi nazwisko?

Billy Dean przełknął z trudem i skłamał, mruczając przez zęby.

- To fajka Prestona, tato.

Merle poruszył szczęką.

- Mogłem się domyślić - mruknął. Westchnął i rozluźnił dłonie. - Cóż, chłopak i tak ma dość kłopotów. Leży w szpitalu. Pan Bóg go pokarał. Ale co będzie z tobą? Co zrobisz z tą obrączką?

- Nie wiem.

- Może rano zadzwonimy do biura szeryfa?

- Jeśli trzeba.

- Myślisz, że tak będzie w porządku?

Billy Dean kiwnął głową. Było mu wstyd, że skłamał o Prestonie, ale uznał, że to nikomu nie zaszkodzi.

- Tak myślałem. - Ojciec włożył obrączkę do kieszeni i mrugnął do syna, zanim zgasił światło. - Dobranoc, mały.

- Dobranoc, tato. - A kiedy drzwi się zamknęły, Billy Dean uderzył pięścią w poduszkę. Trzeba było od razu sprzedać tę obrączkę, pozbyć się jej i zarobić kilka dolców. Teraz szczęście się odwróciło. Pomyślał, że jego stary miał rację, nazywając go idiotą.

Z bijącym sercem, mokry od potu, Mściciel wszedł bocznym wejściem do swojego domu, starego budynku w dobrej, drogiej dzielnicy. Nie włączając światła, zbiegł po rozklekotanych schodach do piwnicy z niskim sufitem i belkami pokrytymi pajęczyną. Pachniało tu wilgotną ziemią. Okna miały od wewnątrz kraty, a z zewnątrz porastała je winorośl.

Był coraz bardziej nieuważny.

A nie mógł sobie na to pozwolić.

Nie teraz.

Przecież jest już tak blisko osiągnięcia wszystkiego, co od dawna planował.

Widziała go przyjaciółka Nikki Gillette. Prawdopodobnie rozpoznała.

Głupi. Głupi. Głupi!

A tak długo był bardzo ostrożny.

Popiełnił dwa błędy... Pierwszy z tym chłopakiem w lesie, a drugi teraz, w restauracji. Dość tego. Więcej już tego nie zrobi. Teraz będzie musiał rozwiązać problem chłopaka, który widział jego twarz, i jeszcze... Zazgrzytał zębami. Jak to możliwe, że zachował się tak idiotycznie, tak zuchwale?

Ale pokusa była ogromna. Nie mógł się jej oprzeć, gdy wysłał e-mail do Reeda i zorientował się, że ma czas na śledzenie Nikki... w końcu wiedział, dokąd się wybierała i z kim miała się spotkać.

A potem zawałił sprawę.

Walnął się pięścią w głowę.

Mocno.

Wtedy usłyszał głos... Karcący głos. Wydawał się odbijać echem w małej piwniczce i docierać prosto do jego duszy: Kim jesteś, babą? Cholerną, głupią cipą. Tak, to właśnie ty. Nic nie umiesz zrobić dobrze! Ty dumny gnojku!

Wyzwiska przesywały mu umysł, dudniły w czaszce, spowodowały, że czuł coraz większy strach. Przed oczami stanął mu obraz wąskich, pogardliwie wykrzywionych ust. Zobaczył długi pasek, wysuwający się ze szlufek brudnych, dżinsowych spodni. Wyciągały go grube, owłosione palce z obgryzionymi paznokciami. Ten wysłużony, skórzany pasek zaraz miał wyciąć nowe pręgi na jego pośladkach.

- Nie! - krzyknął, czując na ustach słone łzy. Starał się skupić na teraźniejszości i tym, co miał zrobić. Był mądrym mężczyzną. Nie babą. Mężczyzną! A nie cipą. - Nie, nie, nie! - Łzy wstydu paliły mu oczy, chociaż wmawiał sobie, że tamte obelgi z przeszłości już się nie liczą, że obraził go tylko głupi, podły sukinsyn. A jednak oddychał chrapliwie ze strachu, a groźby, które żyły w głowie przez dwanaście lat, teraz atakowały go jak rozszalałe demony.

Udowodni, że ludzie mylili się co do niego. Wszyscy. Nie był głupi. Nie był babą... nie był gnojkiem!

Chwiejąc się na nogach, odsunął regał z pudłami, pełnymi starych, zapomnianych gratów, i wszedł do swojego prywatnego pokoiku, miejsca, które przeznaczył dla swojego drugiego ja, dla osobistego ja. Dla silnego ja.

Wchodząc do kryjówki, od razu poczuł się pewniej. Panował nad sobą.

Mściciel.

I Grabarz.

Mądrzejszy niż inni.

Wziął z półki album z wycinkami i rozłożył go na własnoręcznie zbitym stole. Pożółkłe wycinki z gazet ze zdjęciami złej jakości i spłowiałym tekstem były wsunięte za plastikowe koszulki. Pożerał oczami artykuły, które znał na pamięć.

Powoli odwracał strony, aż doszedł do końca albumu, do zebranych pieczołowicie fotografii ludzi, którzy uśmiechnięci, ponurzy, roztargnieni nie wiedzieli, że spotka ich ten sam los.

Ale się dowiedzą.

On przetrwał.

Im się to nie uda.

Bo są słabi. I głupi.

Zostawił album na stole i podszedł do komody. W drugiej szufladzie leżało dużo bielizny. Starej i nowej... Ale najładniejsza była halka Bobbi Jean i majtki Nikki Gillette. Otwierał kolejne torebki i dotykał swoich skarbów, aż w końcu stanowczym ruchem zamknął szufladę. Nie miał na to czasu. Dotknął kropel zaschniętej krwi na blacie komody i przypomniał sobie o misji, którą miał wykonać.

Niedługo będzie po wszystkim.

Udowodni, że jest silny.

A wtedy będzie mógł odpocząć.

Rozdział 16

Wiesz, która godzina? - Cliff Siebert mówił niewyraźnie, jakby właśnie się obudził.

- Tak, wiem i przepraszam - powiedziała, jadąc do jego domu na południu historycznej dzielnicy.

Samochód spisywał się dobrze, przecięte opony wymieniono na nowe; kupiła je, kiedy auto zostało odholowane do warsztatu. Poszukiwania czterech opon, na które byłoby ją stać i które pasowałyby do jej samochodu, zajęły kilka godzin, ale teraz odzyskała energię i była wściekła, że jakiś wandal uszkodził jej subaru i musiała

przekroczyć limit na karcie kredytowej. Co gorsza, była pewna, że samochód został uszkodzony celowo. Listy, które dostała, świadczyły o tym, że nie był to przypadek... ktoś wiedział, gdzie mieszka, i znał jej samochód. Ta myśl ją przerażała. W dodatku wkurzała ją to, że wykorzystała już wszystkie pieniądze z karty kredytowej.

- Koniecznie muszę z tobą porozmawiać - nalegała, mocno trzymając telefon komórkowy i wchodząc w zakręt trochę za dużym łukiem.

- Nie, nie, kochana. Miałaś szansę, ale mnie wystawiłaś.

- Zostawiłam ci wiadomość na komórce, wszystko wyjaśniłam. - Nikki spojrzała w lusterko wsteczne, na światła samochodu, który wyjechał z za tego samego zakrętu. - Ktoś poprzecinał mi opony, Cliff. Myślę, że dość już przepraszałam i że wreszcie mi wybaczysz.

Westchnął i mruknął pod nosem coś o upartych kobietach, które za wszelką cenę chcą zrobić karierę.

- Naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Będę u ciebie za piętnaście minut.

- Nie! - zaprotestował zdecydowanie. - Nie mogę ryzykować, że ktoś zobaczy pod moim domem ciebie albo twój samochód.

- No to spotkajmy się tam, gdzie byliśmy umówieni. Na parkingu dla ciężarówek.

Zawahała się, ale wiedziała, że to dla niego kilka minut drogi.

- Proszę, Cliff. Nie chcę wydrukować nieprawdy. - Samochód jadący za nią skręcił, a ona westchnęła z ulgą.

- Coś się stało?

- Można tak powiedzieć.

- Co?

- Dowiesz się wszystkiego, kiedy się zobaczymy.

- Powinni mnie zastrzelić za to, że w ogóle cię słucham. Dobrze. Za pół godziny.

- Będę ci winna przysługę,

- Och, kochana, i tak toniesz w długach po uszy.

- Do zobaczenia. - Słuchając trzasków na częstotliwości policyjnej, zawróciła i ruszyła w stronę parkingu; postanowiła, że będzie po prostu czujna, zamiast wpadać w paranoję. Pomyślała o gazie łzawiącym, który kupiła trzy lata temu i nosiła w torebce, o lekcjach kick boxingu, które tak często opuszczała, o alarmie, którego nie miała, i zapisała sobie w myślach: zadbaj o swoje bezpieczeństwo.

Wpadła na chwilę do warsztatu samochodowego, ale zdążyła dojechać na parking dla ciężarówek w niecałe pół godziny.

Truck Cliffa stał przy tylnym wejściu do restauracji, między półciężarówką a furgonetką. Choć minęła już północ, na parkingu było kilka ciężarówek. Wchodząc do środka, Nikki zobaczyła kilku klientów przy barze i przy stolikach. Smród dymu papierosowego mieszał się z zapachem skwierczących steków i całodziennego tłuszczu z frytkownicy.

Nikki zauważyła Cliffa; siedział przy stoliku obok drzwi do kuchni. Bejsbolówka, naciągnięta nisko na oczy, dzinsowa kurtka z postawionym kołnierzem i szare okulary przeciwsłoneczne. Udawał, że wczytuje się w kartę, zasłaniając sobie nią twarz.

- Cześć. - Usiadła na skąjowej ławeczce naprzeciwko niego.

- Nikt nie powinien mnie z tobą zobaczyć.

- A kto cię widział? - Omiotła restaurację wzrokiem. Sala była prawie pusta. Kelnerka nawet nie spojrzała w ich stronę. Była zbyt zajęta flirtowaniem z dwoma klientami, siedzącymi z przodu. - Poza tym jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Tak? - zapytał.

Poruszyła ją gorycz w jego głosie. Był dziś jakiś nieswój. Wzburzony. Daleki.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się mimo jego chłodu. - Znamy się od zawsze.

- Mhm.

- Jesteś moim ulubionym gliniarzem.

- Bo dużo gadam.

- Wcale nie.

Kelnerka, chuda kobieta ze zmarszczkami mimicznymi wskazującymi, że dużo się śmieje, wreszcie ich zauważyła i podeszła.

- Przynieść na początek coś do picia?

- Dla mnie kawę. Czarną.

- Napój firmowy. - Cliff nawet nie podniósł wzroku, gdy opowiadała o specjalnościach zakładu chrapliwym głosem, który zdradzał, że dużo pali.

- Nie jestem głodna - powiedziała Nikki. - Wystarczy mi kawa.

Cliff spojrzał na zafoliowaną kartę.

- Ja wezmę pieczonego kurczaka, frytki i herbatniki.

- To wszystko? - Kelnerka zapisała zamówienie w notesiku i spojrzała z powątpiewaniem na Nikki.

- Tak sądzę.

- Zaraz wrócę z napojami. - Idąc do kuchni, wyrwała stronę z notesu.

- Co się stało? Ktoś ci przeciął opony?

- Tak. - Nikki opowiedziała o wydarzeniach tego wieczoru, a Cliff spochmurniał jeszcze bardziej.

- Musisz bardziej uważać. To pewnie szczeniaki.

Nikki nie zaprotestowała. Nie wyraziła głośno swoich obaw. Pomyślała o liście, który dostała, ale uznała, że nie czas na rozmowę o tym. Tylko by go zmartwiła.

- Postawię ci kolację - zaproponował.

- Nie jem o tak późnej porze, poza tym byłam na kolacji u rodziców. Co prawda kilka godzin temu, ale nakarmili mnie siłą. Wciąż jestem najedzona.

Cliff złagodniał.

- Jak się czują?

- Jak zwykle. Mama jest w nie najlepszym stanie. Tata chyba tego nie widzi, a może nie chce widzieć. Jakoś się trzymają, ale czasami wydaje mi się... Że w domu panuje bardzo napięta atmosfera. - Wzruszyła ramionami. Nie chciała myśleć o rozpadzie rodziny, która kiedyś była tak szczęśliwa. - Kyle unika rodziców jak ognia. Chyba dlatego, że od śmierci Andrew jest ich jedynym synem. Nie zastąpił Andrew, zresztą żadnemu z nas nie mogło się to udać. Ale źle się czuł z tym, że rodzice nagle zaczęli od niego oczekiwać, że będzie wybitnym sportowcem, świetnym studentem i tak dalej. Kyle jest samotnikiem, montuje zraszacze i chyba nawet nie umawia się z dziewczynami. Mama się martwi, że jest gejem, latanie porusza tego tematu, a ja po prostu chciałabym, żeby znalazł sobie kogoś, z kim będzie szczęśliwy. - Westchnęła. Żałowała, że nie jest mocniej związana ze swoim młodszym bratem, ale wiedziała, że nigdy się do siebie nie zbliżą. - A Lily spotyka się z rodzicami częściej niż ja. Chyba trochę naprawiła stosunki z mamą i tatą, prawdopodobnie z powodu Phee, to jest Ophelii, swojej córeczki. Rodzice z początku byli wstrząśnięci, że Lily zaszła w ciążę, nie będąc mężatką, ale się pozbierali. Kiedy dziecko się urodziło, zwariowali na jego punkcie. To dobrze.

- Bardzo dobrze.

Kelnerka postawiła przed nimi napoje i zauważyła uniesioną rękę klienta w kowbojskim kapeluszu, który usiadł na taborecie przy barze. Kiedy odeszła, Cliff splótł ramiona i oparł je na krawędzi stołu.

- Wiesz, Nikki, tak dalej być nie może. Jeśli będę ci przekazywał poufne informacje, mogę stracić pracę.

- Informujesz tylko opinię publiczną o tym, co...

- Tak, tak, słyszałem to milion razy. Daj sobie spokój. Ja wcale nie dbam o prawo ludzi do informacji. Mówię ci to wszystko, bo jestem wkurzony i chcę to z siebie zrzucić. A ty piszesz artykuły, bo chcesz się wybić. - Zaczął mu drgać mięsień szczęki. Kelnerka minęła ich stolik, wracając do kuchni. - Wykorzystujesz mnie, Nikki - rzucił przyciszonym głosem.

- Wykorzystujemy się wzajemnie. - Zamieszała kawę.

Uniósł brew.

- Nie tak, jak bym chciał.

Znieruchomiała na chwilę, a potem odłożyła łyżeczkę.

- Wiem, ale już o tym mówiliśmy. Byłoby źle. Pod względem emocjonalnym.

Zacisnął usta.

- Już jest źle.

- Nie, jeśli na to nie pozwolimy.

Podniósł szklankę do ust i pijąc, patrzył na Nikki znad okularów. Przy szarych szklach jego oczy wydawały się chłodniejsze i bardziej zamyślane niż zazwyczaj.

- Co ja z tego mam?

Znowu się zaczyna, pomyślała.

- Uspokajasz swoje sumienie.

- Mam czyste sumienie.

- W takim razie, jak sam powiedziałeś, zrzucasz z siebie ciężar.

- Może to za mało.

- Dobrze, czego więc chcesz?

Oczy mu pociemniały, a ona przygotowała się psychicznie na atak - nie powiedział jednak głośno tego, co miał na myśli. Czasami nie potrafiła go przejrzeć. Wydawało jej się, że kiedy chce, stawia między nimi ścianę.

Za kuchennych drzwi dobiegał szcęk naczyń. Nikki skosztowała kawy.

- Co się dzieje?

Wahał się tylko chwilę.

- Odsunęli Reeda od sprawy.

- Co? - Na pewno się przesłyszała. - Ale widziałam go dziś rano na cmentarzu.

Cliff wzruszył ramionami.

- Okano go pogoniła. Znał jedną z ofiar.

- O, Jezu. Którą?

- Bobbi Jean Marx.

Przywołała w myślach obraz tej kobiety.

- Jak dobrze ją znał?

- Sama się domyśl - powiedział i pociągnął ostatni łyk.

Reed i Bobbi Jean kochankami? I Bobbi Jean w ciąży? Nikki nie mogła usiedzieć w miejscu. A to dopiero wiadomość. Ważna wiadomość. Nic dziwnego, że Reed nie chciał z nią rozmawiać, a dziś rano, na cmentarzu, wydawał się zamyślony, jakby coś go dręczyło.

Kelnerka z plakiem TONI postawiła przed Cliffem zamówione dania. Frytki lśniły, a kurczak tonął w gęstym sosie, który rozlał się też na warzywa. Groszek i marchewka wyglądały podejrzanie, jakby były z puszeki.

- Coś jeszcze? - zapytała Toni.

- Dziękuję. - Cliff spojrzał na Nikki. - Na pewno nic nie zjesz?

- Nie, dziękuję. Wszystko jest w porządku - skłamała Nikki.

Nic nie było „w porządku”. Bobbi Jean i Reed? Co za temat! Czegoś takiego właśnie szukała. A jednak... miała skrupuły, myśląc, że mogłaby odkryć życie osobiste Reeda przed publicznością. Było jej też przykro, że związał się z kobietą... z mężatką. To nie w jego stylu. A może tylko miała taką nadzieję, bo wciąż była głupią romantyczką? Gdy kelnerka odeszła, Nikki pochyliła się nad stolikiem. Starła się zachowywać spokojnie, chociaż szalała w niej adrenalina. Tak! Kolejny artykuł na pierwszą stronę. Ignorując wyrzuty sumienia, że staje się sławna przez cierpienie innych ludzi, zapytała:

- Myślisz, że Reed był z Bobbi Jean? - Wyobrazila sobie Barbarę Jean Marx z Pierce'em Reedem i, ku własnemu zdziwieniu, poczuła zazdrość. To śmieszne! Przecież nawet nie znała Reeda, chociaż łąziła za nim od lat. - To cię dręczy w tej sprawie, prawda?

Cliff połał frytki keczupem.

- W tej sprawie dręczy mnie wiele.

Nikki pochyliła się i zapytała szeptem:

- Czy ona była w ciąży?

Zelektryzowało go. Oczy zwięziły się za przyciemnianymi szklami.

- Wiesz o tym?

- Rozmawiałam z jej koleżanką, która się domyślała.

Cliff, jakby nagle poczuł wyrzuty sumienia, nie odpowiedział.

- Dziecko mogło być Reeda.

- Każdy mógł być ojcem - powiedział szybko. Za szybko. - Na razie nie wiemy kto.

- Może nawet mąż.

- Eksmąż, ale to raczej niemożliwe. - Cliff zaczął kroić mięso. - Nie byli w najlepszych układach.

- Niektórym parom jest dobrze tylko w łóżku.

- Mówisz z doświadczenia? - Nadział na widelec kawałek kurczaka i zjadł.

- To cios poniżej pasa.

- Masz rację. Po prostu jestem wkurzony. Poza tym Jerome Marx nie może mieć dzieci. Przed laty podwiązał sobie nasieniowody.

- Skąd wiesz?

- To dziwne. Marx zadzwonił i sam mi powiedział. Nie chciałem się dzielić tą informacją z Reedem, więc sprawdziłem sam. Przekazałem wiadomość Okano. Chyba to rozumiesz, Nikki. Chciałbym poprowadzić to śledztwo. Gdybym złapał drania, byłby to duży krok w mojej karierze.

- No tak - powiedziała, nagle czując zakłopotanie. Cliff? Ambitny? Na tyle, żeby kombinować za plecami Reeda? - Reed o tym nie wie?

- O podwiązaniu nasieniowodów? - Cliff wzruszył ramionami. - Nie sądzę. Chyba że powiedziała mu Okano. - I przełykając, dodał: - Ktokolwiek jest tym Grabarzem... Ty wymyśliłaś to przezwisko? - Kiedy kiwnęła głową, uśmiechnął się. - To przykuwa uwagę. W każdym razie, kimkolwiek jest, bawi się z nami w kotka i myszkę. Przez niego policjanci wychodzą na idiotów. Drań wysyła nawet listy do Reeda i kpi sobie z niego. Dosłownie śmieje nam się w twarz. Trzeba go szybko ująć.

- Wysyła mu listy? - zapytała nagle niepewnie.

Cliff podniósł głowę.

- Mówię ci to nieoficjalnie.

DZIŚ WIECZOREM.

ZAŁATWIONE.

Z trudem przełknęła ślinę. Może to nic ważnego... a może morderca uwziął się i na nią. Z bijącym sercem zastanawiała się, czy nie porozmawiać o tym z Cliffem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak... tak... tylko jestem zmęczona i roztrzęsiona, bo poprzecinali mi opony. - Czy zrobił to ten sam człowiek, który włamał się do mojego omieszkania? - Ja... miałam kłopoty. Wczoraj ktoś się do mnie włamał.

- Zgłosiłaś to policji? - zapytał Cliff.

- Jeszcze nie.

- Dlaczego, do cholery?

- Ja... hm... to głupie, ale pamiętasz, jak kilka lat temu myślałam, że ktoś mnie śledzi, i wezwałam policję. Okazało się, że to był fałszywy alarm... Corey Selwood, chłopak z sąsiedztwa, przesiadywał na moim podwórku z kumplami, palili trawkę i pili alkohol. Tylko narobiłam wszystkim kłopotu i... cóż...

- Śmiali się z ciebie.

- Tak. A chłopak miał przez to poważne problemy. Czułam się jak idiotka. Lubiłam go, ale do dziś odwraca głowę, kiedy mijamy się na ulicy.

- Zachowuje się jak dzieciak, a już nim nie jest.

- On nie robił nic złego, tylko palił trawkę i popijał, a został surowo ukarany. Nie wybaczył mi do dziś. - Pomyślała o chłopaku z długimi włosami, niespokojnymi, niebieskimi oczami i tatuażem na ramieniu, który przedstawiał drut kolczasty. Wtedy Corey miał czternaście lat, teraz dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć. Do incydentu doszło niedługo po śmierci Andrew, gdy Nikki wciąż była podenerwowana. Do tej pory odzywały się wyrzuty sumienia.

- Mimo to zgłoś włamanie - nalegał Cliff. - I nie zapomnij dodać, że dziś przecięto ci opony. Te sprawy mogą się wiązać, Nikki. - Przełknął kawałek mięsa. - Jesteś znaną osobą, córką sędziego. Twoje artykuły o Grabarzu ukazują się na pierwszej stronie „Sentinela”. - Machnął nożem w jej stronę. - Zajmij się tym. Zgłoś oba incydenty i wszystko inne, co wydaje ci się podejrzane.

- W porządku.

- Mówię poważnie. Chcesz potem żałować?

- Nie. Okej. Zrozumiałam, o co ci chodzi - odpowiedziała, coraz bardziej się denerwując. Miał rację. Dobrze to wiedziała. Doskonale też wiedziała, komu zgłosi włamanie. Ale dziś musi się skupić na artykule, który ma na warsztacie.

Kradnąc mu frytkę, zapytała:

- Jak zginęły ofiary?

- Nie, Nik. - Pokręcił głową.

- Proszę, Cliff.

- Znasz zasady. Niektóre informacje nie wydostają się z wydziału.

- Ale przyczyna śmierci...

- Nie zostanie podana do wiadomości publicznej. Koniec, kropka. Przestań już naciskać, Nikki.

- Dobrze, już dobrze - zgodziła się i zjadła frytkę. Cliff był zbyt cennym źródłem informacji. Nie mogła ryzykować, że już nigdy nic jej nie powie.

- Myślisz, że ten Grabarz to seryjny morderca?

- Uderzył ponownie, prawda? Znów dwa ciała w jednej trumnie. To wszystko, czego się ode mnie dowiesz. Musi ci to wystarczyć.

- Czyli rano to był Grabarz.

Seryjny morderca! Na ulicach Savannah!

- Nie wiem na pewno, ale postawiłbym oszczędności mojej matki na to, że tak jest.

- Wielki Boże. - Zakręciło jej się w głowie. Tyle informacji. Nowych informacji. Wyłącznych. Znów będzie artykuł na pierwszej stronie. Wyobraziła sobie nagłówek: SERyjNY MORDERCA GRASUJE W SAVANNAH. I mniejszymi, choć pogrubionymi literami: Grabarz znów atakuje. Wiedziała, że Tom Fink zgodzi się na druk. Wystarczy, że ona napisze artykuł, który już układał jej się w głowie. Dręczyła ją tylko jedna myśl. Barbara Jean Marx umarła straszną śmiercią... a była w ciąży. Przerażające. Nikki zrobiło się wstyd, że dla własnej sławy wykorzysta cierpienia ofiar. Pomyślała o Phee, swojej malutkiej siostrzenicy, i zadrżała, wyobrażając sobie nienarodzone dziecko Bobbi Jean. Może też dziecko Reeda. Ścisnął się jej żołądek. Może nie powinna pisać tego artykułu, robić kariery na cudzym nieszczęściu. Ale opinia publiczna ma przecież prawo wiedzieć, co się dzieje. Odchrząknęła i zapytała:

- Czy ofiary się znały?

Cliff jadł. Zbierał sos z talerza kawałkiem chleba. Jedząc, potrząsnął głową.

- Nie możemy znaleźć związku. - Przełknął. - Przynajmniej na razie.

- Ale myślisz, że związek istnieje. To nie są przypadkowe ofiary?

- Miałby wybrać ofiary i zmarłych losowo? - Zamoczył w sosie kawałek mięsa i podniósł go do ust. - Nie, nie sądzę. Chyba niedługo się dowiemy. Draniowi nie ujdzie to płazem.

- Są już podejrzani? Ktoś, kto skorzystał na śmierci ofiar?

- Nie ma oficjalnych informacji - powiedział, a ją przeszył dreszcz. Spojrzała Cliffowi w oczy, ale on szybko odwrócił wzrok.

- Pierce Reed na pewno nie jest podejrzany.

Siebert wyglądał przez okno.

- Cliff? - ponagliła, czując przerażenie i ekscytację zarazem. Pierce Reed, który latem rozwiązał sprawę zabójstw w rodzinie Montgomerych, był tu niemal otaczany czcią. Traktowano go jak bohatera, chociaż, co wiedziała ze swoich poszukiwań, w San Francisco wcale nie uważano go za świętego. Prasa na Zachodnim Wybrzeżu nie zostawiła na nim suchej nitki. Zarzucano mu, że nie potrafił ocalić kobiety, którą chronił. - Czy Reed jest podejrzany?

Brwi Sieberta utworzyły jedną kreskę. Pomachał tłustym nożem przed nosem Nikki.

- Uważaj, co piszesz, dobrze?

- Zawsze uważam - powiedziała, położyła na stoliku banknot dwudziestodolarowy i wstała. Za dobrze знаła policjanta, który przyjaźnił się z jej bratem, żeby nie wiedzieć, że rozmowa się skończyła. Zobaczyła, jak podnosi pieniądze i chce zaprotestować. - Nawet nie próbuj się ze mną spierać. Jak sam zauważyłeś, jest już po północy, a ja cię obudziłam. Dzięki, Cliff. Zadzwoń do ciebie.

- Nie dzwoń. Nic ci już nie powiem - syknął. Trzymając banknot w pięści, spojrzął na nią gniewnie zza okularów. Znow otoczył się niewidzialnym murem. - Jeśli to ma być moje śledztwo, to znajdź sobie inną wtykę!

Rozdział 17

Ty zawsze musisz być w gazetach, co? - Morrisette wparowała do gabinetu Reeda i rzuciła mu na biurko poranne wydanie „Savannah Sentinel”. Twarz miała zaczerwienioną od mrozu i właśnie zdejmowała rękawiczki. - Cholernie tu zimno. Nie mów, że znowu wysiadło ogrzewanie.

Reed skrzywił się i rozboleła go głowa, gdy znow zobaczył swoje nazwisko w druku. Nagłówek na pierwszej stronie krzychał: SERYJNY MORDERCA GRASUJE W SAVANNAH.

- Subtelna dziewczyna. - Morrisette rozcierała dłonie.

- Jak wszyscy reporterzy. - Poranną gazetę przyniesiono mu do domu, więc zdążył przeczytać artykuł. Dwa razy. Zobaczył swoje nazwisko i akapit o tym, że Barbara Jean Marx w chwili śmierci była w ciąży. Nikki Gillette napisała, że „został odsunięty od sprawy z powodu osobistego związku z jedną z ofiar” i że w mieście grasuje seryjny morderca. Wychodząc, wrzucił gazetę do śmietnika na ulicy.

- Skąd ta cholerna baba bierze informacje? - zapytała Morrisette.

- Nie wiem, ale zamierzam to ustalić.

- Nie powie ci. Nie zdradzi informatora.

- To ktoś z wydziału. Sami powinniśmy się domyślić.

- Może to nie jeden koleś - mruknęła Morrisette, siadając na krześle.

- Albo koleżanka.

- Użyłam słowa „koleś” w rozumieniu nieseksistowskim. Miałam na myśli policjanta, sekretarkę czy woźnego, na miłość boską. - Uniosła brwi. - Jesteś dziś drażliwy.

- Ty na moim miejscu byś nie była?

- Pewnie tak.

- I nie zapomnij o tym. - Pchnął po blacie biurka wydruk e-maila, który odebrał w domu. Kartka przeleciała obok kubka z kawą i stosu teczek z aktami. Morrisette spojrzała na nią i westchnęła.

- Myślałam o tym całą noc.

- Miłutki liścik od zabójcy - powiedział z sarkazmem. - Ale w druku sporo traci. Patrz na ekran.

- Grabarz w akcji... „Numer czwarty mamy z głowy, jedna trzecia już załatwiona, reszta nieco odroczone”. - odczytała głośno, choć widziała już ten e-mail. - Komputerowi cwaniacy wywęszyli, kto to wysłał?

- Jeszcze nie. Wczoraj w nocy próbowałem odpowiedzieć, ale mój e-mail wrócił. Nie zdziwiło mnie to. Bentley ma nadzieję namierzyć drania przez adres lub serwer czy jakoś tak, ale ja jestem pewien, że to mu się nie uda. Przesłałem też tę wiadomość do FBI.

- Pracujesz dziś pełną parą.

- Rozmawiałem już z Okano. Będzie oświadczenie.

- Znowu cię ostrzegają, żebyś nie wtrącał się do sprawy? - Morrisette przysunęła się do kaloryfera pod parapetem.

- Tak, ale nie może zignorować faktu, że ten cały Grabarz, kimkolwiek jest, kontaktuje się ze mną. Proszę... spójrz na to jeszcze raz.

Z żalem odsuwając się od ciepłego grzejnika, Morrisette pochyliła się nad biurkiem, a Reed odwrócił monitor tak, żeby dobrze widziała wiadomość od zabójcy i poruszające się zdjęcia ofiar. Twarze stawały się trupimi czaszkami, ciała zmieniały się w szkielety, a potem kości rozsypywały się w pył, z którego znow powstawały oryginalne zdjęcia.

- Kim jest ten człowiek?

- Nie wiem. Ale odkryjmy to szybko.

- Sprawdziłam wszystkie cztery ofiary... Jeśli tych zmarłych też można uznać za jego ofiary... w każdym razie wszystkie te osoby łączy tylko miejsce zamieszkania, Savannah. Barbara Jean Marx i Roberta Peters różniły się jak dzień i noc, pod względem wieku, zainteresowań, stylu życia... jedyne, co je łączy, to sztuka. Obie chodziły na

wystawy i otwarcia galerii, takie tam. Ale podczas gdy Roberta naprawdę interesowała się sztuką, Barbara tylko chodziła tam z mężem. Wiesz, taka kobieta-trofeum, którą facet się chwali. Na pewno dobrze to znasz.

Reed nerwowo poprawił się na krześle.

- Czyli będzie więcej ofiar?

- W sumie dwanaście.

- Czy to nie dziwne? Podawać liczbę ofiar, których nic ze sobą nie łączy? Morderca to człowiek, który zabija, tak? Po co miałyby się ograniczać?

- Może on wcale się nie ogranicza, a to jest tylko pierwsza fala. Dwanaście ofiar tutaj, a potem się przeprowadzi. Albo dwanaście tylko po to, żeby nas rozdrażnić. - Reed bawił się ołówkiem, trącąc leżącą na biurku gumkę. Połknął dwa ibupromy, które znalazł w górnej szufladzie, i popił zimną kawą.

- Myślisz, że chce nas przestraszyć?

- Nie. Próbuje nas w to uwikłać... a raczej mnie. To jest klucz do jego działań.

- Ale dlaczego właśnie ciebie?

- Z powodu Bobbi.

- Bzdura. To się nie zgadza. Chyba że miałeś też gorący romans z Roberta Peters - powiedziała niemal z uśmiechem.

Prychnął.

- Za młoda.

- Dziewczyna to dziewczyna.

- Jasne. - Reed spojrzął na monitor. - Może robi to ktoś, komu kiedyś dopiekłem.

- Miejmy nadzieję, że tak. Bo nigdy go nie znajdziemy. Igła w stogu siana! Reed łypnął na nią groźnie i wtedy zadzwonił jej telefon komórkowy.

- Odbiorę, skoczę po kawę i zaraz wrócę - powiedziała, zerkając na numer, który się wyświetlił. - To Bart. Świetnie. Na pewno nie usłyszę nic miłego. - Pobiegła korytarzem, a Reed zaczął się zastanawiać nad znaczeniem liczby dwanaście. Gdyby przyszła Okano, zobaczyłaby, że jawnie lekceważy jej polecenia. Ale ten łajdak komunikował się z nim, próbował do niego dotrzeć. Reed zaczął sporządzać listę osób, które mogłyby chcieć mu zaszkodzić... Kto wiedział o jego związku z Bobbi? Chyba tylko Jerome Marx, choć przecież Bobbi mogła o tym powiedzieć kilku osobom, jej mąż też. Reed nie znał Roberty Peters. Ani Thomasa Massey'a czy Pauline Alexander. Tylko Bobbi Jean.

Zaterkotał telefon. Nie odrywając wzroku od monitora, detektyw podniósł słuchawkę.

- Reed.

- Dobrze, że cię zastałem. Mówi Jed Baldwin z hrabstwa Lumpkin.

- Witam, szeryfie. - Reed odparł się na krześle tak gwałtownie, że aż zatrzęszczało. Wyobraził sobie pobrużdżoną twarz Jedidiaha Baldwina.

- Detektyw McFee powiedział mi, że zostałeś odsunięty od sprawy Grabarza, bo miałeś związek z jedną z ofiar, ale ja mam gdzieś te głupie przepisy. Pewnie jesteś ciekaw, co się tu dzieje. Nie mamy żadnych nowych dowodów, ale dziś rano przyszedł do mnie Merle Delacroix ze swoim synem. Pamiętasz Billy'ego Deana, to jeden z tych chłopaków, którzy polowali i widzieli tego gościa. Merle sam wychowuje syna i ma z nim krzyż pański. Straszny z niego raptus. W każdym razie przynieśli obrączkę, wygrawerowaną, prawdopodobnie należącą do ofiary. Merle był z siebie bardzo dumny, ale chłopak niechętnie rozstawał się z błyskotką.

- Czy to była złota obrączka z jednym brylantem i kilkoma rubinami? - zapytał Reed.

Zalały go wspomnienia. Bobbi miała białe dłonie z długimi, pomalowanymi paznokciami, którymi chętnie drapała męskie plecy. Obrączka na palcu serdecznym prawej ręki lśniła w promieniach zachodzącego słońca, gdy żeglowali. Była jesień, zrobiło się zimno. Liście na drzewach przy brzegu miały odcienie zieleni i złota, a słona bryza targała długie włosy Bobbi i przyciskała krótką, białą spódnicę do jej opalonych nóg. Bobbi była boso, paznokcie u stóp i rąk miała pomalowane tym samym lakierem w odcieniu czerwonych jak krew kamieni wprawionych w obrączkę.

- To ta - potwierdził szeryf. - Z wygrawerowanym napisem.

- Tak? Nie wiedziałem.

Reed zapytał ją wtedy o obrączkę, a ona się roześmiała, balansując na pokładzie. „Tak - odparła zadziornie, unosząc brew - dostałam ją od dawnego chłopaka. Już go nie ma, ale nie mogłam rozstać się z brylantem”. „Czy twój mąż nie ma ci tego za złe?” „Były mąż. Eks - odpowiedziała twardo. - Wciąż o tym zapominasz. Oczywiście, że nie jest zadowolony, ale ja nigdy nie przejmowałam się jego uczuciami”. Uśmiechnęła się, oczy jej rozbłysły, jakby powierzyła mu jakąś tajemnicę.

- Tak. - Głos szeryfa, przywrócił Reeda do rzeczywistości. - „Dla Barbary, z miłością”. Jest też data. Czerwiec zeszłego roku.

- Powiedziała, że to prezent od byłego chłopaka, ale w zeszłym roku była już mężatką.

- Aha... To był prezent na rocznicę ślubu. Piątą. Drewnianą, metalową, papierową czy jak tam się nazywa piąty rok szczęśliwego pojęcia.

- Tego nie wiem - odparł Reed.

- Ja też nie, ale moja żona na pewno wie. W każdym razie myślę, że Barbara Marx dostała obrączkę od byłego męża. Zadzwoń do niego.

Czyli skłamała. Kolejny raz. Już go to nie dziwiło. Cały ich związek, jeśli w ogóle można było to tak nazwać, opierał się na kłamstwach. Tyle, że Reedowi nie mieściło się to w głowie. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, zastanawiał się, czy okłamała kogoś jeszcze... i zapłaciła za to najwyższą cenę.

- Komuś chyba przewróci się w głowie - powiedziała Trina, patrząc, jak Nikki wrzuca torebkę pod biurko. Cofnęła się na fotelu, żeby spojrzeć koleżance w oczy. - Dwa artykuły na pierwszej stronie. - Głośno cmoknęła.

- Do trzech razy sztuka.

- Myślisz, że będziesz miała jeszcze jedną szansę? Kiedy Pierce Reed zobaczy, co napisałaś, na pewno podburzy przeciwko tobie cały wydział i nikt, nawet twoje osobiste Głębokie Gardło, nie będzie chciał się do ciebie odezwać. - Zniżyła głos i dodała: - Norm Metzger bardzo się wkurzył. Kiedy tylko Tom Fink przyszedł do pracy, pobiegł z wrzaskiem do jego gabinetu. Wyleciał po kilku minutach, błady z wściekłości.

Nikki przełknęła ślinę, żeby powstrzymać uśmiech. Nie przejmowała się złością Norma. Ani trochę. Przecież rywalizowali ze sobą i oboje próbowali uzyskać informacje od Reeda. Norm trzy razy był w Dahlonga i bezskutecznie szukał jakiegoś haka na detektywa. Nikki też jeszcze się to nie udało. Ale czuła, że powoli zbliża się do opornego policjanta. Kiedy ostatnio z nim rozmawiała, nie był aż taki nieprzyjemny, a raz nawet zauważyła, że się jej przygląda - nie jak reporterce i wrogowi, lecz z zaciekawieniem, jakby próbował ją rozgryźć, jakby intrygowała go jako kobieta. Widziała już takie spojrzenia, więc teraz nie miała wątpliwości. I trochę jej to pochlebiało. A może nawet bardzo. Reed był przystojny i cholernie interesujący.

- Przy okazji, jeśli to cię ciekawi, rozmawiałam ze znajomym z WKAM - mówiła Trina. - Cholernie im tam zależy na informacjach o seryjnym mordercy. Prezes stacji objechał kierownika działu wiadomości, a ten wyżył się na reporterach. Wszyscy się teraz denerwują. - Trina wydeła swoje zmysłowe usta. - Jak się czujesz w roli gwiazdy?

- Dobrze. Ale znasz to powiedzenie - dodała Nikki. - Reporter jest tak dobry jak jego ostatni artykuł. - Odwróciła się do komputera, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną, a Trina wsunęła się na fotelu do swojego boksu.

Nikki potarła kark. Była bardzo zmęczona, bolały ją wszystkie mięśnie. Ale musiała pracować dalej. Pisała artykuł w nocy, wysłała go e-mailem do Toma Finka i położyła się dopiero o drugiej. Spała jak suseł i gdy rano rozdzwonił się budzik, kusiło ją, żeby go wyłączyć i spać dalej. Jednak tego nie zrobiła. Bardzo chciała zobaczyć swój tekst w druku, więc szybko wybiegła z domu i kupiła poranne wydanie „Sentinela”. Pogrubiony nagłówek głosił, że Grabarz jest seryjnym zabójcą. Wiedziała, że policjanci będą jej mieli za złe ten artykuł, ale było już za późno, żeby się wycofać. Poza tym miała przecucie, że zabójca nie poprzestanie na dotychczasowych ofiarach.

Przeglądała pocztę. Większość wiadomości to były śmieci, spam, którego nie odsiano na serwerze, oficjalna reklama oraz listy od kolegów i czytelników... Poczuli się tak, jakby dostawała korespondencję od fanów. Cieszyły ją komplementy na temat artykułu, ale przysięgła sobie, że nie wpadnie w samozachwyty i pozostanie obiektywna.

- Nikki?

Omam nie spadła z krzesła, słysząc głos bardzo blisko siebie. Obróciła się i zobaczyła informatyka Kevina. Weisnął się w miejsce, gdzie powinien stać tylko jej fotel.

- O, rany, Kevin, przestraszyłeś mnie! - Nie mogła opanować irytacji.

Uniósł ramiona niemal przeproszającym gestem.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

Na chwilę rozbłysły mu oczy, jakby chciał zaproponować coś nieprzyzwoitego. Ale wesołe ogniki szybko zgasły. Chyba się rozmyślił. Dzięki Bogu. Kevin był w porządku, tylko trochę... dziwny.

- Myślałem, że masz jakieś kłopoty z komputerem. Tom kazał mi sprawdzić, co jest nie tak.

- Och. Rzeczywiście. Odkąd mamy ten nowy system bezprzewodowy, zatyka mi się połączenie z Internetem. U Triny wszystko działa bez zarzutu, więc myślę, że to wina mojego komputera. Bardzo mnie to wkurza. W dodatku klawiatura czasami się zacina. I zdarza się, ale nie teraz, że na monitorze pojawia się cienka linia. Wiesz, dzieli ekran... - Pokazała palcem, w którym miejscu. - W dolnej części. Pojawia się i znika. Sprawdziłam wszystkie ustawienia i tak dalej, ale ta kreska wciąż się pokazuje. Dasz radę to naprawić?

- Pewnie tak. Ale potrzebuję więcej informacji.

Stał przy biurku ze splecionymi ramionami, słuchawkami walkmana przewieszonymi przez kark, w bejsbolówce daszkiem do tyłu, a Nikki opowiadała o kłopotach z komputerem, cały czas starając się utrzymać dystans. Nawet w normalnych sytuacjach było to trudne, a teraz, przy biurku - prawie niemożliwe. Kevin zawsze stał trochę za blisko, wchodził w jej osobistą przestrzeń, jakby źle słyszał lub widział. Nikki bardzo to denerwowało. Zawsze, gdy do niej podchodził, automatycznie się cofała, żeby zyskać choć kilka centymetrów.

- Więc... jak myślisz? Da się to naprawić? - zapytała, gdy już nie miała na co narzekać.

- Nie wiem, najpierw muszę wszystko sprawdzić.

- Dobrze. A ja pójdę poszukać czegoś w archiwum. Gdybyś miał jakieś pytania, zadzwoń na komórkę albo

przyjdź do mnie... masz numer mojej komórki? - Kiwnął głową, a ją przeszył lodowaty dreszcz. - Podałam ci go już? - Nie przypominała sobie tego.

- Nie. Wziąłem go od Celeste. Trzyma takie dane w swoim pliku.

Niekompetentna Celeste.

- Dlaczego poprosiłeś ją o mój numer?

- Mam numery telefonów wszystkich pracowników - wyjaśnił. - Żeby móc się z nimi skontaktować, kiedy pracuję nad ich komputerami, a oni są w terenie lub w domu. - Patrzył na nią jak na idiotkę.

- Tak tylko zapytałam - powiedziała, biorąc torebkę i telefon komórkowy. Zostawiła Kevina przy swoim komputerze. Nie była zadowolona, że rozsiadł się w jej fotelu, włożył do uszu słuchawki walkmana i przysunął się do monitora, ale chciała, żeby naprawił komputer, a w całej firmie tylko on umiał to zrobić.

- Jeszcze trochę, a przyczepi się do mnie na dobre - mruknęła pod nosem, biorąc puszkę niskokalorycznej coli z dystrybutora w korytarzu. Otworzyła ją i zeszła schodami dwa piętra niżej, do biblioteki, gdzie przechowywano wszystkie dane i można było popracować na komputerze o wiele lepszym niż jej sprzęt.

Była tam sama. W bibliotece panowała grobowa cisza, pod sufitem migotała jedna jarzeniówka, betonowe ściany pomalowano na szaro. Nikki czuła się jak w więzieniu. Brakowało jej muzyki, stukania klawiatur, dzwonek telefonów i szumu rozmów. W bibliotece stały tylko szafki z aktami i nie do końca wypełnione półki z książkami. Zawsze czuła się tu nieswojo, a teraz, gdy w mieście grasował seryjny morderca, to wrażenie się spotęgowało. Pewnie z powodu tej cholernej ciszy. I odosobnienia.

Usadowiła się w fotelu i czytała dane z archiwów, a potem jeszcze raz poszukała w Internecie informacji o Reedzie. On był kluczem do sprawy. Nie miała co do tego wątpliwości. To jego wezwano do Dahlonga, on był związany z Bobbi Jean, on poleciał śmigłowcem pod Krwawą Górę. Z powodu Bobbi Jean Marx? Ale skąd ktoś mógł wiedzieć, że kiedyś byli razem? Zanotowała sobie, że musi sprawdzić, dlaczego wezwano Reeda na miejsce zbrodni, a potem zadzwoniła do Cliffa na komórkę. Oczywiście nie odebrał, więc zostawiła wiadomość.

- Unika mnie - powiedziała głośno. Zaskoczyło ją echo własnego głosu w obszernym pomieszczeniu. Poczowała ucisk w żołądku. - Weź się w garść - nakazała sobie. - Przecież tu nawet nie jest ciemno. - Tylko panuje tu dziwny bezruch. Cisza. Chłód, ale jakby bez powietrza.

Nagle odezwał się jej telefon komórkowy. Drgnęła nerwowo. Na wyświetlaczu pojawił się numer wydziału policji w Savannah. To ją zdziwiło. Cliff rzadko dzwonił do niej z pracy. Panicznie się bał, że ktoś go przyłapie. Wpadał w paranoję. A może wcale nie. Po prostu był ostrożny. Przecież przeze mnie i głupie poczucie winy wobec Andrew może stracić pracę, pomyślała Nikki. Wiem to od dawna i nie mogę udawać, że tak nie jest. Czując wyrzuty sumienia, odebrała telefon.

- Nikki Gillette.

- Pierce Reed.

Zamarła. Zadzwonił do niej Reed. Szybko chwyciła długopis i kartkę papieru.

- Witam, detektywie - powiedziała spokojnie, chociaż serce waliło jej jak oszalałe. - Czym mogę służyć?

- Długo do ciebie nie oddzwaniałem. Zostawiłaś mi kilka wiadomości.

- Tak. Bardzo bym chciała przeprowadzić z tobą wywiad. Na temat śledztwa.

- Tak powiedziałaś.

- Naprawdę słuchałeś moich wiadomości?

- Wszystkich ośmiu.

- Chciałam z tobą pomówić przed wydrukowaniem artykułu. Ale nie mogłam czekać w nieskończoność. Obowiązują mnie terminy.

- Właśnie dlatego dzwonię. Zmieniłem zdanie. Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem. Po pracy. Powiedzmy o siódmej, może wpół do ósmej. Będziesz miała czas?

- Jasne. - Starła się nie okazać ekscytacji, chociaż czuła się tak, jakby dostała gwiazdkę z nieba. Wywiad z tym opornym detektywem! Najlepiej na wyłączność. - Co się stało? - Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadać tego pytania. - Dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Wszystko wyjaśnię, kiedy się zobaczymy.

- Gdzie i kiedy dokładnie?

Ani chwili nie zwlekał z odpowiedzią.

- W zajeździe U Johnny'ego B., przy autostradzie I-80. To mniej więcej półtora kilometra przed mostem na wyspę Tybee. Wiesz, gdzie to jest? - Na wszelki wypadek podał jej adres.

- Na pewno trafię - powiedziała, zapisując nazwę na kartce. - O wpół do ósmej. - Rozłączyła się, rozradowana, i chciała schować telefon do torebki, gdy nagle poczuła coś dziwnego. Jakiś chłód, zmianę w otoczeniu. Zerknęła przez ramię i zobaczyła Kevina. Stał dwadzieścia centymetrów od niej. O Jezu! - Podskoczyła, przewracając puszkę z napojem. - Dlaczego zawsze się skradasz? - Spojrzała na jego buty na grubych podszewkach, postawiła puszkę, wyjęła z torebki chusteczkę i zaczęła wycierać colę.

- Rozmawiałś przez telefon. Nie chciałem przeszkadzać. - Przez chwilę wyglądał tak, jakby sprawiła mu przykrość. Zobaczyła w jego oczach błysk wyzwania, ale zaraz przybrał zwyczajny, obojętny wyraz twarzy. Zawsze podejrzewała, że on bierze narkotyki, ale teraz nie była już tego taka pewna.

- W porządku. Chodźmy na górę. Po drodze powiesz mi o komputerze. - Wrzucając moką chusteczkę do kosza na śmieci, poszła w stronę schodów. Nie chciała tkwić tu z tym świrem ani chwili dłużej, niż było to konieczne.

- Powinien działać bez zarzutu.

Ta informacja jej wystarczyła, ale Kevin oczywiście głądził o sprawach technicznych cały czas, kiedy szli do redakcji. Nie mogła się go pozbyć. Nawet przy jej biurku przez dwadzieścia minut szczegółowo opowiadał, co zrobił, żeby jej cholerny komputer znowu zaczął dobrze działać. Nie była tym zainteresowana, ale postanowiła, że nauczy się więcej o komputerach i w przyszłości nie będzie zdana na niego. Może zapisze się na kurs albo kupi sobie podręcznik, powiedzmy, Informatykę dla idiotów.

- Dzięki, Kevin - powiedziała, kiedy wreszcie się pożegnał. Uśmiechnął się do niej raczej chłopięco niż diabolicznie. Skarciła się w myślach za to, że dała się ponieść wyobraźni i demonizowała siostrzeńca Toma Finka.

Trina wyjrzała zza przegrody boksu.

- Nigdy więcej nie zostawiaj mnie z nim samej.

- Przecież nie byłaś sama.

Nikki spojrzała na redakcję, pełną reporterów, siedzących przy komputerach.

- To wariat, Nikki. Kiedy cię nie było, nucił i mamrotał jakieś głupie słowa, zupełnie bez sensu. To brzmiało jak wiersz, napisany przez małe dziecko. Cały czas mi się wydawało, że gadał do mnie. - Zadrżała. - Mówię ci, ten koleś jest cholernie nieśmiały.

- Wiem, ale naprawił mi komputer, i tylko o to mi chodziło.

- Następnym razem nie uciekaj.

Nikki uśmiechnęła się do niej.

- Norm siedział przy swoim biurku. Mogłaś poprosić go o pomoc, gdyby Kevin zaczął cię podrywać albo dziwnie się zachowywał... O Boże. Ta redakcja to prawdziwy dom wariatów. - Nagle Trina wytrzeszczyła oczy. - Chyba masz gościa.

- Jak to? - Obróciła się na fotelu i zobaczyła Seana Hawke'a w całej okazałości. Był wysoki - miał metr osiemdziesiąt wzrostu - więc pochylił się nad blatem w recepcji. Zakłopotana Celeste wskazała mu ręką biurko Nikki. Sean zauważył spojrzenie Nikki i ruszył w stronę jej boksu. Nie zmienił się przez te lata. Wciąż był szczupły i przystojny, włosy opadały mu na kołnierz skórzanej kurtki, a dolną część twarzy zdobiła kozia bródka. Nawet w pomieszczeniu miał na nosie przyciemnione okulary. Nikki przypuszczała, że raczej dla efektu niż dla komfortu widzenia. Był ubrany w spodnie khaki, obcisły sweter i czarne buty. No i oczywiście jak zwykle zabójczo się uśmiechał.

- O, rany - mruknęła Trina. Nikki dostrzegła kątem oka, że przyjaciółka wachluje się ręką. - Co za facet!

- Są z nim same kłopoty - szepnęła i wstała, gdy Sean do niej podszedł.

- Pomyślałem, że cię tu znajdę.

- Ale z ciebie detektyw!

- Nadal jesteś zgryźliwa. - Usiadł, zarzucił jedną nogę na blat jej biurka, wziął przycisk do papieru i zaczął go podrzucać. Zawsze taki był: kłębek nerwów w seksownym, męskim ciele.

Nikki przedstawiła Seana Trinie, która omal nie zemdląła na jego widok. Tak jak Nikki przed laty.

- Nie oddzwaniaj do mnie.

- Przepraszam... Nie, to nieprawda. Wcale cię nie przepraszam. Jestem bardzo zajęta.

- Tak zajęta, że nie masz czasu porozmawiać ze starym znajomym?

- Ten stary znajomy rzucił mnie dwanaście lat temu.

- Oj. - Skrzywił się. - To był błąd.

- Może nie. Wszystko dobrze się ułożyło.

- Naprawdę? - Wpatrywał się w nią swoimi dziwnymi oczami, które zmieniały kolor. Przed laty takie spojrzenie sprawiało, że serce biło jej mocniej. Teraz ją drażniło. Kiedyś uważała, że Sean jest seksowny, teraz kojarzył jej się tylko z kłopotami.

- Czego ode mnie chcesz?

- Umówmy się. Opowiesz mi, co u ciebie.

- Nie ma potrzeby. Pracuję w redakcji, tak samo jak wtedy, kiedy mnie zostawiłeś.

- Ale zdążyłaś skończyć studia i wrócić do Savannah. No i jesteś sławna.

Nie odpowiedziała.

- Myślałem, że wyszłaś za męża.

- To źle myślałeś.

- Nawet nie zapytasz, co u mnie słyhać? - Podrzucił przycisk do papieru i złapał go.

- Chyba mnie to nie interesuje.

- Masz faceta?

- Teraz nie.
- A przedtem?
- Słuchaj, Sean, naprawdę nic ci do tego, a ja jestem zajęta.
- Chodźmy na drinka, kiedy skończysz.
- Ty nie masz żadnych zajęć?
Uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Dziś nie.
- To nie jest dobry pomysł.
- Jeden drink cię nie zabije. - Uśmiechnął się z chłopcym wdziękiem, a w jego oczach pojawiły się diabelskie ogniki, tak jak kiedyś.
Zadzwoił jej telefon komórkowy, więc powiedziała:
- Naprawdę nie mam już dla ciebie czasu.
Gdy sięgała po telefon, chwycił ją za nadgarstek.
- Zadzwoi do ciebie, Nikki. - Puścił ją i odszedł, a z sąsiedniego boks dobiegł szept Triny:
- O rany.
- Chcesz go? To sobie weź - powiedziała Nikki, patrząc, jak Sean wychodzi z budynku. Spłowiełe dzinsy ciasno opinały jego pośladki, obcasy butów nie były ani trochę starte, a kurtka nie miała żadnej skazy. Był aż nazbyt doskonały. I kiedyś złamał jej serce.
Telefon zadzwonił ponownie, więc odebrała. Dzwoniła przedstawicielka towarzystwa historycznego. Chciała upewnić się, czy Nikki dobrze zapisała informacje o godzinach zwiedzania zabytkowych budynków w sezonie świątecznym. Nikki wszystko sprawdziła i zakończyła rozmowę.
W końcu mogła się znów załogować w komputerze. Kiedy przyszedł Kevin, przestała przeglądać pocztę elektroniczną, więc teraz wróciła do lektury nowych wiadomości. Prawie skończyła, gdy natknęła się na e-mail z nagłówkiem GRABARZ ZNÓW ATAKUJE. Chociaż nie знаła adresu nadawcy, kliknęła nagłówek.
Serce jej stanęło. Zapomniała, że jest w redakcji. Jak otępiała patrzyła na straszliwe obrazy, pojawiające się na monitorze. Zdjęcia czworga ludzi - na pewno ofiar Grabarza - rozpadały się na jej oczach. Wiadomość była krótka.
RESZTA NIECO ODROCZONA.
AŻ DO PEŁNEJ DWUNASTKI.
TAJEMNICA NA PEWNO POZOSTANIE NIEZGŁĘBIONA.
Nagle zrobiło jej się zimno, jakby wrzucono ją do Atlantyku.
Co, do cholery, oznacza ten list?
Czy Grabarz zwraca się do niej?
A może... może to głupi dowcip?
Zakreśliło jej się w głowie. Cliff powiedział wczoraj, że Grabarz wysłał Reedowi listy... ale czy e-maile też? O, Boże. Skąd przyszła wiadomość? Postanowiła odpisać. Oczywiście to mógł być żart. W dzisiejszych czasach wielu ludzi dla zabawy włamywało się do komputerów i wysyłało spam, ale ona miała przecucie, że to naprawdę był list od Grabarza. Zabójca zareagował na jej artykuły. Dlatego że wymyśliła mu przydomek. Zwróciła na niego uwagę. W jakiś sposób polechtała jego chore ego.
Zagryzając dolną wargę, wysłała e-mail z odpowiedzią, prosząc nadawcę, żeby się przedstawił. Jej list wrócił prawie natychmiast. Wydrukowała wiadomość od zabójcy w dwóch egzemplarzach, ale z drugiej kopii wycięła słowa i zostawiła tylko nagłówek. Potem poszukała Kevina. Stał, jak zwykle w słuchawkach, przed dystrybutorem w korytarzu. Właśnie wciskał guzik, żeby coś kupić, gdy dostrzegł ją kątem oka.
- Nie mów, że nie umiesz uruchomić komputera - powiedział, patrząc na nią z góry aroganckim wzrokiem. Kąciki jego ust lekko się wygięły, jakby był zadowolony z siebie.
Bo był mądrzejszy od niej?
A może spodziewał się, że będzie go szukać?
- Nie. Nie. System działa bardzo dobrze. Ale chcę cię prosić o przysługę - powiedziała, pierwszy raz ucieszona, że jest z nim sam na sam.
Zsunął słuchawki z uszu.
- Kolejną?
Na podajnik wypadła torebka orzeszków M&M. Kevin chwycił ją szybko, jakby się bał, że Nikki go ubiegnie.
- Tak.
- To cię będzie trochę kosztować - powiedział z niemal pożądlwym uśmiechem.
- O, rany... Patrz! - Podała mu wydruk nagłówka e-maila. - Mógłbyś się dowiedzieć, kto mi to przysłał?
- Spróbuję. - Spojrzał na kartkę, zastanawiając się. - Dlaczego?
- Bo to ważna sprawa, rozumiesz? Ktoś wysłał mi dziwną wiadomość, a kiedy próbowałam odpowiedzieć, mój e-mail wrócił. - Podała mu odpowiedź, z której również wycięła treść.
- Chodzi o seryjnego mordercę? O tego Grabarza?
Nie chciała kłamać i była wściekła, że potrzebuje pomocy Kevina.

- Tak. Naprawdę.
- Co będę z tego miał?
- To twoja praca!
- Jestem bardzo zajęty.

Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Czego chcesz, Kevin?

Zawahał się, a ona poczuła ucisk w klatce piersiowej. Chyba nie zaprosi jej na randkę? Ani, niby to żartem, nie będzie się domagał jakiejś seksualnej przysługi.

- Czego chcesz?

- Doceń mnie, proszę. Wszyscy tutaj traktujecie mnie jak śmiecia albo... albo jak powietrze... jak krety... dajecie mi do zrozumienia, że mam tę pracę tylko dlatego, że Tom jest moim wujkiem. Ale prawda jest taka, że ty, Trina, Norm i wszyscy inni w tej cholerniej redakcji po prostu mnie potrzebujecie. - Dotknął kciukiem swojej klatki piersiowej, potrząsając orzeszkami w torebce.

- Chcesz, żebym cię doceniła?

- Tak.

- Dobrze - powiedziała, wciąż niepewna. Wybuchł tak nagle, jakby gniew zbierał się w nim od lat. - Zgoda, Kevin.

- Mówię poważnie, Nikki. - Wziął od niej kartkę i zaczął czytać. - Odezwę się do ciebie.

- Szybko. To ważne.

Oczy znów mu rozbłysły.

- Myślisz, że nie rozumiem? Dobrze to wiem. - Powiedział to, znów dziwnie się uśmiechając. Zostawił ją w korytarzu, a ona uświadomiła sobie, że to on korzystał z jej komputera ostatni. Dobrze znał system. Mógł wysłać ten e-mail i umieścić go między innymi wiadomościami.

Och, na miłość boską, co się ze mną dzieje? Ostatnio w każdym napotkanym człowieku widzę potencjalnego zabójcę. Pobiegła do swojego biurka i zaczęła się przygotowywać do wywiadu z Reedem. To była jej wielka szansa. Następna taka okazja mogła się nie trafić.

Rozdział 18

Pan Bóg nie lubi, żeby ludzie rozkopywali groby - upierała się Bea Massey, niska, przygarbiona Murzynka z dużymi zębami. Na razie nie udzieliła Morrisette żadnych informacji, które mogłyby się przydać w śledztwie. Była niemal ociemniała. Poklepała kudłatego, starego kundla, siedzącego u jej stóp przy kuchennym stole. - Kiedy człowiek zostanie złożony do grobu, powinien tam zostać.

Amen, siostrze, pomyślał Reed, ale nie powiedział tego głośno i dalej przysłuchiwał się rozmowie Morrisette z wdową po Thomasie Masseyu. Siedząc przy oknie, rozglądał się po okolicy. Na tylnym ganku przechadzały się kury rasy bantamka. Zaniedbany warzywnik był wciśnięty za rozsypujący się garaż, w którym stał buick sky lark z sześćdziesiątego siódmego roku. W domu na wszystkich stołach leżały ręcznie robione, koronkowe serwetki, a w oknach wisiały podobne firanki. Pani Massey przysięgała, że nie zna Jerome'a Marksa ani nawet nigdy o nim nie słyszała.

- Mówiłam Thomasowi, że nie powinien sobie wybierać cmentarza w mieście. Jego miejsce było tutaj, na wsi, ale on nie chciał o tym słyszeć. Wolał leżeć z resztą rodziny w Savannah... I czym to się skończyło?

Wyszli z jej domu, wiedząc niewiele więcej niż przed wizytą. Bea Massey była drugim świadkiem, z którym tego dnia rozmawiali. Odwiedzili już Beauforta Alexandra w domu opieki społecznej, gdzie mieszkał od śmierci żony. Powiedział, że ani on, ani Pauline nie znali żadnej Barbary Jean Marx. Ani Thomasa Massey. Ani Roberty Peters.

- Strata czasu - mruknął Reed, kiedy wracali samochodem do Savannah.

- Dlaczego się tym przejmujesz? Już nie bierzesz udziału w śledztwie. - Morrisette wcisnęła samochodową zapalniczkę i zerknęła na Reeda. - Pamiętasz?

- Myślałem o tobie.

- Ale się wzruszyłam! - zakpiła. Zapalniczka wyskoczyła z trzaskiem, więc Morrisette zapaliła papierosa, jednocześnie zmieniając pas. Dojeżdżali do miasta.

Reed wyjrzał przez okno i patrzył, jak wiatr porusza wysoką trawą i krzewami, rosnącymi na nizinie. Ta sprawa go dobijała. Wciąż o niej myślał, na niczym innym nie mógł się skupić, a nocami prawie nie spał.

- Zastanawiam się nad liczbą dwanaście. Poszukałam nawet w Internecie. Dwanaście znaków zodiaku, dwanaście miesięcy w roku... - powiedziała Sylvie.

- Tak, ja też sprawdzałam. Dwunastka kojarzy się też z grą w kości. Z dwunastu osób składa się ława przysięgłych, było dwunastu apostołów, stopa ma dwanaście cali, jest też konferencja Wielkiej Dwunastki.

- Co? Wielkiej Dwunastki?

- Sport. Drużyny akademickie na Środkowym Zachodzie.

- Tak, zabrzmiało mi to znajomo. Bart miał świra na punkcie sportu. - Prychnęła pogardliwie. - Dlatego do tej pory spłacam raty za duży telewizor. - Mocno zaciągnęła się papierosem, marszcząc czoło. - Ale nie sądzę, żeby ta sprawa miała coś wspólnego ze sportem.

- Pewnie nie ma.

Co więc oznacza dwunastka? Na razie nie mieli żadnych mocnych dowodów z miejsca zbrodni. Nie znaleziono odcisków palców ani śladów butów. Ślady opon były częściowo zatarte. Na ciałach ofiar nie wykryto krwi, włókien ani włosów. Nie było też oznak gwałtu. Kimkolwiek był ten drań, cieszył się ich przerażeniem i śmiercią. Pewnie się masturbował, słuchając ich krzyków przez ten cholerny mikrofon. Ale policja właściwie nie miała żadnych tropów. Poza listami, które otrzymał Reed.

Morrisette wydmuchała dym.

- No dobrze. Wiemy, że ostatnią osobą, która widziała Barbarę Jean Marx, był jej mąż. Jerome Marx odwiedził ją w domu poprzedniego dnia, około osiemnastej.

- Czyli mógł ją porwać, wykopać zwłoki Pauline Alexander, zawieźć je i Bobbi samochodem do hrabstwa Lumpkin, zakopać trumnę i wrócić tutaj.

- Kłopot w tym, że on ma porsche. Z tego, co wiem, nie wypożyczył samochodu terenowego.

- Może ukradł - podsunął Reed. - Samochód terenowy lub trucka.

- Może. Ale nie znał Roberty Peters ani Thomasa Massey'a. - Włączyła wycieraczkę. Całe popołudnie zbierało się na deszcz i w końcu zaczął padać. Odchrząknęła i, nie patrząc w stronę Reeda, dodała: - Czekamy na wyniki badania grupy krwi dziecka. W laboratorium spieszą się z testami DNA, ale to musi potrwać. Wyniki będą w przyszłym tygodniu.

Pomyślał, że mógł być ojcem nienarodzonego dziecka Bobbi. On albo Marx. Lub jeszcze ktoś inny. A ona wciąż nosiła ślubną obrączkę. Cholera, dla tej kobiety kompletnie stracił głowę. Ale przecież zawsze tak było. Wybierał sobie niewłaściwe partnerki, przez które potem miał kłopoty.

- Wydział wyda dziś oświadczenie - powiedziała Morrisette, a Reed poczuł ukłucie zazdrości, że nie on ją o tym informuje, lecz ona jego. Zgasiła papierosa. - Powiedzą co nieco o morderstwach, ostrzegą obywateli, poproszą o pomoc... to co zwykle.

- I powiedzą o seryjnym mordercy?

- Mhm. Na to wygląda. - Zerknęła na niego, wyjeżdżając z zakrętu i kierując się w stronę centrum. Polizała palec i potarła nim czoło. - Punkt dla Nikki Gillette.

- Co o niej wiesz?

- Poza tym, że jest wkurzająca?

- Tak.

Wyprzedzając półciężarówkę, Morrisette zapytała:

- Zaraz, zaraz, ale ty chyba się nią nie interesujesz?

- Pytam z ciekawości. Uwzięła się na nasz wydział.

- Tak, ale pewnie jest atrakcyjna dla kogoś, kto lubi zawzięte, uparte blondynki.

- Nie znam takich - wycedził Reed, patrząc na platynowe włosy swojej partnerki. - Pracujesz tu dłużej niż ja. Co jest z tą Gillette?

- To rozpieszczona dziewczucha, która wymyśliła sobie, że zostanie dziennikarką. Chyba nie ma męża i nigdy nie miała, ale w sumie niewiele o niej wiem i mogę się mylić. Pracuje w „Sentinelu”, odkąd skończyła studia, a może zaczęła już wcześniej, w czasie wakacji. Zdaje się, że była jeszcze studentką, kiedy narobiła wszystkim kłopotu podczas procesu Chevaliera. Pamiętasz tę sprawę? Wtedy już tu pracowałeś.

- Pomogłem go wsadzić.

- A teraz wyszedł na wolność. Co za strata czasu i pieniędzy! W każdym razie ta Nikki Gillette chyba próbuje pokazać swojemu staremu, że ona jest kimś. Nigdy nie dorównywała starszemu bratu, temu, który został zabity albo popełnił samobójstwo. Ten brat... cholera, jak on miał na imię?

- Andrew,

Morrisette rzuciła na niego okiem, zwalniając przed światłami.

- Czyli już wiesz. Po co więc strzępię sobie język?

- Chciałem poznać twoje zdanie.

- Cóż. Starszy brat był świetnym sportowcem i rodzinnym geniuszem. Oczko w głowie tatusia. Przeszedł przez college jak burza i chciał studiować prawo na jakiejś uczelni dla snobów, na Harvardzie czy Yale... Na tym samym ekskluzywnym uniwersytecie, na którym uczył się jego ojciec. Nie przyjęli go mimo starań tatuśka. Wkrótce potem mały wykitował. Spadł z pomostu. Albo został zepchnięty. A może skoczył. Nikt tego nie widział, a nawet jeśli, to ta osoba trzyma buzię na kłódkę.

Reed słyszał tę historię. Pamiętał ją z wcześniejszego pobytu w Savannah.

- W każdym razie - ciągnęła Morrisette - z tego, co słyszałam, rodzina całkowicie się rozpadła. Sędzia omal nie rzucił pracy, a jego żona ciągle jest w depresji. Pozostałe dzieci, a oprócz Nikki jest jeszcze dwoje, nie były doceniane. W każdym razie nie tak jak pierwotny. Przynajmniej tak mówią ludzie. - Światło zmieniło się na zielone, więc wcisnęła pedał gazu. - Nie interesuję się tą Nikki. Wiem tylko, że narozrabiała podczas procesu Chevaliera. Ale ty też o tym wiesz.

- Jak wszyscy.

Reed był wtedy młodszym detektywem w Savannah. Sprawa zabójstwa Carol Legittel była jedną z pierwszych, nad którymi pracował. Pomógł wsadzić LeRoya Chevaliera, konkubenta ofiary. Zanim doszło do zabójstwa, Reed niejednokrotnie jeździł do domu Chevaliera z powodu zgłoszeń o przemoc. Ale Carol ani razu nie złożyła zawiadomienia o przestępstwie, jej dzieci też nic nie mówiły.

Cholera, to było okropne. Potem Chevalierowi zupełnie odbiło: zamordował Carol i jej dwoje dzieci. Przewodniczącym składu sędziowskiego był sędzia Ronald Gillette, a jego córka, studentka, pracująca w „Sentinelu”, słyszała prywatną rozmowę o sprawie i przytoczyła w gazecie jej fragmenty, omal nie doprowadzając do unieważnienia całego procesu. Ale teraz to nie miało znaczenia. Chevalier był wolnym człowiekiem i nie mógł być ponownie sądzony za tamte zbrodnie.

Reed stracił kontakt z większością osób zaangażowanych w sprawę. Wkrótce po procesie Chevaliera wyjechał do San Francisco.

- Wiesz, dlaczego ten drań wyszedł? To było całkiem niedawno. Pieprzonego adwokata powinno się za to rozstrzelać. Mam gdzieś, co wykazują te testy DNA. Podobno krew z miejsca zbrodni mogła nie być krwią mordercy. W tamtych czasach nie dało się tego stwierdzić, bo nie mieliśmy do dyspozycji nowoczesnej techniki. Ale moim zdaniem Chevalier jest mordercą i dokonał zabójstwa z zimną krwią. Zaszlachtował tę biedną samotną matkę i jej dzieci. A potem, z powodu Nikki Gillette, omal nie umknął sprawiedliwości. Na szczęście został skazany, ale teraz... teraz wyszedł! Co się dzieje z tym światem?

- Ty mi powiedz.

- Schodzi na psy i tyle. Nikki Gillette była młoda, pracowała w gazecie na zlecenie podczas wakacji. Już wtedy cierpiała na przerost ambicji.

Reed odchrząknął, ale nie powiedział o planowanym spotkaniu z reporterką. Im mniej Morrisette wie o tym, co robi na boku, tym lepiej dla niej i śledztwa.

Postanowił się dowiedzieć, skąd Nikki bierze informacje, choć przypuszczał, że będzie się zasłaniać tą bzdurną Pierwszą Poprawką i nie poda swojego źródła. Zawsze tak było. Reed był święcie przekonany, że Pierwszą Poprawkę wprowadzono tylko po to, by chronić drani, którzy podawali niesprawdzone informacje i działali na szkodę policji. Ale wiedział, że nie będzie mu łatwo pozbyć się Nikki. Jest twarda i sprytna. Z determinacją pisze swoje artykuły. Zeszłego lata, gdy prowadził sprawę Montgomerych, dosłownie nie dawała mu spokoju. Dziś oczekiwiała wywiadu na wyłączność. I wywiad będzie. Tylko że pytania zada on, Reed. Nikki Gillette za dużo wie. To szkodzi śledztwu i stwarza zagrożenie. Dla wszystkich, dla niej też.

Zerknął na zegarek i stwierdził, że do spotkania ma jeszcze kilka godzin. Spodziewał się ciekawej rozmowy. Nikki Gillette była inteligentna i ładna. Uroda i bystry umysł - Reed uważał to za zabójczą kombinację. W dodatku była też rozpieszczona, bo urodziła się w bogatej, szanowanej rodzinie.

Morrisette podwiozła go na komisariat. Przez następnych parę godzin pracował nad sprawą przemocy w rodzinie, gdy żona „przypadkowo” wpakowała w męża pięć naboju w wiatrówki. Pewnie by przeżył, ale jedna z kul trafiła w tętnicę, więc wykrwawił się na śmierć, zanim żona otrząsnęła się z „histerii i paniki” i wezwała pogotowie. Gdy na miejsce zbrodni przyjechali policjanci, siedziała spokojnie w fotelu przy stole i paliła papierosa. Zdaniem Reeda sprawa była bardzo prosta.

Miał już wyjść i właśnie sięgał po kurtkę, gdy zadzwonił telefon.

- Reed.

- Mówi Rick Bentz z Nowego Orleanu - powiedział głos w słuchawce. Reed rozpoznał byłego partnera Reubena Montoi. - Dostałem twoją wiadomość. Pytałeś o niejakiego Vince’a Lassitera.

Reed puścił kurtkę, która opadła na oparcie krzesła.

- Zgadza się. Jest bratem ofiary zabójstwa. Musimy go znaleźć. Chcemy nie tylko zawiadomić go o śmierci siostry, ale i sprawdzić, co robił w dniu jej zniknięcia.

- Co się stało siostrze?

Przed oczami Reeda stanęły obrazy Bobbi Jean, żywej, rozpromienionej i seksownej, potem szamoczącej się w zimnej, ciemnej trumnie, a jeszcze później - martwej. Starając się opanować narastającą wściekłość na bydlaka, który ją zabił, jak najspokojniejszym głosem opowiedział wszystko Bentzowi.

- Dlatego chcemy porozmawiać z każdym, kto miał jakikolwiek związek z Barbarą Marx - zakończył.

- Nie dziwię się. Sukinsyn grzebie ofiary żywcem? - Bentz zaklął pod nosem. - Poszukamy, ale przypuszczam, że trudno będzie namierzyć Lassitera. Wyjechał jakieś trzy miesiące temu. Nie zgłosił się do kuratora sądowego i nie zostawił adresu. Kobieta, z którą mieszkał, nie umie albo nie chce powiedzieć, co się z nim stało. Później nikt nie miał z nim kontaktu. Kumple z komisariatu uważają, że popadł w długi i uciekał przed wierzycielami, ale oni złapali go, zabili i wrzucili ciało do zatoki. Oczywiście to są tylko podejrzenia. Nie mogę ci powiedzieć, co się z nim dzieje, bo po prostu nie wiem.

Kolejny ślepy zaułek. Reed bębnił palcami po blacie biurka.

- Jasne. Co jeszcze o nim wiesz?

- Wyciągnąłem jego akta, - Reed usłyszał szelest przewracanych kartek. - Od czternastego roku życia miał kłopoty z prawem, nic poważnego, chociaż brak tu danych z okresu, kiedy był niepełnoletni. W wieku

dziewiętnastu lat wziął udział w napadzie z bronią w rękę. Wsypał kumpla, dzięki ugodzie dostał wyrok, odsiedział swoje i kilka lat temu wyszedł z więzienia. Potem chyba był grzeczny. Znalazł sobie pracę w telemarketingu, sprzedawał środki czystości, związał się z kobietą, którą poznał na spotkaniach klubu Anonimowych Alkoholików. Ona nazywa się... niech sprawdzę... już mam, Wanda Parsons. Do końca sierpnia Lassiter był wzorowym obywatelem. Aż nagle zniknął. Pewnego wieczoru nie wrócił do domu. Albo uciekł celowo, albo skończył po złej stronie pistoletu. Znaleźliśmy jego samochód w rowie pod Baton Rouge. Nikt nie widział, co się stało. W październiku sprawdziliśmy wszystkich, którzy go znali, oczywiście też jego siostrę. Nikt nic o nim nie słyszał.

- Myślisz, że ktoś go wykończył?

- Nie wiem, ale w wydziale wszyscy tak sądzą.

- Zawiadam mnie, jeśli Lassiter się pojawi.

- Jasne. Ty też mnie informuj.

- Dobrze. Dzięki. I pozdrów Montoyę.

- Chciałbym - powiedział Bentz - ale od jakiegoś czasu go nie widziałem. Zrobił sobie przerwę.

- Wróci?

- Nie wiem, ale nie stawiałbym na to.

- Kiedy się z nim spotkasz, przekaż, żeby do mnie zadzwonił - poprosił Reed. - I zawiadam mnie, jeśli dowiecie się czegoś o Lassiterze.

- Dobrze.

Reed pstryknął długopisem i skończył rozmowę. Wyjrzał przez okno. Miasto pogrążało się w popołudniowym mroku. Czy Vince Lassiter został zabity? Czy jego ewentualna śmierć związana jest z zabójstwem siostry? Czy znajdą go w następnej trumnie, zakładając, zgodnie z e-mailem od Grabarza, że będzie więcej ofiar? A może Lassiter zniknął celowo? Czy miał jakiś związek z tymi dziwnymi morderstwami?

Wpisując informacje o Lassiterze do pliku, wyczuł czyjaś obecność. Zerknął przez ramię i zobaczył w drzwiach Cliffa Sieberta. Młody gliniarz był wysoki, szczupły i krótko ostrzyżony. Znał się na rzeczy, ale zawsze jakby czymś się martwił. Reed nigdy nie widział, żeby Siebert żartował z kolegami. Pomyślał, że mały powinien nauczyć się odprężyć. Humor, nawet czarny, pomaga rozładowywać napięcie nierozłącznie związane z ich pracą.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytał Reed.

- Miałem nadzieję, że przekażesz mi swoje notatki o sprawie Grabarza.

- Moje notatki?

- Zostałem przydzielony do pomocy. Będę partnerem Morrisette.

- Tak? - Reed poczuł przypływ gorąca.

- Tak.

Przynajmniej mały poprosił o to swobodnie.

- Morrisette ma wszystko to, co ja.

- Ale przecież robiłeś własne notatki, których na pewno jej nie dałeś.

Reed pomyślał, że właśnie w tej chwili na monitorze komputera były wyświetlone jego przemyślenia związane z tą sprawą.

- Ma wszystko, czego jej trzeba. Wszystkie fakty.

- Mówię o twoich przeczuciach. No, wiesz... o wrażeniach.

- Myślisz, że je zapisuję?

- Każdy to robi.

- Prześlę je Morrisette - powiedział Reed, nie chcąc ustępować młodemu detektywowi. Coś w Cliffie Siebercie bardzo go drażniło, choć nie wiedział co. Siebert cieszył się doskonałą opinią w wydziale, ale Reed mu nie ufał. Z zasady nie miał zaufania do osób z doskonałą opinią. - Poczta elektroniczną.

Siebert chyba chciał zaprotestować, ale zauważył groźne spojrzenie Reeda. Z poważną, nieprzeniknioną miną, powiedział:

- Chętnie przekażę jej te notatki.

Akurat, pomyślał Reed. Postanowił przesłać tylko fakty i suche komentarze, a wrażenia, przeczucia i teorie zatrzymać dla siebie. I tak nikomu by się nie przydały. Szybko skopiował swoje notatki na dyskietkę i schował ją do teczki. Potem okroił plik, który został na twardym dysku, i wysłał go pocztą elektroniczną do Morrisette. Kiedy skończył, miał już niewiele czasu do spotkania z Nikki, ale wpadł jeszcze do biura Katherine Okano. Jej sekretarka, Tonya Cassidy, sprzątała już swoje biurko, zamierając zaraz wyjść.

- Muszę się zobaczyć z Kathy.

- Już wyszła.

Reed zacisnął szczękę i posłał sekretarce paralizujące spojrzenie. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że Tonya gardzi ludźmi.

- Kiedy będzie?

- W poniedziałek.

Cholera.

- Przypuszczała, że wpadniesz, więc coś ci zostawiła. - Tonya sięgnęła do górnej szuflady i wyjęła z niej zaklejoną kopertę. Znacząco uniosła brwi, dając do zrozumienia, że wie, co jest w środku, i podała mu ją.
Ale przecież nie trzeba było być geniuszem, żeby się domyślić.
Reed wyszedł na korytarz, rozerwał kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę.
To był raport z laboratorium. Grupa krwi Reeda, B Rh minus, wskazywała z dużym prawdopodobieństwem, że był ojcem dziecka Bobbi Mara. Dopisano jeszcze, że wyniki badań DNA zostaną wkrótce dostane.
Poczuł, jak zalewa go fala rozpaczy.
To było jego dziecko.
Ten bydlak zabił jego dziecko.

Rozdział 19

Nie mogę. Nie dziś - powiedziała Nikki, przytrzymując słuchawkę telefonu ramieniem. Nie była zainteresowana tą rozmową, bo bardzo się spieszyła. Dokonywała jeszcze ostatnich poprawek w swoim najświeższym artykule o Grabarzu.

Ale jej siostra miała własne problemy i najwyraźniej była zrozpaczona.
- Dlaczego? Słuchaj, Nikki, przecież nieczęsto proszę cię, żebyś posiedziała z małą.
To prawda, pomyślała Nikki.
- Zawsze, byle nie dziś, Lily. Przysięgam. Ale za niecałe pół godziny policja organizuje konferencję prasową o Grabarzu, a potem mam ważny wywiad. Bardzo ważny.
- Weź Phee ze sobą.
- Mam wziąć dwuletnie dziecko? Zwariowałaś? - Nikki źle napisała jakieś słowo. - Cholera. - Oderwała dłonie od klawiatury i oparła się wygodnie. - Ty ją zabierz.
- Jestem umówiona. Nie prosiłabym cię o pomoc, gdyby w ostatniej chwili nie wystawiła mnie opiekunka.
- Czekaj, czekaj. O! Podrzuc Phee do rodziców. Odbiorę ją po wywiadzie... Około wpół do dziesiątej, może dziesiątej, zawiozę ją do ciebie, położę spać i będę pracować na laptopie.
- Sama nie wiem...
- Jeśli to ci nie odpowiada, poszukaj sobie kogoś innego do pomocy. Może zadzwoń do Kyle'a - zaproponowała.
- Do Kyle'a? - Lily prychnęła z pogardą na myśl o ich bracie. - Co on tam wie o dzieciach!
- A co ja wiem? Słuchaj, Lily, naprawdę muszę kończyć.
- Dobrze, podrzucę ją do starych, ale to naprawdę komplikuje mi życie. Mam się spotkać z Melem o siódmej. - Wzdychając, dodała: - Wiesz, na czym polega twój problem, Nicole?

Oj, zaczyna się.
- Dlaczego zawsze odnoszę wrażenie, że koniecznie chcesz mnie oświecić? - Nikki wrzuciła telefon komórkowy do torebki.
- Jesteś taka jak Andrew - powiedziała Lily, nie zwracając uwagi na przytyk. - Nawiedzona i skupiona na sobie. Tak jakby cały świat obracał się tylko wokół ciebie. - I rzuciła słuchawkę.

Nikki się skrzywiła. Jej siostra często się tak zachowywała. Już jako dziecko była bardzo kapryśna i zawsze musiała mieć ostatnie słowo. Ta pseudointelektualistka o zapędach naukowych, która pasjonowała się polityką i modą, spędzała całe dnie na opiece nad dzieckiem, paleniu cienkich, czarnych cygaretek i dyskusjach o literaturze i filozofii. Pracowała na pół etatu w kawiarni, grała na flecie i śpiewała w kapeli jazzowej. Nikki dwa razy była na koncercie, ale ta muzyka do niej nie przemawiała. Piosenki jakoś nie mogły się skończyć, skomplikowana melodia brzmiała w uszach Nikki po prostu jak hałas.

Męczennica Lily nigdy nie powiedziała, kto jest ojcem małej Ophelii; to była tajemnica, którą starsza siostra Nikki chyba chciała zabrać ze sobą do grobu. Zresztą nie miało to znaczenia. Ophelia, choć wychowywała się bez ojca, była urocza. Nikki pokochała siostrzenicę, gdy tylko zobaczyła ją w szpitalu. Sama myśl o kędzierzawej dwulatce spowodowała, że na jej ustach pojawił się uśmiech.

Nikki skończyła artykuł. Zostawiła trochę miejsca na ewentualne zmiany, gdyby dowiedziała się czegoś ważnego na konferencji prasowej lub Podczas wywiadu z Reedem. Chwyciła kurtkę i wybiegła z redakcji. W drzwiach zderzyła się z Normem Metzgerem.

- Ślepa jesteś?
- Dżentelmen w każdym calu - warknęła, chociaż wcale nie miała ochoty na starcie z Normem. Ani teraz, ani nigdy.

Posłał jej gniewne, wymowne spojrzenie, więc przygotowała się psychicznie na stek wyzwisk z jego ust.
- Skąd, do cholery, bierzesz informacje?
- O co ci chodzi?
- Jak to jest, że zawsze wyprzedzasz policję o krok? - Stał w drzwiach, blokując przejście, więc nie mogła uniknąć rozmowy.
- Wcale nie wyprzedzam policji.
- Napisałaś artykuł o seryjnym mordercy, zanim policja wydała oświadczenie. Właśnie się dowiedziałem, że o szóstej będzie konferencja prasowa. - Zerknął na zegarek. - Za dwadzieścia minut. Na pewno sparafrazują

wszystko, co już napisałaś, i wyraża obawę, że w mieście grasuje seryjny morderca. Założysz się, że tak będzie?

- Naprawdę nie wiem.

- A to niespodzianka!

- Dlaczego jeszcze cię tam nie ma? Mógłbyś być pierwszy, przed rywalami.

- Właśnie tam idę - powiedział z goryczą. - A moja największa rywalka stoi przede mną.

- Och, Norm, daj spokój - odparła i przecisnęła się obok niego.

- Wiesz, Gillette, ty nie musisz iść na tę konferencję. Twój informator podaje ci wiadomości, o których nam nawet się nie śni.

- Wkurza cię, że mam wtykę, co? - zapytała nastroszona. Miała już dość tej głupiej rozmowy.

- Wkurza mnie, że wykorzystujesz swoje nazwisko. Jako córka Wielkiego Rona Gillette'a masz łatwiejszy dostęp do informacji niż my, ciężko pracujący reporterzy.

- Myślisz, że chodzi o moje nazwisko?

- Nie myślę, wiem. - Uśmiezek, który zobaczyła pod jego wąsami, był fałszywy jak podrobiony banknot.

- No to myśl sobie tak dalej! - Udało jej się powstrzymać od kąśliwej uwagi, którą miała na końcu języka. - Ale to donikąd cię nie doprowadzi. - I wyszła z redakcji.

Pobiegła przez ulicę na parking. Paliły ją policzki i czuła się urażona, chociaż nie powiedział nic, czego by już nie słyszała, a nawet sama nie myślała. Rzuciła torebkę i teczkę na tylne siedzenie, po czym usiadła za kierownicą. Nie przejmuj się tym osłem, nakazała sobie, wyjeżdżając z parkingu. Nie dawaj mu satysfakcji, niech nie myśli, że jest górą. Sarna wiesz najlepiej, jak wygląda prawda. To właśnie jednak było najgorsze. Nikki nie wykorzystywała nazwiska, ale na pewno wykorzystywała śmierć brata i poczucie winy jego przyjaciela.

Pojechała jak wariatka na komisariat i zaparkowała obok furgonetki telewizji WKAM. Było już prawie ciemno. Na schodach zbrali się dziennikarze. Świeciły latarnie, było chłodno, ale sucho. Reporterzy, kamerzyści i gapie kręcili się wokół. Porządku pilnowało kilku umundurowanych policjantów.

Po kilku minutach przyjechali Norm Metzger i Jim Levitt. Norm, w wełnianej czapce i trenczu, przepchnął się do przodu, a Jim podążał za nim, ustawiając obiektyw. Łazi za nim jak piesek, pomyślała Nikki, zadowolając się miejscem z tyłu. Pomyślała o e-mailu, który otrzymała od Grabarza, i uśmiechnęła się do siebie. To był jej as w rękawie. Mimo mrożącej krew w żyłach treści. Nieważne, co powie policja. To będzie nic w porównaniu z wiadomością, którą zabójca wysłał bezpośrednio do niej. Zamierzała pokazać ją glinom, ale w swoim czasie. Dopiero po opublikowaniu artykułu.

Wiał zimny wiatr, więc szczelniej otuliła się kurtką. Konferencja się rozpoczęła. Rzeczniczka policji, Abbey Marlow, wygłosiła krótkie oświadczenie na temat ostatnich wydarzeń. Podawała kilka suchych faktów o zabójstwach i dała do zrozumienia, że sprawca, który może działać w Savannah i okolicy, prawdopodobnie uderzy jeszcze raz. Zaapelowała do dziennikarzy i obywateli o pomoc w śledztwie. Jeśli ktoś widział coś podejrzanego lub niezwykłego, powinien to niezwłocznie zgłosić policji, a szczególnie zespołowi pracującemu nad sprawą. Podawała też nazwiska ofiar i odpowiedziała na kilka pytań.

- Czy ofiary były ze sobą spokrewnione lub w jakikolwiek sposób powiązane? - zapytała ciemnowłosa kobieta z telewizji lokalnej.

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Czy to prawda, że w jednej trumnie były dwa ciała? - chciał wiedzieć Norm.

- Znalezliśmy dwie trumny, w każdej były zwłoki i druga ofiara.

- Czy to prawda, że ofiary zostały pogrzebane żywcem? - Znów Norm.

- Tak.

- Czy macie jakieś tropy? - spytał Max O'Dell z WKAM.

- Śledztwo trwa, ale prosimy wszystkich, którzy mają jakieś informacje, żeby nam je przekazali.

Nikki poczuła lekkie wyrzuty sumienia, myśląc o liście w swojej torebce. Notowała i nagrywała pozostałe pytania i odpowiedzi.

- Czy zabójca ma jakiś określony sposób działania? - drążył O'Dell. - Oprócz tego, że grzebie ofiary żywcem?

Rozległy się sardoniczne śmiechy, ale zagłuszył je nagły poryw wiatru, który potargał włosy Abbey.

- Tego oczywiście nie mogę skomentować ze względu na dobro śledztwa.

- Czy zabójca się z wami skontaktował? - zapytała Nikki, a Abbey Marlow nagle zeszytniała. Wbiła wzrok w reporterkę.

- Niestety, o tym też nie wolno mi mówić.

- Chyba często się zdarza, że seryjni mordercy drażnią policję, kontaktują się z detektywami i próbują skierować ich na fałszywy trop.

- Tak bywa - zgodziła się Abbey.

Reporterzy wyczuli, że coś ukrywa, więc zarzucili ją pytaniami, ale ona uśmiechnęła się i oznajmiła, że wydział nie ma nic więcej do powiedzenia.

Ale reakcja Abbey Marlow na pytanie Nikki potwierdziła to, co niechętnie powiedział Cliff - że Grabarz skontaktował się z policją z Savannah, a właściwie z Reedem. Tak jak z Nikki. Wybrał ją z tłumu. Prawdo-

podobnie z powodu pierwszego artykułu, który o nim napisała. Nikki wiedziała, że zabójcy, udając wzorowych obywateli, często współpracują z policją i próbują przypodobać się detektywom. Przy czym w głębi duszy czują się mądrzejsi i lepsi od wyszkolonych policjantów. Lubią być w akcji... Nikki miała wrażenie, że lodowate palce zaciskają się na jej szyi. Było duże prawdopodobieństwo, że zabójca tu przyszedł... może stał przy schodach komisariatu... obserwował... czekał... patrzył na wszystkich z góry... wtopił się w tłum.

Nagle wiatr zmienił kierunek. Nikki poczuła, że zabójca jest w pobliżu... nie, tylko to sobie wyobraziła. Ale rozejrzała się wokoło, popatrzyła na reporterów, chowających sprzęt, na operatorów z kamerami na ramieniu, gapiów w ciemnych płaszczach i kapeluszach, zlewających się z otaczającą ich ciemnością. Dlaczego czuła się tak, jakby ktoś ją obserwował? Wyodrębnił z tłumu? Przypomniała sobie mężczyznę, którego widziała za żywopłotem przy restauracji. Zaczęła szybko oddychać. Z tyłu, z dala od tłumu i latarni ulicznych, które właśnie się zapaliły, stało kilku wysokich mężczyzn. Czy jeden z nich ją obserwował, a kiedy spojrzała w jego kierunku, szybko odwrócił się i zniknął w mroku?

Naprawdę cię ponosi, Gillette, pomyślała i wyłączyła dyktafon.

- Masz to, czego chciałaś? - wyszeptał męski głos do jej ucha. Drgnęła i odwróciła się ze ściśniętym sercem.

Stał przy niej Norm Metzger.

- Chyba tak. - Tylko spokojnie. To drań, rywal, zazdrosny, ale w sumie niegroźny. - A ty?

- Dlaczego zapytałaś, czy zabójca kontaktuje się z policją?

- Zdarza się to dość często. Dobrze o tym wiesz. A przynajmniej powinieneś. Podobno jesteś specjalistą do spraw kryminalnych.

- Ale Marlow omal nie spadła ze schodów, kiedy zadałaś to pytanie. Czy twój informator powiedział ci, że zabójca dzwonił albo pisał na komisariat?

- To pytanie samo się narzucało. - Schowała do torebki dyktafon, długopis i notes. - Słuchaj, muszę pędzić.

Jego oczy, w połowie ukryte pod wełnianą czapką, wyraźnie się zwięzły.

- Ty coś wiesz.

- Do diabła, Metzger, może cię to zdziwi, ale wiem bardzo dużo. Miło z twojej strony, że wreszcie to pojąłeś. - Odwróciła się i poszła do samochodu. Spodziewała się, że za nią pobiegnie, ale nie usłyszała za sobą odgłosu kroków. Wsiadając do auta, zauważyła, że Norm idzie z Jimem Levittem do impali Norma. Była niezadowolona, że wychwycił jej pytanie. Przekreśliła kluczyk w stacyjce i jej samochodzik, choć raz, zapalił bez problemu.

Wróciła do redakcji, ostatecznie doszlifowała artykuł, przesłała go do wydawcy i spojrzała na zegarek: spóźni się na spotkanie. Metzger wciąż siedział przy swoim biurku. Nikki wymknęła się tylnymi drzwiami. Wsiadła od samochodu i popatrzyła w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, że Norm - ani nikt inny - nie jedzie za nią w stronę wyspy Tybee. Jej wywiad z Pierce'em Reedem musi być poufny! Całkowicie poufny.

Reed zerknął na zegarek. Nikki spóźniała się już pięć minut. Postanowił zaczekać jeszcze kwadrans, a potem... Jeśli nie przyjdzie, to już po niej.

Albo po nim.

Siedząc na ciemnym parkingu za kierownicą swojego el dorado, jeszcze raz zastanowił się nad tym, co zamierzał. To mogło go kosztować odznakę. Ale musiał coś zrobić. Wszystko - byle się dowiedzieć, kto wrzucił Bobbi do tej trumny.

Przez zaparowane szyby samochodu obserwował restaurację U Johnny'ego B., która, zgodnie z tym, co głosił migocący neon, serwowała SLYNNE NA CAŁY ŚWIAT POTRAWY z RUSZTU. To wydało mu się trochę naciągane, ale na parkingu stało mnóstwo pikapów, furgonetek i sedanów. Jego stary cadillac niczym się nie wyróżniał. Reed patrzył, jak klienci wchodzą i wywodzą, otwierając łokciami dwuskrzydłowe drzwi niskiego budynku z lat Pięćdziesiątych, z dużymi, szklanymi oknami, brudnymi ścianami, które kiedyś były białe, i płaskim dachem. On był już w środku. Potrawy na wynos czekały w dwóch brązowych, papierowych torbach na siedzeniu pasażera. Nawet w ciemności widział pojawiające się na papierze plamy tłuszczu.

- No, już - mruknął pod nosem. Zaskoczony nagle poczuł, że koniecznie musi porozmawiać z Nikki Gillette. Latami unikał kontaktu z nią i w ogóle z ludźmi związanymi z prasą. Była ładna, inteligentna, ostra i zarozumiała. I była też córką sędziego Ronald Gillette'a. Naprawdę miał dość powodów, żeby unikać jej jak najgorszej zarazy.

Mignęły światła samochodu, który szybko wjechał na oznaczone kopertą miejsce parkingowe. Małe, srebrne auto zatrzymało się z piskiem opon. To było subaru Nikki Gillette. Nareszcie. Reed nie był zadowolony z tego, że na jej widok szybciej zabiło mu serce. Ale zaraz wytłumaczył sobie, że jest podenerwowany, bo planuje coś, co może go kosztować pracę w policji.

Otworzył drzwi cadillaca i wysiadł. Od Atlantyku wiał silny wiatr, pachnący solą. Poruszał trawą i marszczył piaskowe wydmy otaczające parking. Poły płaszcza plątały się wokół nóg Reeda.

Nikki otworzyła drzwi, chociaż silnik jeszcze nie zgasł. Najwyraźniej bardzo się spieszyła. Jak zwykle. Pamiętała, jak uganiała się za nim przez cały czas trwania sprawy Montgomerych. Zawsze wchodziła mu w drogę i dopiekała do żywego. Ale w tej natrętnej, niepozornej kobiecie było coś, co wytrącało go z równowagi. W nocy, zamiast spać, myślał o niej, i to dłużej, niż byłby skłonny przed sobą przyznać. Wstydił się, że tyle razy nawiedzała go w

snach. Czasami była nachalną, irytującą reporterką, a czasami, jako seksowna lolita, kusiła go jędrnymi piersiami, wciętą talią, nogami sportsmenki i twardymi, ponętnymi pośladkami. Erotyczne sny martwiły go najbardziej, bo przecież nie podziwiał Nikki, nie czuł do niej sympatii, a już na pewno nie chciał jej lepiej poznać. O, nie. Takich kobiet należy unikać. Koniec, kropka.

A jednak czekał tu na nią.

Podniósł kołnierz, żeby osłonić szyję przed wiatrem, a Nikki wzięła torebkę z tylnego siedzenia, zamknęła samochód i ruszyła szybko w stronę schodków restauracji, przechodząc tuż za jego cadillakiem.

- Nikki. Tutaj - zawołał, a ona stanęła jak wryta. Ubrana w wąski, czarny płaszcz przepasany w talii, rozglądała się w ciemności. Wiatr targał jej włosy, że opadły na oczy.

Podszedł do niej, chrzęszcząc butami po żwirze.

Obróciła się gwałtownie i cicho krzyknęła, podnosząc rękę do szyi.

- Och! Reed! Ale mnie przestraszyłeś!

- Naprawdę? - Jego usta same wygięły się w uśmiechu. Chociaż raz był górą.

- Tak. I to wcale nie jest śmieszne.

- Racja. Chyba będzie lepiej, żeby nas razem nie widziano. Wybierzmy się na przejażdżkę.

- Na przejażdżkę? Teraz? - Rozejrzała się po parkingu.

- Tak.

- Co się dzieje? To jakiś numer z gatunku płaszcz a szpady? - zapytała, ale poszła za nim, mrucząc pod nosem, że czuje się jak w kiepskim horrorze. Otworzyła drzwi samochodu.

- Ostrożnie. Na przednim siedzeniu jest kolacja.

- Co? Kolacja? To ma być kolacja? - Gapiła się na zatłuszczone torebki, gdy on siadał za kierownicą. - No nie, Reed, naprawdę wiesz, jak zaimponować dziewczynie.

- Lata praktyki. - Wyjechał z miejsca parkingowego. - I naprawdę uważam, że będzie lepiej, jeśli nikt nie zobaczy nas razem.

Chyba ją przekonał, bo wydawała się mniej zirytowana. Ruszył na wschód drogą numer 80. Opony szurały po asfalcie, na nocnym niebie zebrały się ciemne chmury.

Zobaczyli przednie reflektory jakiegoś samochodu, które zaraz zniknęły. Reed sprawdził w lusterku, czy nikt ich nie śledzi. Naprawdę mógłby stracić pracę, gdyby ktoś zobaczył go z Nikki Gillette.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała.

- Miałaś jeszcze dziesięć minut - odparł, zwalniając przed światłami.

- A potem co? Odjechałbyś?

- Coś w tym stylu. - Światło zmieniło się na zielone, więc przyspieszył i pojechał w stronę wyspy za majaczącymi w oddali, nielicznymi czerwonymi światłami samochodów.

- Bardzo mi miło - powiedziała zjadliwie, a potem dodała: - Nie byłeś na konferencji prasowej.

- Wcale tam na mnie nie czekałaś.

Zerknęła w jego stronę. Wyczuł to spojrzenie, chociaż patrzył przed siebie. Włączył wycieraczki, bo na przedniej szybie zebrały się kropelki.

- Wiesz, że odsunęto mnie od sprawy.

- Domyśliłam się. Dlatego do mnie zadzwoniłeś?

- Tak.

Przejechał przez most na wyspę Tybee i instynktownie skręcił w stronę wschodniej plaży.

- Chcesz mi podsunąć temat? - Nawet nie próbowała ukryć sceptycznie.

- Podsunąć? Nie. Chodzi o wymianę.

- Naprawdę? Przecież zwykle unikasz mnie jak ognia.

Jechał z prędkością trochę mniejszą od dozwolonej, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- Zauważyłaś to.

- Musiałabym być ślepa, głucha i głupia, żeby się nie zorientować. Naprawdę, Reed, zachowywałaś się, jakbym była wyrzutkiem społeczeństwa.

- Ależ jesteś nim. Jako reporterka.

- Nie zaczynaj - odcięła się szybko. - Co ma być przedmiotem wymiany?

Zacisnął palce na kierownicy.

- Informacje.

- Na temat Grabarza.

Nie miał powodu tego ukrywać.

- Aha.

Zaintrygował ją. Przykuł jej uwagę. Sławny sos od Johnny'ego B. pachniał intensywnie, a Nikki patrzyła na Reeda, jakby na jego twarzy nagle pojawiło się trzecie oko.

- Dobrze, ale od razu coś sobie wyjaśnijmy. Nie ma mowy, żebym zdradziła ci swoje źródła informacji.

Zjechał w boczną uliczkę, niedaleko parkingu przy plaży, i wyłączył silnik. Przez przednią szybę spojrzął na

ocean. Atlantyk był wzburzony, białe grzywy fal przecinały czarną powierzchnię.

- Zjedzmy, zanim wystygnie. - Sięgnął do przenośnej lodówki, którą trzymał za przednim siedzeniem, i wyciągnął dwie butelki piwa. Otworzył je, jedną podał Nikki i odwinął kanapki z pieczonym mięsem. - Wołowina czy wieprzowina?

- Nieważne... wieprzowina - powiedziała, nieco oszołomiona. - Dzięki. - Wzięła kanapkę i kilka dołączonych do niej serwetek. - Czy to propozycja rozejmu?

- Akurat!

- Więc co? - Odwijiała woskowany papier.

- Uznaj to za łapówkę.

- Już mówiłam, nie powiem, kto...

- Wiem, wiem. Zrozumiałem, nie musisz powtarzać. - Ugryzł kanapkę i wyjrzał przez okno na białą plażę i atramentowoczarne morze. - Cały czas jesteś na bieżąco. Czyli informuje cię ktoś od nas.

- Uprzedziłam, że o tym nie będziemy rozmawiać.

- Jasne. Tylko tobie wolno zadawać pytania. W takim razie nie mamy o czym mówić. - Wypił duży haust piwa i zauważył, że ona nie tknęła swojego.

Cisza się przedłużała. Nikki wreszcie upiła łyżeczek piwa.

- Wiem, że byłeś z Barbarą Jean Marx. To dlatego odsunęli cię od śledztwa? - Milczał. - Jeśli chcesz wymieniać informacje, musisz też dawać, nie tylko brać. Barbara Jean Marx w chwili śmierci była w ciąży.

Ścisnęło go w gardle, ale się nie poruszył.

- To mogło być twoje dziecko.

- Była mężatką - zauważył. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Facet podwiązał sobie nasieniowody. - Nikki wpatrywała się w niego.

- Skąd wiesz? - Reed to podejrzewał, chociaż Bobbi nigdy nie powiedziała mu tego wprost. Ale skąd dowiedziała się Nikki Gillette? Sprawdziła w szpitalu?

- O, nie. Jeśli chcesz ze mną współpracować, proszę bardzo, ale źródeł nie ujawnię. Moim zdaniem są tylko trzy powody, dla których chcesz zawrzeć ze mną układ. - Uniosła w górę palec. - Albo chcesz poznać nazwisko mojego informatora... - Drugi palec dołączył do pierwszego. - Albo chcesz uzyskać ode mnie informacje, bo w wydziale nie rozmawiają z tobą o sprawie... - Trzeci palec wystrzelił w górę. - Albo jedno i drugie. Na pewno jesteś sfrustrowany, że odsunęli cię od śledztwa, które przecież dotyczy cię osobiście. Masz nadzieję, że jeśli połączymy siły, to czegoś się dowiesz. - Ugryzła kanapkę. - Wiadomo, co ja mogę ci dać, ale co, w obecnej sytuacji, ty możesz dać mnie?

- Mam informacje, które nie przedostały się do wiadomości publicznej.

- I podałybyś mi je? - zapytała z niedowierzaniem.

Zastanowił się chwilę.

- Pod warunkiem że nie wydrukujesz ich przed zakończeniem śledztwa.

- Masz na myśli aresztowanie czy proces zakończony wyrokiem?

- Oczywiście możesz drukować dopiero po procesie.

- Co mi to da? Wtedy wszyscy reporterzy z miasta będą wiedzieli tyle samo.

- W tej chwili nie odniesiesz żadnych korzyści. Ale potem możesz podpisać lukratywny kontrakt na książkę.

- To za mało, Reed. Chcę przeprowadzić z tobą wywiad, wyłączny, i to natychmiast. Dla gazety.

- To mogłoby zaszkodzić śledztwu.

- Czyli znaleźliśmy się w ślepej uliczce. - Ugryzła kanapkę i, żując powoli, dotknęła serwetką kącików ust. - Pycha. Tobie nie smakuje? - Kiedy nie odpowiedział, westchnęła. - Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz.

- Chcę wiedzieć wszystko, co ty. Masz mi natychmiast przekazywać wszelkie nowe informacje. Ja odwzajemnię się tym samym, ale będę miał wpływ na to, co oddajesz do druku. Decydujący wpływ. - Pomyślał, że na pewno straci pracę, ale teraz wcale się tym nie przejmował. Zależało mu tylko na ujęciu zabójcy, który pewnie już szykował się do następnego uderzenia. - Musisz przyrzec, że nie będziesz publikować najważniejszych informacji, dopóki nie zakończy się śledztwo. Koniec, kropka.

- Dobrze - powiedziała, dokładnie wycierając ręce. - Skoro zawarliśmy umowę, to muszę ci coś pokazać. I tak chciałam jutro rano zanieść to na posterunek, ale... - Wzruszyła ramionami i sięgnęła do torebki. Wyjęła kilka kartek papieru w plastikowych koszulkach. - Dostałam je.

Reed włączył wewnętrzne światelko. Czytając pierwszą kartkę, zamarł z przerażenia.

DZIŚ.

Potem przeczytał drugą:

ZAŁATWIONE.

I trzecią:

RESZTA NIECO ODRÓCZONA.

AŻ DO PEŁNEJ DWUNASTKI

TAJEMNICA NA PEWNO POZOSTANIE NIEZGŁĘBIONA.

Odetchnął z trudem. Listy od zabójcy. Nie ulegało wątpliwości. Pierwsze dwa były napisane na takim samym papierze i takimi samymi literami jak wiadomości, które on otrzymał. Ostatni list był wydrukiem z e-maila.

- Kiedy je dostałaś? - zapytał bardzo zdenerwowany. Zabójca kontaktował się nie tylko z nim, ale i z Nikki Gillette. Dlaczego?

- Parę dni temu. - Nikki opowiedziała, jak znalazła pierwszą kartkę za wycieraczką i drugą w swoim łóżku. Dodała, że trzecia wiadomość przyszła pocztą elektroniczną.

Reed omal nie wyskoczył ze skóry. Ze strachu ścisnęło go w żołądku.

- Ten maniak był w twoim domu, w twojej sypialni, a ty nie poszłaś na policję?

- Przecież teraz rozmawiam z policją.

- Ale zabójca u ciebie był!

- Wymieniłam zamki i wezwę fachowców z firmy ochroniarskiej, żeby zamontowali w mieszkaniu alarm i czujniki.

- Musisz się stamtąd wynieść. Wyprowadzić. Uciec. - Myśli wirowały mu w głowie. - To nie zabawa, Nikki, ten facet jest potworem. Potworem nad potworami! Jak się dostał do twojego mieszkania?

Powiedziała mu, że nie było śladów włamania, że kiedy wróciła do domu, zatrask był niezamknięty, a kot siedział na zewnątrz. Reed natychmiast pomyślał o przegowanym kocie Roberty Peters, którą zabójca pogrzebał żywcem.

- Trzeba było zawiadomić policję! - warknął. - Zmieniając zamki, mogłaś niechcący zatrzeć ślady! Ten facet się na ciebie wziął, na miłość boską! Nie możesz tam wrócić.

- W takim razie nie jestem też bezpieczna w pracy ani nigdzie indziej.

- Pewnie tak.

- Co teraz? Uważasz, że powinnam mieć całodobową ochronę policji?

- Oczywiście.

- Wolnego, Reed - powiedziała, dotykając dłonią jego rękawa. - Zgłaszasz się do tej roboty?

- Bystra z ciebie dziewczyna. - Zawinał resztę kanapki w papier i włożył do lodówki. Przekreślił klucz w stacyjce.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Do ciebie. - Sięgnął po telefon komórkowy. - Tam spotkamy się z zespołem oględzinowym, a jeśli będziesz się upierała, żeby tam zostać, posiedzę z tobą. Albo zanocujesz u mnie,

- Zaraz, zaraz...

Dodał gazu i skierował się w stronę lądu.

- Bez dyskusji, Nikki. Zawarliśmy układ?

- Cholera jasna...

- Tak?

- Dziś miałam się zaopiekować siostrzenicą.

- Nic z tego.

- Ale...

- Chcesz ją narazić na niebezpieczeństwo? - Czyżby kochająca ciocia Nikki postradała rozum?

- Oczywiście, że nie.

- To niech zostanie z matką.

- Mała czeka teraz u moich rodziców. - Nikki spojrzała na zegarek. El dorado Reeda pędziło w stronę Savannah. - Już jestem spóźniona.

- Zadzwoń i poproś, żeby zatrzymali ją na noc. Potem zawiadom siostrę. Ma komórkę?

- Tak. Zawsze nosi ją przy sobie.

- Świetnie. Więc do niej zadzwoń. Ja nie żartuję, Nikki. Sprawa jest bardzo poważna. Grozi ci niebezpieczeństwo. Niech twoja siostrzenica zostanie tam, gdzie jest. Zapewniam cię, że lepiej się ośmieszyć, niż zginąć.

- Dobrze, już dobrze, rozumiem. - Rozcierała sobie dłonie.

Gdy mijali ich jadący z przeciwka samochód, jego reflektory oświetliły wnętrze cadillaca niebieskawym blaskiem. Reed zobaczył, jak Nikki nerwowo zagryzła wargę. Wreszcie do niej dotarło.

Sięgnęła po telefon.

- Kim teraz jesteś? - zapytała, wystukując numer na podświetlonej klawiaturze. - Moim osobistym ochroniarzem?

- Właśnie - powiedział, przekraczając dozwoloną prędkość i wybierając na komórce numer Sylvie Morrisette. - Wierz mi, nie jestem z tego zadowolony, zresztą tak jak ty!

Kto będzie następny?

Patrząc na ekrany telewizorów, poczuł rozczarowanie, że nie powiedziano ani słowa o Grabarzu. Nawet echa porannego odkrycia na cmentarzu Heritage już przebrzmiały. Konferencja prasowa dawno się skończyła, zresztą pokazano zaledwie migawki.

Kretyni.

Nikt chyba nie brał go poważnie.

Z wyjątkiem Nikki Gillette. Ojciec nazywał ją Fajerwerkiem.

Pewnie z powodu rudoblonde włosów i ognistego temperamentu. Była bystra, seksowna i nie bała się ani swoich pragnień, ani dążeń. Taka kobieta zasługuje na szacunek.

Chciała tematu, więc postanowił jej go dać. To będzie temat jej życia.

I śmierci.

Usiadł za biurkiem i wpatrywał się w migocący monitor komputera. Obrazy, które stworzył, wygaszacz ekranu z podobiznami Bobbi Jean Marx, Pauline Alexander, Thomasa Massey'a i Roberty Peters tańczyły na czarnym tle. Co trzy sekundy osoby na zdjęciach zmieniały się w szkielety, potem rozpadały w pył i powracały do pierwotnej postaci. Sam napisał ten program.

Po każdym udanym pogrzebie Mściciel brał zdjęcia, które zbierał i pieczołowicie przechowywał, skanował je do komputera i dodawał do kolażu obrazów, które znikwały i powracały.

Na razie były tylko cztery, ale niedługo, już bardzo niedługo, na monitorze pojawią się kolejne zdjęcia. Pomyślał o wiadomościach, które wysłał w ciągu dnia, i uśmiechnął się.

Dłonie miał wilgotne z podniecenia.

Oblizując wargi, pomyślał o następnym porwaniu.

O kolejnym zabójstwie.

Wyciągnął rękę i włączył kasetę audio. Najpierw słuchał Bobbi Jean - krzyków przerażenia, wrzasków i prośb... To było dobre. Zamknął oczy. Krew szybciej tętniła mu w żyłach. Miał erekcję.

Potem były jęki staruszki... Podniecały go, sprawiały, że puls mu przyspieszał. Pomyślał o Bobbi Jean. I o Nikki. Oddychał krótko, chrapliwie.

Usta miał tak suche, że musiał je oblizać.

Kto będzie następny?

Zamknął oczy i przesunął palcem po zdjęciach za folią w albumie.

- Ene due like fake...

Jego dłoń się zatrzymała. Otworzył jedno oko i spojrzał na zdjęcie uśmiechniętej, zmysłowej, pięknej kobiety... chociaż zrobiono je dwanaście lat temu, wiedział, że teraz jest równie atrakcyjna jak wtedy.

Pragnął jej.

Bardzo jej pożądał.

Poczuł pulsowanie w członku. Zastanawiał się, jak będzie się zachowywała, gdy obudzi się w trumnie. Wyobraził sobie jej strach, piękne rysy wykrzywione z przerażenia, bezskuteczne prośby i błagania o życie. Ze strachu serce będzie jej pękać. W trumnie zacznie brakować powietrza... Będzie ją paliło w płucach... och, tak...

Czuł się potężny.

Silny.

Przebiegły.

Podniecenie narastało.

Już nie mógł się doczekać.

- Jesteś następna, kochanie - szepnął chrapliwie, czując, jak penis napina mu spodnie. Bardzo by chciał ją przelecieć. Wejść w nią. Pokazać, że może z nią zrobić, co zechce. Może po. Może przed. Marzył, żeby zanurzyć się w jej podniecającym cieple... a nawet w zimnej, martwej pochwie. Wszystko jedno.

Nie pieprzył się z żadną z nich... Trzymał fantazję na wodzy, z obawy, że nie oprze się pokusie. Ale może raz, tylko ten jeden raz trochę zmieni zasady.

Drżąc z podniecenia, powoli pochylił się nad albumem tak, że jej piękne, uśmiechnięte zdjęcie zaczęło się zamazywać. Nie zamykając oczu, pocałował osłaniającą je folię.

Rozdział 20

Znów wystawiasz mnie do wiatru, Nikki. Pięknie, naprawdę pięknie! - Mimo zakłóceń i trzasków w komórce w głosie Lily było słycać wściekłość.

Reed zawiózł Nikki do jej samochodu, stojącego na parkingu przed restauracją, a teraz jechał za nią do Savannah. Nikki nie zwracała uwagi na rzekę, samochody i znaki drogowe z ograniczeniami prędkości. Jechała przed siebie, w stronę lśniących w oddali świateł Savannah. Była skupiona na rozmowie telefonicznej z zagniewaną siostrą.

- Przecież mówię, że nie mogę wziąć Phee, bo to bardzo niebezpieczne! - powtórzyła po raz trzeci. - Nie rozumiesz? Ktoś się włamał do mojego mieszkania, Lily! Zostawił list. W moim łóżku. - Zadrżała na myśl o intruzie, który dotykał jej pościeli i łóżka, a może też grzebał w szufladach.

- Dziwi cię to?

- Nie wiesz, że w mieście grasuje seryjny morderca? Może to on u mnie był!

- Kurczę, dlaczego miałby się do ciebie włamać? Niech pomyślę. Może dlatego, że ciągle o nim piszesz? Przyciągasz jego uwagę? Nic dziwnego, że wziął cię na cel. Wkurzył się.

- Wcale nie. Jest zadowolony, że się nim interesuję i piszę o nim. Bardzo go to cieszy. Typowa mentalność seryjnego mordercy,

- Nie znam się na tym. To tacy mają mentalność?

- Tak, Lily, mają i...

- On zabija ludzi, do cholery! Nie chrzań mi tu o mentalności! - warknęła, ale zaraz się opanowała. - Posłuchaj, Nikki, wiem, co się dzieje. Wszystko rozumiem. Twoje sprawy są najważniejsze. - Lily nie potrafiła ukryć sarkazmu. - Wyjdę więc ze spotkania i zabiorę Ophelię od rodziców. Naprawdę nie ma znaczenia, co ja robię. Nie przejmuj się, że muszę wyjść z kolacji po sto dolarów na osobę, na cześć kandydata, którego popiera Mel. Że bardzo mu na tym zależało, i mnie też. Przecież świat kręci się wokół ciebie, prawda? Zawsze tak było.

- Nie, Lily - odparowała Nikki, zjeżdżając z drogi szybkiego ruchu. - Liczysz się tylko ty. Odkąd pamiętam.

Lily rozłączyła się, a Nikki włożyła telefon w uchwyt na kubek przy swoim siedzeniu. Wcale nie miała wyrzutów sumienia wobec siostry - ona przeważnie wybuchała w kryzysowych sytuacjach i zawsze wyolbrzymiała swoje problemy.

Prychając ze złości, przejechała przez historyczną dzielnicę. Trochę za szybko skrzyła, żeby nie zatrzymać się na złotym świetle. Próbowwała się uspokoić. Kłótnia z Lily nie była niczym wyjątkowym. Zawsze było im trudno znaleźć wspólny język. Zerknęła w boczne lustro. Reed jechał za nią, nie pozwalając, żeby dzieląca ich odległość za bardzo się zwiększyła, ale też nie wyprzedzając jej swoim cadillakiem. Jego obecność dodawała jej otuchy. Nikki cieszyła się, że był tak blisko. Dziś wydał jej się sympatyczniejszy niż zwykle. Odniosła nawet wrażenie, że usłyszała nowy, łagodniejszy ton w jego głosie, jakby mu na niej zależało - choćby tylko dlatego, że zobowiązał się ją chronić.

Omam nie przejechała na czerwonym świetle.

- Opanuj się! - powiedziała do siebie. - Pierce Reed ci w głowie? - Zniesmaczona własnymi myślami wjechała na swoje miejsce parkingowe. Na ulicze, obok śmietników, stał już samochód policyjny. Pulsujące czerwone i niebieskie światła oświetlały stare cegły, wysokie okna i lśniące okiennice budynku, który uważała za swój dom. Rozciągnięto żółtą taśmę, żeby nie dopuścić na miejsce gapiów. W oknach sąsiadów zapalały się światła. Co odważniejsi mieszkańcy, w pośpiesznie narzuconych na piżamy płaszczach przeciwdeszczowych, wychylali się z balkonów, żeby spojrzeć na jej mieszkanie. Kilku gapiów zaczęło zarzucać pytaniami oficera o stoickim wyrazie twarzy.

- Co się dzieje? - zapytała jakaś kobieta. Stała pod parasolem z otępiałym mężczyzną w pogniecionym dresie.

- Jeszcze nie wiem - odparł policjant. - Bylibyśmy wdzięczni, gdyby się państwo odsunęli i nie przeszkadzali nam w pracy.

Grubas chyba nie rozumiał.

- Cokolwiek się dzieje, to na pewno w mieszkaniu w wieżycze. - Parasol się przechylił, gdy ciekawscy sąsiedzi zadarli głowy i spojrzeli w górę.

Nikki cofnęła się o kilka kroków i ukryła za parasolem, żeby jej nie rozpoznali. Kątem oka dostrzegła zbliżającego się Reeda. Poczowała ulgę.

- Czy to nie tam mieszka Nikki Gillette? - zapytała kobieta spod parasola. Nikki cofnęła się jeszcze trochę. - To ta reporterka, wie pan. Pisze artykuły o Grabarzu...

Nikki nie chciała, żeby sąsiedzi ją zauważyli. Kryjąc się, omam nie wpadła na Reeda. Wziął ją za rękę i poprowadził na bok. Była wdzięczna, że ma oparcie w drugim człowieku. Cieszyła się, czując silne męskie palce na swoim przedramieniu. Przez chwilę miała wrażenie, że jest bezpieczna, chociaż wiedziała, że niedługo wszyscy ją zobaczą i rozpoznają. Przed domem zbierało się coraz więcej sąsiadów. Na szczęście większość gapiów nie podchodziła do policji. Woleli zostać w ciemności, przy drzwiach własnych mieszkań. Ulicą przejeżdżały nieliczne samochody. Kierowcy wykręcali głowy, a pasażerowie wskazywali palcami na elegancki, stary dom. Z oddali dochodził dźwięk wyjących syren radiowozów, które jeszcze nie dojechały na miejsce.

- Ale będzie cyrk - mruknęła pod nosem.

- I to jaki - zgodził się Reed.

- Dzięki. Od razu mi lepiej.

Jeden z mundurowych zaczął przepędzać ciekawskich. Wilgotny, lodowaty wiatr smagał policzki Nikki i szarpał poły jej płaszcza.

- Przydałby się klucz - powiedział Reed.

W pierwszej chwili chciała odmówić, bronić swojej prywatności, ale sięgnęła do torebki, wyjęła breloczek i zsunęła z niego klucz do mieszkania.

- Wejdziemy do środka, gdy tylko dostaniemy zgodę.

- Od kogo?

- Od Diane Moses. Czyli Mojżesz. Wierz mi, to nazwisko do niej pasuje. W naszym wydziale to ona przekazuje słowo Boże.

Nikki zaśmiała się mimo zdenerwowania. Zerknęła na Reeda. Nie uśmiechał się, ale jego oczy patrzyły łagodniej niż zwykle, a zacięta twarz była mniej surowa. Jakby zza fasady szorstkości wydobywał się cień ciepła i troski.

- Zostań tu - powiedział, puszczając jej rękę.

Pod dom podjechała furgonetka zespołu oględzinowego, jeszcze dwa radiowozy i samochód telewizji WKAM. Nikki patrzyła, jak reporter i kamerzysta wysiadają, a Reed rozmawia z niską Murzynką, która wyglądała tak, jakby urodziła się ze zmarszczonymi brwiami. Kobieta zerknęła ciekawie w stronę Nikki i zrobiła jeszcze sroższą minę. Reed przedstawił Diane Moses jako „kolejną miłośniczkę dziennikarzy” i podał jej klucz do mieszkania Nikki.

- Hej, co się tu dzieje? - Fred Cooper, zarządca budynku, wreszcie się obudził i najwyraźniej nie był z tego zadowolony. Ubrany w pasiasty szlafrok, wybiegł z za rogu domu jak wściekły pies. Jego rzadkie, siwe włosy sterczały, a worki pod oczami świadczyły o tym, że potrzebuje znacznie więcej snu. - Co jest, do cholery? - Zauważył Nikki, stanął jak wryty i zacisnął wargi. - Dlaczego się nie dziwię, że to ty narobiłaś zamieszania?

Teraz Nikki dokonała pośpiesznej prezentacji.

- Fred Cooper, nasz zarządca, a to detektywi Reed i Moses. Chcą zobaczyć moje mieszkanie. Zgodziłam się.

- Oczywiście, że tak... ale... - Fred, stojący w tłumie, był trochę zmieszany i bardzo niezadowolony. - Spojrzał na rosnącą grupkę policji i gapiów. - Jezu...

Do rozmowy wtrącił się Reed. Krótco wyjaśnił zarządcy, o co chodzi, a Diane Moses wspięła się po schodach do jej mieszkania.

Cooper zajął stanowisko obserwacyjne przy drzwiach. Oparł się ramieniem o framugę i patrzył gniewnie na krzątających się policjantów. Nie lubił, gdy coś zakłócało jego nieskomplikowane, przewidywalne życie.

Technicy otoczyli taśmą okolicę domu i rozpoczęli pracę, nie wchodząc jeszcze do mieszkania. Nikki dziwnie się czuła, widząc, że wokół jej domu kręci się policja i szuka dowodów przestępstwa przeciwko niej. Z przykrością przypominała sobie, że wielokrotnie bywała na miejscach zbrodni i tak ją zaprzętało zdobywanie informacji, że prawie nie myślała o ofiarach. Musiała się dowiedzieć kto, co, kiedy i dlaczego. Nic więcej się nie liczyło.

- Dajmy im czas, żeby się rozejrzeli - powiedział Reed, przytrzymując Nikki za ramię, kiedy chciała wejść za oficerem przez furtkę. - Chociaż od włamania upłynęły ponad dwadzieścia cztery godziny, mogą jeszcze coś znaleźć.

- Tak, ale mój kot się przestraszy.

Dłoń na jej rękawie ani drgnęła.

- Dojdzie do siebie.

- Nie znasz Jenningsa. Dąsa się tygodniami - upierała się, patrząc w okna swojego mieszkania. - Wydam fortunę na przysmaki dla kotów.

Zaśmiał się i popatrzył na nią. Pierwszy raz była pewna, że pod maską rzeczowej dziennikarki dostrzegł Nikki-kobietę.

- Chyba będzie cię na to stać - zauważył, gdy w ulicę wjechał kolejny radiowóz na sygnale.

Cruiser zahamował z piskiem opon.

- To Morrisette - powiedział Reed.

Z miejsca pasażera wysiadł Cliff Siebert z bardzo poważną miną. Zerknął na Nikki i przeniósł wzrok na Reeda, który natychmiast puścił jej ramię. Cliff zmarszczył brwi i zacisnął wargi. Był wściekły.

- Ty wywołałaś to zamieszanie? - zapytał, wpatrując się w detektywa.

Nikki, widząc, że szykuje się kłótnia, wtrąciła się.

- Zaraz, zaraz. To ja zadzwoniłam do detektywa Reeda i powiedziałam mu o włamaniu.

- Ty do niego zadzwoniłaś? - Cliff oczywiście nie uwierzył.

- Pani Gillette ma dowody w sprawie Grabarza i chciałaby je pokazać nam wszystkim. Kiedy tu skończymy, pojedziemy razem na posterunek.

- Chwileczkę, Reed. Odsunięto cię od sprawy. - Cliff spojrzał krzywo na starszego detektywa i wycedził przez zęby: - Co ty sobie wyobrażasz? Okano odbierze ci odznakę i wypieprzy cię z roboty.

Nikki kątem oka zauważyła detektywa Morrisette.

- Hej, panowie. Nie zaczynajmy od awantur.

- To moja wina - wtrąciła się Nikki. - Wiedziałam, że detektyw Reed został wezwany do Dahlonga i że dobrze znał jedną z ofiar, więc próbowałam się z nim skontaktować. Zostawiam mu wiadomości, odkąd zaczęło się śledztwo.

Cliff spojrzał na nią lodowato.

- Detektyw Reed został odsunięty od sprawy, pani Gillette. Skoro tak gorliwie opisuje pani w gazecie wszystko, co wiąże się z Grabarzem, to na pewno wie pani, że dochodzenie prowadzi detektyw Morrisette, a ja jej w tym pomagam.

- Słuchaj no, Siebert, opanuj trochę swój testosteron, dobrze? - Światło latarni ulicznych igrało na kolczykach Morrisette i nadało jej platynowym, nastroszonym włosom dziwny, szaroniebieski odcień. W ulicę wjechała kolejna furgonetka dziennikarzy. - Świetnie. Następni głupi reporterzy, jakby było ich tu za mało.

Policjant w mundurze podszedł do furgonetki, by uprzedzić kierowcę i reportera, że nie wolno im wchodzić za taśmę.

Dziwnie jest znaleźć się po drugiej stronie mikrofonu, pomyślała Nikki, być ofiarą, a nie sędem, szukającym informacji do artykułu.

Morrisette wciąż jeszcze ochrzaniała Reeda i Sieberta.

- I mam to gdzieś, kto wezwał policję i kto za to odpowiada! To nie ma znaczenia. Bierzmy się do roboty i ustalmy, co jest grane, zanim opadną nas dziennikarze. - Przeniosła wzrok z Sieberta na Reeda. - Chodźmy. - Ruszyła w stronę furtki.

Cliff Siebert, z zaciśniętymi zębami, szedł krok za nią.

- Pani Gillette powiedziała, że ktoś się do niej włamał. Zostawił w jej mieszkaniu kartkę z wierszykiem. Wygląda na to, że zrobił to Grabarz.

- Jasna cholera. - Morrisette stanęła tuż przed schodami i obróciła się na obcasach, a buty miała z wężowej skóry. - Przyniosłaś tę kartkę, prawda?

- Dała ją mnie - wyjaśnił Reed. - Pomyślałem, że zabierzemy list na posterunek i porównamy z tymi, które ja dostałem. - Chyba zobaczył błysk w oku Cliffa, bo dodał: - Tak, pani Gillette wie, że Grabarz kontaktuje się również z nami.

- Reed... - ostrzegła Morrisette.

- Pani Gillette zgodziła się nie drukować tych informacji bez zezwolenia wydziału.

- Wchodzisz w układy z prasą? Nieźle jak na kogoś, kto został odsunięty od sprawy - warknął Cliff.

- Dość tego! - Morrisette spiorunowała wzrokiem kolegów, - Dopadnijmy tego drania. Ty - wskazała palcem Nikki - czekaj przed domem, aż zawołamy cię do środka, a i wtedy bardzo uważaj. Diane Moses, która dowodzi zespołem oględzinowym, powie ci, czego możesz dotykać, a czego nie. Na twoim miejscu robiłabym dokładnie to, co ona mówi. Jasne?

Nikki kiwnęła głową.

- Jasne.

- I radzę: nie nocuj tutaj. - Morrisette spojrzała na Reeda, a potem znów na Nikki. - Jedź w bezpieczne miejsce. Do rodziców lub koleżanki. Do kogoś, komu możesz ufać.

- Przecież zmieniałam zamki - zaprotestowała Nikki.

- To nie wystarczy. Zresztą możemy potrzebować więcej czasu. Weź trochę rzeczy. Ubranie na zmianę.

- Zaraz, zaraz, ale to mój dom - upierała się Nikki.

- I było już jedno włamanie. - Detektyw Morrisette miała śmiertelnie poważną minę. - Nie prosz się znowu o kłopoty. Jasne?

- Dobrze. Tak... Jasne - ustąpiła Nikki, patrząc w okna swojego mieszkania w wieżycy. Przeszył ją lodowaty dreszcz. Grabarz był w jej domu. Ten potwór, który wkładał żywe kobiety do trumien z rozkładającymi się ciałami, chodził po jej mieszkanku, dotykał mebli, może nawet położył się w jej łóżku, przeszukiwał szuflady. Na myśl o tym cała się trzęsła.

Morrisette miała rację.

Nikki postanowiła, że jednak nie będzie tu nocować.

Przynajmniej dziś. Kątem oka dostrzegła jakiś cień i ruch niższych gałęzek żywopłotu. Na moment jej serce zamarło. Ale zorientowała się, że to tylko kot. Przestraszył się policjantów, więc wskoczył pod jeden z radiowozów. Przycupnął przy kole i wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczami.

Nikki przyklekła na jedno kolano.

- Wyjdź, Jen - poprosiła, widząc, jak bardzo zwierzątko się boi. - Wszystko będzie dobrze.

Ale kot nie wyszedł. Gdy wyciągnęła do niego rękę, syknął, obnażając zęby ostre jak igielki, a potem cofnął się głębiej pod samochód, skąd, drżąc, wciąż patrzył na dom.

Jakby wyczuwał zło.

Jakby w pobliżu krył się Grabarz.

Może czaił się w mroku.

Obserwował.

Czekał.

Nikki zaschło w gardle. Nagle poczuła na skórze wilgotny, zimny wiatr, który poruszał gałęziami drzew, tłumiąc inne dźwięki. Noc kryła najohydniejszego z morderców - właśnie tego, który postanowił nawiązać z nią kontakt.

Usłyszała kroki na betonie parkingu.

Rozejrzała się szybko, ale nikogo nie zobaczyła.

A może jednak?

Czy ukrył się w krzakach przy ulicy?

Czy to była sylwetka przechodnia? Czy tylko gra cieni i światła latarni?

Czy paprocie zdrząły, bo ktoś tamtędy przemknął?

Przeżona cofnęła się i wpadła na kogoś. Aż podskoczyła.

- Nikki? - zapytał Reed. Obróciła się i zobaczyła, że detektyw uważnie się jej przygląda. - Dobrze się czujesz?

- A ty na moim miejscu dobrze byś się czuł? - Chciała, żeby zabrzmiało to swobodnie, ale głos jej się łamał.

- Ja? Do diabła, nie. Byłbym śmiertelnie przerażony.

- No właśnie. - Wcisnęła dłonie w kieszenie płaszcza i zapytała: - Możemy wejść do środka?

- Chyba tak. Chodźmy. - Kolejny raz wziął ją za ramię swoimi mocnymi palcami i poprowadził do domu.

Patrząc na zewnętrzne schody budynku, pomyślała, że już nigdy nie wejdzie po nich bez strachu. Grabarz raz już był w jej mieszkaniu. Co mogło go powstrzymać, by nie wszedł tu znowu?

Morrisette skrzywiła się, słysząc własne myśli; jechała pustymi, ciemnymi ulicami Savannah. Coś jej się nie zgadzało. Coś bardzo ważnego. Była zmęczona i zdenerwowana, martwiła się, że zostawiła dzieci w środku nocy z opiekunką o zapuchniętych oczach. Z pewnością nie były jej potrzebne takie podejrzenia.

Reed i Nikki Gillette?

Co łączy tych dwoje? Czy są razem? Trzymali się dziwnie blisko siebie podczas rewizji w jej mieszkaniu... To zwróciło jej uwagę... Jakby łączyło ich coś więcej, niżby mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Ale przecież Reed nie cierpiał reporterów, zwłaszcza tych natrętnych, takich jak Nikki Gillette. A jednak...

Kobieca intuicja Morrisette, która czasami była darem niebios, ale częściej przekleństwem, teraz pracowała na pełnych obrotach. Ale nie tylko Sylvie wyczuła zmianę atmosfery. Jadąc ulicami starej części Savannah, starała się nie zauważać, że jej nowy partner, Cliff Siebert, pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. Był zły na cały świat. Nie odezwał się ani słowem podczas krótkiej jazdy na posterunek. Nawet nie skarcił jej wzrokiem, kiedy zapaliła papierosa. Co za sztywniak! Skręciła w Habersham i zobaczyła, że el dorado Reeda siedzi jej na ogonie. Tuż za nim podskakiwał mały hatchback Nikki Gillette. Trzy samochody wjechały kolejno na parking. Siebert patrzył w boczne lusterko. Teraz, gdy Sylvie parkowała, nachmurzył się jeszcze bardziej. Wskoczył z samochodu, zanim wyłączyła silnik. Tak, będzie z nim świetna zabawa, pomyślała. Ubaw po pachy! Postanowiła zapalić sobie dla uspokojenia, zanim spotka się z Reedem i Siebertem w pokoju przesłuchań. Zatrzymała się więc, żeby wyjąć papierosa. Patrzyła, jak Reed i Gillette idą bardzo blisko siebie, chroniąc się przed porywami wiatru, i znikają w drzwiach komisariatu. Morrisette zapaliła papierosa i kilka razy mocno się zaciągnęła. Doszła do drzwi i zdusiła na wpół wypalonego marlboro light w popielniczce. Dlaczego Grabarz wybrał sobie Nikki Gillette i Pierce'a Reeda? Co mieli wspólnego z liczbą dwanaście? Reed był związany zjedną z ofiar, ale z tego, co wiedziała Morrisette, Nikki Gillette nie znała żadnej z nich.

Może listy zabójcy coś wyjaśnią.

W pokoju przesłuchań od razu zaczęła rządzić. Reed stanął przy drzwiach, pewnie żeby pokazać, iż nie prowadzi już śledztwa, a Siebert i Nikki Gillette usiedli na krzesłach. Na posterunku było cicho, po godzinach pracowało tylko paru policjantów. Ale nawet tutaj, w miejskim bastionie bezpieczeństwa, noc wydawała się mniej spokojna niż zwykle. Była niesamowita. Złowieszcza. Tylko że takie wrażenie wywoływało w Morrisette wszystko, co miało związek ze sprawą Grabarza.

Nikki Gillette przedstawiła listę swoich znajomych i współpracowników, z oznaczonymi nazwiskami osób, które miały jej klucze lub korzystały z nich w czasie, gdy wynajmowała mieszkanie. Zdaniem Morrisette lista była o wiele za długa, a poza tym na pewno niekompletna, bo Nikki sporządziła ją naprędce, ale przynajmniej mieli od czego zacząć. Morrisette przypomniawszy reporterce, że wszystko, o czym rozmawiają, jest poufne, a potem słuchała, jak Nikki opowiada o kartkach na samochodzie i w mieszkaniu oraz o e-mailu od mordercy.

- To prawie to samo, co dostałem ja, tylko wyrażone innymi słowami - powiedział Reed i podniósł rękę, żeby uciszyć Morrisette. - Pani Gillette wie, że otrzymałem e-mail. Rozmawialiśmy już o tym. Nic nie wydrukuję bez zgody policji.

- Ale napiszę, że zabójca się ze mną skontaktował - wtrąciła Nikki. Wyglądała na równie zmęczoną jak Morrisette. Miała podkrążone oczy, resztki szminki na ustach i potargane włosy. Mimo to nadal się stawiła. Pewnie dlatego że była córką Rona Gillette'a.

- Chciałabym przeczytać artykuł, zanim trafi do kiosków.

- Za późno. - Gillette ostro spojrzała na Morrisette swoimi zielonymi oczami. - Zostawiłam go już w redakcji i kazałam wydrukować w tej wersji, jeśli nie podam dodatkowych faktów.

Morrisette nerwowo nie wytrzymała:

- Szkodzisz śledztwu!

- Nieprawda, pomagam. - Nikki Gillette otworzyła swoją dużą torbę, wyjęła kartki w plastikowych woreczkach i rzuciła je na stół. - To oryginały. Kopie zatrzymałam.

- O, kurwa! - mruknął Cliff.

Co za typ, pomyślała Morrisette, choć nie miała teraz czasu analizować zachowania swojego nowego, dziwnego partnera. Już tęskniła za współpracą z Reedem. Jego rozumiała. Ale czy na pewno? Kątem oka zobaczyła, jak spleta ramiona i opiera się o framugę drzwi. Drażniło ją, że spiknął się z Nikki Gillette. Uważała to za pakt z wrogiem. Czy nie powtarzał w kółko jak bardzo nienawidzi reporterów?

A teraz z nimi sypiał... przynajmniej z jedną reporterką. A jeśli nie, to już niedługo do tego dojdzie, o ile dobrze odczytała sygnały. Co on sobie wyobraża, do jasnej cholery?

Przeczytała wiadomość.

RESZTA NIECO ODROZCZONA.

AŻ DO PEŁNEJ DWUNASTKI

TAJEMNICA NA PEWNO POZOSTANIE NIEZGLĘBIONA.

- Rzeczywiście, przypomina listy, które ty dostałaś - powiedziała do Reeda.
- Mało tego. To jest kontynuacja.
- Jak to? - zapytała Nikki, ale Sylvie Morrisette nadawała na tych samych falach co Reed.
- Oczywiście! Powtarza się linijka... to łączy te wiadomości. „Numer czwarty mamy z głowy, jedna trzecia już załatwiona, reszta nieco odroczone. Reszta nieco odroczone. Aż do pełnej dwunastki tajemnica na pewno pozostanie niezglębiona”.

- To brzmi jak dziecinna wyliczanka - powiedziała Nikki.

Siebert spojrzał na nią ciepło, jakby ją dobrze znał, ale zaraz przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Co oznacza dwunastka?

- Dwunastego grudnia? - zastanawiała się Nikki. - To za niecałe dwa tygodnie.

- A może liczbę ofiar? - podsunął Reed.

Siebert spojrzał na niego wrogo.

- Dwanaście? Będzie aż dwanaście? - Gillette była przerażona.

Morrisette ucięła domysły.

- Nie wymyślajmy teraz teorii. I pamiętaj, wszystko, co słyszałaś, musisz zachować dla siebie.

- Na razie - odparła Nikki. - Kiedy śledztwo się skończy...

- Najpierw rozwiążmy nasz problem - przerwał jej Siebert.

Amen, pomyślała Sylvie. Pierwszy raz zgodziła się z nowym partnerem. Ale to mogło się już nie powtórzyć.

Dwanaście.

To klucz. Nikki była zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad znaczeniem tej liczby, ale na pewno było w niej coś ważnego, co koniecznie musiała rozgryźć. Rozmyślała nad tym, jadąc do rodziców. Zadzwoiła do ojca z komisariatu i powiedziała tylko, że musi u nich zanoć. Zdawała sobie sprawę, że gdy tylko dojedzie na miejsce, rodzice wezmą ją w krzyżowy ogień pytań. I dobrze. Lepiej, żeby dowiedzieli się o wszystkim od niej niż z plotek, które powstawały dwadzieścia cztery godziny na dobę, a fakty mieszały się w nich z czystą fikcją.

Dwanaście, dwanaście, dwanaście. Połowa dwudziestu czterech. Pół dnia? Dwanaście liczb na tarczy zegara? Dwanaście sztuk w tuzinie, dwunastu członków ławy przysięgłych. Dwanaście dni świąt... - pomyślała o tej piosence, bo przecież zbliżało się Boże Narodzenie.

- Dwunastego dnia świąt mój ukochany dał mi... dwanaście... bębnią dobosze... - zaśpiewała, fałszując, a potem spojrzała w lusterko wsteczne. Ulica była pusta, tylko dwa reflektory sunęły tuż za nią.

Detektyw Pierce Reed.

W pracy.

Jechał za nią.

Pilnował, żeby była bezpieczna.

Wiedząc, że on jest blisko, Nikki czuła się pewniej, jadąc zimnymi, pustymi ulicami. Patrzyła, jak reflektory jej auta oświetlają pnie drzew, białe płoty i wijącą się drogę. Minęła kilka samochodów, jadących w przeciwnym kierunku. Snopy światła z jej reflektorów oslepiły oposa, który zaraz skrył się w paprociach i krzewach azalii. Nikki wzruszyła się, że Reed eskortuje ją do rodziców. Zwykle tłumiała w sobie takie emocje. Gardziła nimi.

Ale przecież padała z nóg. Nie myślała logicznie. To wyjaśniało jej dziwne uczucia do Reeda. Taka musiała być ich przyczyna. Nic innego. Chociaż do wydania jej artykułu pozostało kilka godzin, nie mogła się tego doczekać. Wjechała na otoczony drzewami podjazd pod domem rodziców i zaparkowała. Cadillac Reeda stanął tuż obok niej. Detektyw opuścił szybę.

- Zaczekam, aż wejdiesz do środka - powiedział.

- Dzięki. - Pomachała mu, wzięła torbę i podeszła do garażu. Wprowadziła kod otwierający drzwi i, idąc do kuchni, minęła piętnastoletniego mercedesa matki i nowiutki kabriolet bmw ojca. Pomyślała, że ten, kto kupuje takie auta, przeżywa kryzys wieku średniego. Tylko że jej ojciec wkroczył w wiek średni przed dziesięciu czy nawet piętnastu laty. Otworzyła drzwi kuchenne i nieomalże przewróciła swoją drobną, delikatną matkę w puszystym żółtym szlafroku i pasujących do niego kapciach.

- Mój Boże, Nicole, co się dzieje? - zapytała zdenerwowane Charlene, dotykając krzyżyka z brylantem, który nosiła na szyi. - Chodzi o tego Grabarza, prawda?

Nikki nie mogła skłamać.

- Tak. Mamo, proszę, nie wpadaj w panikę. Ale skoro za kilka godzin i tak przeczytasz gazetę, to powiem ci od razu, że ten drań skontaktował się ze mną.

Charlene stłumiła krzyk.

- Zabójca?

W drzwiach salonu stanął ojciec.

- Skontaktował się z tobą? - powtórzył chrapliwie. Głos miał zmieniony od snu, przerzedzające się włosy były potargane, a okulary przekrzywiły mu się na nosie. - W jaki sposób?
- To długa historia, tato, a mnie oczy się zamykają. Wszystko opowiem rano.
- Czy coś ci grozi? - zapytał.
- O, Boże. - Charlene potarła krzyżyk, jakby w ten sposób mogła odpędzić złe moce. - Oczywiście, że tak! Relacjonuje to śledztwo, a teraz... jeśli ten potwór się z tobą skontaktował...
- Nie mam pewności, że to on - odpowiedziała szczerze Nikki. - Może to być ktoś inny, kto chce mnie nastraszyć, ale wątpię. - Zmęczona podniosła rękę. - Mogę się tu przespać?

- Oczywiście.
Ojciec zmusił się do uśmiechu, kiedy włączył alarm.
- Zawsze, mój Fajerwerku. Przecież dobrze o tym wiesz. A jeśli tutaj ktoś będzie ci chciał dokuczyć, to najpierw będzie miał ze mną do czynienia.
- Z tobą i z twoim osobistym arsenałem. - Nikki rozpinała płaszcz.
- Zgadza się.

Jej ojciec był kiedyś wojskowym i święcie wierzył w Drugą Poprawkę. Byłby skłonny walczyć na śmierć i życie o prawo obywateli do posiadania broni. Nieraz znalazł się w sytuacji zagrożenia życia. A w składzie sędziowskim zasiadał tak długo, że przestępcy, których skazał na dożywocie, teraz, dzięki amnestiom lub zbyt ufnym komisjom zwolnień warunkowych, znów byli na wolności.

Wielki Ron wierzył w broń palną, miał więc w domu strzelby, rewolwery i AK-47.
- Do zobaczenia rano. - Poszła na górę, do swojego dawnego pokoju i zapaliła lampkę przy łóżku. Ciepłe światło padło na ściany pokryte kwiecistą tapetą, którą wybrały z matką przed dwudziestu laty. Łóżko z drewna klonowego, biurko i komoda do kompletu były ustawione tak samo jak wtedy, gdy Nikki była nastolatką.
- Jezu, można się przestraszyć - powiedziała do siebie, dotykając stojących na półce pucharów, które zdobyła w szkolnych turniejach tenisa. Do korkowej tablicy był przypięty zasuszony bukiet z balu na zakończenie szkoły wraz ze zdjęciami z czasów gimnazjum i studiów. Spłowieły frędzel z biretu wisiał przytwierdzony do rogu lustra, zasłaniając zdjęcie Andrew i Simone, które Nikki wetknęła za ramę. Teraz wyjęła fotografię i spojrzała na nią.

Andrew, pełen życia i radości, obejmował Simone ramieniem. Ona była ciemnowłosa i smukła; ciemne oczy i śniadą cerę odziedziczyła po przodkach znad Morza Śródziemnego. Natomiast wysoki blondyn Andrew, o atletycznej budowie ciała, przypominał normańskiego wojownika. W tamtej utrwalonej w czasie chwili, gdy błysnął flesz aparatu, Simone patrzyła na Andrew, jakby był Bogiem. Albo upadłym idolem, pomyślała Nikki, zagryzając dolną wargę i zastanawiając się, co niepokoi ją w tej fotografii. Nie wiedziała, co myśleć.

- Jestem zmęczona - mruknęła, wsuwając zdjęcie z powrotem za ramę lustra i rozglądając się po pokoju.
Dla Charlene Gillette przeszłość była czymś bardzo ważnym. Charlene nie przemeblowała ani w żaden sposób nie zmieniła pokoi swoich dzieci. Nie przerobiła ich na pomieszczenia do pracy, salki gimnastyczne ani nawet na pokoje gościnne.

Nikki wysunęła szufladę biurka i znalazła zakurzony album ze zdjęciami. Jej album. Znajdowały się w nim ulubione zdjęcia ze szkoły podstawowej, średniej i studiów. Szybko przewracała strony, patrząc na twarze najbliższych i przyjaciół. Oczywiście najwięcej było zdjęć Andrew. Uśmiechał się do niej z każdej strony albumu. Wyglądał się albo pozował w stroju sportowym. Zawsze był krótko ostrzyżony i bez zarostu, co podkreślało mocno zarysowaną szczękę, odziedziczoną po ojcu.

Andrew miał budowę Wielkiego Rona. Był silny jak byk, ale też bardzo szybki i zwinny, dlatego w drużynie futbolowej grał na pozycji rozgrywającego. Choć nie brakowało mu inteligencji, nie miał ambicji i wytrwałości ojca. Zbyt często szedł na łatwiznę... w przeciwieństwie do Nikki. Ona jedna z dzieci Ronalda Gillette'a odziedziczyła po nim energię i zapał. Lily i Kyle też byli na wielu rodzinnych zdjęciach, ale to Andrew wydawał się przyciągać obiektyw aparatu. Nikki zastanawiała się, czy działo się tak dlatego, że jej starszy brat był fotogeniczny, czy też po prostu osoby robiące zdjęcia były nim zafascynowane.

Fotografie przedstawiały też inne osoby. Często pojawiał się Cliff Siebert, który wyglądając się z Andrew, stroił miny do aparatu, a czasami dokuczał Nikki. Na późniejszych zdjęciach znalazła się też Simone. Albo śmiała się razem z Nikki, albo tuliła się do Andrew. Tworzyli dobraną parę. Bardzo się kochali.

A przynajmniej tak wyglądało to z boku.
Ale pozory mylą. Andrew ją rzucił.
- Chyba nadinterpretuję fakty - szepnęła Nikki, uświadamiając sobie, że pada z nóg. Mimo to przewracała kolejne strony albumu. Doszła do zdjęć ze studiów. A także z czasów, gdy podjęła pierwszą poważną, choć wakacyjną pracę jako reporterka w „Sentinelu”. Było też zdjęcie jej i Seana, objętych w pasie, z włosami rozwianymi przez wiatr. Stali na wydmy, a rosnąca tam szorstka trawa drapała ich w bosa stopy. Sean wyglądał wtedy młodziej i był gładko ogolony. Miał bardziej chłopięcy, niewinny uśmiech, ale też był silny i wysportowany. Zamierzał wstąpić do marynarki i pewnie już wtedy zdarzały mu się romanse na boku. Nikki zastanawiała się, co się stało z tamtą dziewczyną... Jak ona się nazywała? Cindy jakaś tam. Nie mieszkała w Savannah i Nikki nigdy potem o niej nie słyszała, ale nie zależało jej na tych informacjach aż tak bardzo, żeby przyjąć zaproszenie Seana na drinka. To był

zbyt bolesny okres w jej życiu. Nie dość, że Sean ją rzucił, to jeszcze o mały włos nie przekreśliła swojej kariery i nie pogrzyła ojca z powodu procesu LeRoya Chevaliera. Nie chciała teraz myśleć o Chevalierze, o tym, jak wymordował całą rodzinę: zabił swoją konkubinę i dwójkę jej dzieci.

A teraz wyszedł na wolność... Nie z powodu Nikki, ale dlatego że zastosowano nowoczesne metody - i testy DNA sugerowały, że mordercą mógł być ktoś inny. Okazało się więc, że dowody przeciwko Chevalierowi były o wiele słabsze, niż wtedy mogło się wydawać.

Nikki zadrżała. Przypomniała sobie nieruchome oczy Chevaliera, gdy siedział na ławie oskarżonych. Nie okazał emocji nawet wtedy, gdy sędziom przysięgłym pokazano fotografie zmasakrowanych ciał Carol i dwójki jej dzieci. Ani wtedy, gdy jedyny ocalały chłopiec składał zeznania i pokazywał rany, spowodowane brutalnym biciem.

Skazano go na dożywocie, ale odsiedział zaledwie kilka lat. I to ma być sprawiedliwość?

Nikki dalej przewracała stronicę albumu. Nie było już zdjęć Seana Hawke'a, z fotografii nagle zniknął Andrew. Na zdjęciach, zrobionych po tamtych świętach Bożego Narodzenia, było widać twarze bez radości, wymuszone uśmiechy, smutne spojrzenia.

Nikki przechowała zawiadomienie o pogrzebie Andrew. Spłowiwały kartonik wciąż tkwił w albumie. To okropne, pomyślała, wyjmując karteczkę... Kilka słów poświęconych jego pełnemu sukcesom, choć krótkiemu życiu. Poczula stary, znajomy smutek, który ogarniał ją zawsze, gdy myślała o tragicznej śmierci Andrew. To była ogromna strata. Ze złością zgmiotła zawiadomienie w dłoni i wepchnęła do torebki. Wołała nie wrzucać go do kosza na śmieci - a nuż znajdzie je matka?

Usłyszała skrzypienie desek podłogi w przedpokoju i stłumiony kaszel ojca. Szybko schowała album do szuflady i odwróciła się w chwili, gdy w drzwiach pojawiła się potężna sylwetka Wielkiego Rona, oświetlona padającym z przedpokoju światłem. Trzymał w dłoni pistolet.

Serce w niej zamarło.

- Pomyślałem, że może będziesz go chciała - powiedział, wchodząc do pokoju.

- Pistolet? Myślałeś, że chcę pistolet?

- Żeby się bronić. - Podaj jej colta małego kalibru.

- Załadowany?

- Tak.

- Cholera, tato, przerażasz mnie.

- Pistolet jest zabezpieczony.

- Mam nadzieję. Tatusiu, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Na pewno nie! Przecież ja nawet nie mam pozwolenia na broń.

- Umiesz strzelać. - Owinał jej palce wokół kolby. Chłodny metal wydał jej się dziwnie znajomy. - Przynajmniej kiedyś umiałaś. Przecież zabierałem cię na polowania na ptaki. Dobrze ci szło.

- To było miliard lat temu. I strzelałam wtedy z wiatrówki.

Zaśmiał się.

- Nie dodawaj mi lat. Zresztą chodziliśmy też razem na strzelnicę. Tam strzelałaś z broni ręcznej.

- Nie lubię broni, żadnej broni, tato. Nie będę ganiać z nabitym pistoletem w torebce ani nie przyczepię go sobie do nogi, tak jak ty.

Uśmiechnął się tak szeroko, że głębokie zmarszczki pobruździły mu policzki.

- Coś ci wyznam. Nie noszę broni w torebce. Ale przyrzeknij, że tego nie opublikujesz.

- Bardzo śmieszne!

- Ale twoja sytuacja wcale nie jest śmieszna, Fajerwerku - powiedział, natychmiast poważniejąc. - Ten Grabarz to ogromne zagrożenie. Zatrzymaj ten pistolet albo dam ci inną broń, taką, która będzie ci bardziej odpowiadać.

- Nie. O, nie! - Wyobraziła sobie, jak ojciec daje jej półautomat albo pas z amunicją, taki, jak noszą wszyscy dranie w ulubionych spaghetti westernach Wielkiego Rona. - To mi wystarczy, ale trzeba go rozładować. - Zrobiła to sama. Wyjęła naboje i wrzuciła sobie do kieszeni.

- Co zrobisz, jeśli cię zaatakują? Pomachasz mu bronią przed nosem?

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. - Pistolet nagle zaczął ciążyć jej w dłoni.

- Będę spał spokojnie, wiedząc, że masz się czym bronić. - Uśmiechnął się blado. - Uważaj na siebie, Nicole. Twoja matka i ja... bardzo cię kochamy i za nic w świecie nie chcielibyśmy cię stracić.

Ścisnęło ją w gardle i gdy ojciec mocno ją przytulił, poczuła w oczach piekące łzy. Owionął ją zapach dymu cygarowego i whisky, który otaczał go, odkąd pamiętała.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

- Dobrze z ciebie dziecko. - Wypuścił ją z objęć i wyszedł na korytarz. Usłyszała, jak schody skrzypią pod jego ciężarem. Zszedł do salonu.

Nikki opadła na skraj łóżka, trzymając w ręce niezaladowany pistolet. Denerwowała się, bo była przeciwna użyciu wszelkiej broni, ale skoro Grabarz włamał się do jej mieszkania, to naprawdę potrzebowała czegoś, by chronić własne bezpieczeństwo.

Dlatego wsunęła colta do torebki.

Rozdział 21

Nadszedł czas działania. Czuł to. Narastał w nim niepokój, palące pragnienie, które mógł zaspokoić tylko w jeden sposób. Włączył magnetofon, żeby posłuchać krzyków ofiar. Wrzaski Barbary Jean były rozpaczliwe, błagalne, wyrażały grozę i przerażenie, natomiast staruszka jęczała i modliła się... Połączył oba te nagrania i teraz, siedząc przy stole i gładząc pokryte folią zdjęcia - z końca roku szkolnego, z pracy, a nawet z balu po ukończeniu szkoły - zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby już pogrzebał wszystkich swoich wrogów i nagrał ich przedśmiertne krzyki. Gałki oczne drżały mu pod powiekami, dłonie dygotały, a jednak uśmiechał się, wyobrażając sobie ich strach. Był ciekaw, czy rozumieją, za co zostali ukarani.

Minęło dwanaście lat... i teraz dwunastu ludzi zapłaci za swoją winę... pojedynczo lub po dwie osoby... Będą przeżywać jego piekło, odczuwają ból i cierpienie, które stały się jego udziałem. Niektórzy już zmarli, inni nie mieli pojęcia, że ich dni są policzone. Kilku z nich mieszkało w pobliżu. Niczego nie podejrzewając, cieszyli się życiem. Inni przeprowadzili się do odległych miast, ale ustalił dokąd, więc nie mogli się przed nim ukryć. O, nie, wcale nie byli bezpieczni.

Kaseta się skończyła, a on zamknął album.

Już czas.

Nie wyłączając telewizorów, opuścił swoją kryjówkę i wyszedł na dwór po ceglanych, porośniętych winoroślą schodach. Noc była chłodna. Znad Tennessee i obu Karolin nadciągała burza gradowa. Taka pogoda rzadko zdarzała się w tym klimacie, ale jemu bardzo odpowiadała. Cieszył się, że chłód przeszyje jego ofiary.

Bez kłopotów dojechał nad rzekę. Na ulicach było spokojnie. Zostawił samochód jakieś półtora kilometra od miejsca, gdzie ukrył swoją łódź, na ścieżce, okolonej krzewami jeżyn. Stamtąd pobiegł na piaszczyste wydmy, gdzie czekała łódź wiosłowa ze specjalistycznym sprzętem. Szybko przebrał się w czarny kombinezon nurka. Teraz albo nigdy, pomyślał. Wiedział, że ryzykuje, że może napotkać strażników albo psy. Choć nienawidził broni, był gotów jej użyć. W wodoszczelnej kaburze miał glocka. Odpychając się wiosłami od brzegu, spojrzął na gwiazdy, świecące wysoko nad rzadkimi chmurami, i ledwo widoczny sierp księżycy. Równymi pociągnięciami wiosłował pod prąd. Dobrze znał linię brzegu i przyładek, który wcinał się w rzekę.

Raz, raz, raz - łódka cięła wodę, a on pocił się pod kombinezonem. Minał zakole i zbliżył się do brzegu przy dawnej plantacji Peltiera. Kiedyś służyła z upraw ryżu, ale teraz był tam prywatny cmentarz. Jeden z grobów miał dla niego ogromne znaczenie. Mściciel przybił do brzegu, włożył okulary noktowizyjne i spojrzął na krętą ścieżkę, prowadzącą w górę, na cmentarz. Ostrożnie wyjął z łodzi narzędzia. Po cichu przeszedł piaszczystą ścieżką między poszarzałymi ze starości nagrobkami do grobu, którego szukał.

Wtedy zaczął kopać.

Wiła się pod nim, szeptała jego imię, była spocona i gorąca. Miała białą, jedwabistą skórę i piersi o ciemnych sutkach. Oplotła go nogami, gdy się z nią kochał.

- Pierce - szeptała mu do ucha, a w jego żyłach buzowała krew. Była wspaniała. Gibka. Zapach jej perfum mieszał się z ciężką, piżmową wonią seksu.

Wyprężyła się, a on spojrzął w jej ciemne oczy. Oblizwała czerwone usta, wysuwając język. Kochał się z nią coraz gwałtowniej. Coraz szybciej.

- Nie opuszczaj mnie - szepnęła, a on poczuł niepokój. Działo się coś złego. - On mnie zabije.

- Co takiego?

Zbliżał się orgazm. Ujął jedną z jej piersi, poczuł, że się unosi, i znów spojrzął jej w oczy, które nie były już ciemnobrązowe, lecz zielone. Zobaczył rudoblond włosy i piegi na nosie.

- Nikki?

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko, prowokująco. W jej oczach zapaliły się wesołe iskierki. Poczuł zakłopotanie, ale ona objęła go ramionami, przyciągnęła jego twarz do swojej i namiętnie pocałowała. Ich języki zaczęły się dotykać. Chciał mieć ją całą. Podniósł jej nogi na swoje ramiona i zanurzył się w niej głębiej.

- Tak, Reed - szepnęła gardłowo, poruszając się z nim. Serce biło jej szybko, oddech był krótki, urywany, tak jak jego oddech. - Jeszcze... jeszcze...

Całkowicie się w niej zatracił.

- Pomóż mi! Pierce, proszę... zimno mi... błagam... - krzyczała, leżąc pod nim.

Ale nie były to jęki namiętności, lecz przeszywający krzyk strachu, który rozdzierał mu głowę. Nagle przeistoczyła się z Nikki w Bobbi. Jej oczy, niedawno płonące pożądaniem, teraz były wytrzeszczone z przerażenia. Twarz stała się śmiertelną maską. Próbował się poruszyć, ale nie mógł. Nie kochali się w łóżku, lecz w jakimś pudle... w trumnie. Ktoś właśnie przybijał wieko.

Serce na chwilę w nim zamarło. Nie mógł się ruszyć, a wieko trumny ciążyło mu na ramionach i plecach, przyciskając go do martwego ciała Bobbi. Rozkładające się zwłoki wydzielają obrzydliwy smród.

- Nie! - krzyknął.

Otworzył oczy, słysząc własny głos.

Z bijącym sercem zorientował się, że jest w swoim mieszkaniu - wokół panowała ciemność, rozświetlana tylko

upiornym blaskiem telewizora.

- Cholera - mruknął, dotykając drżącą dłonią podbródka. Pot stygł na jego ciele, erekcja na szczęście się skończyła, ale wszystkie mięśnie wciąż były napięte. Niedopite piwo stało na nocnym stoliku. Postawił je tam, oglądając *Wiadomości o jedenastej*. Program dawno się skończył, a teraz na ekranie Jay Leno przeprowadzał wywiad z Nicole Kidman. Reed wyłączył telewizor i zapalił nocną lampkę. Skąd taki sen? Dostał gęziej skórki, przypominając sobie panikę, jaką czuł, zamknięty w trumnie... Dlaczego śniło mu się, że kocha się z Bobbi, potem Nikki, a potem ze zwłokami Bobbi? Jakby te trzy postacie były jedną kobietą.

Po prostu za dużo pracuję i tyle, pomyślał. Ta sprawa mnie wykańcza. Pomasażował sobie kark i wziął ze stolika puszkę z piwem. Było ciepłe, ale i tak je wypił.

Chociaż oficjalnie nie brał udziału w sprawie Grabarza, myślał o niej, gdy tylko mógł. Morrisette niechętnie przekazywała mu informacje, a Cliff Siebert był jeszcze gorszy. W obecności Reeda zawsze zamykał się w sobie i patrzył na niego jak na śmiertelnego wroga.

Dlaczego?

Przecież wszyscy grali w jednej drużynie.

Ale czy na pewno?

Reed trochę poszperał i znalazł informacje na temat młodszego detektywa. Odkrył, że ponad dziesięć lat temu, przed wstąpieniem do policji, Siebert przyjaźnił się z Andrew Gillette'em, starszym bratem Nikki, który spadł z pomostu podczas przyjęcia. Samobójstwo? Wypadek? Kto wie? Raporty, które przejrzał Reed, nie dawały jednoznacznej odpowiedzi. W każdym razie Siebert dobrze znał Nikki Gillette i, przynajmniej z tego, co mówił jego kolega ze studiów, od dawna się w niej podkochiwał.

Witaj w klubie, Cliff.

Reed nie chciał analizować swoich uczuć do reporterki o niesfornej czuprynie. Ostatnio stały się niejasne. Niejednoznaczne. Nic już nie rozumiał.

W dodatku pojawiała się w jego erotycznych snach, a raczej w erotycznych koszmarach.

Niedobrze.

Zamiast się położyć, postanowił popracować. Przed wyjściem do pracy powinien sprawdzić kilka informacji. Zresztą nie chciało mu się spać. Wciąż miał w pamięci sen o Nikki Gillette. Co gorsza, znów poczuł ucisk w spodniach.

Pomyślał, że jest żaloszny. Przecież Nikki Gillette jest ostatnią kobietą, której może pożądać. Naprawdę ostatnią.

Mściciel zazgrzytał zębami. To była bardzo pracowita noc. Musiał się przebrać, podszyć pod innego człowieka, obserwować, czekać... a potem wiosłować i kopać... to były dobre ćwiczenia fizyczne, ale on potrzebował snu. Zbliżał się świt. Miał kilka godzin na odpoczynek i odzyskanie sił.

Ale przedtem musiał spełnić jeszcze jeden obowiązek.

Usiadł przy stole w swojej kryjówce. Czuł zapach wilgotnej ziemi przenikający przez ściany. Wcisnął guzik cofania w magnetofonie, a potem włączył odtwarzanie i jeszcze raz wysłuchał gniewnych słów pod swoim adresem.

- No, no... patrzcie, co my tu mamy... - Kobięcy głos, dochodzący przez mikrofon, należał do policjantki z zespołu, który poprzedniej nocy przeszukiwał mieszkanie Nikki Gillette. Mściciel widział radiowozy i furgonetki, zauważył nawet Nikki z tym kretyńcem Reedem. Detektyw objął ją ramieniem, jakby była jego własnością.

- Widzicie? Tu, w wiatraku... - mówiła policjantka. Na pewno była wredna i zarozumiała. Mściciel od razu ją znienawidził. - Tak, właśnie tutaj... sprytnie, co? Kolejny mikrofon. Bezprzewodowy. Chyba taki sam, jak tamte z trumien. Bydlak pewnie teraz nas słucha.

Zgadza się, dziwko. Słuchałem. A teraz słucham jeszcze raz, i wiesz co? Nigdy mnie nie znajdziesz!

- Co za świr - mruknęła policjantka. Jej głos bardzo go rozdrażnił. - Koniec zabawy, ty żaloszny gnojku - powiedziała prosto do niego. - Koniec z radiem za darmo. Poszukaj sobie innych rozrywek. Sayonara.

Usłyszał klekot i drapanie, a potem mikrofon ucichł.

Ty żaloszny gnojku. Ty leniwy frajerze, do niczego się nie nadajesz. Co ty umiesz? Nic...

Mściciel zadrżał. Chciał uciec i się schować. Tak samo jak przed laty, gdy słyszał zły głos, który teraz odbijał się echem w jego głowie.

Głupiec, głupiec, głupiec... Już ja cię nauczę, mały. Daję słowo, nigdy tego nie zapomnisz...

Wzbierała w nim furia.

Nie był głupi. Był mądry. Wykazały to testy na inteligencję, a one przecież nie kłamią. Ale może coś spieprzył.

Jesteś do niczego. Bez wartości. Zero.

Poderwał się od stołu, potykając się o krzesło. Zatkanął uszy dłońmi, żeby stłumić krzyki, oskarżenia, obelgi.

- Nie jestem głupi. Nie! - wrzasnął roztrzęsiony.

Teraz będziesz się mazać? Ale z ciebie beksa. No już, płacz... Pokaż, jaką jesteś głupią babą.

- Nie jestem babą. Nie jestem głupi! - wrzeszczał, z trudem łapiąc oddech.

Kłamał. Okłamywał sam siebie.

Był głupi. Znowu.

Uderzał się w czoło wierzchem dłoni, aż peruką spadła mu z głowy. Leżała jak mały, zbity piesek.

Gliny nie powinny znaleźć mikrofonu. Przynajmniej nie od razu. Nikki Gillette, ta cholerna, pyskata dziwka, powiedziała komuś o tym, że był u niej, i wszystko zepsuła. Będzie musiał zmienić harmonogram. Tak jest. Przyspieszyć.

Oddychając wolniej, żeby uspokoić serce, wstał z brudnej podłogi. Podniósł perukę i powiesił na wieszaku. Obok pozostałych. Musiał być opanowany, cały czas mieć w głowie plan i konsekwentnie go realizować. Następny grób był już przygotowany.

Uspokoiwszy się trochę, wyjął soczewki kontaktowe, które zmieniały kolor jego oczu z jasnoniebieskiego na nieprzenikniony brąz. Teraz musiał zgolić kozią bródkę, ale zostawić wąsy i zapuścić baczki.

Miał wiele przebrań. Dzięki nim oszukiwał. Nikt chyba nie pamiętał, jak wygląda naprawdę - i tak właśnie miało być. Zresztą wtedy był przecież o wiele młodszy.

Wyjął swój album i znalazł zdjęcie Nikki. Ona też była wtedy młodsza. Miała dziewczęcą twarz i stawiała pierwsze kroki w dziennikarstwie. Jej złotorude włosy były dłuższe, a oczy - jasne i promienne. Patrzyły bez strachu. Córka, z jakiej każdy ojciec, nawet ten bydlak sędzia, powinien być dumny.

Ale ojcowie rzadko byli dumni z dzieci.

A ojczymowie jeszcze rzadziej.

Urodzona w dobrej rodzinie, wysportowana i piękna Nikki Gillette nigdy nie musiała walczyć.

- Cipa - mruknął i zatrasnął album.

Przecież spodziewałeś się, że pójdziesz na policję, kiedy tylko dostanie list, prawda? Wszystko gra... tylko spokojnie... skup się.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł spocone czoło. Sytuacja nie mogła mu się wymknąć spod kontroli. Miał za dużo do zrobienia. A wszystko się nawarstwiało. Jeszcze raz wsunął palce do kieszeni i wyjął mały telefon komórkowy. Ładny. Prosty. Z klapką. Można powiedzieć, że seksowny. Tak jak jego właścicielka.

Rozdział 22

Tylko mi nie mów, że jesteś tą pieprzoną wtyką, dobra? - Morrisette wparowała do gabinetu Reeda wściekła jak pies. Był późny poranek i najwyraźniej wstała lewą nogą.

- Chyba mnie znasz.

- Tak? - zapytała, zatraskując za sobą drzwi. - Prawda jest taka, że gówno wiem. Czekaj, to nie tak. Wiem, że zostałeś odsunięty od sprawy Grabarza, a jednak wczoraj wieczorem byłeś z Nikki Gillette. Jeśli nie zmadrzejesz, oboje wylecimy z roboty. Proszę więc, powiedz mi powoli i wyraźnie: „Nie jestem wtyką, Sylvie”.

Wbił w nią wzrok.

- Ciężka noc?

- Kurczę, tak. Przecież tam byłeś. - Przeczesała włosy zeszywniałymi z zimna palcami, strosząc je jeszcze bardziej. Zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, oparła się dłońmi na biurku Reeda, pochyliła się i powiedziała cicho: - Jeśli nadal chcesz znać postępy śledztwa, to siedź cicho i nie rozrabiaj. Może tobie jest wszystko jedno, czy stracisz pracę, ale mnie nie. Wychowuję dwójkę dzieci, Reed, więc mnie nie denerwuj!

- Takie pyskówki do niczego nas nie doprowadzą.

Urwała nagle.

- Dobrze. Masz rację. Chcę tylko przygwoździć tego drania.

- Ja też.

- Ale ty trzymaj się za linią autu, okej? Albo nie. Lepiej w ogóle się nie wtrącaj. Zostaw to mnie. Potrzebuję tej roboty, chociaż czasami, wierz mi, mam ochotę spieprzać na emeryturę. Wiesz, że poza murami komisariatu mam swoje życie?

- I jak ci się układa?

- Świetnie. Bart uważa, że nie musi nam płacić ani centa. Ani centa, rozumiesz, więc idziemy do sądu. Ale to już ci mówiłam. Priscilla przebąkuje, że mogłaby mieszkać u tatusia, a mój syn... dzieciaki w przedszkolu mu dokuczają. I w całym tym zamieszaniu mam jeszcze rozgryźć sprawę tego pier... cholernego Grabarza. - Dźgnęła kciukiem w papiery, ułożone na rogu biurka Reeda. - Wiesz, chodzi mi o te zabójstwa. Jedna z ofiar była w ciąży i spotykała się z moim partnerem... - Chyba wyczytała coś w jego oczach, bo urwała. - Muszę się napić kawy. Wyżłopię z dziesięć litrów. Może piętnaście.

- Nie chcesz wiedzieć, co ustaliłem?

- Ty nie bierzesz udziału w śledztwie. Już zapomniałeś?

- Wczoraj wieczorem szeryf Jed Baldwin spotkał się z chłopakiem zaatakowanym w lesie, Prescottem Jonesem. Przekazał mi kopię przesłuchania. Niewiele tam nowego, niż wiedzieliśmy, ale zawsze coś. - Reed przesunął trzy kartki po blacie biurka. - Namierzyłem też Angelinę, gosposię Roberty Peters. Oto adres. - Położył kolejną kartkę na poprzednich trzech. - Ustaliłem adresy większości osób, które miały dostęp do mieszkania Nikki Gillette.

Nawet tych, o których ona zapomniała. Przy niektórych adresach są numery telefonów. - Stosik powiększył się o jedną kartkę. - I wreszcie udało mi się skontaktować z wielbnym Joe. Zostawiłem mu wiadomość. Nie był zbyt zadowolony z mojego telefonu o piątej rano, ale oddzwonił. Miał chyba wtedy medytacje czy coś takiego... Przeanalizowałem wszystkie niedopowiedzenia i doszedłem do wniosku, że owszem, misja Wiara wykorzystywała finansowo Robertę Peters, ale nie jest beneficjentem jej polisy ubezpieczeniowej. Peters miała siostrzenicę w Charlotte, w Karolinie Północnej. To ona dostanie największą część majątku, w tym kota Maximusa. Oto nazwisko adwokata Roberty Peters oraz adres i numer telefonu siostrzenicy. - Dołożył kolejne kartki do pliku. - Sporządziłem też listę swoich wrogów, ludzi, których jakoś uraziłem oraz tych, których wsadziłem do więzienia. Na pierwszym miejscu jest Jerome Marx.

- Ma niepodważalne alibi.

- Wiem. Mimo to umieściłem go na liście, obok drani, których wsadziłem do paki, a teraz są na wolności. Spójrz. Jest ich dwunastu.

- Co? - Morrisette zamarła.

- Dwunastu wyszło z więzienia, odkąd wróciłem do Savannah. - Wskazał swoją listę.

- To przerażające.

- Mhm. Ostatni to nasz dobry znajomy, LeRoy Chevalier.

- Cholera. - Podniosła kartkę i przestudiowała listę łajdaków, którzy nigdy nie powinni byli wrócić do społeczeństwa. - Masz adresy tych ludzi?

- Zadzwoiłem do kuratorów, ale tylko uprzedziłem, że się z nimi skontaktujesz. Jak sama zauważyłaś, zostałem odsunięty od sprawy. Zaczniij od Chevaliera. Został skazany dwanaście lat temu. Dwunasty facet w dwunastym roku. Może się okazać, że to fałszywy trop, ale coś mnie niepokoi.

- Co?

Wyrzał przez okno. Morrisette zauważyła, że na parapecie jak zwykle przysiadły gołębie.

- Po pierwsze, sędzią w jego procesie był Ronald Gillette, ojciec Nikki.

- Sądził w wielu sprawach.

- Ale Nikki pracowała wtedy w redakcji na zlecenie i omal nie spowodowała unieważnienia procesu.

- Gdybyśmy chcieli przynieść tu akta wszystkich spraw, w których reporterzy coś spieprzyli, nie zmieściłyby się w tym pokoju.

- Wiem, ale musi być jakiś związek. Myślę, że powinniśmy, a raczej ty powinnaś, znaleźć Chevaliera. Jego kurator na pewno ma adres.

- Sprawdzę wszystkich tych dowcipniśków. Zobaczę, czy wrócili na dobrą drogę - oświadczyła Morrisette. - Dwunastu ludzi. W ciągu dwunastu lat. Chyba nie myślisz, że siedzą w tym razem... Zastanawiałam się nad apostołami, ale to nie pasuje.

- Naciągane.

Spojrzała na plik zadrukowanych kartek i przeciągnęła kciukiem po jego krawędzi. Spojrzała na detektywa i wypuściła powietrze.

- O, rany, Reed, czy ty w ogóle sypiasz?

- Tylko kiedy muszę.

- Powinam wiedzieć coś jeszcze? - zapytała wyraźnie ugłaskana.

- Tak. - Wpatrując się w nią, sięgnął po kurtkę. - Jest jeszcze jedna, bardzo ważna sprawa. Nie jestem pieprzoną wtyką.

- Czyli teraz zabójca zwraca się bezpośrednio do ciebie? - Norm Metzger nie krył niedowierzania. Powiesił swoją wojskową kurtkę na wieszaku przy tylnych drzwiach redakcji „Sentinela”.

Nikki wcale nie miała ochoty na rozmowę z Normem. Zbliżało się południe i chociaż powinna się cieszyć, że kolejny jej artykuł trafił na pierwszą stronę, była na to zbyt wyczerpana. A Metzger dodatkowo ją zniechęcił. Powiesiła swój płaszcz przeciwdeszczowy, ale miała nadzieję, że Norm da jej spokój.

Niestety!

- Dialog z zabójcą. - Zdejmując szalik, dodał: - To cholernie wygodne.

- Wygodne? Tak, masz rację. Bardzo mi to odpowiada, że facet włamał się do mojego mieszkania! - Była zmęczona i rozdrażniona po krótkiej, bezsennej nocy w swoim łóżku z dziecinnych lat. Kładąc się, była fizycznie wyczerpana, ale jej umysł pracował na podwyższonych obrotach, jakby wypijała mnóstwo kawy. Wciąż myślała o Grabarzu, ofiarach, swoim domu, liczbie dwanaście, o Simonie i Andrew oraz o Piersie Reedzie. W jej głowie obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie, więc długo nie mogła zasnąć. Kiedy wreszcie zapadła w drzemkę, miała straszny sen: w jej mieszkaniu były trupy, rozpadające się na jej oczach. Szkielety się rozsypywały, a ukryty w cieniu zabójca śmiał się przeraźliwie. Obudziła się zlaną zimnym potem, serce waliło jej jak oszalałe.

Z trudem wstała z łóżka, zeszła na dół i usłyszała, że rodzice się kłócą. Oczywiście umilkli, kiedy tylko pojawiła się w kuchni. Na jej widok Charlene ściągnęła usta, posłała mężowi gniewne spojrzenie: „ani słowa” i zmusiła się do uśmiechu.

W ciągu następnej godziny, pijąc kawę i starając się obudzić, Nikki kilka razy usłyszała, dlaczego nie powinna już pisać reportaży o zbrodniach. Ojciec zasugerował nawet, żeby wróciła na studia, skończyła prawo, poszła za jego przykładem...

Mowy nie ma! Prawo było marzeniem jej ojca i ambicją Andrew, ale nie jej. Teraz jednak, słuchając Norma, zastanawiała się, czy nie powinna wziąć sobie do serca rady rodziców.

- Zabójca włamał się do twojego mieszkania? - zapytał Metzger.

- Parę dni temu.

- O to chodziło wczoraj wieczorem? - dociekał. - Słyszałem o tym na częstotliwości policyjnej, ale byłem zajęty i... zaraz, zaraz, dobrze się czujesz?

- Szczerze? - zapytała, poprawiając pasek torebki na ramieniu. - Nie czuję się dobrze. Ani trochę. W przeciwieństwie do tego, co mógłbyś pomyśleć, wcale nie chcę... - Podniosła palec. - A, sprzedawać własnej duszy... - Drugi palec wystrzelił w górę. - B, sprzedawać własnego ciała... - Do dwóch palców dołączył trzeci. - I C, pozwalając, żeby jakiś bydlak włamywał mi się do domu i dotykał moich rzeczy, a wszystko to dla dobra artykułu. - Chciała już odejść, kiedy zauważyła Kevina Deetera w słuchawkach, przy dystrybutorze słodczy. Przyglądał się maszynie z taką uwagą, jakby neonowy wyświetlacz przekazywał mu słowo Boże, w dodatku tylko za dolara. Zrobiła krok do przodu i zobaczyła jego odbicie w szybce osłaniającej baloniki snickers, chipsy i cukierki z lukrecją. Miał ponurą minę i patrzył w bok, jakby wcale nie interesowały go łakocie, tylko jej rozmowa z Normem.

Co on kombinuje? - zastanowiła się. Podeszła bliżej i nalala sobie kawy ze szklanego dzbanka, stojącego na podgrzewaczu. Mieszając w kubku kawę ze śmietanką, spojrzała na dystrybutor słodczy i szepnęła:

- Co jest dobre?

- Co? Och. Hm... Wszystko.

Wciąż mieszając kawę, powiedziała jeszcze ciszej:

- Mam ochotę na orzeszki M&M, ale się skończyły.

- Nieprawda. - Postukał palcem w szybkę. - Widzisz? E-5, orzeszki M&M.

Marszcząc brwi, upiła łyk kawy i popatrzyła na szybkę z oleistym odciskiem palca Kevina.

- Masz rację.

- Jasne. Są tutaj.

- Hm. Jak to możliwe, że mnie słyszysz?

- Co?

- Chociaż podobno słuchasz muzyki, słyszysz wszystko, co mówię, nawet najcichszym szeptem. Trochę mnie to dziwi. Zepsuły ci się słuchawki? A może tylko udajesz, że słuchasz, a w rzeczywistości podsłuchujesz rozmowy w redakcji?

- Rany, zwariowałaś czy co? - Rumieniec pokrył mu szyję i podbródek z kępkami zarostu. - Widzę, że Norm ma rację co do ciebie.

- Tak? - Podmuchała w kawę, nie spuszczać Kevina z oka.

- Tak. Ja tylko... robiłem sobie przerwę od muzyki.

- Większość ludzi na ogół w tym celu zdejmuje słuchawki, Kevin.

- Nie jestem taki jak większość ludzi.

- Z tym muszę się zgodzić.

Poczerwieniał jeszcze bardziej i zaczęła mu drgać powieka. Zaciśnął zęby. Nikki po raz pierwszy zauważyła, że pod workowatą koszulą i dzinsami kryje się wysportowane, męskie ciało. Młody mężczyzna. Z pięćdziesiąt kilogramów cięższy od niej. Czy drzemie w nim hamowana agresja?

- Nie chciałem, żeby to tak wyszło - bronił się.

- Gadaj, co chcesz. - Spojrzała na niego, mrużąc oczy. - Na pewno wiesz wszystko, co się tu dzieje, prawda? Udajesz, że jesteś zamknięty w swoim małym świecie, ale pracując nad komputerami redaktorów, czytasz ich pocztę elektroniczną i podsłuchujesz rozmowy.

- Ja nie...

- Zachowaj to dla kogoś, kto ci uwierzy, dobrze? - Odeszła szybkim krokiem w stronę swojego biurka, rozlewając gorącą kawę na nadgarstek i rękaw bluzki. Cholera!

Celeste machała do niej gorączkowo jakimiś papierami. Nikki wzięła od niej trzy małe karteczki, na których było napisane, że dzwoniła doktor Francis.

- Nie chce zostawiać wiadomości w poczcie głosowej - wyjaśniła Celeste, odrzucając swoje loki z pasemkami za ramię.

- Hej, gdzie się podziewałaś? - Trina wysunęła się na fotelu z boksu. - O, rany, Nikki... wyglądasz, jakbyś tydzień nie spała. A może i dwa.

- Jesteś bardzo miła. - Wyciągnęła chusteczkę z pudełka na biurku i wytarła kawę. - Czuję się tak, jakbym nigdy nie spała.

- Wykańcza cię pisanie reportaży o zbrodniach.

- Chyba tak. - Rzuciła chusteczkę w stronę kosza na śmieci, ale nie trafiła. Kątem oka zauważyła, że Kevin i Norm wrócili do swoich biur. - A co się dzieje tutaj?

- Chyba masz cichego wielbiciela.

- Kogo? - Upiła łyk kawy.

- Patrz, co dziś do ciebie przyszło. - Trina sięgnęła za swój monitor i podniosła szklany wazon pełen czerwonych i białych goździków.

- Wzięłaś je sobie?

- Skąd miałam wiedzieć, kiedy przyjdiesz? Nie chciałam, żeby zwiędły.

- Bardzo słusznie. - Odpędzając śmieszny, przelotny myśl o Piersie Reedzie, Nikki otworzyła małą kopertę i przeczytała liścik:

Gratuluję sukcesów. Umówimy się niedługo na kolację? Kocham cię, Sean.

Zaburczało jej w brzuchu.

- Kurczę, ale się szarpnął! - szepnęła, układając kwiaty i stawiając wazon na biurku.

- Kto?

- Sean.

- Znowu?

- Nie ma mowy. Ale on by tego chciał.

Trina uniosła brew.

- Może naprawdę żałuje, że zachowywał się jak palant. Wyszalał się i zrozumiał, że nie wszystkie kobiety są takie fajne jak ty. Teraz chce wszystko naprawić.

- To nie w jego stylu.

- Och, daj facetowi szansę.

- Czyżbyś nie знаła przysłowia: „Kto gorącym się oparzył, na ciepło dmucha...”

- Chyba „na zimne dmucha”... zresztą wszystko jedno. Ja wierzę w miłość. Jestem nieuleczalną romantyczką.

- Która dotąd nie wyszła za mąż.

- Powiedziałam, że wierzę w miłość, a nie w kariat. - Telefon komórkowy Triny zadzwonił dźwiękami latynoskiego przeboju.

- Ja nie wierzę nawet w romanse - mruknęła Nikki, chociaż w głębi serca wiedziała, że nie jest szczerą. Nie lubiła spragnionych miłości, samotnych kobiet, które widziały kandydata na męża w każdym nowo poznanym mężczyźnie. Ona taka nie była. Ale gdyby na jej życiowej drodze stanął odpowiedni mężczyzna, może by się zmieniła. Na razie nie mogła sobie na to pozwolić. Może kiedyś. Teraz musiała udowodnić, ile jest warta.

Trina wjechała z powrotem do boksu i szeptała coś do komórki, a Nikki przeglądała pocztę i e-mail. Nie znalazła nic niezwykłego. Nie było żadnych nowych wiadomości od Grabarza. Znajomi zostawili w poczcie głosowej gratulacje z powodu ostatniego artykułu. Było też kilka telefonów od reporterów z konkurencyjnych gazet i lokalnych stacji telewizyjnych; nagle wszyscy chcieli się z nią zaprzyjaźnić i uzyskać wywiad.

- Nikki, tu Stacey Baxter. Pamiętasz mnie ze szkoły? Pracuję teraz w stacji WRAW w Louisville i bardzo bym chciała porozmawiać z tobą o sprawie Grabarza. Oddzwoni do mnie, podaję numer...

- Nikki Gillette? Mówi Max O'Dell z WKAM. Słyszałem o włamaniu. Proszę o telefon.

- Pani Gillette, tu Steve Mendleson z „The Spirit”. Mój numer telefonu...

Teraz już wiem, jak się czuje człowiek nękanym przez dziennikarzy, pomyślała, patrząc na kwiaty i odrywając kilka płatków, które zaczynały już brązowieć. Sean na pewno kupił bukiet za okazijną cenę. Zawsze taki był, pomyślała, jednym uchem słuchając wiadomości z poczty głosowej.

- Nikki, mówi Lily. Tak, wczoraj trochę przesadziłam. Nawet bardzo. Przepraszam. Teraz wychodzę, zadzwonię później.

- Nicole? Tu doktor Francis. Czytałam pani artykuł, jest bardzo dobry, ale uważam, że powinien być częścią całej serii o szkołach. Proszę o telefon.

- No, no, kto cały czas jest na pierwszej stronie? - Głos Simone brzmiał jak powiew świeżego powietrza. - Niedługo woda sodowa uderzy ci do głowy i zapomnisz o maluczkich, takich jak ja. Musimy to oblać. Chodźmy na kolację dziś po zajęciach...

Cholera, pomyślała Nikki. Była przemęczona i miała ochotę poleżeć na kanapie przed telewizorem, z torebką chipsów.

- Będiesz dzisiaj, prawda? Może, jako gwiazda, zdołasz przekonać Jake'a, żeby się do nas przyłączył? Ja stawiam. Znowu. - Zaśmiała się. - Wiesz co, chyba jednak przeniosę się do Charlotte! Chyba że poderwę Jake'a. Zadzwoni do mnie, to wszystko ci opowiem.

Nikki nie chciała myśleć o przeprowadzce Simone. To ją przygnębiało. Nie chciała też teraz mówić przyjaciółce, że zamierza zrezygnować z zajęć kick boxingu. Postanowiła zadzwonić do niej nazajutrz, po zajęciach. Była święcie przekonana, że lepiej jest prosić o wybaczenie niż o zgodę. Dziś Simone byłaby rozczarowana, a może nawet zła, że Nikki nie przyjdzie na zajęcia. Ale jutro, może po randce, na pewno zapomni, że przyjaciółka znów wystawiła ją do wiatru. Nikki miała wyrzuty sumienia, ale do wytrzymania. Aparat zaczął odtwarzać kolejną

wiadomość.

- Cześć, Nik. To ja. Bardzo bym chciał znów się z tobą zobaczyć. - To był głos Seana. Opuściła rękę, kilka płatków goździków spadło na biurko. Sean ją irytował. Chociaż dawno przestała go kochać, wciąż nie mogła mu wybaczyć, że ją rzucił. - Słyszałem o włamaniu... - mówił. - To straszne, Nik. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Zadzwoń do mnie? - Prędeży wyrosnie mi kaktus na dłoni, pomyślała. - Podaję numer komórki...

Nie zadała sobie trudu, żeby go zapisać. Nie miała zamiaru dzwonić do Seana. Zresztą teraz nie chciała dzwonić do nikogo, nawet do Simone. Nie dziś. Przecież nie ma czasu, bo musi napisać kolejny artykuł o Grabarzu...

Automatyczna sekretarka zapiszczała, czyli była jeszcze jedna wiadomość. Nikki słuchała, ale nikt się nie odezwał. Dzwoniący chyba rozmyślił się dopiero po chwili, bo nagrał się jakiś cichy szum, a potem rozległ się wyraźny szcęk odkładanej słuchawki.

Zadzwoń jeszcze raz, pomyślała i odwróciła się do komputera, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną, zanim weźmie się do pisania artykułu. W e-mailu znalazła gratulacje i prośby, podobne do tych, jakie zostawiono w poczcie głosowej. Ale nie było nowych wiadomości od Grabarza. Żadnych tańczących trumien ani wijących się, rozpadających ciał.

Stukała ołówkiem w blat biurka.

Zabójca na razie zamilkł.

To chyba dobrze. Prawda?

A może to cisza przed burzą?

- Nikki? Nie słyszę cię. Jakieś trzaski... - Simone wybiegła z mieszkania. Próbowwała rozłożyć parasolkę. Niosąc torbę ze strojem do ćwiczeń, przytrzymała słuchawkę ramieniem. Prawie nie słyszała przyjaciółki. Głos Nikki załamywał się, trudno było coś zrozumieć w szumie wiatru i plusku deszczu.

- Simone... spotkajmy się w...

- Gdzie mamy się spotkać? Przyjdiesz dziś na zajęcia, prawda? - Simone obeszła kałużę i zahaczyła parasolką o żywopłot otaczający parking. Zimne krople deszczu spływały po jej głowie. - Cholera jasna! - Cała Nikki. Nie można na niej polegać. Ale Simone ją kochała, nie tylko dlatego że Nikki była siostrą Andrew i jedyną osobą z rodziny Gillette, która chciała z nią rozmawiać, choć to też miało znaczenie. - Nie mów, że znowu chcesz się wymigać od ćwiczeń.

- Nie! - Głos Nikki brzmiał dziwnie. Napięty, niespokojny. Szeptala. - Spotkajmy się... w galerii... na parkingu, trzeci poziom... to ważne... chodzi o... Andrew.

- Co? Jak to, o Andrew? - zapytała Simone, zapominając o wietrze i deszczu. - Nikki! - Niestety, nic nie było słyhać. Ale po chwili przez szum wiatru dotarły do niej pojedyncze słowa:

- Chodźmy... drinka... Cassan...

- Na drinka przed zajęciami, w Cassandrze? - zapytała, czując, jak deszcz płynie jej po szyi. - Będę tam. Około siódmej. W restauracji. Nie na cholernym parkingu. Oszalałaś? W mieście grasuje morderca! - Udało jej się otworzyć drzwiczki samochodu. - Jeśli przyjdiesz przede mną, zamów mi martini. Z wódką. I z dwiema oliwkami. - Wiatr wyrzucił jej parasol na drugą stronę. - Cholera. Nikki? Jesteś tam jeszcze?

Ale połączenie zostało przerwane. Simone wrzuciła telefon do samochodu, z trudem złożyła parasolkę i rzuciła na tylne siedzenia, obok mokrej torby.

Nikki lubi efekty dramatyczne, pomyślała, siadając za kierownicą. Przejrzała się w lusterku wstecznym i stwierdziła, że deszcz nie zaszkodził jej makijażowi. Nałożyła tylko błyszczycy na usta, żeby ładnie lśniły, a potem szarpnęła pasmo mokrych, potarganych wiatrem włosów, żeby fryzura wyglądała na mniej dopracowaną, a bardziej swobodną. Stwierdziła, że Jake'owi podobają się wysportowane, silne kobiety, które nie przesadzają z dbałością o wygląd. Była pewna, że pociągają go kobiety z charakterem.

- Gej, akurat - mruknęła do siebie, włączając silnik i wyjeżdżając swoim bmw z miejsca parkingowego.

Deszcz bębnił o samochód, bo nad miastem szalała burza. Nagle Simone kątem oka zauważyła jakiś ruch.

Dostała gęsiej skórki.

Przez chwilę miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Był tuż poza zasięgiem jej wzroku. Natychmiast przypomniała sobie człowieka w restauracji, którego widziała podczas ostatniego spotkania z Nikki. Ale to było kilka dni temu. Zagryzając wargę, wpatrywała się w miejsce, gdzie zarejestrowała ruch. Brudny, przemoczony pies, ze spuszczoneym łbem i podwiniętym ogonem, przebiegł przez ulicę i zniknął między dwoma wysokimi budynkami. Simone uspokoiła się trochę i skarciła w myślach za głupotę. Jednak rozejrzała się wokoło. Nie zobaczyła nikogo ani przez przednią szybę, ani w bocznych lusterkach - nie było żadnego potwora, ciemnej sylwetki, przyczajonego drania gotowego ją zaatakować. Nie działo się nic niezwykłego. Ulicą jechało niewiele samochodów. Zobaczyła kilku chłopców na deskorolkach, pędzących po chodniku. Na pewno chcieli schronić się przed deszczem. Wszystko było w porządku tak, jak powinno.

Przekonywała samą siebie, że jest zdenerwowana, bo Nikki ciągle gada o tym seryjnym mordercy, Grabarzu. Nie miała powodu do niepokoju. Mimo to mocno ścisnęła kierownicę spocnymi dłońmi. Pojechała do banku, żeby zdążyć przed zamknięciem, a potem do pralni chemicznej. Zdążyła jeszcze wpaść do apteki i sklepu spożywczego,

zanim nadszedł czas spotkania z Nikki. Zadzwoiła na komórkę przyjaciółki. Nikki oczywiście nie odebrała, więc Simone zadzwoniła do jej domu i zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce.

Na szczęście burza minęła szybko, pozostała po niej tylko gęstniejąca mgła. Mokre ulice lśniły w świetle latarni, liście i śmieci zatykały studzienki kanalizacyjne w jezdni. Minęła już pora szczytu, na ulicach było niewiele samochodów, a po chodnikach chodzili nieliczni piesi. Tu i ówdzie przez mgłę dostrzegała wesołe migotanie lampek choinkowych. Przypomniała sobie, że nadchodzą święta. Minęła kościół z szopką pod rozłożystymi gałęziami dębu. Poczowała znajomą tęsknotę za Andrew. Choć od jego śmierci upłynęło wiele lat - i świąt Bożego Narodzenia - ból wcale się nie zmniejszył.

- Muszę wziąć się w garść - mruknęła do siebie i pomyślała, że naprawdę powinna się wyprowadzić. Ma ofertę pracy w Charleston, więc powinna skoczyć na głęboką wodę i wynieść się stąd. Opuścić to miasto, pełne złych wspomnień.

Simone pojechała na parking przy galerii i bez trudu znalazła miejsce na pierwszym poziomie. Nie wjechała na trzeci. Po co chodzić dalej, niż jest to konieczne?

Na parkingu było pusto, nie licząc kilku samochodów. Nie powinno jej to niepokoić, bo często parkowały tu z Nikki i nigdy nie było tłoku. Mimo to nie mogła odpędzić denerwujących myśli. Sprawdzając, czy nikt nie czai się przy klatce schodowej lub windzie, wzięła torebkę, zamknęła samochód i pobiegła do restauracji. Żaden morderca nie wyskoczył z ukrycia. Nikt nie czaił się przy wyjściu. Simone pokonała niewielką odległość dzielącą ją od restauracji i nikogo po drodze nie spotkała.

W środku oczywiście nie zastała Nikki. Wcale jej to nie zdziwiło. Przecież Nikki zawsze się spóźnia. Albo w ogóle nie przychodzi.

Ale dziś na pewno przyjdzie.

Simone usiadła przy stoliku obok frontowych drzwi i zamówiła u uśmiechniętej kelnerki o charakterystycznym akcencie dwa drinki - martini dla siebie i cytrynowy dla Nikki. Dziewczyna wyglądała na jakieś siedemnaście lat i na pewno była za młoda, żeby podawać alkohol, ale już po kilku minutach pojawiła się ze schłodzonymi kieliszkami.

Restauracja Cassandra nie miała tego dnia wysokich obrotów. Kilku klientów siedziało przy stolikach, ciasno ustawionych w małej sali. Błaty były dopasowane kolorystycznie do podłogi wyłożonej czarno-białymi płytkami.

Simone przeglądała menu, sącząc drinka i słuchając kolęd z szafy grającej. Ulubionym utworem klientów było *Blue Christmas* w wykonaniu Elvisa. Mijały minuty, ale do restauracji jakoś nie wpadła zdyszana Nikki Gillette. Simone zjadła oliwki z martini i spojrzała na zegarek. Minęło piętnaście minut. Dopięła drinka. Dwadzieścia minut. Cudownie. Nikki znów się spóźniła.

- Pospiesz się - mruknęła pod nosem.

Podeszła do niej wesoła kelnerka z przyklejonym do twarzy dziewczęcym uśmiechem.

- Podać coś jeszcze?

- Nową najlepszą przyjaciółkę.

- Co? Och. - Zawodowy uśmiech znikł. - Więc... wypije pani jeszcze jednego drinka... a może coś pani zje?

Simone chwilę się wahała.

- Jasne. Czemu nie? Chyba jeszcze coś wypiję. - Postukała paznokciem w krawędź pustego kieliszka po martini. - To samo.

- I? - Dziewczyna zerknęła na kieliszek Nikki. Cukier na krawędzi był nietknięty, a przejrzysty płyn trwał nieruchomo wokół sprężynki ze skórki cytrynowej.

- Proszę to zostawić. Może jeszcze przyjdzie. Z nią zawsze tak jest. - Simone zerknęła na zegarek i westchnęła. Nikki miała już prawie pół godziny spóźnienia. Niedobrze. Simone wiedziała, jakie usłyszy wymówki. Wyobraziła sobie, jak Nikki wpada na salę gimnastyczną długo po rozpoczęciu zajęć z kick boxingu. Z trudem łapiąc powietrze, będzie tłumaczyć, że nie była zadowolona z „wersji”, że miała „nieodwołalny termin” albo że musiała przeprowadzić „poszukiwania”, i to „jak najszybciej”.

Po piętnastu minutach Simone dopięła drugie martini. Drink cytrynowy nadal stał nietknięty naprzeciw niej.

- Świetnie - mruknęła. Zaczęła się zastanawiać, czy nie wypić ulubionego drinka przyjaciółki, ale w końcu uznała, że tego nie robi. Przecież zaraz miała iść do klubu sportowego. Gdyby wypięła jeszcze jednego drinka, na pewno lądowałyby na tyłku przy każdej próbie trafienia stopą w cel.

Poprosiła o rachunek, zostawiła kelnerce dziesięć dolarów napiwku i, z torbą na ramieniu, pobiegła truchtem w stronę klubu. W czasie, gdy była w restauracji, mgła na dworze bardzo zgęstniała i na ulicach zrobiło się jeszcze ciemniej.

Cholerna Nikki. Zawsze zostawia ją na lodzie.

Nicole Gillette nie była nieodpowiedzialna, tylko niesłowna. Ale miała dobre serce. Niestety, miała też obsesję na punkcie pracy - czy raczej tego, co w danej chwili uważała za swoją pracę. Tak bardzo jej zależało na karierze reporterki kryminalnej, że zapominała o bożym świecie. Simone pomyślała, że teraz Nikki gorączkowo szuka informacji, które mogłyby ją doprowadzić do identyfikacji Grabarza.

Dobrze będzie się przeprowadzić, poznać nowych ludzi, takich, którzy nie byli krewnymi ani znajomymi

Andrew.

Nagle zrobiło jej się smutno. Bardzo go kochała, a on ją rzucił, chociaż przedtem przyrzekał jej wieczną miłość i nawet się oświadczył. Zerwał z nią tuż po tym, jak dowiedział się, że nie przyjęto go na Harvard. Dlaczego to zrobił? Czy sądził, że jako mąż nie spełni jej oczekiwań? A może był inny powód... inna kobieta?

Kto wie, jak było? To już się nigdy nie wyjaśni. Ale wątpiła, żeby kiedykolwiek mogła pokochać kogoś tak żarliwie i namiętnie jak Andrew Withmore'a Gillette'a. Oddała mu serce, ciało, szacunek dla siebie samej. Czowała, że nigdy już nie będzie taka jak kiedyś.

- Och, dość tego - mruknęła, zła na siebie. - Takie myśli po tylu latach terapii psychologicznej? Muszę wziąć się w garść.

Oszołomiona drinkami dopiero teraz zauważyła, jak pusto jest na ulicy i jak niewiele samochodów nią przejeżdża. Ale nie miało to znaczenia. Była już bardzo blisko klubu. Wychodząc zza ostatniego rogu, zobaczyła ciepłe światło padające z okien sali gimnastycznej. Jasne prostokąty zamazywały się w jej oczach, pewnie z powodu mgły, a także wypitego alkoholu. Z oddali dobiegały dźwięki kolęd, co znów przypomniało jej o nadchodzących świętach. O tej właśnie porze roku straciła głowę dla Andrew Gillette'a. Nie rozumiała, dlaczego nie może przestać o nim myśleć. Co Nikki chciała jej powiedzieć o swoim bracie, teraz, gdy od jego śmierci upłynęło dwanaście lat?

Zmrużyła oczy, bo wydawało jej się, że dostrzegła pod latarnią zaparkowany samochód Jake'a. Uśmiechnęła się do siebie. Jake Vaughn nie był pierwszym mężczyzną, którym zainteresowała się po Andrew. Po śmierci narzeczonego umawiała się i sypiała z kilkoma facetami. Dotąd nikt nie urzekł jej tak jak brat Nikki, ale z Jakiem chyba byłoby to możliwe. A nawet bardzo. Dawno już nie poznała mężczyzny, który byłby dla niej tak poważnym wyzwaniem. Gdyby chwycił przynętę i okazał zainteresowanie, może wcale by nie musiała wyjeżdżać do Charleston.

Przyspieszyła kroku. Klub był już bardzo blisko. Nagle usłyszała dziwny dźwięk, syk, jakby coś cięło powietrze. Odwracając głowę w stronę ciemnej wystawy sklepowej, zobaczyła swoje odbicie i... coś jeszcze... niewyraźną sylwetkę mężczyzny, czającego się między dwoma zaparkowanymi samochodami. Skoczył w przód, ciągnął za sobą coś...

Sznur?

Nie! Podskoczyła. Przyplływ adrenaliny, w mózgu przerażone myśli. Mężczyzna mocno szarpnął - naprężony, cienki przedmiot uderzył ją w nogę. Linka przecięła spodnie od dresu i zraniła ciało. Simone poczuła ból.

Głośno krzyknęła, lecąc w przód. Miała wrażenie, że ziemia przybliża się do niej. Wyciągnęła rękę, żeby złapać równowagę, i runęła na chodnik.

Bum!

Poczuła dotkliwy ból w ramieniu. Torebka wypadła jej z rąk.

- O, Boże! - Lina, o którą się potknęła, teraz ją krępowała, wcinała się w ciało jak mocna, twarda, sztywno zaciskająca się pętla. Ręka bolała tak bardzo, że Simone omal nie zemdląła. - Ratunku! - krzyczała, wijąc się z bólu. - Niech mi ktoś pomoże!

- Zamknij się! - warknął niski głos. Spocona dłoń zasłoniła jej usta. Simone próbowała gryźć, wymknąć się, uciec. Ale im bardziej się szamotała, tym silniej krępował jej ruchy. Kto to jest? Dlaczego mi to robi? Wykręcając głowę, dostrzegła jego twarz w ciemności... i rozpoznała go. Facet z restauracji... ale nie tylko. Już wiedziała, kto to jest. Znała go.

O, nie! Jezu, nie! Bezskutecznie próbowała się uwolnić. Mężczyzna był silny i zdecydowany. Twarde jak stal mięśnie przyciskały ją do mokrego chodnika. Przygniatał ją całym ciałem. Szamocąc się, błagała w myślach o pomoc. Na pewno ktoś ją zobaczy... pospieszy na ratunek... przecież inni ludzie będą szli na zajęcia do klubu... albo ktoś będzie tędy przejeżdżał. Błagam, błagam, niech mnie ktoś ratuje!

- Pamiętasz mnie? - szepnął jej do ucha, a ona poczuła w sercu ukłucie strachu. - Pamiętasz, co mi zrobiłaś? Nadszedł czas odwetu. - Zobaczyła igłę, cienką i lśniącą złowieszczo wśród mglistej, ciemnej nocy.

Miała wrażenie, że krew krzepnie jej w żyłach.

Nie!

Próbowała kopać, wyrwać się, uciec przed cierpieniem, jakie chciał jej zadać, ale bez skutku. Z przerażeniem patrzyła na igłę wbijającą się głęboko w jej ramię.

Starła się walczyć, ale przytłaczał ją swoim ciężarem. Nagle jej ręce stały się bezwładne, a związane nogi były bez czucia. Poczuła, jak wiotczeje całe jej ciało. Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Język jakby jej opuchł, głos uwiązał w gardle.

Pomyślała, że światło latarni nagle przygasło, a mgła zgęstniała. Zakręciło jej się w głowie. Pograżyła się w ciemności.

Niech mi Bóg pomoże, pomyślała rozpaczliwie. Miała tylko nadzieję, że śmierć nadejdzie szybko.

Rozdział 23

Zaczekaj!

Reed, z podniesionym kołnierzem kurtki, wychodził właśnie z posterunku. Nie zwolnił, ale Morrisette przebiegła przez pokryty kałużami parking, omijając dwa zaparkowane radiowozy, i dogoniła go.

- Okropna pogoda - burknęła.

Zapadła już noc, światło latarni sączyło się przez gęstniejącą mgłę, w której z rzadka migały reflektory przejeżdżających samochodów. Minęła już pora szczytu, więc nie było korków.

- Słuchaj, Reed - powiedziała Morrisette, kiedy stanęli przy jego samochodzie. - Wszystko sobie przemyślałam i doszłam do wniosku, że rano chyba trochę mnie poniosło.

- Bardzo słuszny wniosek. - Wyjął kluczyki.

- Wkurzyłeś się na mnie, co? - Zaczęła grzebać w torebce, prawdopodobnie szukając paczki marlboro.

- Jesteś dziś bardzo bystra. - Otworzył samochód, nawet nie patrząc w jej stronę.

- Hej, ja tylko robię, co do mnie należy.

- Wiem. - Energicznie otworzył drzwiczki samochodu. Wewnątrz zapaliła się lampka. - Pracuj więc dalej. Nie musisz mnie przeproszać.

- Kurczę, Reed, kiedy zrobiłeś się taki wrażliwy? - Znalazła zgniecioną paczkę i wytrząsnęła z niej papierosa. - Przecież dobrze znasz zasady.

- Czy chciałaś mi coś powiedzieć?

- Tak. - Przytknęła płomień zapalniczki do końca papierosa i mocno się zaciągnęła. - Niewiele znaleźliśmy w mieszkaniu Nikki Gillette. Sprawca nie zostawił odcisków palców ani innych dowodów. - Wypuściła chmurę dymu, która rozproszyła się w gęstniejącej mgłę. - Na drzwiach i oknach rzeczywiście nie było śladów włamania, więc musimy przyjąć, że miał klucz... dorobiony, ukradziony lub pożyczony, najprawdopodobniej od pani Gillette. Mikrofon, który znaleźliśmy w jej sypialni, jest tego samego typu co tamte w trumnach. Sprawdziliśmy dystrybutorów tego elektronicznego gówna i sklepy, także internetowe. Wszystkie trzy mikrofony są bezprzewodowe, bardzo wymyślne, wygląda więc na to, że sprawca zna się na technice. Staramy się ustalić, czy ktoś kupił przynajmniej trzy mikrofony tej marki oraz sprzęt podsłuchowy.

- Dobrze.

- Chciałam ci przez to powiedzieć, że zakończyliśmy przeszukiwanie jej mieszkania. Sprawdziliśmy wszystko, co się dało. - Morrisette zaciągnęła się papierosem. - Siebert już do niej dzwonił. Pozwolił jej wrócić do domu.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Myślałam, że chcesz wiedzieć. - Uniosła brew i wypuściła dym nosem. - Zgadza się?

- Tak.

Na parking wjechał radiowóz i stanął dwa miejsca za cadillakiem.

- Jest coś jeszcze. - Usłyszał napięcie w jej głosie, więc oczekiwał złej wiadomości. Rzuciła okiem na budynek komisariatu, a potem spojrzała na Reeda. - Przyszły wyniki badania DNA dziecka Barbary Jean Marx.

Zesztywniał.

- Potwierdzają wyniki badania krwi.

- Wspaniale. - Czuł się tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Spodziewał się takich wyników, ale teraz poraziły go swoją ostatecznością. Jednoznacznością. Badanie krwi pozostawiało margines wątpliwości. Testy DNA już nie.

Patrzyła na niego, mrużąc oczy w ciemności.

- Bardzo mi przykro.

Zacisnął zęby. Zimny wiatr smagał go po twarzy.

- Wiem. To okropne. - Morrisette rzuciła papierosa na chodnik. Czerwona końcówka z sykiem zgasła w kałuży. Światelko, które trwało ledwie chwilę. - Trzymaj się. - Zerkając na niego przez ramię, poszła w stronę tylnych drzwi posterunku.

Gdy Reed znalazł się sam na parkingu, nagle poczuł w sobie pustkę.

Wcisnął dłonie w kieszenie płaszcza przeciwdeszczowego i spojrzał w niebo. Blask miejskich latarni padał na ciężkie, nisko wiszące chmury. Reed pomyślał, że powinien coś czuć, choćby żal po stracie. Ale jak można stracić coś, czego tak naprawdę się nie miało?

Nie planował tego dziecka. Nie chciał go. Niewyobrażalnie skomplikowałoby mu życie, a jednak... czuł się opuszczony. Ukojenie mogła mu przynieść tylko zemsta. Na to przynajmniej miał jakiś wpływ. Przysięgł sobie, że znajdzie bydlaka, który to zrobił, i odpłaci mu za swoje cierpienie.

Wsiadł do cadillaca i włożył kluczyk do stacyjki. Zobaczył w lusterku wstecznym swoje nieprzytomne oczy, bez łez, ale pałające gniewem, przyciemnioną zarostem szczękę o twardej linii i zaciśnięte usta.

- Cholera - wycedził. - Pieprzony sukinsyn! - Włączył wsteczny i wycofał się z miejsca parkingowego, a potem przestawił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na pozycję „jazda”. Nacisnął gaz. Cadillac wystrzelił z parkingu na tonącą we mgle ulicę.

Reed zastanawiał się, czy nie wstąpić do miejscowego pubu na drinka, a raczej dwa lub sześć. W taki wieczór jak dziś mógłby zalać się w trupa, tak by barman zawłókł go do taksówki. Jack Daniels nagle wydał mu się wspaniałym przyjacielem.

Ale przecież alkohol mu nie pomoże.

Picie nic nie zmieni.

Gdyby następnego ranka obudził się na kacu, z bólem głowy, Bobbi Jean i tak by nie żyła. Dziecko nie miałooby szansy się urodzić. A on nie wyzbyłby się poczucia, że w pewnym sensie przyczynił się do ich śmierci. To on łączył Bobbi i dziecko z zabójcą. Przecież Grabarz pisał do niego. I zabijał bez skrupołów.

Ale co z Roberta Peters?

Jak wiąże się ze mną?

Pamiętał, że w jej domu czuł coś... coś, czego nie potrafił określić. Jakby deja u, ale nie do końca. W mózgu pojawiła się myśl, która nie chciała się skryształizować... O co chodzi, do jasnej cholery? Czy to wiąże się z Nikki Gillette? Czy Nikki napisała artykuł o Robercie Peters? Znała ją? Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć,

Zwolnił trochę i swoim dużym samochodem pojechał przez ulice miasta, mijając sklepy ze świątecznymi dekoracjami na wystawach i nielicznych przechodniów na chodnikach. Zatrzymał się na ulicy w pobliżu parkingu dla pracowników redakcji „Sentinela”. Subaru Nikki Gillette stało przy niskim żywopłocie. Czyli jeszcze nie wyszła z pracy. Znowu została po godzinach. Poznał ten jej zwyczaj już dawno, kiedy zaczęła go przy okazji innych spraw. Była chorobliwie ambitna i spędzała więcej czasu w pracy niż w domu. Ale przecież nie będzie tu siedzieć całą noc. Wolał nie wchodzić do redakcji „Sentinela”, bo ktoś mógłby go zobaczyć i oskarżyć o ujawnianie tajnych informacji z wydziału. Postanowił poczekać na zewnątrz. Zbyt wielu ludzi podejrzewało, że to on jest informatorem Nikki. Morrisette nie była pierwszą osobą, która to zasugerowała.

Latem był bohaterem, bo rozwiązał sprawę zabójstw w rodzinie Montgomerych. Sława bardzo mu przeszkadzała. Teraz, choć nie upłynęło jeszcze pół roku, podejrzewano go, że jest wtyka. Tak źle, i tak niedobrze.

Obniżył oparcie siedzenia, wyprostował nogi i czekał, nie spuszczać z oka frontowych drzwi ceglanego budynku, gdzie znajdowała się redakcja gazety „Savannah Sentinel”. Ludzie wchodzili i wychodzili. Z powodu późnej pory wychodzących było więcej.

Reed rozpoznał kilka twarzy. Norm Metzger, w wełnianym płaszczu i szaliku, odjechał swoją impalą, a Tom Fink wyruszył spod redakcji stara, podrasowaną corvetta. Zobaczył też chłopaka, który chyba był siostrzeńcem Finka... Jak on się nazywał? Deeter, tak, Kevin Deeter. Przyjechał truckiem z plandeką i wszedł do redakcji. Miał na sobie za dużą kurtkę z napisem „Braves” i czapkę bejsbolówkę, nasuniętą głęboko na oczy. Choć było ciemno, Reed zauważył, że Deeter zatrzymał się przy latarni nad frontowym wejściem, majstrował coś przy walkmanie i po chwili włożył słuchawki. Wcisnął magnetofon do kieszeni swoich workowatych spodni, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Dziwak.

Ale przecież w mieście roilo się od świrów różnej maści.

Reed, wygodnie oparty na fotelu, zastanawiał się, dlaczego Grabarz nawiązał kontakt z Nikki Gillette. Jednym uchem słuchał wezwań podawanych na częstotliwości policyjnej. Cichutko nastawił radio. Dlaczego zabójca pisał do Nikki? Czy wiedział, że ona bardzo chce informacji i z determinacją dąży do sławy? Czy ją obserwował? Może znał osobiście?

Spojrzał przez zaparowaną przednią szybę.

Co oznacza liczba dwanaście?

Nie spuszczać oczu z wejścia do redakcji, analizował wszystkie możliwości, jakie wymyślił w ciągu ostatnich dni. Dwanaście, ale czego?

Miesiące w roku?

Godzin w dniu? Godzin w nocy?

Zagryzł wargę i zmrużył oczy.

Dwunastu apostołów?

Dwanaście sztuk w tuzinie?

Dwunastu członków ławy przysięgłych?

Dwanaście znaków zodiaku?

Dwanaście cali w stopie?

„Raz, dwa, wypuść psa,

Trzy, cztery, pisz litery,

Pięć, sześć, idź coś zjeść...”

I tak dalej. Co było o dwunastu?

„Jedenaście, dwanaście, kopcie i szukajcie”.

Czy na pewno? Od wielu lat nie mówił tej wyliczanki. Szukajcie, ale czego?

Ciał w trumnach.

Skupił się na tym. Może ta stara wyliczanka wiąże się ze sprawą... a może nie. Zabójca nie dał tego do zrozumienia w swoich żalonych listach.

Obok przeszła grupka sześciu kolędników: śpiewali Cichą noc. Lampki choinkowe migotały na krzakach otaczających budynki. Na rogach ulic stali mężczyźni przebrani za Świętych Mikołajów. Dzwonili dzwoneczkami i zbierali pieniądze na cele dobroczynne.

Boże Narodzenie.

A może o to mu chodziło?

O dwanaście dni świąt, od dwudziestego piątego grudnia do szóstego stycznia, do święta Trzech Króli... Przynajmniej wydawało mu się, że tak to trzeba liczyć. Naukę w szkółce niedzielnej skończył co prawda przed wielu laty. Ostatni raz czytał Biblię, kiedy był mały i mieszkał pod Dahlonga. Ale był prawie pewien, że się nie myli.

Jak brzmią słowa kolędy o dwunastu dniach?

Dwunastu panów... nie, źle. Bębni dwunastu doboszów. Tak. Dwunastu cholernych doboszów. Ale co z tego? Chyba nic. Z czym mogą się kojarzyć dobosze?

Zanim zdążył przeanalizować kolędę do końca, zauważył Nikki Gillette - wyszła przez oszklone drzwi w towarzystwie czarnoskórej, smukłej kobiety, której nie znał. Stały pod daszkiem. Nikki podniosła kołnierz beżowego płaszcza przeciwdeszczowego, ciasno przewiązanego wokół jej szczupłej talii. Koleżanka rozłożyła parasol.

Nikki była ożywiona. I piękna. Myśląc o tym, Reed poczuł się nieswojo. Mówiła coś szybko, a wiatr targał jej rudoblonde włosy wokół twarzy. Razem pobiegły na parking i dopiero tam rozdzieliły się, idąc do swoich samochodów. Volkswagen Jetta Murzynki odjechał natychmiast, natomiast hatchback Nikki jak zwykle nie chciał zapalić. Gdy tylko silnik zaskoczył, ruszyła energicznie, prawie nie zwalniając przed wyjazdem z parkingu.

Reed pojechał za nią.

Bez trudu nadązał za srebrnym samochodem. Wcale nie chciał się ukrywać. Jechał wąskimi ulicami, prowadzącymi do jej domu. Minęli dzielnicę historyczną. Wielkie gmachy z wysokimi gankami, dużymi oknami i dekoracyjnymi kratami zdobiły teraz świąteczne girlandy i stroiki. Jej mały samochód podskakiwał na kostce brukowej. Wreszcie wjechała w alejkę za swoim domem.

Reed zaparkował za nią i zgasił światła. Nikki otworzyła drzwi samochodu.

- No, no. Detektyw Reed. Mój nowy najlepszy przyjaciel. Przez lata nawet nie odpowiadałeś na moje telefony, a teraz nie odstępujesz mnie na krok. Chyba jednak nie żartowałeś, mówiąc, że będziesz moim prywatnym ochroniarzem.

- Ja rzadko żartuję.

- Zauważyłam. Ale mógłbyś spróbować. - Mrugnęła do niego lekko i uśmiechnęła się. W policzku zrobił jej się dołeczek. - Powinieneś się odprężyć.

- Zapamiętam to sobie.

- Akurat - powiedziała z niedowierzaniem. Mimo ciemności zauważył błysk w jej oczach. Prowokowała go. Flirtowała z nim.

Nie wolno mi tak myśleć. To przecież Nikki Gillette. Córka Ronalda Gillette'a. Zawzięta dziennikarka, której chodzi tylko o informacje do reportażu.

Pchnęła furtkę, która zaskrzypiała na starych zawiasach.

- Detektyw Morrisette nie chciała ze mną rozmawiać o śledztwie.

No właśnie. Ona zawsze myśli tylko o pracy. Nie mogę się zaangażować!

- Pewnie nie wykryła nic nowego. Wciąż sprawdzamy fakty.

- Ty też? Myślałam, że cię odsunęli...

- Nie wnikajmy w to - mruknął. Minęli fontannę, szmerzącą pod grubym pniem ogromnej magnolii.

- Jesteś wreszcie! - Reed rozpoznał Freda Coopera, zarządcę budynku, który wybiegł zza rogu. Pociągnęła twarz, piskliwy głos. Jego duży nos wydawał się nie pasować do twarzy, a okulary bez oprawek trochę się przekrzywiły. Reedowi przypomniały się obrazki z Humpty-Dumptym. - Chciałem z tobą porozmawiać. - Ściągnął usta.

- O co chodzi, Fred? - Nikki zatrzymała się u stóp schodów. - Pamiętasz detektywa Reeda.

Stanął jak wryty.

- Tak. Och. - Wyraźnie oklapł. - Nie mówcie mi, że jeszcze coś się stało!

- Nie, ja tylko odwiozłem panią Gillette do domu - wyjaśnił Reed.

- Dlaczego? - spytał zaniepokojony Fred, rozglądając się gorączkowo po podwórku, jakby się spodziewał, że z ziemi wyskoczą zaraz trupy. - Myśli pan, że ten włamywacz wrócił? Mój Boże, tylko nie to! Wszyscy lokatorzy się denerwują. I to jak! - Poprawił okulary i wbił wzrok w Nikki. - Nie podoba im się, że prowokujesz tego Grabarza, pisząc o nim artykuły. Naprawdę wszyscy bardzo się boją. - Szybkim gestem wskazał drzwi prowadzące do któregoś z mieszkań. - Brenda Hammond z pierwszego piętra poprosiła o mocniejsze zamki w drzwiach i dodatkowe kraty w oknach, a pani Fitz spod dwieście jeden myśli o przeprowadzce. Masz pojęcie? - Poruszony wykręcał palce. - Mieszka tu od trzynastu lat, ale po tym, co działo się tu wczoraj, chce się wyprowadzić. Już pakuje swoje rzeczy.

- Nie sądzę, żeby coś groziło innym mieszkańcom - powiedziała spokojnie Nikki, chociaż była bardzo napięta.

- Skąd możesz wiedzieć? - zapytał Fred. - I co to ma znaczyć „innym mieszkańcom”? Myślisz, że wziął cię na cel? Jeśli tak, to na pewno tu wróci. Na miłość boską, nie możemy dopuścić, żeby kręcił się tu morderca, który chce cię dopaść! Ciebie albo kogokolwiek innego! - Był bardzo zdenerwowany. Spojrzał niespokojnie na Reeda. -

Czy policja zapewniła pani Gillette całodobową ochronę? Przyślecie tu dodatkowe patrole? Będziecie nas pilnować? - Zerknął nerwowo na ulicę, gdzie stało kilka zaparkowanych samochodów.

- Wydział podjął odpowiednie kroki.

- „Odpowiednie kroki”? Czyli co? To stara śpiewka policji. - Splótł ramiona na szerokiej klatce piersiowej.

- Zapewniam pana, panie Cooper, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby schwytać tego zbrodniarza. Proszę tylko powiedzieć lokatorom, żeby byli ostrożni, myśleli o swoim bezpieczeństwie, nie wychodzili sami i dobrze zamykali drzwi i okna. Ci, którzy mają alarm, powinni go włączyć. Ci, którzy go nie mają, powinni go zainstalować.

- A kto za to wszystko zapłaci? Ja? - Cooper potrząsał łysiejącą głową. Chyba bardziej bał się dodatkowych wydatków niż seryjnego mordercy. Przynajmniej na razie. - Zaraz, zaraz! - Pomyślał chwilę. - Och, wielki Boże! Pan uważa, że ten drań naprawdę tu wróci!

- Niestety, nie potrafię przewidzieć, co zrobi. Udzielam panu rad, jakich udzieliłbym każdemu.

- Wszystko przez ciebie! - Cooper spojrział wrogo na Nikki. Zaciśnął usta tak mocno, że aż zbieleły. - Już raz cię ostrzegałem, kiedy miałaś problem z małym Sellwoodem.

- To ja byłam winna, nie Corey Sellwood. Pomyliłam się. - Narastał w niej gniew.

Reed wyczuł, że szykuje się poważna awantura.

- Ale on ci groził. Od tamtej pory martwię się, że będzie chciał się zemścić i zrobi coś złego. Albo obrzydliwego. Albo... strasznego. Człowiek tego pokroju mógłby nawet podpalić nasz dom.

- Fred - powiedziała, podnosząc dłoń i starając się opanować. - Za bardzo się przejmujesz.

- Za to ty wcale. Mówię poważnie, Nikki. Lokatorzy nie mogą żyć w ciągłym strachu. Bać się, że ktoś się włamie i ich wymorduje. To bardzo nieodpowiedzialne z twojej strony, że doprowadziłaś do takiej sytuacji.

- Dobrze. Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. Ostrzegłeś mnie - warknęła. - I co dalej? Chcesz, żebym się wyprowadziła? A może mnie stąd wyrzucisz? Bo jakiś drań włamał się do mojego mieszkania?

- Wyrzucić? Och... nie... ja bym nigdy... - Cooper zerknął nerwowo na Reeda. - Chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo niepokoją się pozostali lokatorzy.

- W porządku. Spełniłeś swój obowiązek. Zrozumiałam. - Odwróciła się do niego plecami i wbiegła na schody. - Nie do wiary - mruzczała pod nosem. - Jakbym sama chciała, żeby ktoś się do mnie włamał.

- Przejdzie mu.

- Nie znasz Freda! - powiedziała na tyle głośno, żeby zarządca ją usłyszał. Stał jeszcze u stóp schodów. - Jemu nigdy nie przechodzi! Jest beznadziejny!

Idąc tuż za nią, Reed zdusił śmiech, próbował też nie zwracać uwagi na jej łydkę, przy każdym kroku wychylającą się z rozcięcia płaszcza.

- Wszystko w porządku - powiedziała Nikki, sięgając po klucze.

Chwycił ją za przegub i wyjął z palców kółko z kluczami.

- Wejść pierwszy.

- Zaraz, zaraz. - Spojrzała na niego oburzonymi, zielonymi oczami, a on zauważył, że nocą są ciemniejsze i że Nikki ma ładny, prosty nos, świadczący o stanowczości. - To mój dom, detektywie. Nie musisz się zachowywać, jakbym była słabą, bezbronną kobietą. - Miała mokre włosy, a jej usta lśniły od wilgoci. Gotowała się z gniewu na zarządcę, Reeda i cały rodzaj męski. To było zabawne i seksowne zarazem.

- Słaba, bezbronna kobieta? Nikki Gillette? Wierz mi, nigdy bym tak o tobie nie pomyślał.

- To dobrze.

- Mimo wszystko wejść pierwszy, to moja praca. - Wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. Sięgnął ręką do środka, zapalił światło i spojrział w stronę pokoju dziennego i kuchni. Przybiegł do nich gruby, rudy kot.

- Jennings!

Mieszkanie wydawało się puste. Panowała kompletna cisza. Reed ostrożnie wszedł dalej. Nikki deptała mu po piętach. W kuchni przykłękała na jedno kolano i zaczęła mówić słodkim głosem do pręgowanego kocura:

- Wreszcie zdecydowałaś się wrócić do domu, ty niegrzeczny kocie. - Podniosła przegusa. Miauknęła cicho, a potem zaczął się ocierać czubkiem głowy o jej podbródek i mruzczeć tak głośno, że usłyszał to nawet Reed. - Stęskniłeś się za mną? Czy tylko za kolacją?

Zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła. Miała na sobie dopasowaną, szarą spódnicę i czarny zakiet, podkreślający jej szczupłą sylwetkę. Dlaczego ja w ogóle to zauważam? - wściekał się w myślach Reed. To przecież Nikki Gillette, ona zbliżyłaby się do mnie tylko po to, żeby zdobyć informacje. Jest seksowna. Twarda. Ale stoimy po przeciwnych stronach barykady.

Gdy Nikki karmiła kota, on rozglądał się po mieszkaniu. Był tu jeszcze bałagan po przeszukaniu, ale nikt nie krył się w szafie, za drzwiami czy pod tym cholernym łóżkiem. Reed zajrzał wszędzie. W sypialni nie został ani chwili dłużej, niż było to konieczne. Nie przyjrzał się antycznemu łóżku ani nie dotknął niebieskiej, gładkiej pościeli. Gdyby to zrobił, mógłby przełamać dzielącą ich emocjonalną barierę, a wołał do tego nie dopuścić. Poza tym nie chciał wyobrazić sobie Nikki w koszuli nocnej, leżącej w tym łóżku.

- Wiesz co? - powiedziała, kiedy wrócił do kuchni. - Tak sobie myślałam...

- To dobry znak.
 - Nie wymądrzaj się, koleś.
 - Wolałabyś, żebym był głupi?
- Uśmiechnęła się, odsłaniając białe zęby. W policzku znów zrobił jej się dołeczek.
- Czyli jednak masz poczucie humoru.
 - Zdarza mi się.
 - Bądźmy przez chwilę poważni, dobrze?
 - Dobrze.

Kot jadł swoją karmę, głośno mlaszcząc, a Nikki zrobiła miejsce na stole, odsuwając jakieś papiery. Sięgnęła do zapinanej na suwak kieszeni torebki i wyjęła złożone kartki. Rozpostarła je na blacie i starannie wygładziła. Reed zobaczył, że były to kopie wiadomości, które dostała od zabójcy.

Pochylił się i poczuł zapach jej perfum.

- Spójrz na nie. Te dwie są bardzo proste. - Wskazała dwie pierwsze kartki. - Mówią: „Uwaga, Gillette. Patrz. Niedługo coś zrobię. Coś poważnego”. On jest jak małe dziecko, które wskakuje do basenu i krzyczy do rodziców: „Patrzcie na mnie!” - Odsunęła te kartki na brzeg stołu. Słowa *DZIŚ WIECZOREM* i *ZAŁATWIONE* wyglądały wyjątkowo złowieszczo, napisane drukowanymi literami na białym papierze. - To na pewno nawiązanie do zabójstwa, prawdopodobnie drugiego, ale następna wiadomość... - Przesunęła dłoń na trzecią kartkę. - Jest bardziej przemyślana. Różni się od pozostałych. To wierszyk, podobny do tych, które ty otrzymałeś. Zgadza się?

- Tak - potwierdził, wpatrując się w list od zabójcy i słuchając Nikki.

- Jakby zmienił ton, chciał podsunąć wskazówkę: „Reszta nieco odroczone. Aż do pełnej dwunastki tajemnica na pewno pozostanie niezgłębiona”. - Postukała palcem w wierszyk, a Jennings wskoczył na stół i zaczął się myć. Nie przerywając, postawiła kota na podłodze. - Tu już nie ma przechwałek jak w pierwszych wiadomościach. Nie. To raczej wskazówka, zaproszenie do rozwiązania zagadki. Podobnie jest w listach do ciebie. Spójrz na trzecią linijkę: „Tajemnica na pewno pozostanie niezgłębiona”. - W skupieniu zmarszczyła brwi i zagryzła dolną wargę. Myślała głośno: - Słowa „odroczone” i „niezgłębiona” na siłę się rymują, więc myślę, że cały ten list trzeba czytać po twoim. Ale dlaczego powtórzył stwierdzenie „reszta nieco odroczone”? Przecież padło już w liście do ciebie.

Spojrzała na niego bystrymi, zielonymi oczami. Reed przypomniał sobie listy, które dostał.

TIK JAK, TIK TAK

ZEGAR GRA

W JEDNEJ DWIE

RAZ I DWA.

A potem:

RAZ, DWA, TRZY, CZTERY...

CZEGO TY TERAZ SIĘ SPODZIEWASZ, DO JASNEJ CHOLERY?

I w końcu:

NUMER CZWARTY MAMY Z GŁOWY

JEDNA TRZECIA JUŻ ZAŁATWIONA.

RESZTA NIECO ODROCZONA.

- Każdy z tych wierszyków składa się z dwunastu słów - powiedział. - Ten, który przysłał do ciebie, też. Dlatego rytm nie bardzo się zgadza, a pierwsza linijka z listu do ciebie jest zarazem ostatnią z listu do mnie.

- Właśnie! - Minę miała poważną, a oczy lśniły jej z podniecenia. Zauważył złote kropki na ciemnozielonych tęczęwkach. - Kiedy to zestawimy, wszystko zaczyna mieć sens. Z listu, który dostałam, zrozumiałam, że coś się stanie dwunastego grudnia. To jeszcze jest możliwe. Wiesz, dwunasty miesiąc, dwunasty dzień... Ale zabójca chce, żebyśmy połączyli te dwa listy, a wtedy znaczenie się zmieni. W twojej połowie nie ma nawiązania do daty, ale mówiąc, że jedna trzecia już załatwiona, a są cztery ofiary, zabójca podpowiada ci, że będzie ich w sumie dwanaście. I że uważa za swoje ofiary oba ciała w trumnie.

- Tylko że on nie zabił Thomasa Maseya ani Pauline Alexander.

- Ale wybrał ich z jakiegoś powodu.

Reed postanowił wysłuchać jej teorii.

- Z jakiego?

- Nie wiem, ale kojarzy mi się to z apostołami. Thomas, czyli Tomasz, Pauline to Paweł, Barbara Jean Marx mogłaby oznaczać Marka, a Roberta Peters na pewno Piotra. Czy to możliwe, że zabija ludzi, którzy kojarzą mu się z uczniami Chrystusa? - zastanawiała się, marszcząc brwi. - Być może wybiera zmarłych, którzy zostali już pochowani, właśnie ze względu na imiona.

Reed uznał, że to możliwe, ale niezbyt prawdopodobne.

- On musi udowodnić, że jest sprytniejszy niż wszyscy inni, a zwłaszcza policja. Dlatego drażni się z tobą, popisuje przede mną. Ja gwarantuję mu artykuły w prasie, a ciebie wybrał, bo w sprawie Montgomerych wykazałeś się wielką przenikliwością. Uznał cię za najgodniejszego przeciwnika. Może nawet nie wiedział o tobie i Barbarze Mara. - Podniosła palec. - Nie! Wiedział! Nie rozumiesz? - zapytała, coraz bardziej podekscytowana. - Grabarz chce, żebyśmy współpracowali. Tak będzie mu najwygodniej. Kontaktuje się ze mną, bo dzięki moim artykułom

jest sławny. A do ciebie pisze dlatego, że z powodu związku z Barbarą Jean Mant zrobisz wszystko, żeby go schwytać. On dobrze to wie. Kpi sobie z nas obojga, bo to jest gra. Jego gra. A on zamierza nas pokonać.

- Zgadzam się z tobą co do powodów, dla których do nas pisze - powiedział Reed w zamyśleniu i cofnął się o krok, żeby nie być za blisko Nikki. Musiał się skoncentrować. - Raczej nie przemawia do mnie teoria apostołów. Przynajmniej na razie.

- Ale to ma sens.

- Gdyby zabójca chciał mi dopiec, zabijając Bobbi Marx, to czy mordowałby tyle innych osób, żeby stworzyć biblijny ciąg?

- Kto wie, co się dzieje w jego chorym umyśle.

- Na razie to tylko teoria.

- Ale mocna. Musisz to przyznać.

- Zastanowimy się nad tym, tyle że - dodał, uświadamiając sobie, skąd wziął się jej entuzjazm - nie wydrukujesz tego.

Wyraźnie się zawahała.

- No, no, Gillette. Dopóki policja nie ustali faktów i nie udzieli ci zgody na publikację artykułu, nie napiszesz o tym ani słowa. Nie wolno ci pisać o listach, ofiarach, twoich hipotezach i sposobie działania zabójcy.

- Ale...

- Nikki - powiedział, pochylając się ku niej. Prawie dotykał jej nosa swoim. - Mówię serio. Jeśli cię poniesie i to, o czym teraz rozmawiamy, trafi do gazet, osobiście dopilnuję, żebyś została aresztowana.

- Za co?

- Na początek za działanie na szkodę śledztwa.

- Do cholery, Reed, myślałam, że zawarliśmy umowę.

- Jak najbardziej. Kiedy to wszystko się skończy, udzielię ci wywiadu na wyłączność. Opiszysz wtedy wszystko. Jeśli ujmiemy go żywego, dopilnuję, żebyś mogła przeprowadzić wywiad i z nim, ale dopóki się to nie stanie, musisz bardzo uważać. Będę zatwierdzać wszystkie twoje artykuły.

Zmarszczyła brwi i wyglądała tak, jakby chciała zaprotestować, ale w końcu tylko westchnęła.

- Dobrze - powiedziała. - W porządku. Ale dostanę pochwałę za swoją teorię o dwunastu słowach, a ty będziesz mnie informował na bieżąco o postępach w śledztwie.

Uśmiechnął się krzywo.

- Pamiętaj, że zostałem odsunięty od sprawy.

- Nie chrzań, Reed. Chcę wiedzieć wszystko to, co ty. Od razu! - Podrapała oparcie krzesła. - O, rany, na śmierć zapomniałam! - Spojrzała na telefon z automatyczną sekretarką starego typu, na której migła lampka sygnalizująca pozostawienie wiadomości. - Chwileczkę.

Opierając się biodrem o blat, wcisnęła guzik.

- Masz trzy nowe wiadomości. Pierwsza - powiedziała maszyna.

Usłyszeli trzask odkładanej słuchawki.

- Świetnie. Znowu. Dziś w pracy też tak miałam.

- W redakcji? - To mu się nie podobało,

- Tak. Czasami się to zdarza. Ludzie są niecierpliwi.

- Druga nowa wiadomość - oznajmiła sekretarka.

- Hej, Nikki, unikasz mnie? Nie wygłupiaj się, zadzwoń. - Stanowczy, męski głos podał numer telefonu, a Nikki zmarszczyła brwi.

- Były narzeczony - powiedziała, a Reed poczuł dziwne ukłucie zazdrości. - Sean Hawke. Rzucił mnie kilka lat temu i nie rozumiem, że wcale nie mam ochoty przyjąć go z powrotem.

- Może powinnaś - powiedział, badając grunt.

- Pomyślę o tym. Kiedy piekło zamarznie.

- Trzecia nowa wiadomość.

- Nikki? - To był kobiecy głos. - Ni cholery nie mogłam zrozumieć, co do mnie mówiłaś. Gdyby twój numer nie wyświetlił się w telefonie, nie wiedziałabym, że to ty. Natychmiast pozbądź się tego grata, który nazywasz komórką, dobrze?

- Simone? - szepnęła Nikki.

- W każdym razie mamy chyba czas na tego drinka, więc do zobaczenia na miejscu. Może kiedy wypiję ze dwa martini, ośmielę się znów zaprosić Jake'a na randkę. Chyba nie odmówi mi drugi raz, prawda? Do zobaczenia o siódmej.

- O siódmej? Cholera! - Nikki z przerażeniem spojrzała na zegarek.

- Co? - zapytał Reed. - Nie mów mi, że zostawiłaś ją na lodzie.

- Koniec nowych wiadomości - poinformowała automatyczna sekretarka.

Nikki była blada jak ściana.

- Już wpół do dziewiątej. To była Simone. Simone Everly. Ja... Nie zadzwoniłam do niej i nie poszłam na trening.

- Jeszcze raz spojrzała na zegarek i ponownie przesłuchała wiadomość od przyjaciółki. - Niech to wszyscy diabli! Mówiła o treningach kick boxingu, na które razem chodzimy. Zajęcia skończą się za dziesięć minut. - Nikki nerwowo szukała telefonu w torebce. - Nie dzwoniłam do niej. Nie z komórki. Ani z innego telefonu. Gdzie ta cholerna komórka? - Coraz szybciej grzebała w torebce. - O rany. Nie ma jej. Ale przecież musi tu być. Musi! - Przestraszona, wytrząsnęła wszystko z torebki. Długopisy, notes, kosmetyczka, dyktafon, monety, znaczki i szczotka do włosów z klekotem wysypały się na stół i spadały na podłogę, ale telefonu nie było. - Dlaczego powiedziała, że do niej dzwoniłam? Przecież nie korzystałam z komórki! - Jeszcze raz przeszukała leżące na stole rzeczy, jakby telefon mógł się nagle zmaterializować pod stosem znaczków pocztowych i gumek do włosów.

- Kiedy ostatni raz z niej dzwoniłaś?

- Nie wiem... może wczoraj wieczorem... Cholera, kiedy to było? Ja... Rozmawiałam przez telefon z siostrą, jadąc samochodem. - Zawahała się. - Pamiętam, że Lily się rozłączyła, a ja włożyłam komórkę w uchwyt na kubek. Tam jest! - Już wrzucała rzeczy z powrotem do torebki i sięgała po płaszcz.

- Nie używałaś jej od wczorajszego wieczoru? - zapytał Reed i poczuł znajome, nieprzyjemne uczucie, które zawsze zwiastowało, że stanie się coś złego.

- Nie. Dziś w redakcji nie mogłam jej znaleźć, więc pomyślałam, że została w samochodzie, a potem zapomniałam... Nie mogłam zadzwonić do Simone. Nie zadzwoniłam. To jakieś nieporozumienie... - Wyszła z mieszkania i zbiegła po schodach w mglistą ciemność.

Reed zamknął drzwi na klucz i pobiegł za nią. Dogonił ją na parkingu.

Próbując włożyć kluczyk do zamka, jednocześnie zaglądała do środka przez okno po stronie kierowcy.

- Nie widzę jej. O, Jezus! Błagam... tylko nie to!

- Nie masz zamka centralnego?

- Zepsuł się. - W końcu wetknęła klucz w zamek i otworzyła drzwi. Szybko wsunęła się na siedzenie. Reed patrzył, jak miota się po samochodzie, szuka w pustym uchwycie na kubek, w schowkach i pod dywanikami. - O Boże... - szepnęła. - Nie ma jej. - Zwracając przerażone oczy w stronę Reeda, wykrztusiła: - Mojego telefonu tu nie ma... a... ja nie zadzwoniłam... chyba nie myślisz... Gdyby ktoś ukradł mi komórkę albo... znalazł ją... i potem zadzwonił z niej do Simone... to nie mógłby to być... to na pewno nie byłby Grabarz, prawda? - Strach wykrzywił jej twarz. - Nie zadzwoniłby do Simone i nie umówiłby się na spotkanie...

- Nie wiem - powiedział Reed, chociaż złe przecucie było coraz silniejsze. - Pozwól, że ja poszukam.

Wyjęła latarkę ze schowka. Świecąc sobie, przeszukali wnętrze małego samochodu. Reed sprawdził pod siedzeniami, na podłodze, w kieszeniach w drzwiach, przy zegarach, w schowkach, a potem skierował słaby snop światła pod samochód.

Nic.

Telefonu na pewno tam nie było.

- Nie ma go.

- Nie! - krzyknęła, drżąc. - Och... nie.

Objął ją ramieniem.

- Nie martw się na zapas - poprosił, ale coraz silniej wyczuwał, że stanie się coś bardzo, bardzo złego. Jeśli Nikki nie zostawiła komórki u rodziców albo w redakcji, to Simone Everly miała kłopoty.

Rozdział 24

Tylko nie Simone... Boże, błagam, nie Simone! Nikki pociemniało w oczach. Miała pustkę w głowie. Oparła się ciężko o samochód sparaliżowana strachem. Grabarz nie mógł ukraść jej komórki i umówić się z Simone. Nie, nie... Pochopnie wyciągała wnioski. Owszem, zabójca włamał się do jej mieszkania, ale to wcale nie musiało oznaczać, że ukradł też komórkę i zwiabił jej przyjaciółkę na spotkanie.

- To na pewno jakieś nieporozumienie albo dowcip powiedziała do Reeda, starając się opanować strach i myśleć logicznie. - Ktoś przez pomyłkę wziął moją komórkę, pewnie w pracy... może Norm Metzger albo Kevin Deeter, i zadzwonił do Simone, bo jej numer był na liście szybkiego wybierania, więc... - Ale po co miałyby się umawiać na spotkanie? Podoszywając się pod nią? Ścisnęło ją w żołądku. Znów oparła się o samochód. Przecież tak się nie robi!

- Jedźmy do klubu. Sprawdźmy, czy była na treningu. Chodź! - Reed objął ją ramieniem i zaprowadził do cadillaca.

Nikki się nie opierała. Cieszyła się, że jest przy niej. Adrenalina szalała jej we krwi, męczyło ją poczucie winy. Jak mogła zgubić telefon? Dlaczego nie oddzwoniła do Simone? Roztrzęsiona, wsiadła do samochodu i oparła się o drzwi.

- To w Centrum Sportowym w budynku Montgomerych przy West Broadway.

- Znam to miejsce.

- Nie zdążymy - powiedziała, patrząc na zegarek. - Trening skończy się za kilka minut.

- Jeśli tam jej nie zastaniemy, pojedziemy do mieszkania. - Podał Nikki swoją komórkę, wyjechał z parkingu i dodał gazu. Duży samochód pomknął ciemnymi ulicami. - Zadzwoni do Simone - polecił, szybko wchodząc w zakręt. - Ma komórkę, prawda?

- Tak.

Nikki już wybierała numer. Palce drżały jej ze strachu. Usłyszała sygnał. Proszę, odbierz, błagała w myślach. No, już, Simone. Drugi sygnał. Odbierz. Boże, spraw, żeby była bezpieczna. Po trzecim sygnale Nikki zaczęła panikować. Simone nie rozstawała się z komórką i zawsze odbierała.

- No, już... - Po czwartym sygnale odezwał się nagrany głos Simone. Nikki zrobiło się słabo. - Simone, tu Nikki. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. - Rozłączyła się i wybrała numer domowy przyjaciółki. Tam również zgłosiła się automatyczna sekretarka. Nikki znów zostawiła wiadomość.

- Nie odebrała? - zapytał ponuro Reed, przejeżdżając na żółtym świetle.

- Nie. Ale zadzwonię jeszcze raz na komórkę. Może nie usłyszała dzwonka, bo na sali jest hałas. Jake zawsze puszcza muzykę i... no, wiesz. - Ponownie wybrała numer komórkowy Simone, ale w głębi duszy wiedziała, że przyjaciółka nie odbierze. Może już nigdy nie oddzwoni. W głowie kołatała jej straszna myśl, że Simone jest z zabójcą, może już nie żyje albo budzi się w trumnie ze zwłokami...

Nikki zadrżała, słysząc głos Simone, proszący o pozostawienie wiadomości. Błagam, niech nic się jej nie stanie, modliła się. Proszę!

Może w telefonie wyczerpała się bateria. A może Simone flirtuje teraz z Jakiem i zaprasza go na drinka.

Błagam, niech Simone tam będzie. Niech się gniewa, niech mnie skrzyczy. Oby tylko była bezpieczna!

Rozłączyła się i patrzyła w ponurą, przerażającą ciemność.

Reed jechał jak wariat, a jednak Nikki miała wrażenie, że nigdy nie dojadą do klubu. Gdy tylko zaparkował, wyskoczyła z samochodu. W mgnieniu oka wbiegła po schodach do klubu. Jake stał przy kontuarze i rozmawiał z recepcjonistką.

- Czy Simone Everly była na treningu? - zapytała. - Wiesz, moja przyjaciółka, z ciemnymi włosami, ta, która poprzednio zapraszała cię na drinka.

Jake pokręcił głową.

- Dziś jej nie było.

Nie. To niemożliwe!

- Na pewno? Miałymy się tu spotkać, ale coś mi wypadło... - Głos jej się załamał. Usłyszała za sobą kroki Reeda.

- Zauważyłbym. Dotąd nie opuściła żadnych zajęć.

- O Boże. - Nikki oparła się o blat. Załamała się, widząc, jak Reed miga odznaką. Zadał Jake'owi te same pytania i też niczego się nie dowiedział.

- Czy coś się stało? - zapytał Jake.

- Jeszcze nie wiemy - odparł Reed. - Ale gdyby pani Everly przyszła, proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła. - Wyjął z portfela wizytówkę, podziękował Jake'owi i odprowadził Nikki do drzwi. Szła, chwiejąc się na nogach. Wyciągnął komórkę i wybrał numer. - Powinnaś wiedzieć, że chyba zaginęła przyjaciółka Nikki Gillette... Simone Everly... nie jesteśmy pewni, ale posłuchaj, co się stało. - Wszystko opowiedział. - Pojedziemy do restauracji, a potem do jej mieszkania... Nie, ale nie zamierzam czekać, aż miną dwadzieścia cztery godziny... tak, wiem. - Rozłączył się. - Rozmawiałem z Morrisette. Ona też uważa, że trzeba jak najszybciej odszukać Simone. - Pomógł jej wsiąść do samochodu. Pojechali na parking, gdzie Nikki często zostawiała auto, gdy umawiała się z przyjaciółką. Na pierwszym poziomie stał piękny kabriolet bmw.

Serce Nikki biło jak oszalałe.

- To jej samochód - powiedziała i wyskoczyła z cadillaca, zanim się zatrzymał. Poza kabrioletem stały tam tylko dwa samochody, stary volkswagen bus, który kiedyś był zielony, oraz brudny, biały compact, oba zaparkowane w pewnej odległości od eleganckiego bmw Simone. Nikogo nie widzieli, a na parkingu było cicho, dochodził tylko szum aut jadących ulicą. Jedna z jarzeniówek pod sufitem migiała.

- Niczego nie dotykaj - ostrzegł Reed, kiedy Nikki doszła do bmw. Był tylko kilka kroków za nią.

Ze ściśniętym sercem Nikki zajrzała przez okno do środka i zobaczyła parasolkę Simone na tylnym siedzeniu. W samochodzie było też kilka zniszczonych książek w papierowych okładkach. Kubek z kawą tkwił w uchwycie.

- Wiemy, że przyjechała tutaj.

- To była zasadzka - powiedziała Nikki. Rozejrzała się, ale w pobliżu kabrioletu nie zobaczyła żadnych śladów walki. Na betonie nie było śladów zelówek ani, dzięki Bogu, krwi. Może Simone uciekła albo nie spotkała się z człowiekiem, który podszył się pode mnie. Oby! Nikki zacisnęła kciuki i modliła się w myślach.

- Sprawdźmy w restauracji - zaproponował Reed.

Przerażona kiwnęła głową i wyszła z parkingu. Reed szedł tuż za nią, dzwoniąc z komórki. Ulice były mokre i zamglone, światło latarni odbijało się na chodnikach, witryny sklepów zaparowały.

Czerwono-żółty neon Cassandry świecił jasno.

Nikki otworzyła drzwi. Kelnerka, pochylona nad planem rezerwacji, podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Dla dwóch osób? - zapytała, zerkając na Reeda.

- Nie chodzi o stolik. Szukam mojej przyjaciółki - wyjaśniła Nikki. Z głośników dobiegały tony piosenek gwiazdkowych, przy stolikach siedzieli klienci. Kelnerzy z trudem mijali się w wąskich przejściach. - Miałam się z

nią tu spotkać, ale coś mi wypadło. Nazywa się Simone Everly, ma jakieś metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, ciemne włosy i...

- Była tu - powiedziała młoda kelnerka, przechodząca z tacą z dwiema filiżankami kawy. - Wypiła dwa martini i kupiła drinka cytrynowego dla przyjaciółki, która nie przyszła. Zostawiła go na stole. Czekala na panią?

- Tak. - Nikki ścisnęło się serce.

Reed wysunął się przed nią, otworzył portfel i pokazał odznakę.

- Detektyw Pierce Reed. Czy ta kobieta spotkała się tu z kimś?

Kelnerka otworzyła usta ze zdziwienia i omal nie upuściła tacy.

- Jest pan gliniarzem? - zapytała, dotykając chwiejących się filiżanek.

- Tak. Spotkała się tu z kimś?

- Nie. Czekala sama i często patrzyła na zegarek.

Nikki była coraz bardziej przerażona.

- Wypiła dwa martini, zostawiła drinka na stoliku i wyszła. Była bardzo zła... na panią. - Okrągłe oczy spojrzały na Nikki. - Jeśli to pani wystawiła ją do wiatru.

- Kiedy to było? - zapytał Reed.

- Nie wiem. Jakies półtorej godziny temu. Około ósmej, może trochę wcześniej.

Nikki zrobiło się słabo. Simone była w restauracji. Zostawiła samochód na parkingu. Ktoś zwabił ją tu podstępem. Nie dotarła do klubu sportowego. Co się stało? Czy ktoś wciągnął ją do samochodu, grożąc pistoletem?

Reed zadał jeszcze kilka pytań, zostawił wizytówkę i poprosił o telefon w razie, gdyby kelnerki mogły mu przekazać jakieś informacje. Wyszli z restauracji.

- Myślisz, że Simone jest z nim? - zapytała Nikki.

- Nie wiem. - Prowadził ją przez parking, wystukując numer na klawiaturze komórki.

- Ale przecież mogła gdzieś pójść. Wcale nie musi być z Grabarzem... - Omal się nie przewróciła, bo do głowy wpadła jej przerażająca myśl. Imię Simone. Pochodzące od Szymona, kolejnego apostoła. Bez paniki, nakazała sobie. Reed uważa, że nie ma związku. Ale jak inaczej można wytłumaczyć znaczenie liczby dwanaście? Dwunastu apostołów... co jeszcze, do cholery? Gdy dochodzili do kabrioletu Simone, usłyszała dźwięk syreny policyjnej. Serce podeszło jej do gardła. Po kilku minutach radiowóz wjechał na parking i zatrzymał się tuż przy cadillacu Reeda. Zza kierownicy wyskoczyła detektyw Morrissette.

- Wciąż nic? - zapytała, patrząc ze złością na Nikki.

- Nic - odparł Reed. - Zostawiliśmy kilka wiadomości w jej telefonie.

- Bierzmy się do roboty. Byliście już w jej domu? - zapytała Morrissette.

- Właśnie chcemy tam jechać.

- Chwileczkę. Znasz adres?

- Tak. - Nikki podała go drżącym głosem.

Morrissette rozejrzała się po opustoszałym parkingu - cementowe słupki, ślady opon i plamy oleju. Popatrzyła na dwa zaparkowane samochody.

- Otoczymy obszar taśmą, ale nie możemy zrobić nic więcej, bo nie wiemy, czy zostało popełnione przestępstwo. Wiesz, że się narażam, Reed.

- Ale nie bardzo.

Kolejny radiowóz wjechał na parking. Morrissette poinstruowała policjantów w cywilu, żeby zabezpieczyli bmw Simone, zostali przy nim i czekali na rozkazy.

- Dobrze, jadę do domu pani Everly. Wiem, że i tak za mną pojedziecie, ale trzymajcie się z daleka.

Reed nie odpowiedział.

- Cholera! Nic nie rozumiesz, co? - zapytała go, a potem zwróciła się do Nikki: - Masz tu samochód?

- Nie.

- Jest ze mną.

Morrissette uniosła brew z kolczykiem, ale nic nie powiedziała.

- Ruszajmy więc. Jedźcie za mną, tylko nie róbcie żadnych głupstw.

- Gdzie twój nowy partner? - zapytał Reed i dopiero wtedy Nikki zauważyła, że nie ma Cliffa Sieberta.

- Skończył służbę.

- Ty też - zauważył Reed.

- Tak, ale ja jestem nadgorliwa.

- Siebert nie?

- Nie zaczynaj, dobrze? - mruknęła z irytacją, zapalając papierosa. - Jedźmy już. Módl się, żeby to nie był fałszywy trop, Reed.

Simone Everly trzymała zapasowy klucz do swojego mieszkania na haczyku pod gankiem. Nikki znalazła go i weszli do środka. Mały pies, stojący na szczycie schodów, powitał ich warczeniem i szczekaniem.

- Spokojnie, Mikado, to ja.

Pies nie ruszył się z podestu. Dopiero kiedy Nikki weszła po schodach i wzięła go na ręce, przestał warczeć i zaczął się z nią witać. W mieszkaniu nie było nikogo. Wysprzątano je bardzo dokładnie. Na kremowym dywanie pozostały ślady szczotki odkurzacza, a na drogich, specjalnie postarzanych meblach nie było ani pyłku. Wszystkie elementy wystroju pasowały do siebie kolorystycznie i wyglądały na bardzo drogie.

Na automatyczną sekretarkę nie nagrały się żadne wiadomości, nie licząc tej od spanikowanej Nikki. Nie znaleźli też nic w pamięci urządzenia. Morrisette sprawdziła ostatni wybrany numer - okazało się, że to komórka Nikki. W telefonie była też lista połączeń przychodzących. Detektyw szybko je spisała.

- Rozpoznajesz któryś z tych numerów? - zwróciła się do Nikki, trzymającej na rękach psiaka. Mikado merdał teraz ogonem i lizał ją po twarzy.

- Nie, ale Simone i ja nie obracamy się w tych samych kręgach.

- Dlaczego?

- Zawsze tak było.

- Przyjaźnicie się od bardzo dawna.

- Tak. Była dziewczyną mojego brata, miała za niego wyjść... przynajmniej tak planowali, ale on ją rzucił. Niedługo potem zginął.

- Jak się poznali?

- Ja ich sobie przedstawiłam.

- Znałyście się ze szkoły lub ze studiów?

- Nie... Poznałam ją na zajęciach sportowych... z tańca jazzowego. To było tuż po procesie Chevaliera. Dowiedziałam się, że była członkiem ławy przysięgłych. Starłam się do niej zbliżyć, żeby zdobyć informacje do artykułu, ale się nie udało. Zresztą i tak byłam już spalona. - Drapała Mikada po grzbiecie, żeby ukryć zakłopotanie. - W każdym razie bardzo się polubiłyśmy.

- Proces Chevaliera... - powiedział Reed śmiertelnie poważnym tonem.

- Tak.

- Zasiadała w ławie przysięgłych?

Nikki kiwnęła głową i zobaczyła, jak zmienił się wyraz jego twarzy.

- Znasz nazwiska pozostałych przysięgłych?

- Nie, ale... - Serce na chwilę jej stanęło. - O, Boże...

- Czy możemy zdobyć listę wszystkich członków ławy przysięgłych? - zapytał Reed, patrząc na Morrisette.

- Zaraz, zaraz. Ewentualne zaginięcie tej kobiety nie musi mieć nic wspólnego z LeRoyem Chevalierem.

- Ale on wyszedł z więzienia. Rozmawiałaś z jego kuratorem?

- Tak, Chevalier zameldował się u niego w zeszłym tygodniu.

- Pogadajmy z nim. Sprawdźmy, jak zachowuje się LeRoy. I trzeba się też dowiedzieć, kto jeszcze zasiadał w ławie przysięgłych.

- A co z Barbarą Jean Marx? Wspomniała o tym kiedyś?

- Mnie nie - powiedział Reed. - Ale nasz związek był krótki... spontaniczny. Nie rozmawialiśmy o tym, co zdarzyło się dawno temu. - Wyjął telefon komórkowy i notes, wybrał numer i odczekał kilka sekund, aż ktoś podniósł słuchawkę. - Pani Massey, mówi detektyw Reed z policji Savannah... tak, byłem u pani... Dziękuję, dobrze. Potrzebuję informacji na temat pani męża. Czy był kiedyś sędzią przysięgłym? Myślę o procesie LeRoya Chevaliera. Został skazany za zabójstwo konkubiny i dwójki jej dzieci.

Nikki czekała z bijącym sercem. Nie знаła sędziów przysięgłych z tamtego procesu, a przewodniczący składu sędziowskiego nie pozwolił robić zdjęć na sali sądowej. To było bardzo dawno temu, nie pamiętała nazwisk... Postawiła psa na podłodze.

- Dziękuję, pani Massey... tak, oczywiście, zawiadomię panią. Do widzenia. - Rozłączył się i spojrzał na Morrisette. - Bingo.

- Cholera. Znajdźmy go jak najszybciej. Wezwę wsparcie. Ty odwieź ją do domu albo w bezpieczne miejsce. - Wskazała podbródkiem Nikki.

- Nie. Jadę z wami.

- Nawet Reed nie pojedzie - oświadczyła Morrisette, wyjmując telefon komórkowy.

- Nie będę przeszkadzać.

Morrisette spojrzała na nią ostro.

- Słuchaj, Gillette, to nie jest twoja wielka szansa, rozumiesz? Nie wiem, jaki układ z nim zawarłaś... - Wskazała Reeda kciukiem, a piesek zawarczał. - Ale mnie to nie dotyczy.

- Nie chodzi o reportaż - szepnęła przerażona Nikki. - Tylko o moją przyjaciółkę.

- Nie mam czasu na dyskusje - warknęła Morrisette, a potem spojrzała na Reeda. - Pilnuj jej.

Po chwili zaczęła rozmawiać przez telefon. Reed też dokądś zadzwonił. Rozmawiał krótko. Gdy się rozłączył, powiedział:

- Rozmawiałem z Beaufordem Alexandrem. Jego żona, Pauline, była sędzią przysięgłym.

- To już trzy osoby - powiedziała rozdygotana Nikki.

- Czyli Chevalier po kolei wykańcza sędziów przysięgłych? - zapytała Morrisette. - I to po wyjściu z więzienia? Jaki to ma sens? Czy on nie - rozumie, że go dopadniemy?

- Marzył o tym przez dwanaście lat - wyjaśnił Reed. - Myślę, że mu nie zależy.

- Sama nie wiem. Nie mógł zabić Thomasa Maseya i Pauline Alexander.

- Bo umarli, zanim wyszedł na wolność. W przeciwnym razie znaleźliby się na liście jego ofiar.

- Nie chcę się z tobą kłócić - ucieła Morrisette. - Zadzwoń na posterunek i ściągnę Sieberta. Przyślemy tu zespół oględzinowy. Każemy też ustalić, kto z tamtej ławy przysięgłych jeszcze żyje.

- Jeśli Chevalier nie dotarł do tych osób przez ostatnie dni.

- Nie dotarł. Pochwaliliby się - powiedziała Nikki.

- Dlatego jest chyba szansa, że Simone jeszcze żyje.

Jeszcze żyje. Wielki Boże! Te straszne słowa odbijały się echem w jej głowie.

- Musimy ją odszukać. Koniecznie.

- Jasne. - Reed dotknął jej ramienia. - Kiedy znajdziemy Chevaliera, znajdziemy też twoją przyjaciółkę.

- No to jedźmy.

- Ona nie bierze w tym udziału. Bez dyskusji, rozumiano? - powiedziała stanowczo Morrisette, wysuwając podbródek. - To poważna sprawa. Sprawa policji. Jeśli narozrabiasz, zaszkodzisz śledztwu albo coś ci się stanie, ja nie chcę ponosić za to odpowiedzialności. Cholera, Reed, ty byś chciał?

- Sylvie ma rację - powiedział, mocniej zaciskając dłoń na ramieniu Nikki. To niebezpieczne.

- Nieważne. Simone jest moją przyjaciółką.

- Tym bardziej! - uciał. Puścił jej ramię, spojrzał w niebo i przecesał włosy zeszywniałymi palcami. - Posłuchaj mnie, Nikki, proszę. Teraz nie możesz z nami jechać. Zawieziemy cię na komisariat. Tam będziesz bezpieczna. Gdy tylko ją znajdziemy, zadzwonię do ciebie.

- Ale...

- Zresztą możesz nam pomóc. Będzie nam potrzebna lista wszystkich znajomych, przyjaciół i krewnych Simone Everly. Musimy sprawdzić jej kolegów z pracy, rodzeństwo, każdego, kto mógł się z nią spotkać lub może wiedzieć, gdzie ona jest. Będziesz dzwonić i dowiadywać się o nią, dobrze?

- Traktujesz mnie z góry - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Próbuję zapewnić ci bezpieczeństwo, nie łamiąc przepisów.

Morrisette prychnęła.

- Nie ma czasu na gadanie. Albo zrobisz, co on każe, albo odwieziemy cię do domu.

- To wykluczone. - Reed wpatrywał się w Nikki. - Jedź na komisariat. Przyrzekam, że zadzwonię, jak tylko będę coś wiedział. I wrócę, kiedy skończymy z Chevalierem. - Ścisnął jej ramię. - Współpracuj ze mną choć raz, dobrze?

- Nie podoba mi się to.

- Nam też nie - skwitowała Morrisette.

- Dobrze. Pojadę na komisariat. - I zwariuję, czekając na wieści o Simone.

- Okej. Pospieszmy się. - Wskazując na Morrisette, dodał: - Musimy się skontaktować ze wszystkimi żyjącymi członkami tamtej ławy przysięgłych. Zaproponować im ochronę. Sprawdzić, czy ktoś ich nie nachodził, wysłać patrole pod domy. Zdobądźmy jak najbardziej aktualne zdjęcie Chevaliera, wydrukujmy mnóstwo kopii i prześlijmy jedną do McFee i Baldwina w Dahlonga. Niech któryś z nich pokaże zdjęcie rannemu chłopcu. To jedyna znana nam osoba, która widziała twarz zabójcy.

- Jedyna, która jeszcze żyje - szepnęła Nikki, rozglądając się po mieszkaniu przyjaciółki, urządzonym w wesołych, pastelowych barwach. Wszystko tu było takie ładne. Porządne. Wszystkie sprzęty miały swoje miejsce. Simone była pedantką.

- Tylko z nim możemy porozmawiać - uściślił Reed. - Ale roześlijmy list gończy po całym stanie, może nawet dalej. Każdy gliniarz na południowo-zachodnim wybrzeżu ma szukać tego bydlaka.

- Tak - zgodziła się Morrisette. - Trzeba znaleźć tego świra i zamknąć go. Jak najszybciej.

Ale Nikki miała przeczucie, że jest już za późno. Upłynęło zbyt wiele godzin. Jakie są szanse, że Simone jeszcze żyje? Wzięła Mikada na ręce i mocno go przytuliła. Czując bicie serca pieska, trochę się uspokoiła.

- Zabieram go ze sobą - oznajmiła i tym razem żaden z policjantów się nie sprzeciwił.

Jest ciemno.

I zimno.

Ciemno, zimno i... nie mogę oddychać.

Boli. Jak nigdy w życiu.

Była półprzytomna, chciała się obudzić, ale otaczała ją ciemność i obrzydliwy smród, od którego zbierało jej się na wymioty. Czowała tępy ból w całym ciele, szczególnie w ramieniu... Ręka potwornie bolała. Kręciło jej się w głowie... nie mogła się ruszać, z trudem oddychała. Próbowwała się obrócić i uderzyła w coś ramieniem. Poczwała falę bólu. Była ranna? Nic sobie nie przypominała. Odkaszlnęła. Spróbowała usiąść.

Bum! Uderzyła głową w coś twardego. Co to było i dlaczego nie mogła odetchnąć? A ten fetor... Ścisnęło ją w żołądku. Z przerażenia otępiąły umysł zaczął pracować na pełnych obrotach.

Nagle zrozumiała, dlaczego nie może się ruszać ani oddychać. O, Boże... o, nie... Czowała, że jej nagie nogi, pośladki i ramiona dotykają zimnego, rozkładającego się ciała.

Leżała w trumnie.

Ze zwłokami.

Ogarnęła ją panika.

Krzyczała co sił w płucach. Gorączkowo uderzała pięściami w boki i wieko trumny. A trumna wydawała się zmniejszać, ścisnąć tak, że prawie nie mogła się poruszyć.

- Nie! Błagam, nie! Pomocy! Niech mnie ktoś ratuje! - Płakała i kasłała. Stęchłe powietrze paliło jej płuca.

Sukinsyn, który ją porwał, był tym cholernym Grabarzem! Dlaczego, Boże, dlaczego? Za kilka minut, a może nawet sekund, nie będzie czym oddychać.

- Wypuść mnie! - krzyczała, jęczała i zdrową ręką uderzała w boki trumny. Kopała. Bardzo mocno. Ale stalowe obicie trumny tylko głucho dźwięczało, a ona poczuła ból w kostce. Och, nie... nie... Nagle wszystko zrozumiała. Przypomniała sobie, jak biegła do klubu. Myślała o treningu, nie przeczuwała, że coś jej grozi, nie miała pojęcia, że ten potwór już zastawił na nią zasadzkę.

Gdy szarpał się z nią na chodniku i wbijał igłę w jej rękę, zobaczyła jego twarz. Wtedy go rozpoznała i uświadomiła sobie, z jak bardzo złym człowiekiem ma do czynienia. Chociaż zmienił się przez te wszystkie lata, wiedziała, kim był.

Przypomniała sobie proces. Zeznania. Przerazające zdjęcia z miejsca zbrodni. Potworne zabójstwo kobiety i dzieci.

LeRoy Chevalier był podłą bestią. Bezlitośnie bił Carol Legittel i jej dzieci. Gwałcił je wszystkie, zmuszał do uprawiania seksu ze sobą nawzajem i z matką. Podczas procesu przedstawiono dokumenty ze szpitala, które potwierdzały, że był zwyrodnialcem. Zasługiwał na więzienie. Na piekło. Albo jedno i drugie.

Gdy dowiedziała się o jego zwolnieniu, przeczuwała, że będą kłopoty.

Ale czegoś takiego się nie spodziewała.

Nie, nie. Nie tego.

- Pomóż mi, błagam, Boże, pomóż! - krzyczała. W jej głowie wirowały myśli, urywane obrazy. Dotyk rozkładających się zwłok przyprawiał ją o gęsią skórkę. Musi się stąd wydostać. Musi!

Na pewno ktoś mnie usłyszy.

Na pewno ktoś przyjdzie mi z pomocą.

- Musisz wydostać się sama! - powiedziała głośno, a może te słowa wymówiła druga osoba, leżąca z nią w grobie. Czy ten ktoś poruszył się pod nią? Dotykał jej? Przesunął kościstym, rozkładającym się palcem po jej kręgosłupie?

Krzyczała i jęczała, jak obłąkany zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. To było rozpaczliwe wycie człowieka, którego umysł został rozerwany na strzępy.

Myśl, Simone... myśl. Nie trać panowania nad sobą. Chociaż powietrze cuchnęło, to jednak tam było. Wydawało jej się... a może to była tylko wyobraźnia... że z kwaśnym, ohydny smrodem miesza się odrobina świeżego tlenu. Znow wydało jej się, że czuje jakiś ruch. Jakby jakiś robak czy żuk wszedł do trumny. A może to duch osoby, z którą była pochowana, zaczął jej dotykać i chuchać w kark?

Krzyczała, drapała, kłęła i płakała, czuła, że dopada ją klaustrofobia, nie potrafiła zebrać myśli.

Trzymaj się, na miłość boską, trzymaj się... ktoś cię uratuje... ale czy na pewno?

Gdyby udało jej się stąd wyjść, zabiłaby drania gołymi rękami.

Nigdy stąd nie wyjdiesz, Simone...

Czy ktoś to powiedział? Czy podszeptował to tylko jej ogłupiały ze strachu umysł?

Będziesz cierpieć tak samo jak tamte i umrzesz powolną, okropną śmiercią.

Wtedy usłyszała chrzęst piasku i kamyków, spadających na wieko trumny. Nie została jeszcze pogrzebana. Jeszcze była szansa.

- Wypuść mnie! - Znow zaczęła uderzać w ściany trumny, mimo bólu nadgarstka. Panika dodawała jej siły. - Błagam, błagam, wypuść mnie. Nikomu nie powiem. Proszę, nie rób mi tego.

Usłyszała, jak kolejna łopata ziemi spada na jej grób. Ale skoro nie była jeszcze pochowana, może ktoś poza tym bydłakiem mógłby ją usłyszeć. Krzyczała jak szalona, kopała, waliła pięściami, drapała, błagała.

- Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! - Ale ziemia wciąż dudniła nad nią i odcinała dopływ świeżego powietrza. Ten drań chciał zabić ją powoli. Nie mogła uciec.

Leżała w całkowitej ciemności. Od cuchnącego powietrza paliły ją płuca. Smród był nie do zniesienia, a zwłoki pod nią wydawały się poruszać... dotykać jej w różnych miejscach.

To przecież niemożliwe, pomyślała, ale resztkę zdrowego rozsądku zaraz stłumił ten wewnętrzny głos. Jesteś skazana na śmierć, Simone. Tak jak pozostali.

Zасыpując dół, tłumił jej krzyki i błagania. Ale przecież słyszał żalony płacz Simone Everly w stereo, nie tylko bezpośrednio z trumny, lecz także przez umieszczoną w uchu słuchawkę. Wyraźnie słyszał każdy jej oddech. Nie mógł odmówić sobie tej przyjemności. Chociaż byłoby bezpieczniej najpierw ją zakopać, a potem odtworzyć nagranie, pokusa słuchania jej krzyków na żywo była zbyt wielka. Zwykle jego ofiary budziły się dopiero wtedy, gdy był daleko od miejsca zbrodni, ale Simone Everly okazała się silniejsza, niż założył, więc środek usypiający działał bardzo krótko.

I bardzo dobrze, pomyślał, przerzucając wilgotną ziemię. Podniecało go, że była tuż pod nim, w trumnie pokrytej kilkoma centymetrami ziemi, i błagała, żeby ją uwolnił. Och, gdyby to zrobił, na pewno byłaby gotowa spełnić wszystkie jego seksualne zachcianki. Ale seks z nią byłby chyba mniej ekscytujący niż to, co teraz przeżywał. Jej błagania, krzyki i chrapliwy oddech sprawiły, że w jego żyłach szumiała adrenalina.

Mżawka pogarszała widoczność. Gdyby ktoś wdrapał się na zamkniętą bramę cmentarza, na pewno by go nie zauważył. Mściciel był sam, tylko zwierzęta ukrywały się wśród liści. Gdy spojrzał w tamtą stronę przez swoje urządzenie noktowizyjne, zobaczył szopy pracze, skunksy i oposy, skulone pod krzakami przy murze cmentarza, wpatrzone w niego wytrzeszczonymi, podejrzliwymi oczkami.

Proszę bardzo, patrzcie sobie, powiedział w myślach do futerkowych świadków jego zbrodni. Zасыpując grób, bardzo się pocił. Tej wilgotnej, pochmurnej nocy głos Simone dobiegał do niego coraz ciszej. Musiał się spieszyć, w razie gdyby zabłąkały się tu jakieś nastolatki czy włóczędzy, ale na razie byli sami.

On i Simone.

Teraz płakała, bełkotała bez ładu i składu, od czasu do czasu piszczała, jęczała, że ktoś jej dotyka i chucha na nią... jakby była w trumnie z duchem.

Naprawdę zaczynała jej odbijać.

I bardzo dobrze.

Niech ze strachu zwariuje w ostatnich minutach swojego życia, niech wie, że nie ma ratunku. Że choćby walczyła, błagała i płakała, jest skazana na śmierć.

Przekonaj się, jak to jest, ty bogata dziwko.

Rozdział 25

Mówię, że tego drania nie ma od kilku dni. - Dan Oliver, zarządca domu, w którym Chevalier wynajmował mieszkanie, chętnie wpuścił ich do środka. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i ponury wyraz twarzy znużonego życiem człowieka, który już dawno pozbył się złudzeń i marzeń z młodości. Spod daszka brudnej bejsbolówki spoglądały małe, błyszczące oczy i zbyt pełna twarz. Tylko zerknął na nakaz rewizji, który przynieśli Reed i Morrisette. Chyba na nich czekał, bo od razu poprowadził ich ścieżką z popękanych cegieł. Zeszli po kilku schodkach do piwnicy. Mieszkanie znajdowało się prawie w całości pod ziemią i było bardzo małe - najwyraźniej wygospodarował je jakiś majsterkowicz, mając nadzieję, że zarobi kilka dolców, wynajmując je komuś.

- Czy on ma pracę? W stałych godzinach? - zapytał Reed, chociaż znał odpowiedź.

- Tak, ma pracę. Jeśli można to tak nazwać. W wypożyczalni kaset wideo. Ten facet to zboczeniec, na pewno całymi dniami ogląda pornosy. Pracuje chyba na zmiany, ale ja go nie kontroluję. To przecież nie moje zadanie, tylko kuratora sądowego, no nie?

- Ale nie zauważył pan niczego niezwykłego? - naciskał Reed.

- To pieprzony morderca. Z nim nic nie jest zwykłe.

- Muszę się z panem zgodzić - powiedziała Morrisette, gdy otworzył im drzwi.

Oliver został na dworze i zapalił papierosa, a Reed i Morrisette weszli do pomieszczenia niewiele większego niż grób, z popękаныmi ścianami, po których biegły przewody elektryczne. Dwa małe, zakratowane okna były pokryte grubą warstwą brudu, która nie przepuszczała do środka światła dziennego. Na podłodze leżał chodnik z gałganków, wytarty i poplamiony, a sklejoną taśmą fotel stał naprzeciwko telewizora z pokojową anteną, ozdobioną kawałkami folii. Odbiornik stał na zniszczonej półce, pełnej starych płyt, chociaż w pokoiku nie było widać adaptera.

- Przytulnie tu - mruknęła pod nosem Morrisette, patrząc na elektryczną kuchenkę i małą lodówkę. Sedes stał w komórce. - Jak z magazynu o aranżacji wnętrz.

- Niedawno wyszedł z więzienia. Nie miał czasu skorzystać z usług projektanta - odparł Reed, przyglądając się łóżku LeRoya Chevaliera.

Przykryta śpiworem połówka była wciśnięta w róg pomieszczenia. Na ścianie wisiała jedyna ozdoba w całym mieszkaniu: obrazek Matki Boskiej, patrzącej w dół na łóżko Chevaliera. Na szacie miała narysowane serce i spoglądała z łagodnym, czułym wyrazem twarzy.

- Co on zrobił? Wymordował następną rodzinę? - zapytał Oliver i mocno zaciągnął się papierosem.

- Chcemy tylko z nim porozmawiać.

- Jasne.

- Miewał tu gości?

- Nie wiem. Chyba jest samotny. Większość jego kumpli jeszcze siedzi.

- Nie ma telefonu? - Reed rozejrzał się. - Ani komputera?

Oliver zakrztusił się ze śmiechu.

- On nie ma smykałki do spraw technicznych.

Mogło tak się wydawać. A przecież Grabarz kontaktował się z Reedem i Nikki pocztą elektroniczną, zainstalował bezprzewodowe mikrofony w trumnach, korzystał z ultranowoczesnych urządzeń.

- Spójrz na to. - Morrisette włożyła gumowe rękawiczki i z półki z płytami wyjęła album. Położyła go na fotelu i zaczęła przewracać strony, zabezpieczone folią. Wycinki z gazet, teraz poźółkłe, były wklejone bardzo starannie. - Ma obsesję na tym punkcie.

- Ale gdzie on się podziewa? - zapytał Reed, czując narastający niepokój. Coś tu nie grało, czegoś nie rozumiał. Chyba że Chevalier był kameleonem, a ta nora miała ich zmylić. Może robił z nich idiotów.

Reedowi bardzo się to nie podobało.

Chyba coś przeoczył.

Coś ważnego.

Coś, co mogło kosztować Simone Everly życie.

Policja się zbliżała.

Mściciel usłyszał to przez radio, na częstotliwości policyjnej. Gliniarze byli coraz bliżej. Miał wrażenie, że na karku czuje ich gorący oddech. Znaleźli mieszkanie, tak jak się spodziewał. Tak, jak zaplanował. Przewidział wszystkie ich kroki.

Skręcił za róg, przeciął ulicę i wszedł w wąską alejkę, przy której stały pojemniki na śmieci. Jakiś podejrzliwy kot tytnął na niego z płotu. Mściciel doszedł do swojego trucka, stojącego na publicznym parkingu. Całkowicie na widoku. Tym razem, nie chcąc ryzykować, że ktoś rozpozna jego samochód, ukrył odurzoną Simone i swoje narzędzia za krzakami przy grobie. Potem odjechał, zostawił trucka na parkingu i wrócił na cmentarz, żeby dokończyć dzieła. Teraz wyjął kluczyki i usiadł za kierownicą. Czuł wielką satysfakcję. Wszystko poszło zgodnie z planem. Wiedział, że gliniarze wkrótce rozpracują jego wskazówki. Chyba że są kompletnymi idiotami. Zresztą przecież ich oszukał. Te bzdury o liczbie dwanaście miały tylko odwrócić ich uwagę. Nie ujawnił jednak swojego prawdziwego celu.

Nie przekraczając dozwolonej prędkości, spokojnie dojechał pod dom i zaparkował w uliczce. Miał pewność, że nikt go nie śledził. Nikt też nie podejrzewał, gdzie jest jego kryjówka. Zbiegł po schodach i szybko wszedł do pomieszczenia, w którym mógł spokojnie cieszyć się samotnością.

Z uśmiechem spojrzał na stosik ubrań Simone Everly. Przypomniawszy sobie, jak ją rozbierał. Oczywiście była nieprzytomna, kiedy ściągał z niej dres, szorty i T-shirt. Potem zdjął stanik i przez chwilę gładził jej pierś. Była piękna, nie całkiem opalona - pewnie korzystała ze słońca w skąpym bikini. Z białą skórą kontrastowały sutki. Ciemne. Okrągłe. Doskonałe. Nie mógł ich nie dotknąć. A potem zsunął jej szorty i znalazł skarb.

Szkarłatne stringi.

Właściwie nic nie zakrywały, a z tyłu wcinały się między jędrne, krągłe pośladki. Pomyślał, że chciałby ją ugryźć w tyłek, dosięść jej, wcisnąć swój twardy członek głęboko w nią, ale się powstrzymał. Drżącymi rękami zsuwał z niej tasiemki, które uważała za majtki. Powąchał je i polizał, onanizując się. Potem schował stringi, związał Simone i zawinął ją w plandekę z dziurami do oddychania. W usta wsunął jej knebel, na wypadek, gdyby obudziła się w czasie jazdy lub przez te pół godziny, na które musiał ją zostawić ukrytą w gęstych zaroślach otaczających cmentarz.

Potem zaciągnął ją w miejsce ostatecznego spoczynku.

Teraz usiadł i, słuchając z taśmy jej krzyków i błagania o litość, wyobrażał sobie jej strach. Doskonale, pomyślał i jeszcze raz przesłuchał nagranie. Postanowił sobie ulżyć. Podeszedł do komody i dotknął plam krwi na blacie, a potem sięgnął do szuflady, gdzie znajdowały się jego łupy. Przesuwał między palcami jedwab i koronki.

Miał erekcję.

I to jaką.

Nikki odchodziła już od zmysłów. Nie miała żadnych wiadomości. Minęło kilka godzin. Zmęczona siedziała przy pustym biurku, które wskazano jej w komisariacie. Mikado marudził przez godzinę, a potem zwinął się w kłębek u jej stóp, gdy dzwoniła do rodziny i przyjaciół Simone. Obok niej siedział wysoki, stanowczy policjant. Przypuszczała, że kazano mu ją niańczyć, pilnować, żeby nie wpakowała się w jakieś kłopoty. Taką mam opinię, pomyślała, wcale się tym nie przejmując. Śledziła wzrokiem wskazówki zegara, odmierzające minuty i godziny, a Reed wciąż się nie odzywał.

Co znaleźli w mieszkaniu Chevaliera? Gdyby on i detektyw Morrisette odszukali Simone, na pewno by zadzwonili.

Niestety, chyba im się nie poszczęściło.

Z sercem ciężkim od obaw, wbrew własnej woli myśląc o okropnościach, jakie mogły spotkać jej przyjaciółkę, oglądała posterunek od wewnątrz. Chociaż był środek nocy, policjanci już sporządzili list gończy i rozsyłali podobizny LeRoya Chevaliera. Nikki zadzwoniła do wszystkich przyjaciół i krewnych Simone, do których miała

numery. Nie zastała jej rodziców, ale pomyślała, że może to i lepiej. Po co niepotrzebnie ich martwić?

Jeśli naprawdę byłoby to niepotrzebne.

W końcu usłyszała głos Reeda i jego kroki na schodach. Chociaż była zrozpaczona, jej serce zabiło szybciej. Poderwała się na nogi, ale widząc jego ponurą minę, stanęła jak skamieniała. Poczowała ukłucie strachu.

- Znaleźliście ją?

- Nie.

Weszła też Morrisette.

- Żadnych śladów. Ani jej, ani Chevaliera.

- Nie było go w domu?

- Nie. Nie poszedł też do wypożyczalni kaset wideo, gdzie pracuje. Sprawdziliśmy. Nie wydrukujesz tego, jasne? - upewniła się Morrisette.

- A ty dowiedziałaś się czegoś? - zapytał Reed.

- Niestety, nie. Nikt nie widział jej, odkąd wyszła z restauracji.

- Cholera.

Zadzwoił telefon Morrisette, sięgnęła więc po niego do torebki. Reed zaprowadził Nikki do swojego gabinetu.

- Porwał ją, prawda? - zapytała, stając przy oknie i patrząc w ciemną, nieprzyjazną noc. Mikado popiskiwał u jej stóp.

- Nie wiem. Nie mamy pewności.

- Ale tak myślisz.

Chciał zaprzeczyć, ale tego nie zrobił. Ściągnął usta.

- Tak. Masz rację. Tak właśnie przypuszczam.

- Wiedziałam.

- Mogę się mylić.

- Jasne. - Pochyliła się i wzięła pieska Simone na rękę. - A papież może się ożenić. - Podrapała się po karku. - Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby ją odnaleźć. Zanim będzie za późno. - Powiedziała to, choć czuła, że pewnie już jest za późno, że w klepsydrze życia Simone zostało już bardzo mało ziarenek piasku.

Weszła Morrisette, wyłączając telefon.

- Wszyscy robią, co do nich należy. Sprawdziłam. Rozesłaliśmy już list gończy i w razie czego wiadomość zostanie przekazana mnie albo Siebertowi.

- Gdzie on jest? - Nikki podrapała Mikada za uszkami.

- W drodze. Spędził cały dzień w Dahlonga. Mówi, że zostawił mi wiadomość, ale jej nie otrzymałam. Rozmawiał z tym rannym chłopakiem. Niestety, mały nie rozpoznał Chevaliera na zdjęciu. Powiedział, że nie poznałby go, nawet gdyby na niego wpadł. - Wzruszyła szczupłymi ramionami. - Może kłamie? Siebert uważa, że chłopak bardzo się boi. Jego stary też niechętnie z nami rozmawia. Myśli, że jakiś szmatławiec zapłaci jego synowi za wyłączność... kurczę, powiedz komuś z „Sentinela”, żeby się zgłosił.

- Nie płacimy za informacje - warknęła Nikki.

Morrisette prychnęła, szukając czegoś w torebce.

- Jasne. Wy tylko robicie zamieszanie, denerwujecie ludzi i przeszkadzacie policji. - Nikki otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Morrisette nie dopuściła jej do słowa: - I nie chrań mi tu o wolności prasy i prawach ludzi do informacji, bo to bzdury!

- Chyba już zrozumiała - wtrącił Reed.

- Oby. - Morrisette znalazła paczkę marlboro i wytrząsnęła ostatniego papierosa. - Bez wygłupów, dobra? - powiedziała Reedowi, zginiatając pustą paczkę i wrzucając ją do kosza na śmieci.

- Postaram się - odparł lodowatym tonem.

Jego była partnerka zrozumiała od razu.

- Tak, może trochę przesadziłam, ale jestem zmęczona i nie życzę sobie, żeby ktoś mi mówił, jak mam pracować. Wracam do domu, do dzieci. Pewnie już śpią i nawet nie wiedzą, że mnie nie ma... To nie jest robota dla matki, mówię wam. - Włożyła papierosa w usta, z których dawno już zesza nałożona przed kilkoma godzinami szminka.

- Ale przecież nie możecie przestać go szukać - jęknęła Nikki, zamartwiając się o Simone. Piesek zaskamlał, więc postawiła go na podłodze. - Nie teraz... - Zwracając błagalny wzrok na Reeda, dodała: - Liczy się każda sekunda. Może Simone jest właśnie w trumnie, próbuje się wydostać, słyszy, jak ziemia pada na wieko. Wyobraź sobie, przez co ona może przechodzić. Musimy ją znaleźć. Nie możemy się poddać.

- Nikt się nie poddaje! - Morrisette obróciła się gwałtownie i spojrzała na Nikki. Była wściekła. - Jeśli nie zauważyłaś, Gillette, zapieprzamy przy tej sprawie bez wytchnienia, a ty tylko przeszkadzasz. Jeśli potrafisz podać mi chociaż jeden rozsądny powód, dla którego powinnam tu zostać, zamiast iść do domu, to mów! - Czekwała. Papieros drżał w jej ustach.

- Spokojnie, Sylvie - ostrzegł Reed. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Po prostu trzymaj ją w ryzach, jasne?

- Nikt nie utrzyma mnie w ryzach - wycedziła Nikki.

- Właśnie w tym problem. Jesteś nieobliczalna, Gillette, a ja, mówię szczerze, nie mam czasu na użeranie się z tobą. - Morrisette spojrzała gniewnie na Reeda. - Dziwi mnie, że ty to wytrzymujesz. - Wyciągając z kieszeni zapalniczkę, wybiegła z gabinetu. Jej buty podzwaniały z każdym gniewnym krokiem, a złość wylewała się z niej niemal widocznymi falami.

Nikki nagle wydało się, że runął na nią cały świat. Stała bezradna w gabinecie Reeda. Piesek Simone dreptał wokół niej.

- To moja wina - powiedziała. Było jej przykro, że ktoś, nawet ta furiatka Morrisette, mógłby powiedzieć, że przedkładała chęć napisania dobrego artykułu nad życie przyjaciółki. - Nie przyszedł tu z powodu artykułu - powiedziała przygnębiona. - Ja tylko chcę odnaleźć Simone. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Zrobić wszystko, co tylko można, żeby ją uratować.

- Wiem. - Powiedział to niezwykle łagodnie, patrząc na nią ze współczuciem.

Wiedziała, że ją rozumie. Przecież ten podły maniak zabił kobietę, którą Reed kiedyś kochał, i dziecko, którego już nigdy nie zobaczy.

- Przykro mi - szepnęła. - Z powodu twojej straty i...

Wziął ją w ramiona i oparł podbródek na jej głowie. Był taki silny. Męski. Wiedziała, że może na nim polegać. Przytuliła się mocno i walczyła ze łzami, które napłynęły jej do oczu. Ale przecież płacz nie pomoże Simone. Ani zamartwianie się. Trzeba działać. Znaleźć drania, który to robił, i zatrzymać go. Szybko.

Nagle Reed zeszytywniał i opuścił ręce. Ktoś odchrząknął. Instynktownie cofnęła się o krok i odwróciła. W drzwiach stał Cliff Siebert.

- Pani Gillette - powiedział obojętnie. - Jest pani ostatnią osobą, jaką spodziewałbym się tu zastać.

- Właśnie jadę do domu - odparła. - Jestem tu, bo zaginęła moja przyjaciółka.

- Słyszałem. - Złagodniał. - Przykro mi,

- Mam nadzieję, że policja ją znajdzie. I to szybko. Chodź, Mikado.

Cliff krótko kiwnął głową.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

- Dzięki - odparła i ugryzła się w język. Omal nie zwróciła się do niego po imieniu, co zdradziłoby Reedowi, że się przyjaźnią. Detektyw nie wiedział o ich znajomości, nie miał pojęcia, że Siebert udziela jej informacji, i chciała, żeby tak zostało. Podniosła kundelka.

- Podwożę cię - zaproponował Reed, a ona blado się uśmiechnęła. Wskazała na Mikada. - Piesek też może jechać.

- Świetnie. - Wychodząc z Reedem z komisariatu, czuła na sobie wzrok Cliffa, ale była zbyt zrozpaczona i zmęczona, żeby się zastanawiać, co on o niej pomyśli. Zresztą to nie była jego sprawa. Na dworze miała wrażenie, że przenika ją ciemna, wilgotna noc. Na ulicach nikogo nie było, a opustoszałe miasto wyglądało ponuro i niesamowicie. Niebieskawe światło latarni odbijało się w mokrych chodnikach.

Wsiadła do cadillaca i, biorąc Mikada na kolana, oparła się ciężko o drzwi. Reed bez słowa usiadł za kierownicą i wyjechał z parkingu, po czym ruszył w stronę jej domu. Była bardzo zmęczona, bolały ją mięśnie, a w głowie miała mętlik. Głaskała psa i bezskutecznie starała się odpędzić wyrzuty sumienia. Gdzie jest Simone? Czy porwał ją ten potwór? Błagam, Boże, spraw, żeby nic jej się nie stało. Nie odbieraj jej życia, Nie pozwól, żeby umarła powolną, okropną śmiercią.

Ulice były puste. Ciemność rozjaśniały nieliczne światła w dużych, starych domach. Reed milczał, więc Nikki słyszała tylko warkot silnika, szmer obracających się opon oraz trzaski i strzępy rozmów z radia, nastawionego na częstotliwość policyjną. Piesek Simone oparł się przednimi łapkami o szybę, przycisnął nos do zaparowanego szkła i patrzył. Nikki starała się nie myśleć o przyjaciółce, nie wyobrażać sobie potworności, przez które mogła przechodzić.

W końcu milczenie stało się nieznośne.

- Gdzie ona jest?

- Nie zdręczaj się - powiedział Reed, jadąc swoim wielkim samochodem przez wąskie, boczne uliczki. Drogę przebiegł przestraszony kot i zaraz precyzyjnie się przez żelazne pręty ogrodzenia. - To nie twoja wina.

- Powinna była się z nią spotkać.

- Przecież nie mogłaś. Nie wiedziałaś, że jesteście umówione. Ktoś ukradł ci telefon.

- Byłam nieostrożna.

- To bez znaczenia. - Pokonał ostatni zakręt, wjechał na parking i zatrzymał samochód obok subaru Nikki. - Znalazłby sposób, żeby do niej dotrzeć. Posłużył się twoim telefonem, ale gdyby to było niemożliwe, wymyśliłby coś innego. Ten psychopata ma plan. - Wyłączył zapłon. W stygnącym silniku coś stuknęło.

- Jednak czuję się za to odpowiedzialna - wyznała, sięgając do klamki. Zaparowane okna samochodu odgradzały ich od zewnętrznego świata.

- Ja też.

- Ale ty nie jesteś jej najlepszym przyjacielem. - Poklepała Mikada, który w odpowiedzi zamerdał krótkim ogonkiem.

- To prawda. Nawet jej nie znam. Ale jestem gliniarzem. Staram się przygwoździć tego sukinsyna. To moje

zadanie. Na razie nie udało mi się go wykonać.

- Kiedyś jeden mądry człowiek powiedział mi: „Nie zadrećzaj się”. - Ze smutnym uśmiechem przypomniała Reedowi jego własne słowa.

- Chyba nie aż taki mądry... Ale spróbuję skorzystać z tej rady.

- Złapiesz Chevaliera.

Kiwnął głową i, masując kark, spojrzął w ciemność za przednią szybą.

- Daleko nie ucieknie. - Jednak w jego głosie była nutka niepewności, której Nikki nigdy dotąd nie słyszała. - Ale...

- Ale co? - zapytała i wyraźnie zobaczyła wahanie na jego twarzy. Zmrużył oczy, żeby nie oślepiły go światła nadjeżdżającego samochodu. - Coś cię niepokoi, prawda?

- Wiele mnie niepokoi.

- Proszę, Reed, powiedz. I nie dodawaj już, żebym tego nie drukowała. Nie ma takiej potrzeby. Dobrze wiem, że wszystko, o czym rozmawiamy, jest poufne. - Mikado, jakby chciał podkreślić znaczenie jej słów, nagle zawarczał. Od jego oddechu szyba po stronie pasażera zaparowała jeszcze bardziej. Kiedy Reed nie odpowiadał, ponagliła: Powiedz mi. O co chodzi? Coś cię drećzy.

- Och, cholera. - Reed tak mocno zacisnął dłoń na kierownicy, że zbieleły mu kostki. - Coś mi tu nie gra. Bardzo chcę, żeby Chevalier okazał się zabójcą. Chcę go przywoździć i jestem pewien, że ma coś wspólnego z tymi morderstwami. Przecież giną członkowie ławy przysięgłych, która go skazała... Ale pamiętam LeRoya Chevaliera. Był brutalnym chamem. Skrytym. Wrednym. Złym. Taki człowiek potrafi sterroryzować członków własnej rodziny. Torturować ich. Ale nie wyobrażam sobie, żeby pisał wierszyki, dziecinne wyliczanki i wciągał nas w grę, jeśli można to tak nazwać. To nie w jego stylu. Jeśli przez dwanaście lat w więzieniu gruntownie nie nauczył się informatyki, to wątpię, żeby miał inteligencję czy ochotę, by zastawiać na nas wymyślne pułapki. Wyszedł z więzienia. Udało mu się. Dlaczego miałby to teraz zmarnować? Nie, coś tu nie pasuje. Tylko nie wiem co.

- Nie rozumiem - powiedziała, targając futerko Mikada. Ale przeszył ją lodowaty dreszcz. Jeśli Reed się nie mylił... to tylko pogarszało sytuację. Bardzo chciała wierzyć, że sprawcą zabójstw jest LeRoy Chevalier. Chciała znać twarz i nazwisko potwora, który grasował na ulicach Savannah.

- Jak już powiedziałem, Chevalier był, i zapewne nadal jest, brutalem i chamem. To zboczeniec, zwyrodnialec. Ale nie podejrzewam go o wyrafinowanie. W całej tej sprawie bardzo mnie dziwiło, że Carol Legittel, wykształcona kobieta, w ogóle się z nim związała.

- To się zdarza. Czasami kobiety adwokaci wiążą się ze swoimi klientami. Gwałcicielami. Mordercami. Tacy dranie je pociągają.

- Absurd!

- Nie przeczę, ale jeśli dobrze pamiętam, to Carol Legittel straciła pracę, nie dostawała alimentów od byłego męża i opiekowała się trójką nastoletnich dzieci. Kiedy poznała Chevaliera, tkwiła po uszy w długach. A on miał dobrą pracę, był kierowcą. Moim zdaniem Carol była zdesperowana.

- Ale chyba mogłaby sobie wybrać kogoś lepszego.

- Może pociągało ją, że był taki nieokrzesany? Kto wie?

- Właśnie. Kto wie? - mruknął Reed.

- Pewnie nigdy się już nie dowiemy. Dobranoc, Reed. - Otworzyła drzwi i w samochodzie zapaliło się światelko.

- Zaczekaj. - Chwycił ją za ramię, zanim zdążyła wysiąść. - Nie chcę, żebyś była dziś tu sama. - Mówił cicho, prawie szeptem. Nikki zaskoczyło, że po plecach przebiegł jej dreszcz. Mocne palce trzymały jej rękę.

- Podrywasz mnie? - zapytała, próbując obrócić to w żart.

- Po prostu się martwię.

- Poradzę sobie.

- Na pewno? - Po jego minie widziała, że jej nie wierzy.

- Chcesz wejść? - zapytała. - Czy nie?

Zawahał się. Spojrzął w okna jej mieszkania w wieżycze.

- To nie jest dobry pomysł.

Poczula rozczarowanie, ale zdobyła się na uśmiech.

- Więc nie wchodź.

- Nie możesz przenocować gdzie indziej?

- To mój dom. Wymieniłam zamki. - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - A teraz mam Mikada, psa obronnego.

Reed prychnął, patrząc na kundelka.

- Tak, on na pewno cię obroni. Nie możesz się przespać u rodziców?

- Nie mam już trzynastu lat, Reed - powiedziała, przypominając sobie bezsenną noc w swoim dawnym łóżku i kłótnię rodziców. - Poza tym nie byłam członkiem ławy przysięgłych podczas procesu Chevaliera, więc nie jestem potencjalną ofiarą. Nie sądzę, żeby coś mi groziło.

Dłoń na jej rękawie zacisnęła się mocniej. Reed miał twarz spiętą ze zdenerwowania.

- Nikt nie może się czuć bezpiecznie, dopóki ten bydlak jest na wolności. Nie zanocowałabyś u siostry?
- Nikki zadrzała na myśl o apodyktycznej, wiecznie nadąsanej Lily. Na pewno wielokrotnie usłyszałaby pytanie: „A nie mówiłam?”
- Tylko nie to! Lily jest niewiele lepsza od Grabarza. A mój brat Kyle to wariat, w dodatku uczulony na psią sierść. Żadne z nich nie będzie zadowolone, jeśli w środku nocy zapukam do ich drzwi. Poza tym nikt nie zabroni mi spać we własnym mieszkaniu. - Wzięła torebkę i uwolniła się z jego uścisku. - Nawet Grabarz.
- To ktoś więcej niż przezwisko w twoich artykułach, Nikki. On jest zabójcą, morduje z zimną krwią. I sprawia mu przyjemność grzebanie ludzi żywcem. Wiem, że zmieniłaś zamki, ale co to da? Kiedyś już wszedł. Założyliśmy, że miał klucz, ale przecież mógł się posłużyć wytrychem.
- Teraz mam zasuwkę.
- Która nie gwarantuje ci bezpieczeństwa.
- Próbujesz mnie przestraszyć.
- A żebyś wiedziała.
- Dobrze. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Ale ja zostanę tutaj. We własnym domu. - Spojrzała na jego palce, wciągnęła na swoim rękawie. - No to jak, Reed? Idziesz na górę czy nie?

Byli razem. Stojąc na dzwonnicy pobliskiego kościoła, Mściciel ustawił odpowiednio lornetkę i patrzył, jak Reed wysiada z samochodu i wchodzi z Nikki Gillette oraz tym małym kundlem po schodach do jej mieszkania.

Zastanawiał się, czy gliniarz zostanie tam na noc.

Czy już byli kochankami.

Widział, że coś się między nimi zaczyna. Przypuszczał, że to tylko kwestia czasu, kiedy wylądują w łóżku. Złościło go to.

Nikki Gillette była dziwką. Tak jak tamte. A jednak był o nią trochę zazdrosny. Jej romans z Reedem, nawet najbardziej płomienny, szybko się skończy. Już on tego dopilnuje. Przytrzymując lornetkę jedną ręką, drugą sięgnął do kieszeni, przesunął gotowy pakiecik i natrafił na gładki materiał. Stojąc sam na dzwonnicy, dotykał jedwabnych majtek, które zabrał z jej szuflady. Majtek Nikki. Rzadko pozwalał sobie na luksus wyjęcia skarbu z komody, ale uznał, że dziś to konieczne.

Jedwab i koronka wydawały mu się niebiańsko gładkie, gdy dotykał ich stwardniałymi opuszkami. Oblizwał usta, czując narastające pożądanie. Bardzo chciał ją zgwałcić, rzucić na łóżko albo, jeszcze lepiej, do trumny, i robić to raz po raz. Krzyki protestu zmieniałyby się w jęki rozkoszy. Błagałaby go, żeby darował jej życie i żeby dalej się z nią pieprzył. Wyobrażał sobie, jak leży pod nim spocona i wije się z rozkoszy...

Dotykając jej majtek, poczuł, że członek mu twardnieje. Pot wystąpił mu na czoło, w śliskiej dłoni z trudem trzymał lornetkę.

Przez mocne soczewki widział, jak Reed bierze od niej klucze i wkłada je do zamka, a potem ostrożnie otwiera drzwi i zapala światło.

Nie wiedzieli, że ich obserwuje. Chociaż miał dobrą lornetkę, widział słabo, gdyż lampa nad drzwiami mieszkania Nikki dawała mało światła, podobnie jak uliczne latarnie. Mimo to dostrzegł intymny gest Reeda. Gliniarz rozejrzał się po mieszkaniu, a potem położył dłoń na plecach Nikki i delikatnie wprowadził ją do środka. Pochylił się ku niej i na pewno szepnął, że jest bezpieczna.

I chyba pewnie nawet w to wierzył.

Ale się mylił.

Bardzo się mylił.

Rozdział 26

Nie powinienem zostawać tu na noc. O, nie. W żadnym razie.

Ale Reed nie mógł wyjść z mieszkania Nikki Gillette. Miał przecucie, że morderca jednak wziął ją na cel. W San Francisco nie udało mu się ochronić kobiety, którą powierzono jego opiece. Widział jej śmierć, lecz nie mógł nic zrobić.

Poza tym Grabarz zamordował Bobbi Jean i dziecko. Reed nie mógł pozwolić, żeby taki sam los spotkał Nikki. Postanowił ją chronić, nawet gdyby protestowała. Stał więc, bardzo zakłopotany, w jej małym pokoju dziennym, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nikki postawiła pieska na podłodze. Kot wskoczył na blat kuchenny i, prężąc grzbiet, wpatrywał się w intruza. Zdjęła płaszcz, po czym położyła torebkę i laptopa na podłodze przy biurku. Spojrzała na automatyczną sekretarkę.

- Żadnych wiadomości. - Głos jej się załamał, nogi ugięły. - Simone nie oddzwoniła. - Walnęła pięścią w blat biurka. - Do diabła z tym wszystkim, Reed. On ją ma - szepnęła. Zacisnęła dłoń tak mocno, że aż widać było żyły.

- Ten drań ją porwał.

- Nie myśl o tym.

Uciszyła go spojrzeniem.

- Jak mogę myśleć o czymś innym?

- Nie wiem, ale postaraj się.

- Próbuję. Tylko że to niemożliwe. - Rozprostowała palce i głośno westchnęła. - Jak myślisz, co jej zrobił? Jak ją zwał? Chybaby się zorientowała, gdyby się za mnie przebrał? Gdzie ją dopadł? Na parkingu? Kiedy wyszła z restauracji?

- Nie zadreżaj się - poprosił.

- To silniejsze ode mnie. - Przechesała palcami potargane włosy, które opadły jej na oczy. - Widzę ją. W trumnie. Widzę, jak się budzi. I bardzo chce się wydostać.

Nie mógł już się powstrzymać. Podeszedł do Nikki i objął ją.

- Cicho... - szepnął jej do ucha. - Nie dręcz się. To ci nie pomoże.

- Mam straszne wyrzuty sumienia.

- Nie myśl o tym. Musisz wziąć się w garść. Tylko tak możemy jej pomóc. Może... weź prysznic... i połóż się... postaraj się odprężyć - zaproponował, czując, jaka jest spięta. - Musisz się przespać. Rano będziesz myśleć jaśniej... Obojgu nam sen dobrze zrobi.

- Zostaniesz tu?

- Chyba że wyrzucisz mnie na ulicę.

Prychnęła, zabrzmiało to prawie jak śmiech, jakby wyobraziła sobie, że to robi, i bardzo ją to ubawiło.

- A wtedy będą spał w samochodzie.

- Na dworze jest zimno.

Uniół jedno ramię.

- Nie aż tak. Mieszkałem w San Francisco. Pamiętasz?

- Tak. - Odchyliła głowę w tył, żeby spojrzeć mu w oczy, a on wciąż ją obejmował i trzymał blisko siebie. Za blisko. Ich biodra dotykały się przez ubranie, jej nogi były wtulone w jego nogi. - Chyba jednak nie musisz spać w cadillacu.

- Dzięki.

Przyglądając mu się uważnie, jakby nagle spojrzęła na niego innymi oczami, dodała:

- Postaram się skorzystać z twojej rady... żeby... myśleć pozytywnie, mieć nadzieję, że uratujemy Simone. Spróbuję się nie załamać ani nie zwariować.

- O nic więcej nie proszę.

Z niedowierzaniem uniosła brew.

- Och, myślę, że mógłbyś prosić o wiele więcej. - Była tak blisko, że dobrze widział piegi na jej nosie. Obserwował grę emocji na drobnej twarzy, gdy próbowała się uspokoić.

- To byłby błąd.

- Na pewno. - Ale nie odsunęła się. Dolna warga lekko jej drżała, a on poczuł, że musi ją pocałować. Bardzo chciał oderwać jej myśli od bólu, który przeżywała tego wieczoru.

Ale co dalej? Nie rób tego, Reed, przestrzegł się, nie przekraczaj granicy, bo nie będziesz mógł się wycofać.

- Najlepiej będzie...

- Właśnie, najlepiej.

- ...nie tracić perspektywy - dokończył, chociaż krew krążyła mu szybciej, bo czuł jej bliskość, bardzo chciał ją tulić, całować, dotykać.

- I skupić się na tym, co trzeba zrobić - dodała. Odniosł wrażenie, że powiedziała to wbrew sobie.

- Tak, skupić się. - Spojrzał jej prosto w oczy i dostrzegł w nich iskierkę pożądania. A może była to desperacja? Łatwo by było iść z nią do łóżka. Dziś, po tym, co przeszła, potrzebowała pocieszenia i chętnie by się z nim kochała. Może nawet bardzo chętnie. Ale rano wszystko by się zmieniło. - Skupić się - powtórzył, karcąc się w myślach za własne pożądanie. Kobiety zawsze były jego piętą achillesową. Wątpił, żeby to kiedykolwiek się zmieniło. Ale teraz nie chciał popełnić kolejnego błędu. Nie z tą kobietą. - Warto jest się skupić. - Pocałował ją w czubek głowy i wypuścił z objęć.

- Wcale nie wiem, czy warto. - Jeśli była rozczarowana, to dobrze to ukryła. Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- W porządku. - Wzruszyła ramionami, obróciła się i poszła do kuchni. - Czy... chciałbyś się czegoś napić? Chyba mam piwo. - Otworzyła lodówkę, pochyliła się i z dezaprobatą spojrzęła na, jak się domyślił, skromną zawartość. - Mam jedno jasne piwo i butelkę taniego wina.

Chciał zaprotestować, ale ubiegła go:

- Tylko nie chrań, że jesteś na służbie, bo oboje wiemy, że nie jesteś, a w dodatku odsunięto cię od sprawy i nie powinieneś być w moim mieszkaniu. To jest jak spiskowanie z wrogiem, zgadza się? Dlatego kieliszek nie najlepszego kalifornijskiego wina już ci nie zaszkodzi.

- Nie przepadam za winem.

- Pozwól, że ja się napiję - powiedziała, zdjęła buty i zostawiła je pośrodku kuchni. - Skoro zostajesz, może zdejmiesz kurtkę? - Chociaż próbowała się uśmiechnąć, jej głos nie był wesoły, nie pojawił się też dołeczek w policzku. Spojrzała na niego przez ramię i zobaczył, że oczy jej pociemniały. Miały niesamowity wyraz. Z ich zielonej głębi wзираło zmartwienie i strach.

Zarzucił kurtkę na oparcie jednego z kuchennych krzeseł i powiesił kaburę z pistoletem.

- Cały czas to nosisz? - zapytała, choć знаła odpowiedź. Nieraz widziała to charakterystyczne wybrzuszenie pod ubraniem.

- Lubię być przygotowany.

- Prawdziwy skaut, co?

Prychnął.

- Dawno nikt nie powiedział mi nic takiego.

- W takim razie zapomnij, że ja to powiedziałam. - Trochę się odprężyła. Znowu zajrzała do lodówki. - Więc... do rzeczy. Zobaczmy... Jest. - Wyjęła schłodzoną butelkę, zamknęła drzwi lodówki i, hałasując, zaczęła grzebać w szufladzie, aż znalazła korkociąg. - Kiepsko mi idzie otwieranie butelek - przyznała się. - Może ty to zrobisz?

Zadowolony, że się na coś przyda, podwinął rękawy, otworzył butelkę i nalał im chardonnay.

- Wypijmy... za lepsze dni. - Trącił jej kieliszek.

- Za o wiele lepsze dni. I noce.

- Amen. - Upił łyk.

Wino nie było takie złe i Reed poczuł, że trochę się odprężyła. Napięcie mięśni barków nieco zelżało, szczęki nie były już tak mocno zaciśnięte. Nikki też chyba trochę się zrelaksowała. Wyraz niepokoju nie zniknął z jej oczu, ale nie gryzła już warg. Między pierwszym a drugim kieliszkiem wina zdążyła się przebrać w koszulę nocną i szlafrok.

Nawet kot trochę się uspokoił, chociaż, siedząc na biurku, nie spuszczał z oczu psa. Mikado zjadł miseczkę suchej kocięj karmy i ułożył się na posłaniu z koców, które Nikki zrobiła mu przy drzwiach.

- Jak myślisz, gdzie jest Chevalier? - zapytała, kiedy dopiła drugi kieliszek. Wskazała podbródkiem okno. - Na zewnątrz.

- Gdzieś tam. - Bardzo się niepokoił.

- Wciąż nie jesteś przekonany, że to on jest Grabarzem? - zapytała, ziewając.

- Czy byłby aż tak głupi? Żeby wyjść z więzienia i od razu zacząć wykańczać sędziów przysięgłych, którzy wsadzili go za kratki?

- Niektórzy zabójcy nie potrafią się powstrzymać. Zabijanie ich podnieca. Nie ma to nic wspólnego z logiką. Kurczę, jestem nieżywa ze zmęczenia - jęknęła i skrzywiła się. - Przepraszam. To nie najlepsze słowo.

- Połóż się - powiedział.

- A ty?

- Prześpię się tutaj. - Poklepał poduszki na kanapce.

- Jest za mała.

- Bywało gorzej. Więcej tu miejsca niż w moim samochodzie.

Omali się nie rozeźmiała. Przeszła przez pokój i pocałowała Reeda w policzek.

- Jak na starego, skostniałego gliniarza - powiedziała - jesteś uroczym mężczyzną.

- Tylko nikomu o tym nie mów. Zniszczyłabyś mi dobrą opinię na posterunku.

Wtedy się zaśmiała, a on starał się nie widzieć jej przejrzywej koszuli nocnej, gdy rozchyliły się poły jej szlafroka, ani rowka między piersiami, ani też zarysu sutka, gdy się nad nim pochyliła.

- Nie martw się. Na pewno już jest dość zszargana.

- Chyba tak.

- Nie „chyba”.

Wtedy ją pocałował. Złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie, a kiedy się na niego przewróciła, przycisnął usta do jej ust z namiętnością, jakiej się po sobie nie spodziewał. Nie opierała się, odwzajemniła pocałunek. Zamknął oczy, poczuł przyływ adrenaliny, skóra paliła go jak ogień, a członek stwardniał.

Nie rób tego, Reed.

Jeszcze nie zrozumiałeś?

Pomyśl o Bobbi Jean.

Pamiętaj, co się z nią stało. I z dzieckiem.

Wplątał palce w jej włosy i przechylił jej głowę w bok, tak żeby musnąć ustami czułe miejsce u nasady szyi. Poczuł, że Nikki drży.

Objęła go ramionami i głośno westchnęła.

- Reed, ja... nie wiem...

- Cicho, kochanie - szepnął jej do ucha. - Chciałem ci tylko powiedzieć „dobranoc”.

- Akurat. - Odsunęła się lekko. - Oboje chcieliśmy o wiele więcej niż tylko pocałunku na dobranoc.

Uśmiechnął się.

- Cóż... przypuszczam, że tak.

- Nie ma tu czego przypuszczać, detektywie.

- Mogę zaczekać.

- Tak? - Jej zielone oczy zaśniły seksownie. Miała zarumienione policzki i po raz pierwszy od chwili, gdy dowiedziała się o zaginięciu Simone, pojawiły się w nich dołeczki. Pocałowała Reeda w czoło. - Na pewno? - zapytała niskim, zmysłowym głosem.

- Tak, ale ty nie ułatwiasz sprawy.
- Na tym właśnie polega mój diaboliczny plan - przekomarzała się. Westchnęła i odgarnęła włosy z oczu. - Ty i ja? Kto by pomyślał?
- Ja nie - powiedział.
- Ja też nie. Nawet nie byłam pewna, czy cię lubię.
- A ja doskonale wiedziałem, że cię nie lubię. No, teraz powinniśmy iść spać. Zanim zrobimy coś, czego oboje będziemy żałować. - Wyprostował się i żartobliwie poklepał ją po pupie.
- Obiecanki cacanki. - Wyjęła z antycznej szafy kołdrę i poduszkę i rzuciła nimi w Reeda. - Śpij grzecznie - powiedziała, wchodząc do sypialni.

Został na kanapie, ale wciąż widział jej biodra, poruszające się pod białym szlafrokiem, i płataninę rudoblonde loków na plecach. Wciąż był seksualnie podniecony.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i Reed usłyszał szcęk zasuwki. Co ja sobie wyobrażałem? - pomyślał. Omal nie przespałem się z Nikki Gillette. To zły pomysł. Fatalny. Byłbym idiotą, widząc w niej kogoś innego niż tylko reporterkę z tego szmatławca „Sentinela”. Jak słusznie kiedyś zauważyła, byli wrogami. Mimo to wciąż miał przed oczami jej pochyloną sylwetkę i podniecające piersi.

Wiedział, że nie zaśnie.

Przecież była tak blisko niego, leżała w łóżku z włosami rozrzuconymi wokół pięknej, inteligentnej twarzy. Pomyślał o jej jędrnym ciele pod cienką, przejrzystą koszulą nocną.

Tak, to będzie długa noc.

Podłożył rękę pod głowę, odpędził erotyczne myśli o Nikki Gillette i zaczął przypominać sobie LeRoya Chevaliera i jego proces sprzed dwunastu lat.

Adwokat odmienił Chevaliera. Dżinsy i roboczą koszulę zastąpiły: elegancki, granatowy garnitur, biała koszula i krawat w stonowanych barwach. Zapuszczone, zaniedbane włosy i kudłata broda? Gdzieżby! Chevalier był gładko ogolony i ostrzyżony najeża, niemal po wojskowemu. Wszyscy zobaczyli jego twarz: mocno zarysowaną szczękę, wydatny nos i duże, wyraziste oczy pod szerokimi, ciemnymi brwiami. Chevalier nie wyglądał już niechlujnie, schudł kilka kilogramów i zachowywał się jak należy. W sali sądowej prezentował się raczej jak dyrektor lub członek ekskluzywnego klubu niż kierowca ciężarówki, wielokrotnie karany za bójkę w barach i przemoc wobec domowników.

LeRoy Chevalier roztrzaskał kiedyś kij bilardowy na głowie jakiegoś mężczyzny. Innym razem kopał swoją konkubinę podkutymi butami, tak że złamał jej nos i obojczyk. Wreszcie aresztowano go za próbę gwałtu na czternastolatce, siostrzenicy kolejnej przyjaciółki. We wszystkich tych przypadkach wymiar sprawiedliwości obchodził się z nim łagodnie i Chevalier odsiadywał krótkie wyroki.

Był podłym, agresywnym draniem, a za morderstwo Carol Legittel i jej dzieci powinien zostać ukarany śmiercią. Sąd, w porozumieniu z ławą przysięgłych, wydał wyrok trzykrotnego dożywocia za zabicie Carol, Becky i Marlina Legittelów.

Podczas procesu obrońca Chevaliera próbował mataczyć. Twierdził, że wszystkiemu winien jest biologiczny ojciec dzieci, Stephen, uzależniony od kokainy i również wielokrotnie karany za przemoc. Chociaż Stephen nie miał zbyt mocnego alibi - jego stary znajomy powiedział, że byli razem na polowaniu - to dowody jednoznacznie wskazywały na LeRoya Chevaliera.

Najmłodszy syn Carol, Joey, który przeżył, choć odniósł poważne obrażenia i przez kilka tygodni przebywał w szpitalu, zeznawał przeciwko ojczymowi. Stojąc na miejscu dla świadków, był wyraźnie zakłopotany, bał się spojrzeć na Chevaliera, czasami zeznawał szeptem, tak cicho, że sędzia Ronald Gillette prosił go, by mówił głośniej.

Jego zeznania wraz z danymi z akt policyjnych, które dopuszczono jako dowody w procesie, oraz ślady, zebrane na miejscu zbrodni, w tym krwawy odcisk buta Chevaliera, przypieczętowały jego los.

Dopóki badania DNA nie podważyły wyroku.

Może nie do końca podważyły, ale obudziły uzasadnione wątpliwości. I to wystarczyło, żeby wypuszczono tego bydlaka na wolność.

Uzasadnione wątpliwości, akurat!

Dlaczego teraz, po wyjściu z więzienia, miałby zabijać i wodzić za nos policję? To nie miało sensu.

Reed słuchał, jak w powiewie wiatru gałęzie drzewa uderzają w okno i zastanawiał się, czy Nikki, w swojej sypialni, może spać. Przez chwilę chciał do niej pójść, ale się powstrzymał. Nie powinien kusić losu. I tak już posunął się za daleko.

Gdzie ja jestem?

Simone otworzyła oczy. Spała albo... albo straciła przytomność... Teraz czuła się tak, jakby coś wielkiego ciążyło jej na piersi. Było jej niewygodnie, oddychała z trudem. Ten koszmarny sen był taki rzeczywisty... zresztą wiedziała, że to wszystko wcale jej się nie śni. Raczej zemdląca. W trumnie ze zwłokami.

O, Boże... Traciła i odzyskiwała świadomość, próbując walczyć, wymyślić sposób, żeby się uwolnić, ale leżące

pod nią zwłoki, zamknięcie i brak powietrza odbierały jej zdolność logicznego myślenia.

Krzyknęła jak najgłośniejsz i aż drgnęła, gdy dźwięk wrócił do niej, odbijając się od ścian trumny, jakby atakował ją milionem igiełek. Wydawało jej się, że coś poruszyło się pod jej karkiem, więc krzyknęła jeszcze raz.

Nie było nadziei. Nie mogła uciec. Miała wrażenie, że wije się pod nią coś śliskiego. Kości drapały jej naga skórę, myśli wirowały w głowie jak tysiące zadających ból odłamków. Zalały ją wspomnienia o Andrew.

W głębi duszy, w jej najciemniejszym zakątku, wiedziała, że umrze. Racjonalnie mogła już myśleć tylko o zwłokach pod nią, o ostrych żebrach i kościstych palcach, które ją uwierały. Zadrżała i poczuła, że śliska tkanka przykleja się do jej skóry i włosów.

Z oczu popłynęły łzy. Zakasłała i bezskutecznie próbowała wciągnąć choć trochę powietrza w zbolące płuca. Coraz słabiej kopała w ścianki trumny. Brakowało jej tlenu.

W ostatnim przytomnym przeblysku uświadomiła sobie, jaki los ją czeka.

Samotna śmierć.

Straszliwa śmierć.

Pomyślała o Andrew i wydała z siebie ostatni, przeszywający krzyk.

Zapach kawy i szczekanie psa obudziły Nikki z ciężkiego, nocnego koszmaru. Czowała tępy, pulsujący ból za oczami i ucisk w klatce piersiowej. Wytłumaczyła sobie, że to skutki złych snów.

Otworzyła oczy. O, Boże, Simone zaginęła. A Pierce Reed jest w salonie... to jej się nie śniło. Szczeka Mikado. Odrzuciła kołdrę, poszła do łazienki, skorzystała z toalety i spryskała sobie twarz zimną wodą. Wyglądała okropnie. Pod oczami miała czarne smugi tuszu do rzęs, a włosy jeszcze bardziej potargane niż zwykle. Ale teraz nie mogła nic z tym zrobić.

Ściągnęła włosy w koński ogon, umyła twarz, włożyła spodnie khaki i bluzkę z dzianiny, po czym otworzyła drzwi. Natychmiast skoczył na nią Mikado.

- Cześć, jak się masz? - zapytała, drapiąc pieska za uszami,

- Ucieka przed tobą - zauważył złośliwie Reed, bo piesek puścił się pędem wokół stolika.

Siedzący na półce z książkami Jennings patrzył na to białe tornado z iście kocią pogardą.

Wreszcie złapała psa i w nagrodę została polizana po twarzy.

- Wolnego, mały - powiedziała, chichocząc, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- Kawy? - Reed napełnił duży kubek z dzbanka, w którym najwyraźniej właśnie zaparzył kawę. Jego twarz pokrywał ciemny zarost, miał potargane włosy, koszula wystawała mu ze spodni i był bosy, ale i tak wyglądał bardzo seksownie, gdy zerknął na nią przez ramię. - Czarnej?

- Dziś tak. Im czarniejsza, tym lepsza. - Przypomniała sobie, że wypila więcej wina, niż powinna, że całowała go na małej kanapie i że zaledwie przed kilkoma godzinami omal nie zaczęła się z nim kochać. Dziś, w biały dzień, wydało jej się to głupie. Postawiła na podłodze wijącego się Mikada, a on natychmiast pobiegł do kuchni i zajrzał do pustej miseczki Jenningsa.

- Nie daj mu się nabrać. Już go nakarmiłem i wyprowadziłem na poranny spacer.

- No i zaparzyłeś kawę.

- Nie ma to jak poranna energia. - Podał jej parujący kubek. Wzięła go z wdzięcznością.

- Tak, ale teraz masz poważny kłopot, Reed, bo poznałam twój sekret - powiedziała, dmuchając na kawę.

Uniósł brew, w milczeniu zachęcając Nikki, by to wyjaśniła. Oparł się biodrami o blat i pił kawę z wyszczerbionego kubka, który przed laty kupiła na wyprzedazy.

- Twardy detektyw nocą, gosposia rano.

Omiał się nie udławił.

- To właśnie ja.

- Mógłbyś w ten sposób dorabiać.

- Może będę musiał - przyznał. - Po tej sprawie prawdopodobnie stracę odznakę.

- Strata munduru, zysk dla koła gospodyń... - zażartowała. Upiła łyk kawy, gorącej i mocnej.

- Tylko tego nie drukuj!

- *Moi?* - zapytała kpiarskim tonem, kładąc rękę na sercu. - Nigdy!

- Akurat. - Wypił kawę, wylał fusy do zlewu, a potem włożył skarpetki i buty. - Było miło, ale obowiązek wzywa. - Wcisnął koszulę w spodnie, założył kaburę z bronią i wziął kurtkę.

- Zadzwoń do mnie - poprosiła. - Jeśli dowiesz się czegoś o Simone.

- Dobrze. - Ruszył w stronę drzwi, ale nagle się odwrócił i odchrząknął. - Co do ostatniej nocy...

- Nie. - Podniosła rękę i powiedziała: - Zapomnijmy o tym.

Poczuł, że jego usta same układają się w uśmiechu.

- Tylko wyjaśnijmy sobie jedną sprawę.

- Jaką?

Chociaż wiedział, że pewnie popełnia błąd, którego będzie żałował przez resztę życia, podszedł do Nikki, wyjął kubek z jej palców, objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Co ty...

Pocałował ją. Namiętnie. Żeby nie miała wątpliwości co do jego uczuć. Drgnęła, ale po chwili odwzajemniła pocałunek, tuląc się do niego i obejmując go rękami za szyję. Wreszcie uniósł głowę.

- Czy teraz wszystko jest jasne?

Spojrzała na niego zaspanymi, zielonymi oczami.

- I to jak, detektywie. I to jak.

Sylvie Morrisette docisnęła pedał gazu w swoim małym samochodzie i szybko pokonała zakręt. Jechała do pracy. Odwiozła już dzieci do szkoły i przedszkola. Na szczęście zarówno jej córka, jak i syn byli zdrowi i nie musieli siedzieć w domu. Chyba też nie cierpieli z powodu braku kontaktu z matką. Na szczęście Bart, ich bezrobotny, splukany ojciec, obiecał, że się nimi zajmie. Sylvie była mu za to bardzo wdzięczna. Chyba rozumiał, że dopóki Grabarz nie zostanie ujęty, ona musi pracować po godzinach.

Tęskniła za współpracą z Reedem.

Cliff Siebert był obraźliwym dupkiem. Byстрыm, ale z wadami. Przyjaciółka Morrisette, Celia, kiedyś wyraziła opinię, że wszyscy mężczyźni są z natury wadliwi. Sylvie uważała męskie wady za fatalne.

Dowodem na to było zachowanie Reeda.

Odbiło mu do reszty?

Włożyła do odtwarzacza swój ulubiony kompakt, Alabama, podkreśliła basy i samochód wypełniła muzyka country. Co ten Reed sobie wyobrażał, wiążąc się z Nikki Gillette? Mógłby się wypierać, ale Sylvie wiedziała swoje. Przecież widziała ich razem poprzedniego wieczoru. Facet na własne życzenie pakował się w kłopoty. Czy niczego się nie nauczył przy Bobbi Jean Marx?

Morrisette wcisnęła samochodową zapalniczkę, hamując na żółtym świetle. Przedtem nie uważała Pierce'a Reeda za idiotę, ale teraz doszła do wniosku, że się myliła. Wzięła paczkę marlboro lights i wytrząsnęła papierosa. Przy kobietach Reed myślał futem. Zapalniczka wyskoczyła, więc Sylvie zapaliła papierosa właśnie w chwili, gdy światło zmieniło się na zielone. Opuściła szybę i skręciła w ulicę, prowadzącą na posterunek.

Zapiszczał jej telefon komórkowy.

- Chwileczkę, dobrze? - warknęła, ścisząc muzykę płynącą z odtwarzacza i otwierając klapkę telefonu. - Detektyw Morrisette.

- Gdzie jesteś? - Cliff Siebert.

- Parkuję. Za pół minuty będę na górze.

- Nie wchodź - powiedział. - Właśnie dostałem wezwanie od strażnika cementarza Peltiera.

- Nic nie mów. To znowu ten drań.

- Masz rację. Na miejsce wysłano już patrol i zawiadomiono Diane Moses.

- Dobrze, ważniaku. Jedźmy tam i zobaczmy, co się dzieje.

- Już schodzę - powiedział Cliff i się rozłączył.

Morrisette mocno zaciągnęła się papierosem, myśląc, że wolałaby teraz czekać na Reeda.

Właśnie w tym momencie na parking wjechało el dorado.

Nikki przebiegła między kałużami na parkingu, trzymając torebkę nad głową, bo lało jak z cebra. Kilka razy przekręciła kluczyk w zamku samochodu, aż zorientowała się, że subaru jest otwarte.

- Idiotka - mruknęła, czując, jak krople deszczu wpadają jej za kołnierz. Na pewno wczoraj w pośpiechu zapomniała zamknąć auto, jakby się prosiła, żeby ktoś coś jej ukradł. Na szczęście magnetofon był na swoim miejscu.

Rzuciła torebkę i laptopa na siedzenie pasażera, usiadła za kierownicą i przeczesła włosy dłonią. Wyglądała tak fatalnie, jak się czuła. Złe spała, zresztą tylko kilka godzin. Ale musiała jechać do pracy i dokładnie przestudiować wszystkie informacje o Grabarzu, jakie miała. Ten drań porwał jej przyjaciółkę, więc Nikki przysięgła, że zrobi wszystko, by go znaleźć. Postanowiła przeszukać Internet i archiwum gazety oraz porozmawiać z tymi, którzy wiedzieli coś o LeRoyu Chevalierze i jego przeklętym procesie. Zwłaszcza z żyjącymi członkami ławy przysięgłych. Może któryś z nich ostatnio widział Chevaliera... Postanowiła też pogadać z rannym chłopakiem w Dahlonga. A także z Kenem Sternem, bratem Carol Legittel, ze Stephenem i Joeyem Legittelami oraz ze wszystkimi innymi ludźmi, którzy mieli jakikolwiek związek z procesem. Zamierzała szukać do skutku.

Uznając, że jej fryzury i makijażowi nic już nie pomoże, włożyła kluczyk do stacyjki. Nagle zauważyła swój telefon komórkowy w uchwycie na kubek.

Jej dłonie znieruchomiały na kierownicy. W nocy telefonu nie było. Na pewno nie było! Szukali z Reedem... Poczowała ucisk w żołądku na myśl, że ktoś ją obserwował. I czekał. Z trudem przełknęła ślinę i rozejrzała się przez zaparowane okna. Nikogo nie zauważyła. Popatrzyła na tylne siedzenie, ale samochód był pusty. Nakazując sobie spokój, wzięła telefon i sprawdziła, czy były jakieś nowe wiadomości... nie. Ale na liście nieodebranych połączeń był numer Simone.

- O, Boże. - Zagryzła wargę i wcisnęła przycisk, żeby wyświetlić ostatni wybrany numer. To też był numer

Simone.

- Cholera! - Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, i już miała zadzwonić do Reeda, gdy zauważyła róg koperty, wystający spod siedzenia pasażera. To na pewno były stare notatki, musiały wypaść jej z torby. Tylko że nie pamiętała, żeby coś zgubiła.

Nigdy nie widziała tej koperty.

Ktoś pewnie ją zostawił, gdy przyniósł telefon. Ktoś, kto obserwował jej dom. Kto prawdopodobnie widział, jak wróciła. Z Reedem.

Ze strachu serce waliło jej jak oszalałe.

Wyszarpnęła kopertę spod siedzenia. Była przerażona, miała złe przeczucie. Koperta, bez adresu i znaczka, nie była zaklejona. W środku znajdowała się kasetka magnetofonowa. Od Grabarza.

Był w jej samochodzie, i to dwa razy. Pierwszy raz, żeby ukraść telefon, drugi - żeby go oddać i podrzucić kopertę. Zaszło jej w ustach. Jeszcze raz nerwowo spojrzała przez wszystkie okna, ale nie zauważyła nic niezwykłego w ten szary, grudniowy poranek.

Pomyślała, że powinna zanieść kopertę do swojego mieszkania, zamknąć drzwi na klucz i zadzwonić po Reeda. Ale zamiast tego zamknęła od środka drzwi samochodu. Jakby to mogło pomóc. Przecież on miał klucz. Chyba że zostawiła otwarte auto.

Włączyła silnik i wycofała z miejsca parkingowego. Ten drań mógł ją obserwować nawet teraz, ukryty gdzieś w porannej mgle. Drżącymi na kierownicy rękami wyprowadziła samochód z parkingu i pojechała w stronę posterunku policji.

Na pierwszym czerwonym świetle włożyła kasetę do odtwarzacza. Przez chwilę była tylko cisza, szum taśmy i stłumione trzaski. Potem Nikki usłyszała nagły odgłos uderzenia i kobiecy głos.

- Ooochch... - Długi, przesywający dźwięk.

Zjeżyły jej się włoski na karku.

Chwila ciszy... i kolejny jęk bólu.

Zaszło jej w ustach.

Odgłos drapania i głośniejsze jęki.

- Jezu... - szepnęła Nikki z sercem w gardle. - Nie. - Kręciło jej się w głowie, palce zacisnęły się na kierownicy. To niemożliwe! Niemożliwe!

Z kasety dobiegały kolejne jęki, odgłosy drapania i... o Boże... usłyszała głos Simone tak wyraźnie, jakby przyjaciółka siedziała obok niej.

- Nie! Wypuść mnie... proszę... - błagała Simone.

Nikki bezwiednie podniosła dłoń do ust, by stłumić krzyk przerażenia. Nie, nie, nie! Piekły ją oczy i gardło. Nie Simone! Tylko nie Simone!

- Pomóż mi! Ratunku! Boże, błagam, ocal mnie! - krzyczała Simone, gorączkowo w coś uderzając i drapiąc.

- Proszę, nie - szepnęła Nikki, wyobrażając sobie panikę przyjaciółki, zamkniętej w trumnie i zakopanej pod ziemią.

Głośne uderzenie. Potem krzyk.

Nikki podskoczyła. Jej noga zsunęła się z hamulca.

Samochód wyrwał się w przód, zanim się zorientowała i zahamowała. Nie zwracała uwagi na inne auta i dźwięk klaksonów. Słyszała tylko przyjaciółkę. Tylko ją sobie wyobrażała. Nagą. Zmarzniętą. Przerażoną.

Z kasety dobiegał chrapliwy oddech i odgłosy uderzeń. A także jęki. I płacz.

Nikki dostała gęsiej skórki. Z oczu popłynęły jej łzy.

Ktoś zatrąbił. Zorientowała się, że światło się zmieniło. Wcisnęła gaz i przejechała z piskiem opon przez skrzyżowanie, prawie nie zauważając kierowcy ciężarówki, który gniewnie pogroził jej ręką. Skupiła całą uwagę na odgłosach drapania, jękach i krzykach paniki, płynących z głośników. Z trudem wjechała w następną ulicę.

Dygotała na całym ciele. Jakoś udało jej się zaparkować.

Z oczu płynęły jej strumienie łez. Subaru przejechało jeszcze kawałek na luzie. Z magnetofonu dobiegały dźwięki drapania i uderzeń, a także płacz.

- Pomocy... błagam... Andrew? Nikki? Niech mi ktoś pomoże... zrobię wszystko... gdzie ja jestem?

Nikki nie mogła opanować drżenia. Simone płakała i szeptała coś bez sensu. Nikki czuła jej rozpacz. Strach. A raczej wielkie przerażenie.

- Och, nie... - szepnęła. - Nie! Nie! - Uderzyła pięścią w kierownicę w geście gniewu i bezradności.

Przez chwilę z kasety nie dobiegały żadne dźwięki, a potem znów rozległ się głos Simone. Cichszy, słabszy, jakby gasł. Z trudem łapała powietrze.

- Nic nie widzę... proszę, wypuść mnie stąd - błagała, a Nikki zacisnęła oczy, jakby mogła w ten sposób odpędzić upiorny obraz przyjaciółki, leżącej gdzieś w trumnie, na pewno na czyichś zwłokach, oddychającej resztkami powietrza. - Och, pomocy...

- Bardzo chciałabym ci pomóc - wydusiła Nikki, wiedząc w głębi serca, że jest już za późno.

Nagle w samochodzie rozległ się przerażający krzyk cierpienia i strachu. Nikki wiedziała, że nie zapomni go do

końca życia. Otworzyła drzwi i zwymiotowała na ulicę, cały czas słysząc jęki, dobiegające z głośników.

Wreszcie usiadła prosto, wytarła usta rękawem i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie przerażenie przyjaciółki.

- Błagam, Boże... nie pozwól, żebym umarła samotnie...

Rozległ się rozdzierający krzyk. Nikki głośno zaszlochała.

- Nie... nie, proszę, Simone...

Wyteńczyła słuch, ale nic już nie usłyszała.

Tylko zimny syk pustej kasety.

Rozdział 27

Kłopoty na cmentarzu Peltiera - powiedziała Morrisette, gdy Reed wysiadał ze swojego cadillaca. Stała na parkingu przed posterunkiem, otworzyła już drzwi radiowozu i, czekając, ostatni raz zaciągnęła się papierosem. Cliff Siebert był gotów do akcji. Słyszając jej słowa, Reed zeszytniał. Ofiarą na pewno była Simone Everly. Wiedział, że Nikki będzie zrozpaczona. - Wczoraj w nocy ktoś rozkopał grób.

- Cholera. - Reed zacisnął zęby tak mocno, że zabolą go szczeka.

- Hej! On nie bierze udziału w śledztwie - przypomniał jej obrażonym tonem Siebert. - Jedźmy już.

- Zaraz, zaraz, koleś. - Morrisette wyglądała na wkurzoną i bardzo zmęczoną. Wrzuciła niedopałek do kałuży, gdzie zgasł z sykiem. Ta sprawa ją wykańczała, podobnie jak pozostałych. - Mamy trochę czasu - burknęła. - Wysłano już patrol, jedźcie też zespół Diane Moses.

- Tak, ale to nasze śledztwo.

- Już jedziemy. Daj mi tylko chwilę. - Morrisette energicznie zatrasnęła drzwi po stronie kierowcy. Młodszy policjant usiadł po stronie pasażera. - Nerwowy idiota - mruknęła pod nosem do Reeda. - Nie wiemy na pewno, ale przypuszczamy, że w tej trumnie jest Simone Everly. Może chcesz z nami jechać, a potem sam zawiadomić Nikki Gillette? Wiem, że były sobie bliskie i, cholera jasna... wczoraj ostro na nią naskoczyłam.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że leży tam ktoś inny? - zapytała Morrisette.

Reed nie chciał o tym myśleć.

- Spotkamy się na miejscu - powiedział.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Na wyświetlaczu pojawił się numer Nikki.

Albo kogoś, kto ukradł jej telefon.

Odebrał ze ściśniętym żołądkiem.

- Reed - powiedział, gdy Morrisette wsiadła do radiowozu i wyjechała z miejsca parkingowego...

- Dzięki Bogu. Pierce... och... on znowu się ze mną skontaktował - wykrztusiła.

- Kto? - Ale przecież wiedział. Ruszył w stronę swojego samochodu.

- Dostałam paczkę. Kasetę... och... Boże, to Simone. On ją zabił. Ten przeklęty drań pogrzebał ją żywcem i wysłał mi nagranie. - Płakała, krztusiła się i pociągała nosem.

- Gdzie jesteś? - Przytrzymując telefon przy uchu, znalazł kluczyki i włączył silnik.

- W uliczce. Niedaleko posterunku. - Podała nazwę ulicy.

- Jesteś bezpieczna?

- Jak to?

- Czy ktoś cię śledził? - Wyjechał cadillakiem na ulicę.

- O Jezu... - szepnęła i przez chwilę milczała. - Nie wiem.

- Zamknij drzwi i nie przerywaj połączenia. Będę przy tobie za dziesięć minut.

- Dobrze.

Dojechał w siedem minut, a Nikki nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa na widok drugiego człowieka. Szybko otworzyła drzwi samochodu i rzuciła się w ramiona Reeda.

- Sukinsyn! Ten cholerny bydlak ją zamordował. - Chciała się w niego wtulić, oderwać od rzeczywistości, znaleźć pocieszenie w tym silnym mężczyźnie.

- Cicho... - Szepnął w jej włosy, mokre od deszczu, który nieprzerwanie padał z szarego nieba nad Savannah. Przytulił ją mocno. Bardzo mocno. Czuł, że tak trzeba. Jestem przy tobie.

Zadrzała, starając się nie słyszeć już w sobie krzyków Simone. Choć wiedziała, że jej rozpacz i tak nie pomoże przyjaciółce, czuła się emocjonalnie rozbita na milion cierpiących cząstek.

- Zostawił to w moim samochodzie - powiedziała, pociągając nosem i odchylając w tył głowę, żeby spojrzeć na Reeda. Zobaczyła, że jest bardzo zmartwiony.

- Czy samochód był zamknięty?

- Nie, ale może zapomniałam... Wcześniej już włamał się do samochodu. Wziął moją komórkę.

- Masz zapasowe kluczyki?

- Nie... a właściwie tak. Zostawiłam je u taty, wiele lat temu, razem z kluczami do mieszkania. Na wszelki wypadek. Takie zabezpieczenie.

- Nikomu innemu ich nie dałaś?

- Nie, chyba nie...
- Simone?
Nikki prychnęła na myśl o eleganckim bmw przyjaciółki.
- Nigdy nie pożyczała ode mnie samochodu.
- A twój były chłopak?
- Sean?
- Tak.
- Ostatnio nie. Ale to możliwe. Przez lata pożyczałam samochód wielu osobom. Jest tak stary, że ma magnetofon, a nie kompakt.
- Mogę zobaczyć kasetę?
Kiwnęła głową.
- Posłuchać?
- O, Boże.
- Nie muszę teraz.
- Nie... wytrzymam. - Z ociąganiem wysunęła się z jego objęć i oboje wsiedli do subaru. Nikki zapaliła silnik i cofnęła taśmę, a potem włączyła przycisk odtwarzania. Głos Simone znów wypełnił mały samochód, a przed oczami Nikki przesuwwały się straszliwe obrazy. W końcu była już tylko cisza.
- Jezu - szepnął Reed. Zabrzmiało to prawie jak modlitwa.
- Ona nie żyje... - Nikki poczuła, że do oczu znowu napływają jej łzy żalu, bólu i poczucia winy. Ogromnego poczucia winy. Gdyby wczoraj spotkała się z przyjaciółką... Gdyby zadzwoniła...
Wziął ją za rękę. Wplótł swoje palce w jej palce.
- Znowu ktoś rozkopał grób na cmentarzu.
Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.
- Znaleźliście ją?
- Jeszcze nie wiem. Wysłano patrol na cmentarz Peltiera, tuż za miastem.
- Musimy tam jechać. Natychmiast.
- Nie będę mógł cię zabrać na miejsce zbrodni - powiedział ponuro, mocniej ściskając jej dłoń. - Możesz siedzieć w samochodzie lub dołączyć do dziennikarzy, ale dalej nie pójdziesz.
- Ale dasz mi znać, czy ofiara to Simone.
- Oczywiście.
Oparła głowę o zagłówek, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. Jake Vaughn kazał im tak oddychać przed i po zajęciach z kick boxingu.
- Dobrze - powiedziała. - Jedźmy.
- Najpierw muszę wziąć kasetę, Nikki.
Otworzyła oczy i skinęła głową.
- A twój telefon komórkowy?
- Ale... - Chciała zaprotestować, lecz umilkła. Policja potrzebowała wszystkiego, czego dotykał zabójca, żeby zebrać dowody.
- Dotykałaś telefonu i kasyety bez rękawiczek?
- Niestety tak. Moje odciski na pewno na nich są, ale policja ma je też w aktach. - Gdy spojrział na nią pytająco, dodała: - Przed kilku laty zdarzył się nieprzyjemny incydent. Chyba opowiadałam ci o Coreyu Sellwoodzie. Był wtedy nastolatkiem. Myślałam, że mnie podgląda, więc policja pobrała moje odciski, żeby porównać je z innymi w domu.
- Ale nikt inny nie dotykał telefonu ani kasyety, odkąd znalazłaś je rano?
- Nie.
- Zaczekaj chwilę. - Patrzyła, jak idzie do swojego cadillaca i wyjmując ze schowka dwie plastikowe torebki.
Wrócił do jej samochodu, przez chusteczkę wziął telefon i umieścił go w jednej z torebek, a potem ostrożnie wyjął kasetę z potwornym nagraniem z magnetofonu i wrzucił do drugiej. Pokazała mu kopertę, więc też ją wziął i włożył do torebki z kasetą.
- Będę musiał zabrać twój samochód na posterunek - powiedział. - Może ten bydlak zostawił jakieś ślady.
- Zaraz, zaraz, Reed, nie mogę zostać bez samochodu. - Mimo rozpaczy nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś zabierze jej subaru.
- Nikki - powiedział z wyrzutem, a ona już się nie spierała.
- Dobrze, dobrze. Tylko zawieź mnie do wypożyczalni samochodów, kiedy będziemy wracać z cmentarza.
- Jesteś pewna, że chcesz tam jechać?
- Absolutnie.
Reed wezwał ludzi po jej samochód. Gdy przyjechali policjanci i laweta, Nikki podpisała wszystkie konieczne dokumenty, wsiadła do cadillaca Reeda i, gdy jechali mokrymi ulicami w stronę granic miasta, milczała, z sercem ściśniętym z przerażenia. Miała wrażenie, że świat pociemniał i jest jeszcze gorzej niż wczoraj.

Co zrobi, kiedy pozna prawdę? Pogna do redakcji i napisze osobisty artykuł, bo przyjaźniła się z ofiarą? Będzie ciężko pracować, żeby ubiec rywali po ostatnim zabójstwie Grabarza?

Prawie nie zauważyła zmiany scenerii, gdy dotarli do zakola rzeki, gdzie kiedyś rozciągała się plantacja Peltierów. Teraz wokół głównej bramy cementarza stały radiowozy, furgonetki stacji telewizyjnych i nieoznakowane samochody. Bramy strzegł mundurowy policjant. Wpuszczał funkcjonariuszy, ale zatrzymywał gapiów i reporterów.

Reed minął samochód telewizji WKAM i zaparkował za furgonetką zespołu oględzinowego. Wyglądając przez okno, Nikki zauważyła Normę Metzgera, który właśnie podjechał swoją impalą. Na szczęście nawet nie zerknął w jej stronę, tylko od razu dołączył do tłumu przy bramie. Nikki nagle poczuła, że ta gorączka mediów jest skierowana przeciwko niej osobiście. I było to okropne. Ludzie z magnetofonami i kamerami, jej koledzy po fachu, byli żądni informacji. Nieważne, jaka wydarzyła się tragedia. Oni poszukiwali sensacji. Nie obchodziło ich, że Simone Everly była żywą, kochającą, uroczą kobietą. Człowiekiem, a nie tylko tematem artykułu.

Ile razy stałam z nimi przed miejscem zbrodni? Jak często byłam gotowa na wszystko, byleby czegoś się dowiedzieć? Z iloma zrozpaczonymi osobami próbowałam przeprowadzić wywiad, szukając w ich osobistej tragedii czegoś dla siebie, tej jednej, kluczowej informacji, dzięki której mój artykuł trafiłby na pierwszą stronę?

Zabolała ją żołądek i pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Gdyby istniała jakakolwiek szansa, że Simone przeżyła... gdyby Grabarz choć jeden raz okazał litość... ale wiedziała, że tak nie jest. Kasetą była dowodem na to, co się stało.

Patrzyła przez zalaną deszczem przednią szybę, jak Metzger i pozostali wyciągają szyje, żeby lepiej widzieć. Operatorzy wysoko podnosili ręczne kamery, mając nadzieję, że zarejestrują choćby ślad zbrodni Grabarza. W górze warkotał śmigłowiec. Stacja telewizyjna chciała zdobyć panoramiczne zdjęcia z lotu ptaka. Obiektyw miał zarejestrować pracę policjantów, ekshumację trumny, a może nawet jej otwarcie. Nikki czuła przeszywający żal i ogromne wyrzuty sumienia.

Znów ścisnął się jej żołądek. Otworzyła drzwi po stronie kierowcy i zwymiotowała na zgniecioną kołami trawę. Nie dbała o to, czy ktoś ją zobaczy. Nie zwracając uwagi na płynące po twarzy łzy, kasłała i ocierała usta. Myślała tylko o jednym - że nie może dopuścić, by temu łajdakowi zbrodnia uszła na sucho. Nie mógł dalej terroryzować miasta i zabijać kolejnych ofiar. Ten przeklęty Grabarz kontaktował się z nią. Wykorzystywał ją. Nadszedł czas, by odwrócić role.

Znajdzie tego sukinsyna i pokaże mu!

Z ekshumacją trumny trzeba było poczekać, aż technicy zbiorą wszystkie dowody z okolicy grobu. Zmierzyli i sfotografowali odciski butów, sporządzili odlewy, przeczyszczyli teren w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogło pomóc w ustaleniu tożsamości Grabarza. Funkcjonariusze policji Savannah pracowali ramię w ramię z agentami FBI. Dowodziły dwie osoby: Morrisette i agent Haskins, chudy jak szczapa, piegowaty, z haczykowatym nosem. Cliff Siebert trzymał się w pobliżu. Miał nieprzenikloną minę. Na widok Reeda wyraźnie się spał.

Pierce stał w pośpiesznie rozbitym namiocie. Wiedział, kogo znajdują w grobie Tyrella Demonico Browna, kolejnego sędziego przysięgłego z procesu Chevaliera.

Tyrell Brown, jak już poinformowała Reeda Morrisette, zmarł zaledwie przed miesiącem. Miał wypadek samochodowy na autostradzie międzystanowej. Przebita opona, duża zawartość alkoholu we krwi i brak pasa bezpieczeństwa sprawiły, że trzydziestosiedmioletni mężczyzna osierocił dwójkę dzieci.

- Filmujecie kamerą wideo wszystkich, którzy się tu kręcą? - zwrócił się do Morrisette.

Posłała mu karcące spojrzenie, które mówiło, że nie powinien był o to pytać.

- Tak. Porównamy ten materiał z kasetami z miejsc poprzednich zbrodni. Zobaczymy, czy są jacyś goście specjalni.

- Dobrze. Sprawdziliście już Seana Hawke i Coreya Sellwooda?

- Jeszcze nie całkiem, ale oczywiście nad tym pracujemy. - Ze ściągniętymi ustami dodała: - Chociaż wiemy, że sprawcą jest Chevalier.

- Racja. - Reed nie mógł się z nią nie zgodzić. Osoba Chevaliera łączyła wszystkie zabójstwa. Miało też sens, że Chevalier się z nim kontaktował, bo to przecież on pomógł przy aresztowaniu. Starszy detektyw, który go wsadził, Clive Bateman, już nie żył. Zmarł z powodu alkoholizmu w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat.

Reed aż nazbyt wyraźnie pamiętał tamtą sprawę i zdarzenia, które doprowadziły do brutalnego morderstwa Carol. Zanim jeszcze zaczął służbę w wydziale zabójstw, on i inni detektywi wielokrotnie dostawali wezwania do domu Chevaliera, rudery z zaniedbanym podwórkiem i psem, uwiązany do drzewa. Ile razy widział pobitą Carol i jej dzieci? Ile razy odmówiła złożenia skargi? Dobrze pamiętał jeden taki incydent. Stał wtedy na ganku ich małego domu.

Muchy i komary brzęczały wokół jego głowy, pies czekał, a trójka dzieci Carol kręciła się po podwórku. Marlin, najstarszy chłopiec, grzebał w starym dodge'u, który rdzewiał przed domem. Włosy opadały mu na oczy. Podejrzliwie spojrzał na Reeda i wytarł dłonie tłustą szmatą. Młodszy chłopiec, Joey, stał przy bracie i zaglądał pod maskę auta. Reed pomyślał, że silnik starego grata na pewno nie działał od bardzo, bardzo dawna. Joey też patrzył na Reeda, gdy detektyw namawiał ich posiniaczoną matkę do złożenia doniesienia o przestępstwie.

Córka Carol, Becky, bezczelnie paliła papierosa przed domem i oganiała się od much.

- Ona tego nie robi - wtrąciła, odrzucając brudne włosy do tyłu.
- Cicho. To nie twoja sprawa. - Jedno oko Carol było opuchnięte i przekrwione. Otaczał je duży siniak. Nie miała jeszcze wtedy złamanego nosa ani szczęki, ale i bez tego wyglądała bardzo źle.
- Nie moja sprawa? - powtórzyła Becky, wypuszczając dym nosem. - To pewnie też nie moja sprawa, że ten gruby, stary zbo...
- Przestań! - Carol odwróciła się do Reeda. - Proszę stąd iść, detektywie. Denerwuje pan moją rodzinę.
- Nie ja denerwuję pani dzieci. - Reedowi ścisnął się żołądek. Był pewien, że cała ta cholerna rodzina pada ofiarą porywczosci i ciężkich pięści Chevaliera.
- Wynos się! - Marlin wszedł na ganek i stanął między matką a Reedem. - Mama nie chce pomocy policji!
- Ale on ma rację - zaprotestował Joey. Był chudy i niezdamny. Wszedł na schodki ganku tuż za bratem. Miał smutne oczy. - Detektyw ma rację.
- Pani Legittel, proszę się teraz nie wycofywać. Niech pani złoży skargę, dla dobra dzieci i własnego bezpieczeństwa.
- Niech pan już idzie, detektywie Reed. To sprawa rodzinna.
- Tata by ci tego nie zrobił! - upierał się Joey. - On by nas nie zmuszał...
- Nie wiesz, co by zrobił wasz ojciec - wybuchła Carol. - To wariat.
- Ale nie kazałby...
- Zamknij się, Joseph! Nie znasz swojego ojca. Nie tak dobrze jak ja.
- Chcę u niego mieszkać.
- Tak? Na miłość boską, nie wytrzymałbyś z tym sukinsynem nawet dziesięciu minut. Już nie pamiętasz, że nas wyrzucił? Wszystkich. On cię nie kocha, Joey. - Jej zacięte rysy trochę złagodniały. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć twarzy najmłodszego syna, ale chłopiec się odsunął. - Stephen Legittel nie zna miłości. Umie tylko nienawidzić.
- A co wie o miłości LeRoy? - zapytała Becky. - To wariat, mammo. Zboczeniec.
- Opiekuje się nami.

Becky prychnęła i zdusiła papierosa w doniczce ze schnącymi petuniami.

- Jasne. - Spojrzała na Reeda. - Niech pan tu więcej nie przychodzi. To strata czasu. - Wskazała podbródkiem matkę. - Ona nie będzie pana słuchać.
- Zgadza się - potwierdził Marlin, wbijając wzrok w deski podłogi i zaciskając brudne ręce w pięści.

Ma wyrzuty sumienia, pomyślał Reed, bo jest najstarszym synem, a nie potrafi obronić matki przed potworem, z którym się związała.

- Nie! Niech pan nie idzie! - Joey spojrzał swoimi wielkimi oczami na Reeda. - Pan może go aresztować. I wsadzić do więzienia.
- Jeśli wasza mama złoży doniesienie o przestępstwie.

Joey obrócił się tak szybko, że omal nie upadł, i spojrzał gniewnie na kobietę, za której sprawą znalazł się w tym piekle.

- Musisz to zrobić. Musisz.
- Joey, proszę.
- On nas pozabija, mammo. Zabije nas wszystkich!
- To uciekaj, mały tchórze - mruknęła Becky.
- Pani Legittel, to trzeba przerwać - powiedział Reed. - Mogę pani pomóc. - Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić.
- Niech pan nie jedzie - błagał Joey.
- Mógłbym zadzwonić do pogotowia opiekuńczego.
- Jeszcze czego! Wara od moich dzieci! Cicho bądź, Joey! - Objęła syna, jakby chciała go osłonić. - Mam tylko dzieci, detektywie Reed. Proszę mi ich nie odbierać.
- Chcę tylko panią chronić. Panią i dzieci.
- To niemożliwe - szepnęła, a z jej podbitego oka spłynęła łza. - Nikt nie może nam pomóc. Chodźcie do środka, dzieci. - Wprowadziła je do domu, a Reed poczuł w sobie pustkę.
- Wrócę tu.
- Niech pan sobie nie zawraca głowy. - Drzwi z podartą siatką na owady zamknęły się z trzaskiem, a pies zaczął głośno szczekać.

Reed stał na schodach i czuł się bezradny. Zatrzasnęły się też drzwi za siatką, spostrzegł, że jego wizytówka leży na podłodze ganku. Podniósł ją, położył na parapecie i zauważył poruszające się żaluzje. Ktoś na niego patrzył. To dobrze. Trzeba coś zrobić, bo może się spełnić obawa Joey'a, pomyślał wtedy, nie w pełni rozumiejąc, jak haniebnych czynów dopuszczał się Chevalier. Dopiero podczas procesu dowiedział się, w jaki sposób ten potwór maltretował dzieci i ich matkę. Molestował ich wszystkich i kazał dotykać się wzajemnie, czerpiąc z tego przyjemność.

LeRoy Chevalier nie powinien był nigdy wyjść z więzienia. Nigdy.

Teraz, stojąc w namiocie i czekając, aż trumna zostanie wyciągnięta z grobu i otwarta, zrozumiał, dlaczego zabójca się z nim kontaktował. Przecież to on aresztował Chevaliera i zeznawał na jego procesie.

Sprawę prowadził sędzia Ronald Gillette. Córka Wielkiego Rona była w tym czasie reporterką „Sentinela”. Kawałki układanki zaczęły składać się w całość. W tym chaosie była jednak logika.

LeRoy Chevalier musiał być zabójcą. Po prostu musiał. Reed był o tym niemal stuprocentowo przekonany. Poprzednie wątpliwości położył na karb swojego sceptycznego usposobienia. Przecież nigdy nie wierzył w to, czego nie zobaczył na własne oczy.

Teorie były tylko... domysłami.

Liczyły się dowody.

Podszedł do wyjścia z namiotu i spojrzał za bramę. Połowę parkingu zajmowały samochody, bezładnie zaparkowane pod ogromnymi dębami wirginijskimi. Zauważył, że Nikki wciąż jest w jego cadillacu. Siedziała skulona i wydawała się taka drobna i delikatna. Bardzo jej współczuł. Wiedział, że dręczą ją wyrzuty sumienia. Chociaż Nicole Gillette była bardzo silna, mogła nigdy nie pogodzić się ze straszną śmiercią przyjaciółki. Czowała się winna.

Nie mógł przewidzieć, jak ona sobie z tym poradzi. Nagle zobaczył, że drzwi samochodu się otwierają. Na chwilę zniknęła mu z oczu, bo się pochyliła. Na pewno zwymiotowała śniadanie. Obserwował ją, a ona usiadła z powrotem i wytarła usta rękawem. Nie widział jej rysów przez zaparowaną szybę, dostrzegał tylko drobną sylwetkę.

Zawsze uważał ją za skaranie boskie. Pochodziła z zamożnej rodziny, miała twardego charakter i bystry umysł, była natrętną reporterką i bardzo załaziła mu za skórę. Takich osób powinno się unikać. Teraz więc wolał się nie zastanawiać nad swoimi złożonymi i sprzecznymi uczuciami do niej. Zresztą nie było na to czasu.

Miał tylko nadzieję, że Nikki weźmie się w garść i że okaże się tak silna, za jaką wcześniej ją uważał - chociaż wtedy go to złościło. Cofnął się do namiotu i stanął pod plastikową ścianą.

Punkt kulminacyjny.

Trumnę wyjęto z grobu. Diane Moses wydawała krótkie rozkazy, wszystko skrupulatnie notowała i pilnowała, żeby jej ludzie niczego nie uszkodzili, żeby żaden dowód nie został uszkodzony. Sfotografowano trumnę, szukano śladów narzędzi, odcisków palców i zadrapań.

Reed czekał ze ściśniętym żołądkiem, aż policjanci podniosą wieko. Wschodni wiatr rozwiewał wydobywający się z trumny odór śmierci.

- Cholera - powiedziała Morrisette, odwracając wzrok od dwóch ciał.

Cliff Siebert długo się przyglądał, a potem również spojrzał w inną stronę.

- Sukinsyn.

- Znasz tę kobietę? - zapytała Diane.

- To Simone Everly. - Reed odwrócił się od otwartej trumny, nie mogąc patrzeć na posiniaczone, nagie ciało i nieruchome oczy przyjaciółki Nikki. Miała brudne, potargane włosy, zaplątane w szczątki, leżące pod nią, a skóra, w miejscach, w których nie była posiniaczona, przybrała bladoszary odcień. Twarz, kiedyś piękna, teraz była skrzywiona i okaleczona od uderzeń w wieko trumny. Palce, podobnie jak palce Bobbi, były zakrwawione i odarte ze skóry. - Wczoraj zaginęła.

- Tu coś jest... mikrofon i jakaś notatka. - Jeden z techników zczekał, aż fotograf zrobi zdjęcia, a potem ostrożnie wyjął kopertę z boku trumny. Była przyklejona taśmą tuż obok głowy Simone.

- Nie dotykajcie taśmy - ostrzegła ostrym głosem Diane. - Może są odciski palców.

Jeśli ten drań jest głupi albo nieuważny, pomyślał Reed, ale nic nie powiedział. Nie musiał. Wyręczyła go Morrisette.

- Wątpię, żeby Chevalier popełnił tak głupi błąd.

- Każdy może się pomylić.

Funkcjonariusz odkleił kopertę, na której drukowanymi literami było napisane nazwisko Reeda.

- Facet się na ciebie uwziął - mruknęła Morrisette.

Reed włożył rękawiczki, wyjął z koperty kartkę i przeczytał:

CZTERECH JUŻ TU NIE MA.

ZBYT WIELU BUDZI NIECHĘĆ.

JUŻ NIE DWANAŚCIE

TERAZ DZIESIĘĆ, DWA I PIĘĆ.

- Co to znaczy, do cholery? Czterech już nie ma? - warknęła Morrisette, wskazując otwartą trumnę. - Jak to czterech? Ja naliczyłam sześć ofiar.

- On chyba mówi, ile będzie ich w sumie. Spójrz na ostatnią linijkę. Dziesięć, dwa i pięć. Siedemnaście. - Reedowi kręciło się w głowie. Kilka razy przeczytał list, porównując go z poprzednimi, które otrzymał.

Myślał bardzo intensywnie. Dlaczego sprawca zwiększył liczbę ofiar? Czyżby jednak się mylili? Ale to przecież musi być robota Chevaliera. Wszystkie ofiary to członkowie ławy przysięgłych... przynajmniej na razie nie zginął nikt inny. Czy morderca poszerzył listę? Ale o kogo? I dlaczego?

- Nie rozumiem - mruknęła Morrisette.

- Niektóre osoby zmarły z przyczyn naturalnych, prawda? Może to ma na myśli. Zamierza zabić dwanaście, ale cztery już nie żyją.

- Trzy, Reed. - Wyciągnęła trzy palce i zginała je po kolei, mówiąc: - Brown, Alexander i Massey.

- Może jest ktoś jeszcze, kogo dotąd nie odnaleźliśmy.

- Sprawdziłam. Nie ma więcej zmarłych sędziów przysięgłych. Wszyscy pozostali żyją. To chyba obala teorię o ławie przysięgłych, co? Jeżeli ten świr nie jest bardzo przywiązany do liczby dwanaście, to mógłby zabić tylko kilku członków ławy i dać sobie spokój. Dlaczego liczba ofiar to nie dziewięć, ale siedemnaście? Przecież to bzdura! Bezsens.

- On daje nam wskazówkę - upierał się Reed.

- Albo po prostu sobie z nas kpi! - powiedziała z irytacją Morrisette.

Wiatr wydymał poły namiotu.

- Nie... chyba nie zadawałby sobie tyle trudu. W liście jest siedemnaście słów. Teraz ta liczba jest dla niego szczególnie ważna.

- Skoro uważasz, że rozumiesz proces myślowy tego wariata, to lepiej rozgryź jego zamiary, i to szybko.

Miała rację. Reed potarł kark, żałując, że nie rozumie tajemniczego listu. Policja ustaliła, że Pauline Alexander, Thomas Massey i Tyrell Demonico Brown byli jedynymi członkami ławy przysięgłych, którzy zmarli śmiercią naturalną. Natomiast Barbara Marx, Roberta Peters i teraz Simone Everly zostały pogrzebane żywcem. Zrobił to Grabarz. Pozostali członkowie ławy przysięgłych, sześć osób, żyli i byli pod ochroną policji. W sumie wszystkich było dwanaścioro. Dlaczego zwiększył liczbę ofiar aż o pięć? Co oznacza ta liczba? Pomyślał o Nikki i o tym, że Grabarz się z nią skontaktował. Chciał ją zastraszyć. Był w jej mieszkaniu. Założył tam podsłuch. Dlaczego? I dlaczego skontaktował się też z nim?

Ponieważ oboje mieliśmy coś wspólnego z procesem Chevaliera. To wszystko wiąże się z okresem, kiedy Chevalier został aresztowany i trafił do więzienia.

Reed przeczytał już wszystkie akta i notatki z procesu, przysłano mu też dane Chevaliera z więzienia. Nie znalazł nic, co mogłoby pomóc w śledztwie. Może gdyby żył starszy detektyw, który go aresztował, pamiętałby coś ważnego. Ale były partner Reeda dawno zmarł.

- Mówię ci, ten drań gra nam na nosie. Dziesięć, dwa i pięć? - Morrisette wyrwała go z rozmyślań.

- W ten sposób mówi nam, że będzie siedemnaście ciał, i, policz sama, w liście jest siedemnaście słów.

- Ale psychol - wtrącił Siebert.

Morrisette patrzyła na list takim wzrokiem, jakby był uosobieniem zła.

- Słuchajcie, to nie ma sensu. Coś mu się popieprzyło. - Cliff najwyraźniej nie popierał Reeda. - Ława przysięgłych przecież nie liczy siedemnastu członków.

- A co ze zmiennikami albo innymi ludźmi, biorącymi udział w procesie? - myślał głośno Reed. - Przecież ten facet nie działa racjonalnie.

- No właśnie. Cholera - mruknęła pod nosem Morrisette, marszcząc brwi.

Nowa wiadomość od Grabarza oznaczała, że będą kolejne ofiary. Dalsze zabójstwa. A dla policji - więcej pracy i większy stres.

- W ławie przysięgłych nie ma pięciu zmienników, przecież dobrze o tym wiesz. I dlaczego zwiększył liczbę ofiar właśnie teraz? - zastanawiała się Morrisette. Reed niemal widział poruszające się w jej mózgu trybiki. - Żeby zamącić nam w głowach? O, rany, co za chory drań. - Patrzyła na złowieszczą kartkę. - Przykro mi to mówić, ale myślę, że masz rację. Z jakiegoś powodu ten bydlak mówi o siedemnastu osobach.

- Sukinsyn - warknął Siebert.

Agent Haskins patrzył na list.

- Porozmawiam z naszą psycholog. Zobaczymy, co powie o sprawcy.

- O sprawcy? Uważasz, że to nie Chevalier? - Morrisette wymieniła spojrzenia z Reedem.

Agent FBI podniósł rękę.

- Staram się niczego nie zaniedbać, ale, podobnie jak wy, myślę, że to Chevalier. Wszyscy członkowie ławy przysięgłych, którzy nie umarli śmiercią naturalną, nawet ten Tyrell, zginęli po wyjściu Chevaliera z więzienia. Zbieg okoliczności?

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności - powiedziała Morrisette. - Ja uważam, że nic nie dzieje się bez powodu.

Zadzwoił telefon komórkowy Reeda. Detektyw odebrał, odwrócił się tyłem do kolegów i stanął pod wydętą połą namiotu.

- Reed - powiedział, widząc na wyświetlaczu, że ktoś dzwoni z innego stanu.

- Rick Bentz z policji w Nowym Orleanie. Prosiłeś o telefon, kiedy znajdziemy Vince'a Lassitera.

- Tak, prosiłem.

- Znaleźliśmy go dziś, w szpitalu w San Antonio. Przedawkował narkotyki. Nie miał dowodu tożsamości, więc minęło trochę czasu, zanim ustaliliśmy, że to on. Zgodnie z dokumentacją szpitalną, przyjęto go pięć dni temu, w śpiączce. Odzyskał przytomność wczoraj późnym wieczorem. To chyba nie jego szukacie.

- Na pewno nie - zgodził się Reed. Już dawno wykreślił brata Bobbi Jean z listy podejrzanych.
- Jak tam śledztwo?
- Dziś odkryliśmy kolejne ciało. Ten sam sposób działania. Ofiara pogrzebana żywcem.
- Cholera.
- Mamy tu piekło.
- Daj znać, jeśli będę mógł jeszcze się przydać.
- Dobrze. - Reed rozłączył się i pomyślał, że powinien porozmawiać z Nikki.

Wyszedł z namiotu i zobaczył, że siedzi sztywno w jego samochodzie, na miejscu pasażera. Inni reporterzy, tłoczący się przed bramą cmentarza, zaczęli zarzucać go pytaniami, ale on ich zignorował. Nawet się nie przywitał. Na pewno filmowano go ze śmigłowca stacji telewizyjnej i z ręcznych kamer operatorów, stojących za barierkami. Miał nadzieję, że zdjęcia nie zostaną pokazane przed oświadczeniem policji i że nikt nie rozpozna Nikki Gillette w jego samochodzie.

Czy to jednak było możliwe?

Bez słowa otworzył drzwi, usiadł za kierownicą i włączył silnik.

- Przykro mi - powiedział, a ona cicho krzyknęła. Odwróciła wzrok i wyglądała przez okno.

Odjechali spod cmentarza.

- Z kim była Simone? - zapytała.

- Z mężczyzną, nazywał się Tyrell Demonico Brown.

- Był w ławie przysięgłych?

- Tak.

Głośno pociągnęła nosem. Kątem oka widział, że zacisnęła zęby, jakby zmuszała się, żeby być silna. Pod wieloma względami była nieodrodną córką RONALDA Gillette'a.

- Dopadnij go, Reed - powiedziała, walcząc ze łzami. - Dorwij tego sukinsyna.

- Dorwę. - Skreślił w drogę wyjazdową z miasta. - Przyrzekam.

Nikki bardzo chciała mu wierzyć. Myśleć, że sprawiedliwości stanie się zadość i że Chevalier zgnije w piekle za swoje zbrodnie.

- Znaleźliście jakieś inne dowody?

- Kolejny list.

- O, Boże, nie.

- Adresowany do mnie.

- Co w nim było?

Reed opowiedział, a ona słuchała przerażona.

- Więcej? Więcej niż dwanaście ofiar? Siedemnaście - szepnęła, gdy przejeżdżali przez most na wyspę. - Dokąd jedziemy?

- W spokojne miejsce. Na krótko. Żeby się zastanowić.

- Na wyspę Tybee?

- Masz lepszy pomysł?

- Chciałabym, ale nie.

Zatrzymali się przy plaży i szli po wydmach porośniętych trawą, bez słowa, wdychając słony zapach morza, nad którym tworzyła się gęsta mgła. Reed objął Nikki ramieniem, a ona mocno się do niego przytuliła. Ból, który czuła, trochę zmalął, podobnie jak dręczące ją wyrzuty sumienia.

- Poradzisz sobie? - zapytał, a ona kiwnęła głową, mrużąc oczy. Wiatr targał jej włosy i szarpał poły płaszcza.

- Muszę. My, członkowie rodziny Gillette, zawsze dajemy sobie radę... cóż, oprócz Andrew. - Westchnęła i powiedziała głośno coś, o czym nikomu nie mówiła przez dwanaście lat. - Myślę, że popełnił samobójstwo. Podejrzewano wypadek i rodzice w to wierzą, ale Andrew nie umiał przegrywać. Nie dostał się na studia prawnicze na wybrany uniwersytet, mimo że tata próbował mu pomóc jako absolwent tej uczelni i znany sędzia. Dlatego postanowił odejść. - Mocno wcisnęła dłonie w kieszenie płaszcza i patrzyła na horyzont, gdzie szara woda stykała się z ciemnymi chmurami.

- Ale ty jesteś inna.

- Mam nadzieję. - Zdobyła się na słaby uśmiech. - No dobrze, detektywie. Przywiozłeś mnie tu, żebym trochę się uspokoiła, i pewnie też po to, żeby uciec od innych policjantów i dziennikarzy. Co teraz?

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, pochylił głowę i pocałował tak mocno, z taką desperacją, że nie mogła się oprzeć i odwzajemniła pocałunek. Pomimo huku morza słyszała bicie jego serca, spokojne i silne. Czuła jego ciepło, choć na dworze było chłodno, i uświadomiła sobie, że od kilku dni zakochuje się w tym szorstkim, upartym gliniarzu.

Wsunął język między jej wargi, więc rozchyliła usta i przytuliła się do niego; czuła jego ciało, napięte z pożądania. Zimowe powietrze wirowało wokół nich, morze było wzburzone, a Nikki na kilka minut zapomniała o bólu, żalu i poczuciu winy, o wszystkim poza tym jednym mężczyzną.

Tak dobrze było zapomnieć. Choćby na krótko.

Jęknął, podniósł głowę i trochę zwolnił uścisk.

- Przykro mi przerywać, ale mam pracę.
- Oboje mamy pracę - poprawiła. - Będę wszystko sprawdzać.
- Dobrze - powiedział łagodnie i spojrział na nią z troską. - Na pewno sobie poradzisz?
- Spróbuję się jakoś pozbierać.
- W takim razie zawiozę cię do wypożyczalni samochodów.
- Wspaniały pomysł, detektywie. - Wsiadła do cadillaca i pomyślała, że czeka ją spotkanie z Normem Metzgerem i Tomem Finkiem, którzy zadadzą jej mnóstwo pytań. Metzger widział ją z Reedem. Wiedziała, że będzie ostro, ale postanowiła się nie przejmować.
Chciała zrobić wszystko, żeby pomóc w wymierzeniu sprawiedliwości mordercy Simone.

To już.

Jest tak, jak być powinno.

Mściciel spojrział na nieruchome ciało na podłodze swojego pokoju. Nie martwe. Tylko nieruchome. Śmierć nadejdzie niedługo. Na ekranach telewizorów migały obrazy z cmentarza Peltiera. Roilo się tam od policji i agentów FBI. Wiedział, że tak będzie. Spodziewał się tego. Odwrócił ich uwagę.

Wszystkie stacje raz po raz pokazywały zdjęcia zrobione rano. Był bardzo zadowolony. Media wreszcie go zauważyły. Okazały mu należny szacunek.

Dwa telewizory były podłączone do odtwarzaczy DVD. Włączył swoje ulubione filmy. Te, z których bohaterami identyfikował się najbardziej. Na jednym z ekranów pojawił się Sylvester Stallone jako silny, przebiegły Rambo, na drugim smukły mściciel Neo w Matriksie.

On też był mścicielem. Szukał sprawiedliwości. Był ofiarą systemu i nie zamierzał darować ludziom, którzy pozwalali, by zbrodniarze byli bezkarni.

Nie patrząc już na ekrany, przeszedł przez niewielki pokój do komody. W migocącym, niebieskawym świetle telewizorów zobaczył odbicie swojej twarzy w popękany lustrze. Bardzo się postarzał przez ostatnie tygodnie, prawie nie poznawał sam siebie. Uznał, że to dobrze, bo w takim razie nie rozpoznają go też inni. Nie musiał się nawet przebierać.

Zresztą nadszedł czas, żeby zdjąć maskę.

Stanąc twarzą w twarz ze światem.

Powiedzieć, o co chodzi.

Spojrział na poplamiony blat komody. Przypomniawszy sobie, jak znalazła się tam krew i dlaczego te ciemne plamy na drewnie stały się dla niego święte. Delikatnie dotknął jednej plamki, potem drugiej. Pocierał je okrężnymi ruchami. Czuł pod palcami wypolerowane, dębowe drewno i zastygłą krew, która kiedyś była gorąca. Miał wrażenie, że pulsuje pod jego opuszkami. Tarł plamę coraz szybciej. W głowie wirowały mu straszliwe obrazy z przeszłości, wspomnienia rozbrzygzującej się krwi, krzyków i śmierci.

Tyle krwi.

Tyle bólu.

Krzyki sprzed dwunastu lat huczały mu w uszach, odbijały się niesamowitym echem, ponaglały go do działania.

Zamknął oczy i pomyślał o swojej misji.

Wszystkie niedawne zabójstwa były tylko wstępem, ćwiczeniami.

Wreszcie nadszedł czas na ostateczny cios.

Wskazówki, które wysłał policji, to tylko zasłona dymna. Zawierały dość prawdy, by gliniarze wciąż się nim interesowali, ale jednocześnie kierowały ich w złą stronę. Policjanci gorączkowo zapewniali ochronę pozostałym członkom ławy przysięgłych. Tracili na to czas i wysyłali ludzi w odległe miejsca.

Uśmiechnął się. Pocieranie plam krwi dodało mu siły. Czuł się potężny. Przypomniawszy sobie o swoim celu.

Teraz.

Dziś wieczorem.

Trzeba to zrobić.

Pierwszy raz od dwunastu lat otworzył kluczykiem górną szufladę komody. Zamknął oczy. Serce biło mu coraz szybciej. Szuflada się zacięła, szarpnęła więc mocniej i otworzyła się, skrzypiąc.

Szybko sięgnął do środka.

Jego niecierpliwe palce natrafiły na długi, skórzany przedmiot. Odpiął zatrask, czując narastający niepokój, wiedząc, że zbliża się koniec. Zmusił się, żeby robić to wolniej i przedłużyć przyjemność, jaką sprawiało mu wysuwanie noża myśliwskiego z pochwy.

Potem otworzył oczy.

Spojrział na lśniący, ostry nóż i wypróbował go na wnętrzu swojej dłoni.

Na skórze pojawiła się cienka, karmazynowa linia. Pulsująca krew. Powstanie kolejna blizna.

Doskonale.

Rozdział 28

Chyba wyraźnie powiedziałam, że jesteś odsunięty od śledztwa - rzuciła gniewnie Katherine Okano. W fotelu za

biurkiem wyglądała jak na tronie. Bardzo energicznie wycierała okulary i Reed pomyślał, że szkła zaraz wypadną z oprawek. - A może wygodniej ci było o tym zapomnieć, detektywie?

- Dobrze pamiętam - odparł urażony.

- A jednak zobaczyłam cię w telewizji. Kiedy już złapiemy sprawcę, jak myślisz, co zrobi jego adwokat? Wykorzysta zdjęcia kochanka jednej z ofiar na miejscu zbrodni. Powie, że byłeś przy tym, jak znaleziono jej ciało. Wywęszy, że byłeś ojcem jej dziecka. Zasugeruje, że majstrowałeś przy dowodach, żeby oskarżonego skazano za zabójstwo. Nie rozumiesz tego? - Przestała wycierać okulary i przez dłuższą chwilę patrzyła na niego surowo. - Wiesz, że wydałam Morrisette specjalne instrukcje co do ciebie, więc nie tylko ty jesteś zagrożony. Ona działa na szkodę śledztwa, informując cię o postępach.

- Grabarz adresuje swoje listy do mnie.

- Wielkie rzeczy! Przestań, Reed, i to natychmiast. Bo będę musiała odebrać ci odznakę.

- To nie będzie konieczne. - Wyjął z kieszeni skórzane etui, w którym trzymał legitymację policyjną i odznakę. Szybkim ruchem pchnął je po blacie jej biurka. Zatrzymało się przed słynną szklanką Okano, zawierającą płyn, który przypominał mrożoną kawę. - To nie jest wina Morrisette. Zmusiłem ją.

- Akurat. - Włożyła okulary na swój ostry nos. - Nie pójdzie ci tak łatwo, Reed. - Odepchnęła etui z legitymacją i odznaką. - Przyczaj się na jakiś czas. Zobaczę, co się da zrobić.

- A ja myślałem, że ci na mnie nie zależy - zażartował.

- Nie przeginaj!

Schował odznakę i ruszył w stronę drzwi.

- Ani mi to głowie, Kathy - powiedział, choć było to kłamstwo.

Dzień był okropny. Nikki wynajęła samochód, pojechała do domu i wyszła na spacer z rozradowanym Mikadem. Patrząc, jak piesek podskakuje, biega za wiewiórkami i szczeka na obcych, Nikki przypomniała sobie, że już nigdy więcej nie zobaczy Simone. Nigdy nie usłyszy jej głosu. I nigdy nie wystawi jej do wiatru.

Ale jeszcze mogę coś dla niej zrobić. Pomogę złapać tego drania. Wsadzić go za kratki. Przecież się ze mną kontaktuje.

Mogę też przygarnąć jej psa. Życzyłaby sobie tego.

Chociaż Jenningsa bardzo irytowała obecność małego intruza, Nikki postanowiła, że Mikada na zawsze zostanie w jej rodzinie.

Zamknęła w domu psa i kota, żeby jakoś się dogadały, po czym pojechała do pracy. Przy wieszaku na ubrania czekał na nią Tom Fink.

- Nikki - powiedział ściszym głosem, gdy wieszala szalik. - Masz chwilę?

- Oczywiście.

- To dobrze. Chodźmy do mojego gabinetu.

Gdy szli między boksami, czuła na sobie zaciekawiony wzrok wszystkich kolegów. Tylko Trina na nią nie spojrzała. Norm Metzger przyglądał się jej jak śmiertelnemu wrogowi, a Kevin zerkał na nią spod daszka bejsbolówki. Nawet duma Celeste gapiła się na nich bezczelnie, gdy szli do gabinetu Toma. Kiedy przechodzili, cichło stukanie klawiatur, dzwonki telefonów i szmer rozmów. Ciszę w redakcji zakłócały tylko łagodne tony muzyki, dobiegające z głośników. Jak w windzie.

- Co się dzieje? - zapytała, gdy Tom wskazał jej krzesło i sam usadowił się za biurkiem.

- O to chciałbym zapytać ciebie. - Oparł się łokciami o blat i podparł podbródek kciukami. - Coś się stało. Coś ważnego. Dostajesz listy od zabójcy, włamał się do twojego mieszkania, a teraz zginęła twoja najlepsza przyjaciółka. Jest ofiarą mordercy, którego nazwałaś Grabarzem, zgadza się?

- Myślałam, że policja nie ujawnia nazwisk ofiar przed powiadomieniem rodzin.

- Rodziny już wiedzą. Zarówno rodzice Simone Everly, jak i siostra, dzieci i była żona Tyrella Demonico Browna.

- Złe wieści szybko się rozchodzą.

- Tak.

- To my dbamy, żeby tak było.

- My, gazeta? Nikki, tylko mi nie mów, że nagle obudziło się w tobie sumienie.

- Wolę myśleć, że zawsze je miałam.

- Osoba, przekazująca takie wiadomości, musi być bezstronna. Całkowicie - powiedział, a ona wyczuła, że zdarzy się coś złego. I to zaraz. - Simone Everly była twoją przyjaciółką, prawda? A przed laty także narzeczoną twojego brata? - zapytał, a potem, jakby się zorientował, że trochę przesadził, dodał: - Bardzo mi przykro z powodu jej śmierci.

- Naprawdę? - odparowała.

- Oczywiście. To okropne. Straszne. Nic dziwnego, że jesteś załamana.

- Załamana? - Skąd mu się to wzięło?

- Zrozumiałbym, gdybyś się poddała.

Nie odpowiedziała. Czekala, co bedzie dalej. Wczesniej czy pozniej Tom przejdzie do rzeczy i powie, dlaczego zaczepil ja, gdy tylko weszla do redakcji.

- Z powodu twojego związku z Simone Everly i kontaktów z Grabarzem mamy w „Sentinelu” wyjątkową okazję.

- My? - zdziwila się.

- Tak. Odwrócimy role - powiedzial, kreśląc dłońmi koła w powietrzu. - Zamiast przeprowadzać wywiad, udzielimy go.

Bylo coraz gorzej.

- Norm napisze szczególowy artykul o Simone, tobie i Grabarzu. Skupi się na twoich relacjach z zabójcą i jedną z jego ofiar.

- Nie ma mowy. Tom, proszę...

Ale on juz wstal, zastukal w szklaną ścianę gabinetu i pomachal do kogos, zeby wszedl. Po chwili w drzwiach ukazal się Norm Metzger. Mial dyktafon, dlugopis i gruby, czysty kolonotatnik. Na pierwszej stronie nie bylo nawet tytul.

- Nikki... - Skinął lekko głową. Nie mógł powstrzymać wrednego uśmiechu.

- Tom powiedzial mi o artykule - powiedziala i tez się uśmiechnęła.

- Wspaniale.

- Myślę, że zaczne od oświadczenia.

- Dobry pomysl - pochwalil, choc w jego tonie byla ostrozność. - Jakie to bedzie oświadczenie?

Nikki wstala i odepchnęła krzeslo nogą.

- Bardzo proste i jasne.

- Nikki... - ostrzegl Tom.

- Sluchaj uwaznie, Metzger. Gdy zapytano pania Gillette o smierc jej przyjaciółki, Simone Everly, odpowiedziala krótko: „Bez komentarza!”

I wyszla.

Reed wpadl na posterunek, a potem pojechal do domu pogrzebowego, gdzie o Barbarze Jean Marx mowil mlody ksiadz. Mylil jej imie i nazwisko, raz po raz zerkal w notatki. Ceremonia byla zalosna. Tania i cicha, choc pod niewielką kaplica zebrał się tłumek reporterów. Reed rozpoznal wiekszość z nich, między innymi Norma Metzgera z „Sentinela”, ale osoby, której szukal, nie bylo. Nikki Gillette chyba nie moglaby pójsć na pogrzeb tuż po zabójstwie Simone.

Nie mial jej tego za zle. Ale uwazal, ze powinien zlozyc ostatnie wyrazy szacunku kobiecie, która byla z nim w ciąży. Patrzyl na zalobników, próbując zgadnac, czy byl wśród nich zabójca. Morrisette i Siebert tez przyszli i rozgladali się za draniem, którego podniecalo wrzucanie zywych ofiar do trumien ze zwlokami. Moze morderca przychodzil tez na pogrzeby, zeby zobaczyc skutki swoich czynów. Moze czul się lepszy, wiedzac, ze sam do tego doprowadzil.

Reed znal niewielu ludzi z otoczenia Bobbi. Zobaczyl Jerome’a Marksa, który byl nie tyle smutny, ile zirytowany, ze musial przyjsc na uroczystosc, oraz kilku tajniaków i pare osób z pracy Bobbi. Nie rozpoznal niko-go wiecej.

Mala grupa niespokojnych ludzi sluchala mowy nieprzygotowanego kaplana; sklinali glowy w modlitwie i z trudem przypominali sobie slowa kilku hymnów, które musieli odspiewac. Nabozenstwo bylo przygnębiajace, a Reed niczego się nie dowiedzial.

Gdy ceremonia się skonczyla, postanowil nie podchodzic do Morrisette. Nie chial jej sprawiać dodatkowych klopotów. I tak tkwila w nich po uszy.

Na zewnatrz wial silny wiatr - rozpędzal deszczowe chmury, ale tez bezlitośnie smagal dłonie i twarz. Reed pojechal na cmentarz, na pogrzeb - o zgrozo, drugi! - Barbary Jean Marx. Przy grobie zebrało się mniej zalobników niz na mszy. Obserwowal ich w milczeniu, zastanawiając się, skąd ja znali, czy byli wśród nich jej kochankowie, czy ktokolwiek z nich znal zabójce.

- Bóg z tobą - powiedzial wreszcie ksiadz, a do trumny podszedl Jerome Marx. Polozyl na niej różę i coś lśniacego. Byl to pierścionek, znaleziony przez chłopaka w Dahlonga. Mara odwrócił się i wyszedl z cmentarza. Pozostali zalobnicy podazyli za nim. Zaczal padać deszcz.

Wściekla Nikki zbierala rzeczy ze swojego biurka. Byla zla na Toma Finka. Okazal się takim samym smieciem jak Norm Metzger. Nie wiedziala, dlaczego spodziewala się po nim czegoś wiecej, ale jednak się spodziewala.

- Popelniasz blad - powiedziala Trina, wysuwając się ze swojego boks na fotelu. - Jesteś przemeczona. Ponioslas ogromną strate. Norm i Tom to kretyni, ale na pewno w głebi serca nie chcesz odejsc.

- Mylisz się. - Nikki wrzucila garść dlugopisów i notes do najmniejszego z trzech kartonów, które przyniosla z magazynu. - Od dawna chce się stąd wyrwac. Teraz mam pretekst.

- Ale potrzebujesz tej pracy.

- Nikt nie potrzebuje tej pracy - powiedziala, dorzucając do pudla dwa kubki, tabliczke z nazwiskiem i podstawke

na wizytówki.

- Co się dzieje? - Usłyszała męski głos i omal nie spadła z krzesła.

Kevin, jak zwykle w słuchawkach, stał tuż za nią.

- Nigdy nie pukasz? - zapytała, a kiedy nie zrozumiał dowcipu, nie zadała sobie trudu, żeby mu go wyjaśnić.

- Nikki odchodzi - powiedziała Trina.

- Odchodzisz? Ty? - Jego ciemne oczy rozbłysły.

- Zgadza się. Czas coś zmienić - odparła, dostrzegając Norma Metzgera.

Podłuchiwał zza ściany boksu. Patrzył znad górnej krawędzi. Widać było tylko jego oczy i czoło.

- Przez wiele lat myślałem o tobie różnie, ale na pewno nie przyszłoby mi do głowy, że możesz się poddać.

Była zła. Zmęczona. Mimo to ugryzła się w język i nie odprawiła go.

- Chyba nie masz racji - mruknęła, wyciągając papiery i teczki z ostatniej szuflady. Wrzuciła je do największego z pudeł, stojącego przy biurku. Otrzeпаła dłonie. - To wszystko.

- Nie obowiązuje cię dwutygodniowe wypowiedzenie? - zapytał Kevin.

W odpowiedzi spojrzała na niego z udawanym niedowierzaniem.

- Jeśli Tom tego sobie zażyczy, będę przychodzić i siedzieć w fotelu, ale myślę, że wcale nie ma ochoty mnie tu oglądać.

- Nie mogę uwierzyć, że odchodzisz. - Uśmiech zniknął z twarzy Triny. Patrzyła bardzo poważnie. - Bez ciebie nie będzie tu tak samo.

- Może będzie lepiej. - Nikki puściła do niej oko.

- Akurat.

- Pomóc ci z pudłami? - zapytał Kevin i Nikki omal się nie zgodziła, ale zmieniła zdanie. Dziękuję. Poradzę sobie.

- To mi się w tobie podoba - powiedział Norm. - Wojownicza do samego końca.

- Wypchaj się, Metzger. - Przewiesiła torebkę przez ramię, podniosła największy karton i spojrzała na Trinę. - Zadzwoń do ciebie później - powiedziała i w myślach przysięgła sobie, że naprawdę to zrobi. Poszła korytarzem do drzwi wyjściowych.

Było już ciemno, szybko zbliżał się wieczór.

Włożyła pudła do samochodu i już miała wyjechać z parkingu, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy. Zastanawiając się, czy to Reed, spojrzała na wyświetlacz. Zobaczyła numer rodziców i znaczek pokazujący, że bateria jest prawie wyczerpana.

- Halo? - powiedziała, ostatni raz wyjeżdżając z parkingu pod redakcją.

- Nikki? - zapytała matka cichym głosem. Były jakieś zakłócenia.

- Cześć, mamó.

- Nikki... to... twój ojciec.

Charlene była bardzo spięta. I zdenerwowana.

- Co się stało tacie?

- Ja... nie wiem.

- Jest chory? - Serce zaczęło jej bić szybciej. - Co mu się stało?

- Ja... proszę...

- Mamó, wezwij pogotowie!

- Nie! Nie! - Matka miała przerażony głos.

Ojca chyba bolało serce. Na pewno.

- To ja wezwę.

- Nie, Nicole, nie rób tego.

- Na miłość boską, mamó! Zadzwoń do Lily lub Kyle'a. Już do was jadę. Mamó? - Połączenie się przerwało.

- Cholera! - zakleła Nikki i wcisnęła pedał gazu. Miała nadzieję, że zdąży na czas. Do domu rodziców miała tylko dziesięć minut jazdy, ale to mogły być krytyczne minuty. Wybrała numer policji, uzyskała połączenie i usłyszała zgłoszenie operatora.

- Numer alarmowy policji... - Nie słyszała nic więcej.

- Tu Nikki Gillette. Proszę przysłać kogoś do mojego ojca, RONALDA Gillette. - Wykrzyczała adres w słuchawkę i poprosiła o zawiadomienie Pierce'a Reeda, ale daremnie. Telefon już nie działał.

Reed ponownie zadzwonił na komórkę Nikki. Nie odebrała. Zostawił kolejną wiadomość, a potem zatelefonował do „Sentinela”. Nieprzyjemna recepcjonistka powiedziała mu lodowatym głosem, że „Nicole Gillette jest nieobecna”. Gdy zapytał, o której ją zastanie, odparła, że nie ma pojęcia.

Odniósł wrażenie, że coś jest nie w porządku.

Ale przecież teraz nic nie było w porządku.

Zadzwonił do jej mieszkania, lecz zgłosiła się automatyczna sekretarka. Z jakiegoś powodu Nikki była nieosiągalna. To mu się nie podobało.

Ani trochę.

Wziął kurtkę i, wychodząc, zatrzymał się przy biurku Morrisette. Przekładała jakieś papiery, ale podniosła wzrok, gdy usłyszała jego kroki.

- Podobno próbowałeś oddać odznakę.
- Dobrze wieści szybko się rozchodzą.
- Nie rób tego, Reed.
- Dlaczego?
- Ona nie jest tego warta.

Czekał.

- Nie jestem ślepa, wiesz? Widziałam was razem. Nikki Gillette ci się spodobała, ale pamiętaj, że ona cię nabiera.

Wykorzystuje.

- Jesteś tego pewna?
- Tak. Jak najbardziej. I nie pytaj mnie o sprawę Grabarza, bo nic nie mogę ci powiedzieć.
- Może pogadam z Siebertem.
- Proszę bardzo. - Morrisette nie zamierzała ustąpić.
- Sprawdziliście Coreya Sellwooda i Seana Hawke'a?
- Ostrzegałam cię. - Spojrzała na niego ze złością, przełożyła papiery i ciężko westchnęła. - Zresztą, to chyba nie zaszkodzi. Są czyści. Mają niepodważalne alibi. Nie są podejrzanymi, więc zapomnij o nich. Sprawcą jest Chevalier.

- Znajdźcie go więc - powiedział. - I to szybko.
- Pracujemy nad tym. - Odwrócił się, żeby wyjść, a ona odchrząknęła. - Idę na papierosa.
- Co z tego?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Lepiej stąd wyjdź, Reed. Nie potrzebuję kłopotów.

Wtedy zrozumiał. Dotarło do niego, co chciały mu powiedzieć nieme, zdeterminowane oczy Sylvie Morrisette.

- Dobrze. Do zobaczenia.
- Jeśli będziesz miał szczęście.

Wyszedł szybko z budynku i skulił ramiona, bo lodowaty deszcz lał mu się za kołnierz. Gdzie, do cholery, podziała się Nikki? A jeśli Grabarz ich oszukał? Dwunastu sędziów przysięgłych i jeszcze trzy osoby. On, Nikki i ktoś jeszcze. Musiał być jakiś powód, dla którego zabójca kontaktował się z nim i Nikki... ale kim była trzecia osoba? Kluczem do sprawy był proces Chevaliera, więc kto poza ławą przysięgłych... Sędzia.

Musi chodzić o niego!

Siedemnaście. Dwunastu sędziów przysięgłych. Detektyw - żyjący - który dokonał aresztowania, reporterka, która pisała relacje z procesu, sędzia...

Tylko że reporterka omal nie doprowadziła do unieważnienia procesu. Może więc jest bezpieczna.

Jednak proces nie został unieważniony. Czyli zawiodła Chevaliera. Jak Reed. Jak ława przysięgłych. I sędzia.

Sędzia Ronald Gillette.

Pewien swojego rozumowania, wsiadł do cadillaca. Minał zaledwie dwie przecznice, gdy zadzwonił telefon komórkowy.

- Reed - powiedział sucho.
- Słuchaj, wybac, że cię splawiłam, ale mam kłopoty - powiedziała Morrisette. - Znow objechała mnie Okano.
- Rozumiem.

- Ale pomyślałam, że powinieneś coś wiedzieć. Zadzwonił operator z linii alarmowej. Dziesięć minut temu telefonowała Nikki Gillette. Zdażyła się przedstawić, ale coś przerwało połączenie. Operator oddzwonił pod tamten numer, ale nie odebrała. To była jej komórka. Telefonowałam już do jej domu i do redakcji, ale w domu nikt nie odbierał, a w „Sentinelu” odpowiedzieli mi jakoś dziwnie. Kiedy przyszedłeś do mnie, właśnie miałam do ciebie dzwonić. Pojedziesz do niej?

- Tak - odparł Reed.
- Wysłałam już patrole do jej mieszkania i do „Sentinela”. Dam ci znać, kiedy ją znajdziemy. Do diabła z Okano!
- Dzięki. Myślę, że Nikki Gillette jest celem zabójcy. Jedną z siedemnastu ofiar - powiedział pozbawionym emocji głosem i przedstawił Morrisette swoją teorię.

Jego była partnerka słuchała uważnie.

- Jesteś pewien? - zapytała. Usłyszała dźwięk zapalanej zapalniczki.
- Tylko tyle mogę wymyślić.
- Czy to na pewno siedemnaście? Pamiętaj, że w śledztwie brał udział jeszcze drugi policjant, twój partner. A co z technikami z laboratorium?
- Jak powiedziałem, teoria nie jest doskonała.
- Cholera. Nic nie jest doskonałe.

Sam nie chciał wierzyć we wnioski, do których doszedł. Patrzył na wycieraczki, poruszające się po przedniej szybie. Wolałby się mylić. Myśleć, że Nikki nic nie grozi i nie spotkało jej nic złego. Ale przecież był rozsądnym,

myślącym logicznie policjantem. Wiedział, że jego nadzieja może się okazać płonna. Serce w nim zamarło i przeszył go strach.

- Mamo! Tato! - krzyczała Nikki, otwierając drzwi garażu w domu rodziców. Wbiegła do kuchni, ale nikt nie odpowiedział. Tykał zegar ścienny i szemrała lodówka, ale poza tym w domu panowała cisza. W kuchni nie było Sandry, lecz Nikki zaraz przypomniała sobie, że dziś gospoia ma wolne. Nie słyszała telewizora ani fałszywie nucącej matki.

Gdzie oni się podziali? I dlaczego w domu jest tak ciemno?

- Mamo?

Czy pojechali do szpitala?

Samochody stały zaparkowane w garażu. Nikki sprawdziła to, wchodząc. Może rodzice pojechali karetką lub odwiózł ich jakiś znajomy. Zesztywniała z niepokoju.

- Mamo? - zapytała jeszcze raz i otrzepała płaszcz, mokry od deszczu.

Znów nikt nie odpowiedział.

Działo się coś złego. Bardzo złego.

Próbowała sobie wmówić, że denerwuje się niepotrzebnie.

Sięgnęła po telefon, ale zauważyła migotanie światła w salonie. Telewizor był włączony, a dźwięk cichy.

Wzięła słuchawkę telefonu bezprzewodowego. Weszła do salonu i odetchnęła z ulgą. Ojciec wyciągnął się w swoim ulubionym fotelu i oparł stopy na podnóżku. Telewizor grał, ale głos był wyłączony. Ojciec głęboko spał. Nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

- Tato, ale mnie przestraszyłeś - powiedziała łagodnie, chcąc go obudzić. Położyła słuchawkę na stole. - Gdzie mama? Dzwoniła do mnie niedawno, bardzo zdenerwowana. - Kiedy nie odpowiedział, podeszła i lekko dotknęła jego ramienia. - Tato... - Nawet nie drgnął. Niepokój powrócił. - Tato? Obudź się. - Miał przekrzywioną głowę i bardzo płytko oddychał. A może wcale? Serce waliło jej jak szalone. - Tato? - powtórzyła głośniejszym głosem, pochylając się nad nim. Nasłuchiwała oddechu, szarpiąc go za ramię.

Ale jego klatka piersiowa się nie unosiła.

- Nie... O Boże, nie... Tato! Tatusiu!

Wtedy zauważyła krew. Nie na nim. Kątem oka dostrzegła czerwoną strużkę, płynącą z korytarza.

- Mamo? - zapytała z sercem w gardle. Wielki Boże, nie! Skąd ta krew? Dlaczego? Czy matka jest ranna? Słyszając cichy jęk, dostała gęsiej skórki. To był głos matki. - Mamo, jestem tu. Sprowadzę pomoc! - zawołała i wybiegła na korytarz. Nagle usłyszała za sobą odgłos kroków; dobiegał od strony kuchni.

Odwróciła się.

I zobaczyła go.

Był mokry od deszczu i krwi. Miał zaciętą twarz. Gniewne oczy lśniły pod wysokim czołem i kosmykiem mokrych włosów, tak okrutne, że aż krzyknęła. W jednej ręce trzymał strzykawkę z igłą do zastrzyków podskórnych. W drugiej - zakrwawiony nóż myśliwski.

Grabarz.

Rozpoznając go, poczuła lodowaty strach.

- Gdzie moja matka? - zapytała, cofając się. Serce biło jej głośno.

Nie odpowiedział, ale w jego oczach dostrzegła błysk satysfakcji.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę, zabiję cię, ty chory, zбочony sukinsynu! - syknęła, cofając się. W szafie były załadowane strzelby, w kuchni noże, a słuchawka telefonu leżała na stole. Trzy kroki od niej.

- Nadeszła twoja kolej, Nikki - powiedział z zimnym, sardonycznym uśmiechem.

Krew. Tyle krwi! Czyjej? Matki?

O, Boże! Nie ucieknij mu! Dopadłby ją, zanim przebiegłaby parę kroków. Musi go jakoś przechytryć, oszukać.

Odwróciła się, jakby zamierzała uciec.

Podskoczył, ściskając nóż w dłoni.

Wtedy opuściła głowę, obróciła się na jednej nodze i mocno kopnęła drugą.

Jej but uderzył go w krocze.

Upadł, jęcząc. Nóż z brzękiem uderzył w podłogę, ale zabójca szybko go złapał. W drugiej ręce cały czas trzymał strzykawkę. Kopnęła jeszcze raz, celując w nos, ale on odchylił głowę w tył, więc trafiła obcasem w jego policzek.

- Ty dziwko! - ryknął, upuszczając strzykawkę i próbując złapać Nikki za but. Odskoczyła. Chwyciła słuchawkę telefonu.

Poderwał się i pobiegł za nią. Wcisnęła dziesięć na telefonie, zerwała ze ściany oprawioną fotografię i rzuciła w niego. Dwa razy wcisnęła jedynekę i wybiegła z domu.

- Pomocy! - krzyknęła w słuchawkę. - Atakuje mnie! Grabarz. Moja matka jest ranna. Ten bydlak zabił mojego ojca. Wyślijcie kogoś do... - Ale telefon przestał działać, bo był za daleko od bazy.

Cholera! Kluczyki! Gdzie one są? Znalazła w kieszeni kluczyk do wynajętego samochodu. Zabójca wypadł z garażu. Biegł rozwścieczony, potykał się. Wsiadła do auta i drżącymi palcami zablokowała drzwi. Komórka! Gdzie

komórka?

Zabójca zaczął walić w przednią szybę.

Widząc jego zakrwawioną twarz tuż przed sobą, wepchnęła kluczyk w stacyjkę. Silnik nie zapalił.

Ten potwór był kilkanaście centymetrów od niej. Dzielili ich tylko cienka warstwa szkła.

Silnik wreszcie zaskoczył. Włączyła wsteczny bieg, wcisnęła pedał gazu i zerknęła w lusterko. Drogę blokował jej wielki pikap.

Nie! Zahamowała gwałtownie.

Na pewno czekał na nią w sąsiedniej ulicy, ze zgaszonymi światłami, a gdy była już w domu, zastawił jej samochód.

Sięgnęła po komórkę. Może bateria nie wyczerpała się do końca.

Brzęk!

Szkoło rozprysło się we wszystkich kierunkach. Zabójca rozbił przednią szybę.

Nikki krzyknęła i podskoczyła - za późno. Zobaczyła strzykawkę ułamek sekundy przed tym, jak wbił jej igłę w ramię.

- Nie uciekniesz - powiedział lodowatym, spokojnym głosem. Na jego zakrwawionej twarzy pojawił się okrutny uśmiech. Oczy lśniły złowieszczo.

Krzyczała co sił w płucach.

Szamotała się wśród odłamków szkła.

Bez skutku.

Ledwie się ruszała. I wtedy otworzyły się drzwi samochodu. Stał tuż obok, jego sylwetka groźnie rysowała się w ciemności, zakrwawiony nóż świadczył o dokonanym zabójstwie. Pomyślała o matce, ojcu, reszcie rodziny i o Reedzie, a potem pochłonęła ją ciemność.

Rozdział 29

Niepokój Reeda rósł z każdą minutą. Detektyw pojechał do domu Nikki, ale nie znalazł żadnego śladu, chociaż zmusił tępego zarządcę, Freda Coopera, żeby wpuścił go do środka. Od rana nic się tam nie zmieniło. Kot spojrzał na niego podejrzliwie z regału z książkami, a piesek tańczył wokół jego stóp.

- Ma kolejnego zwierzaka - powiedział Cooper. - Myśli, że wszystko ujdzie jej na sucho. Ale w tym domu nie wolno trzymać psów. Kiedy się wprowadzała, niechętnie zgodziłem się na kota.

- To pies jej przyjaciółki - wyjaśnił Reed i odsłuchiwał wiadomości z automatycznej sekretarki.

Cooper powiedział, że zrobili to już policjanci, którzy byli tu przed nim.

Były dwie wiadomości.

- Hej, tu Sean. Nik, nie bądź taka, dobrze? Zadzwoń do mnie. Znasz numer.

Reed zacisnął zęby, słysząc ten głos. Na chwilę zapadła cisza, a potem aparat odtworzył następną wiadomość.

- Nikki? - To był cichy, kobiecy szept. - Nikki, tu... tu mama... zadzwoń do mnie... to pilne. - Przerwała na chwilę. - Chodzi o tatę.

Automatyczna sekretarka zarejestrowała tę wiadomość o szesnastej siedemnaście. Przed kilkoma godzinami.

Zadzwoił pod numer Ronalda Gillette'a. Po paru dzwonekach zgłosił się automat. Tubalny głos sędziego poinformował, że trzeba zostawić nazwisko, numer telefonu i wiadomość.

Reed wypełnił polecenie.

- Mówi detektyw Pierce Reed z policji Savannah. Szukam Nicole Gillette. Gdyby się z państwem skontaktowała, proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła. - Podał swój numer telefonu i odłożył słuchawkę.

- Nie wiem, co zrobić z tym psem - mruknął Fred Cooper i z zacisniętymi ustami spojrzał na kundelka. - Powiedziałem to już tamtym policjantom.

- Ja wiem, co pan robi. Zatrzyma go pan tu. Dopóki nie wróci Nikki.

- Przepisy nakazują... - Westchnął ciężko. - Dobrze. Niech zostanie. Ale kiedy tylko ona wróci, chcę się z nią rozmówić.

Reed bardzo chciał, żeby Cooper miał okazję obrugać Nikki. Jadąc w deszczowy wieczór do redakcji „Sentinela”, nie mógł się pozbyć przeczucia, że stało się coś bardzo złego. Nikt do niego nie zadzwonił, chociaż Morrisette obiecała kontakt, gdyby któryś z patroli wysłanych do domu Nikki i do redakcji czegoś się dowiedział. Reed nie mógł siedzieć bezczynnie. Postanowił wszystko sprawdzić sam.

W redakcji nastrój mu się nie poprawił. Nikki nie było, ale wcześniej zabrała wszystkie rzeczy ze swojego biurka. Nikt, nawet jej przyjaciółka Trina, od tamtej pory nie miał z nią kontaktu.

Może to nie jest aż takie dziwne, pomyślał, ale, stojąc przy jej pustym biurku i patrząc na wygaszany ekran komputera, przedstawiającego miejsce zbrodni, niepokoił się coraz bardziej.

Natomiast Tom Fink, redaktor naczelny, nie martwił się ani trochę.

- Już powiedziałem policjantom, że się wkurzyła, zabrała swoje rzeczy i wybiegła stąd jak oparzona. - Nadęty dupek, pomyślał Reed. Fink oparł się biodrem o biurko, przy którym pracowała Nikki, i splótł ręce na piersi. - To furia.

- Dlaczego odeszła?

- Nie chciała napisać artykułu, który jej przydzieliłem.
- Czego miał dotyczyć? - zapytał Reed.
- Kolejnej zbrodni Grabarza.
- A ona się sprzeciwiła? - Reed wiedział, co zaraz usłyszy. - Niech zgadnę. To miał być artykuł o ostatniej ofierze?

Fink wzruszył ramionami.

- Dowiedzieliśmy się, że Grabarz zabił Simone Everly. Była przyjaciółką Nikki, To przecież naturalne, że zamierzaliśmy o tym napisać.

- Żeby sprzedać więcej egzemplarzy.

- To nasza sprawa, detektywie. - Dołączył do nich Norm Metzger, wredny reporter „Sentinela”, zajmujący się sprawami kryminalnymi. Najwyraźniej podsłuchiwał zza ściany boksu. - Nikki powinna była zachować obiektywizm. Straciła przyjaciółkę, ale przecież mogła uratować następną potencjalną ofiarę, opowiadając, co się stało, i ostrzegając opinię publiczną. Chcieliśmy złożyć hołd pamięci Simone Everly i napisać o jej śmierci, a Nikki mogła nam w tym pomóc. To przecież ważne wiadomości.

- Tak, dopóki nie chodzi o kogoś bliskiego. Wtedy sprawa staje się osobista, a to, o czym pan mówi, to szukanie sensacji.

- Jako reporterka powinna zachować obiektywizm - powtórzył Fink.

- Nie dziwię się, że odeszła.

- Niech pan posłucha, Reed. Pan robi swoje, ja swoje. Nie chcę słuchać bzdur od policji.

Reed poczuł, jak napinają mu się mięśnie karku. Omal nie zacisnął pięści.

- A nam nie jest potrzebny bełkot dziennikarzy! - Odwrócił głowę w stronę sąsiedniego boksu, gdzie Trina z wytrzeszczonymi oczami słuchała tej wymiany zdań. - Gdyby pani Gillette skontaktowała się z panią - powiedział - proszę mnie natychmiast zawiadomić.

- Oczywiście. - Trina zapisała numer jego telefonu komórkowego, spojrzała pogardliwie w stronę Finka i przysunęła się na fotelu do swojego biurka.

- Zawiadomię pańskich przełożonych - zagroził Fink.

- Proszę bardzo. Niech pani prokurator zobaczy, jaki z pana uczynny obywatel!

Reed wyszedł z redakcji „Sentinela”, mając jeszcze gorsze zdanie o dziennikarzach niż wtedy, kiedy wchodził. Co, zważywszy, jak nienawidził prasy, było prawie niemożliwe.

Szumowiny.

Dranie.

Sępy.

Tom Fink i Norm Metzger to żałosne gnojki, pomyślał, nie zwracając uwagi na ulewny deszcz. Dochodził już do samochodu, gdy z redakcji wybiegła za nim Trina, obejmująca się ramionami, bo było zimno.

- Detektywie Reed...! - zawołała i pomachała do niego. Miała obcisłą spódnicę i buty na wysokim obcasie, więc biegła drobnymi krokami. Wreszcie go dogoniła, zadyszana i przemoknięta. - Nikki była bardzo zdenerwowana, kiedy wychodziła. Nie wiem, co powiedział jej Tom, ale naprawdę się wściekła. Próbowałam ją przekonać, żeby została. Nie zgodziła się.

- Wie pani, dokąd mogła pójść? - zapytał, a Trina wzruszyła ramionami.

- Tylko do domu. Wzięła wszystkie rzeczy z biurka. Ale było do niej kilka telefonów, które dostały się do mojej poczty głosowej. - Zniżyła głos do szeptu i powiedziała, szcękając zębami: - Celeste, nasza recepcjonistka, jest idiotką.

Niebo przeszła błyskawica. Trina aż podskoczyła.

- Kto dzwonił?

Podawała mu mokrą kartkę z numerami, które zaczynały się już rozplýwać.

- Najpierw Sean, jej były chłopak, który nie może zrozumieć, że Nikki już go nie chce, a potem jej matka. - Rozległ się grzmot, zagłuszając nawet hałas ruchu ulicznego. Oczy Triny pociemniały. - To był dziwny telefon. Pani Gillette chyba bardzo się niepokoiła.

Reed przypomniał sobie wiadomość, pozostawioną na sekretarce w domu Nikki.

- Dziękuję.

- Jeśli... to jest, kiedy ją pan znajdzie, da mi pan znać? - zapytała Trina. - Bardzo się martwię. Grabarz kontaktował się z nią bezpośrednio.

- Powiem Nikki, żeby zadzwoniła.

- Dziękuję.

Ruszyła w stronę redakcji, a Reed zdenerwował się jeszcze bardziej. Ponownie zadzwonił na komórkę Nikki, ale nie odebrała. W domu RONALDA Gillette'a też nikt nie podniósł słuchawki. Może któreś z jej rodziców zachorowało i wszyscy razem pojechali do szpitala... Ale to nie wyjaśniało, dlaczego nie działał jej telefon komórkowy. Chyba że wyczerpała się bateria.

Poszperał w notesie i znalazł numery telefonów jej brata i siostry. Jadąc, zadzwonił do Kyle'a, który chyba się

zirytował, że odciągnięto go od głośno grającego telewizora i powiedział, że nie widział jej od Święta Dziękczynienia. Czyli znów nic. Reed zadzwonił do Lily. Ona też była niezła.

- Nie mam wiadomości od Nikki, odkąd wystawiła mnie do wiatru. Znowu! Chciałam, żeby zajęła się moim dzieckiem, ale ona się na mnie wypięła, jak zwykle. Zawsze to robi. Dla Nikki ważna jest tylko jej praca, a raczej jej ambicje... chce być najlepszym reporterem od spraw kryminalnych w tym mieście i wkurzają, kiedy musi napisać artykuł o bolączkach miasta. Teraz jest na tropie Grabarza i całkiem ją to pochłonęło, tak jak sprawa tamtej seryjnej zabójczyni, latem. Mówię panu, jeśli tak dalej będzie, w końcu ktoś ją zabije. Jest taka... To cała Nikki.

Reed zaczął, aż siostra skończy jazgotać.

- A pani rodzicie? - zapytał. - Rozmawiała pani dziś z matką?

- Nie... dlaczego? - Chyba się zmartwiła.

- Pani matka zostawiła Nikki kilka wiadomości. Miała zaniepokojony głos. Do pani nie dzwoniła?

- To dziwne - powiedziała Lily. Z jej głosu zniknął gniew. - Zwykle kiedy mama czegoś potrzebuje, dzwoni do mnie. Nikki przyzwyczaiła rodziców, że zawsze jest bardzo zajęta, więc od dawna o nic jej nie proszą. Ale ja siedziałam w domu cały dzień i mama nie zadzwoniła. Ani razu.

Reed poczuł, jak napinają mu się mięśnie karku.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście. Zaraz do niej zatelefonuję.

- Dobrze. Koniecznie. Dzwoniłem tam wcześniej i zostawiłem wiadomość. Ale nikt nie oddzwonił.

- Mój Boże... Chyba pan nie myśli, że stało się coś strasznego?

- Raczej nie - powiedział, nie wierząc własnym słowom.

- Pojadę tam.

- Lepiej będzie, jeśli zostanie pani przy telefonie. Wyślę patrol do domu pani rodziców.

- Skoro pan tak sądzi...

- Tak będzie najlepiej. Ja też tam jadę.

- Powie pan mamie, żeby do mnie zadzwoniła, albo sam pan zatelefonuje, dobrze?

- Tak. - Rozłączył się i dodał gazu.

Pojechał do ekskluzywnej dzielnicy rozległych działek, gdzie osiadł sędzia Ronald Gillette po przejściu na emeryturę. Ruch uliczny był niewielki, szybko zapadał zmierzch, a ulewny deszcz bębnił o przednią szybę i zacierał zarysy czerwonych świateł samochodów.

Podjechał pod dom. Przeraził się, widząc przed garażem wypożyczony samochód Nikki. Drzwi garażu były otwarte na oścież. W świetle reflektorów swojego auta zobaczył w środku dwa samochody. Stary mercedes stał obok nowiutkiego kabrioletu bmw. Ale w domu i garażu było ciemno.

W żadnym z okien pięknego, starego domu nie paliło się światło. Zgaszona była nawet lampa na ganku. Sąsiednie domy stały daleko, za ogrodzeniami, gęstymi żywopłotami i szerokimi pasami gruntu.

Reedowi nie podobało się to, co zastał. Ani trochę. Zadzwonił na komórkę Morrisette i powiedział, co się dzieje. Niebo przecięła kolejna błyskawica. Rozległ się grzmot.

- Chryste, Reed, zaczekaj na wsparcie - nakazała Morrisette. - To może być zasadzka. Chevalier pewnie już wie, że go szukamy.

- Wejdę do środka.

- Mowy nie ma! Nie rób tego. Będziemy tam za niecałe dziesięć minut.

- Bądźcie za pięć. - Rozłączył się. Nie myśląc o policyjnych zasadach, zaufał instynktowi. Było duże prawdopodobieństwo, że znajdzie Nikki w środku. A przecież bardzo chciał ją znaleźć.

Gdy podchodził do domu, nie zapaliło się światelko alarmu. Nikt nie wyjrzał przez okno. Z dwupiętrowego budynku o białych ścianach i zielonych okiennicach nie dobiegał żaden dźwięk. Maksymalnie skoncentrowany, przeszedł przez garaż i pchnął drzwi.

- Policja! - krzyknął. - Rzucić broń!

Z daleka słyszał wycie syreny, ale w domu było cicho jak w grobie. I ciemno.

Czując w uszach bicie własnego serca, wcisnął wyłącznik. Ciemny pokój nagle zalało światło. Nikogo tam nie było. I ta cisza. Reed odetchnął głęboko i ruszył szybkim krokiem. Przy ścianie. Sięgnął za framugę otwartych drzwi i zapalił światło w kolejnym pomieszczeniu. W kuchni zrobiło się jasno, ale i tam nikogo nie zobaczył.

- Policja! - krzyknął znowu. - Rzuć broń i kopnij ją do kuchni. A potem wyjdź z rękami nad głową!

Ciszę zakłócał tylko cichy pomruk pieca centralnego ogrzewania pompującego powietrze do grzejników. Na zewnątrz wył wiatr. Gdyby Reed stanął teraz w oświetlonym pomieszczeniu, a zabójca czekałby w ukryciu, skończyłoby się to bardzo źle.

Mógł zaczekać jeszcze kilka minut.

- Oj.

Usłyszał cichy jęk. Przeszył go dreszcz.

Wyteżył wzrok.

- Jest tu kto?

Kolejny stłumiony jęk, ledwo słyszalny przez wycie syreny. Przy domu z piskiem opon zatrzymał się samochód. Morrisette wykrzykiwała rozkazy.

Znalazła się przy nim w kilka sekund.

- Otoczyliśmy dom! - krzyknęła. - Co się dzieje, do cholery?

- Nie wiem. Ale tam ktoś jest. - Wskazał ręką przez pokój, w stronę lekko uchylonych drzwi na korytarz. W tym momencie do pomieszczenia wszedł Cliff Siebert. - Oślaniaj mnie.

- Jasne - powiedział Siebert i Reed przebiegł przez kuchnię, a potem stanął płasko przy ścianie obok otwartych drzwi.

- Policja! - krzyknął jeszcze raz, a stłumiony jęk stał się głośniejszy. To był chyba głos kobiety. Reed z trudem oddychał. - Nikki? - zawołał. W odpowiedzi usłyszał kolejny jęk.

- Nie wchodź tam! - ostrzegła Morrisette. - Policjant na zewnątrz mówi, że nie widzi nic przez okna. Zasłony są zaciągnięte.

Trudno.

Trzymając w ręce pistolet, Reed przeszedł za róg, kopnął drzwi tak mocno, że otwierając się, uderzyły o ścianę, i włączył światło. To, co zobaczył, przeraziło go.

- Wezwijcie karetkę! - krzyknął przez ramię. - Potrzebny lekarz! Natychmiast!

W pomieszczeniu leżała związana, zakneblowana kobieta. Reed rozpoznał w niej Charlene Gillette. Miała wytrzeszczone oczy, przerażoną twarz, cała się trzęsła i jęczała przez knebel. Wokół niej była ciemna kałuża zastygającej krwi.

Pochylił się i wyjął knebel z jej ust. Usłyszał za sobą kroki.

- Jestem detektyw Reed z policji, pani Gillette. Proszę jeszcze trochę wytrzymać.

- Zajmę się nią. - Młody lekarz, ostrzyżony na jeża, szczupły i władczy, włożył rękawiczki, po czym ukląkł przy drżącej kobiecie. - Żadnych widocznych ran - mruknął, uwalniając ją z więzów.

- A ta krew?

- Cholera jasna! - W drzwiach pojawiła się Morrisette. - Trzeba zabezpieczyć miejsce zbrodni. Starajcie się niczego nie dotykać. - Przeniosła wzrok z kobiety na ścianę, gdzie wisiały pamiątki rodzinne Gillette'ów. - Jezu Chryste... - szepnęła.

Reed odwrócił się do ściany, na której równo zawieszono dyplomy, certyfikaty i obrazy.

Poczuł ucisk w żołądku.

- Sukinsyn.

Oprawione w ramki portrety członków rodziny, zdjęcia z ważnych wydarzeń, a nawet fotografie zwierząt domowych wisiały w równych rzędach. Ale Reed nie patrzył na nie. Jego uwagę przykuł napis na ścianie pod powiększonym zdjęciem, przedstawiającym Nikki Gillette z ojcem w dniu ukończenia przez nią studiów. Świeciło słońce, wiatr targał jej włosy, ojciec obejmował ją ramieniem. Nikki była w todzie i przekrzywionym birecie. Mrużąc oczy, uśmiechała się do aparatu. Sędzia Ron, znacznie wyższy od niej, też się uśmiechał z dumą.

Na sosnowej ścianie były napisane dwa słowa.

LE BLANC.

Po francusku „biały”.

Była to też nazwa cementarza po północnej stronie miasta.

Nikki z trudem otworzyła jedno oko. Czowała ból, przeszywający ból w całym ciele. Z powodu ciemności nic nie widziała, zresztą była zdezorientowana, nie mogła pozbierać myśli, miała niesmak w ustach. Wyczuwała jakiś ruch, ale to przecież było niemożliwe. Leżę w swoim łóżku... nie... gdzie ja jestem? Myśli przepływały przez jej mózg jak zmętniało morskie fale.

Przypomniała sobie o śmierci Simone... och, nie... może to sen... podniosła głowę.

Bum!

Oj!

Uderzyła czołem w coś twardego.

Z oczu trysnęły jej łzy. Wielki Boże, co się dzieje? Próbowała podnieść rękę, żeby rozetrzeć guza na czole, ale nie mogła się ruszyć... jakby była wciśnięta w pudło... wąskie pudło i... och, coś było nie tak... coś, co powinna pamiętać. Myśleć, myśleć! Gdzie ja jestem? Powinnam wiedzieć. Skupiła się, chociaż bardzo chciała znów zapaść w sen.

Nie mogę teraz zasnąć! Dzieje się coś bardzo, bardzo złego...

Próbowała sprawdzić rękami, gdzie się znajduje, ale wciąż nie mogła się ruszyć. Strach jeszcze bardziej ją obezwładniał. Czowała pod sobą materac. Niewygodny. Miękki, zimny, nierówno uciskający jej plecy i ramiona. Gdy poruszyła głowę, zaczęła o coś twardego i... i... O, nie!

Otworzyła oczy. Kręciło jej się w głowie, z trudem myślała. Gdzie ja jestem? Szukałam Simone i... i... O Boże, czyja też, jak Simone, leżę w trumnie? Na zwłokach?

Powinna walczyć, krzyczeć. Przecież ten bydlak zaraz pogrzebie ją żywcem. Pamiętała, że tak robił. Musiała

działać, i to jak najszybciej. Ale wciąż była otępiała narkotykiem, którym ją uspił. Próbowwała krzyknąć - daremnie. Czowała się tak, jakby wciągały ją ruchome piaski. Nie mogła pozbierać myśli. Przypomniała sobie, że widziała strzykawkę, a potem straciła przytomność.

Może to wszystko to tylko sen, okropny koszmar. Starła się myśleć jasno, ale narkotyk wciąż działał, wywoływał nowe fale oszołomienia... Choć w zakątkach jej świadomości czaił się strach, przestała walczyć ze snem i znów pogrążyła się w pustce.

Ta dziwka zadała mu ból. Od jej kopnięcia wciąż pulsowało mu w kroczu. Bolał go też policzek, uderzony twardym obcasem.

Ale nie uciekła. O, nie. Dostanie to, na co zasłużyła. Wreszcie. Tak jak pozostali.

Nikki Gillette była już w trumnie. Wkrótce miała wydać swoje ostatnie tchnienie, a przedtem - poznać strach i ból, bezradność, zdanie na łaskę kogoś silniejszego. Pokonał ją, podobnie jak tamtych. Nie doceniła jego siły i sprytu.

Wyjeżdżając z miasta, Mściciel przesunął zakrwawioną dłońią po czole. W lusterku wstecznym zobaczył swoje odbicie. Miał zakrwawioną i powalaną błotem twarz, bo ubrudził się na cmentarzu Le Blanc. Mokre włosy lepiły mu się do głowy, ciało bolało od nadmiernego wysiłku i ciosów Nikki.

Ale przecież wytrzymał gorsze rzeczy. Żalona walka Nikki Gillette to naprawdę pestka.

Misja na tę noc była prawie zakończona. Wkrótce przyjedzie policja. Wyobraził sobie przerażoną minę tego drania Reeda, gdy otworzy wieko trumny, zakopanej głęboko pod błotnistą ziemią na cmentarzu Le Blanc.

- Za późno - powiedział głośno Grabarz, kierując się na północ. Wycieraczki zgarniały deszcz, bębniący o przednią szybę. Gdy wyjechał z miasta, zobaczył błyskawicę przecinającą nocne niebo. Usłyszał grzmot.

Dobrze się składa.

Nikki Gillette wyzionie ducha w czasie burzy.

Niestety, nie mógł zakończyć wszystkich swoich spraw. Nie od razu. Musiał przerwać misję. Policja na pewno ustali jego tożsamość, więc będzie zmuszony odczekać, zanim powróci do swojego zadania. Ale najważniejsi sprawcy zostali ukarani. Ci, którzy wywarli największy wpływ na proces.

Pozostali sędziowie przysięgli, co wyczuł już wtedy, byli słabsi. Zabrakło im stanowczości, dali się przekonać. Nie ujdzie im to na sucho. On ich znajdzie, po kolei, i uderzy zniecka. W ciągu pierwszego roku będzie musiał pozorować wypadki, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Uśmiechnął się do siebie, widząc samochód policyjny, jadący w przeciwnym kierunku.

- Złapcie drania - mruknął, patrząc w lusterku na migające światła radiowozu, który zaraz zniknął za rogiem. - Przystępce, który przekroczył dozwoloną prędkość.

Zaśmiał się do siebie. Czuł się niepokonany.

Żałował, że nie zobaczy, jak Pierce Reed otwiera trumnę i widzi, że się spóźnił. Kiedy trumna zostanie otwarta, Nikki Gillette będzie już martwa.

Rozdział 30

Ze strachu Reedowi ścisnął się żołądek. Czy krew w domu Gillette'ów była krwią Nikki? Co jej zrobił ten psychopata?

Reflektory jego samochodu rzucały szerokie snopy światła na cmentarz Le Blanc, oświetlając stare nagrobki i kwatery. Powiedział sobie w myślach, że musi się trzymać i wierzyć. Załamując się, na pewno jej nie pomoże. Ale nigdy w życiu tak się nie bał.

Inne samochody policyjne przejechały za nim przez kutą, żeliwną bramę z wymyślnymi wzorami, którą dozorca właśnie otworzył.

- Błagam, Boże, nie... - szepnął, parkując.

Z nieba lał deszcz.

Zobaczył to od razu, gdy wysiadł z samochodu. Świeży kopiec ziemi, na którym już tworzyły się kałuże, z tyłu cmentarza. Zaczął biec. Czy było już za późno?

Nie, nie, nie! Ona nie mogła być tu pochowana! To niemożliwe, żeby była tu i właśnie próbowała się wydostać z trumny.

- Tutaj! - krzyknął głośno. Mokre od deszczu spodnie przykleiły mu się do kostek. Zaświeciły latarki, ludzie krzyczeli, do grobu podchodzili policjanci w płaszczach przeciwdeszczowych, z łopatami, kilofami i łomami.

Wysoki gliniarz rzucił Reedowi łopatę. Natychmiast zaczęli kopać, żeby ratować ludzkie życie. Każdy z policjantów wiedział, do czego jest zdolny Grabarz.

Do diabła z miejscem zbrodni, pomyślał Reed, kopiąc coraz szybciej, liczy się tylko to, żeby wydobyć Nikki żywą! Wyteżał słuch, żeby usłyszeć jakiś dźwięk spod ziemi. Nie zwracał uwagi na trzask krótkofalówek i dzwonki telefonów komórkowych, nie widział policjantów, którzy otaczali teren żółtą taśmą.

Kopał gorączkowo. Był przerażony. Wiedział, że każda sekunda może kosztować Nikki życie.

Trzymaj się, kochanie, myślał, odrzucając za ramię kolejne łopaty ziemi. Już jestem. Wytrzymaj jeszcze trochę!

Kopał coraz szybciej. Lał ulewny deszcz, który wyglądał jak lśniąca zasłona, rozciągnięta między nagrobkami.

Światło latarek odbijało się w kroplach. Nawet nie sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy. Z całej siły wbijał łopate w ziemię.

Jakie były szanse, że ona jeszcze żyje? Przeklęty Chevalier! Niech jego dusza smaży się w piekle! Reed przyrzekł sobie, że jeśli Nikki umarła, to on weźmie sprawiedliwość w swoje ręce. Ten drań nigdy już nie wyjdzie z więzienia.

Trzymaj się, Nikki, błagał w milczeniu i przypomniał sobie tamtą noc w San Francisco, kiedy siedział w ciemności i obserwował przez zasłony coś, co wyglądało na miłosne igraszki, aż zobaczył, że niewinna zabawa zmieniła się w walkę o życie. Pobiegł do budynku, pokonał schody, przeskakując po dwa stopnie, wpadł do mieszkania kobiety, ale było już za późno.

Tym razem tak się nie stanie.

To nie mogło się stać. Nie Nikki. Tylko nie Nikki. Reed pomodlił się w myślach. Nie przerywał kopania. Pot płynął mu po plecach, a na głowę spadały zimne krople deszczu. Policjanci krzyczeli coś do siebie, a Diane Moses kazała im uważać, bo to przecież miejsce zbrodni.

Pieprz się, pomyślał Reed, gdy jego łopata uderzyła w drewno.

- Mamy coś! - krzyknął drugi policjant, trafiając łopatą na wieko podłużnego pudła.

Kopali dalej, łopatami i rękami, odgarniali ziemię, odkrywali wieko trumny. Przez wycie wiatru, szum deszczu i głosy policjantów Reed starał się usłyszeć każdy odgłos z trumny. Nic nie słyszał. Zastukał w wieko. Uderzył w nie nogą.

- Nikki! - wrzasnął. - Nikki! - Czy znów się spóźnił? Tak jak przedtem? Czy krew na ścianie to była jej krew?

- Nie dotykać trumny - ostrzegła Diane Moses. - To dowód rzeczowy, Reed. Mogą być ślady narzędzi lub odciski palców...

- Otwieramy. Natychmiast! - krzyknął, ignorując ją. Próbował zaczepić palce o brudne wieko trumny. - Już!

Trumna była zamknięta. I ciasno obsypana ziemią.

Serce waliło mu jak szalone. Razem z potężnie zbudowanym policjantem wzięli łomy i wsunęli je pod wieko, naciskając całym ciężarem. Mrugali, bo deszcz zalewał im oczy. Wytężali wszystkie siły.

- Nic z tego nie będzie, trzeba ją odkopać! - krzyknął do nich Cliff Siebert.

- Nie mamy czasu - odkrzyknął, jeszcze mocniej naciskając na koniec łomu.

- Ściągniemy sprzęt.

- Na miłość boską, trzeba natychmiast otworzyć tę trumnę!

We dwóch pochylili się nad jednym łomem, napinając mięśnie. Naprężyły się ścięgna na ich szyjach. Zacisnęły zęby. Poczuli, że łom wchodzi głębiej. Troszeczkę.

Barczysty policjant krzyknął i nacisnął jeszcze mocniej. Zamek puścił z trzaskiem. Obaj stanęli w rozkroku nad trumną. Gdy otworzyli wieko, poczuli zapach krwi i śmierci.

- Boże, nie... - szepnął Reed, nic nie słysząc. - Nikki? - Wyciągnął z kieszeni latarkę i, z bijącym sercem, skierował wąski snop światła na zakrwawione, okaleczone ciało leżące w trumnie.

Omal nie zwymiotował, patrząc na szkliste oczy martwego LeRoya Chevaliera.

Nikki odetchnęła z trudem. Otworzyła jedno oko. Otaczała ją nieprzenikniona ciemność.

Kręciło jej się w głowie. Wyciągnęła ręce i uderzyła w coś.

Tak jak przedtem. Myślałam, że to był tylko zły sen, ale się myliłam.

- Nie! - krzyknęła, próbując usiąść. Znów uderzyła się w głowę. To niemożliwe. Nie może być zamknięta w trumnie. To musi być zły sen.

Poczła przyływ adrenaliny.

Natychmiast rozjaśniło jej się w głowie.

Leżała na czymś, co chyba było potężnym, otyłym ciałem i... dotknęła dłonią swojej nogi, a potem biodra i klatki piersiowej. Prawie nie mogła się ruszać, ale uświadomiła sobie, że jest naga i znajduje się w ciasnym pudle... nie... o, nie... to nie może być trumna! Gdziekolwiek się znajdowała, to coś się poruszało. Czowała wstrząsy, jakby pudło podskakiwało na wybojach. Czy jest w samochodzie? Wreszcie usłyszała cichy warkot silnika. Pewnie Grabarz wiozł ją na miejsce jej ostatniego spoczynku.

A pod nią leżało martwe ciało.

Tak.

Poczła przeszywający strach i z trudem powstrzymała torsje. Nie dopuszczała do siebie myśli, że zostanie pogrzebana żywcem w trumnie, na rozkładającym się, gnijącym ciełe.

W panice prawie nie mogła oddychać. Zaczęła drapać wieko, mocno je odpychać. Nawet nie drgnęło.

To szaleństwo. Musi się wydostać. Musi! Ta mała, ciemna przestrzeń... Kręciło jej się w głowie, bo zawsze miała skłonność do klaustrofobii. Pomyślała, że nie może tak umrzeć. Po prostu nie! Dopóki jej nie pogrzebał, ma czas. Może jeszcze uciec.

Myśl, nakazała sobie. Panuj nad sobą. Zrób coś! Coś mądrego.

Z trudem się skupiła. Nie pozwoliła opanować się panice.

Przypomniała sobie, że pojechała do domu rodziców bez broni, chociaż ojciec radził, żeby się z nią nie rozstawała. Teraz pistolet mógłby ocalić jej życie. Ale na pewno nie miała go przy sobie, kiedy znalazła ojca i spotkała się twarzą w twarz z Grabarzem.

Chory, podły drań.

I pomyśleć, że kiedyś mu współczuła.

Jaka była głupia!

Wszystkich ich oszukał. Teraz była jego jeńcem, następną ofiarą, wraz z ciałem, na którym leżała. Miała gęsią skórkę i bardzo chciała krzyknąć, ale wiedziała, że to daremne. Przecież słyszała jęki Simone. Ten sukinsyn na pewno nagrywał jej krzyki przerażenia i nie mógł się doczekać, aż ona zrozumie, że jest uwięziona w trumnie z rozkładającymi się zwłokami... Jednak Nikki nie czuła zapachu stęchlizny ani smrodu rozkładającego się ciała. Tylko lekki zapach cygar i whisky, taki sam, jaki zawsze otaczał jej ojca, zawsze kojarzył jej się z bezpieczeństwem, zaufaniem i...

Zamarła. Jej myśli biegły w bardzo złą stronę. Wyobraziła sobie coś o wiele gorszego niż to, co do tej pory widziała.

Ścisnęło jej się gardło.

Ten drań przecież by nie... nie mógł być tak podły, tak diabolicznie chory, żeby włożyć ją do jednej trumny z... z... jej własnym ojcem.

Nie!

Nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała wierzyć w coś tak okropnego.

A jednak?

Czy ojciec, kiedy znalazła go w domu, był martwy, czy bliski śmierci? Czy ciało pod nią nie było świeże... jeszcze niewystygłe? Ktoś, kto pod nią leżał, był potężnie zbudowany i pachniał jak... Och, tatusiu.

Połykała łzy, starała się opanować strach i gniew. Przerazona i drżąca, dotknęła ubrania, okrywającego ciało pod nią. Poczowała sztywny materiał spodni, zimną kłamrę paska i dłonie, duże i owłosione z wierzchu.

Och, tatusiu, nie...

Zrobiło jej się niedobrze. Omal nie zwymiotowała, gdy dotarło do niej, co się stało. Leżała w trumnie ze swoim zmarłym ojcem! Zacisnęła pięści z wściekłości. Do oczu napłynęły jej łzy. Chciała krzyknąć, szamotać się i kopać, ale się opanowała. Z jej ust wydobywały się tylko ciche słowa. Przecież ten drań tylko czekał, aż zacznie krzyknąć. To podniecało tego zboczonego sukinsyna.

Nikki nie zamierzała dawać mu satysfakcji. Nawet nie jęknęła, chociaż w trumnie zaczynało brakować powietrza i oddychała z trudem, chociaż była przerażona, chociaż bardzo chciała kopać, drapać, szarpać się, byleby wydostać się z tego więzienia.

Ty zboczony, pieprzony łajdaku!

Dygotała. Wściekłość walczyła w niej ze strachem.

Myśleć, myśleć. Muszę wziąć się w garść. To moja jedyna szansa. Muszę ukarać tego drania. Znaleźć sposób, żeby go załatwić. Niech role się odwróci!

Ale jak? Przecież jestem uwięziona.

Zostawiłam pistolet w domu, więc moją jedyną bronią jest teraz mózg.

Grabarz jest silniejszy ode mnie.

Wysportowany.

Zdeterminowany.

Chory psychicznie.

Ale jeśli nie uzyska satysfakcji, jeśli nie będę błagać i szlochać, tak jak oczekuje, to może otworzy wieko... muszę być cierpliwa. Nieważne, że bolą mnie płuca. Muszę czekać.

Zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się we wnętrze dłoni. Paliło ją w płucach. Było duże prawdopodobieństwo, że umrze. Cholernie duże.

Chyba właśnie się budziła. Jeszcze działał na nią narkotyk, ale już docierało do niej, gdzie jest i co ją czeka. Prowadząc samochód, Mściciel uśmiechnął się do siebie.

W okolicy było tak ciemno, że omal nie przegapił skrętu na stary, dawno zapomniany, zaniedbany cmentarz. Kiedyś już tu był, ale w dzień. Teraz szalała burza, wycieraczki nie nadążały z odgarnianiem deszczu, a widoczność była bardzo zła.

No i bardzo dobrze.

Zdjął nogę z gazu i zatrzymał trucka przy starej kwaterze rodzinnej. Zostawił otwarte drzwi, wysiadł i ruszył przed siebie. W strugach deszczu, smagany wiatrem, szedł po żwirowej drodze, która zarosła chwastami. Zardzewiała brama otworzyła się ze skrzypieniem. Wcześniej sprawdził, że jest nie zamknięta, i przygotował miejsce - miejsce ostatniego spoczynku - dla sędziego Ronalda Gillette'a i jego nic niewartej córki.

- Spoczywaj w pokoju, łajdaku - mruknął pod nosem. Deszcz płynął mu po twarzy. Sędzia miał wymierzać sprawiedliwość, ale okazał się dyletantem i przynosił wstyd systemowi sprawiedliwości.

LeRoy Chevalier nie powinien był nigdy wychodzić na wolność. Trzeba było skazać go na śmierć albo na dożywocie w malej, ciemnej celi.

Ale od początku były kłopoty. Brakowało dowodów rzeczowych, a Nikki napisała ten swój kretyński artykuł. Podczas procesu Mściciel patrzył w oczy sędziów przysięgłych i widział w nich wątpliwości. Oni wcale nie byli przekonani, że LeRoy Chevalier to naprawdę potwór. Słuchali sprzecznych zeznań. Ponieważ nie znaleziono narzędzia zbrodni, tylko dowód poszlakowy w postaci krwawego odcisku buta, sprawa nie była tak oczywista, jak powinna.

Stało się tak, ponieważ Reed i jego partner źle wykonali swoją pracę.

Sędzia Gillette źle prowadził proces.

Nikki Gillette wyskoczyła ze swoim artykułem.

Sędziowie przysięgli byli słabeuszami.

Dlatego musieli zgiąć. Jeden po drugim. Dwunastu niezdecydowanych członków ławy przysięgłych, beznadziejny sędzia, dwaj niekompetentni detektywi, niedyskretna reporterka i oczywiście sam potwór, LeRoy Chevalier, jeden z najgorszych bydlaków, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi.

Nawet teraz słyszał w głowie chrapliwy głos Chevaliera: „Jesteś dziewuchą? Głupią dziewuchą?” A potem pasek wysuwał się ze zniszczonych szlufek.

Nigdy więcej. Nigdy!

Ponieważ w czasie procesu doszło do tylu błędów, to naprawdę był cud, że skazali go na dożywocie.

Tylko że to nie wystarczyło. Dlatego teraz wszyscy, którzy źle wykonali swoje zadania, którzy przysięgali chronić ofiary i czuć, żeby sprawiedliwości stało się zadość, członkowie ławy przysięgłych, sędzia, gliniarze, a nawet reporterka, która o mały włos nie zaprzepaściła całego procesu, musieli za to zapłacić. Potwór też.

Szeroko otworzył bramę i pojechał po błotnistej drodze. Ścisnęło mu się gardło, gdy zobaczył trzy groby sprzed dwunastu lat. Carol Leggitel i dwoje jej dzieci, biedni Marlin i Becky... Tacy ufní. Tacy głupi. Gdzie byli, kiedy potrzebował ich pomocy? Dlaczego nie przerwali tego koszmaru? Przypomniał sobie, jak Chevalier kazał mu klękać, potem kłaść się do łóżka... z...

Walnął pięścią w kierownicę. Oczy zapiekły go od łez.

Nie myśl o tym. Nie myśl o tym, do czego cię zmuszał. Nie myśl o bólu, o upokorzeniu, o tym, że nikt ci nie pomógł. Ani matka, ani brat, ani siostra, ani nawet policja. Pierce Reed przyszedł do domu, udawał, że mu zależy, zostawił wizytówkę... cholerną wizytówkę... chociaż podejrzewał, co się dzieje! Co za kpina! Pieprzony żart!

Przypomniał sobie spocone, poranione, nagie ciała siostry, brata i matki, pogniecioną pościel, usłyszał w głowie chrząkanie i śmiech Chevaliera.

Nigdy więcej. Nigdy więcej!

Dostrzegł swoje odbicie we wstecznym lusterku. Zobaczył, że ma czerwone oczy. Te łzy były zupełnie niepotrzebne. Może jednak jest głupią dziewuchą.

Zamrugał, pomyślał o cmentarzu i szybko zawrócił. Światło cofania oświetlało głęboki, przygotowany zawczasu dół. Mściciel przejechał po grobach matki, brata i głupiej siostry. Dopiero potem zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik.

Nie miał dużo czasu. Reed na pewno wszystko zrozumie, gdy tylko odkryje ciało LeRoya Chevaliera na cmentarzu Le Blanc.

Trzeba się spieszyć.

Nagle coś się zmieniło.

Pomruk silnika ucichł.

Trumna przestała się poruszać.

Nikki zamarła.

Miała nerwy napięte jak postronki.

Nie wątpiła, że przywiózł ją na cmentarz. Że za kilka minut, a może nawet sekund, zacznie grzebać ją żywcem. Drżała. Musiała coś zrobić. Ale co?

Usłyszała głośny trzask i huk, jakby otworzyła się tylna kłapa trucka. Nagle trumna znów zaczęła się poruszać. Szurała po podłodze samochodu, bo ktoś ją wyciągał.

Boże, pomóż mi!

Czy powinna krzyknąć do zabójcy? Błagać, żeby ją puścił? Wiedziała, że to jej nie pomoże, ale musiała coś zrobić. Cokolwiek.

Usłyszała pukanie.

- Hej, Nikki, jesteś tam? - zapytał ten drań.

Ugryzła się w język.

Jeszcze raz zastukał w wieko.

- Wiem, że nie śpisz.

Nie... wcale nie wiedział. A ona nie powiedziała ani słowa.

- Do diabła z tym wszystkim,

Trumna znów zaczęła się poruszać. Nikki słyszała stłumiony klekot kółek, jakby była na szpitalnym łóżku. Jechała i jechała po wyboistym terenie... na pewno wiózł ją do dołu, gdzie chciał włożyć i zakopać trumnę! Musiała działać.

Znów bezruch.

Na pewno dotarł do grobu. Do jej grobu.

- Kto mógłby to zrobić? - zapytała Morrisette.

Reed, który bardzo bał się o Nikki, przypomniał sobie zakrwawione zwłoki LeRoya Chevaliera. Gdy otworzyli trumnę, zobaczyli nagie, okaleczone ciało. Głowa Chevaliera była niemal zmasakrowana. Miał kilkadziesiąt ran od broni, którą ktoś włożył z nim do trumny. Reed przypuszczał, że właśnie tym nożem zabito Carol Legittel i jej dzieci. Dwoje dzieci zginęło, jedno było bardzo ciężko ranne.

- Zrobił to ktoś, kto go nienawdził. Kto był na niego wściekły. To zabójstwo różni się od pozostałych, jest o wiele bardziej brutalne... Chevalier został zadźgany na śmierć, a potem sprawca okaleczył jego ciało. - Reed wystarczająco dużo wiedział o seryjnych mordercach, by wywnioskować, że Chevaliera zamordował ktoś bliski. Ktoś, kto przez niego cierpiał, kto nienawdził go i pałał żądzą zemsty. - Ten człowiek jest wściekły, że Chevalier wyszedł z więzienia, i zrzuca winę na wszystkich, którzy brali udział w procesie. Na ławę przysięgłych, sędziego i kobietę, przez którą omal nie unieważniono procesu, Nikki Gillette.

- Kto to jest, do cholery? - zapytała Morrisette.

Reed myślał gorączkowo. Pracujący na miejscu zbrodni oficerowie byli przemoknięci do suchej nitki. Trzeba było się spieszyć. Ten potwór uprowadził Nikki.

- Może Ken Stern, brat Carol Legittel. Nienawdził Chevaliera, przyrzekał, że go zabije i, ponieważ służył w piechocie morskiej, umiałby to zrobić. Albo Stephen Legittel, jej były mąż i ojciec dzieci, które maltretował Chevalier. Lub Joey Legittel, jej syn, jedyny, który przeżył tę jatkę.

- Chevalier bił go i zmuszał do uprawiania seksu z matką, tak? - zapytała Morrisette, patrząc na zakrwawione zwłoki. Skrzywiła się na widok ciemnoczerwonej krwi, zakrzepłej na podciętym gardle.

Reed kiwnął głową. Lodowate krople deszczu wpadały mu za kołnierz.

- Tak zeznał Joey. Mówił, że Chevalier zmuszał do seksu również jego rodzeństwo. Ten potwór urządzał sadystyczne orgie.

- Zasłużył na to, co go spotkało - mruknęła Morrisette, odwracając się od otwartej trumny. Obok uwijali się policjanci z zespołu Diane Moses, tak jak na miejscach poprzednich zbrodni.

Cliff Siebert wyłączył telefon.

- Dzwoniłem do szpitala. Charlene Gillette nie może nic powiedzieć. Jest w szoku. Policjant próbował z nią porozmawiać, ale słowem się nie odezwała. Jakby była w katatonii. To, co zobaczyła, było ponad jej siły.

- Cholera. - Morrisette spojrzała w niebo. Zamrugała, bo deszcz zalewał jej oczy.

Reed czuł się tak, jakby życie Nikki było w jego rękach - i jakby powoli, ale nieuchronnie, wymykała mu się.

- Ciekawe, dlaczego ten drań został pochowany sam? - zapytała Morrisette, wskazując trumnę podbródkiem.

- Bo to jest inne zabójstwo niż pozostałe - odparł Reed. Z każdą upływającą sekundą bał się bardziej. Gdzie, do cholery, ten psychopata zawiózł Nikki? - Wyślij patrole na wszystkie cmentarze w mieście - nakazał. Myślał intensywnie, przypominając sobie proces sprzed dwunastu lat. Brzydka sala sądowa. Sędzia Ronald Gillette siedzi w fotelu jak na tronie. Sędziowie przysięgli o przerażonych twarzach patrzą, jak prokurator przedstawia dowody. Tam musi się kryć klucz do całej sprawy. Na pewno. Zabójca oszukał Reeda, odwrócił jego uwagę, ale musiał... Błyskawica przecięła niebo. Nagle Reed się domyślił. Jakby sam Lucyfer szepnął mu to do ucha.

Przecież o to chodziło w tej całej sprawie.

- Gdzie została pochowana Carol Legittel?

- Nie wiem. - Morrisette pokręciła głową.

- Ja wiem - powiedział Siebert. - Widziałem to w aktach. Ona i dzieci leżą na małym cmentarzu Adams, na wschód od miasta.

Ta informacja wystarczyła Reedowi.

- Jedźmy! - Biegł już w strugach deszczu do swojego cadillaca. - Nie ma chwili do stracenia!

Nikki była spocona, serce waliło jej jak młotem. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby się wydostać. Pchanie wieka trumny nic nie dało. Potrzebne jej było jakieś narzędzie. Coś, czym mogłaby otworzyć trumnę od wewnątrz, tylko co? Nic przy sobie nie miała. Była naga.

Ale zabójca nie rozebrał jej ojca.

Serce omal nie przestało jej bić. Zabójca mógł nie zauważyć, że Wielki Ron nosił załadowany pistolet w kaburze przypiętej do kostki.

Ta myśl dodała Nikki nadziei, chociaż szybkie wydobycie pistoletu wydawało się niemożliwe.

Ale to była jedyna szansa.

Nikki zamierzała ją wykorzystać.
Znów usłyszała stukanie w trumnę.
- Obudź się, dziwko! - Jego głos był chrapliwy. Pełen niepokoju. To dobrze.
Pomyślała, że prędzej bydlak usmaży się w piekło, niż ona wyda z siebie choć jeden dźwięk. Wolałaby się udusić, niż dać mu tę satysfakcję.
Było jej bardzo trudno oddychać, prawie nie mogła się poruszać i strasznie się bała, ale musiała sięgnąć po broń ojca. To była jedyna szansa uwolnienia się z tej pułapki. Błagam, Boże, niech pistolet będzie na miejscu, pomyślała, wiedząc, że prawdopodobieństwo jest niewielkie. Grabarz na pewno znalazł broń.
Istniał jednak cień szansy, że w pośpiechu nie zauważył pistoletu. Musiała się przekonać.
Z całej siły nacisnęła ciało ojca, zyskując trochę miejsca na ugięcie kolan. Miękki brzuch ojca zapadł się. Zadrżała, zbierało jej się na wymioty. Przesunęła się. O dwa centymetry. Może nawet mniej. Z wielkim trudem wyciągnęła rękę wzdłuż jego nogi, ściskając materiał nogawki. Wiedziała, że jej szanse na przeżycie są niewielkie.
Prawie żadne.
Ty draniu, pomyślała. Ty pieprzony bydlaku.
Wyczuła krawędź wysokiego buta ojca. To chyba był dobry znak. Może zabójca pomyślał, że pasek na kostce to część buta.
Wyciągnęła rękę jeszcze kawałek. Z całej siły. Bolały ją wszystkie mięśnie, ale dotknęła końcami palców górnej części kabury.
Usłyszała klekot łańcucha, szczęk zamka i warkot małego silnika. Odniosła wrażenie, że trumna się unosi.
Bum!
- Hej, Nikki. Słyszysz mnie? - Głos zabójcy był stłumiony, ale słowa docierały do niej bardzo wyraźnie. Dostała gęsiej skórki. - Jak ci się podoba spanie z ojcem? Strasznie, co? Tak samo strasznie jest, kiedy musisz zabić własną rodzinę, bo spisała cię na straty!
Nie odpowiedziała. Zrobiło jej się niedobrze. Wyobraziła sobie Grabarza niejako opętanego potwora, którym się stał, lecz tamtego sprzed dwunastu lat. Siedzący w sali sądowej Joey Legittel, brzydki nastolatek, miał popielatą twarz, na pewno ze strachu. LeRoy Chevalier gwałcił go, maltretował, zmuszał do straszliwych czynów. A sąd kazał mu o tym opowiadać.
Teraz, po czasie, zrozumiała, że już wtedy był zabójcą. Zamordował matkę, siostrę i brata. Poranił się, tak sprytnie, że nikt nie zgadł, iż zrobił to sam, a potem ukrył narzędzie zbrodni i wrobił Chevaliera, wykorzystując jego robocze buty. A teraz oszalał. Pałał żądzą zemsty. Na pewno dlatego, że jego prześladowca wyszedł na wolność.
- Hej! Nie śpisz? Cholera jasna. Omal nie spieprzyłaś całej sprawy, ty głupia dziwko. I dlaczego twój stary nie skazał tego skurwysyna na śmierć? Dlaczego?
Paliło ją w płucach. Przez chwilę chciała z nim rozmawiać, próbować przemówić mu do rozsądku, ale przypomniała sobie - bardzo wyraźnie - chrapliwy, zrozpaczony głos Simone, gdy prosiła, błagała i targowała się o życie. Nikki za nic w świecie nie dałaby mu takiej satysfakcji. Napinając ramiona pomimo skurczów i drętwienia mięśni, skupiła całą swoją energię na tym, żeby wyjąć pistolet z kabury.
- Hej! Hej!
Łomotał w trumnę. Szaleńczo. Jak wariat. Jakby tracił panowanie nad sobą. Trumna podskakiwała i przechylała się.
Nikki myślała tylko o broni.
- Zgadnij, co tu mam, Nikki powiedział przekornym tonem, a ona zamarła. Nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie chciała. - Coś twojego. I Simone.
Tylko nie Mikado! I nie Jennings!
Z trudem powstrzymała się od krzyku. Chciała wydrapać mu oczy.
- Mam je w kieszeni. Twoje majteczki, Nikki. Wyjąłem je z szuflady. O, rany, ale nieprzyzwoite! A te Simone...
Pomyślała, że zaraz zwymiotuje.
- Słyszysz mnie? Zbieram je. To skarby od wszystkich moich ofiar. Wiesz, kto z tobą leży, prawda? Kochany tatuś. Wiesz, co zostawiłem sobie na pamiątkę po nim?
Nie chciała wiedzieć.
- Stare spodenki gimnastyczne. Wyglądają, jakby miały miliard lat! Co ty na to?
Pieprz się, obrzydliwy zbrojeńcu, pomyślała. Gniew wziął górę nad strachem.
- Myślałem o tym latami... ale nic bym nie zrobił, bo LeRoy siedział w więzieniu. Tylko że wyszedł... I teraz mi za to zapłacicie. Wszyscy ci, którzy mnie zawiedli.
Chciał, żeby mu współczuła? Kpił sobie?
- Podobało ci się nagranie przyjaciółki? - zapytał, a Nikki oblał lodowaty pot. - Słyszałaś, jak błagała?
Chciała krzyknąć, ale się powstrzymała. Przecież do tego właśnie próbował ją sprowokować.
- Wszystkie błagały. - Odczekał chwilę. - Nie śpisz? - Jeszcze raz walnął w wieko. Dźwięk odbijał się echem w trumnie, drażniąc jej uszy. - Hej, Nikki!

Nie będę go słuchać. Nie obchodzi mnie, co mówi! Napięła się tak, że z trudem wytrzymała ból mięśni i ścięgien. Jej palce dotknęły czegoś zimnego i twardego. Pistolet! Do oczu napłynęły jej łzy. Gdyby tylko zdołała go złapać...

- Pieprzyć to.

Trumna znów zaczęła się poruszać.

Tym razem spuszczał ją do dołu. Ten koszmar przekraczał wszelkie jej wyobrażenia.

Reed pędził swoim cadillakiem najszybciej, jak się dało. Sto dziesięć kilometrów na godzinę... sto trzydzieści... sto pięćdziesiąt. Z radia dobiegały tylko trzaski. Pomyślał, że dojedzie na cmentarz w niecały kwadrans.

Zdąży?

Miał nadzieję, że tak.

Na myśl o Nikki uwięzionej w trumnie i pogrzebanej żywcem poczuł lodowaty dreszcz. Wcisnął pedał gazu do końca. Światło reflektorów rozpraszało ciemność, przecinało kurtynę deszczu i odbijało się w kałużach na chodniku.

Tylko wariat mógłby tak jechać w tak trudnych warunkach drogowych.

Usłyszał wycie syren, zobaczył migające niebieskie i czerwone światła. Radiowóz dogonił go i wyprzedził.

Za kierownicą siedziała Morrissette.

- Dopadnij go, Sylvie - mruknął. - Jadę tuż za tobą.

Po kilku minutach zobaczył drogę prowadzącą na cmentarz Adams i starał się nie tracić nadziei. Jakie są szanse, że Nikki jeszcze żyje?

Pistolet wysliznął jej się z rąk, bo trumna się kołysała, gdy Grabarz powoli opuszczał ją do grobu.

Nie! Och, nie! Tylko nie to!

Gorączkowo łapała oddech, macała palcami, szukała pistoletu i próbowała wymyślić inny sposób, żeby się uwolnić.

Ale nie było innego sposobu.

Tylko ten.

Gdyby tylko zdołała chwycić pistolet, zanim na trumnę spadną dwa metry mokrej ziemi... No już, Nikki! - nakazała sobie w myślach. Nie poddawaj się! Złap go! Teraz.

Środkowym palcem wyczuła zimną stal, potem też wskazującym. Naprężając się, maksymalnie skupiona, powoli wyciągnęła pistolet małego kalibru z kabury.

Teraz... oby tylko był załadowany.

Ziemia spadała już na wieko trumny.

Boże, daj mi siłę. Błagam, Boże...

Odetchnęła i zakreśliła jej się w głowie. Czowała, że traci przytomność. O, nie... nie może teraz zemdleć, bo już nigdy się nie obudzi. Będzie po niej.

Usłyszała stukot spadających na trumnę kamyków i grudek ziemi.

Zaciskając zęby, obsunęła się trochę niżej, opierając kolana o wieko trumny. Już... gdyby tylko udało się dobrze chwycić rękojeść.

Kamienie i ziemia z hałasem uderzały w drewniane boki trumny.

No już, Nikki, chwyć ten cholerny pistolet! Ale jej myśli płynęły coraz wolniej. Nie mogę stracić przytomności. Nie mogę. Teraz albo nigdy!

Syreny! Cholera, musi się spieszyć. Jak to możliwe, że Reed domyślił się tak szybko? Psiakrew, za długo próbował skłonić Nikki do mówienia! Mściciel spojrzał w ciemność i nasłuchiwał. Syreny były jeszcze daleko, ale na pewno zmierzały w stronę cmentarza. Musi szybko skończyć i zniknąć. Przy drugim końcu parkanu czekał jego drugi samochód. Wystarczyło przejść przez kute, żelazne ogrodzenie, pobiec ścieżką i przeprowić się przez strumień.

Nawet psy go nie znajdują.

Ale najpierw musi skończyć tutaj. Jeszcze tylko kilka łopat. Mikrofon rejestrował cichy odgłos drapania i kopania, ale to nie koniecznie znaczyło, że Nikki żyje. Albo jest przytomna. Te dźwięki mogły być wynikiem ruchu trumny.

Był niezadowolony.

Czuł w sobie pustkę.

Bardzo chciał, żeby Nikki Gillette wiedziała, jaki los ją spotyka.

Powinna wiedzieć, co się z nią dzieje, rozumieć, że nie ma szans, że będzie cierpieć, że nie przeżyje. W przeciwieństwie do niego.

Nie miał czasu otworzyć trumny i sprawdzić, dlaczego Nikki się nie odzywa.

Policyjne samochody były coraz bliżej. Słyszał syreny, widział snopy światła, błyskające na nocnym niebie.

Za późno, Reed, pomyślał, rzucając ostatnią łopatę ziemi.

Odetchnęła stęchłym powietrzem, wyciągnęła palce, chwyciła mały pistolet w dłoń i skierowała lufę w stronę wieka trumny. A może kula nie przebijie drewna, odbije się rykoszetem i ugodzi ją albo utkwi w ziemi?

Ale nie miała innego wyjścia.

Coraz trudniej było jej zebrać myśli. Brakowało już powietrza. Prawie nie mogła oddychać. Kasłała. Starła się jednak myśleć logicznie.

Reed. Gdyby mogła po raz ostatni zobaczyć Reeda...

Przemarznięta, ścisnęła pistolet śliską od potu dłonią, wycelowała w górę, położyła palec na spuście, odetchnęła resztkami powietrza i nacisnęła.

- Giń, sukinsynu!

Ból.

Poczuł rozdzierający ból w nodze i usłyszał ogłuszający huk. Co się stało, do cholery? Spojrzał na swoją nogę i zobaczył tryskającą krew. Bardzo bolało. Kto do niego strzelił? Widział już światła. Gliniarze się zbliżali. Musiał uciekać.

Zaczął kuśtykać w stronę ogrodzenia, ale zaczepił o coś nogą. Zgrzytając zębami, chciał się obrócić. Stracił równowagę i upadł. Cholera jasna.

Syreny wyły, samochody hamowały z piskiem opon, reflektory rozświetlały noc.

- Do diabła!

Był w potrzasku.

Ale jeszcze go nie pokonali.

Wszedł do dołu i czekał.

Huk wystrzału odbijał się echem po cmentarzu.

Reed, z odbezpieczoną bronią, wyskoczył z samochodu. Nikki, pomyślał, błagam, żyj.

Zobaczył samochód i świeży grób. Znad mokrej ziemi unosiła się mgiełka. Deszcz nie lał już ulewnie, lecz mżył.

- Policja! - krzyknął. - Legittel, rzuć broń!

Usłyszał za sobą kroki i głos Morrisette, wydającej rozkazy.

- Siebert, wezwij posiłki! - krzyknęła. - Reed, nie rób głupstw.

Reed nie słuchał. Nie spuszczać grobu z oczu, rzucił się w przód.

- Reed! - wrzasnęła Morrisette. - Nie! Stój! O, cholera!

Wiedział, że ryzykuje, ale nie dbał o to. Nikki mogła lada moment stracić życie. Za wszelką cenę musiał ją ratować.

- Policja! - krzyknął jeszcze raz, zbliżając się do dołu. Było bardzo ciemno. Powinien zaczekać na kolegów, na to, żeby ktoś podał mu latarkę. Policjantowi w akcji nie wolno narażać własnego życia ani ryzykować, że zabójca weźmie go na zakładnika. Ale Reed nie miał czasu myśleć o niczym poza Nikki.

Rzucił się do dołu i zobaczył Grabarza skulonego w rogu. Gdy wskoczył do dołu, Joey poderwał się gwałtownie i detektyw zobaczył błysk noża.

Ból przeszył mu bark.

Wystrzelił, pamiętając, żeby nie celować w dół, bo tam była Nikki.

- Ty bydlaku! - warknął do mordercy, beładnie wymachującego nożem.

- Zabij mnie - drażnił się Grabarz, ciężko dysząc.

Reed zobaczył błysk jego zębów i krew. Uderzył go pistoletem. Joey jęknął, ale wciąż walczył. Był zaskakująco silny, miał twarde mięśnie. W ciemnych oczach lśniła wściekłość.

- Obiecałeś - zapisał, gdy Reed przystawił mu pistolet do głowy i wykręcił rękę. - Ty kłamliwy draniu, przyrzekłeś, że wrócisz, i nie wróciłeś.

- Wstań, Joey. To koniec.

- Zastrzel mnie.

- Nie ma mowy, gnojku, podnieś ręce nad głowę i...

Joey szarpnął się. Mokre ubranie wysliznęło się z palców Reeda. Obracając się na zdrowej nodze, na oślep ciął nożem.

Rozległ się huk wystrzału. Joey wyprężył się. Nóż wypadł mu z ręki.

- Jakoś to przeżyję - powiedziała Morrisette. - A teraz wyciągnijmy stąd tego drania.

Reed już kłęczał. Gorączkowo kopał rękami.

- Nikki! - krzyknął. Z poczuciem deja u odgarniał ziemię gołymi rękami. Nagle coś usłyszał... Drapanie? Kaszel? Odgłos dobiegał z zamkniętej trumny.

- Nikki? Nikki, trzymaj się. - Kopał coraz szybciej, odrzucając ziemię za siebie. - Niech mi ktoś pomoże! - Natrafił palcami na twarde drewno, a potem na drzazgi i dziurkę w wieku. Tędy przeszła kula, która zraniła Joeya Legittela. Do dołu wskoczył drugi policjant. Razem odgarniali ziemię. Znaleźli mikrofon i wyrwali go, żeby do trumny mogło się dostać powietrze.

Wyciągnij mnie stąd! - krzyknęła, z trudem łapiąc oddech i kaszląc. Pomyślał, że nigdy w życiu nie słyszał tak pięknych słów. - Na miłość boską, Reed, wyciągnij mnie stąd!

Po kilku minutach odsłonił wieko trumny, otworzył ją i Nikki, rozdygotana, z wytrzeszczonymi oczami, naga, rzuciła się w jego ramiona. Płakała, krztusiła się i krzyczała.

Reed spojrział do trumny i skrzywił się.

Leżało tam ciało jej ojca, sędziego RONALDA Gillette'a.

To było straszne.

Okrył Nikki swoim mokrym płaszczem i zaniósł do cadillaca. Omal jej nie stracił. O mały włos.

Epilog

Nikki sączyła kawę i patrzyła przez okno na blade światło. Niebo było bezchmurne. Nadchodzący ranek napawał optymizmem i kontrastował ze straszliwymi wydarzeniami sprzed dwóch tygodni oraz z nocą, gdy omal nie umarła. Gdyby zastanowiła się nad tym dłużej, znów poczułaby tamten strach. Ciemność. Ale nie pozwalała sobie na wspomnienia. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Fizycznie doszła do siebie, a jej stan psychiczny poprawiał się z każdym dniem. Mogła już zacząć myśleć o przyszłości.

Do świąt pozostały niecałe dwa tygodnie, ale Nikki nie rozwiesiła jeszcze światełek ani nie kupiła choinki do swojego mieszkania. Boże Narodzenie bez ojca będzie bardzo smutne. Matka jeszcze chorowała.

Była sobota i Nikki czuła się rozleniwiona. Dopijała pierwszą tego dnia kawę. Jennings zwinął się w kłębek na swoim regale, Mikado siedział u jej stóp, a na monitorze komputera widniały słowa pierwsza strona.

Początek jej książki.

O Grabarzu, udręczonym człowieku, który, jak dowiedziała się od policji, nadał sobie przydomek Mściciel. Joey Legittel jako dziecko wiele wycierpiał przez Chevaliera. W końcu zabił matkę, siostrę i brata, zrzucając winę na swojego prześladowcę. Potem tułał się po rodzinach zastępczych. W dorosłym życiu nie miał nikogo bliskiego. Podejmował dorywcze prace, zwykle w sklepach z kasetami wideo, gdzie kupował sobie filmy o zemście.

To było potworne. Zauważył nawet, że jego nazwisko było anagramem nazwiska Gillette i zapisał nimi oboma białe zniszczonego stołu, na którym trzymał swój album z wycinkami z gazet dotyczącymi procesu.

Zaskrzypiały schody, więc Mikado zaczął szczekać i pobiegł do drzwi.

- To chyba ktoś znajomy - powiedziała Nikki w chwili, gdy rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Piesek szalał z radości.

Serce zabiło jej szybciej. Odsunęła krzesło. Kot przeciągnął się, jakby był znudzony, a Mikado skakał w kółko jak głupi.

Tamtej strasznej nocy Reed uwolnił ją z trumny, mocno przytulił i uparł się, że pojedą do szpitala. Siedział przy jej łóżku, odchodząc tylko po to, żeby wypełnić formularze albo porozmawiać z innymi policjantami. W ogóle nie zwracał uwagi na własną ranę.

Grabarza już nie było.

Zginął tamtej nocy. Morrisette zastrzeliła go, zanim zdążył zabić Reeda tym samym nożem, którym przed dwunastu laty wymordował swoich bliskich. Dobrze ukrył nóż, a po latach wyciągnął go i trzymał w szufladzie komody. Policja znalazła jego kryjówkę, mały pokójek ze sprzętem do nagrywania, telewizorami, filmami i poplamioną krwią komodą, gdzie trzymał bieliznę swoich ofiar. Kryjówka mieściła się w domu starszej kobiety, którym za pieniądze opiekował się Legittel. Prawie nie korzystał z okazałego budynku w centrum Savannah. Zanim zginął, zdążył zabić tylu ludzi... Wśród nich Simone.

Odpędzając straszliwe wspomnienia, Nikki otworzyła drzwi.

Na progu stał gładko ogolony Reed w dżinsach i swetrze. Trzymał dwa kubki kawy i torbę ze słodkim pieczywem. Na widok Nikki rozbłyły mu oczy.

- Dzień dobry - powiedział przeciągle.

Mikado kręcił się wokół jego nóg, a Jennings uciekł z mieszkania.

- Nawzajem, Reed. - Stała na palcach i musnęła go ustami w policzek. - Wejdz. Co cię tu sprowadza? - zapytała żartobliwie.

- Wykonuję swój obowiązek, proszę pani.

- Dupa.

- Twoja? Bardzo ładna. - Unosząc ciemną brew, spojrział na jej pośladki, chociaż okrywał je gruby szlafrok.

- Miło słyszeć. - Wzięła od niego torbę i kubki, żeby mógł pogłaskać psa. Bawił się z nim przez kilka minut, kiedy ona kroїła bułkę z cynamonem i miodowy rogal.

- Jak się czujesz, tak naprawdę? - Nagle spowaźniał. - Minęły dwa tygodnie, a nic mi nie mówisz o swoim stanie.

Miał rację. W czasie, który upłynął od zabójstw, rozmawiali bardzo lekko. Przekomarzali się. Poznawali lepiej.

- To było straszne, ale chyba przeżyję. - Słyszając własne słowa, skrzywiła się. Joey Legittel też kiedyś przeżył. I stał się seryjnym mordercą, który terroryzował ją i całe miasto.

- A twoja mama?

- Dwa dni temu wróciła do domu, lecz wciąż siedzi przy niej pielęgniarka. Codziennie ją odwiedzam. Lily i Kyle też. - Westchnęła i oparła się biodrem o kuchenny blat. - Nie wiem, czy mama kiedykolwiek dojdzie do siebie. To, co widziała, było okropne, a już wcześniej cierpiała na depresję. Lily i Phee, moja siostrzenica, zamierzają wprowadzić się do niej na jakiś czas. Jest też Sandra, pomaga przy gotowaniu i sprzątanii. Zobaczmy, jak będzie. Na pewno musi to potrwać.

Wytarła nóż palcami.

- Uważasz, że Joey Legittel naprawdę zabił matkę, siostrę i brata, bo go nie bronili? - zapytała

- Tak. Był najmłodszy i myślał, że wszyscy się od niego odwrócili. Chevalier bił go i zmuszał do potwornych czynów. Z członkami własnej rodziny. Joey uważał, że jedynym sposobem, żeby pozbyć się Chevaliera, było wrobić go. Zabił więc swoich bliskich i ubrudził krwią buty LeRoya. Zadał sobie kilka ran, w ręce, nogi i bark, ale niegroźnych. Ukrył narzędzie zbrodni i zrzucił winę na Chevaliera.

- Ale jak mógł zabić własną matkę i rodzeństwo? - Nikki przeszył zimny dreszcz.

- Uważał ich za wrogów. Nie obronili go przed potworem. Napisał do mnie list i wysłał mnie do Dahlonga, żeby przykuć moją uwagę, ale też zmylić policję. Pomagałem przy ujęciu Chevaliera, byłem wtedy młodszym detektywem. Nie znaleźliśmy wystarczających dowodów, żeby można go było wysłać do celi śmierci. Twój tata i ława przysięgłych też nie podjęli takiej decyzji.

- Mnie miał za złe, że omal nie doprowadziłam do unieważnienia procesu.

- Tak.

- Czy ty i Morrisette dostaniecie awans? - Postawiła talerze na stoliku, odsuwając laptop,

- Nie, ale ja może utrzymam odznakę. Cliffowi Siebertowi też się to chyba uda. Wiesz, przyznał się. Że był twoją wtyczką.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Przecież nikt go nie zmusił.

- Ja, poniekąd.

- Jest duży, poradzi sobie. Jakie masz plany? Jak pokierujesz swoim życiem?

- Napiszę książkę na podstawie twoich informacji, które mi obiecałeś. Zacznę dziś. Skoro Joey nie żyje, nie musimy czekać na proces.

- Czyli zostaniesz tutaj?

- Mmm. - Wzięła kawałek bułki cytrynowej i włożyła go do ust. - Dzwonił Tom Fink. Chce, żebym wróciła. Pisałabym o sprawach kryminalnych.

- I?

- Jak to się mówi, prędzej piekło zamarznie. - Zaśmiała się i oblizała palce. - Zadzwonili do mnie też z gazet z Chicago i Atlanty, ale... Sama nie wiem. W Chicago są bardzo mroźne zimy.

- A Atlanta?

Wzruszyła ramionami.

- Myślałem, że chcesz robić karierę. Pracować w prawdziwej, szanowanej gazecie. - Oparł się o blat, spojrzał na nią i zmrużył oczy. - Czego ty właściwie chcesz, do jasnej cholery?

- Jak to?

- Od życia. Czego oczekujesz? Zawsze byłaś strasznie ambitna, mówiłaś, że pojedziesz do wielkiego miasta i wyrobisz sobie markę. Co teraz?

- Nie jestem pewna.

- Naprawdę? To do ciebie niepodobne.

- Cóż, może jakiś duży szorstki gliniarz zrobi ze mną porządek? - Wzięła kawałek bułki i włożyła mu go do ust.

Uśmiechnął się, trzymając kęs w zębach.

- Akurat. Byłabyś bardzo zadowolona. Jasne - powiedział sarkastycznie. - Przez pięć minut. Góra dziesięć.

- Cóż... tak się składa, że mam pięć minut.

Spojrzał na nią, a potem na drzwi sypialni.

- Miałaś na myśli... teraz?

Puściła do niego oko i splotła palce z jego palcami.

- Właśnie. Widzisz? Sam do tego doszedłeś. Wspaniały z ciebie detektyw!

Podziękowania

Chciałabym serdecznie podziękować Bucky'emu Burnsedowi z Biura Informacji Publicznej przy wydziale policji w Savannah. Wyświadczył mi nieocenioną przysługę, odpowiadając na moje liczne pytania i pomagając uniknąć błędów. Bardzo mi zależało, żeby fabuła książki rozwijała się dynamicznie, a postacie były prawdziwie, dlatego w opisach odbiegłam nieco od zasad i procedur obowiązujących w wydziale policji w Savannah.

W pracy nad tą powieścią pomogło mi wielu ludzi. Niektórzy zbierali materiały, inni przekazywali mi uwagi krytyczne, jeszcze inni prowadzili biuro. Rodzina i przyjaciele podtrzymywali mnie na duchu i dodawali otuchy.

Na szczególne podziękowania zasługują: Nancy Berland, Kelly Bush, Ken Bush, Nancy Bush, Matthew Crose, Michael

Croze, Alexis Harrington, Danielle Katcher, Ken Melum, Roz Noonan, Ari Okano, Kathy Okano, Betty i Jack Pedersonowie, Sally Peters, Robin Rue, Samantha Santistevan, John Scognamiglio, Michael Siedel oraz Larry Sparks. Jeśli kogoś pominęłam, bardzo proszę o wybaczenie.